



PENNY JORDAN

Bolesna spuścizna



Bolesna spuścizna

Prolog

- Słyszałaś nowiny? - spytała pielęgniarka, która właśnie przyszła na oddział.

Sally Bruton przerwała odczytywanie karty choroby przy-mocowanej w nogach łóżka. Nie spodobało się jej, że specjalista zwiększył dawkę antybiotyku.

Po przebytej operacji powierzony jej opiece pacjent, sześćdziesięcioośmioletni Joseph O'Malley, nie wracał do zdrowia tak szybko, jak powinien. Kiedy miała dyżur na oddziale chirurgicznym męskim, zawsze próbowała znaleźć choć chwilę, aby przysiąść przy jego łóżku i pogawędzić. Zauważyła, że stary człowiek nie ma ani rodziny, ani przyjaciół.

- Jakie nowiny? - odezwała się, podnosząc zmęczony wzrok znad karty i odwracając się w stronę koleżanki.

- Samobójstwo. Jakiś facet w olbrzymiej luksusowej limuzynie. Usłyszałam po drodze. Ciekawe, dlaczego to zrobił... O której kończysz?

- Pół godziny temu - poinformowała ją Sally lakonicznie.

Z powodu spóźnienia zmienniczki musiała zostać dłużej. W związku z kolejną redukcją etatów nie było nikogo, kto mógłby ją zastąpić.

Chociaż gdyby miała być ze sobą całkiem szczerą, przyznałaby, że nie ma nic przeciwko zostawianiu po godzinach. Wówczas, kiedy wracała późno do domu, Joela zazwyczaj już nie było.

To był ciężki tydzień, trzy nagłe przypadki. Mimo mile schlebających Sally pochwał siostry przełożonej na temat jej

kompetencji i umiejętności radzenia sobie w trudnych sytuacjach, praca w szpitalu była bardzo wyczerpująca.

Siostra przełożona nadmieniła także, że chcieliby, aby rozważyła możliwość pracy w większym wymiarze... A może zdecydowałyby się na pełen etat? Ba! Sally już widziała reakcję Joela. Wystarczyło przypomnieć sobie, jakie robił sceny, kiedy zakomunikowała mu, że wraca do szpitala na pół etatu.

- Potrzebne nam są pieniądze - przekonywała, nie zwracając uwagi na jego zaciętą minę.

- Ale nie w ten sposób. To ja wezmę dodatkowe nadgodziny - powtarzał z uporem.

Lecz właśnie wówczas w fabryce Kilcoyne zlikwidowano nadgodziny i Joel, zzymając się, musiał ugiąć się przed argumentami żony. Co z pożyczką zaciągniętą na jego nowy samochód i garaż? Goła pensja nie wystarczy.

Tak, Sally nigdy nie odmawiała, kiedy proszono ją, żeby została dłużej.

Gdy wracała o zwykłej porze, Joel jeszcze leżał. Leżał, lecz nie spał... Nie, nie... tylko nie to... Umysł Sally w panice uciekał od natrętnych myśli. Była zbyt zmęczona, miała zbyt wiele kłopotów, żeby tracić czas na analizowanie narastającej w niej oziębłości.

Już teraz czuła, jak cała sztywnieje, jak mięśnie napinają się w niemym oporze, jak ogarnia ją rozpacz i złość.

Dlaczego on nie potrafi zrozumieć...?

Nagły dzwonek przerwał te przykre rozważania. Energicznym krokiem poszła zobaczyć, czego chory potrzebuje.

Drzwi prowadzące do izby przyjęć uchyliły się i w korytarzu zobaczyła grupkę mężczyzn, dwóch policjantów i szpitalnego patologa... Aha, samobójstwo, przypomniała sobie. Pewnie idą do kostnicy, pomyślała i wzdrygnęła się. Była przecież pielęgniarką, jej powołanie to podtrzymywanie życia, nie...

Ten człowiek, który się zabił... Miał rodzinę? Dzieci? Żonę, która w tej chwili leży sama w łóżku i zastanawia się, gdzie jest jej mąż... tęskni do intymnej bliskości jego ciała... a może ona również... tak samo...?

Odrzuciła od siebie te myśli. Podeszła do łóżka chorego, poprawiła pościel, podniosła upuszczoną szklankę.

Debra Franklin poruszyła się w półśnie, przeciągnęła leniwie, na jej wargach pojawił się marzycielski uśmiech. Ta noc była cudowna. Jej ciało wciąż było lekko ocieężałe, rozgrzane miłością. Przeciagnęła dłonią po skórze, jeszcze reagującej na dotyk, kobieco miękkiej i gładkiej. Z Markiem byli idealnymi kochankami. Pod każdym względem stanowili dobraną parę. Miała szczęście... chociaż ciężko na nie zapracowała.

- Ryan jest bardzo zadowolony z moich dokonań. Dał mi do zrozumienia, że mogę dostać coś więcej niż tylko premię... Nie powiedział niczego wprost, ale jestem przekonana, że szykuje dla mnie awans.

- Gratulacje - burknął Mark.

Debra roześmiała się serdecznie. Mężczyźni tak naprawdę nie mają ochoty na rozmowy w łóżku i nie winiła Marka, że czuł się zmęczony.

Wczoraj wieczorem była naprawdę rozochociona, podniecona pochwałami szefa i wtrącanymi między wierszami, mile łechcącymi obietnicami nagrody za jej ciężką pracę. Nigdy też nie miała oporów przed ujawnianiem swoich zmysłowych potrzeb, bo i dlaczego? Mark i ona byli sobie równi pod każdym względem. Mark co prawda zdołał wspiąć się o szczebel wyżej na drabinę zawodowej kariery, ale też wcześniej od niej zaczął pracować w firmie. I to on namówił ją, żeby rzuciła poprzednią pracę i starała się o bieżącą posadę.

- A dlaczego ty nie ubiegasz się o to stanowisko? - dopytywała się wówczas.

Potrząsnął głową.

- Upadłości to nie dla mnie. Wolę tworzenie niż destrukcję...

- Dobry zarządca może reaktywować biznes - spierała się z nim.

- Zarządca tak, likwidator nie.

Debora zbyła tę uwagę śmiechem. Poznali się z Markiem na uniwersytecie, gdzie oboje mieli podobne ambicje i oboje chcieli szybko zrobić karierę. Ona już wówczas postawiła sobie za cel pracę w dużym biurze rachunkowym, podczas gdy Mark pragnął wyjechać z Londynu i zostać dyrektorem finansowym dobrze prosperującego przedsiębiorstwa, gdzie w środkowej Anglii na przykład.

Widząc go teraz wchodzącego do sypialni, uśmiechnęła się kusząco i zapraszającym gestem poklepała miejsce obok siebie.

- Nie, nie... nie znowu - zaprotestował.

Debora zachichotała, lecz spostrzegła, że Mark jej nie zawtórował. Odwrócił wzrok i z marszem na czole zaczął wymować świeżą bieliznę z szuflady.

- Mark...?

- Wybacz, Deboro, ale obiecałem Peterowi, że będę dziś wcześniej...

- Jesteś pewien, że nie uda mi się ciebie namówić na zmianę planów? - droczyła się z nim. Wyciągnęła rękę i koniuszkami palców musnęła jego podbrzusze. Poczowała, że napiął mięśnie. - O co chodzi? Coś nie tak...? - spytała cicho i cofnęła dłoń.

- O nic. Posłuchaj... przykro mi... Muszę pędzić...

- Wiem, że obiecałeś Peterowi, ale powiedz, od kiedy to macie tyle roboty, że musicie przychodzić wcześniej? - spytała cierpko. - O ile wiem, na własnej skórze odczuwacie skutki recesji. Sam mówiłeś...

- Posłuchaj, Deboro. Wiem, że czujesz się bardzo z siebie

zadowolona i podzielam twoją radość, ale czy mogłabyś na moment przestać zachwycać się sobą?

Debora zamarła z otwartymi ustami i wzrokiem utkwionym w plecach znikającego w drzwiach łazienki Marka.

Zachwycać się sobą? O co mu chodzi? Przecież wcale się sobą nie zachwyca, chce tylko podzielić się z nim swoją radością, dumą z własnych osiągnięć. Zachwycać się... Typowy język, jakiego mężczyźni używają, kiedy chcą kobietę speszyć. Ale przecież Mark nigdy nie zachowywał się w ten sposób. Dlatego między innymi go kochała. Zawsze traktował ją jak równą. Zawsze ją chwalił, zachęcał...

Mark wszedł do sypialni. Włosy miał teraz gładko uczesane. Wyjął z szafy czystą koszulę, potem włączył radio, tak głośno, że gdyby Debora chciała kontynuować rozmowę, musiałaby podnieść głos, żeby ją usłyszał.

Co w niego dzisiaj wstąpiło, zastanawiała się.

Spiker podawał kolejną wiadomość. Samobójstwo. Mężczyzna znaleziony martwy w samochodzie. Debora słuchała obojętnie. Ludzie coraz częściej odbierają sobie życie; a poza tym bardziej obchodziła ją uwaga Marka niż śmierć jakiegoś nieznanego faceta.

- Ciężką mieliście noc? - spytała Elizabeth Humphries i z troską spojrzała na męża, który otworzył drzwi kuchni. O drugiej nad ranem wezwano go do ofiary wypadku na obwodnicy. Młody chłopak na motorze doznał poważnych obrażeń.

- Przy odrobinie szczęścia wyliże się... Chociaż przez chwilę jego życie wisiało na włosku. Ucięło mu prawą rękę, ma złamanych kilka żeber, uszkodzone narządy wewnętrzne. Na szczęście ktoś przytomny włożył rękę do lodu. Dwadzieścia lat temu, ba, nawet dziesięć, nie moglibyśmy mu jej przyszyć. Odkąd zostałem chirurgiem, nastąpił niewyobrażalny postęp... No, ale sam nigdy bym nie potrafił zrobić tak skomplikowanej operacji.

- Nie jesteś przecież specjalistą od mikrochirurgii - wtrąciła Elizabeth. - Za to bez twojego zaangażowania w gromadzenie funduszy szpital nie miałby odpowiedniej sali operacyjnej do tego typu zabiegów - przypomniała mu.

- Wiem, wiem, czasami jednak, kiedy przyglądam się tym młodzikom, czuję się okropnie stary.

- Daleko ci do starości - zaprotestowała. Za trzy miesiące Richard miał obchodzić pięćdziesiąte piąte urodziny, ona była pięć lat od niego młodsza. Od dwudziestu ośmiu lat była żoną Richarda i wciąż kochała go tak samo gorąco, jak na początku, chociaż w trochę odmienny sposób.

- Dlaczego nie jesteś w łóżku? - spytał. - Masz dziś dyżur w poradni?

- Tak.

Obojętnie jak bardzo był zajęty, jak bardzo zaharowany, zawsze pamiętał o jej sprawach. I kiedy ich córka wyprowadziła się z domu, to właśnie on zachęcił ją, żeby zainteresowała się pracą społeczną. Elizabeth bała się wówczas, że nikt nie zechce korzystać z jej usług. Teraz jednak, w związku z recesją, która stała się przyczyną wielu ludzkich tragedii, miała więcej zajęć niż kiedykolwiek przedtem, tyle że...

- Mieliśmy jeszcze drugi wypadek... - odezwał się Richard zmęczonym głosem - Niestety nic nie mogliśmy już zrobić. Samobójca.

- Biedny człowiek - westchnęła Elizabeth, stawiając na stole dzbanek z herbatą.

- Rozpieszczasz mnie, wiesz... - powiedział Richard, kiedy nalewała mu drugą filiżankę.

- Cała przyjemność po mojej stronie - odparła z uśmiechem. - Aha, dzwoniła Sara - dodała. - Podejrzewa, że Katie ma wietrzną ospę.

- Trudno. Kilka krost i do wesela się zagoi.

- Tak, ale łan panikuje. Wiesz, jacy są lekarze, kiedy ktoś z ich rodziny zachoruje.

- Wiem. Sam jestem lekarzem.

Roześmieli się oboje.

- Pamiętasz, jak Sara spadła z huśtawki i złamała rękę? „Złamałam rękę, tatusiu. Nastaw mi.” To ty bardziej potrzebo-
wałeś pomocy niż ona.

- Doskonale pamiętam. Tak się trząśłem, że bałem się małą dotknąć, i w końcu ty musiałaś unieruchomić jej ramię... Mam nadzieję, że ten chłopak przeżyje. To zawsze taka strata, umierać tak młodo. Czasami myślę, że jestem już za stary do takiej pracy, zbyt uczuciowy. Chirurg powinien wy-
zbyć się uczuć.

- Gdybyś wyzbył się uczuć, nie byłbyś takim wspaniałym chirurgiem - powiedziała Elizabeth. - Pacjenci mają do ciebie zaufanie. I słusznie.

- Zastanawiam się, co nim powodowało?

- Co? Och, szybka jazda... Jak zwykle.

- Nie o nim mówię, ale o tym samobójcy. Taki straszny czyn, odebrać sobie życie...

- Mhm, dla niego to wyzwolenie od trosk, ale dla jego najbliższych... dla rodziny to dopiero początek. Żał mi ich.

Fiona z trudem otworzyła oczy. Miejsce obok było puste i zimne. Wzdrygnęła się lekko, chociaż nie z tęsknoty za Andrew. Ta strona ich pożycia bardzo dawno, właściwie wkrótce po narodzinach Daniela, stała się nudną rutyną.

Nie, to nie jego intymnej bliskości było jej brak.

Ostatnio Andrew zachowywał się bardzo dziwnie. Zresztą, nawet w najlepszym okresie ich małżeństwa nigdy nie był skory do rozmów i nie tolerował cienia sprzeciwu wobec swoich decyzji... swoich dyktatorskich dekretów, jak Rory zaczął buntowniczo nazywać postanowienia ojca. Fiona z całym siłą opierała się wysłaniu dzieci do szkoły z internatem, chociaż doszła ostatnio do wniosku, że może i lepiej się stało. Przecież gdyby chłopcy mieszkali w domu, musieliby wyczu-

wać, jaka zła atmosfera tu panuje... jakie napięcie... że ojciec jest wciąż poirytowany.

Podczas ferii Andrew ostatecznie stracił cierpliwość do Rory'ego. Dlaczego, do cholery, ten chłopak nie dba o ubranie, pomstował. Czy nie zdaje sobie sprawy z tego, ile wszystko kosztuje? A ona? Dlaczego nie dopilnuje, żeby synowie bardziej szanowali swoje rzeczy i dlaczego, do diabła, pozwala, żeby tak potwornie hałasowali? Nie dość, że on haruje blisko dwadzieścia cztery godziny na dobę, żeby mieli wszelkie luksusy, jakich zapragną? A wszystko, czego chce w zamian, to odrobina świętego spokoju, dom, do którego mógłby bez wstydu zaprosić kolegów i klientów. Inne żony, czyniły jej gorzkie wymówki, są o wiele lepszymi gospodyniami.

Fiona ugryzła się w język, żeby nie powiedzieć, iż inne żony prawdopodobnie zawsze dokładnie wiedzą, kiedy ich mężowie wrócą z pracy... lecz dziesięć lat małżeństwa nauczyło ją, że wszelkie dyskusje z Andrew są daremne, kiedy jest zdenerwowany.

Nie dość, ryczał, że flaki sobie wypruwa, żeby ona miała jeden z najdroższych i najokazalszych domów w okolicy, co rok nowy samochód i żyła na takiej stopie, że wszyscy przyjaciele jej zazdroszczą?

- On tego nie robi dla nas, tylko dla siebie - skomentował któraś z podobnych kłótni Rory, kiedy Andrew z hukiem wypadł z domu.

Fiona doskonale wiedziała, że chłopiec ma rację, niemniej kazała starszemu synowi zamilknąć. Przyjaciele? Jacy przyjaciele, zastanawiała się później. Nie mieli przecież żadnych prawdziwych przyjaciół, utrzymywali kontakty jedynie z ludźmi, którzy mogli okazać się dla Andrew użyteczni... z ludźmi, którym albo on chciał zaimponować, albo którzy imponowali jemu. Jej jedyną prawdziwą przyjaciółkę traktował z góry, twierdząc, że ani ona, ani jej mąż, nie dorównują im finansowo.

Tak, status był dla Andrew rzeczą bardzo ważną. Nie było dla niej tajemnicą, na przykład, że mimo iż Andrew nie pominał żadnej okazji, aby krytykować jej brata lub jego żonę, w głębi duszy zżerała go zazdrość o Roberta. Zazdrość i gorycz, że dzięki małżeństwu z Lidią szwagier wszedł do świata, który był dla niego zamknięty.

Robert ożenił się z Lidią tylko z powodu jej powiązań rodzinnych i pieniędzy, oświadczył kiedyś.

Fiona nie podejmowała dyskusji. Bo po co? Czyż Andrew nie ożenił się z nią z tych samych dokładnie powodów? I czyż ona, w głębi serca, nie wiedziała o tym? Wiedziała i nie chciała słuchać cichego wewnętrznego głosu błagającego ją desperacko, aby się zastanowiła, co czyni.

Ale wtedy była zbyt wściekła, aby się zastanawiać. Zbyt wściekła, zbyt dumna i zbyt ciężko zraniona. Skoro było jasne, że nic sobą nie przedstawia, że nic nie jest warta jako osoba, że jest takim zerem, że nawet nie dano jej szansy, aby mogła się określić, mogła po prostu stać się tym czym rodzice, a w szczególności ojciec, chcieli, aby była. Dziewczyną, która niejako automatycznie poślubi mężczyznę pokroju Andrew... inną Fioną.

Jej Fiona, Fiona, którą sobie wymarzyła, przestała istnieć, dawno temu została unicestwiona, nie miała siły walczyć o przetrwanie... zabrakło miłości, która trzymała ją przy życiu.

Miłość.

Między nią i Andrew zdecydowanie nie było miłości.

Andrew i Robert znali się ze szkoły. Robert był synem najbardziej znanego i najbogatszego biznesmena w okolicy, Andrew jedynakiem, późnym dzieckiem podstarzałych rodziców. Oboje oni, jak podejrzewała Fiona, zarówno ojciec, naukowiec, interesujący się wyłącznie swoimi książkami i zbiorami skamielin, jak i matka, nieśmiała, cicha kobieta bojąca się własnej matki, nigdy nie otrząsnęli się z szoku wywołanego

faktem spłodzenia potomka tak różniącego się od nich pod względem poglądów i ambicji.

Typowe dla niego było na przykład to, że gdy Robert został mianowany prezesem rodzinnego przedsiębiorstwa, którego właścicielem był wuj Lidii, Andrew z zazdrości natychmiast zaczął zabiegać o miejsce w zarządzie swojej firmy.

Kiedy jego starania spełzły na niczym, zrobił coś, czego Fiona najmniej się spodziewała - nagle złożył wypowiedzenie i kupił własną firmę, własną prezesurę.

Fiona jeszcze do dziś pamiętała swoje zdumienie, kiedy ją informował o tych poczynaniach. Pamiętała jego usta wykrzywione goryczą, nieodmienną zapowiedź wybuchu, wprawiającą ją w jeszcze większe przerażenie.

- Oczywiście, gdyby ta stara prukwa nie wykorkowała i nie zostawiła mojej doli jakiemuś firecykowi, w ogóle nie musiałbym pracować!

Fiona nie odezwała się. Nie widziała sensu w przypominaniu mężowi, że jego cioteczna babka Maud miała absolutne prawo zapisać majątek komukolwiek chciała, nawet jeśli tym kimś okazał się prawie dwumetrowy Nowozelandczyk, włóczęga, który pewnego dnia zapukał do jej drzwi w poszukiwaniu sezonowej pracy i został na całą zimę, żeby ją, starą kobietę, pielęgnować, gdy upadła i złamała nogę w biodrze. Wnuk tymczasem trwał w nieświadomości i dowiedział się o wszystkim dopiero po śmierci staruszki. Zdumiony, ogarnięty potworną złością, oskarżył dwudziestodwuletniego Toma Forstera o to, że był kochankiem jego ponad osiemdziesięcioletniej ciotecznej babki Maud Knighton i że podstępem pozbawił spadku jego, najbliższego kuzyna zmarłej.

- Jak ona mogła coś takiego zrobić... mnie... naszym synom...? - powtarzał, kiedy razem z Fioną wyszli od adwokata.

- Może gdybyśmy ją częściej odwiedzali... - zasugerowała Fiona ostrożnie.

- Co? Tłuc się aż do Northumberland? Jakim cudem? Wiesz, że nie mogłem zarywać pracy.

Andrew zagroził, że będzie dochodził swych praw na drodze sądowej, że się postara, aby babcię uznano za osobę nie w pełni władz umysłowych, a Nowozelandczyka oskarży o wymuszenie spadku. Jednak ku zaskoczeniu i uldze Fiony, Tom Forster dyskretnie i bez emocji zaproponował podział pozostałego po Maud majątku pół na pół.

Andrew oczywiście nie chciał się zgodzić. Uparł się, iż sam fakt wysunięcia takiej propozycji dowodzi, że przybędą wie, że przegrałby w każdym sądzie, lecz i ojciec Fiony, i Robert wymusili na nim zgodę na przyjęcie oferty.

Robert zaczął bowiem żywić ambicje polityczne i niezwykle zależało mu na tym, aby zarówno jego życiorys, jak i życiorysy całej jego rodziny były bez skazy. Żenująca kłótnia szwagra z Nowozelandczykiem opisana na pierwszych stronach brukowców potrzebna mu była jak zającowi dzwonek na polowaniu.

Fiona, zawsze bardzo wyczulona na reakcje ojca, zauważyła, jak w wyniku tej afery zdystansował się od zięcia, lecz podejrzewała, że Andrew tego nawet nie spostrzegł. Uczucia i opinie innych zawsze leżały poza sferą jego zainteresowań.

Po tych wszystkich biadoleniach, jaki to ciężki los ich czeka teraz, kiedy otrzymali zaledwie połowę spadku, Fiona nie spodziewała się, że mąż wyda chociażby niewielką część pieniędzy. Wydał jednak nie tylko część, przypomniała sobie nagle, ale całość, oraz dodatkowo zaciągnął kredyt w banku. Przypomniała sobie również, jak się chwalił, ile mu pożyczyci, jak podkreślał, że wysokość tej sumy świadczy, iż cenią sobie jego i jego wyczucie w interesach. Jej natomiast zrobiło się słabo na myśl o tym, ile są winni.

- Na miłość boską - wykrzyknęła. - Czy uda ci się kiedykolwiek spłacić taką sumę?

Zbył ją wówczas śmiechem i powiedział, że nie ma zieleni.

nego pojęcia o biznesie, z pogardą dodając, że te sprawy przerastają możliwości jej ptasiego mózdzku.

- Twój ojciec miał rację - kpił. - Cała wasza genetyczna inteligencja przypadła w udziale twoim braciom.

Fiona wdrygnęła się. Całe życie przytłaczała ją świadomość, iż rozczarowała rodziców. Woleli kolejnego syna zamiast córki, a kiedy okazało się, że ta pod względem intelektualnym nie dorównuje na dodatek obu braciom, cały wysiłek wychowawczy skupili na starszych dzieciach. Czuła, że oświadczyzny Andrew przyjęli z ulgą. Miała wówczas zaledwie dziewiętnaście lat, była niedoświadczona, nie wiedziała, jaką drogę życiową obrać.

- Nie chcę, żeby moja żona pracowała - oznajmił jej Andrew zaraz po ślubie. To on miał zarabiać na utrzymanie domu i rodziny. Nie podobały mu się te przebojowe nowoczesne kobiety odrzucające swoje powołanie żon i matek.

W pierwszą rocznicę ślubu подарował jej bransoletkę wyśadzana brylantami.

- Dla mojej ślicznej grzecznej dziewczynki - powiedział, a potem kochał się z nią, nie pozwalając zdjąć prezentu z przegubu. Nasycił się szybko, gwałtownie, sprawiając jej ból i nie dając żadnej satysfakcji. Kiedy uniosła powieki, spostrzegła, że nie patrzy na nią, lecz na klejnot.

Włożyła bransoletkę na urodzinowy obiad, na który, zgodnie z życzeniem Andrew, zaprosili jej rodziców. Cały czas czuła nudności i ból głowy. Była już wówczas w pierwszych tygodniach ciąży, chociaż sama jeszcze o tym nie wiedziała.

Andrew zezłościł się na nią, ponieważ suflet, który kazał jej przygotować, opadł. Widziała, jak usta męża zaciskają się w wąską linijkę.

Nie, Andrew nigdy nie posuwał się do rękoczynów, lecz nie znosił najmniejszych nawet zamachów na swą pozycję. Jej nieumiejętność przygotowania idealnego sufletu zachwiała ową pozycją. Nie zadowolili ją jego ambicji, aby jako żona

zawsze i wszędzie stanowić zwierciadlane tło dla jego sukcesów... autorytetu... potężnego ego.

Kiedy przyszedł na świat dzieci, sytuacja nie zmieniła się. Miały przynosić mu chlubę. Zawsze.

Niestety, Andrew nigdy nie był łatwym człowiekiem we współżyciu, chociaż nikt z zewnątrz o tym nie wiedział. Mówiono jej, że poślubiając go, wygrała los na loterii. Był dobrym mężem, twierdziła jej rodzina... dodając z uznaniem, że dobrze się spisał jako ojciec.

Ostatnio jednak bywał coraz bardziej zdenerwowany, najmniej drobiazg doprowadzał go do furii. Potrafił w jednej chwili robić jej wymówki, że zbyt dużo wydaje na dom albo na nowe rośliny do ogrodu, a w następnej oznajmiać, że kupuje nowy samochód albo że zafundował im luksusowe wakacje.

Kiedy oszołomiona protestowała przeciw takiemu brakowi konsekwencji, pouczał ją, jak istotne jest utrzymywanie pozorów.

Pozory... Tak, pozory były dla Andrew najważniejsze. Czy to nie dlatego właśnie postanowił wziąć ją za żonę? Może nie należała do najbystrzejszych, ale przynajmniej miała urodę, jak powiedział jej raz ojciec z lekceważeniem.

Uroda...

- Dlaczego chcesz się z tobą ożenić? Bo cię kocham, moja ty śliczna - powiedział Andrew, kiedy prosił o jej rękę. A kiedy się zaręczyli, wyznał: - Nie mogę się doczekać, kiedy się tobą pochwałę przed wszystkimi znajomymi.

Tak, pomyślała Fiona, Andrew uwielbiał się z nią pokazywać publicznie. Przy takich okazjach nawet jakby bardziej lubił jej towarzystwo niż w domu.

Śliczna.... Och, jakże ona zniecierliła to słowo!

Przed dom zajechał jakiś samochód. Fiona wyszła z domu, wstała, sięgnęła po szlafrok. Jedwabny... prezent gwiazdkowy od Andrew.

- Na pobyt u Ronaldsonów - powiedział, wręczając jej go

z uśmiechem. - Żal mi biedaka. Jego żona jest tak straszliwie przeciętna, doprawdy monstrum.

- Ale on ją kocha - odparła Fiona spokojnie.

- Nie bądź głupia. Jak facet może kochać kobietę o takim wyglądzie! Ożenił się z nią dla forsy; to nie tajemnica.

Samochód parkował na podjeździe. Otwierając drzwi sypialni, Fiona zmarszczyła czoło z namysłem. Silnik auta brzmiał inaczej niż najnowszy jaguar Andrew.

Z początku, kiedy Andrew zaczął coraz później wracać do domu, pomyślała, że związał się z jakąś kobietą. Zdziwiła się wówczas, jak mało ją obchodzi jego ewentualny romans. Później jednak odkryła, że on po prostu tyle pracuje.

Zaczęła się martwić, niemniej kiedy spróbowała z nim porozmawiać, zbył ją.

- Na miłość boską, dość mam na głowie bez twojego gderania - opędzął się poirytowany. - Zostaw mnie w spokoju, dobrze? Ta cholerna recesja...

- Skoro sytuacja jest taka zła, może powinniśmy sprzedać dom - zaproponowała - albo zabrać chłopców z internatu...

- Co...? Ty idiotko! Równie dobrze mogłabyś dać anons do „Timesa”, że plajtujemy... Kompletnie zgłupiałaś? Potrzebne mi teraz jeszcze tylko, żeby ludzie stracili do mnie zaufanie! A tracą, jeśli wystawię dom na sprzedaż.

W poprzedni weekend odwiedzili brata Fiony. Robert i Andrew zagraли w golfa, a tymczasem ona z Lidią siedziały, prowadząc zdawkową rozmowę o niczym. Panowie wrócili sypięci. Andrew natychmiast oświadczył, że jadą do domu.

Nie żałowała, że wychodzą. Z Robertem nigdy nie łączyły jej specjalnie bliskie stosunki, bardziej zaprzyjaźniona była z drugim bratem, Michaelem. Lidii nie lubiła od samego początku.

Jeśli to Andrew, to dlaczego nie wchodzi, zdziwiła się teraz. Pewnie zapomniał kluczy, pomyślała i zeszła na dół. Kiedy otworzyła drzwi i zobaczyła przed domem radiowóz policyjny, zeszywniała.

- Pani Ryecart?

Policjant zrobił krok do przodu. Towarzyszyła mu policjantka. Oboje mieli poważne, skupione twarze.

- Możemy wejść?

Wiedziała... natychmiast się domyśliła, że Andrew nie żyje, ale sądziła, że miał wypadek, a nie że... że sam odebrał sobie życie.

Policjanci starali się przekazać jej tragiczną wiadomość w sposób jak najbardziej łagodny. Andrew znaleziono w jego samochodzie... silnik włączony... niestety, na jakąkolwiek pomoc było za późno.

Samobójstwo.

- Czy chciałyby pani, żebyśmy kogoś zawiadomili... rodziców męża...?

Fiona potrząsnęła odmownie głową.

- Zrobię pani herbaty - zaofiarowała się policjantka. - To dla pani szok.

Samobójstwo.

Zaczęły nią wstrząsać konwulsyjne dreszcze.

Bolesna spuścizna

1

- Mamo! Paul wciąż siedzi w łazience i nie chce mnie wypuścić!

Sally zatrzymała się na półpiętrze. Podniosła skarpetkę, którą upuściła, schodząc poprzednim razem z naręczem brudów do prania. Skrzywiła się. Po wczorajszym dniu pracy bolał ją krzyż.

- Pospiesz się, Paul - rozkazała i mocno zastukała w drzwi łazienki.

- Doskonale wie, że idę do Jane. Przez niego się spóźnię - skarżyła się płaczącym tonem Cathy.

- Nie spóźnisz się - uspokajała ją Sally. - Paul zaraz wyjdzie.

- On to robi specjalnie. Nienawidzę go! - oświadczyła dziewczynka z pasją.

Sally skończyła właśnie wkładać rzeczy do pralki, kiedy Paul zjawił się w kuchni. Czy on nigdy nie przestanie rosnąć? - pomyślała na widok syna. Nowe džinsy, które kupiła mu miesiąc temu, już były kuse.

- Gdzie tata? - spytał chłopiec.

- Jeszcze nie wrócił.

Odkąd Joel dowiedział się o samobójstwie Andrew Rycarta, zachowywał się jak kłębek nerwów i trudno było z nim wytrzymać. Sally wiedziała, że mąż martwi się o posadę, ale to nie powód, aby wyładowywać złość na nich.

- A mówił, że wróci wcześniej - utyskiwał Paul. - Obiecał zabrać mnie na ryby.

Sally zacisnęła zęby. To już nie pierwszy raz Joel robi coś takiego. Zaledwie tydzień temu pokłócili się o to, że zapomniał o umówionej wizycie u jej siostry i poszedł z kolegami grać w snookera.

- Ty się z nią umawiałaś, nie ja - replikował, kiedy na niego natarła.

- Ktoś musiał - nie ustąpiła. - Gdyby zostawić te sprawy tobie, miesiącami nikogo byśmy nie widywali.

- Zapomniałem - przyznał, traktując całe zajście, jak gdyby nie miało istotnego znaczenia. Nie chcąc kontynuować kłótni przy dzieciach, Sally nabrała wody w usta, lecz w środku aż kipiała ze złości.

I wciąż była na niego wściekła, kiedy, wróciwszy wieczorem, zaczął jej opowiadać o meczu snookera. Po prostu wyszła z pokoju. Później, w łóżku, odwróciła się do niego plecami, a gdy wyciągnął rękę i dotknął jej piersi, znieruchomiała w niemej odmowie.

O to też się kłócili. Przyciszonymi, nabrzmiałymi złością głosami, żeby nie obudzić dzieci. Były już starsze i zaczynały interesować się seksem, szczególnie Cathy. Kilka miesięcy przedtem, po powrocie ze szkoły spytała, czy Sally i Joel wciąż odbywają ze sobą stosunki.

- Cóż, przynajmniej nie miałaś kłopotu z odpowiedzią - burknął Joel, kiedy mu powtórzyła rozmowę z córką.

Zachmurzyła się na wspomnienie ich dalszej wymiany zdań.

- Podejrzewam, że dostarczyła ci jeszcze jednej wymówki - ironizował. - Nie chcesz, żeby dzieciaki słyszały, tak? Nie bój się, nie mają czego słyszeć.

- Joel, masz bzika na punkcie seksu - broniła się. - Nie można z tobą dyskutować, bo ty każdą rozmowę, obojętnie na jaki temat, obracasz w kłótnię o seksie.

- Może dlatego, że na kłótniach się kończy - odparł ze złością.

A przecież nie zawsze tak było... Oczywiście, że nie zawsze. Tuż po ślubie, albo kiedy się tylko poznali...

Była wówczas nieśmiała, nieopierzona czternastolatka, tym bardziej bojaźliwa, że dopiero niedawno zamieszkała z rodzicami w nowej okolicy. W szkole czuła się wyizolowana, a koleżanki, wyczuwając jej bezbronność i samotność (starsza o siedem lat siostra była już dorosłą dziewczyną), obrały ją sobie za ofiarę.

To właśnie Joel stanął w jej obronie. Dwa lata starszy, wysoki, ciemnowłosy, dobrze zbudowany chłopak robił wrażenie bardzo pewnego siebie i Sally instynktownie do niego łgnęła.

Joel miał czwórkę rodzeństwa, dwie starsze siostry i dwóch młodszych braci, bliźniaków. Ich dom, bezładnie prowadzony przez roztargnioną i całkowicie pozbawioną aurytetytu matkę, stanowił takie przeciwieństwo funkcjonującego niczym szwajcarski zegarek domu Sally, że dziewczynka, zafascynowana, natychmiast przywiązała się do tamtej rodziny. Ojciec Joela był krewkim olbrzymem zarabiającym na życie dorywczymi zajęciami, od prowadzenia kiosku warzywnego do pomagania w zaprzyjaźnionym pubie. Było w nim coś z Cygana, zarówno w wyglądzie jak i w stosunku do życia. Szeptano, że matka Joela popełniła mezalians. Fili-granowa, bujająca w obłokach, kompletnie niezaradna, traktowała swoje dzieci w taki sposób, jak gdyby do końca nie wierzyła, że sama je urodziła.

Najstarsza córka była dla swojego rodzeństwa bardziej matką niż siostrą, a szesnastoletni Joel, ponad wiek dojrzały, stał się dla Sally idolem i opoką.

Po ukończeniu szkoły ich drogi rozeszły się. Joel zaczął uczyć się zawodu, Sally zaś wstąpiła do szkoły pielęgniar-skiej. Do ponownego spotkania doszło dzięki wspólnej znajomej.

Wpadli sobie w oko od pierwszego wejrzenia, lecz Joel

nie nalegał, aby rozpoczęli współżycie. Spodobało jej się to. Dowodziło wstrzemięźliwości... i szacunku wobec jej osoby.

Z początku rodzice nie sprzyjali ich małżeństwu. Matka żywiła cichą nadzieję, że młodsza córka wyjdzie za lekarza i Sally musiała wysłuchiwać peanów na temat męża Daphne, nauczyciela, inteligenta.

Teraz i rodzice, i teściowie już nie żyli, a liczne rodzeństwo Joela opuściło miasteczko w Lancashire, gdzie przyszli na świat i się wychowali. Jediną osobą z rodziny mieszkającą w pobliżu była więc Daphne, która nie pominęła żadnej okazji, aby dać siostrze odczuć swoją wyższą pozycję społeczną. Daphne i Joel nigdy nie darzyli się sympatią i Sally doskonale wiedziała, jak bardzo jej mąż irytuje się, kiedy ona odwiedza tamten dom.

- O co chodziło tym razem? - dopytywał się, kiedy Daphne wezwała siostrę, aby pochwalić się przed nią nowym urządzeniem kuchni.

- O nic - odparła Sally, lecz później, rozejrzawszy się po własnej kuchni, zaczęła nagle porównywać ją z tamtą i cały dom z o wiele większym domem Daphne.

Kiedy jakiś czas potem Joel zobaczył prospekty mebli kuchennych, które Sally zgromadziła, twarz mu natychmiast stężała.

- Kuchnia? - wybuchnął. - Zwariowałaś, Sal? Widziałaś te ceny?

Kłótnia, która potem nastąpiła, była jedną z najzacieklejszych w ich całym małżeńskim życiu.

- Mógłbyś postarać się o pożyczkę na wyposażenie domu - nalegała. - Tak właśnie zrobili Daphne i Clifford. Mogłabym zarobić na spłatę rat, biorąc dodatkowe dyżury...

- Wykluczone - przerwał jej Joel. - Nie stać nas na to i nie życzę sobie...

- Nie stać nas było również na nowy samochód dla ciebie

i garaż - powiedziała Sally rozgoryczona. - Ale je w końcu masz.

Widząc zbiegające kąciki jego ust, natychmiast zorientowała się, że powiedziała za dużo, mimo to trwała w uporze i nie cofnęła swych słów.

- Skoro już mam harować na twój samochód, mogę wziąć jeszcze kilka nadgodzin i zapracować na coś dla siebie.

Joel nic nie odpowiedział, lecz wyraz jego twarzy, jego wzrok, sprawił, że Sally przygryzła nerwowo dolną wargę. Później jednak poczucie winy ustąpiło irytacji. Dlaczego ma odczuwać wyrzuty sumienia? Bo chce mieć nową kuchnię? Czy to tak wiele? Niestety, duma i poczucie godności własnej były dla Joela ważniejsze od żony. Tak przynajmniej zaczęła odtąd uważać.

W końcu Joel ustąpił i dostała swoją nową kuchnię. Oczywiście szafki nie były dokładnie takie same jak drogie, zamówione u stolarza meble Daphne. Joel montował wszystko sam, pracując wieczorami i w weekendy, a kiedy pewnego ranka wróciła z nocnego dyżuru, stwierdziła, że wcale się nie kładł, żeby szybciej skończyć.

Uśmiechnął się do niej szeroko i szczęśliwie jak dziecko, kiedy zaprosił ją, aby podziwiła dzieło jego rąk, potem objął ją mocno i pocałował.

Pachniał drewnem, farbą i potem, a rozpiekająca go radość przypominała jej chłopaka, jakim był, kiedy się poznali.

Kuchnia była wspaniała. Dokładnie taka, jaką sobie wymarzyła. Sally nie protestowała więc, kiedy Joel, szepcząc jej do ucha, zaproponował, aby dla uczczenia końca pracy, spróbowali odegrać jedną z erotycznych scen z *Fatalnego zauroczenia*.

Paul włożył kurtkę i otworzył drzwi do ogródka.

- Dokąd się wybierasz? - spytała, wracając myślami do rzeczywistości.

- Do Jacka - odparł chłopak. - Taty jeszcze nie ma, a i tak już za późno na ryby.

Sally pozwoliła mu iść do kolegi, czuła jednak, jak narasta w niej złość na Joela. To nie w porządku, że on zawsze myśli tylko o sobie i zwała wszystkie obowiązki domowe na nią.

Kiedy nie pracowała zawodowo, nie narzekała, że musi zajmować się domem i dziećmi, ale teraz...

- To rzuć pracę - oznajmił jej zaledwie przed tygodniem, kiedy wróciwszy z dyżuru, zastała wszędzie bałagan, a męża przed telewizorem.

- Wiesz dobrze, że nie mogę - zaprotestowała. - Potrzebne są nam pieniądze.

- Jestem gotowa, mamusiu - głos córki ponownie wyrwał ją ze świata wspomnień.

Sally zmusiła się do uśmiechu, kiedy Cathy weszła do kuchni.

- Dobrze, kochanie. Zawiozę cię, i pamiętaj, że tatuś po ciebie przyjedzie.

- O ile nie zapomni... - mruknęła do siebie dziewczynka.

- Pojedziemy w przyszłym roku na Florydę? Prawie wszyscy z mojej klasy już byli, tylko ja nie.

- Wycieczka na Florydę to olbrzymi wydatek, Cathy...

Sally nie powiedziała Joelowi, że już postanowiła regularnie odkładać coś ze swojej pensji na osobnym rachunku wakacyjnym. Tak by chciała zabrać dzieci do Disneylandu! Jeszcze kilka lat i będą za duże, a teraz to by była dla nich taka frajda. Warto się tego i owego wyrzec, i gdyby co miesiąc oboje odkładali po tyle samo...

- Nie zapomnij - przypomniała córce, zatrzymując samochód przed domem koleżanki. - Z nikim nie wychodź, czekaj na tatusia.

- Dobrze już, dobrze. Nie jestem malutkim dzidziusiem - odparła Cathy, przewracając oczami.

Wyglądem Cathy przypominała babkę ze strony Joela, blondynkę. Nie odziedziczyła gęstych ciemnych włosów matki i na szczęście bardzo rzadko w jej oczach pojawiał się ten

zacięty wyraz, który ostatnio tak często przysłaniał ciemnobrazowe oczy Sally.

Przy całym fizycznym podobieństwie Cathy miała silniejszy charakter od matki Joela i chociaż ani ona, ani Paul nie wykazywali śladu nieprzeciętnej inteligencji, jaką Daphne przypisywała swojemu Edwardowi, oboje dawali sobie radę w szkole na tyle dobrze, że Sally mogła być z nich w duchu bardzo dumna.

Miło wreszcie mieć cały dom dla siebie, stwierdziła, otwierając drzwi. Nie miała jednak zamiaru napawać się tym rzadkim luksusem. W przeciwieństwie do Joela nie potrafiła zasiąść przed telewizorem i zapomnieć o otaczającym ją bałaganie.

Na posadzce w łazience leżał stos mokrych ręczników; ktoś zapomniał zakręcić butelkę z żelem pod prysznic, która przewróciła się w brodziku, a jej zawartość cienką, perłowo opalizującą strużką powoli wyciekała na marne...

- Powinnaś zmusić dzieci, żeby ci bardziej pomagały - pouczała ją Daphne, która wpadłszy niespodziewanie któregoś dnia, zastała młodszą siostrę przy generalnym sprzątaniu.

- Tak samo jak ty zmuszasz Edwarda? - spytała Sally złośliwie.

- No, ale Edward to wyjątkowe dziecko. Przy jego poziomie inteligencji wymaga wciąż nowych bodźców intelektualnych, inaczej się nudzi. Poza tym on ma wrodzone zamiłowanie do porządku. U twoich trzeba dyscypliną wyrobić poczucie odpowiedzialności za pewne obowiązki domowe. Rozumiem, że w waszej rodzinie to trudne... Gdyby Joel miał inny charakter... Clifford jest pod tym względem wprost cudowny. Nawet mu do głowy nie przyjdzie, by usiąść i czekać, aż ja wszystko zrobię... Cóż, te rzeczy wynosi się z domu, prawda? A rodzina Joela... - machnęła ręką - lepiej nie mówić...

Daphne nie chciała być nieuprzejma, uważała, po prostu, że z racji starszeństwa może sobie pozwolić na krytykowanie Sally i jej trybu życia.

- To snobka - pewnego razu stwierdził krótko Joel i Sally w głębi duszy przyznała mu rację, jednak ponieważ chodziło o jej rodzoną siostrę, uznała za swój obowiązek jej bronić.

Spojrzała na zegarek. Miała jeszcze pół godziny do wyjścia.

Dokończyła sprzątanie łazienki, wyjęła jedno pranie z pralki, włożyła do bębna kolejne. Sypialnie Cathy i Paula wyglądały jak po trzęsieniu ziemi, ale nie ugięła się. Dzieci doskonale wiedziały, że utrzymywanie porządku we własnych pokojach to ich sprawa.

Co z Joelem? Zła na niego napisała szybko kilka słów na kartce, przypominając, że ma odebrać Cathy i że nie dotrzymał obietnicy danej Paulowi.

To chyba miło być mężczyzną i nie musieć martwić się o domowe sprawy, bo jest ktoś, kto zadba o wszystko, pomyślała Sally. Cóż, ja nie jestem w takiej luksusowej sytuacji i jeśli w ciągu najbliższych pięciu minut nie wyruszę, przełożona nie omieszkła wypomnieć mi, że każda chwila spóźnienia oznacza, że albo ktoś inny musi wykonywać moją pracę, albo chorzy pozostają bez nadzoru... Siostra przełożona miała hyzja na punkcie punktualności, lecz czy można było mieć o to do niej pretensję? Gdyby mnie udało się tak wytreścić Joela, jak ona potrafiła wyćwiczyć wszystkie pielęgniarki na oddziale! - westchnęła w duchu.

Joel zmęczony otworzył drzwi z tyłu domu. Z kuchni zionęło chłodem i pustką, zupełnie inaczej niż z pełnej dzieciaków kuchni zapamiętanej z dzieciństwa.

Odsunął od siebie te skojarzenia. Nikt nie mógłby zarzucić Sally, że jest złą matką, wręcz przeciwnie. Trzęsła się nad Paulem i Cathy niczym kwoka. Psuła ich, jasno dawała do zrozumienia, że ich potrzeby stawia na pierwszym miejscu... Przed jego potrzebami.

Na widok kartki na stole zmarszczył brwi.

„Jedź po Cathy.”

A tak chciałby usiąść i zrelaksować się, spokojnie pomyśleć o tym wszystkim, co się dzieje w pracy.

Żałoga zdawała sobie sprawę z tego, że samobójstwo Andrew to cios w firmę. Już od miesięcy było wiadomo, że osiągają coraz gorsze wyniki. Nikt co prawda dokładnie nie wiedział, co teraz będzie, lecz wszyscy się obawiali kolejnej redukcji etatów albo nawet zwolnień grupowych.

Koledzy przychodzili do niego jak do majstra, oczekiwali wyjaśnień, zapewnień, że jakoś w końcu będzie, lecz on nie mógł im ich udzielić. Pogłębiało to jeszcze jego frustrację. Oprócz niepewności o własne jutro miał poczucie, że zawodzi swoich ludzi, że nie otrzymując odpowiedzi na swoje pytania, rozczarowują się co do niego.

Próbował dostać się do dyrektora, lecz błada, chuda dziewczyna, jego sekretarka, tylko kręciła głową i nie dopuszczała go do szefa.

A teraz wraca do pustego domu i zastaje suchy oskarżycielki list od Sally, że nie zabrał Paula na ryby, jak było umówione. Czy ona nie rozumie, że sytuacja jest bardzo poważna? Przecież próbował uprzedzić, że się spóźni, ale telefon był ciągle zajęty.

Cały dzień nic nie jadł, lecz wcale nie był głodny. Jeszcze raz przeczytał kartkę i spojrzął na zegarek. Pora jechać po Cathy.

- Przyjechałem po córkę - powiedział Joel, stając w progu.

Matka Jane, pulchna blondynka z agresywnym makijażem, uśmiechnęła się do niego odrobinę nazbyt znacząco i powiedziała:

- Szcześciara z tej Cathy. Wstąpi pan na drinka? - zapro-

ponowała. - Znajdzie się też coś do zjedzenia - dodała, słysząc głośne burczenie dochodzące z pustego żołądka Joela.

- Dziękuję, ale nie mogę zostać. Sally czeka z kolacją - skłamał.

- Och... a ja myślałam, że ma dziś nocny dyżur. - Blondynka wydeła usta, jej oczy zwięziły się w błękitne szparki.

Joel nigdy nie lubił ryzyka związanego z flirtami, lecz wyraźna zachęta ze strony gospodyni i bijący od niej erotyzm sprawiły, że uświadomił sobie ostry kontrast pomiędzy zachowaniem się tej kobiety i reakcjami Sally.

Odczuwał głód intymnych stosunków z żoną, lecz ostatnio ona jak gdyby nie chciała tego zauważać. Czasami miewał wrażenie, że nie opuściła go jeszcze tylko z przyzwyczajenia oraz dlatego, że zapewnił jej dom, że mają dzieci, że łoży na ich utrzymanie. Z pewnością nie dlatego, że chce nadal z nim żyć.

Dla Sally dzieci są ważniejsze od niego. O wiele ważniejsze. Nie miał co do tego żadnych wątpliwości.

- W wakacje Lindsay Roberts była w Disneylandzie. Wszystkim opowiadała - relacjonowała Cathy, kiedy wracali do domu. - Kiedy my pojedziemy, tato? Wszyscy z mojej klasy już byli.

- Nie przesadzaj, Cathy - uciął ostro. Może zbyt ostro, pomyślał, gdyż paplająca w podnieceniu dziewczynka nagle zamilkła, wydeła wargi, a jej oczy zabłyszczały od tłumionych łez.

- Dlaczego jesteś taki skąpy, tato? - spytała ze złością. - Mamusia chce, żebyśmy pojechali.

- Nie jestem skąpy, Cathy... Widzisz, ja...

Urwał. Jak powiedzieć piętnastolatce, że w obecnej sytuacji nie tylko ludzie, których stać na wakacje w Ameryce, ale nawet tylko ci, którzy mają z czego spłacać hipotekę, są szczęściarzami.

- Jesteś... I zapomniałeś, że obiecałeś Paulowi pójść

z nim na ryby - powiedziała Cathy. - Chciałabym mieszkać w takim dużym domu z ogrodem, jak rodzice Lindsay... - rozmarzyła się nagle.

Joel zacisnął zęby. To nie jej wina, mówił do siebie w duchu. Świat jest teraz bardziej materialistyczny, nic dziwnego, że dzieciaki mają same roszczenia.

- A ciocia Daphne dobudowuje sobie nową łazienkę. Słyszałam, jak opowiadała mamie...

W domu zastali już Paula. Joel zaczął się zmęczonym głosem usprawiedliwiać, lecz chłopak nawet nie słuchał.

- W porządku, tato... I tak nie miałem specjalnej ochoty - burknął arogancko.

Joel nigdy nie potrafił znaleźć wspólnego języka z synem. Zawsze uważał, że Sally mu zbyt pobłaża, pozwala na więcej, niż jemu było wolno w tym wieku. Nie przypominał sobie, żeby jego matka poświęcała mu tak wiele czasu. Sally natomiast chuchała na Paula i trzęsła się nad nim do tego stopnia, że kiedy chłopiec był jeszcze bardzo mały, Joelowi się czasami zdawało, że jego własna żona nie lubi, żeby on, mąż i ojciec, dotykał swego synka.

- Jesteś dla niego zbyt surowy, to jeszcze dziecko - protestowała, kiedy karcił Paula.

- Tato, mama kazała ci powiedzieć, że w lodówce jest zapiekanka na kolację - odezwała się Cathy i dodała: - Ale ja nie będę jadła.

- Ja też nie - rzucił Paul.

Joel zamknął z powrotem lodówkę. Zabrzęczał telefon. Dzwonił majster z innego działu w fabryce.

- Wskoczysz na kufelek, Joel? - spytał.

Joel stłumił westchnienie.

- Nie mogę - powiedział bezbarwnym tonem. - Sally jest na dyżurze i muszę siedzieć z dziećmi.

- Kiedy dorosnę, nigdy nie będę miała dzieci - oświadczyła Cathy, kiedy ojciec odłożył słuchawkę. - I będę miała

furę pieniędzy, i będą jeździła do Ameryki tak często, jak mi się spodoba.

- Daj spokój, Cathy... - zaczął Joel, lecz zamilkł. Czy jest sens? Jak jej to wszystko wytłumaczyć?

Później, kiedy dzieci poszły spać, chodził niespokojnie po pokoju, zbyt podminowany, aby usiąść i oglądać telewizję. Nikt dokładnie nie wiedział, jaki będzie dalszy los fabryki, lecz cokolwiek by to było, Joel już miał przeczucie, że nic dobrego ich nie czeka.

Jako chłopak odczuł na własnej skórze skutki niefrasobliwego stosunku ojca do tak zwanej małej stabilizacji, osiadłego trybu życia i pewnej posady; matce też w zasadzie nie przeszkadzało, że bywały takie tygodnie, kiedy w domu nie było nic do jedzenia.

- I nie zapomnij zawsze poprosić o dokładkę - instruowała go jedna ze starszych siostr, Beth, kiedy rozpoczynała naukę w szkole.

Jeszcze przed ślubem z Sally obiecał sobie, że jego dzieci nigdy nie poznają upokorzenia i podobnej biedy, że nigdy nie będą cierpieć skutków tego rodzaju braku odpowiedzialności ze strony rodziców.

Trzy lata temu, kiedy Sally nieśmiało zaczęła napomykać o trzecim dziecku, zdecydowanie potrząsał głową i próbował wyjaśnić jej swój punkt widzenia. W pół roku później poddał się sterylizacji.

Czyżby mu się tylko wydawało, czy naprawdę po zabiegu Sally zaczęła tracić zainteresowanie nim jako partnerem. Jak gdyby teraz, kiedy nie mógł jej dać dziecka, kiedy nie mógł spełnić swojej biologicznej funkcji w jej życiu, już go nie pragnęła...

A jeśli straciłby pracę i nie mógłby również pełnić roli żywiciela, czy też by go odrzuciła?

Poszedł do kuchni i zaparzył herbatę, w roztargnieniu zostawiając brudną butelkę po mleku na blacie.

Któryś z robotników powiedział dzisiaj:

- Co, do diabła, zrobimy, jak zamkną tę budę? Nie mamy gdzie iść. Nie w tym mieście.

- Słusznie - Joel przyznał mu rację. - W tym mieście nie znajdziemy roboty. Przemysł maszynowy bardzo ucierpiał z powodu recesji.

Włączając telewizor i natychmiast go wyłączając, stwierdził w duchu, że najbardziej ze wszystkiego pragnął, żeby Sally była teraz w domu i wysłuchiwała, co go trapi.

Ostatnio jednak nigdy nie miała czasu go wysłuchać, a potem skarżyła się, że to on z nią nie rozmawia...

Jako majster coraz bardziej angażował się w rolę mediatora między robotnikami a zarządem. Kiedy zlikwidowano pracę w nadgodzinach i ludzie poczuli się bici po kieszeni, to właśnie do niego zaczęli przychodzić ze skargami, że trudno im związać koniec z końcem.

Jechał dokładnie na tym samym wozie co oni, ale ponieważ był ich przełożonym, czuł, że nie może im powiedzieć, żeby dali mu święty spokój, bo ma swoje problemy na głowie.

Nigdy nie chciał, żeby Sally pracowała i nie musiałaby podejmować pracy, gdyby nie był takim durniem i nie wziął pożyczki na nowy samochód... a potem ona zamarzyła sobie meble w kuchni, takie jakie miała jej siostra...

Żadne z nich nie wiedziało wtedy, jak bardzo podskoczy oprocentowanie kredytów i teraz, nawet spłacając raty z dwóch pensji, wciąż mieli potężny dług w banku. Wtedy jednak wydawało się, że warto zaryzykować, a noc, kiedy Sally wróciła do domu, a on kończył akurat montować szafki... Już dawno nie kochali się w taki sposób, dawno nie czuł, jak przy każdym dotknięciu jej ciała drży z podniecenia i pożądania. Tamta noc była naprawdę wspaniała. Czuł się szczęśliwy... bezpieczny... niczym król panujący nad swoim całym intymnym światkiem.

W sześć tygodni później w fabryce wprowadzono skróco-

ny czas pracy. Sally oświadczyła, że skoro Joel tak narzeka, że musi płacić tyle rat za wyposażenie kuchni, ona sama zapracuje na ten dług.

Nie dało się już cofnąć gniewnych słów wypowiedzianych w panice wywołanej drastyczną obniżką jego pensji.

A poza tym Sally miała racje. Bez pieniędzy, które ona przynosiła do domu, nie daliby sobie rady.

Ta świadomość bolała go bardziej, niż gotów był przyznać. Próbował powiedzieć Sally to wszystko, ale ona po prostu nie chciała go słuchać.

Zmieniła się, odkąd wróciła do szpitala. I chociaż sama nie chciała tego przyznać, oddaliła się od niego, dawała mu odczuć, że stał się dla niej mniej ważny.

- Ty masz szczęście - powiedział mu dziś jeden z robotników. - Przynajmniej twoja stara ma pracę.

Szczęście. Gdyby oni wiedzieli, co to za szczęście!

Idąc korytarzem szpitalnym, Sally nuciła cichutko do siebie. Praca na oddziale chirurgicznym męskim zawsze sprawiała jej przyjemność. Zachęcona uśmiechem Kennetha Drummonda zatrzymała się przy jego łóżku. Ten czterdziestoletni wykładowca uniwersytecki doznał bardzo ciężkich obrażeń w wypadku samochodowym i podczas jego długiego pobytu w szpitalu miała okazję całkiem dobrze go poznać.

W ciągu pierwszych krytycznych tygodni, kiedy przebywał na oddziale intensywnej opieki medycznej, Sally pracowała na nocnej zmianie. Pomiędzy takimi pacjentami a pielęgnującym ich personelem zawsze zawiązuje się głęboka zażyłość. Sally nie raz miewała uczucie, że to tylko dzięki jej wysiłkom Kenneth trzyma się jeszcze przy życiu i niechętnie schodziła z dyżuru w obawie, że bez niej podda się i wątpiąca go z tym światem zostanie zerwana.

Tego rodzaju uczuć nikt poza pielęgniarzkami nie potrafi

zrozumieć i nawet nie ma sensu tego od ludzi wymagać. A już Joel z pewnością nie czynił najmniejszego wysiłku w tym kierunku.

- Słyszała siostra nowiny? - odezwał się Kenneth widząc, że Sally też uśmiechnęła się do niego.

- Tak. W środę, prawda? Pewnie cieszy się pan, że opuszcza wreszcie te mury?

- Prawdę mówiąc, nie za bardzo. - Uśmiech zniknął z twarzy mężczyzny. - Powiem szczerze, odczuwam nawet lekki strach. Nie, bynajmniej nie dlatego, żebym nie ufał w efekty wysiłków waszego chirurga - dodał pośpiesznie. - Zapewnił mnie, że włożył we mnie tyle szpil i bolców, że mógłbym udźwignąć wieżę Eiffla. Nie, to nie w tym rzecz.

- Ma pan prawo czuć się trochę niepewnie - uspokajała go Sally. - To całkiem naturalne.

- Mhm. Ale tu chodzi o coś innego. Będę z siostrą całkiem szczerzy. Boję się samotności. Chyba nie powinienem się do tego przyznawać, prawda? - To mówiąc, uśmiechnął się krzywo. - To takie niemęskie. My, mężczyźni, mamy być twardzi, nie wolno nam się przyznawać do słabości... dopóki nie znajdziemy się w sytuacji takiej jak tutaj. Podziwiam, że siostry nas znoszą. Słuchanie, jak płaczą w poduszkę, musi zachwiać wysoką opinią, jaką kobiety mają o mężczyznach.

- Nie zawsze jest nam łatwo - przyznała Sally. - To okropne uczucie patrzeć bezsilnie na cierpienie. Ale to nic w porównaniu z tym, co można usłyszeć na oddziale położniczym - zażartowała, chcąc wprowadzić pacjenta w lepszy nastrój. - Oczywiście to mężczyznom się najgorzej dostaje. Biada pielęgniarzowi, który usiłuje przypomnieć rodzącej, że wystarczy tylko prawidłowo oddychać, a wszystko pójdzie jak z płatka...

- Tak. Zawsze podejrzewałem, że kobiety o wiele odważniej i z większym stoicyzmem znoszą ból niż my, mężczyźni.

- Niekoniecznie - zaprzeczyła Sally. - Rodząc Cathy,

przeklinałam Joela, mojego męża, i wszystko na czym świat stoi. Później przysięgłam sobie, że nic mnie nie zmusi, żebym jeszcze kiedyś przechodziła takie tortury. - Uśmiechnęła się do siebie na tamto wspomnienie.

- Siostra ma dwoje dzieci, prawda?

- Tak. Chciałabym mieć trzecie, ale... - zamilkła. Nie poznawała siebie. Nie lubiła się nikomu zwierzać, a co dopiero pacjentom. - A pan ma dzieci? - spytała.

W ciągu tych wielu miesięcy Kenneth Drummond dużo z nią rozmawiał, nigdy jednak nie wspomniał o rodzinie.

- I tak, i nie. Jesteśmy z żoną rozwiedzeni. Ona wyszła powtórnie za męża i obecnie mieszka w Australii. - Słuchając go, Sally zauważyła zmianę w wyrazie jego twarzy. - Obawiam się, że nie byłem ani dobrym mężem, ani ojcem. Pobraliśmy się młodo, zaraz po studiach. Rebecca była w ciąży i oskarżała mnie, zresztą chyba słusznie, o to, że jej kariera naukowa się skończyła, jeszcze zanim miała szansę się rozpocząć. W owych czasach aborcja nie była wyjściem z sytuacji, tak samo jak samotne wychowywanie dziecka. James, nasz drugi syn, był owocem prób naprawiania naszego małżeństwa. Rozstaliśmy się jeszcze przed jego narodzeniem. Obaj synowie są teraz dorośli... poza tym traktują drugiego męża swojej matki jak prawdziwego ojca, mają zresztą do tego pełne prawo... Śmieszne by było, gdybym rozpaczał teraz, że wracam do pustego domu, skoro stało się tak w istocie wskutek mojego świadomego wyboru.

- I nie ma pan nikogo... dalszej rodziny, przyjaciół, kogoś, kto by przyszedł i pomógł panu przez tych kilka pierwszych dni? - spytała Sally zatroskana. Kenneth Drummond szybko wracał do zdrowia, o wiele szybciej, niż można się było na początku spodziewać. Minie jednak jeszcze kilka miesięcy, zanim będzie mógł swobodnie poruszać się na pościelanej nodze.

- Nie bardzo... - Pacjent wzruszył ramionami, dobrze

umiętnionymi dzięki ćwiczeniom rehabilitacyjnym. - Koledzy z uniwersytetu zrobili już i tak więcej, niż mogli. Nie bardzo mogę oczekiwać, aby poświęcili mi jeszcze swój czas. Chyba mam szczęście, że w moim zawodzie to - dotknął nogi - nie oznacza utraty posady. Szczęście, że w ogóle mam jeszcze nogę - dodał poważniejąc.

- To prawda - przyznała Sally.

Kiedy go przywieziono, obrażenia były tak ciężkie, że istniało niebezpieczeństwo, iż lewą nogę trzeba będzie amputować.

- Wie siostra... ten wielotygodniowy pobyt w szpitalu miał i swoje dobre strony. Kiedy minie bezpośrednie zagrożenie, człowiek spostrzega, że nagle ma czas pomyśleć o tych wszystkich sprawach, które zawsze spychał w najgłębsze zakamarki świadomości, odsuwał od siebie, a potem unikał ich odrzebywania, tłumacząc się brakiem czasu. Odkryłem teraz, że nadmiar obowiązków jest cudowną wymówką, żeby nie zajmować się własnymi problemami emocjonalnymi. Kiedy żona oskarżała mnie o egoizm, o to, że żyję we własnym świecie, uważałem, że nie ma racji. Przecież jej nie opuściłem w potrzebie, prawda? Ożeniłem się z nią, zapewniłem jej i rodzinie dom... Dopiero leżąc tutaj, zrozumiałem jej punkt widzenia. To prawda, byłem egoistą.

Umilkł, obserwując efekt swoich słów. Pełne zrozumienia i współczucia spojrzenie Sally dodało mu odwagi.

- Jestem ogromnym pedantem - ciągnął. - Lubię czystość i porządek. To się pewnie wiąże z tym, że jestem jedynakiem. Rebecca była moim całkowitym przeciwieństwem i kiedy narzekałem, że małe dziecko wywraca dom do góry nogami, odpowiadała, że nie ma czasu podołać wszystkiemu. Podejrzewam, że moja irytacja wpływała częściowo z tego, że ona stawiała syna na pierwszym miejscu... przede mną. Zawsze uważałem, że to ona straciła wiarę, że to przez nią, przez jej romans z innym mężczyzną, rozpadło się nasze małżeństwo.

- Znowu umilkł i spojrzął na Sally oczami pełnymi bólu.
- Och tak - dodał po chwili - na to czas znalazła. Przespanie się z nim było o wiele atrakcyjniejszym zajęciem od sprzątnia czy zmywania... Wiem, nie powinienem jej obwiniać.
- Potrząsnął głową. - Teraz dopiero rozumiem, że sam nigdy nie zaangażowałem się dostatecznie w nasze wspólne życie. Rodzina to obowiązki, odpowiedzialność... Wzięłem je na barki dla pozoru, bo tak należało się zachować, pokazać przed ludźmi. Prywatnie odwróciłem się od nich i czas, który należało poświęcić im, poświęciłem pracy, a w konsekwencji - sobie, budowaniu poczucia własnej wartości, własnego ego. Czy bardzo źle mnie osądzisz, Sally - zwrócił się nagle do niej po imieniu - jeśli ci powiem, że było bardzo wiele, bardzo wiele takich wieczorów, kiedy celowo wyszukiwałem sobie dodatkowe zajęcia, byle tylko nie iść do domu; że przedkładałem ciszę i spokój gabinetu nad hałas, bałagan i chaos naszego domu?

- Nie - odparła Sally szczerze. Jak mogłaby powiedzieć coś innego, skoro sama doskonale знаła to uczucie lęku przed powrotem do domu, chociaż w jej przypadku źródło tego lęku było inne.

- Oczywiście, nigdy nie powinniśmy brać ślubu. Nie pasowaliśmy do siebie, tak naprawdę nawet się specjalnie nie lubiliśmy. Nie byłem tym mężczyzną, którego chciała, czego dowiodła, zostawiając mnie. Jej kochanek posiadał wszystkie cechy, których ja nie miałem...

Sally westchnęła cicho, ze współczuciem, a Kenneth umilkł na moment i posłał jej melancholijne spojrzenie.

- Och, nie zazdroścę mu... nie zazdroścę niczego. Nigdy mnie nie pociągał ten typ samca-zdobywcy... Cóż, odkryłem przed siostrą swoje wnętrze - zakończył.

Sally zarumieniła się lekko i odwróciła głowę. Kenneth był tak różny od Joela, pod każdym względem. Jej mąż nigdy nie mówiłby o sobie tak otwarcie, nigdy nie zdradziłby sekret-

nych uczuć przed nikim, nigdy nie ujawniłby żadnej cechy, która mogłaby pokazać go w złym świetle. Jak mężczyzna, z którym odeszła żona Kennetha, Joel był typem samca-zdobycy.

Kenneth był łagodniejszy... cieplejszy. Posmutniała, a widząc to, jej rozmówca odezwał się cicho:

- W pani jest wszystko to, co powinna mieć kobieta, Sally. To wszystko, co mężczyzna pragnie w niej odnaleźć...

Sally bąknęła coś zażenowana, lecz Kenneth potrząsnął tylko głową.

- To prawda. I jeszcze jedno - dodał, patrząc jej prosto w oczy. - Będzie mi bardzo, bardzo brakowało ciebie i naszych rozmów...

- Wszystkim pacjentom z początku brak ich pielęgniarek - powiedziała Sally jakby nie swoim głosem.

- Aha... w ten taktowny sposób dajesz mi do zrozumienia, że wszyscy pacjenci rodzaju męskiego podkochują się w pielęgniarkach - replikował żartem. - To prawda. W moim przypadku to jednak coś więcej niż zadurzenie się. Cóż, Sally, całe szczęście, że masz szczęśliwą rodzinę i opiekuńczego męża, który niczym tarcza chroni przed chmurą pacjentów zadrezczających cię wyznaniem o swojej dozgonnej miłości.

Uśmiechnął się, jego oczy pozostawały jednak poważne. Oczy... Wstrzymała oddech.

Może i lepiej, że wypisują go do domu, doszła do wniosku pół godziny później, kiedy rozpoczynała przerwę.

Na widok brudnej butelki po mleku pozostawionej na blacie w kuchni Sally zmieniła się na twarzy. W zlewku leżały trzy torebki po zaparzonej herbacie, a wokół nich, na wypucowanej przez nią samą przed pójściem na nocny dyżur powierchni, utworzyła się brązowa plama. Obok stał kubek. Nieumyty. Sally zacisnęła wargi, jedną ręką zgarnęła saszetki.

drugą odkręciła kurek z ciepłą wodą. Słyszając na schodach kroki Joela, nie odwróciła głowy.

Po dźwiękach zorientowała się, że ma na sobie kaptcie, co oznaczało, że jeszcze się nie ubrał i jest w piżamie... co z kolei oznaczało... Poczowała nagły skurcz w żołądku, całe jej ciało napięło się w proteście, kiedy Joel zaszedł ją z tyłu, otoczył ramionami i przytulił policzek do jej karku.

- Czy musisz robić z domu chlew? - zaatakowała go.

- Jest sobota. Zostaw to wszystko i chodź na górę. Połóż się, po całej nocy na pewno jesteś zmęczona - szepnął Jod.

- Zbyt zmęczona na to, co masz na myśli - ucięła, odsuwając się od niego, z ulgą czując, jak wypuszczają z objęć.

- Na miłość boską, czy już nie wolno mi cię dotknąć? Co się z tobą dzieje?

- Nic się ze mną nie dzieje - odparła, odwracając się ku niemu. - A co do twojego dotykania... tobie w głowie tylko seks, seks i seks. Dlaczego dla odmiany nie pomyślisz o moich potrzebach, co? O tym, na przykład, że nie chcę wracać do domu, który wygląda jak...

- To tylko jedna butelka, Sal - znużonym głosem próbował z nią dyskutować. - Zgoda, powinienem ją umyć, ale szczerze ci powiem, że miałem tyle spraw na głowie...

- Ty zawsze masz jakieś sprawy na głowie, szczególnie wtedy, kiedy obiecujesz wrócić wcześniej i zabrać Paula na ryby - przerwała mu ze złością. - Zrzucasz mi, że poświęcam im zbyt dużo czasu, a czyja to wina? Gdybyś ty spędził z nimi choć chwilę...

- Oni nie chcą mojego towarzystwa... oni... - zaczął, lecz na widok miny Sally zająknął się. - Próbowałem telefonować, ale było zajęte. To pewnie twoja siostrzyczka chwaliła ci się nową łazienką...

- Skąd wiesz?

- Cathy mi powiedziała. Wygląda na to, że nasz dom przestał jej odpowiadać. Jaśnie panienka chce mieszkać w willi z ogrodem. Kiedy przed nią narzekasz, może powinnaś wytłumaczyć jej, że gdybyś znalazła sobie męża takiego jak mąż ciotki Daphne, wówczas miałyby większe szanse na tę willę - dodał z goryczą.

- Och, Joel, przestań użalać się nad sobą - odparła Sally rozgniewana. - Gdybyś zobaczył niektórych chorych, dopiero byś... - urwała widząc, że się zagalopowała. Nie powinna porównywać Joela z Kennethem Drummondem. To niełojalnie i głupio. Czyżby? - Posłuchaj, Joel. Miałam ciężką noc i jestem wykończona. Ubierz się i pojedź po zakupy, dobrze? Jest jeszcze wcześniej, mało ludzi...

- Racja. Pchanie wózka w supermarkecie odwróci moje myśli od seksu, seksu i seksu. O to ci chodzi, prawda?

Sally wzdrygnęła się, widząc tyle wyrzutu w oczach męża, nie miała jednak zamiaru ulegać. Nie da się zmusić do pójścia z nim do łóżka. Chce się dąsać, wolna wola...

Zaciskając zęby, odwróciła się tyłem do niego i nie zmieniła pozycji, dopóki nie usłyszała, jak wychodzi.

Joel z furią odkręcił kurek i puścił na siebie najsilniejszy strumień wody. Krople niczym grad spadały na jego skórę, masując całe ciało, przynosząc odprężenie. Wcale nie chciał się kochać z Sally, chciał ją tylko dotknąć... przytulić się do niej, zmusić, aby go zauważyła, wysłuchiwała jego tłumaczeń. Jakich tłumaczeń? Że się boi... Och, to dopiero by się jej spodobało. Ostatnią rzeczą, na którą znalazłaby czas, było słuchanie o jego kłopotach.

Nie powinnam okazywać mu tyle irytacji, mówiła do siebie w duchu Sally, nakrywając się kołdrą. Tak, postaram się to naprawić... ugotuję coś specjalnego, przekupię dzieci, żeby nam nie przeszkadzały, postaram się go wysłuchać i sama mu

wyłumaczę, czego od niego oczekuję, czego potrzebuję,
szczególnie teraz, kiedy chodzę do pracy.

Tak... później porozmawiamy. Później.

RS

Bolesna spuścizna

2

- Boże! Już całkiem zapomniałam, że w Londynie są takie straszliwe korki - westchnęła Debora. - A ty? Emma zapraszała na ósmą, żebyśmy mogli usiąść do stołu o ósmej trzydzieści. Jak sądzisz, zdążymy? - spytała i, nie czekając na odpowiedź, dodała: - Nie mogę uwierzyć, że to już półtora roku, kiedy ostatni raz się z nimi widzieliśmy. Ich przeprowadzka do Londynu uniemożliwiła częstsze kontakty.

Rzuciła okiem na Marka, który zaklął i mocno nacisnął hamulec, gdyż ktoś niespodziewanie zająchał mu drogę.

- A mówiłam, żebyś pozwolił mnie prowadzić w mieście - przypomniała mu niefrasobliwym tonem. - Wiesz, że jestem lepszym kierowcą od ciebie.

- Chciałaś powiedzieć: bardziej agresywnym - odciął się.

- Nie agresywnym tylko asertywnym - sprostowała. - Tu chyba w lewo, Mark... Och, przegapiłeś! Teraz będziemy musieli zrobić całe koło. Naprawdę powinieneś... - zaczęła krytycznym tonem, widząc jednak, że Mark zacisnął tylko szczęki ze złości, urwała i zmieniła temat. - Wiesz, w piątek Ryan powiedział, że zostaniemy likwidatorami fabryki Killocoyne. Nie podają tego na razie do publicznej wiadomości, bo czekają, aż będzie po pogrzebie. Poza bankiem jest jeszcze cała kolejka wierzycieli. Nie na wiele jednak mogą liczyć. Wygląda na to, że bank bardzo sprytnie zabezpieczył swoje interesy...

- Gdzie mówiłaś, żebym skręcił? - przerwał jej ostro Mark.

Nigdy nie lubił prowadzić w mieście, nie znosił dużego

ruchu. Debora przeciwnie, uwielbiała ową przepychankę, ową zabawę w „kto pierwszy ten lepszy” i angażowała cały swój spryt, żeby przechytryć innych kierowców.

- No, no... Chyba nie zabłądziliśmy? - zażartowała, kiedy nareszcie dotarli pod adres podany przez Emmę. Zaciszny elegancki placyk, na którym się zatrzymali, wielkością i wytworną elegancją nie mógł wprawdzie konkurować z niektórymi bardziej sławnymi londyńskimi skwerami, było to jednak i tak bardzo ekskluzywne i kosztowne miejsce do zamieszkania. - Toby musi sobie nieźle radzić, jeśli stać ich na coś takiego - dodała, wysiadając z samochodu. - Emma mówiła mi, że ostatnio kupił udziały w spółce prowadzącej biuro rachunkowe. I, jak widać, ma wzięcie.

- Cóż, pewnie jest z niego zadowolona - skomentował Mark cierpko. - Zawsze miała aspiracje, żeby piąć się wyżej.

Debora spojrzała na niego zdziwiona.

- Jest ambitna, to wszystko... Chce, żeby Toby'emu się powiodło.

- Oczywiście, że chce, bo wówczas będzie mogła chwalić się przed znajomymi. A co z jej własną karierą? O ile mnie pamięć nie myli, miała opracowany dokładny plan, jak zdobyć pozycję i nazwisko w mediach.

- Cóż, bardzo dobrze jej szło, dopóki stacja, dla której pracowała, nie straciła koncesji. Od tamtej pory pracuje czasami w agencji reklamowej prowadzonej przez znajomą.

- Czasami...? W takim razie na pewno nie kupili tego domu z tego, co tam zarabia - stwierdził Mark, przyglądając się eleganckiej fasadzie kamienicy, przed którą stali.

Naciskając przycisk domofonu, Debora spojrzała na Marka z niepokojem. Zawsze taki spokojny i zrównoważony, zrobił się ostatnio kąśliwy i zrzędlawy, zupełnie nie podobny do siebie.

Emma osobiście pofatygowała się na dół i otworzyła im

drzwi. W tej drobnej, ruchliwej postaci o delikatnych rysach twarzy kryła się kobieta nieustraszona, o żelaznej sile woli. Nie była typem zdobywającym natychmiastową sympatię innych przedstawicielek swojej płci i w przeciwieństwie do Debory nie nawiązała wielu przyjaźni na uczelni. Deborę przebojowość Emmy bardziej bawiła, niż przerażała, często też przekomarzała się z nią na temat jej przywiązania do konwensów, przejawiającego się na przykład w tym, że prawie natychmiast po dyplomie doprowadziła do ślubu z Tobym, zamiast, jak Debora i Mark, zdecydować się na wspólne życie w wolnym związku.

Debora i Mark zostali, rzecz jasna, zaproszeni na tę ceremonię. Był to ślub jak z bajki, przynoszący chlubę arcytalentom Emmy jako taktyka i dalekowzrocznego stratega.

- No, no... naprawdę imponujące - Debora nie szczędziła wyrazów zachwyty, kiedy gospodyni wprowadziła gości do apartamentu. - Cale nasze mieszkanie zmieściłoby się w tym salonie i jeszcze zostałyby miejsce, prawda, Mark? - powiedziała, podziwiając kosztowne jedwabne story i tkany na specjalne zamówienie jasnobłękitny dywan. - Widać, że świetnie sobie radzisz - dodała, zwracając się do pana domu, kiedy ten podał jej drinka.

- Och, ja nie miałem z tym nic wspólnego - odparł Toby bez uśmiechu na twarzy. - Emma sama to wszystko sfinansowała z własnych pieniędzy.

Powietrze zaczęło nagle drgać od wysokiego napięcia. Debora poczuła, jak skóra jej cierpnie na głowie. Spojrzała bezradnie na Marka, który jednak wyglądał przez jedno z wysokich stylowych kien.

- Nie zwracajcie uwagi na Toby'ego - poradziła Emma, posyłając jednocześnie miazdzące spojrzenie mężowi. - Już mu mówiłam, że jeśli chce zachowywać się niczym nieznośny bachor - wolna wola.

Mimo staroświeckiego komfortu urządzonej antykami ja-

dalni i wyśmienitego menu, Debora z ulgą powitała koniec obiadu. Przez cały wieczór Emma i Toby prawie się do siebie nie odzywali, a jeśli już, to tylko po to, żeby sobie nawzajem dopiec. Toby bez przerwy robił aluzje do majątku Emmy, przeplatając je peszącymi uwagami pod jej adresem lub irytującym uzalaniem się nad sobą.

Po obiedzie, kiedy zabrał Marka do gabinetu, żeby pokazać mu nowy komputer, Debora pomogła Emmie sprzątnąć ze stołu i pozmywać drogą antyczną zastawę, na której jedli.

- Przepiękny - zachwycała się, ostrożnie wycierając półmisek.

- Sevres - pochwaliła się Emma. - Kupiłam ten serwis zaledwie miesiąc temu, a Toby już zdążył zbić jeden z talerzy. Zrobił to oczywiście naumyślnie. Nigdy nie podejrzewałam, że będzie się tak zachowywał. Jest taki dziecinny, wiecznie obrażony... Sama powiedz, dlaczego nie miałabym się cieszyć tymi pieniędzmi i kupować tego, na co mi przyjdzie ochota? Przecież babka zostawiła spadek mnie, nie nam. Jemu się chyba wydaje, że tylko dlatego, że jesteśmy małżeństwem... tylko dlatego, że on jest mężczyzną, powinien podejmować wszelkie decyzje finansowe i dysponować pieniędzmi. Bo do tego oczywiście wszystko się sprowadza. Był całkiem szczęśliwy, kiedy zarabiał więcej ode mnie, kiedy mógł zaskarbić sobie moją wdzięczność, kupując mi jakiś drobiazg, płacąc rachunki w restauracjach... Nie myśl, że to zdarzało się tak bardzo często - dodała niewesoło. - To właśnie druga cecha, jaką niedawno u niego odkryłam. Potrafi być niewiarygodnie skąpy. Weźmy na przykład ten serwis... Kiedy go kupiłam, przez trzy dni się do mnie nie odezwał. Nie mam pojęcia, o co mu naprawdę chodzi... Przecież dałam mu pieniądze na udział w spółce... Zgoda, tego mieszkania nie zapisałam na wspólne nazwisko, ale to tylko z rozsądku, Ty-le jest teraz rozwodów, prawda? - stwierdziła retorycznie. - Wiesz, on chyba uważa - po chwili podjęła przerwany wątek

- że ja celowo staram się go upokorzyć, nie kryjąc przed ludźmi, że to moje pieniądze. Nie uwierzysz, jaki potrafi być nieprzyjemny... Sama dzisiaj widziałas, jaką atmosferę wprowadza swoim żenująco dziecinnyim zachowaniem, prawda? Powiedziałam mu, że albo musi zaakceptować taki stan rzeczy, albo... - umilkła i wzruszyła ramionami.

- Rzuciłabyś go...? Odeszła? - spytała Debora wstrząśnięta.

- Dlaczego nie? Kobieta nie powinna trwać w związku, który już nie daje jej satysfakcji. Szczególnie kobieta niezależna finansowo, jak ja. Uprzedziłam go. Jeśli mu się nie podobają moje warunki, fora ze dwora. Znajdzie się mnóstwo mężczyzn gotowych zająć jego miejsce.

- Widzę, że nie nosisz pierścionka zaręczynowego - powiedziała Debora, wycierając ostatni talerz.

- Jakoś nie... Nigdy go specjalnie nie lubiłam. Odziedziczyłam po babce przepiękny stary pierścionek, który oddałam do renowacji i zmniejszenia. Chyba zacznę go nosić zamiast tamtego.

Debora zdziwiła się w duchu. Pamiętała, z jaką radością i triumfem Emma obnosiła pierścionek, który dostała od Toby'ego w dniu zaręczyn. Co prawda z jednym musiała się zgodzić, Toby naprawdę zachowywał się nierozsądnie i nielojalnie. Podczas obiadu dał bardziej niż wyraźnie do zrozumienia, jak nienawidzi odziedziczonego przez Emmę spadku.

- Miej się na baczności, Deboro - ostrzegła ją Emma, wcierając krem do rąk w dłonie. - Kiedy mężczyzna deklaruje, że traktuje cię jak równego sobie partnera, nie wierz mu. Bo to znaczy, że gotów jest udawać, że cię traktuje jak równą dopóty, dopóki on pozostanie równiejszy.

Może i niektórzy mężczyźni są tacy, myślała Debora, kiedy przyłączyły się do panów, ale Mark z pewnością do nich nie należy. Jedną z cech, która ją od początku w nim pociągała, był emanujący z niego spokój i zupełny brak zacięcia do

rywalizacji o pierwsze miejsce, która czasami stawiała się motorem jej działania. Debora była na tyle mądra, aby to wszystko dostrzec i docenić. Związek z jakąś pokrewną duszą byłby dla niej większym wyzwaniem, niemniej w końcu przez swoją intensywność i zaciętość zapewne sam by się wypalił.

Kochała Marka i podziwiała go za te wszystkie zalety, których sama nie posiadała. Ceniła jego inteligencję i pracowitość oraz całkowity brak dążenia do zdobywania i dzierżenia władzy. Mark ze swoim mocnym zrównoważonym charakterem stanowił przeciwagę dla jej impulsywności i niecierpliwości. Liczyła się z jego zdaniem i chociaż z obawy, że narazi się na drwiny, nigdy by tego przed nikim nie przyznała, a już na pewno nie przed Markiem, wciąż jeszcze wyróżniała go spośród innych znanych mężczyzn i stawiała, jeśli nie na piedestale, to z pewnością o wiele wyżej od takiego, na przykład, Ryana Bridgesa, swojego bezpośredniego przełożonego.

W ciągu dziesięciu lat pracy w firmie Ryan, dzięki makiawelicznej naturze, zamiłowaniu do intryg i żądzy władzy, z podlizującego się wszystkim stażysty stał się pełnoprawnym wspólnikiem, samodzielnie kierującym pionem przejmowania i likwidacji przedsiębiorstw. Okolicznością pomocną, co prawda, stało się sprytnie zawarte małżeństwo z córką jednego z najstarszych wspólników, zmarłego zaledwie kilka lat po przejściu na emeryturę.

W firmie powszechnie wiadomo, że Ryan nie waha się złamać przysięgę małżeńską, jeśli ma na to ochotę, niemniej jego romanse bywały z reguły krótkotrwałe i nieodmiennie kończyły się z chwilą, kiedy obiekt jego zainteresowań zaczynał interpretować okazywane sobie względy w kategoriach innych niż seks i zaspokajanie własnego ego.

Debora z jednej strony, wprawdzie niechętnie, niemniej podziwiała siłę przebicia i determinację szefa, z drugiej - doskonale wiedziała, że nigdy nie mogłaby być szczęśliwa z człowiekiem tego pokroju. Ryan mógł wygłaszać opinie

o równouprawnieniu kobiet, lecz były to tylko puste słowa. Tak naprawdę bowiem nie wierzył w wyższe kwalifikacje zawodowe przedstawicielek płci pięknej.

Nikt, kto nawet bardzo krótko przebywał w dziale Ryana, nie mógł nie zauważyć, że gustuje on w wysokich, długonogich młodych kobietach oraz że lubi nokautować ich inteligencję i trzeźwy rozsądek swoją męską zmysłowością.

Próbował tego i z nią, kiedy tylko zaczęła pracować w firmie, lecz dała mu bardziej niż jasno do zrozumienia, że nie jest zainteresowana. Od tamtej pory odnosił się do niej lekko żartobliwie, lekko protekcjonalnie.

Był mężczyzną niezwykle atrakcyjnym, w każdym znaczeniu tego słowa. Miał prawie metr dziewięćdziesiąt wzrostu, sylwetkę rugbisty, a ślady kontuzji na twarzy dodawały mu tylko urody. W wieku trzydziestu pięciu lat był tak zmysłowo przystojny, że czasami Debora miała wrażenie, iż nawet po wyjściu z pokoju pozostawia po sobie aurę męskości.

Stosunek Debory do Ryana nieustannie oscylował pomiędzy podziwem a wstrętem. Jako specjalistka od finansów, koleżanka po fachu, doceniała go i wszystko, do czego doszedł; jako kobieta...

Wzdrygnęła się i zwróciła teraz myśli ku dzisiejszym gospodarzom.

- Co za okropny wieczór - powiedziała do Marka, który właśnie uruchamiał silnik. - Biedna Emma, tak mi jej żal. Nigdy nie sądziłam, że Toby jest zdolny do takiego potwornego zachowania...

Mark spojrzał na nią ponuro.

- Co dokładnie masz na myśli mówiąc, że Toby zachował się potwornie? Moim zdaniem okazał godne podziwu opanowanie. Gdybym ja był na jego miejscu, chyba bym ją udusił, jeszcze zanim doszliśmy do głównego dania, a potem jeszcze roztrzaskał ten jej cholerny serwis w drobny mak. Boże, nie wiem, jak on to wszystko wytrzymuje. Jakby zaprzedał duszę

diabłu. Nie ulega wątpliwości, że w tym związku ona dzierży bat.

- O co ci chodzi? - spytała Debora poważniejąc. - Jej pieniądze, jej prawo nimi rozporządzać...

- Zgoda, jej pieniądze... Dobrze się postarała, żeby nam to wbić do głów. Boże, nigdy jeszcze nie widziałem faceta tak poniżonego, tak odartego z męskości. Biedaczysko zwierzył mi się, że teraz, kiedy idzie z nią do łóżka, czuje się jak ogier, któremu się płaci za seks. Powiedział, że bogactwo tak gruntownie ją zmieniło...

- Ogier? Toby? - Debora wybuchnęła gromkim śmiechem.

- Co w tym śmiesznego? - zgasił ją ostrym tonem Mark.

- Po prostu Toby... i ty... Nie jesteś typem ogiera...

Mark z furią zmienił bieg. Debora skrzywiła się. Zbyt późno spostrzegła, że go obraziła.

- Mark, nie myśl, że się skarżę... lubię cię takim, jaki jesteś - powiedziała przymilnym tonem i jednocześnie lekko poklepała go po kolanie. - Zbyt zmysłowi, zbyt natarczywi faceci nie mają u mnie żadnych szans. Im chodzi tylko i wyłącznie o własną satysfakcję. Własne ego przysłania im świat i nawet nie pomyśla o tym, czego kobieta mogłaby pragnąć.

- A tymczasem biedne, pozbawione seksapilu fajłapy, takie jak ja, muszą się wpierw dobrze upewnić, co i jak zrobić, żeby usatysfakcjonować partnerkę, o ile w ogóle jakaś zgodzi się pójść z nimi do łóżka... To chciałaś powiedzieć?

Debora spojrzała na niego zdumiona. Co go ugryzło? Zareagował tak, jak gdyby skrytykowała jego osobiście, a nie stosunki panujące pomiędzy Emmą i Tobym i wieczór spędzony w ich towarzystwie.

- Cóż, przynajmniej nadmiar pieniędzy nigdy nie będzie problemem, z którym byśmy musieli się borykać - powiedziała, posyłając Markowi szeroki uśmiech. - Nie posiadam bogatej babki, pragnącej zapisać mi w spadku cały...

- Problemem nie są pieniądze, ale sposób, w jaki Emma wykorzystuje je jako oręż w wojnie z Tobym - odparł Mark. - I sadystyczna przyjemność, jaką z tego czerpie. To jest dla mnie w tym wszystkim najobrzydliwsze...

- Mark! To nieprawda!

- Czyżby? - spytał ponuro. - A gdyby to była prawda, przyznałabyś mi rację czy powodowana kobiecą solidarnością wzięła stronę Emmy?

- To nie fair - zaprotestowała Debora. - Nigdy nie biorę strony kobiety tylko dlatego, że jest kobietą. Znasz mnie przecież!

- Masz rację, zwracam honor - powiedział. - Ostatnio trochę mnie nerwy ponoszą. Peter zdradził mi, że podczas zeszlotygodniowego zebrania wspólników znowu padały komentarze na temat spadku rentowności naszego działu. Zgadnij, komu dyskusja na ten temat sprawiała największą rozkosz?

- Ryanowi? - zaryzykowała Debora. - Cóż, nie możesz mieć mu za złe, że odnosi sukcesy. Wydzielenie osobnego pionu zajmującego się przejmowaniem przedsiębiorstw i upadłościami było jego pomysłem. Jest dobrym fachowcem, chociaż wiem, że potrafi być napastliwy.

- Inteligencji nie można draniowi odmówić.

- Nie. Należy go wręcz podziwiać za to, do czego doszedł - zgodziła się Debora.

- Chociaż nie za sposoby, jakimi się posłużył - dodał Mark.

- Nie, za sposoby nie - przyznała i stłumiła ziewnięcie.

- Wiesz, wciąż nie mogę uwierzyć, że Emma i Toby tak się zmienili. Zawsze sprawiała wrażenie, że Toby jest dla niej oparciem...

- Powój przerósł tyczkę. Teraz chce owinać mu się wokół szyi i udusić go. To chyba największa manipulorka, jaką znam. Nie zdziwiłbym się, gdyby okazało się, że zainscenizo-

wała dzisiejszą kolację tylko po to, żeby uzyskać pretekst do rozwoju.

- Jesteś niesprawiedliwy.

- Czyżby? Wiesz, że w ocenie ludzkich zachowań potrafisz być bardzo naiwna.

- Mhm... może, ale nie aż tak naiwna, żeby nie wiedzieć, jakie mnie spotkało szczęście, że mam ciebie - powiedziała czule i kiedy stanęli na światłach, przechyliła się w jego stronę i pocałowała go lekko. - Na widok Emmy i Toby'ego zrozumiałam to po raz nie wiem który. On był taki potwornie zawistny, tak ją... ich oboje, chciał poniżyć. Nie potrafię sobie nawet wyobrazić, żebyś ty był zdolny tak się zachować. Ty zawsze zachęcałeś mnie do ustawicznego kształcenia się, do rozwoju... sam mnie namówiłeś, żebym starała się o tę posadę, przekonywałeś mnie, że się nadaję... Zawsze byłeś w stosunku do mnie taki szlachetny, zarówno w sprawach zawodowych, jak i osobistych...

- Może to wszystko dlatego, że rola mentora daje mi owo poczucie wyższości, które tak lubię... - odparł, drocząc się z nią.

- Poczucie wyższości? Dobrze, dobrze, jeszcze zobaczymy... - przekomarzała się z nim ze śmiechem Debora, a Mark przechylił się, żeby ją pocałować i zaraz zaklął widząc, że światła się zmieniły i kierowcy z tyłu zaczęli głośnymi klaksonami go ponaglać.

Mmm - zamruczała Debora sennie - było cudownie.

Delikatnie i czule powiodła dłonią po plecach Marka, wciąż lekko wilgotnych od potu, potem przysunęła się bliżej, aby móc wdychać woń jego ciała.

- Hej - odezwał się, kiedy musnęła wargami wygięcie jego krzyża - wydawało mi się, że chciałaś dziś bardzo rano wyjść...

- Chciałam, ale chyba jeszcze nie jest rano - droczyła się z nim, przymilnie gładząc jego udo i łaskocząc brzuch.

Mark miał piękne, doskonale zbudowane ciało, zawsze sprawiające rozkosz wszystkim jej zmysłom. Stanowił przeciwieństwo Ryana, który był tak ostentacyjnie, tak przytłaczająco męski, że przekorna z natury Debora automatycznie włączała mechanizmy obronne.

Zmysłowość Marka była o wiele subtelniejsza i dla Debo-ry o wiele bardziej podniecająca. Był szczodrym kochankiem, na tyle doświadczonym, aby sam wiedzieć, jak zapewnić jej rozkosz, lecz jednocześnie nie na tyle zadufanym w siebie, aby obrażać się, kiedy okazywała mu, jak może tę rozkosz spotęgować.

Debora w miłości dawała z siebie wszystko. Była kobietą niezwykle atrakcyjną, a jednocześnie bardzo subtelną i wstydliwą, co odróżniało ją od innych przedstawicielek jej płci.

Niektórzy mężczyźni... mężczyźni tacy jak Ryan... uznawali to za niepokojące i irytujące wyzwanie. Mark jednak do nich nie należał. Szanował to, że obojętnie z jak gorącym zapamiętaniem oddawała mu się w łóżku, poza łóżkiem dominować zaczynała inna strona jej natury i Debora reagowała z natychmiastową odrazą na mężczyzn czyniących ciągle aluzje do seksu.

Debora sama się śmiała z tego dziwnego mariażu zmysłowości z pruderią, lecz nikomu poza Markiem nie wolno było śmiać się wraz nią. Nie uznając formalnego ślubu za warunek szczęścia, całkowicie wierzyła w monogamiczność związku mężczyzny i kobiety oraz w wierność partnerów. Nigdy jej przez myśl nie przeszło, że mogłaby zdradzić Marka, a gdyby to zrobiła, oznaczałoby to koniec ich związku. A gdyby on ją zdradził? Palce Debory przerwały erotyczną wędrówkę, a ona sama zapatrzyła się w ciemność.

Mark nigdy by mi tego nie zrobił, pomyślała, wie, jak wiele dla mnie znaczy. Wie, jak bardzo go potrzebuję, do jakiego stopnia jestem od niego uzależniona. On to wie, nawet

jeśli inni tego nie wiedzą. Wiąza nas nie tylko miłość i pożądanie, lecz ufność i szacunek, wspólne cele i ambicje, wzajemne zaufanie, wzajemne wsparcie...

Kiedy Debora była jeszcze dzieckiem, wyśmiewano jej nadmierny idealizm, nauczyła się więc skrywać swoją bezbronność, lecz Mark wiedział i doceniał to, jaka jest naprawdę.

- Jak wyglądam? - spytała chwilę później, kiedy w końcu zmusili się do opuszczenia łóżka.

- Świetnie - odparł Mark, nawet na nią nie spojrzawszy.

- Och, Mark! - rozgniewała się.

- O co ci chodzi? - odłożył maszynkę do golenia i odwrócił się w jej stronę.

- Nie zapomniałeś chyba? - protestowała.

- O czym?

- Że Ryan zaprosił mnie na lunch.

- Och, o tym - burknął - pewnie chce po raz kolejny czynić ci niedwuznaczne propozycje...

- Nie, wcale nie o to mu chodzi... Cały tydzień przy różnych okazjach napomykał, jak bardzo zadowolony jest z mojej pracy i jak dynamicznie rozwija się nasz pion. Chyba nadszedł ten wielki moment... Podejrzewam, że chce zrobić mnie kierownikiem sekcji, dać mi zadanie, na którym naprawdę można połamać zęby...

- Rzuci ci na pożarcie jakiegoś biednego bankruta. To miałas na myśli? Smacznego.

Debora spojrzała na niego zdumiona. W głosie Marka znowu zabrzmiała nie znana jej dotąd kąśliwa i gorzka nuta.

- Posłuchaj, wiem, że nie lubisz tej strony naszej działalności...

- Odłóżmy tę rozmowę na wieczór, dobrze? W tej chwili mam mnóstwo innych spraw na głowie. Mam niejasne powo-

dy podejrzewać, że nie tylko w waszym dziale szykuje się reorganizacja, z tym że my akurat znaleźliśmy się na dole huśtawki.

Debora zaniepokoiła się.

- O czym ty mówisz, Mark! Co się u was dzieje?

- Nieważne - zbył ją. - Jestem odrobinę podenerwowany, to wszystko. Powodzenia przy lunchu. Założę się o piątką, że będzie się do ciebie przystawiał.

Debora roześmiała się.

- Tak samo jak ty, zanim poszliśmy pierwszy raz do łóżka. Pamiętasz?

- O ile sobie przypominam, to ty wystąpiłaś z taką propozycją...

- Byłam na lekkim rauszu i nabrałam odwagi.

- Ale następnego dnia już całkiem na trzeźwo zadzwoniłaś z pytaniem, czy zaproszenie na obiad jest nadal aktualne - przypomniał jej, również się śmiejąc.

- Dobrze, niech twoje będzie na wierzchu. Znudziło mi się czekanie na twoją inicjatywę, ale nie przypominam sobie, żebyś kiedykolwiek odmówił...

Teraz już oboje śmieli się serdecznie. Mark pochylił się i pocałował Debore.

Tej nocy było nam ze sobą dobrze, myślała Debora, kończąc toaletę. Bardzo dobrze! Była szczęśliwa, że ta strona ich pożycia układa się tak harmonijnie; dawało jej to poczucie pełni, pełni jej kobiecości, pełni życia. Nie zniosłaby kochanka, który by ją zastraszał albo chciał nad nią dominować... kochanka, jakim z pewnością okazałby się Ryan... ani takiego, jakim Toby stał się dla Emmy.

- No więc? Wyglądasz dziś na bardzo zadowoloną z siebie. Dobrze się wczoraj bawiłaś?

Debora uśmiechnęła się lekko i odgarnęła za ucho pasemko krótko ostrzyżonych kasztanowych włosów.

- Całkiem dobrze. Byliśmy na kolacji u dawnych przyjaciół.

Doskonale się orientowała w strategii Ryana, lecz nie miała zamiaru dać się wciągnąć w tę grę.

Ryan przyprowadził ją na lunch do jednej z najbardziej ekskluzywnych i najdroższych restauracji w okolicy i nie uszło jej uwagi, że większość gości stanowiły pary.

- Miłe miejsce, prawda? - spytał. - Powinnaś zobaczyć pokoje na górze. Łoża pod baldachimami, same jedwabie i aksamity... bardzo zmysłowe... bardzo miłe w dotyku... bardzo romantyczne...

Debora z uporem milczała. Z doświadczenia wiedziała, że prędzej czy później Ryan straci zapał i przestanie ją nagabywać. Nie pomyliła się. Mniej więcej w połowie lunchu istotnie się zniechęcił.

- Podobasz mi się, Deboro - powiedziała - i podoba mi się sposób, w jaki pracujesz. Jesteś inteligentna, ambitna i wiesz, jak wydobyć z ludzi to, co w nich najlepsze... Wiesz, jak z ludźmi postępować, a to w tego typu pracy jak nasza niezwykle ważne. Mamy do czynienia z osobami bardzo podatnymi na ciosy, bardzo chwiejnymi i dlatego bardzo niebezpiecznymi... Widzisz, Andrew Ryecart mógł równie dobrze popełnić samobójstwo po przejęciu przez nas zarządu nad jego firmą, jak przed. Dla reputacji jego przedsiębiorstwa podobna wiadomość na pierwszych stronach gazet to jak gwóźdź do trumny. Słyszałaś, że to my zostaliśmy wyznaczeni na oficjalnego likwidatora?

- Słyszałam.

- Sprawa wygląda na skomplikowaną. O aktywach, nie warto nawet mówić, a na dodatek istnieją pogłoski o sprzeniewierzeniu funduszy firmy. Bank bardzo rozsądnie się zabezpieczył, dom jest sporo wart, plus oczywiście posesja... Nie sądzę jednak, abyśmy znaleźli kupca chętnego prowadzić dalej fabrykę, a udziałowcy nie dostaną wiele.

- A pracownicy?
- W następnej kolejności. - Ryan wzruszył ramionami.
- To będzie pierwsza sprawa do załatwienia na miejscu - wręczysz im wszystkim grupowe zwolnienia. Potem przejrzyś; rachunkowość i...

Z podniecenia serce Debory zaczęło walić jak młotem, lecz siłą woli opanowała emocje i spokojnym głosem spytała:

- Czy to znaczy, że mnie powierzasz tę likwidację?

Ryan odłożył nóż i widelec.

- A tego byś chciała? - odpowiedział lekko zaczepnym tonem.

Debora roześmiała się. Nawet teraz nie mógł powstrzymać się od flirtowania z nią.

- To byłby zdecydowanie krok we właściwym kierunku
- odparła skromnie.

- Mhm... I mnie się tak wydaje - zgodził się z nią.

Ostrożnie, Deb, ostrzegła się w duchu, dosłyszawszy w tej odpowiedzi ukrytą aluzję, lecz zanim zdążyła się odezwać, Ryan już opowiadał, co zamierza zrobić i kogo przydzielić jej do pomocy.

- To zadanie może wydawać się łatwe, co wcale nie znaczy, że takie będzie - ostrzegął. - Atmosfera na miejscu okaże się bardzo nieprzychylna. Wdowa po denacie nie ma najmniejszego pojęcia, o co chodzi. Nie zdaje sobie sprawy z tego, że wyląduje na bruku. Na szczęście część udziałów ma rodzina.

Do końca lunchu dyskutowali wyłącznie o szczegółach proceduralnych. Debora nie posiadała się z radości. Nie mogła się wprost doczekać, kiedy wróci do domu i oznajmi wspa- niałą nowinę Markowi. Umówili się, że w pracy nie będą się ze sobą kontaktowali, chyba że w sprawach czysto zawodowych, i dobrze wiedziała, co by powiedział, gdyby złamała tę regułę, nawet w tak ważnej kwestii jak ta. W przeciwieństwie do Ryana, Mark miał niezachwiane zasady.

- Dostaniesz oczywiście podwyżkę - rzucił Ryan, kiedy wychodzili z restauracji - i nowy samochód służbowy. Czym jeździ Mark? - spytał mimochodem. W roztargnieniu Debora powiedziała mu. Nie przywiązywała wagi do modeli aut.

- Aha, dobrze. Dostaniesz nowszy model, ale wiem, że znajdziesz balsam na jego zranioną męską dumę.

Debora spojrzała na niego zdumiona. Co on, u licha, insynuuje? Mark nie jest mężczyzną tego pokroju. Nie, Mark będzie tak samo uszczęśliwiony jej awansem, jak ona by była, gdyby role się zmieniły. W ich związku panuje absolutna równość i miłość, nie rywalizują ze sobą, lecz wspierają się i chronią nawzajem.

Mark... Mark... Och, nie mogła się doczekać wieczoru. Uczczą ten sukces... ale nie w drogiej restauracji, tylko w domu, we dwoje... w łóżku... Wracając samochodem Ryana do biura, rozmyślała o czekających ją rozkoszach.

Bolesna spuścizna

3

- Jeśli tata nie żyje, to czy to znaczy, że teraz będziemy mieszkać z tobą i chodzić do normalnej szkoły? - spytał Daniel.

Fiona przymknęła oczy pozwalając, aby wszechogarniające uczucie ulgi przeniknęło całe jej ciało. Podczas jazdy tutaj martwiła się, jak chłopcy zareagują na wiadomość o śmierci ojca. Teraz jednak, kiedy stała, obejmując synów, przytulając policzek do czupryny Daniela, zdała sobie nagle sprawę z tego, że dystans i brak zainteresowania, jaki Andrew zawsze okazywał w stosunku do dzieci, spowodował, że przyjęli jego śmierć ze spokojem.

Zawsze starała się łagodnie nakłaniać Andrew, aby spędzał więcej czasu z chłopcami, bardziej angażował się w ich życie, nie dopuścił, aby między nim i synami powstała przepaść. On jednak traktował jej obawy jako typowo kobiecą skłonność do przesady.

- Przyda im się szkoła z internatem - upierał się. - Zrobi z nich prawdziwych mężczyzn. Jesteś dla nich za miętka. Ciągłe ich tylko całujesz i przytulasz.

Reszta rodziny stanęła po jego stronie.

- Chłopcom potrzebna jest dyscyplina - wyrokował jej starszy brat, dodając z dezaprobatą: - Jesteś dla nich zdecydowanie zbyt pobłażliwa, Fiono. Jeśli nie będziesz uważać na to, co robisz, wychowasz parę...

- No? Dokończ - prowokowała go ze spokojem. - Może parę ciepłych, wrażliwych ludzi?

Później żałowała tego wystąpienia, szczególnie po tym, kiedy mijając otwarte drzwi biblioteki, usłyszała rozmowę brata z mężem.

- Na tym polega cały kłopot z Fioną - mówił Robert. - Zawsze miała skłonność do zbytniego ulegania emocjom. Cóż, kobietom wolno... I dzięki Bogu...

Słyszac protekcyjnalną nutę w głosie Roberta, Fiona zacisnęła szczęki, lecz lata wychowywania w zasadach, iż dziewczęta nie dyskutują ani nie tracą panowania nad sobą, że ładne dziewczęta, takie jak ona, powinny być wdzięczne losowi za urodę i nie psuć jej złością i kłótnią, przyniosły zamierzone efekty.

Często się zastanawiała, co powiedzieliby jej rodzice, gdyby nagle oświadczyła, że z ochotą zamieniłaby śliczną buzię na przywilej uzewnętrzniania swoich emocji i pragnień, jakim cieszyli się obaj jej bracia. Że jej blond włosy i błękitne oczy, drobna twarzyczka w kształcie serduszka i pełne usteczka, zgrabna kobieca figura i przypadek, że dzięki jakiejś tajemniczej kombinacji genów obdarzona została wiecznie młodym i ponętym wyglądem, wcale nie były cenionymi przez nią samą atrybutami, lecz ciężarem. Na ludziach robiła wrażenie jej powierzchowność, widzieli jej wygląd, nie osobowość, i to było dla niej najbardziej stresujące. Czuła się tak samo bezbronna i niedoświadczona, jak jakaś biedna brzydula. Pod śliczną powłoką ludzie nie dostrzegali charakteru, a nawet, podejrzewała, nie chcieli dostrzec. To ojciec najbardziej surowo narzucał jej rolę wzorowej, ładnej i uległej córki, chwalać ją przed dalszą rodziną i znajomymi za wygląd i ostro karząc, kiedy jej zachowanie nie licowało z modelem słodkiego posłuszeństwa.

- Oksford... czy oni powariowali? - wykrzyknął, kiedy dyrektorka ekskluzywnej szkoły dla dziewcząt napisała do niego list zawierający sugestię, że gdyby Fiona uczęszczała na lekcje uzupełniające, miałaby szansę zostać przyjęta na ten prestiżowy uniwersytet.

Później Fiona spostrzegła, że cenny czas potrzebny jej na dodatkową naukę zawsze się kurczył, gdyż nie zwolniono jej z żadnych domowych i rodzinnych obowiązków.

Rodzice nakładali na nią także i inne ograniczenia. Ojciec nie lubił kobiet zbyt pewnych siebie i hałaśliwych, kobiet posiadających i wygłaszających własne zdanie, kobiet samodzielnie kierujących własnym życiem.

Dorastając Fiona często była zła nie tylko na ojca, lecz także i na matkę, która zawsze brała jego stronę i zgadzała się ze wszystkim, co powiedział.

Jeszcze przed urodzeniem młodszego synka Fiona rozumiała, że jej małżeństwo było pomyłką, próbą ucieczki od rodziny. Tyle tylko, że ta ucieczka nie była wcale ucieczką, a dalszym pograżaniem się w roli narzuconej przez ojca. Lecz wówczas było już zbyt późno, aby cokolwiek zaradzić. Musiała dbać o dobro dzieci, a postawiła sobie za cel, że zapewni im szczęśliwe, bezpieczne dzieciństwo, takie jakiego ją samą pozbawiono. Zdawała sobie sprawę z tego, że szczególnie chłopcom potrzebny jest ojciec i że to on stanowi najistotniejszy warunek takiego dzieciństwa.

Teraz, widząc z jakim obojętnym spokojem Rory i Daniel przyjęli wiadomość o śmierci Andrew, zastanawiała się, czy może nie była w błędzie, i czy gdyby okazała dość samozaparcia, aby stawić czoło zmasowanej krytyce rodziny, separacja nie okazałaby się lepszym wyjściem, dzięki któremu nie tylko ona ale i dzieci miałyby łatwiejsze i szczęśliwsze życie.

Bo nie dało się uniknąć stwierdzenia, że życie z Andresem nie było łatwe. Pod względem materialnym, owszem, wygodne, lecz łatwe, szczęśliwe - nigdy.

A jednak chętnie zgodziła się wyjść za niego.

Chętnie, lecz nie z miłości... Fiona wzdrygnęła się pod wpływem tych wspomnień. Wówczas wierzyła, że go kocha... pragnęła go kochać, małżeństwo z nim wydawało jej się bezpiecznym azylem...

- Możemy już dziś jechać z tobą, mamó? - usłyszała głos Rory'ego.

Odepchnęła od siebie bolesne myśli i uśmiechnęła się do starszego synka.

- Obawiam się, że dziś jeszcze nie, kochanie - powiedziała.

Chociaż bardzo pragnęła pociechy płynącej z obecności dzieci w domu, nie chciała, aby były narażone na słuchanie tych wszystkich plotek i spekulacji krążących na temat samobójstwa ich ojca. Czesne zostało opłacone do końca roku i już postanowiła, że najlepiej będzie nie zabierać chłopców wcześniej. Zyska w ten sposób czas na uporządkowanie wszystkich spraw.

Owego tragicznego ranka prawie natychmiast po wyjściu policji zatelefonowała do Roberta. Miał akurat naradę. Poinformowała ją o tym jego sekretarka, lecz zadzwoniła później, aby przekazać Fionie wiadomość, że brat skontaktuje się z nią wieczorem.

Obiecał jeszcze tego samego dnia pojechać do fabryki, lecz z góry uprzedził ją, że jest bardzo zajęty sprawami własnego przedsiębiorstwa i nie może sobie pozwolić na zarywanie pracy, żeby porządkować bałagan, jaki pozostawił po sobie jego szwagier.

- Zdajesz sobie oczywiście sprawę z tego, że firma praktycznie zbankrutowała - powiedział jej ze złością, kiedy wrócił z zakładów Kilcoyne.

Twarz Fiony nawet nie drgnęła. Lata treningu w uległości wobec mężczyzn w rodzinie zaprawiły ją w ukrywaniu przed nimi uczuć, jakich nie chcieli oglądać. Milczała więc i teraz, gdy Robert mówił dalej:

- Ta afery jest mi niezwykle nie na rękę. Nie mogła się wydarzyć w gorszej chwili... Wiesz o tym, prawda? Zgłosiłem się na kandydata do wyborów parlamentarnych w naszym okręgu i cała ta przykra sprawa stawia mnie w niekorzystnym świetle. Cholera! To oczywiście w stylu Andrew - ciągnął

- zawsze miał zbytne jak na mój gust skłonności do melodramatycznych gestów. Po pierwsze, nie powinien był kupować Kilcoyne. Sam mu to odradzałem. Mogłaś mnie uprzedzić, że szykuje coś takiego.

Fiona wpatrywała się w brata, walcząc ze łzami napływającymi jej do oczu i z trudem przełykając ślinę przez ściśnięte bezsilnym gniewem gardło.

- Ja o niczym nie wiedziałam - powiedziała z wymuszonym spokojem.

- Nie bądź śmieszna. Musiałaś mieć jakieś przeczucia. Byłaś jego żoną. Jesteś przecież kobietą inteligentną, jak zawsze twierdzisz. Musiałaś się domyślać...

- Wiedziałam, że ma kłopoty finansowe, ale on nigdy nie chciał ze mną o tym rozmawiać - broniła się.

- Boże drogi... Cały świat wiedział, że ma kłopoty! Już wiele miesięcy temu mówiłem mu, że nie ma sensu tak panikować i trąbić wokoło, że biznes wymyka mu się spod kontroli. W swoim czasie ostrzegałem cię, Fiono - dodał - żebyś za niego nie wychodziła.

Fiona zacisnęła zęby, a potem, opanowując się, powoli lecz dobitnie odparła:

- Wręcz przeciwnie, Robercie. Namawiałeś mnie do tego małżeństwa. Twierdziłeś, że Andrew będzie dla mnie dobrym mężem.

- Bzdury... Nigdy niczego podobnego nie mówiłem - zaprzeczył i oczy mu zapłonęły z wściekłości. - Zresztą teraz to już i tak bez znaczenia. Co było, nie wróci, a nam pozostaje uporządkować ten galimatias tak szybko i tak dyskretnie, jak tylko się da.

- Czyli jak? - spytała.

Robert zniecierpliwiony wzruszył ramionami. Wstał, podszedł do oszklonych drzwi na taras.

- Trzeba będzie oczywiście zawiadomić bank, o ile sami się do tej pory nie dowiedzieli, a później to już ich problem...

- Ich problem...? - powtórzyła, jak gdyby nie rozumiejąc.

Robert odwrócił się gwałtownie w jej stronę.

- Nie udawaj... - wybuchnął. - Musiałaś się domyślić, że odebrał sobie życie z powodu fabryki. Nie wiem dokładnie, jaka jest kondycja finansowa firmy i oczywiście nie mogę sobie pozwolić na to, żeby się angażować... nie teraz. Najlepiej zostawić wszystko bankowi. Zrobią, co będzie konieczne. Zrozum, Fiono, ja nie mogę ci pomóc...

Nie możesz czy nie chcesz, spytała sama siebie w duchu, kiedy po wyjściu brata podliczyła jego majątek: olbrzymi dom, zameczek we Francji, który trzy lata temu kupili z Lidią i którego wartość w tym czasie, jak się nieustannie chwaliła, wzrosła trzykrotnie, plus dochód z wynajmowania go osobom chętnym spędzić tam wakacje.

Co by powiedział, zastanawiała się, gdyby mu się przyznała, że nie prosi go o pieniądze, lecz o pomoc, o wsparcie, o ofiarowanie jej przysłowiowego męskiego ramienia, na którym ona, kobieta, mogłaby zawisnąć, dokładnie tak jak ją od urodzenia przyzwyczajono.

Mijając lustro w holu, zatrzymała się przed nim.

Na co jej teraz ładna buzia i wykwintne maniery?

I kiedy tak stała, dobiegło ją echo dawno usłyszanych słów; słów, których sarkazm przeszywał ją bólem, które chciała zapomnieć, a które ją prześladowały.

- Jesteś śliczna, Fiono, śliczna i ślicznie opakowana niczym lalka i tak samo głupia i pozbawiona życia. Ja pragnę kobiety z krwi i kości, kobiety, która się śmieje i płacze, która w łóżku poci się i krzyczy w ekstazie, kobiety, która myśli i czuje... która nie boi się być kobietą i która większą wagę przywiązuje do pielęgnowania intelektu niż cery. Krótko mówiąc, kobiety przez duże K, a nie wyciętej z arkusza pokolorowanej lali.

Kobiety, która nie potrzebuje opoki męskiego ramienia,

dopowiedziała teraz w myśli. Kobiety, która potrafi sama mocno stapać po ziemi... kobiety, jaką ja nigdy nie będę... kobiety, jaką nigdy nie pozwolono mi się stać...

- Do końca semestru zostanieie tutaj, w szkole, a potem zdecydujemy, co dalej - powiedziała chłopcom. Już wcześniej postanowiła, że nie wezmą udziału w pogrzebie. To była by farsa, gdyby ubrani w czarne ubranka (czego z pewnością oczekiwałyby jej rodzina) żegnali ojca, którego tak naprawdę nie znali i na pewno nie kochali.

To są jej synowie, powtarzała sobie z uporem, od tej pory to ona ponosi za nich wyłączną odpowiedzialność i wychowa ich w sposób, jaki uzna dla nich za najlepszy. A jeśli rodzina zgłosi zastrzeżenia...

Przed odjazdem zobaczyła się jeszcze z dyrektorem szkoły i ucieszyła się, że poparł wszystkie jej decyzje.

Co za piękna kobieta, pomyślał Henry Carter, odprowadzając ją wzrokiem, gdy opuszczała jego gabinet. Kiedy ją pierwszy raz zobaczył, była z mężem, który ją kompletnie przyćmiewał. Już wówczas wydawała mu się ładna, lecz zbyt potulna i trochę bezbarwna. Tego dnia natomiast wyglądała inaczej. Robiła wrażenie bystrzejszej, bardziej inteligentnej, przestała być jedynie niemyym cieniem męża, a zaczęła ujawniać własną osobowość.

Andrew Rycart nie wzbudził jego szczególnej sympatii. Wytrawny pedagog zaczął się zastanawiać, czy ów mężczyzna zdawał sobie sprawę z tego, że władczy i obliczony na wzbudzenie zazdrości innych sposób bycia nie do końca maskuje jego prawdziwy charakter i brak pewności siebie.

Nic dziwnego, że nie potrafił znieść myśli o życiu bez pieniędzy, splendoru, sukcesów i postanowił je zakończyć. Henry Carter westchnął cicho. Nie chciałby, żeby jego samego spotkał podobny los.

Cóż, recesja gospodarcza nie oszczędzała nikogo, również

uczniów. Jedni zalegali z chesnym, inni po prostu nie wracali po feriach do szkoły. Jak dotąd to było pierwsze samobójstwo, lecz wiedział, że zdarzały się i inne tragedie, z tą różnicą, że nie nadawano im tyle rozgłosu.

Uświadomił sobie nagle, że pogarda, jaką odczuwa dla Andrew Rycarta jest prawie tak silna, jak współczucie dla jego żony.

Fiona zaparkowała samochód przed domem i wysiadła. Była z mordowana, bolały ją wszystkie mięśnie, jak przy grypie. To pewnie ta opóźniona reakcja wstrząsowa, pomyślała, o której lekarz ją uprzedził, że może nastąpić. Nawet proponował jakieś pastylki, które pomagają przezwyciężyć objawy.

Patrząc na siebie jego oczami - traktował ją jak zrozwaczoną wdowę po samobójcy, przytłoczoną cierpieniem nad siły, przeżywającą szok - czuła się niemal jak oszustka.

Tak, to prawda, że przeżywała szok, lecz rozpacz... Nie, rozpaczy w niej nie było.

Jej uczucia były raczej mieszaniwą zdziwienia i zakłopotania, w której zamazały się kontury rzeczywistości, i czasami tylko umysł rozświetlała wybuchająca raca gniewu tak intensywnego, że Fiona odruchowo tłumiła jego źródło w sobie.

Dom przywitał ją chłodem. Wyjeżdżając rano, zakręciła ogrzewanie. Z oszczędności. Nawet nie miała pojęcia, ile wynosił majątek osobisty Andrew, który przypadnie jej w spadku, i na ile w związku z tym może sobie pozwolić.

Robert sądził, że została względnie zabezpieczona, lecz to nie uspokajało jej troski i poczucia winy w stosunku do pracowników firmy. Przecież według jego oceny fabryka praktycznie zbankrutowała.

To była jeszcze jedna sprawa, która ją czeka - musi skontaktować się z bankiem. Robert zaoferował się, że z nią pójdzie, lecz po tym jak odmówił udzielenia pomocy w bardziej

skomplikowanych sprawach związanych z firmą, podziękowała mu.

Napełniła elektryczny czajnik wodą i włączyła go.

Ręcznie robione przez stolarza szafki z woskowanego drewna i lśniący czerwony piecyk firmy AGA kosztowały fortunę. Ta słoneczna, przestronna, kwadratowa kuchnia z solidnym, również kwadratowym, stołem powinna być centrum życia rodzinnego, sercem tego domu, w rzeczywistości jednak była jedynie ostentacyjną demonstracją zamożności Andrew. Jedynym momentem, kiedy ta kuchnia, ten dom, naprawdę nabierał cech domu, były ferie, w trakcie których chłopcy przyjeżdżali z internatu.

Przygotowując sobie kawę, Fiona pograżała się w coraz bardziej ponurych myślach. Już dawno zrezygnowała z prób zmienienia Andrew, pogodziła się z faktem, że nigdy nie będzie między nimi tej intymnej duchowej więzi, bliskości, o jakiej marzyła jako młoda dziewczyna; zrozumiała zresztą, że takie idealne związki zdarzają się niezmiernie rzadko.

Kiedy się rozejrzała wokoło, spostrzegła, że bardzo niewiele jej znajomych spotkał lepszy los. Miłość, nawet ta najsilniejsza, najbardziej namiętna, po pewnym czasie stygła pod wpływem szarej codzienności z jej nieuniknionymi rozczarowaniami.

Znała kobiety, które skarżyły się, że mężowie je wykorzystują, i kobiety, które narzekały, że są zaniedbywane, kobiety, których partnerzy żądali zbyt wiele seksu albo zbyt mało, kobiecie' zdradzane z innymi kobietami, albo takie, których miejsce w domu małżonka zajęło jakieś hobby czy ulubiony sport.

Ona miała dzieci i niewielki świątek, który stworzyła dla siebie i dla nich. Współżycie seksualne z Andrew było nieregularne i na tyle mało podniecające, że nie dostarczało jej przyjemności - zresztą nie wyszła za niego dla seksu.

Seks... Nie, z pewnością nie dlatego wyszła za męża. On zresztą też nie ożenił się z nią dla seksu.

Poślubiła go, bo...

Zdenerwowana odstawiła kubek z kawą i podeszła do telefonu. Włączyła automatyczną sekretarkę, żeby sprawdzić, kto dzwonił w czasie jej nieobecności. Słuchając wiadomości z zakładu pogrzebowego, mimo woli zastanawiała się, ile czasu zajęło mówiącemu cyzelowanie owego głębokiego żałobnego brzmienia głosu. Co było pierwsze, głos czy zawód?

Drugą wiadomość nagrał dyrektor banku. Prosił, aby się z nim skontaktowała i odwiedziła go w celu omówienia zarówno kwestii dotyczących jej osobiście, jak również związanych z kondycja przedsiębiorstwa. Zdenerwowała się. Dlaczego chcą z nią rozmawiać o finansach firmy? Przecież ona nie ma o tym zielonego pojęcia!

A może to tylko formalność?

Taśma skończyła się. Fiona wyłączyła sekretarkę i prawie natychmiast rozległ się dzwonek telefonu. Sięgnęła po słuchawkę.

- Fiono? Tu mamusia...

Mamusia. Ile fałszywej czułości kryje w sobie to małe słówko, brzmiące tak, jak gdyby obie, matkę i córkę, łączyła zażyłość i miłość. W rzeczywistości Fiona wątpiła, czy matka w ogóle kiedykolwiek pozwoliła sobie ją kochać. Podobnie jak ojciec, uważała, że na miłość trzeba zasłużyć. Nie, miłości i pochwał nie rozdawało się w ich rodzinie ot tak, prosto z serca. Fiona uświadomiła to sobie teraz z całą ostrością, kiedy pod słodyczą głosu matki usłyszała nutę niezadowolenia.

W dzieciństwie i kiedy dorastała, nigdy nie karano jej kląpssem ani ostrym słowem, tak jak inne dzieci; jej rodzice nie stosowali tego rodzaju metod. Lodowate spojrzenie, ton spokojny, lecz pełen tłumionego gniewu: „fiono, tatuś jest tobą bardzo zawiedziony” i natychmiastowe wycofanie się matki ze sceny, wystarczało... A nawet było czymś więcej, niż może znieść wrażliwe dziecko. Reakcja na tego typu krytykę była w niej tak silnie zakodowana, że i teraz, kiedy tylko rozpozna-

ła ową chłodną dezaprobataę w głosie matki, poczuła kurcz żołądka i zacisnęła mocniej palce wokół słuchawki, aby odzyskać panowanie nad sobą i zdusić tłący się w niej gniew, ból i bunt.

- Robert powiedział nam, jak głupio i nierozważnie postępował Andrew. Twój ojciec i ja nie zdawaliśmy sobie sprawy z tego, że zachowuje się tak lekkomyślnie. Ojciec bardzo się tym zmartwił. Wydaje się, że cała ta sprawa jeszcze nie nabrała tutaj rozgłosu, ale wiesz, że w tym sezonie ojciec został kapitanem sekcji golfowej w klubie i...

Fiona aż zatrzęsała się ze zdenerwowania.

- Wątpię, aby któryś z jego kolegów od golfa dowiedział się o Andrew - przerwała matce, usiłując panować nad głosem. Nie mogła jednak się powstrzymać, żeby nie dodać z ironią: - Andrew na szczęście nie był jego synem...

- Na szczęście - odparła matka cierpliwym tonem, który świadczył, że nie zwróciła uwagi na sarkazm w słowach córki. Ów ton łagodnej perswazji natychmiast sprawił, że Fiona poczuła się dziecinnie małostkowa i jednocześnie jeszcze bardziej wściekła. - Niemniej był twoim mężem i zważywszy okoliczności ojciec uważa, że byłoby niewskazane, abyś nas teraz odwiedzała. Biedny poczciwy Robert ogromnie się zmartwił, wiesz o tym. Mieszkacie niemal tuż obok siebie, a on cieszy się nienaganną opinią... Czy zajęłaś się już..

- matka dyskretnie zawiesiła głos.

- Masz na myśli kremację? - spytała Fiona, nie uciekając się do eufemizmów. - W piątek. Ale nie martw się, mamo. całkowicie zrozumiem, jeśli nie zdecydujecie się przyjechać.

- To nie o to chodzi! - oburzyła się matka. - Rodzina ma pewne obowiązki. Andrew był przecież naszym zięciem, chociaż muszę przyznać, że nigdy nie mogłam zrozumieć, dlaczego za niego wyszłaś. Ojciec też nie mógł. Ostrzegaliśmy cię...

Tak? Naprawdę? - chciała zapytać Fiona. Kiedy? Kiedy mnie ostrzegaliście? Czy po tym, jak powiedzieliście, jakim

wspaniałym będzie mężem, albo czy przed tym, jak twierdzi-
liście, że nie znajdę drugiego mężczyzny, który bardziej by do
mnie pasował? Jeśli naprawdę nie chcieliście, żebym za niego
wyszła, dlaczego nie pozwoliliście mi studiować na uniwersy-
tecie? Dlaczego uparliście się zatrzymać mnie w domu, uza-
leźniliście mnie od siebie i zrobiliście ze mnie salonowego
pieska zawsze trzymanego na smyczy?

- ... ale ty byłaś zawsze taka impulsywna i uparta - doda-
ła matka i westchnęła. - Nawet jeszcze dziś rano Robert za-
rzucił nam, że zbyt cię psuliśmy i obawiam się, że miał
rację. Zastanawiałaś się już, co zrobisz po...?

- Jeszcze nie, mam - Fiona przerwała jej szorstko. - Ale
nie martw się, na cokolwiek się zdecyduję, będę pamiętać,
żeby ani tobie, ani ojcu nie sprawić kłopotów - dodała i poło-
żyła słuchawkę, zanim matka zdążyła odpowiedzieć.

Dłonie miała wilgotne i lepkie, całe ciało spocone i puls-
jące od tłumionego gniewu.

Uspokój się, nakazała sobie. Co za sens winić rodziców za
to, jacy są, albo za to, jak chcieli cię ukształtować? Czy oni
z kolei nie są ofiarami metod, jakimi ich wychowano?

Tak, całymi latami nauczyła się myśleć w ten sposób. To
było panaceum, zabieg znieczulający ból, który zabroniła so-
bie odczuwać.

Bolesna spuścizna

4

- Wadą długich weekendów jest to, że nie są dostatecznie długie - narzekał Richard, sącząc ostatni łyk herbaty i ponownie sięgając po dzbanek.

Elizabeth roześmiała się.

- Mnie nie nabierzesz - powiedziała i spojrzała na niego z czułością. - Wiesz równie dobrze jak ja, że nie możesz się doczekać widoku swoich pacjentów. Słyszałam, jak dzwoniłeś do lekarza dyżurnego. Aha, widziałam wczoraj sir Arthura - dodała, zmieniając temat.

Sir Arthur Lawrence był przewodniczącym zarządu szpitala, byłym wojskowym, majorem w stanie spoczynku, bardzo konserwatywnym w swoich opiniach i poglądach. W ciągu ostatnich kilku lat między nim i Richardem wielokrotnie dochodziło do ostrych starć.

- Tak? I co powiedział? Pewnie znowu narzekał, że za dużo wydajemy - zareagował Richard z sarkazmem w głosie.

- Nie, tym razem był bardzo łaskawy i wychwalał twoje wysiłki w poszukiwaniu funduszy na utworzenie ostrego pogotowia wypadkowego.

Richard chrząknął znacząco.

- Powinnaś mu powiedzieć, żeby nie łowił ryb przed niewodem. Potrzebne nam są dotacje z budżetu, a tu cisza. Szpital Północny wystąpił z bardzo sensowną propozycją, konkurencyjną do naszej. Utrzymują, że mają lepszy od nas dojazd do kilku autostrad...

- Za to my znajdujemy się bliżej centrum regionu i bliżej

naszej autostrady - przypomniała mu Elizabeth. - A ty masz lepszy wskaźnik wyzdowień.

- Mhm... ale to wszystko nie jest zasługą sir Arthura. Szkoda, że nie słyszałaś, co wygadywał, kiedy otwieraliśmy oddział rehabilitacji...

- Przyznaj, lubisz się z nim spierać - zażartowała Elizabeth i wybuchnęła śmiechem.

Richard wznosił oczy do nieba.

- Facet myśli kategoriami sprzed dwudziestu... a nawet więcej lat. Boże! Ten zegar dobrze chodzi? - wykrzyknął nagle. - Muszę pędzić. Wczoraj jesteś w domu, tak?

- Tak. Co prawda pomyślałam, że wyskoczę do Sary. Kiedy z nią wczoraj rozmawiałam przez telefon, miała jakiś dziwnie przygnębiony głos.

- Cóż, nie jest łatwo być żoną lekarza rodzinnego... Ani lekarzem rodzinnym - stwierdził Richard. Podszedł bliżej, pocałował Elizabeth i uśmiechając się, zaproponował: - A może wybralibyśmy się gdzieś na kolację? Do „Mario”? Tylko we dwoje - dodał.

- Tylko we dwoje - powtórzyła Elizabeth, akcentując „tylko”. - Mmm... to brzmi zachęcająco.

- Poproszę Kelly, żeby zamówiła dla nas stół - rzucił Richard, biorąc teczkę i kierując się w stronę drzwi.

Po jego wyjściu Elizabeth zaparzyła sobie świeżej kawy i sięgnęła po leżący na kredensie skoroszyt. Kredens znaleźli wspólnie z Richardem na jakimś pchlim targu, a potem Richard pracowicie i z dużym samozaparciem zdarł ze starego grata farbę. Elizabeth podejrzewała, że wobec ilości czasu i wydatków na środek do usuwania farby, taniej by było kupić podobny mebel w sklepie z antykami. Samodzielnie wykonywana praca dawała im jednak poczucie satysfakcji, a jej samej godziny spędzone wraz z Richardem dostarczyły wiele radości. Przypomniał jej się wówczas początek ich małżeństwa,

kiedy widok pana chirurga umorusanego i w starym ubraniu nie był tak rzadki jak obecnie.

„Wygraliście oboje los na loterii, ty i Richard”, powtarzały nie raz z zazdrością jej przyjaciółki. Lecz ich małżeństw miało przecież swoje wzloty i upadki, jak każde. Ów szczęśliwy los polegał może na tym, że oboje z takim samym zaangażowaniem traktowali swój związek. I nawet kiedy patrzyli na przydzielone im role z przeciwnych i sprzecznych ze sobą punktów widzenia, obopólne pragnienie bycia razem wzmocniało więź i pozwalało im przetrwać.

Z perspektywy czasu Elizabeth przyznawała teraz, że nie zawsze doświadczała w tym związku tej samej satysfakcji, tej samej przyjemności z bycia sobą. Zdarzały się i takie chwile, szczególnie kiedy Sara była mała, że miała uczucie, iż Richard się od niej oddala... Czuła się zagrożona i narastał w niej sprzeciw nie tyle wobec jego absorbującej pracy, co wobec tak widocznego zaangażowania się w nią.

Ona sama czuła się przy nim głupia i niepotrzebna. Ale do czasu. Artykuł w miejscowej gazecie, którą pobieżnie przeglądała u fryzjera, obudził w Elizabeth zainteresowanie działalnością społeczną. Legitymując się dyplomem sprzed dwudziestu lat i kompletnym brakiem stażu zawodowego, zgłosiła się do władz samorządowych. Wyjaśniła, że chciałaby pracować, oddać swoje siły i chęci do ich dyspozycji, że teraz, kiedy jej córka wyprowadziła się z domu, ma dużo czasu, lecz uprzedziła, że nie posiada żadnych kwalifikacji.

- Żadnych kwalifikacji? - zdumiała się kobieta, która z nią rozmawiała. - Przecież zajmuje się pani domem i rodziną, wychowała pani córkę, prowadzi pani samochód. Proszę się nie martwić, wkrótce znajdziemy dla pani mnóstwo roboty!

I znaleźli. Elizabeth uśmiechnęła się do siebie wspominając, z jaką treścią zasiadała owego pierwszego dnia w recepcji poradni dla osób, które znalazły się w trudnej sytuacji życio-

wę i jak była przerażona, kiedy zaproponowano jej udział w kursie szkoleniowym. Wzbraniała się, mówiła, że nie ma wystarczającego doświadczenia, że jej kontakty z ludźmi dalece odbiegają od ideału i że nic nie upoważnia jej do udzielania rad innym.

- Większy kapitał doświadczeń w rozwiązywaniu własnych problemów pozwala lepiej wczuć się w problemy innych - usłyszała w odpowiedzi.

Elizabeth otworzyła skoroszyt.

Uczestniczyła niedawno w konferencji na temat wpływu przedłużającego się okresu pozostawania na zasiłku dla bezrobotnych na ludzką psychikę. Posmutniała, czytając notatki. Niestety, wciąż wzrastała liczba osób zgłaszających się do poradni po pomoc, a wśród nich szczególnie kobiet, zmarwionych nie tylko utratą dochodów, lecz również zmianami zachodzącymi w psychice ich mężów, załamaniem się poczucia własnej wartości, które rzutowało na całą rodzinę.

Jeśli pogłoski powstałe w związku ze śmiercią Andrew Rycarta, jakoby przyczyną jego samobójstwa były kłopoty finansowe przedsiębiorstwa, okazały się prawdziwe, liczba bezrobotnych w okolicy jeszcze wzrosła. Zakłady Kilcoyne były jednym z największych pracodawców w mieście, a zarazem jedną z ostatnich fabryk lekkiego sprzętu mechanicznego w regionie. Jeśli upadną, ludzie tu zatrudnieni nie będą mieli dokąd pójść.

Elizabeth zaczęła gryźć końcówkę długopisu. Podczas zeszytygodniowej narady z zarządem proponowała, aby przygotować specjalny kompleksowy program pomocy w takich przypadkach. Każdy człowiek oczywiście ma swoje indywidualne kłopoty i potrzeby, lecz...

- To dobry pomysł - stwierdził bezpośredni szef Elizabeth - ale w tej chwili po prostu nie możemy oddelegować nikogo do opracowania tego typu programu, chyba że...

- Że ja sama się tym zajmę w domu, po godzinach? - dookończyła za niego Elizabeth z wymuszonym uśmiechem.

- Przykro mi - usprawiedliwiał się szef. - Ale wiesz, jaka jest sytuacja. Nam też obcinają dotacje i etaty, jak wszędzie.

Co prawda, to prawda. Richard narzekał, że szpital zatrudnia teraz więcej księgowych do pilnowania wydatków, niż pielęgniarek do pilnowania pacjentów.

- Masz chwilkę, Richardzie?

Richard stanął i z niezadowoleniem spojrzął na zegarek.

- Raczej nie - odpowiedział dyrektorowi szpitala. - Za pół godziny zaczynam przyjmowanie pacjentów, a muszę wpieryw załatwić kilka ważnych telefonów.

- Koniecznie muszę z tobą porozmawiać - nalegał dyrektor. - Zbliża się termin zebrania zarządu, a my jeszcze nie przedyskutowaliśmy twojego budżetu.

Richard ugryzł się w język, aby nie odpowiedzieć, że jest chirurgiem, a nie księgowym. Lecz szkoda mu było nerwów na dyskusję z Brianem. Ostatecznie obaj padli ofiarą tych samych cięć finansowych.

- Przejdźmy do mojego gabinetu - zaproponował Brian, przyjmując milczenie Richarda za zgodę.

Richard, poirytowany, podążył za nim i potrząsnął głową, kiedy dyrektor zaproponował mu kawę.

- Zapomniałem, że jesteś amatorem herbaty...

- Jako student i stażysta piłem zbyt dużo kawy - powiedział Richard. - Młodzi narzekają, że muszą tyle pracować po godzinach, ale kiedy ja byłem... Z drugiej strony my nie odczuwaliśmy tej ustawicznej presji, potrzeby zdobywania coraz to nowych umiejętności, przyswajania sobie coraz to nowej wiedzy. Teraz niemal codziennie pojawia się na rynku nowy lek, a wraz z nim nowy zespół komplikacji, nie wspominając już o nowych technikach operacyjnych. A jeszcze do tego ta cała papierkowa robota...

Podczas tej przemowy Brian Simmonds przyglądał się swojemu rozmówcy ze współczuciem. Na posiedzeniu, które

odbyło się miesiąc temu u nowego dyrektora administracyjnego wydziału zdrowia całego regionu, napomknął, iż byłoby nie fair oczekiwać od starszych lekarzy i personelu, aby przyswajali sobie wszystkie najnowsze technologie i podporządkowywali się ściślejszej kontroli finansowej tak szybko, jak ich młodszy koledzy.

- Skoro tak pan uważa, może należałoby pomyśleć o posłaniu niektórych z nich na emeryturę - odparł David Howarth chłodno. - Oburza mnie, ile pieniędzy tracimy, wypłacając najwyższe pensje ludziom, których z łatwością może zastąpić ktoś młodszy... i tańszy. Cały system opieki zdrowotnej w tym regionie wymaga reorganizacji i usprawnienia - dodał. - Mamy o wiele za dużo małych oddziałów specjalistycznych konkurujących ze sobą nawzajem. Znacznie mądrzej by było wyznaczyć konkretne szpitale, które specjalizowałyby się w konkretnych dziedzinach. Z osiemnastu szpitali w naszym rejonie większość ma oddziały kardiologiczne, a zarówno pański szpital i Szpital Północny mają oddziały mikrochirurgii. Starsi wiekiem chirurdzy, tacy jak doktor Richard Humphries...

- Doktor Richard Humphries był pierwszym chirurgiem w tej części kraju, który zaczął się specjalizować w kardiologii - Brian stanął w obronie kolegi. - Podjął się iście pionierskiej pracy...

- Zgoda. Ale teraz Richard Humphries zbliża się do sześćdziesiątki i mimo że wciąż jest znakomitym chirurgiem, dał jasne dowody na to, że nie potrafi sobie poradzić z finansową stroną pracy w samofinansującym się szpitalu. Christopher Jeffries z Północnego natomiast, już pokazał, że doskonale się orientuje w sposobach, jakimi będziemy działać w przyszłości, aby się całkowicie nie pogryźć. A poza tym, ma o dwadzieścia lat mniej od pańskiego Richarda Humphriesa.

Brian nie powtórzył tej rozmowy Richardowi. Richard

i David zapałali do siebie niechęcią niemal od pierwszego wejrzenia i Brian z doświadczenia wiedział, że tam gdzie idzie o dobro chorych, żadne argumenty finansowe nie zmuszą Richarda do pójścia na kompromis.

Richard uosabiał wszystko to, co najlepsze w państwowej służbie zdrowia - fundamentalne zasady, idee i cele, podczas gdy David był orędownikiem nowej „oszczędnej” polityki wymuszonej na resorcie z jednej strony przez wzrost liczby ludności, a z drugiej przez postęp w medycynie.

Brian westchnął w duchu. David i jemu podobni urzędnicy wierzyli, że konieczna jest rygorystyczna kontrola kosztów usług medycznych i ograniczenie ich stosowania do niezbędnego minimum. On sam na użytek publiczny zgadzał się z nimi, gdyż uważał, że tak będzie bardziej dyplomatycznie. Prywatnie jednak sympatyzował z całkowicie przeciwnym stanowiskiem Richarda.

Mimo owego zrozumienia i sympatii musiał Richardowi uświadomić, że jeśli sami nie narzucą sobie dyscypliny i nie podejmą pewnych ograniczeń finansowych, to te ograniczenia przyjdą z zewnątrz. Na dodatek od tego mogła zależeć przyszłość szpitala.

- Miałem wczoraj telefon od głównego księgowego - zaczął. - Podobno wciąż jeszcze nie otrzymał od ciebie projektu budżetu na przyszły kwartał.

- Powiedz, za co dokładnie szpital mi płaci? - zaatakował go Richard. - Za wypełnianie papierków czy za operowanie chorych?

Brian ponownie westchnął.

- Richardzie, wiem co czujesz, lecz postaraj się nie robić sobie wrogów z ludzi w rodzaju Davida. - Poprawił się na krześle. - Są rzeczy, na których można zaoszczędzić. Szpital Północny...

- Szpital Północny ma o wiele niższy wskaźnik wyzdowień pooperacyjnych od nas - przerwał mu Richard i dodał

bez osłonek - i doskonale znasz moją opinię, jakie są tego przyczyny...

„Starzejesz się i z wiekiem robisz się coraz większym idealistą, tato - przy ostatnim spotkaniu powiedział mu zięć - internista i lekarz rodzinny. - Jeśli sądzisz, że masz jakieś problemy, powinieneś kilka dni spędzić w moim gabinecie”.

Może i jestem zbytnim idealistą, ale czy się starzeję...? Richard zastanawiał się, dlaczego ta uwaga tak go rozdrażniła i wywołała w nim taki sprzeciw.

Nie mam jeszcze nawet sześćdziesięciu lat! Żaden wiek dla chirurga.

Boże! Pamiętał swój pierwszy staż - ordynator szpitala zbliżał się do siedemdziesiątki i wszyscy z wyjątkiem przełożonej pielęgniarek drżeli przed nim ze strachu. I nie miało znaczenia, że głuchnął i trzeba było wrzeszczeć, żeby coś usłyszał. Obserwowanie go przy operacji było zaszczytem i przywilejem. W tamtych czasach wiek i doświadczenie ceniłono i szanowano - nie tak jak dzisiaj... Człowiek skończy czterdzieści pięć lat i uważa się, że najlepszy okres ma już za sobą.

Wróciwszy do siebie, Richard stwierdził, że jego sekretarka, Kelly, zdążyła posegregować korespondencję na „pilną” i „mniej pilną”. Na samym wierzchu „pilnej” sterty leżał list od lekarza rejonowego w sprawie jego pacjentki. Czytając historię choroby, Richard spoważniał i kompletnie zapomniał o nieprzyjemnej rozmowie z Brianem.

W piersi pacjentki rozwinął się guz i konieczna była natychmiastowa biopsja, a następnie, jeśli guz okazałby się złośliwy, operacja. Chodziło o kobietę stosunkowo młodą, zaledwie trzydziestokilkuletnią i Richard doskonale zdawał sobie sprawę z tego, jakim dramatem będzie dla niej groźba amputacji piersi, lecz zważywszy, że stawką jest życie...

Zmarszczka na czole Richarda pogłębiła się, kiedy sięgnął do kieszeni po kalendarz.

- Ile mam w czwartek rezerwy na nagłe przypadki, Kelly?
- spytał.

- Czwartek? Obawiam się, że wcale, panie doktorze - odpowiedziała sekretarka, przeglądając listy pacjentów.

- No cóż, w takim razie trzeba będzie coś wygospodarować. Tą pacjentką trzeba się zająć jak najszybciej.

- Ale czwartek jest już za dwa dni. Nie da się tego odłożyć do przyszłego tygodnia?

- Nie, to musi być w czwartek, dziesiątego. W tym przypadku data ma istotne znaczenie. Podaj mi listę... Odwołaj Sophie Jennings i wpisz ją na początek przyszłego miesiąca - zdecydował.

Kelly zrobiła niezadowoloną minę.

- Już raz musieliśmy odwołać jej operację z podobnego powodu. Pamiętaj pan, panie doktorze, ile było narzekania...

- Nic na to nie poradzę - uciał Richard. - Wyjmij jej kartę. Sam do niej napiszę, zgoda? Aha, i wyjmij kartę pani Jacobs. Najlepiej osobiście porozmawiam z nią o operacji.

- Kłopoty? - spytała wieczorem Elizabeth w restauracji „Mario”, widząc, że Richard bez apetytu grzebie widelcem po talerzu.

- Nie większe niż zwykle - odparł sucho. - Ostatnio ciągle tylko słyszę od Briana o pieniądzach i budżecie. Co się do diabła dzieje z tym światem, Liz, jeśli za lepszy uważa się nie ten szpital, który większej liczbie pacjentów uratował życie albo podreperował zdrowie, lecz ten, który więcej zaoszczędził?

Elizabeth ze zrozumieniem pokiwała głową. Nie raz już słyszała podobne stwierdzenia.

- Na służbę zdrowia nakłada się bardzo duże ograniczenia finansowe - powiedziała łagodnie. - Przypomnij sobie, jak musiałeś zwrócić się z publicznym apelem, żeby wspomóc utworzenie ostrego pogotowia wypadkowego. Przynajmniej

w tej sprawie działacie z sir Arthurem ramię w ramię. - Uśmiechnęła się. - Jemu tak samo jak tobie zależy na tym, aby pogotowie powstało właśnie w waszym szpitalu i będzie o to walczył z równą determinacją, co ty.

- Tak - mruknął Richard. - Ktoś powinien mu powiedzieć, że lepiej by się wszystkim przysłużył, gdyby bardziej skoncentrował wysiłki na wynajdywaniu sponsorów, zamiast na szukaniu dziur we wszystkim, co robimy... Świat się zmienia, Liz, dobrych fachowców odsyła się na emeryturę tylko dlatego, że... - urwał i potrząsnął głową. - Czuję, że nie nadążam. Czy mój pogląd, że na pierwszym miejscu musimy stawiać dobro pacjentów, jest niesłuszny?

- Nie, mój drogi, nie jest niesłuszny - zapewniła go Elizabeth. Odłożyła sztućce i, starając się dobrać słowa w jak najbardziej taktowny sposób, ciągnęła: - Niemniej świadomość, że się ma rację, nie zawsze jest... Widzisz, potrafisz być bardzo uparty, Richardzie - dodała łagodnym tonem. - Bywają sytuacje, w których łatwiej przekonać adwersarza, wykazując większą elastyczność.

Elizabeth wiedziała, co naprawdę trapi Richarda, rozmawiały na ten temat z Sarą.

- Jak tata zareaguje, jeśli Szpital Ogólny połączy się z Północnym, a jemu zaproponują dobrowolne przejście na wcześniejszą emeryturę?

- Wcześniejszą emeryturę? - oburzyła się Elizabeth. - Ojciec raczej odczuje to jako przymusowe zwolnienie. Będzie to dla niego bolesny cios.

- Tak. A na dodatek ty pracujesz i robisz karierę...

- To nie fair, Saro - protestowała Elizabeth. - Ojciec zawsze mnie zachęcał do pracy...

- Mhm... ale jego praca zawsze była na pierwszym miejscu, czy nie tak? Och, wiem, jak jest z ciebie zadowolony, jaki dumny, ale gdyby musiał całe dni siedzieć w domu, podczas gdy ty...

- Nie dojdzie do tego - przerwała jej zdecydowanie matka.

- Nie? Zaledwie kilka dni temu Ian mówił mi, że u nich w Północnym dwóm czy trzem starszym lekarzom zasugerowano, aby sami odeszli, a ojcu brakuje zaledwie kilka lat do sześćdziesiątki...

Teraz, przyglądając się mężowi, Elizabeth doznała przykrego uczucia niepokoju. Wiedziała, ile dla niego znaczy praca, jak bardzo ucierpiałaby jego duma zawodowa i poczucie własnej wartości, gdyby otrzymał propozycję przejścia na emeryturę w chwili, kiedy jeszcze czuje się w pełni sił.

Może gdyby, tak na wszelki wypadek, spróbowała delikatnie napomknąć, jak korzystne dla niego byłoby, gdyby nie musiał tak ciężko pracować? Uśmiechnęła się do siebie melancholijnie. Może i była kobietą robiącą karierę zawodową, lecz pod wieloma względami nie przestała być żoną w tradycyjny sposób pojmującą swoją rolę. Tak została wychowana... I ona, i całe jej pokolenie.

- Udało ci się wpaść do Sary? - spytał Richard, zmieniając temat.

- Tak - odparła. - Jest wykończona. Zaproponowałam, że wezmę Katie na kilka dni do nas, żeby mogła odetchnąć. Mam jeszcze mnóstwo zaległego urlopu.

- Zawsze byłaś taka gotowa do poświęceń - powiedział Richard. - Dla nas wszystkich...

- Cieszę się, że potrafisz znaleźć w sobie jeszcze tyle przyzwoitości, żeby siebie w to włączyć - powiedziała. Zapragnęła się z nim odrobinę poprzekomarzać.

- Chodźmy stąd. Nie masz ochoty wrócić do domu? - Richard przechylił się przez stół i ściszył głos, tak żeby krzącący w pobliżu kelner nie usłyszał.

Elizabeth spojrzała na niego uważnie, chcąc sprawdzić, czy dobrze zrozumiała ukryty w podtekście subtelny sygnał. We wczesnym okresie małżeństwa, kiedy zmysłowość była

dla obojga jeszcze bardzo nowa i ekscytująca, często zdarzało się im wymykać z przyjęć i innych imprez towarzyskich. Richard tłumaczył się wówczas nieszczerze, że został wezwany do chorego, podczas gdy naprawdę chciał - oboje chcieli - wrócić do domu i się kochać.

Śmiejąc się, gdyż podniecenie niczym wino uderzało im do głów, pędzili do swojego maleńkiego mieszkanca. Ostatnimi laty jednak ich fizyczne pożycie, chociaż nadal bardzo szczęśliwe, stało się mniej spontaniczne, za to bardziej stateczne i rozważne, ograniczone z początku obowiązkami rodzinnymi, a ostatnio wymogami pracy zawodowej oraz, do pewnego stopnia, całkiem naturalnym w małżeństwie o tak długim stażu przygaśnięciem żaru namiętności.

- Dobrze się domyślam, co chcesz przez to powiedzieć? - spytała ubawiona, a potem, widząc, w jaki sposób na nią spojrzął, zachichotała. - Nie jesteśmy już nastolatkami! - protestowała, kiedy w chwilę później, idąc do samochodu, objął ją na ulicy i zaczął namiętnie całować.

- Kto mówi, że musimy? - szepnął między pocałunkami. - Fakt, że nie mamy już dwudziestu lat, nie oznacza, że przestaliśmy normalnie funkcjonować, że nie jesteśmy zdolni do... Bywają dziedziny życia, w których doświadczenie i wiedza liczą się bardziej niż młodość i entuzjazm...

Elizabeth pogładziła go łagodnie, po policzku.

- Och, Richardzie - westchnęła.

Nie wstyd się starzeć, chciała dodać, lecz jak to powiedzieć, skoro zewsząd nadchodzą przeciwne sygnały? Starość, choroba, uzależnienie od innych - oto nowe tematy tabu, podobnie jak niegdyś seks i poród.

Bolesna spuścizna

5

Fiona otworzyła oczy i przypomniawszy sobie, jaki dziś dzień, szybko zamknęła je z powrotem.

Za oknem było jeszcze szarawo, lecz wiedziała, że już nie zaśnie. Odrzuciła kołdrę. Z półprzymkniętego okna powiało chłodem.

Kremację wyznaczono na drugą po południu, miała więc mnóstwo czasu na wszystko.

- Później oczywiście przyjdziemy do ciebie - oświadczyła matka telefonując, żeby dowiedzieć się, jakie przygotowania zostały poczynione. - Byłoby bardzo dziwne, gdybyś odmówiła.

- Nie sędzę, żeby to był dobry pomysł - protestowała Fiona. - Szczególnie w tych okolicznościach... Zawsze trudno jest pogodzić się ze śmiercią, a kiedy chodzi o samobójstwo...

- Będziesz jednak musiała coś przygotować - nalegała matka. - Jakiś poczęstunek... Ludzie tego oczekują.

Jacy ludzie, chciała spytać. Nie powinna dziwić się, że tak wiele osób, tak zwanych „przyjaciół”, dzwoniło z kondolencjami i rzekomymi wyrazami współczucia. Robili to w rzeczywistości po to, żeby jak najszybciej odciąć się od Andrew i jego życiowej porażki.

Chociaż... może będą chcieli, żeby ich widziano, jak czynią to, co wypada: przyślą wiązanki kwiatów, przyciszonymi głosami będą wymieniać uwagi o tym, jak byli wstrząśnięci wiadomością, zapewniać ją o swoim współczuciu i oczywi-

ście dawać do zrozumienia, jak w istocie luźna była ich znajomość z Andrew...

Fiona w głębi serca wątpiła w to, że w krematorium zjawi się wiele osób. Czy ktoś mógłby mieć pretensję do nieobecnych? Na pewno nie Andrew, który na ich miejscu zachowałby się dokładnie tak samo.

Czarna garsonka wisała na drzwiach szafy. Fiona patrzyła na spódnicę i żakiet z odrazą i buntem. Nie były to rzeczy nowe i oczywiście nie zostały kupione na okazję taką jak ta, lecz ona zawsze lubiła czarny kolor, który dobrze podkreślał jej jasną karnację. Wykwintna jedwabna krepa uwydatniała jej figurę, a aksamitne kłapy dodawały miękkości surowej w kroju górze. W sumie był to ubiór zbyt elegancki dla wdowy. Fiona wątpiła, czy kostiumik nadal będzie na niej dobrze leżał. Od śmierci Andrew ubyło jej kilka kilogramów.

Wdowa... A więc jest wdową; wdową, która nie rozpacza po stracie męża. Ogarnęła ją fala goryczy i pogardy. Pogardę żywiła dla samej siebie, lecz skąd brała się gorycz?

Weszła do znajdującej się obok sypialni łazienki. Gorycz... Gorycz dotyczyła Andrew, przyznała przed sobą, myjąc zęby.

Wyprostowała się, spojrzała w lustro. W ostrym świetle łazienki bez cienia żalu dla samej siebie Fiona wpatrywała się w nie zamaskowane makijażem ślady przeżyć ostatnich dni - zmarszczki wokół oczu, szarą cerę i spięty wyraz twarzy.

Tak, nareszcie się do tego otwarcie przyznała - śmierć Andrew wyzwoliła w niej nie rozpacz, nie żal i ból po stracie mężczyzny, który był jej życiowym partnerem, kochankiem, przyjacielem, ojcem jej dzieci, a gniew, gorycz i wstręt.

Andrew dobrze wiedział, jaka przyszłość go czeka... ich czeka... i nie potrafiąc stawić czoła sytuacji, którą sam stworzył, po prostu odwrócił się tyłem, zrobił unik, zostawił ją...

Fiona poczuła, że drży z wysiłku, aby zapanować nad

wzbierającymi w niej emocjami. Zacisnęła dłonie na krawędzi umywalki.

Gniew, gorycz, wstręt - nie tym uczuciom powinna się poddać, lecz wyrzutom sumienia, które szły tuż za nimi, które z podskórnego nurtu wydobywały się na powierzchnię, które niczym powolna trucizna przenikały do jej umysłu... Tak, na wyrzuty sumienia mogła sobie pozwolić.

Tak, Andrew był jej mężem, tak, wyszła za niego z własnej woli, omamiona dumą, połączoną z chęcią zademonstrowania, że jest dorosła, że jest dojrzałą kobietą, że zdolna jest wzbudzić miłość mężczyzny, który będzie ją traktował jak kobietę właśnie, a nie jak niemądre dziecko.

Przymknęła powieki. Starła się, jak mogła najlepiej, żeby być taką żoną, jakiej Andrew pragnął, zatrzymać ten fant, który los pozwolił jej wygrać na swojej loterii. Starła się tchnąć w ich związek, w ich małżeństwo ciepło i ducha intymnej wspólnoty, jakich Andrew z siebie nie dawał, albo nie chciał dawać. Lecz wszystko co robiła, wszystkie jej wysiłki nie zdołały zamaskować emocjonalnej nędzy łączących ich więzów i w najgorszych chwilach po śmierci Andrew Fiona zaczęła się zastanawiać, czy odchodząc tak jak odszedł, nie chciał jej na swój sposób ukarać. Potem jednak górę wzięły zdrowy rozsądek i uzmysłowiła sobie, że ich małżeństwo spadło na tak niską pozycję na liście życiowych priorytetów Andrew, że byłoby ostatnią rzeczą, którą by brał pod uwagę, podejmując tę tragiczną decyzję... oraz że ona sama stała się ostatnią osobą, z której losem by się liczył.

Dziwne, lecz ta świadomość, zamiast zmasać z jej duszy poczucie winy, tylko je zintensyfikowała. Tak, to prawda, starała się, lecz czy wystarczająco mocno?

- Nie mówisz chyba poważnie... Nawet nie znałaś faceta. Dlaczego chcesz wziąć udział w kremacji? To śmieszne, niesmaczne...

- Ryan uważa, że właśnie tak należy się zachować.

Debora wpatrywała się w Marka gniewnym wzrokiem. Gwałtowność jego reakcji całkowicie ją zaskoczyła i obudziła w niej samej wątpliwości, do których jednak nie chciała się przyznać.

Stłumiła w sobie owe skrupuły uznając, że w takiej sytuacji jak ta, zbytńia kobieca subtelność mogłaby przynieść uszczerbek jej profesjonalnemu wizerunkowi.

- To forma okazania szacunku dla zmarłego - oświadczyła, odwracając głowę, aby Mark nie mógł dostrzec wyrazu jej twarzy.

- Co? Nie pleć... To czyste zboczenie, a jeśli naprawdę tego nie widzisz... Zmieniłaś się od czasu, kiedy Ryan przydzielił ci tę sprawę.

- Nieprawda - zaprzeczyła. - Jeśli ktoś tutaj się zmienił, to ty. Co cię ugryzło? Zachowujesz się tak, jak byś był niemal zazdrosny.

- Zazdrosny? O co, u diabła, miałbym być zazdrosny?

O mnie, miała już na końcu języka, lecz nagle, zupełnie bez najmniejszego powodu, jej serce zaczęło bić przyspieszonym rytmem i nie zdołała wydobyć z siebie ani słowa.

- Masz pewnie na myśli Ryana - Mark sam odpowiedział na swoje pytanie. - Boże! To tylko jeszcze dobitniej świadczy o tym, że mam rację. Jeśli sądzisz, że mógłbym być zazdrosny o takiego bubka jak...

Patrząc na pochyloną głowę Debory i ciemną grzywkę opadającą jej na twarz, Mark uświadomił sobie, że się zagalopował. Ostre promienie porannego słońca podkreślały kasztanowy odcień jej włosów i smukłą gibkość ciała.

Ogarnęła go nieoczekiwana fala podniecenia, zapragnął porwać Debora w ramiona i zanieść na łóżko, wtulić się w jej miękką, ciepłą kobiecość, kochać się z nią z taką namiętnością, żeby z jej ust wydobyć okrzyk rozkoszy, a z ciała odzew, sygnał, że go potrzebuje, pożąda... Zapragnął zostać uzna-

nym... uznanym za mężczyznę... za źródło władzy i siły. Kiedy to pojął, doznał wstrząsu, przestraszył się samego siebie i siłą woli zgasił sygnały wysyłane przez zmysły do mózgu.

Pokaż jej swoją władzę, domagał się uparcie głos dochodzący z ciemnego zakamarka jego umysłu. Podporządkuj ją sobie...

Nie, nie, to niemożliwe, wzdrygnął się Mark. Tego typu męski egotyzm zawsze wzbudzał w nim odrazę. Jego związek z Deborahą opierał się przecież na zasadzie równości i na wzajemnym szacunku.

Przynajmniej tak było do teraz. Obecnie Debora wyraźnie bardziej liczy się ze zdaniem Ryana niż z jego.

Sprawdź ją, szeptał ten sam nikczemny głos. Niech ci udowodni, że się mylisz.

- Jeśli posłuchasz mojej rady, nie pójdziesz - powiedział nagle.

Debora uniosła głowę. Na jej twarzy malowała się rozterka.

- Nie mam wyjścia. Muszę - powiedziała. - Ryan... - zamilkła widząc, jak zareagował na dźwięk tego imienia. - On jest moim szefem, Mark - dodała już spokojniej.

- Racja - przyznał Mark równie spokojnym tonem.

Dopiero później, już w swoim gabinecie, Debora zaczęła się zastanawiać nad tym, dlaczego nie żądała, aby Mark podał bardziej racjonalne argumenty przeciwko jej pójściu na pogrzeb Andrew Rycarta.

Jak wynikało z materiałów, Fiona Rycart oficjalnie nie miała nic wspólnego z przedsiębiorstwem i do czasu spotkania z przedstawicielem banku, który był głównym wierzycielem firmy, nie będzie wiedziała, do jakiego stopnia zagrożony jest majątek własny jej męża. W tego typu sprawach nierzadko się zdarzało, że człowiek, który zdawał sobie sprawę z nieuchronnego bankructwa, wycofywał tyle aktywów, ile zdołał

przelewając je na własne konto lub konta. Do zadań Debory będzie między innymi należało właśnie sprawdzenie, czy tak się stało i w tym przypadku.

Mark nazywał to grzebaniem się w stercie gnijących odpadków i Debora przyznała, iż do pewnego stopnia miała rację.

Wszystko jednak zależało od tego, czy punkt widzenia się przyjmie.

- Wierzyciele mają pełne prawo próbować odzyskać swoje pieniądze - argumentowała.

- Pełne prawo - zgodził się z nią Mark, lecz po chwili dodał: - Jak będziesz się czuła, mówiąc ludziom, że stracą pracę, że praktycznie nie ma z czego wypłacić należnej im odprawy i że fundusz emerytalny też wyparował?

- Nie ja odpowiadam za plajtę firmy - broniła się Debora.

- Nie, ale to właśnie ty staniesz przed załogą i im to zakomunikujesz. To właśnie ty będziesz musiała patrzeć na ich twarze i lęk w oczach.

- Przestań! - podniosła głos. - Dlaczego mnie dręczysz? Na tym polega mój zawód, wiesz o tym!

- Przepraszam - powiedział widząc, jak ją ta rozmowa przygnębiła.

Pogodzili się później, lecz teraz ponownie pokłócili o to samo.

Dzisiejszego ranka Debora odczuwała pokusę, aby przyznać się przed Markiem, że nie chce iść do krematorium, Ryan jednak ostrzegł, aby nie pozwoliła uczuciom wpływać na rzetelne wykonywanie obowiązków wynikających z jej pracy. Napomknął też między wierszami, że zdaniem niektórych współników podjął duże ryzyko, zlecając właśnie jej tak odpowiedzialne zadanie. Uznano, iż nowym zespołem powinien kierować raczej mężczyzna, a ona mogłaby ewentualnie zostać jego zastępczynią.

Przyjęła więc za punkt honoru udowodnienie im, że nadaje

się na to stanowisko i nie chodziło jej już tylko o jej własną reputację, lecz i o Ryana.

Chciała to wszystko wyjaśnić Markowi, lecz jego stosunek do całej tej sprawy zniechęcił ją. Bolało ją, że nie potrafi zdobyć się na więcej zrozumienia, że nie dostrzega, iż ta sprawa jest dla niej sprawdzianem i że potrzebuje jego wsparcia i aprobaty.

Właśnie kiedy skończyła umawiać się telefonicznie z bankiem, wszedł Ryan. Uśmiechnął się do niej.

- Ładny kostium. Do twarzy ci w czarnym - powiedział, obejmując spojrzeniem całą jej postać.

Debora czuła, że nie patrzy jedynie na jej zgrabnie skrojony czarny kostium. Podejrzała, że jej nowy szef należy do mężczyzn lubiących czarną bieliznę, pończochy i pas z podwiązkami. Nie zareagowała jednak na zmysłowy podtekst ukryty w komplementach.

- O drugiej biorę udział w pogrzebie. Uznałam, że ten strój najbardziej się nadaje.

- Prawda... No cóż, szkoda. Chciałem cię wyciągnąć na lunch. Umówiłem się z Harrym Turnerem, dyrektorem oddziału banku, i sądziłem, że będzie to dla ciebie okazja, żeby coś wysondować.

Debora ze szczerym żalem kiwnęła głową. Miała jeszcze nadzieję, że Ryan zasugeruje, aby zrezygnowała z pójścia do krematorium, lecz nie zrobił tego.

A gdyby mi to jednak zaproponował, zastanawiała się, powiedziałabym Markowi prawdę, czy pozwoliłabym, żeby sądził, że nie poszłam, bo to on nie chciał? Po co jednak miałabym uciekać się do kłamstwa? Przecież zawsze byliśmy wobec siebie uczciwi.

Mark widział, jak Ryan opuszcza gabinet Debory. Szedł tam, aby przeprosić ją za swoje cierpkie uwagi, lecz nagle zmienił zamiar.

Nigdy nie lubiłem Ryana, przyznał w duchu otwarcie. Było coś w tym facecie, w jego nastawieniu do życia i ludzi, co go irytowało. Ryan, zgadzając się pozornie z poglądami innych, potrafił jednocześnie demonstrować taką arogancję i brak szacunku dla opinii różniących się od jego zdania, że Markowi aż dech zapierało... A może była to zazdrość?

Nie, jasne, że nie. Mark wiedział jednak, że w oczach świata, w oczach swoich kolegów oceniających go według odwiecznej skali męskich walorów, otrzymałby mniej punktów od Ryana.

A jak widzą go kobiety? Czy Debora w głębi duszy nie gardzi nim i nie pragnie, żeby bardziej upodobnił się do Ryana?

Mark zachmurzył się. Czyżby naprawdę aż tak bardzo obawiał się pogardy Debory? A może obawia się swojej własnej krytycznej oceny?

Pod wpływem tych myśli poczuł się nieswojo, dotknęły one bowiem pewnej cechy, którą w sobie instynktownie tłumił - słabości i braku poczucia bezpieczeństwa.

Wracając do swojego działu, omal nie zderzył się z wychodzącą właśnie stamtąd dziewczyną. Kto zacz, zastanawiał się, odwzajemniając jej uśmiech. Nieznajoma była niskiego wzrostu, miała zgrabną kształną figurę, którą prezentowała z dużą dozą pewności siebie. Kiedy poczuła na sobie jego taksujący wzrok, w jej oczach pojawił się błysk rozbawienia.

- Przepraszam - mruknął Mark automatycznie.

- Niepotrzebnie - odpowiedziała ku jego zaskoczeniu. - To było bardzo przyjemne - dodała i zanim zdążył wymyślić błyskotliwą odpowiedź, zniknęła, pozostawiając za sobą obłok perfum.

- Komputer? Skąd, do diabła, mam wytrzasnąć na to pieniądze?

Słyszac gniw w głosie Joela, Sally westchnęła rozdrażniona i postanowiła interweniować.

- Nie męcz teraz ojca, kochanie - powiedziała. - Później o tym porozmawiamy.

Poczekala, az Paul wyjdzie z kuchni, i dopiero wtedy zwróciła się do męża:

- Nie musisz od razu reagować tak ostro. On tylko pytał. Są jakieś wieści, co z fabryką?

- Gdyby były, powiedziałbym ci chyba - burknął.

Sally zacisnęła zęby. Wiedziała, że Joel się martwi, ale czy on nie widzi, jak te jego ciągłe zmiany nastrojów, te wybuchy, utrudniają jej... im wszystkim... życie? To nie ich wina, że najprawdopodobniej straci posadę.

Zawstydziła się swojej reakcji, odwróciła twarz, żeby nie patrzeć na męża. Próbowala, naprawdę starała się być wyrozumiała, ale i ona ma przecież swoje problemy. Siostra przełożona nieustannie ponawia naciski, aby zdecydowała się na pełny etat, ale przecież ona już teraz musi się dobrze nagimnastykować, żeby pogodzić obowiązki domowe z pracą. A Joel wcale jej w tym nie pomaga.

- Czy ty musisz rozrzucać swoje rzeczy po całym domu?
- naskoczyła na niego widząc, że bezmyślnie położył kurtkę na stole.

- Nie leżałyby tutaj, gdyby Paul nie zatrzymał mnie i nie zaczął wiercić mi dziury w brzuchu o ten cholerny komputer - wybuchnął. - Miałbym ją na karku i zniknąłbym ci z oczu. Naprawdę miło wiedzieć, że nie jestem pożądaną osobą we własnym domu.

- Cóż, sam jesteś temu winien. - Sally przyjęła pozycję obronną. - Gdybyś nie był wciąż taki rozdrażniony, bez powodu nie ryczał na dzieci i nie zachowywał się jak...

- Jak kto? No? No, powiedz - domagał się Joel. - Jak człowiek, który zaraz straci robotę i nie wie, skąd weźmie następną i czy w ogóle uda mu się coś jeszcze zarobić?

- Jeszcze nawet nie wiesz, czy cię zwolnią - zaprzeczyła Sally-a poza tym...

- Poza czym?

Sally wzięła głęboki oddech. Nie miała zamiaru powiadać go o tym w taki sposób, wiedziała, co myśli o jej pracy na pół etatu.

- Przełożona proponuje mi cały etat. To jest sporo pieniędzy, Joel - powiedziała i zanim zdążył otworzyć usta, dodała: - Oczywiście, nie tyle, ile ty zarabiasz, ale jeśli ograniczymy wydatki...

Ograniczymy wydatki? - Joel zmienił się na twarzy. - Może w ogóle bym się wyprowadził? To dopiero byłaby oszczędność! Już ci nie jestem do niczego potrzebny, więc wynocha! Teraz, kiedy siostra chce, żebyś pracowała na pełnym etacie, a ja zostanę bez roboty...

Sally poczuła, jak wzbierający w niej gniew zbliża się do stanu krytycznego. Nie miała czasu na takie rozmowy, na wysłuchiwanie, jak Joel rozczula się nad sobą. Musiała zrobić pranie, prasowanie, chciała przed pracą zdążyć jeszcze do sklepu. Nie miała czasu, ani ochoty, a przede wszystkim siły znosić jego humorów i kłócić się z nim bezustannie.

- Spóźnisz się do fabryki - rzuciła tylko.

Joel sięgnął po kurtkę. Sally odwróciła się do niego plecami. Nagle poczuła, że postąpił krok w jej kierunku. Walczyła ze sobą - i chciała nadstawić policzek na pożegnalny pocałunek, i coś ją powstrzymywało. Miała już dość ciągłych kompromisów, ustępowania dla świętego spokoju. Wiedziała, że on się martwi o swoją posadę, też się martwiła, ale uważała, że wyładowywanie się na dzieciach jest po prostu nie fair.

Na widok jej sztywnych pleców, twarz Joela stężała. Ostatnimi czasy cokolwiek zrobił, było źle. Zawadzał jej, nie chciała go koło siebie, ani w łóżku, ani w domu.

Po wyjściu ojca, Paul wrócił do kuchni.

- Wszyscy w szkole mają komputery - zaczął nudzić i chodzić za Sally krok w krok. - Co tatę ugryzło?

Sally postawiła na stole stertę brudnych talerzy, które niosła do zlewu, i podeszła do syna. Skończył trzynaście lat i uważał siebie za zbyt dorosłego na matczyne pieszczoty i pocałunki, ale teraz wyglądał tak dziecinnie, robił wrażenie tak zagubionego i bezbronnego, że instynktownie wyciągnęła ramiona, mocno go do siebie przytuliła, zmierzwiła czuprynę.

Szkoda, że już nie pachniał mlekiem jak niemowlę. Teraz uderzył jej nozdrza zapach adidasów i szkoły przemieszany z dziwną, obcą męską wonią, świadczącą o tym, że chłopiec szybko dojrzewa i coraz bardziej oddala się od niej.

- Au... -protestował, usiłując się oswobodzić.

- Nie gniewaj się na ojca - powiedziała. - Ma teraz mnóstwo kłopotów na głowie.

Joel zatrzymał samochód trzy domy dalej i ostro zawrócił. Nie mógł jechać do pracy pokłócony z Sally i zostawić sprawy w tym stanie. Możliwe, że zareagował zbyt gwałtownie, odzywając się do niej w taki sposób i prowokując kłótnię. Lecz nie spał po nocach, martwił się, co będzie, jeśli go zwolnią. To była jego rola, jego odpowiedzialność, jego życiowa funkcja, utrzymywać i chronić swoją rodzinę, a skoro tego nie potrafił, to...

Mijając okno w kuchni, dostrzegł Sally tulącą do piersi Paula. W uśmiechu, ciepłym i czułym, widział całą jej miłość do syna. Ile czasu minęło, odkąd ostatni raz jego przytuliła do siebie w ten sposób, na niego patrzyła z miłością?

Odrzucił się na pięcie i skierował z powrotem do samochodu. Złość niczym żrąca żółć piekła mu wnętrzości.

Zazdrosny o własnego syna! W przeszłości Sally bardzo często go o to oskarżała. Zaprzeczała. Oczywiście, kochał dzieci, ale widok jej i Paula złączonych uściskiem uświadomił!

mu boleśnie różnicę, z jaką traktowała jego i ich. Przed nim się zamykała, wobec nich była otwarta i czuła.

Debora starała się przyjechać do krematorium z ostatnimi uczestnikami uroczystości, aby nie zwracając zbytnio na siebie uwagi, wślizgnąć się do tylnych rzędów.

Pierwszą rzeczą, jaka ją uderzyła, była niezwykle mała liczba żałobników.

Drobna, bardzo ładna blondynka w czerni to przypuszczalnie żona, a para starszych ludzi obok niej to prawdopodobnie jej rodzice. Inna para, wysoki mężczyzna o imponującej, władczej posturze i kobieta całą swoją postawą manifestująca, iż jest „ponad to”, trzymali się odrobinę z boku. Strój kobiety świadczył o tym, że pochodzi z ziemiaństwa. Wyglądała na osobę, której synowie uczęszczają do którejś z lepszych szkół z internatem, a córki biorą udział w zawodach jazdy konnej, latem pracują w ekskluzywnej rezydencji w Val d'Isere u znajomych znajomych, a potem wychodzą za mąż za kogoś związanego z wielkim biznesem i oczywiście mającego odpowiednie koneksje rodzinne.

Debora natychmiast zapałała do obojga irracjonalną, instynktowną niechęcią.

Oprócz wyżej wymienionych w sali zasiadła garstka innych ludzi, z trudem wypełniając dwa pierwsze rzędy krzeseł. Nagle Debora poczuła się tu intruzem. Gorzej, ogarnęła ją potworne zażenowanie z powodu popełnienia najokropniejszej gafy i najobrzydliwszego wścibstwa, jakim się zawsze brzydziła. Mark miał słuszość. Nie powinna była tu wcale przyjeżdżać. Odwróciła się i po cichu wymknęła na zewnątrz.

Ryan uśmiełby się, gdyby wiedział, jak się zachowała, szydziłby z jej przewrażliwienia. Patrząc jednak na tę bladą, kruchą blondynkę, Debora wyobraziła sobie, co sama by czuła w takiej sytuacji, jaki żal i udrękę... Czy ta kobieta wiedziała, co jej mąż zamierza uczynić? Oczywiście, że nie mog-

ła wiedzieć. O ile więc cięższy jest teraz jej ból i rozpacz, poczucie nie tyle straty, lecz nie zdanego egzaminu.

Wsiadła do samochodu, przekreśliła kluczyk w stacyjce. Nagle zapragnęła tylko jednego - znaleźć się w domu z Markiem. Tylko ich dwoje, bezpiecznych w swoim intymnym świątku, do którego nikt i nic z zewnątrz nie ma wstępu.

- Gazetę poproszę. Dziękuję - powiedział Joel do dziewczyny za kontuarem i podał jej pieniądze.

W całej fabryce nie mówiono o niczym innym tylko o wyznaczonym na poniedziałek rano spotkaniu załogi z przedstawicielami banku i jakiegoś biura rachunkowego. A co potem? Groźba zwolnienia nie dawała mu spokoju.

Dlaczego kupił tę lokalną szmatę? Doskonale wiedział, co znajdzie w rubryce „Praca”, a raczej, czego nie znajdzie. Cały ten region to miasto, które kiedyś, dzięki małym firmom produkującym części do samochodów, znakomicie prosperowało, teraz zaś nie miało pracy dla ludzi takich jak on. Na co komu teraz fach, z którego zdobycia był tak dumny, i umiejętności, które z takim trudem i samozaparciem opanował? Maszyna sterowana komputerem prawie całkowicie wyparła człowieka.

Kiedy, stojąc na chodniku, przewracał strony z ofertami pracy, druk zaczął mu się nagle zamazywać przed oczami: supermarket poszukiwał kasjerek na pół etatu, firma kolportująca prasę - roznosicieli, szpital - salowych.

Czytając to ostatnie ogłoszenie, skrzywił się ironicznie. Sally kłóciła się z nim zażarcie i nazywała staroświeckim, bo nie zgadzał się, aby pracowała. W istocie jemu wcale nie przeszkadzało to, że ona pracuje, ale to, że jej praca jest potrzebna. Jego duma cierpiała na tym, że nie potrafił sam zarobić na utrzymanie rodziny, ale jeszcze bardziej cierpiała, kiedy widział, że Sally czerpie z pracy tę radość i przyjemność, których nie odnajduje we współżyciu z nim.

Złożył gazetę. Uwagę jego przykuł teraz sunący powoli kondukt pogrzebowy. Wykrzywił usta w gorzkim uśmiechu.

Dziś kremacja zwłok Andrew Rycarta. Błada, niewysoka, krucha blondynka w pierwszej limuzynie to na pewno żona. Wyglądała na młodszą, niż się spodziewał. Kiedy patrzył na limuzynę, wzbierały w nim gniew i gorycz. Jej nic nie grozi. Finansowo jest zabezpieczona, jak oni wszyscy. Nie będzie musiała przeglądać gazet, desperacko szukając posady... Każdej posady, byle płatnej.

Joel miał teraz czterdzieści cztery lata. Ciężko było mu przypomnieć sobie sposób w jaki żył, zarabiając kilka funtów tu, kilka tam, mając się rozmaitych zajęć i nie dbając o pogardliwy stosunek ludzi do niego i jego rodziny, znów unosząc się nad jego losem.

Joel poprzysiągł sobie kiedyś, że jego dzieci zawsze będą mogły nosić głowy wysoko, że nie poznają upokorzeń ani wyrzeczeń, jakich on doznawał w ich wieku.

Kiedy nauczyciel namawiał go, żeby ubiegał się o stypendium umożliwiające bezpłatną naukę w prywatnym gimnazjum, ojciec na tę wieść wybuchnął tylko gromkim śmiechem - jego syn uczniem w jakiejś snobistycznej szkole!

- Wybij to sobie z głowy, synu - oświadczył. - To nie dla takich jak my. Skończysz szesnaście lat i do roboty. Szkoda czasu na te nauki.

Joel rzadko wspominał tamte czasy. Po co? A poza tym był szczęśliwy... szczęśliwy i zadowolony ze swojego życia, dopóki nie zaczęły się kłopoty, a Sally nie zaczęła uważać, że jest gorszy od jej szwagra, który ma dobrą posadę i mieszka w willi.

Cóż, nie zdołał ofiarować Sally niczego podobnego. Już nigdy... Jeśli go zwolnią, to nawet gdyby Sally wzięła cały etat, nie wiadomo, czy uda im się zachować i ten dach nad głową, który mają.

Fiona patrzyła bezmyślnie przez okno limuzyny. Przy kra-
węzniku stał jakiś mężczyzna i intensywnie się w nią wpatry-
wał, a wiatr rozwiewał jego czarne włosy. Nieznajomy, wyso-
ki i szczupły, miał zaciętą twarz o wyraźnie zarysowanych
kościach policzkowych. Przez ułamek sekundy widziała w je-
go spojrzeniu coś tak twardego, dzikiego i zawziętego, że
serce załomotało jej w piersi i z mroku przeszłości wyłonił się
przed nią inny mężczyzna ogarnięty gniewem.

Szybko odwróciła głowę i przygryzła dolną wargę, opano-
wując drżenie podbródka.

Żałowała, że Michael, jej drugi brat, który mieszkał
w Edynburgu, nie zdołał przyjechać na kremację. Wczoraj
wieczorem telefonował, aby się usprawiedliwić. Tłumaczył,
że musi stawić się na umówioną wcześniej prezentację
z klientami firmy zajmującej się wzornictwem przemysłowym,
dla której pracował.

Zapewniła go, że rozumie. Michael był jej zawsze bliższy
niż Robert. O trzy lata młodszy od niego i trzy lata starszy od
niej był tym idealnym starszym bratem, u którego szukała
pocieszenia i zawsze je znajdowała, kiedy nie mogła już dłu-
żej znieść krytyki rodziców i Roberta.

Kiedy wyjechał na uniwersytet i później, kiedy zamieszkał
daleko, brakowało jej go. Mimo że utrzymywali stały kontakt,
Michael i Andrew jakoś nie przypadli sobie do gustu.

Elizabeth ujrzała kondukt pogrzebowy, kiedy po lunchu
wracała do swojego biura. Zatrzymała się niejako automatycznie,
chwilę czekała w skupieniu. Zwróciła uwagę, że bardzo
niewielu przechodniów choćby tylko spojrzeło w stronę wol-
no sunących za karawanem limuzyn, a jeszcze mniej przysta-
nęło, aby w ten symboliczny sposób oddać szacunek zmarłe-
mu. Ci, którzy to uczynili, podobnie jak ona należeli do śred-
niego pokolenia, które jeszcze przywiązywało wagę do zew-
nętrzných form zachowania.

Kondukt przejechał. Mogła teraz przejść przez ulicę. Wzdrygnęła się. Pogrzeb... Jakie to smutne, pomyślała. Oboje z Richardem cieszyli się dobrym zdrowiem i nie byli wcale starzy, chociaż młodzi już także nie. Miała córkę i wnuczkę, pracę, grono bardzo bliskich przyjaciół, lecz nic i nikt nie wypełniłby pustki po Richardzie, gdyby go utraciła.

Richard robił wrażenie pana zbliżającego się raczej do pięćdziesiątki niż sześćdziesiątki, miał bujną czuprynę i szczupłą, wysportowaną sylwetkę. Elizabeth uśmiechnęła się teraz do siebie w duchu na myśl o jego tężyznie fizycznej. Wciąż czerpała ogromną przyjemność z dotykania jego ciała i pieszczot jego rąk... Tak, Richard był pod tym względem wyjątkowy. Często przytulał i całował córkę, jej samej okazywał wiele czułości, obejmował ją, zachowywał się w sposób niespotykany w jego środowisku.

Przypomniała sobie, jak wyściskał jednego ze swoich studentów, któremu po dwóch nieudanych próbach udało się wreszcie zdać egzaminy. Z początku chłopak sprawiał wrażenie zdumionego i zażenowanego, lecz Elizabeth nie mogła zapomnieć, że po chwili w jego oczach zabłyśły dumą i ogromną radością. Zrozumiała wówczas, jaki ciężki i trudny do udźwignięcia jest wpajany chłopcom od dzieciństwa stereotyp mocnego, twardego mężczyzny. Przez krótką chwilę tamten student wyglądał jak mały smyk uszczęśliwiony takim przejawem ojcowskiej aprobaty.

Elizabeth często się zastanawiała, czy to nie dzięki tej właściwości charakteru Richard stał się tak zręcznym i obdarzonym taką intuicją chirurgiem. Chociaż był pod każdym względem bardzo męski, musiał mieć w genach pewną łagodzącą domieszkę kobiecej uczuciowości i wrażliwości, która w jej oczach podkreślała i wzmacniała, a nie tonowała ową męskość.

Robert wygłaszał mowę pogrzebową. Przemawiał głosem pełnym i starannie wymodulowanym, poważnym, jak przy-

stało na osobę mówiącą o zmarłym. Prosił zebranych, aby wybaczyli Andrew słabość charakteru, jaką okazał w ostatnich miesiącach i myśleli o nim takim, jakim był, zanim padł ofiarą niefortunnych okoliczności, które popchnęły go do targnięcia się na własne życie. Można by odnieść wrażenie, iż żywi dla niego głębokie zrozumienie i współczucie, pomyślała Fiona chłodno.

Czyżby to był ten sam człowiek, który odmówił jej pomocy, który tłumaczył, iż nie może sobie pozwolić na to, aby na jego reputacji zaciążyły stosunki z bankrutem, który okazał taki brak charakteru, taki egoizm i dbałość wyłącznie o własny interes?

Zdumiała ją, z jakim dystansem i obojętnością uczestniczy w tej uroczystości. Czuła się tu bardziej jak przypadkowy obserwator niż jak wdowa. Jej serce było jak gdyby zdrtwiałe i sztywne.

Robert skończył. Zgromadzeni rozstąpili się z szacunkiem, czekając, aby uczyniła pierwszy ruch. W milczeniu zaczęła iść przejściem między ławkami do wyjścia. Na zewnątrz owiało ją świeże chłodne powietrze. Sztywna i spięta dziękowała podchodzącym do niej za przybycie i przyjmowała kondolencje.

Niewielu znajomych okazało dość odwagi, aby przyjechać i publicznie przyznać się do znajomości ze zmarłym. Fiona uśmiechnęła się gorzko w duchu. Czyżby bali się klęski niezłym dzumy?

- Chodź, córeczko, kochanie - ponaglał ojciec, biorąc pod rękę. - Wszyscy rozumiemy, co czujesz.

Doprawdy? Fiona miała co do tego wątpliwości. Nie zwracając uwagi na zmarszczkę na jego czole i zaciśnięte wargi matki, oswobodziła ramię.

Doskonale wiedziała, jakich tradycyjnych oznak głębokiego wstrząsu się po niej spodziewają - łez, rozpacz, spazmów.

A jednak idąc do samochodu, nie czuła niczego.

Jeśli w ostatnich dniach płakała, to nie nad Andrew, lecz nad sobą. I nie były to łzy rozpacz, lecz łzy gniewu i obrzydzenia, łzy przyznania się do bezradności; bezradności, na jaką nie mogła sobie teraz pozwolić - ani ze względu na synów, ani ze względu na siebie.

RS

Bolesna spuścizna

6

Fiona z trema szykowała się do wizyty w banku. Jak należy się ubrać na taką okazję? Z całej posiadanej przez nią garderoby czarna garsonka wydawała się najbardziej stosownym i odpowiednim do załatwiania interesów strojem, lecz Fiona wzdrygała się na myśl o włożeniu jej ponownie tak szybko po pogrzebie.

Jej wyjściową garderobę stanowiły jedwabne sukienki w piękne wzory i dopasowane do nich żakiety albo pastelowe zestawy sweterków z jedwabiu i kaszmirowej wełny, które Andrew wybierał dla niej - ubrania zwiewne, wytworne i luksusowe. Fiona zawsze nazywała je w myśli strojami od wielkiego dzwonu, wkładanymi na dzień otwarty w szkole chłopców oraz na wizyty i przyjęcia u znajomych. Piękne stroje dla pięknej kobiety, kosztowne i niepraktyczne, widome oznaki statusu majątkowego i osiągnięć jej męża.

I teraz całkowicie nieprzydatne. Czułaby się w nich niczym współczesna Maria Antonina, obnosząca się z bogactwem, kiedy inni cierpią niedostatek.

Gdy minął pierwszy wstrząs spowodowany śmiercią Andrew, kiedy zmusiła się do przyznania przed sobą do gniewu i wstępu, jakim napawał ją jego czyn, krąg myśli i obaw Fiony zaczął się rozszerzać. Może nie ponosi odpowiedzialności za los fabryki, za los pracowników, niemniej troska, współczucie, wyrzuty sumienia, ciągłe porównywanie własnego położenia z ich położeniem, były silniejsze od woli.

Wychodząc z domu (ostatecznie, tłumiąc uczucie niesma-

ku, włożyła czarną garsonkę) przypomniała sobie, że musi kupić benzynę.

W banku umówiona była na dziesiątą, miała więc mnóstwo czasu, powtarzała sobie, podjeżdżając pod stację benzynową, w której zawsze tankowała. Andrew miał tu swój rachunek. Była to jedna z tych jego szowinistycznych cech, których najbardziej nie lubiła - z jednej strony zapewniał jej wszystko co najlepsze, z drugiej prawie nigdy nie dawał jej do ręki pieniędzy. Za paliwo, ubrania, nawet jedzenie płaciła kartą kredytową, a drobne sumy, jakimi dysponowała, zawsze wydzielał jej Andrew. Podejrzewała, że robił to nie dlatego, że jej nie ufał, ale dlatego, że potrzebna i miła mu była świadomość, iż sprawuje całkowitą kontrolę nad nią i nad całym jej życiem.

Nabrała benzyny do pełna i weszła do kantoru.

Uśmiechnęła się do kobiety za kasą, żony kierownika, i spytała, czy możliwe by było wliczenie dzisiejszej należności do jej kredytu.

Kobieta zarumieniła się zażenowana i spojrzała niepewnie za siebie w kierunku otwartych drzwi, za którymi, jak domyśliła się Fiona, prawdopodobnie znajdowało się biuro. Potem, mimo że w kantorze nie było nikogo poza nimi dwiema, zniżyła głos, pochyliła się do przodu i powiedziała:

- Przykro mi, pani Rycart, ale czy mogłaby pani zapłacić gotówką?

Zaskoczona i równie jak tamta zmieszana, rumieniąc się lekko, Fiona otworzyła torebkę i zaczęła szukać portmonetki.

- Takie mamy przepisy - zaczęła wyjaśniać kasjerka, wciąż skrepowana. - Kredyt był na nazwisko pani męża i...

- Oczywiście. Rozumiem panią - zapewniła ją Fiona. Kiedy otwierała portmonetkę, czuła, że policzki zaczynają jej płonąć ze wstydu. Ile może mieć przy sobie pieniędzy? Boże, żeby tylko wystarczyło na benzynę, modliła się w duchu. Dla czego, do diabła, nie przyszło jej do głowy, że znajdzie się

w takiej sytuacji? Na końcu każdego miesiąca Andrew zawsze czekał na regulację rachunku za benzynę, powinna więc być przewidzieć, że z chwilą jego śmierci zaczną się kłopoty. Agjent wykazał większą przytomność umysłu.

Chociaż z ulgą stwierdziła, że wystarczy jej drobnych na zapłacenie za benzynę, nadal była wściekła na siebie za ten żalostny brak zdrowego rozsądku i zmysłu praktycznego w codziennych sprawach. Żeby nie przewidzieć takich kłopotów! Mogła, co prawda, podpisywać czeki ze wspólnego konta - uzyskanie tego przywileju zabrało jej całe miesiące - lecz jednorazowo tylko do wysokości pięćdziesięciu funtów i nie więcej niż dwustu na miesiąc.

Wsiadając do samochodu, doszła do wniosku, że z pewnością to było jedną z przyczyn, dla których dyrektor banku wezwał ją do siebie na rozmowę.

Neville Wilson robił wrażenie całkiem sympatycznego mężczyzny, typowego bankowca w staroświeckim stylu, szacownego i może nawet odrobinę nudnawego, zapalonego gracza w golfa, człowieka przestrzegającego wszelkich reguł i zasad towarzyskich obowiązujących w małomiasteczkowej społeczności. Fiona podejrzewała, że bez owych konwensów czułby się niepewny i zagubiony.

Andrew często się przed nią przechwalał, że jest jednym z najznacniejszych klientów banku i że to głównie dzięki jego smykałce do interesów, inicjatywie i przebojowości zarząd ma coraz lepszą opinię o Nevillu.

- Nic dziwnego, że go nigdy nie awansowali - powiedział kiedyś Andrew, kiedy wychodzili z kolacji u Wilsonów. Był w wyśmienitym humorze i przy stole opowiadał ze swadą o przetargu, który spodziewał się wygrać. - Jest zbyt ostrożny... zbyt przywiązany do podążania utartymi torami. Wciąż mu powtarzam, że dzisiaj, żeby zrobić pieniądze, trzeba je wydawać. Jego własny szef przyznaje mi rację. W gruncie rzeczy zaczynam przemyśliwać, czy nie ominąć by Nevilla

i nie kontaktować się bezpośrednio z centralą. W ten sposób o wiele szybciej miałbym jakieś decyzje. Oni rozumieją, że w dzisiejszych czasach liczy się tempo.

Tamtego wieczoru Andrew roznosiła energia. Kiedy się położyli, kochał się z nią. Nieomylny znak, że był w dobrym nastroju.

Kochał... Fiona skrzywiła się na myśl do jakiego stopnia bywała czasami nieodrodną córką swoich rodziców. Z Andrew nigdy się nie „kochali”, ich stosunków nie można było nawet nazwać uprawianiem seksu; należałoby raczej powiedzieć, że dochodziło między nimi do fizycznego zbliżenia, fizycznego, lecz nie umysłowego, a z pewnością nie duchowego.

Po tamtym przyjęciu przez kilka miesięcy nie widziała Nevillea, spotkała go dopiero u kolejnych wspólnych znajomych.

- Przykro mi, że Andrew jednak nie podpisał tego kontraktu z Japonią - odezwał się Neville przyciszonym głosem do Fiony, kiedy już wstali od stołu. - Musiało to być dla niego ogromne rozczarowanie. Wiem, jak bardzo liczył na te zamówienia.

Fiona nic nie odpowiedziała. Bo co mogłaby powiedzieć? Nie wiedziała nic o żadnym kontrakcie. Uśmiechnęła się więc i zmieniła temat, pytając Neville'a, czy udało mu się pojechać do Wentworth na specjalny mecz golfa amatorów i zawodowców. Wiedziała, że ta kwestia na pewno zainteresuje jej rozmówcę.

Przypominając sobie tamtą wymianę zdań, Fiona skrzywiła się gorzko.

Czyżby Neville próbował ją wówczas ostrzec sugerując, że sprawy przybierają niekorzystny obrót dla Andrew? Lecz jeśli nawet dawał jej taki sygnał, co ona mogłaby zadziałać? Była ostatnią osobą, której Andrew by posłuchał albo się zwierzył.

Spójrz prawdzie w oczy, powiedziała do siebie, wchodząc

do banku. Andrew nie posłuchałby nikogo, kto próbowałby mu powiedzieć rzeczy, których on nie chciał słyszeć. Taki już był.

Przyjechała o kilka minut za wcześnie, a pamiętając, że wydała niemal całą posiadaną gotówkę na benzynę, już miała skierować kroki do hali kasowej, żeby podjąć trochę pieniędzy ze wspólnego rachunku z Andrew, kiedy przypomniła sobie poniżającą sytuację, w jakiej się znalazła na stacji benzynowej. Postanowiła więc zaczekać, aż porozmawia z Nevillem i załatwi wszelkie sprawy, które upoważnią ją do swobodnego korzystania z konta.

Minutę przed dziesiątą do holu weszła młoda kobieta, wysoka, ubrana z dyskretną elegancją w karmelowo-beżowy kostium i o ton jaśniejszą kremową, jedwabną koszulową bluzkę. Kobieta roztaczała wokół siebie aurę, której Fiona automatycznie jej pozazdrościła. Chociaż nieznajoma była z wyglądu bardzo atrakcyjna, obserwując ją, Fiona natychmiast stwierdziła, że to nie uroda decyduje o tej wzbudzającej zazdrość i emanującej z całej postaci pewności siebie, kompetencji i profesjonalizmie.

Ta młoda kobieta uosabiała to wszystko, czego jej nigdy nie pozwolono osiągnąć. Mimo że różnica wieku między nimi nie była znaczna, osiem, a może nawet mniej lat, dzielił je ocean nie czasu lecz doświadczeń życiowych.

Na widok wychodzącego z biura Nevillea Fiona wstała, lecz on przywitał się wpieryw w dziewczyną, a dopiero potem zwrócił się ku niej, przepaszając na wstępie za to, że nie mógł wziąć udziału w kremacji.

Zaprosiwszy obie kobiety do gabinetu, ponownie wyróżnił dziewczynę, wskazując jej bardziej prominentne miejsce i szybko przedstawił ją Fionie jako przedstawicielkę biura, któremu bank zlecił przeprowadzenie likwidacji fabryki Kilcoyne.

Dzięki Robertowi Fiona była przygotowana na taki komu-

nikat, lecz poważny ton Neville'a i głęboka zmarszczka na czole, kiedy pochylił się nad leżącymi na biurku dokumentami, wzmogły jej niepokój. Szok spowodowany słowami, których się lękała, spływał do żołądka, napięcie paraliżowało wszystkie mięśnie.

Przyzwyczajenie i trening radziły siedzieć, słuchać, schować się za zasłonę na wpół zastygłego milczenia, lecz dawne, długo tłumione instynkty podpowiadały, aby nie chowała głowy w piasek. Ostrzegają, że musi bronić nie tylko samej siebie, lecz i swoich synów.

Neville wciąż marszczył czoło. W pewnej chwili zakasłał, chrząknął, a następnie przemówił:

- Zdaję sobie sprawę, Fiono, że spadło to na ciebie nagle, ale obawiam się, że musimy o tym porozmawiać.

- Tak... oczywiście, rozumiem - odpowiedziała Fiona lekko schrypniętym głosem. - Tylko... - czuła, jak gardło jej się zaciska, a do oczu zaczynają napływać łzy strachu.

Nie możesz... nie wolno ci... nie rozplączesz się... nakazywała sobie w duchu. Kątem oka dostrzegła spokojny wyraz twarzy Debory i natychmiast pozazdrościła jej opanowania.

Taka młoda, a tak ostentacyjnie pewna siebie. Na pewno ma doskonale zorganizowane życie... Niech tak na mnie nie patrzy... Cię współczucia, jaki Fiona dostrzegła we wzroku tamtej kobiety, sprawił, że poczuła się gorzej zamiast lepiej.

Zacisnęła zęby, podniosła głowę i spojrzała Neville'owi prosto w oczy.

- Czy mógłbyś mi wytłumaczyć dokładnie, jak przedstawia się sytuacja? - poprosiła cichym głosem. - Andrew nie miał zwyczaju omawiać ze mną swoich interesów. Nie należał do tego typu ludzi, więc ja...

Umilkła, oblała się rumieńcem wstydu, zdając sobie sprawę z tego, jak głupio brzmi jej przemowa i że z jej słów przebijają nie tylko ukryta potrzeba usprawiedliwiania się, lecz i błaganie o przebaczenie.

Neville Wilson przyglądał się jej uważnie. Biedaczka wciąż jest w szoku, myślał, i nic dziwnego. Nie pierwszy raz znajdował się w podobnej sytuacji i pewnie nie ostatni. Cóż jednak mógł poradzić? Ostrzegał wszakże Andrew o ryzyku, jakie podejmuje, lecz Rycart nie chciał go słuchać. Nie zaskoczyło go więc teraz, że nie wprowadzał żony w tajniki swoich interesów.

- Wielu mężczyzn zachowuje się podobnie - odezwał się.
- Czasami podejrzewam, że w pewnej mierze to owa tajemniczość, świadomość, że wszystko dzierzą w dłoni, napędza ich do działania i zapewnia sukces. Niestety, ta sama tajemniczość i wyłączna jednoosobowa kontrola zwraca się przeciwko nim, gdy coś zaczyna się psuć. Kilkakrotnie przy różnych okazjach próbowałem ostrzec Andrew, że balansuje na krawędzi, lecz...

- Ale bank wciąż mu pożyczał pieniądze - wtrąciła Fiona już opanowanym tonem.

Neville nieznacznie wzruszył ramionami.

- Och, wówczas sytuacja była inna. To był czas dynamicznego rozwoju. Zarząd chciał, żebyśmy udzielali kredytów, a Andrew miał zabezpieczenie, albo przynajmniej...

- Firma pani męża nie jest jedyną, która ucierpiała - Debora przejęła inicjatywę. - Jeden z problemów, przed którymi stają małe zakłady, polega na tym, że wartość ich zabezpieczenia, czyli środków, które stanowią gwarancję kredytów, szybko spada. Liczba bankructw ostatnio bardzo wzrosła...

- A samobójstw? - wyrwało się Fionie, zanim zdążyła ugryźć się w język. - Przepraszam... To nerwy... - dodała, chcąc się usprawiedliwić.

Przyszła tu przecież, żeby wysłuchać, co Neville i ta młoda kobieta mają jej do powiedzenia, a nie aby wyładować frustrację i gniew z powodu tego, co się stało.

Debora obserwowała Fionę. Nie ulegało wątpliwości, że ta ubrana w czerń blondynka jest wstrząśnięta i zrozpaczona.

Debra szczerze jej współczuła, nieszczęsny los tej kobiety obszedł ją bardziej, niż się spodziewała. Czy czułabym to samo, gdybym miała do czynienia z mężczyzną? Nie potrafiła sobie odpowiedzieć na to pytanie, lecz doszła do wniosku, że mężczyzna zapewne nie znalazłby się w takim położeniu.

W biurze i w domu, przeglądając dostarczone przez bank dossier przedsiębiorstwa i jego właściciela, łatwo było krytykować, potępiać, dystansować się od skutków, jakie brak kompetencji Andrew Ryecarta i jego tupet wywierały na życie innych ludzi. Tutaj jednak, w konfrontacji zjedną z ofiar, o ile nie z główną ofiarą, Debra nagle zrozumiała, co miał na myśli Mark mówiąc, że tej strony ich zawodu nie jest w stanie strawić.

Niemniej jej praca wymagała żołądka zdolnego strawić kamień, jak niewątpliwie powiedziałyby cynicznie Ryan, gdyby zwierzyła mu się ze swoich mieszanych uczuć.

Milcząc przysłuchiwała się, co teraz mówił Neville Wilson.

- Andrew wpadł w tę samą pułapkę, co wielu ludzi w latach osiemdziesiątych - tłumaczył wdowie. - Kupił przedsiębiorstwo, w momencie kiedy kredyty były nisko oprocentowane, a następnie zapożyczył się po uszy, żeby unowocześnić park maszynowy, kupić kolejne zakłady, zwiększyć zatrudnienie. Cały czas trwał w przekonaniu, że rynek zbytu na jego produkty rośnie. W bankowości określa się to terminem - *overtrading*, a mówiąc potocznie - twój mąż przeinwestował, „przegrzał”. Niestety, ludzie tacy jak Andrew bardzo rzadko słuchają ostrzeżeń. Dodatkowo w jego przypadku sytuacja przedstawiała się o tyle mniej korzystnie, że stopa procentowa zaczęła gwałtownie rosnać, on zaś za wszelką cenę chciał zdobyć nowy kontrakt. Pożyczył więc jeszcze więcej, zainwestował w fabrykę, zbudował nowe hale, ciągle licząc na wygranie przetargu. W owym czasie zabezpieczenie, jakie przedstawiał, oczywiście wystarczało, ale...

- Przypuszczam, że doradca finansowy pani męża, podobnie jak bank, przestrzegał go, aby działał niezwykle ostrożnie - wtrąciła Debora. - Nasze biuro zawsze radzi klientom, aby, jak to się mówi, nie wkładali wszystkich jajek do jednego koszyka. Rozsądniej jest zawierać kilka mniejszych kontraktów zamiast jednego dużego. Mniejsze, aby zarobić na chleb z masłem, plus jeden duży na marmoladę, to oczywiście najkorzystniejsze rozwiązanie. Nawet gdyby pani mąż zdobył ten kontrakt, i tak byłby w poważnych kłopotach. Wiele z tych potężnych firm traktuje kontrakty jak przynętę, a kiedy ryba już się złapie, kiedy jakaś firma już się mocno od nich uzależni, używają swojej potęgi, aby wymusić obniżenie ceny produktów czy usług. To powszechnie stosowana praktyka, lecz nawet najbardziej rozsądni przedsiębiorcy pod wpływem euforii, że udało im się zdobyć zamówienia, często o tym zapominają. Niestety, pani mąż - ciągnęła Debora - miał już bardzo obciążone konto, jeszcze zanim przystąpił do przetargu i zaczął rozbudowywać fabrykę, żeby ten przetarg wygrać. Kiedy ostatecznie okazało się, że kontraktu nie podpisze, mógł go ewentualnie uratować jedynie potężny zastrzyk gotówki, lecz on już nie mógł zaciągnąć dalszych kredytów, gdyż wcześniej zapożyczył się do wysokości zabezpieczenia, jakim dysponował. Bank będzie miał dużo szczęścia, jeśli zdoła odzyskać te pieniądze.

- Czy nie da się jakoś uratować firmy? - spytała Fiona.

Debora pokręciła głową.

- Przykro mi to mówić, ale nie. Gdyby tak było, bank zaleciłby wyznaczenie syndyka masy upadłości. Przejeliby zarządzanie firmą, nie zamykaliby fabryki, aż znalazłby się chętny kupiec...

- I nie da się tak właśnie postąpić? - spytała Fiona z nadzieją. Może gdyby porozmawiała z Robertem, położyła nacisk na to, ilu ludzi znajdzie się na bruku, jeśli fabrykę zamkna, podbechtała trochę jego miłość własną, wspomniała

o wizerunku publicznym i popularności, jaką by zdobył w okręgu jako ten, który „ocalił” zakłady Kilcoyne... - A gdyby znalazł się inwestor... - zaczęła.

Debora ponownie pokręciła głową. Dlaczego tak mi jej żal, dlaczego tak współczuję tej biedaczce, zastanawiała się. Przecież jest dokładnym przeciwieństwem mnie, żałośnie bezbronny i naiwny kobieciutkiem, które nigdy pewnie nie musiało się martwić o nic więcej niż menu na kolejne przyjęcie. Jej znajomość spraw międzynarodowych ogranicza się pewnie do nazwiska projektanta strojów Hillary Clinton, spraw finansowych - do ceny kostiumu Chanel, a notowania giełdowe to dla niej abrakadabra. Dokładnie jak mama. Debora zaniepokoiła się. Skąd nagle takie porównanie?

- Potencjalny inwestor musiałby wyłożyć ponad dwa miliony funtów - rzuciła natychmiast.

Fiona poczuła, że blednie, że krew wysysana przez jakąś gigantyczną pompę próżniową odpływa jej z twarzy, z żył... że drży... że robi jej się słabo.

- Dwa miliony funtów! Ale... ale to nie... to nie... - zaczęła się jąkać. - Andrew nigdy by nie pożyczył tyle pieniędzy! Nie mógł!

Debora nic nie powiedziała, odczekała tylko kilka sekund, zanim z leżącej przed nią teczki wyjęła dokument znajdujący się na samym wierzchu i wyjaśniła spokojnie:

- Nasze zadanie jako likwidatorów wyznaczonych przez bank, który jest głównym wierzycielem, co oznacza, że mąż pani miał największy dług wobec nich, polega na odzyskaniu jak największej sumy pieniędzy. Normalnie robi się to, likwidując aktywa firmy... stąd termin likwidacja. Oto lista aktywów, do których prawa ma bank. Pożyczając od banku pieniądze, mąż pani przepisywał te aktywa na bank w formie zabezpieczenia, niejako pod zastaw.

Fiona starała się słuchać uważnie, ale wciąż nie mogła się otrząsnąć z szoku wywołanego astronomiczną sumą długu

zaciągniętego przez Andrew. Dwa miliony funtów! Jak to możliwe, że pożyczył aż tyle pieniędzy?

Debora podniosła głowę znad papierów i spojrzała na Neville'a Wilsona. Do niego należało poinformowanie pani Ryecart o rozmiarach zadłużenia i wynikających z tego konsekwencjach.

W milczeniu schowała dokument do teczki.

- A pracownicy? - Podnosząc się z miejsca, usłyszała paniczne pytanie Fiony. - Co będzie z nimi?

- Otrzymają zwolnienie grupowe - odparła Debora. - Dziś po południu odbędzie się zebranie, na którym załoga zostanie poinformowana o tym, co się stało.

- Zwolnieni! - wykrzyknęła Fiona i przeniosła wzrok na Neville'a.

- Nie mamy wyjścia - wyjaśnił Neville. - Podejmujemy rutynowe działania przewidziane w takiej sytuacji. Każdy kolejny dzień roboczy tylko powiększa masę długu. Żałuję, że nie zdołałem przekonać Andrew. Próbowałem ostrzec go przed ryzykiem, ale...

- Tak jak się umówiliśmy, skontaktuję się z panem jutro - przerwała mu Debora, a zwracając się do Fiony dodała: - Przykro mi, że to wszystko spadło na panią tak niespodziewanie...

Wychodząc z gabinetu Wilsona, Debora dziękowała swoim szczęśliwym gwiazdom, że nie jest typem kobiety, która wpadłaby w podobną pułapkę co pani Ryecart. Żeby do tego ropnia dać się uzależnić od mężczyzny i nie mieć pojęcia o jego sytuacji finansowej!

Przemknęło jej przez myśl, że Ryan należy do tego samego gatunku mężczyzn co Andrew Ryecart.

Tymczasem w gabinecie Neville'a Wilsona Fiona również wstała, szykując się do wyjścia, lecz bankowiec powstrzymał ją, gestem dłoni wskazując, aby z powrotem usiadła.

- Nie, nie, Fiono - powiedział - mamy jeszcze jedną czy

dwie rzeczy do omówienia... związane z prywatnymi sprawami Andrew.

Prywatne sprawy Andrew. Fiona pustym wzrokiem wpatrywała się w swojego rozmówcę. Jeszcze nie otrząsnęła się z szoku. Przytłoczona wiadomością, że egomania jej męża zniszczyła życie nie wiadomo ilu ludziom, zapomniała o sobie, o własnym gniewie i rozgoryczeniu.

Wszyscy ci ludzie stracą pracę, na dodatek w mieście, gdzie najprawdopodobniej nie mają szansy na znalezienie żadnego innego zajęcia!

- Jak on mógł? - spytała drżącym głosem. - Jak on mógł tak ryzykować?

- Taki już miał charakter, Fiono - odparł Neville. - Emocje związane z tego rodzaju hazardem potrzebne mu były do życia jak powietrze. Lubi! ryzyko.

- Rzucać na szalę los innych ludzi, ich byt? - spytała Fiona z goryczą. W jakimś zakamarku jej umysłu rodziła się myśl, że Andrew był nie tylko graczem nałogowo potrzebującym dreszczyku związanego z podejmowaniem ryzyka, lecz jednocześnie tchórzem, lekkomyślnie żonglującym przyszłością i bytem innych, kompletnie niezdolnym do stawienia czoła przegranej, jeśli fiasko niszczyło go osobiście.

- Chciałeś porozmawiać ze mną o prywatnych sprawach Andrew, tak? - odezwała się po chwili. - Dom był zapisany na jego nazwisko, sądzę jednak, że przepisanie go na mnie, jako wdowę po nim, to jedynie formalność. Podobnie z kontem bankowym. Przyznam szczerze, że nigdy nie przywiązywałam do tych rzeczy właściwej wagi. Dziś rano, kiedy pojechałam po benzynę, znalazłam się w bardzo niezręcznej sytuacji. Zablokowali rachunek Andrew i musiałam wyzbyć się ostatnich drobnych z portmonetki. Będę musiała podjąć jakąś sumę.

Neville odchrząknął i spojrzął na rozłożone na biurku papiery.

- Obawiam się, że to nie będzie takie proste, Fiono.

Podniosła na niego wzrok. Widząc wyraz twarzy bankowca, poczuła, że żółądek podjeżdża jej do gardła jak w windzie jadącej z dużą szybkością w dół. I jeszcze zanim zaczął wyjaśniać szczegóły, przeczowała, że usłyszysz bardzo, bardzo złe wiadomości.

- Zajmijmy się po pierwsze domem, dobrze? - zaczął Neville. - Kiedy Andrew zwrócił się do nas po dodatkową pożyczkę, mogliśmy mu udzielić kredytu tylko pod warunkiem otrzymania zabezpieczenia. Aktywa firmy były już zastawione, więc jedyne, czym Andrew mógł jeszcze dysponować, był dom i oczywiście polisy ubezpieczeniowe. Gdyby dom był zapisany na was oboje, bank byłby oczywiście zobligowany poinformować ciebie i uzyskać twoją zgodę i podpis na odpowiednich dokumentach, lecz skoro był zapisany tylko na Andrew...

Fiona drżała, chociaż w pokoju wcale nie było zimno.

- Co usiłujesz mi przez to powiedzieć?

- Że obecnie dom należy do banku, tak samo jak pozostały majątek - odparł z ciężkim westchnieniem. Fiona zauważyła, jak trudna i nieprzyjemna była dla niego ta rozmowa; zdradzały to oczy i nerwowe ruchy palców niespokojnie dotykających teczki na biurku. - I podobnie jak aktywa firmy będzie musiał być sprzedany, a pieniądze uzyskane tą drogą pójną na spłatę kredytów.

- A jak... jak długo to potrwa? - spytała Fiona. W rzeczywistości chodziło jej o to, jak długo jeszcze będzie miała dach nad głową.

- Nie wiem. Tę decyzję podejmie zarząd, gdyż to oni wyrazili zgodę na dodatkowe kredyty.

- Co z kontami? - spytała dalej Fiona. Znowu czuła suchość w gardle. Co z pieniędzmi na kontach? Muszą być jakieś pieniądze... bo jeśli nie, jak, na miłość boską, da sobie radę... z czego będzie żyła?

Neville spuścił głowę.

- Obawiam się, że na kontach jest poważny debet. Na wszystkich, Fiono...

Debet. Fiona przełknęła ślinę, była zdruzgotana, zrozpaczona.

- Ogromnie mi przykro, że tak sprawy wyglądają - powiedział Neville ze współczuciem w głosie.

Fiona wstała. Gabinet Neville'a przyprawił ją o klaustrofobię. Dusila się w nim.

- Skontaktuję się z tobą, jak tylko otrzymam jakieś wiadomości z zarządu - obiecał Neville i dodał zażenowany: - A tymczasem staraj się nie zamartwiać. Jedno dobre, że przynajmniej chesne jest opłacone do końca roku szkolnego. Wiesz... w ratuszu udzielają porad osobom, które popadły w długi. Może skontaktuj się z nimi?

Po co? - chciała zapytać Fiona. Czy dadzą mi dwa miliony funtów na spłatę długów Andrew? Była jednak tak bliska łez, że nie odważyła się otworzyć ust. To nie wina Neville'a, że Andrew działał tak lekkomyślnie.

Czy Robert o tym wszystkim wiedział? - zastanawiała się, chwiejnym krokiem wychodząc na świeże powietrze. Może właśnie z tego powodu chciał się odciąć od całej sprawy? A rodzice? Jak zareagują na wiadomość, że grozi jej wyrzucenie na bruk?

Pod powiekami czuła palące łzy bezradności. Zaczęła rozczulać się nad sobą. Z pochyloną głową, nie tyle dla ochrony przed wiatrem, lecz bardziej z obawy przed ewentualnymi ciekawskimi i współczującymi spojrzeciami przechodniów, pospieszyła w stronę samochodu.

Zaparkowała na rynku, w poniedziałek pustym, bez kramów. Nad placem dominował, zbudowany w szczytowym okresie prosperity epoki wiktoriańskiej, gmach ratusza, z imponującą fasadą, o wiele za duży i zbyt okazały, nie pasujący do otoczenia.

Otwierając drzwiczki auta i wyjmując kwit za parkowanie, Fiona uświadomiła sobie nagle, że funtowa moneta, którą wrzuciła do taksometru, była praktycznie ostatnią, a banknoty, którymi płaciła za benzynę, stanowiły cały jej majątek.

Paniczny strach, jaki ją ogarnął, kiedy stała uczepiona na wpół otwartych drzwiczek samochodu, był najgorszym uczuciem, jakiego w życiu doznała. Przetoczył się przez nią, przyniósł, wstrząsnął, zamienił w ludzki strzęp, a doznany wstyd i poniżenie niczym kęsający płomień zaczęło parzyć całe jej ciało.

Od jak dawna żyli na kredyt? Od jak dawna wydawała cudze pieniądze, nie wiedząc o tym? Dlaczego się nie zorientowała... nie pytała... nie odgadła...?

Lecz mimo że starała się złością na samą siebie odpędzić strach, nie udawało jej się.

Zdołała jakoś wsiąść do samochodu, włączyć silnik i ruszyć.

Kiedy przed domem zobaczyła zaparkowaną limuzynę Roberta, a jego samego stojącego obok i wypatrującego jej na podejździe, poczuła ulgę prawie tak silną, jak lęk, który jej nie opuszczał od wyjścia z banku. Robert będzie wiedział, co powinna robić, pocieszała się wysiadając. Jest jego siostrą, jej dzieci są jego siostrzeńcami. Stanowią jedną rodzinę, a on ma większe doświadczenie i wiedzę w sprawach finansowych niż ona.

- Co się stało? O co chodzi? - spytał Robert, kiedy tylko zobaczył twarz siostry.

Fiona potrząsnęła jedynie głową.

- Wejźmy do środka - powiedziała i dopiero wówczas spostrzegła, że Robert nie jest sam i że w limuzynie siedzi jego żona.

Lidia wysiadła i obrzuciła szwagierkę chłodnym spojrzeniem. „Obowiązek” należał do jej ulubionych słów i Fiona

doskonale wiedziała, że to właśnie „obowiązek” kazał bratowej przyjechać.

- Byłaś w banku? - brzmiało pierwsze pytanie Roberta, kiedy znaleźli się wewnątrz domu.

- Tak - potwierdziła Fiona. Opanowawszy ucisk w gardle, dodała: - Bank zlecił formalną likwidację firmy...

- Mniejsza o fabrykę - przerwał jej Robert. - Co z majątkiem prywatnym?

Fiona wprowadziła gości do salonu i dopiero wtedy spytała:

- Jakim majątkiem? Ten dom jak i cały pozostały majątek, włączając w to polisy ubezpieczeniowe, został przekazany bankowi w formie zabezpieczenia kredytu.

Z przerażeniem stwierdziła, że rewelacje te nie wstrząsnęły Robertem, a zaciskające się w wąską linijkę wargi Lidii mocniej od słów mówiły, co o tym wszystkim myśli.

- Neville ma mnie zawiadomić, co zdecyduje zarząd - relacjonowała dalej Fiona, niczym dziecko, które nauczyło się na pamięć lekcji.

- Zdecydować mogą tylko jedno - odezwała się Lidia i prychnęła pogardliwie. - Wystawią dom na sprzedaż. Naprawdę, Fiono, nigdy nie powinnaś pozwolić Andrew tak ryzykować...

- Lidio, nie teraz... - przerwał jej zażenowany Robert, a następnie, zwracając się do siostry, zmienił ton i ze sztucznym entuzjazmem zaproponował: - Może napilibyśmy się herbaty? Zimno dziś.

- Oczywiście - powiedziała Fiona. - Zaraz zaparzę.

Dopiero w kuchni przypomniała sobie, że skończyły jej się torebki i że zajęta tragicznymi przeżyciami zapomniała kupić nową paczkę.

Zawróciła do salonu, chcąc spytać, czy może być kawa, lecz słysząc podniesiony głos bratowej, zatrzymała się przed drzwiami.

- Doprawdy, Robercie - perorowała Lidia. - Musisz przyznać, że sama wpakowała się w tarapaty. Powinna bardziej interesować się tym, co się wokół niej dzieje. Gdyby poświęciła odrobinę więcej czasu pilnowaniu Andrew, a mniej psuciu tych okropnych dzieciaków, nie doszłoby do tego. Jak mogła być taka głupia, żeby pozwolić mu zastawić dom? Wiem, że nie jest najbardziej inteligentną z kobiet, ale... Wyznam szczerze, że nie powinniśmy tutaj być... ani się mieszać. Nie wyjdzie ci na dobre angażowanie się w cały ten galimatias. Szanuję fakt, że to twoja siostra, ale co możemy zrobić?

- Jeśli straci dom... - teraz z salonu dobiegł niepewny głos Roberta.

- Jeśli straci? - Fiona zwróciła uwagę na szyderczą intonację bratowej. - Nie ma co do tego dwóch zdań, że go straci, a co potem zrobi...? Cóż. Będzie musiała przenieść się do rodziców. Nie może przecież zamieszkać z nami. Pomyśl, jakie to by było dla wszystkich niezręczne. Żywe memento tego, co się stało. Dla ciebie to jak gwóźdź do trumny. I tu nie chodzi tylko o nią, ale i o dzieci... Prawdopodobnie skończyłoby się na tym, że musielibyśmy płacić chesne i za nich, i za Sebastiana. Otóż właśnie... Nie będę udawać, że popieram sposób, w jaki ci chłopcy są wychowywani. Mieliby zły wpływ na Sebastiana, no i oczywiście wciąż wynikałyby nowe problemy. Sebastiana czeka zupełnie inne życie, zupełnie inne perspektywy w przyszłości... Aha. ojciec wspomniał któregoś dnia, że w tym roku trzeba by pozwolić mu wziąć udział w polowaniu. Ojciec zaczynał, kiedy miał siedem lat, a Sebastian kończy już dziesięć...

- Co z tą herbatą?

Trzęsąc się z gniewu, Fiona wróciła do kuchni i na znak buntu zaparzyła kawę, a przewidując reakcję Lidii, nałała ją do najgrubszych kamionkowych kubków, jakie znalazła.

Nie omyliła się. Rzuciwszy okiem na tacę, bratowa zdobyła się na najbardziej przelotny ze swoich lodowatych uśmiechów i potrząsnęła odmownie głową.

- Kawa? Och, nie. Nie tknę tego. Nigdy nie pijam kawy o tej porze. Może to głupio z mojej strony, ale wciąż uważam, że to tylko ekstrawagancja stosowna po proszonej kolacji... Właśnie rozmawialiśmy z Robertem - Lidia przeszła do meritum - że może jedynym jaśniejszym punktem tej afery jest to, że przynajmniej rodzice będą mogli ofiarować ci dach nad głową. Chociaż muszę powiedzieć - dodała, nie doczekawszy MC od Fiony żadnego komentarza - że wciąż nie mogę zrozumieć, jak mogłaś pozwolić Andrew działać tak nierozważnie. Musiałaś się orientować, co się święci...

- Musiałam? - Fiona przeniosła wzrok z bratowej na Roberta. - A kiedy ty się zorientowałaś, Robercie?

Robert zarumienił się zażenowany, chrząknął, lecz zanim zdążył otworzyć usta, Lidia już zaczęła odpowiadać w jego imieniu.

- Cóż, domyśliliśmy się oczywiście - mówiła głosem nabrzmiałym pogardą - że coś się psuje, kiedy Andrew przyjechał i zwrócił się do Roberta o pożyczkę. Takich rzeczy się po prostu nie robi. To było nadzwyczaj żenujące. Bardzo się na niego rozgniewałam za to, że stawia Roberta w tak niezręcznej sytuacji. Nikogo z rodziny nie prosi się o pożyczkę. Z tego zawsze wynikają kłopoty.

- Tak, jestem pewna, że masz rację - odparła Fiona, sama lekko zaskoczona, że udało jej się przemówić. Odwróciła się plecami do Lidii i patrząc bratu prosto w oczy, powiedziała: - Możesz spać spokojnie, ja nigdy nie poproszę cię o pożyczkę, Robercie, a co do moich chłopców - dodała, zwracając się znowu do Lidii i przesywając ją ostrym niczym sztylet spojrzeniem - to nie ich mi żal, ale Sebastiana.

Niemal nie słyszała okrzyku, z jakim Lidia, purpurowa na twarzy, zerwała się z miejsca.

- Sądzę, że na nas już czas, Robercie. Twoja siostra jest najwyraźniej przemęczona.

Fiona odprowadziła ich do drzwi. Oczekała, aż Lidia wyszła pierwsza i wówczas, kładąc lekko dłoń na ramieniu brata, powiedziała z lekką ironią:

- Dzięki za wsparcie i pomoc, Robercie.

Bez wyrzutów sumienia zobaczyła, jak poczerwieniał ze wstydu. Wciąż była tak wściekła na Lidie za krytyczne uwagi pod adresem jej synów, że nie dbała o to, jak bardzo nieaktownie się zachowuje.

RS

Bolesna spuścizna

7

Przekroczywszy bramę fabryki, Joel, niczym zwierzę, które czuje zapach śmierci, natychmiast wyczuł wibrujące w powietrzu napięcie.

Jako dziecko często słyszał, jak ojciec przechwalał się, że w jego żyłach płynie cygańska krew. Raczej włóczęgowska, mruźli za jego plecami słuchacze. Niemniej czasami owo dziedzictwo i w nim się budziło i chociaż usiłował z nim walczyć, dawało o sobie znać dziwnym mrowieniem na skórze, dreszczem emocji, kiedy instynktownie odczytywał uczucia innych ludzi lub znaczenie niezrozumiałych zjawisk.

Z początku trzymał się z boku, obserwował robotników. Starsi przechadzali się zgarbieni, obnosząc swą klęskę z głowami ukrytymi w ramionach, nie patrząc i nie odzywając się do nikogo. Młodszy przyjmowali bardziej agresywną postawę, jakby im było wszystko jedno. Spacerowali butnym krokiem, wyzywającym spojrzeniem obrzucali każdego, kto skierował wzrok w ich stronę. Lecz i jednych, i drugich trawiła ta sama niepewność.

Lęk.

Joel czuł w ustach jego smak, mdły, stęchły, metaliczny.

Przechodząc przez parking dla gości i klientów - była to jedna z wielu bardzo kosztownych zmian wprowadzonych przez Andrew, kiedy przejął fabrykę - Joel zwolnił kroku, aby przyrzeć się grupce elegancko ubranych mężczyzn i kobiet stojących przy jednym z samochodów.

Tylko tyłu zostało z kierownictwa zakładu; szczury, które

nie zdołały uciec z tonącego okrętu, pomyślał z goryczą i pogardą. Albo byli zbyt głupi, albo zbyt porażeni strachem, żeby ocenić, co się święci i zmykać póki czas.

Cała wściekłość wywołana samobójstwem Andrew Rycarta zagotowała się w nim.

To przez takich jak oni, przez ich chciwość i błędy w zarządzaniu, znalazł się w tej sytuacji. Ale co ich obchodzi jego uczucia, jego los, jego byt? Im zależy tylko na szpanerskim gabinecie i służbowym aucie. Ogarnęła go nowa fala gniewu na wspomnienie, jaką wyrwę w domowym budzecie spowodowała zmiana jego samochodu na nowy.

Automatycznym ruchem odbił kartę i zdejmując kurtkę, udał się do szatni. Kiedy wszedł do hali, zobaczył, że większość mężczyzn, zamiast przejść do swoich stanowisk, rozmawia w małych grupkach. Zebranie z dyrekcją miało się rozpocząć o pierwszej.

Tylko jeden z praktykantów usiłował pracować. Joel z niezadowoleniem zmarszczył czoło słysząc, jak któryś ze starszych kolegów, Jim Gibbons, każe mu przestać.

- Co za sens? - odezwał się zaczepnie do Joela, który podszedł interweniować. - Przecież do końca tygodnia i tak stracimy robotę. Wszystko na to wskazuje.

- Jeszcze nic nie wiadomo - odparł Joel.

- Nie udawaj naiwniaka. Dlaczego Rycart skończył ze sobą? Wiedział, że zrobił kaput. Ta fabryka jest skończona i dobrze będzie, jak dostaniemy forszę za ostatni tydzień, a co dopiero odprawę. Zawsze tak jest. Bank wynajmie odpicowanego likwidatora, który dopilnuje, żeby wysać dla nich ostatni grosz, a jeśli chodzi o to, co nam się słusznie należy... kogo to obchodzi? Tobie wszystko jedno. Twoja stara pracuje. Pielęgniarka? W szpitalu? Szykowne kobitki te pielęgniarki...

- Mężczyzna puścił do Joela oko. - Dla ciebie, chłopie, też stroi się w ten swój mundurek?

Joel siłą woli opanował się, żeby nie zareagować na głośny

rechoł kolegów przysłuchujących się tej rozmowie. Wiedział, że w tych żartach i w śmiechu nie ma nic osobistego, że w ten sposób rozładują napięcie.

- Nie cierpię, jak mamy nie ma rano w domu - burczała dzisiaj rano Cathy, grzebiąc łyżką w talerzu płatków z mlekiem. Słyszając pretensję w jej głosie, Joel czuł wyrzuty sumienia pomieszane z irytacją: wyrzuty sumienia, bo jako mąż, ojciec i żywiciel nie potrafił zarobić dość na utrzymanie rodziny, irytację, bo dzieci dystansowały się od niego. Domagały się Sally, do niej się zawsze ze wszystkim zwracały.

Joel pamiętał, że Paul już jako raczkujący maluch protestował, kiedy on chciał go dotknąć albo przytulić.

- Synek mamusi - żartowała Sally, podchodząc i biorąc Paula na ręce. Patrząc, jak dzieciak lgnie do niej, Joel odczuwał nie tyle przykrość, co wręcz fizyczną zazdrość.

Sally twierdziła, że jest zbyt szorstki dla Paula, bardziej surowy niż dla Cathy.

- To chłopak - usprawiedliwiał się przed żoną.

Sally potrząsała tylko głową i wydymała wargi jak zawsze, kiedy chciała okazać mu swoją dezaprobatę.

Ostatnio trudno było pamiętać, że te same wargi układały się kiedyś w uśmiech radości i miłości... że oddawały pocałunki...

Tak, wiele się zmieniło. Dziś rano przed wyjściem nawet go nie obudziła, żeby życzyć mu powodzenia, zapewnić, że rozumie, co czuje, że obojętnie, czy będzie miał pracę, czy nie, ona go będzie kochała, że to dla niej bez różnicy.

Odstawił kubek z kawą, który podał mu praktykant, nawet nie umoczywszy w niej ust.

Chłopak, zaledwie szesnastolatek, był wysoki i szczupły, rudowłosy, z bladą cerą, wystającym jabłkiem Adama i głosem zdradzającym nie zakończoną jeszcze mutację.

Przywiązał się do Joela, a Joel nie protestował, kiedy chłopak chodził za nim krok w krok. Przypominał mu szczeniaki

niezbyt rasowych chartów, które ojciec hodował i sprzedawał. Duncan był tak samo gapowaty i niezdarly. Jego rodzice się rozwiedli, ojciec założył drugą rodzinę. Joel zdawał sobie sprawę z tego, że owo milczące przywiązanie, ta niewypowiedziana potrzeba bliskości, może przyjaźni, budzi w nim odzew, na jaki nie potrafi! się zdobyć w stosunku do Paula.

Duncan potrzebował aprobaty, w zamian dając swego majstra nieśmiałym uwielbieniem, okazywanym w sposób, w jaki Paul nigdy się nie zachowywał.

- Ośłodziłem - powiedział Duncan widząc, że Joel odsta-
wił kubek z nie tkniętą kawą.

- W porządku, dziękuję - odpowiedział Joel, zerkając na zegarek. Za dziesięć pierwsza.

- Joel? Co z nami będzie? - wyjąkał Duncan i oblał się rumieńcem, gdyż nie tylko Joel, ale i kilku innych robotników odwróciło głowy i spojrzało na niego.

Zanim jednak Joel zdołał cokolwiek odpowiedzieć, otwo-
rzyły się drzwi i ukazał się w nich kierownik produkcji. W ciągu ostatnich tygodni przybyło mu jakby kilka lat. Nic dziwnego, pomyślał Joel. Facet jest po pięćdziesiątce, ma syna na uczelni i niedorozwiniętą córkę, która wymaga stałej opieki.

- Dostali miejsce w domu opieki społecznej - przypo-
mniał sobie słowa Sally - ale Peggy Hatcher nawet słyszeć
nie chce o oddaniu dziewczynki.

Joel przyglądał się Keithowi Hatcherowi, który przytrzy-
mał drzwi, żeby pozostali członkowie dyrekcji i jakaś młoda
kobieta mogli wejść.

Jeszcze dziewczyna, nie dojrzała kobieta, pomyślał Joel,
kiedy Keith przedstawił ją załodze. Promieniowała młodo-
ścią i zdrowiem. Elegancka, dobrze odżywiona, błyszczała
niczym nowo wybita moneta. Na jej widok, takiej świeżej, nie
tkniętej rozczarowaniem i rozgoryczeniem, jakie niesie ze so-
bą życie, Joela ogarnęła wściekłość.

Co ona wie o życiu ludzi takich jak my, o naszych kłopotach, nadziejach? - zastanawiał się.

Kobieta zaczęła przemawiać. Jej głos brzmiał czysto i zdecydowanie. Mówiła o wielkich sumach pożyczonych przez Ryecarta od banku, tłumaczyła, że wskutek niemożności odzyskania długów bank zmuszony jest postawić przedsiębiorstwo w stan likwidacji, aby po sprzedaży aktywów móc rewindykować przynajmniej część swoich pieniędzy.

Bank podjął tę konieczną decyzję z żalem, wyjaśniła, lecz nie miał alternatywy - przedsiębiorstwo już od stosunkowo długiego czasu przynosiło straty. Następnie kobieta poinformowała załogę, że wszyscy otrzymają zwolnienie grupowe.

Brzmi to tak, jak gdyby bank wyświadczał nam wszystkim jakąś specjalną uprzejmość, pomyślał smutno Joel przyglądając się, jak przy ostatnim zdaniu kobieta nerwowo zamrugała powiekami.

Czyli nie jest całkowicie nieświadoma tego, co robi. Zauważył też, że nagle pochyliła lekko głowę, jak gdyby nie potrafiła spojrzeć ludziom prosto w oczy.

- Co będzie z naszą odprawą i z emeryturami? - odezwał się Joel, kiedy skończyła. Specjalnie podniósł głos, żeby nie mogła udać, iż nie dosłyszała.

- Właśnie... co z pieniędzmi? - podchwycił ktoś inny. Więcej głosów przyłączyło się do chóru. Kobieta przekładała tymczasem papiery i usiłowała zachować spokój.

- Prawa statutowe pracowników będą naturalnie honorowane - oświadczyła. - Wszyscy zostaną umieszczeni na preferencyjnej liście wierzycieli i spłaceni po zakończeniu procedury likwidacyjnej.

Czyli kiedy? - zastanawiał się Joel w duchu. Prawa statutowe dalece odbiegały od tego, czego pracownicy z długim stażem mogliby oczekiwać, gdyby zostali zwolnieni w zwykłym trybie.

- Kiedy to zwolnienie grupowe nabiera mocy prawnej?
- spytał.

- Natychmiast - przedstawicielka banku udzieliła lakonicznej odpowiedzi.

- Natychmiast? - powtórzył Joel, wpatrując się w nią. Spodziewał się usłyszeć, że dopiero za kilka tygodni... miesiąc. Zdał sobie sprawę z tego, że na jego twarzy, podobnie jak na twarzach kolegów, musi malować się zdumienie i szok, gdyż w oczach młodej kobiety pojawił się cień współczucia. Zaraz zresztą spojrzała w bok i znowu pochyliła głowę.

Niektórzy z robotników wywoływali teraz przedstawiciela związku z żądaniem, aby coś zrobił, lecz on był tak samo bezsilny jak oni.

- Zakład zostanie zamknięty już dzisiaj - mówiła kobieta tym swoim opanowanym, eleganckim, modulowanym głosem, bardziej pasującym do konwersacji na wytwornym przyjęciu niż do wystąpień w hali fabrycznej. - Dział kadr oraz księgowość będą natomiast funkcjonowały normalnie, ze względu na konieczne formalności.

Księgowy nie sprawia wrażenia uszczęśliwionego tą perspektywą, zauważył Joel. Założyłby się, że facet nie był lepszy od Ryecarta. Na pewno zadbał o swoje interesy i wymościł sobie wygodne gniazdko. Jego żona nie będzie musiała podejmować pełnoetatowej pracy, żeby po spłaceniu raty długu hipotecznego za dom zostało jej jeszcze na chleb powszedni, pomyślał z zawiścią.

- Co teraz zrobimy? - nieśmiało spytał w godzinę później Duncan.

- Zrobimy? Cóż, przespacerujemy się do pośredniaka i zarejestrujemy w kolejce po zasiłek tak jak jakieś trzy miliony podobnych nam frajerów, którzy nie potrafią znaleźć sobie roboty - odparł rozgoryczony Joel.

Zasiłek... raczej ochłap rzucony nędzarzowi. Bo czym byli

dla Ryecarta i jemu podobnych? Hołotę, na którą macha się tylko ręką.

Czuł, jak ogarnia go fala złości połączonej z rozpaczą, że wzbiera w nim paląca lawa paniki i strachu, której nie może pozwolić wybuchnąć i zdradzić tym samym własnej słabości.

Wiedział, że coś takiego najprawdopodobniej się zdarzy, sądził, że się do tego psychicznie przygotował, lecz teraz, kiedy to już się rzeczywiście stało, czuł się tak, jak gdyby przeżywał na jawie jeden z sennych koszmarów dręczących go w dzieciństwie - jest sam w bezkresnej przestrzeni i do nikogo nie może zwrócić się po pomoc.

Zawsze był dumny ze swojej zaradności, z umiejętności kierowania swoim życiem w taki sposób, aby ominąć pułapkę, w jaką wpadł jego ojciec; z tego, że nie musiał żyć z dnia na dzień, zależeć od widzimisię innych. Teraz jednak wszystko to przysło niczym bańka mydlana i Joel czuł, że dławi go lęk o jutro, poczucie totalnego osamotnienia.

Jedynie czego pragnął - była to potrzeba instynktowna, nie wynik trzeźwej, rozumnej analizy - to pójść do domu, do Sally, objąć ją i poczuć jej ramiona wokół siebie, znaleźć w jej ciele ukojenie, w jej miłości poczucie bezpieczeństwa, potwierdzenie, że wciąż uznaje w nim mężczyznę... że ceni jego i jego męskość, że to co się stało w żaden sposób nie umniejszyło go w jej oczach, tak jak w jego własnych.

- Nie wiem, jak matka da sobie teraz radę. Ja zarabiałem na utrzymanie - odezwał się Duncan żalonym głosem.

- Prędko znajdziesz inną robotę - Joel, optymista z przyzwyczajenia, rzucił prawie automatycznie, chociaż wiedział, że jego optymizm był wart tyle samo co zapewnienia Ryecarta o sukcesie firmy i wieczystej gwarancji zatrudnienia.

- Zastanawiałaś się już nad przejściem na cały etat?

Sally zatrzymała się w pół kroku. Przeniosła ciężar ciała na drugą nogę.

- Przepraszam, siostrze, jeszcze nie zdążyłam tego dokładnie przedyskutować z Joelem.

- Cóż, nie zwlekaj za długo, moja droga. Znam pielęgniarki, które podskoczą do góry z radości, że mogą zarobić trochę dodatkowego grosza. Jesteś dobrą pracownicą, Sally, i szkoda, że nie podnosisz kwalifikacji. Pamiętaj, jeszcze nie jest za późno...

Sally spojrzała na szefową oszołomiona. Siostra O'Reilly, trochę staroświecka osoba po pięćdziesiątce, niezamężna, należała do „starej szkoły” i była tak oszczędna w pochwałach, że usłyszawszy jej słowa, Sally oniemiała ze zdumienia i tylko wpatrywała się w nią, nie mogąc wydobyć z siebie ani słowa.

Ona miałaby się doksztuć? Zdobyć dyplom? Ale Joel zrobi minę! Joel... Właśnie dzisiaj ma się dowiedzieć, co z fabryką...

Sally wiedziała, że spodziewał się najgorszego, ale przynajmniej oni są w lepszej sytuacji od innych. Dlaczego Joel tego nie dostrzega i nie cieszy się, zamiast...?

Zaraz po ślubie chciał jej we wszystkim pomagać w domu. Kiedy zmywali, obejmował ją w talii, całował w szyję, a kiedy była w ciąży z Cathy, upierał się nosić za nią odkurzacza na górę i zabraniał dźwigać albo przesuwać ciężkie przedmioty.

A kiedy wróciła do domu z Paulem i zobaczyła jak trudno zajmować się jednocześnie pełnym energii maluchem i noworodkiem, wziął na siebie nie tylko zmywanie i odkurzanie, ale też pranie i prasowanie.

Przypomniała sobie, jak swoimi dużymi dłońmi delikatnie prasował sukieneczki Cathy i śpioszki Paula, z jaką bezradnością w oczach zmagał się z zadaniem, które go omal przerastało. Nie poddawał się jednak i mimo że wyniki może nie odpowiadały jej standardom, z głębokim wzruszeniem i niemal ze łzami odbierała te dowody miłości i troski o nią i o dzieci.

Dopiero później pojawiły się pierwsze oznaki napięcia rozsadzającego ich związek od wewnątrz.

Paul był trudnym dzieckiem, często dostawał kolki i domagał się noszenia na ręku. Kurczowo wtulał się w matkę i za nic nie chciał iść do nikogo innego. Kiedy miał dwa latka, przez pewien czas dosłownie wrzeszczał, gdy Joel tylko się do niego zbliżył.

Oczywiście wyrósł z tego, lecz Joel nigdy nie był tak swobodny i czuły w stosunku do niego, jak do Cathy. Sally cierpiała z tego powodu.

Czasami miała wrażenie, że Joel z niechęcią patrzy na synka i na to, że ona poświęca mu uwagę i czas. Zupełnie jakby nie rozumiał, że to w końcu dziecko, którego potrzeby trzeba postawić na pierwszym miejscu.

Teraz wiedziała, że Joel zamartwia się o swoją pracę i o to, co z nimi będzie, jeśli ją straci. Tylko dlaczego wyładowuje się na niej i dzieciakach? Co oni mu zawinili?

O drugiej, kiedy skończyła dyżur, nogi i krzyż bolały ją niemiłosiernie. Skóra jej cierpła na myśl o powrocie do domu, gdzie czekało sprzątanie i prasowanie. Joel i dzieci na pewno jak zwykle zostawiły kuchnię w opłakanym stanie. Ze smutkiem wyobraziła sobie, jak miło by było wrócić do domu, wejść do pachnącej czystością kuchni i nie znaleźć ani jednego talerza czy kubka w wypucowanym zlewie, ani okruszka na wymytej podłodze.

Tak jak u Daphne? Z tym że tam trzy razy w tygodniu przychodziła sprzątaczką, drobna znerwicowana kobiecina, którą Daphne sztorcowała bez litości i której Sally w duchu serdecznie współczuła.

- Doprawdy nie wiem, dlaczego ją trzymam. Niczego nie potrafi zrobić jak należy - skarżyła się Daphne tak głośno, że biedna pani Irving z pewnością doskonale to słyszała. - Oka z niej nie mogę spuścić.

Sally pamiętała, że ze wstydu za siostrę miała ochotę zapisać się pod ziemię.

Daphne jednak nawet by nie zrozumiała, o co jej chodzi.

W gruncie rzeczy niewiele miały teraz ze sobą wspólnego. Siostra tak się pyszniła swoim nowoczesnym stylem życia i wytwornym towarzystwem, w którym się obracała, że aż dziw, iż jeszcze nie zerwała z nią i Joelem.

- Miałyby stracić taką publiczność jak my? - skomentował złośliwie Joel, kiedy mu się zwierzyła. - Nie bądź naiwna. Założę się, że niewielu z tych jej znajomych snobów pozwoliłoby jej tak zadzierać nosa.

- Ona nie zadziera nosa - Sally wzięła siostrę w obronę. - To naturalne, że dumna jest z ich sukcesów i...

- I...? - wpadł jej w słowa Joel. - I lubi zadzierać nosa przed tobą, dając ci jednocześnie jasno do zrozumienia, że ty nie masz z czego być dumna. Och, widziałem, jakim wzrokiem omiatasz wszystkie kąty po każdej wizycie u kochanej siostrzyczki.

- To nieprawda, Joel. Kocham nasz dom - zaprotestowała Sally. Jednakże prawdą było to, że czasami odrobinę zazdrościła Daphne. Wystarczyło pomyśleć, że Daphne mogła zapewnić Edwardowi wszystko to, czego ona i Joel nie mogli dać swojej dwójce, szczególnie teraz.

Zmęczona włożyła płaszcz. Joel kupił go jej zeszłej zimy, tuż przed tym, jak obcięto im nadgodziny. Protestowała, że jest o wiele za drogi, ale tak się jej podobał, że w końcu nie mogła się oprzeć.

Wypatrzyli go na wystawie pewnego ekskluzywnego butiku w śródmieściu. Był przeceniony, żeby zrobić miejsce na wiosenną kolekcję. Miał długość trzy czwarte i ponadczasowy fason, a poza tym był czerwony i doskonale podkreślał ciemną karnację Sally.

Zazwyczaj nie wkładała go do pracy. Zapomniała jednak odebrać codzienny płaszcz nieprzemakalny z pralni, zdecydowała więc się ubrać w ten, bardziej odświętny. Poza tym zrobiło się zimno, a ponieważ swój sześcioletni samochód musiała odstawić do warsztatu, bała się tak rano marznąć na przystanku.

Przechodząc przez oddział powypadkowy usłyszała, że ktoś ją zawołał po imieniu. Zatrzymała się, obejrzała i uśmiechnęła na widok Kennetha Drummonda kuśtykającego na kulach w jej stronę.

- Och, Kenneth... pan Drummond - poprawiła się. - Co pan tu robi? Myślałam, że przychodzi pan na rehabilitację w środy.

- Tak było, ale z powodu jakiegoś wypadku zawiadomiono mnie, żebym w tym tygodniu wyjątkowo zgłosił się na ćwiczenia do pana Meadowsa, i, jak widać, zostałem wynagrodzony przez los - wyjaśnił, a potem dodał: - Prawdopodobnie było za pierwszym razem.

Sally spojrzała na niego zaintrygowana.

- Kenneth - wyjaśnił łagodnie - nie: pan Drummond.

Boże, obym się nie zaczerwieniła, struchlała Sally. Zwróciła uwagę i na znaczące „zostałem wynagrodzony przez los”, i na sposób, w jaki spojrzał na nią prosząc, żeby mówiła mu po imieniu.

Zawsze darzyła Kennetha Drummonda sympatią, śmiała się razem z nim i przekomarzała, słuchała, co miał jej do powiedzenia i rozmawiała z nim, lecz teraz, kiedy nie był już jej pacjentem, czuła się w jego obecności inaczej - to nie ona patrzyła na niego z wysokości, lecz on na nią. Był postawnym mężczyzną, prawie tego samego wzrostu co Joel, lecz węższym w ramionach. Kiedy musnął jej rękę, poczuła, że dłoń ma gładką, nie tak szorstką, jak jej mąż.

- Już po pracy?

- Tak. - Kiwnęła głową i dodała ponurym głosem: - Wracam do garów i prasowania.

- Miałem właśnie jechać na mały lunch. Może uda mi się cię skusić, żebyś się do mnie przyłączyła? Jeszcze w pełni nie opanowałem sztuki poruszania się z tymi patykami - uśmiechnął się melancholijnie, pokazując swoje kule.

- W tym stroju? - wskazała pielęgniarzki uniform. - Nie wolno nam...

- Poprosimy o stół w jakimś kącie i narzucisz na siebie płaszcz. Proszę... - przymawiał się.

Sally nie wytrzymała i roześmiała się.

- Nie bałamuć mnie - zaczęła żartować. - Dobrze wiem, co się za tym kryje.

Kenneth spowaźniał nagle i spojrzał na nią wzrokiem, od którego serce nagle zaczęło jej bić szybciej.

- Wiesz?

- Tak. Chcesz, żebym z tobą poszła ze względu na nie - pokazała kule.

Naprawdę nie powinna tego robić. W domu czekała góra prasowania, a oprócz tego sto i jedna sprawa do załatwienia... Ale dlaczego ciągle tylko ja mam się wszystkim zajmować, zbuntowała się w myśli.

- Chodź - powiedział Kenneth, obejmując dowództwo z taką swobodą i wprawą, że zanim zdążyła się zorientować, co robi, szli już przez parking w kierunku jego samochodu. Kiedy zatrzymał się przy luksusowym BMW, spojrzała na niego z konsternacją.

- To twój? - spytała. - Jak, na Boga Ojca, dajesz radę prowadzić?

- Ma automatyczną skrzynię biegów, a poza tym została mi jeszcze jedna sprawna noga - zaśmiał się Kenneth. - Wsiadaj. Zapewniam, że jestem bezpieczny... jako kierowca...

Czyżby ze mną naprawdę flirtował? - zastanawiała się gorączkowo, sadowiac się obok niego. Nie, nie. Po prostu jest uprzejmy, traktuje mnie po przyjacielsku.

Problem tkwił w niej. Tak odwykła, tak się odzwyczaiła od towarzystwa atrakcyjnego, rozmownego mężczyzny, że nie wiedziała, jak reagować, co odpowiedzieć, jak zinterpretować odbierane wszystkimi zmysłami subtelne sygnały.

Jestem po prostu głupia. Kenneth chce zwyczajnie porozmawiać z bratnią duszą, doszła wreszcie do wniosku, kiedy włączył silnik i zwrócił ku niej uśmiechniętą twarz.

- Znam pewien pub, gdzie całkiem znośnie karmią. O tej porze i na dodatek w środku tygodnia powinno być tam raczej pusto.

Obserwując ją, Kenneth zastanawiał się, kiedy Sally odgadnie, jak precyzyjnie zaplanowane było owo niby przypadkowe spotkanie. Od powrotu do domu zżerała go tęsknota za nią. A kiedy odkrył, że jest możliwość odbywania ćwiczeń u innego rehabilitanta, postarał się zdobyć rozkład dyżurów pielęgniarek i zmienić termin wizyty. Potem zaczął się na nią w przychodni przyszpitalnej.

Kenneth nie miał złudzeń co do swojej sytuacji. Jego uczucie do Sally było o wiele silniejsze niż jej, jeśli w ogóle darzyła go jakimś uczuciem, niemniej wiedział, że nie jest jej całkowicie obojętny. Zdradzały ją żywszy rumieniec i ukradkowe spojrzenia na boki.

Jak na kogoś, kto domagał się pomocy w poruszaniu się o kulach, radzi sobie zadziwiająco dobrze, pomyślała Sally, kiedy dojechali na miejsce i Kenneth wprowadził ją do restauracji.

Miał rację, że będzie pustawo, a fakt, iż znajdowali się praktycznie za miastem, dodatkowo zmniejszał prawdopodobieństwo spotkania kogoś znajomego.

Dlaczego o tym pomyślałam, spytała sama siebie w duchu niezadowolona. Co za różnica, czy ktoś mnie zobaczy, czy nie? Przecież nie robię nic złego. Jem lunch w towarzystwie byłego pacjenta, to wszystko.

Kenneth wybrał stolik ukryty za załomkiem muru i gestem wskazał tablicę nad barem z wypisanym na niej kredą menu.

Kiedy Sally przeczytała ceny, zawahała się. Z przyzwyczajenia zaczęła szukać na liście najtańszych dań.

- O co chodzi? Chyba się nie odchudzasz? - zażartował Kenneth.

Sally roześmiała się.

- Nie, nie... tylko...
- Tylko co? Na nic nie masz ochoty?
- Nie, nie... - Zarumieniła się lekko zażenowana. - Tu jest tak drogo - wyjaśniła, zniżając głos.

Kenneth rzucił okiem na tablicę, a potem powiedział łągodnie:

- Zamów, co chcesz, Sally. Zrób mi przyjemność i pozwól mi odrobinę cię zepsuć... Zasługujesz na to.

Sally znowu poczuła, że się rumieni, ale tym razem nie z zażenowania. Spuściła wzrok.

Jak dawno już Joel nie powiedział jej niczego podobnego... nie dał odczuć, że jest mu droga... że przebywanie w jej towarzystwie to dla niego zaszczyt i przyjemność...

W końcu zamówiła *lasagne*. Kenneth wziął to samo.

- A teraz - przemówił rozkazującym tonem, kiedy podano im talerze - powiedz, co cię gryzie.

- Gryzie? - Sally spojrzała zdumiona nie tylko przenikliwością Kennetha, lecz również obcesowością tak osobistego pytania. - Och... - zaczęła, chcąc dać jakąś wymijającą odpowiedź, lecz widząc minę Kennetha, nagle zmieniła zamiar i wyznała: - Chodzi o Joela. Dzisiaj ma się dowiedzieć, co z jego posesją. Niewykluczone, że fabrykę, w której pracuje, zamkną i wszyscy dostaną wypowiedzenia. On bardzo źle to znosi... - Urwała i przygryzła dolną wargę. - Gorzej, niż trzeba. Nie będzie nam łatwo, ale damy sobie radę. Ja mogłabym wziąć cały etat... Nawet dzisiaj siostra przełożona wspomniała, że powinnam się doksztalać, żeby otrzymać awans - dokończyła ze śmiechem.

- I ma rację - przerwał jej Kenneth. - Bystra z ciebie dziewczyna - dodał, uprzedzając jej protesty - szkoda, że... - urwał nagle.

- Że co? - spytała zaczepnie Sally.

- Nic, nic - uspokoił ją Kenneth i dodał: - Miałem zamiar powiedzieć, że szkoda, iż twoja rodzina nie dała ci szansy

rozwinąć tego potencjału, który w tobie tkwi. Nie sądz tylko, że kogoś krytykuję...

Kogoś? Oczywiście ma na myśli Joela, odpowiedziała sobie w duchu Sally.

- Och, tylko nie użalaj się nade mną - przybrała lekki ton.
- Z ochotą rzuciłam pracę i zajęłam się wychowywaniem dzieci.

- Ale teraz nie jesteś już taka szczęśliwa.

Sally omal nie zakrtusiła się jedzeniem. Odłożyła nóż i widelec i spojrzała na Kennetha.

- Dlaczego to mówisz? - spytała lekko drżącym głosem.

- Czytam to z twoich oczu - odparł.

Jakiś głos wewnętrzny szeptał jej ostrzegawczo, żeby nie dała się zwieść niebezpiecznemu impulsowi, lecz pokusa zwierzenia się komuś, a dokładnie siedzącemu przed nią mężczyźnie, była trudna do zwalczania.

- Opowiedz mi o tym - zachęcał Kenneth łagodnie.

- Nie mogę - broniła się. - To nie... ty nie...

- Właśnie, że możesz. Nie jestem już twoim pacjentem, Sally, i chcę cię wysłuchać... pomóc ci.

Sally potrząsnęła głową, jak gdyby chciała wprowadzić ład w swoje myśli.

- Kłopoty domowe - w końcu przyznała otwarcie z całą bezradnością. - Joel chyba nie rozumie, jak mi jest ciężko godzić pracę z obowiązkami domowymi. Kiedyś był zupełnie inny, a teraz mam wrażenie, że specjalnie utrudnia mi życie... i nie tylko mnie. Dzieciom także. Ciągłe coś mu się w nich nie podoba, karci je o byle co. Wiem, jak bardzo się martwi o posiadłość, ale tym bardziej powinien...

- Może nie podoba mu się sytuacja, kiedy ty pracujesz, jesteś niezależna, poznajesz nowych ludzi... - sondował Kenneth.

- Ale on wie, że potrzebne nam są pieniądze. Nie mogę wprost uwierzyć, że zachowuje się tak dziecinnie. Co by mu

szkodziło sprzątać rano ze stołu i zmyć te kilka talerzy? Albo gdyby chociaż zaproponował, że mi w czymś pomoże, zamiast zmuszać mnie do ustawicznego proszenia, gderania... Któregoś dnia poszedł do sklepu i wrócił bez proszku do prania. Możesz to sobie wyobrazić? Kiedy spytałam, dlaczego nie kupił proszku, oświadczył, że nie mieli tego, który napisałam na liście. A przecież wiedział, że czekam na proszek. - Pod wpływem ulgi, jaką przyniosły jej te zwierzenia, Sally nie zauważyła nawet, ile gniewu i rozżalenia zabrzmiało w jej głosie. Kenneth jednak zwrócił na to uwagę.

Sally spodobała mu się prawie od pierwszego momentu, kiedy poczuł się na tyle dobrze, aby otworzyć oczy. Jej spokój, schłodność, zamiłowanie do porządku bardzo silnie oddziaływały na jego estetyczną wrażliwość.

Spodobała mu się jej naturalna bezpretensjonalna fryzura, prostota w obejściu, brak kokieterii. Inni mężczyźni uznaliby, że jej kobiecość jest jak gdyby przygaszona, lecz jemu to nie przeszkadzało. Nigdy nie lubił ostentacji, raziła go, irytowała.

Podczas wspólnych rozmów zwrócił uwagę na wyraz jej oczu, zobaczył, jak nieprzyzwyczajona jest do prowadzenia merytorycznej dyskusji, interesującej konwersacji, oraz że, w przeciwieństwie do wielu jego studentów, ma w sobie pokorę, skromność i bezbronność, które go wzruszały. Jakże przyjemnie byłoby ją uczyć, kształtować, szlifować. Wyczuwał, że obecny tryb życia, a szczególnie mąż, nie dają jej uczucia spełnienia.

Odkrycie, jak bardzo za nią tęskni, było dla niego z początku olbrzymim szokiem, siła uczucia do tej kobiety zaskoczyła go. Leżąc w szpitalu, flirtując z nią, w pewnym sensie bawił się, lecz teraz to już nie była zabawa.

Pragnął obecności Sally w swoim życiu. Bardzo pragnął.

Było dla niego oczywiste, że mąż jej nie docenia, nie w ten sposób, jak on by to robił... Zrobi.

Spojrzał z odrazą na jej płaszcz.

- Powinnaś nosić beże - powiedział. - Tak ja bym cię ubrał. Kaszmir w odcieniu ecru pasowałby do twojej karnacji. Mało kobiet ma taką karnację. Tak... Widzę cię w czymś prostym i eleganckim, z dobraną spódnicą i jedwabną koszulową bluzką.

- Beżowa kaszmirowa wełna? - Sally oblała się rumieńcem i jednocześnie wybuchnęła śmiechem. - Nigdy bym tego na siebie nie włożyła - pokręciła głową - nawet gdyby mnie było stać na taki luksus. To zbyt niepraktyczne.

- Ale pasowałyby do ciebie - upierał się Kenneth. - Zasługujesz na to - dodał. - Zasługujesz na wiele więcej, niż dostajesz od życia, Sally. Na o wiele, wiele, więcej. Tak bym pragnął... - urwał, a ona, odgadując, co chciał powiedzieć, spłonęła się.

Taka wyraźna uczuciowa deklaracja, intensywność i żarliwość, z jaką mówił o tym, co czuje, i niepokoiła, i podniecała Sally. Joel nigdy nie potrafił wyrażać swoich uczuć słowami. Och, mówił jej, że ją kocha, ale wyglądał przy tym tak niezręcznie, tak nieswojo... Słowa go krępowały, nie posługiwał się nimi tak swobodnie jak Kenneth.

W towarzystwie Kennetha czuła się zupełnie inaczej niż z Joelem. Odprężona, szczęśliwa, mile ogrzana jego komplementami. Zniknęło napięcie, wewnętrzny strach, lęk.

A wyrzuty sumienia?

Sally poruszyła się niespokojnie na krześle. Powiedziała Kennethowi o sobie, o swoim życiu osobistym więcej, niż powinna, zdecydowanie więcej, niż miała zamiar.

Zazwyczaj zachowywała się z większą rezerwą, lecz Kenneth odnalazł sposób dotarcia do niej, sprawił, iż sądziła, że jej myśli, jej uczucia są dla niego ważne.

Kenneth zauważył jej nieznaczny ruch i, poprawnie odczytując jej myśli, zrezygnował z dalszych nacisków. Zasiał ziarno, teraz będzie czekał cierpliwie, aż wykiełkuje, aż Sally zrozumie, ile mógłby jej ofiarować. Nie mógł się jednak powstrzymać przed zadaniem jeszcze jednego pytania.

- Wciąż go kochasz... swojego męża, mimo wszystko?
- Tak. Oczywiście, że tak - odpowiedziała Sally bardzo szybko.

Może zbyt szybko? Serce podskoczyło jej do gardła na myśl o tym, że zareagowała tak, jak gdyby zabrakło jej odwagi, aby się zastanawiać nad pytaniem Kennetha, więc tak na wszelki wypadek...

Na jaki wszelki wypadek? Oczywiście, że Kocham Joela. Oczywiście, że go Kocham, upewniła się w duchu.

- Muszę już iść - powiedziała Kennethowi. - Dzieci nie długo wrócą ze szkoły.

- Tak, słusznie - odpowiedział. - Droga powrotna nie zajmie nam dużo czasu.

Sally natychmiast zeszywniała.

- Nie, nie, dziękuję. Wolałabym, żebyś mnie podrzucił do autobusu, jeśli możesz.

Czuła, że pod jego spojrzeniem znowu się rumieni. Nie zrobiłam niczego złego, zapewniała sama siebie, ale sąsiedzi zaraz zainteresują się i przybiegną, by zapytać, dlaczego wraca do domu z taką pompą i paradą.

Przecież z łatwością wytłumaczyłaby im, że były pacjent zaproponował jej podwiezienie. Kiedy usłyszała żartobliwą odpowiedź Kennetha - „pani prosi, sługa musi” - ogarnęła ją złość na siebie za ten panikarski odruch. Jakby miała wyrzuty sumienia... albo coś do ukrycia.

Niemniej na widok samochodu Joela zaparkowanego przed domem o tak niezwykłej porze serce zaczęło jej walić jak młotem i poczuła nagły kurcz w żołądku. Zwolniła kroku.

Joel był w kuchni, gdy weszła. Odwrócony do wejścia plecami, nalewał wodę do czajnika. Podchodząc do niego, zarejestrowała, nie myśląc nawet o tym, że choć stół został uprzątnięty po śniadaniu, to na blacie pozostały smugi i kółka po kubkach, bo Joelowi nie przyszło do głowy przetrzeć blatu mokrą ścierką.

- Dlaczego nie jesteś w pracy? - zdejmując płaszcz, spytała z niepokojem. W chwili kiedy odwrócił się do niej, domyśliła się odpowiedzi. Wyczytała ją z jego twarzy, z przegranego wyrazu jego oczu.

- W jakiej pracy? - odpowiedział pytaniem. - Nie ma pracy. Ani pracy, ani pensji. A zanoszą się na to, że nie będzie tu żadnej parszywej odprawy.

- Boże! To niemożliwe! Przecież pracowałeś tam, odkąd skończyłeś szkołę!

- Cóż, wygląda na to, że to się wcale nie liczy. Zgodnie z tym, co nam dzisiaj powiedziano, wypłacą nam jeszcze za ten tydzień tylko dlatego, że bank nie chce, żeby obsmarowali go w gazetach. A jeśli chodzi o odprawę, dowiemy się, ile i czy w ogóle coś dostaniemy, dopiero jak sprzedadzą cały ten kram.

Z twarzy Joela, z jego głosu Sally mogła wyczytać, jak ciężkim ciosem jest dla niego to wszystko. Z głową spuszczoną, skulony, wyglądał i mówił nie tyle jak człowiek przestraszony... raczej jak ktoś zbity, słaby, któremu nagle odebrano godność.

- Och, Joel - wyrwało się jej. Podeszła do niego, wyciągnęła ręce, ujęła go za ramiona. - Nie załamuj się, najdroższy - prosiła. - Wszystko będzie dobrze, damy sobie jakoś radę. - Instynktownie przybrała ów łagodny, pocieszający ton, jakim zazwyczaj przemawiała do pacjentów i małych dzieci. Rozpacz bijąca z oczu męża przeraziła ją. W życiu nie widziała go tak zdruzgotanym, pokonanym. - Przecież spodziewałeś się czegoś podobnego, prawda?

Joel poruszył się, przyciągnął do siebie żonę, wtulił twarz w jej piersi.

- Sally...

Szczęknął zamek u drzwi.

Sally zeszywniała. Nad ramieniem Joela zobaczyła Cathy. Joel także zeszywniał i nie wiedziała już, które z nich zrobiło

pierwszy ruch, czy to ona go odepchnęła, czy on sam zwolnił uścisk.

- Co się stało tacie? - spytała Cathy, kiedy Joel bez słowa odwrócił się, wyszedł z kuchni i zniknął na schodach.

- Nic, córeczko - uspokoiła dziewczynkę Sally. Chciała pobiec za Joelem i przekonać go, że wszystko będzie dobrze, lecz musiała zająć się Cathy, poza tym już słychać było pogwizdywanie Paula, a na dodatek w tym samym momencie zadzwonił telefon. Poszła odebrać, a słysząc z drugiej strony głos siostry, cicho westchnęła.

Daphne koniecznie musiała pochwalić się, jaką sukienkę kupił jej Clifford z okazji obiadu, na który ją zaprosił. Słuchając tego szczeciotu, Sally czuła, że wzbiera w niej złość na siostrę. Jak ona śmie rozwodzić się nad jakąś sukienką, chwalić się, ile kosztowała, kiedy ona i Joel... Szybko jednak stłumiła w sobie irytację. To nie wina Daphne, że Joel stracił pracę.

W sypialni na piętrze Joel wyglądał przez okno. Bolały go oczy, gardło, bolało go całe ciało. Z dołu słyszał głos Sally zapewniający Daphne, że tak, niebieski jest bardzo stosowny. Nawet siostra jest dla niej ważniejsza niż mąż, pomyślał z urazą. Gadać z nią o jakiejś kiece to czas ma, a porozmawiać ze mną nie!

Tam, w kuchni, przez jedną chwilę, kiedy przytulił się do niej, poczuł, jak przenika go bijące od niej ciepło. Prawie jak za dawnych czasów, kiedy byli tylko we dwoje, kiedy byli sobie tak bliscy, że prawie czytali nawzajem w swoich myślach... Od razu poczuł się lepiej. Już prawie uległ pokusie opowiedzenia jej, jak się boi, jaki jest osamotniony, ale weszła Cathy i nagle on przestał się liczyć.

Niektórzy z kolegów rozmawiali o zorganizowaniu pikiety w fabryce, strajku okupacyjnego. Prosili, żeby się do nich przyłączył. Po co? Przecież w ten sposób nie odzyskają swo-

ich posiad. Poza tym wątpił, czy ostatecznie zdecydowałiby się przeprowadzić swoje plany. Ot, taka grupka zapaleńców, nie mogących pogodzić się z faktem, że nagle nie mają nic do powiedzenia we własnej sprawie, że nagle przestali być ważni, przestali się liczyć. Ta dziewczyna dała im to jasno do zrozumienia, mówiąc o odprawie.

„Uprzywilejowani wierzyciele” - tak ich nazwała, wymieniając ich jednym tchem wraz z podatkami, VAT-em i Bóg wie czym jeszcze. Joel nie miał wątpliwości, jaka będzie kolejność płacenia, jak przyjdzie co do czego. Oczywiście oni wylądują na szarym końcu.

Czy po to się uczył, po to zdobywał fach? Dzisiaj jak nigdy dotąd przekonał się, jak mało znaczy, jak mało jest wart.

Chciał dzielić z Sally swój ból, zwierzyć się jej. Ale ona ma ważniejsze rzeczy na głowie. Na przykład swoją siostrunię i jej kiecki!

Bolesna spuścizna

8

Debora zwolniła kroku i zatrzymała się przed eleganckim budynkiem, w którym miało siedzibę ich biuro.

Z początku, kiedy Mark powiedział jej, że chce się przenieść z Londynu do jakiejś spokojniejszej, bardziej zacisznej okolicy, zdziwiła się, lecz kiedy wspólnie zwiedzili Lincoln z jego przepiękną katedrą, zakochała się w tym mieście równie szybko i łatwo co w Marku. Przypomniała sobie teraz, jak przyjechała później na rozmowę wstępną w sprawie posady. Przyszło jej wówczas do głowy, że Lincoln to dobre miejsce dla dzieci. Pamiętała też, jak bardzo zaskoczyła ją ta myśl.

W swoich najbliższych życiowych planach Debora nie przewidywała urodzenia dziecka; po trzydziestce, kiedy już zdobędzie pozycję w zawodzie, rozważy taką ewentualność.

Mark zgadzał się z nią. Nie wyobrażała sobie, i nawet nie chciała sobie wyobrazić, końca ich związku, lecz w tym momencie nie widziała też siebie w roli szczęśliwej matki.

Zaskoczyło ją, że w Lincoln mieści się tak znakomicie prosperujące biuro rachunkowe. Mark wyjaśnił jej, że pierwotnie firma obsługiwała duchownych związanych z diecezją, którzy mieli własne majątki, później zdobyła klientów z zakładów przemysłowych rozwijającego się w sąsiednich miastach przemysłu mechanicznego. Przemysł kwitł, a z nim biuro i doradztwo finansowe.

Debora z przyjemnością patrzyła na czyste linie skromnej fasady budynku. Za żadne skarby świata nie przyznałaby się

przed nikim do tej sentymentalnej, romantycznej strony swojej natury.

Mogła sobie wyobrazić reakcję Ryana, na przykład, gdyby zobaczył, jakim marzycielskim wzrokiem przygląda się kamienicy. Chyba nawet w zeszłym miesiącu słyszała, jak narzekał, że strasznie trudno jest urządzić nowoczesne biuro w tak staroświeckiej skorupie.

Było ogólnie wiadomo, że Ryan usiłował namówić pozostałych wspólników, żeby sprzedali zabytkową siedzibę i przeprowadzili się do supernowoczesnego biurowca na obrzeżach miasta. Zarząd firmy nie palił się jednak do takiego kroku i Debora podejrzewała, że to żona Ryana, Alicja, kryła się za taką decyzją. Alicja nie była współniczką, lecz ponieważ jej ojciec cieszył się nadal olbrzymią estymą, liczone się z jej zdaniem.

Ryan był do tego stopnia wściekły na nią, że pokrzyżowała mu szyki, że z zemsty ostentacyjnie afiszował się przed wszystkimi ze swoim najnowszym romansem.

Alicja musi wiedzieć o jego zdradach, więc dlaczego od niego nie odejdzie, zastanawiała się Debora. Może po prostu nie obchodzi ją, co on robi? Są kobiety, którym nie zależy... Ale gdyby ona odkryła, że Mark ją zdradził...

Nie, nie z powodu zranionej dumy odeszłaby wówczas od niego, nie z chęci zachowania szacunku dla samej siebie. Zmusiłaby ją do tej decyzji świadomość, że coś zostało zerwane, zniszczone... Że ich związek nie był wcale taki, jak sądziła.

Zebranie w fabryce okazało się o wiele trudniejsze, niż sobie wyobrażała. I to nie z powodu czysto technicznych pytań, jakie jej zadawano, lecz dlatego, że cały czas zdawała sobie sprawę z tego, że jej słowa naprawdę ważą na życiu ludzi, do których się zwraca.

Już sama rozmowa z wdową wstrząsnęła jej nerwami. Zaczęła się zastanawiać, jakim mężczyzną był Rycart, że zosta-

wił żonę tak kompletnie nieprzygotowaną do udźwignięcia ciężarów, które na nią spadły.

W fabryce usłyszała przypadkiem cyniczny komentarz jednego z robotników, gotowego się założyć, że Ryecart w sekrecie przelał pieniądze na prywatne konto, żeby zabezpieczyć swoją rodzinę. O mały włos, a ogarnięta współczuciem dla Fiony uległaby pokusie i wbrew kodeksowi zawodowemu wyjaśniła temu człowiekowi, jak bardzo się mylił.

Naturalnie nie zrobiła tego.

Wyobraziła sobie teraz reakcję Ryana, gdyby mu opowiedziała o stoczonej wewnętrznej walce uczuć z profesjonalizmem i skrzywiła się. Co innego Mark. On by ją zrozumiał. Mark! Wsiadając do windy, zerknęła na zegarek, chcąc sprawdzić, czy zdąży zajrzeć do niego przed spotkaniem z Ryanem.

- Nie masz do mnie zaufania? - spytała wcześniej Ryana, kiedy ten zażądał, aby natychmiast po skończonym zebraniu w fabryce zameldowała się u niego i zdała mu dokładne sprawozdanie.

- Mam - zapewnił ją. - Wiesz jednak, jakie wymagania stawia stara gwardia.

- Chcesz mi dać do zrozumienia, że nie potrafię samodzielnie sobie poradzić z tą sprawą?

- Oni są bardzo staroświeccy. Niektórzy uważają, że kobieta nie nadaje się na likwidatora. A propos. Jak Mark zareagował na twój awans? - dodał Ryan, prowadząc rozmowę na bardziej prywatne tory.

- Bardzo się ucieszył - odparła Debora.

- No, no. Bywają i tacy faceci - skomentował Ryan i dodał z beczelną miną: - Osobiście nie chciałbym, żeby moja kobieta zajmowała wyższe ode mnie stanowisko. Lubię być na wierzchu... Poza łóżkiem, oczywiście... bo w - niekoniecznie.

Debora wiedziała, że powinna przynajmniej symbolicznie

zaprotestować przeciwko tej ostatniej uwadze, chociażby tylko dlatego, żeby mu dać do zrozumienia, że nie jest „kobietą” Marka, jego własnością, lecz partnerką o równych prawach. Jednocześnie zdawała sobie sprawę z tego, że w ten sposób dałaby się wciągnąć w gierki słowne o podtekście erotycznym, które Ryan uwielbiał i w których celował, oraz że wstępując z nim w szranki, zachęciłaby go do ewentualnych dalszych kroków.

Nie miała złudzeń co do jego intencji. Ryan uwiódłby ją, gdyby tylko mógł, ot tak, po prostu, wyłącznie dla samej tylko przyjemności. Z głębi serca dziękowała opatrznosci, że po prostu nie był w jej typie. Był za to bardzo, bardzo niebezpiecznym mężczyzną i nawet wiedząc, kim jest i co robi, Debora zdawała sobie sprawę z tego, że pewna maleńka, perwersyjna i bardzo „babska” cząstka jej samej łatwo dałaby się wciągnąć w pułapkę i stanęłaby do pojedynku z tym otwarcie szowinistycznym samcem, li tylko po to, aby udowodnić mu potęgę kobiecości.

- Nic nie powiesz? - nagabywał złośliwie Ryan, a Debora całą siłą woli zwalczyła w sobie chęć odwrócenia od niego wzroku.

- Słucham? O czym rozmawialiśmy? - spytała, udając roztargnioną.

Zaśmiał się. Ryan miał zdolność błyskawicznego zmieniania nastroju, co czyniło właśnie go tak niebezpiecznym i tak fascynującym.

Ubiegłej nocy, kiedy kochając się z Markiem, zmienili pozycję, tak że ona dosiadła go, na ułamek sekundy, zupełnie niechciany, pojawił się w jej wizjach właśnie Ryan. Pomyślała, że gdyby on pozwolił kobiecie przyjąć pozycję tak wyraźnie dominującą, z pewnością chciałby nadal dominować. Jego ręce, inaczej niż dłonie Marka, nie naprowadzałyby jej łagodnie na swoje ciało, nie pomagałyby jej odnajdować rytm, stopniować rozkosz, sterować własnymi reakcjami,

lecz krępowałyby ją mocną obręczą dla zaspokojenia własnej żądzy.

- Co się stało? - spytał wtedy Mark, kiedy uniosła się i odsunęła na bok.

- Nic, nic... - powiedziała. Pochyliła się i wzięła go w swoje usta. Czyżby czuła się winna, że w tak intymnej chwili pomyślała o innym mężczyźnie, czy też zrobiła to z bardziej prozaicznego powodu, ponieważ wiedziała, iż w takim stanie nie osiągnie orgazmu?

Teraz, wysiadając z windy, przyznała się jasno przed sobą, że bardzo pragnęłaby znaleźć się blisko Marka, zwierzyć się mu, zrzucić przed nim maskę (czego nie mogła uczynić przed Ryanem), i przyznać, jak bardzo dzisiejszy występ, do którego została zmuszona, wytrącił ją z równowagi.

Ryan jednak szedł już korytarzem obok niej.

- Dobrze, że już wróciłeś - oświadczył. - Chodź do mojego gabinetu, to omówimy po kolei wszystkie szczegóły.

- Małe przesłuchanie? - Debora nie zdołała ukryć ironii.
- Chcesz mnie rozłożyć na łopatki?

Ryan obdarzył ją przelotnym uwodzicielskim uśmiechem.

- Droga Deboro, z rozkoszą rozłożyłbym cię na łopatki, jeśli tego pragniesz, ale niekoniecznie w gabinecie. Co ty na to?

Debora w ostatniej chwili ugryzła się w język, żeby nie powiedzieć, że takie uwagi są nie tylko niewybredne i sztabackie, lecz że również można potraktować je jako formę molestowania seksualnego.

Niewątpliwa prawda, lecz wiedziała, że wytykanie mu jej mogłoby odnieść zupełnie niepożądane skutki, zignorowała więc zaczepkę i podreptała z powrotem do jego gabinetu, gdzie posłusznie usiadła na wskazanym krześle.

- Zacznijmy od banku i wdowy - polecił Ryan.

- Jak już wiemy, bank ma pod kontrolą zarówno aktywa firmy, jak i majątek własny denata.

- Czyli?

- Niezbyt wiele: dom, kilka polis ubezpieczeniowych, które wobec faktu, że popełnił samobójstwo są zupełnie bezwartościowe...

- Mhm... Jakież zaskórniaki?

- Nie sędę - powiedziała Debora. - Nawet gdyby jakieś istniały, jego żona... to znaczy wdowa po nim... nic o nich nie wie.

Debora przypomniała sobie, jakim wstrząsem dla Fiony była wysokość zaciągniętych przez męża długów, i cień przemknął po jej twarzy.

- Jesteś pewna? Ma wszelkie powody trzymać się kurczowo wszystkiego, co Ryecart zdołał zgromadzić na boku. Wszyscy zetknęliśmy się z przypadkami, kiedy faceci w podobnej sytuacji co on uciekali się do rozmaitych matactw i chomikowali znaczne sumy dla zabezpieczenia rodziny.

- To nie był ten typ.

Ryan uniósł brew.

- Zbyt uczciwy? Nie bądź naiwna, dziewczyno...

- Nie, nie zbyt uczciwy, ale... zbyt zadufany w sobie, samolubny - sprostowała. - Nie podejrzewam, żeby kiedykolwiek pomyślał o zabezpieczeniu bytu żonie i synom. Nie sędę, żeby kiedykolwiek liczył się z ewentualnością plajty.

- Mhm... Zostawmy to na razie, niemniej dobrze będzie mieć oko na tę wdówkę. Na wypadek gdyby nagle zdecydowała się zafundować sobie kosztowne wakacje za granicą, albo otrzymała spadek po dawno zapomnianych krewnych!

Debora zdecydowanym ruchem odłożyła teczkę z dokumentami, którą trzymała w ręku. Może zmilczeć, kiedy Ryan pozwala sobie na niesmaczne aluzje, lecz nie zniesie podważania swoich kwalifikacji zawodowych...

- Albo ufasz mojemu osądowi, Ryan, albo nie. Bo jeśli nie, to...

- To? - spytał z zaczepką w głosie.

Debora wzięła głęboki oddech i nie tracąc kontenansu odparła:

- ..to proszę, żebyś znalazł kogoś innego, kto pokieruje tą sprawą. Potrafię zrozumieć, że skoro popierałeś mój awans, boisz się, żebym cię nie skompromitowała, ale jeśli nie ufasz, że potrafię właściwie ocenić czyjś charakter...

- To nie jest kwestia zaufania - ripostował Ryan gładko.
- Chodzi po prostu o to, że podejrzewam, iż na skutek wrodzonej uczciwości nie zawsze uświadamiasz sobie, jak przebiegli potrafią być inni. Podziwiam i cenię twoją uczciwość i prostolinijność, Deboro, lecz gdy chodzi o umiejętność poznania się na ludziach...

- Uważasz mnie za tak naiwną, że nie potrafię odróżnić, kiedy ktoś kłamie, a kiedy...

- Powiedzmy, że sądzę, iż pod wpływem współczucia mogłabyś się pomylić.

- Podejrzewasz mnie więc o kobiecą solidarność?

- Trochę też, chociaż z doświadczenia wiem, że przedstawicielki twojej płci chętniej zostają wrogami niż sprzymierzeńcami... Umówiłaś się z nią na następne spotkanie?

Debora pokręciła głową. Cały Ryan, nie podjął rękawicy, ale też się nie wycofał. Jeśli nie chce, żeby przypiął jej łątkę „nadwrażliwej”, musi zrezygnować z dalszej dyskusji.

- Może dobrze by było spotkać się z nią jeszcze raz - dodał, nie doczekawszy się odpowiedzi.

- Jeśli uważasz, że powinnam... A może sam chciałbyś wziąć udział w tym spotkaniu? Mógłbyś wyrobić sobie własne zdanie o niej.

- Skoro sądzisz, że ci się na coś przydam, z przyjemnością ofiarowuję swoją pomoc. A co z fabryką? Jak dałaś sobie radę? - spytał Ryan, zręcznie zmieniając temat.

- Przedstawiłam załodze sytuację i poinformowałam ich, że otrzymają zwolnienie grupowe. Wyjaśniłam, że zostaną potraktowani jak uprzywilejowani wierzycciele i co to oznacza.

- Mhm... Powiedziałaś im, że spodziewamy się raczej nikłych zysków i że przy odrobinie szczęścia mogą liczyć najwyżej na pięćdziesiąt procent tego, co im się należy?

- Nie, tego im nie powiedziałam - oświadczyła Debora spokojnie. - Przecież jeszcze nie wiemy, że tak właśnie będzie.

- Mhm... Aha, rano zapomniałem cię ostrzec... Dobrze by było wynająć firmę ochroniarską do pilnowania terenu. Nie chcemy żadnych strajków okupacyjnych. Zależy nam na tym, żeby wszystko sprzedać i zakończyć proces likwidacyjny, jak szybko się da.

Skrzywił się, słysząc brzęczyk telefonu wewnętrznego. Kiedy nacisnął przycisk, sekretarka poinformowała go, że umówiony klient czeka.

- Posłuchaj - Ryan zwrócił się do Debory - teraz nie mam już czasu, ale zostało nam jeszcze kilka spraw do omówienia. Ten klient zajmie mi całe popołudnie, po jego wyjściu możemy jednak kontynuować rozmowę. Wskoczmy do baru? Szósta?

Ryan już stał, na znak, że audyencja skończona, nie dając jej nawet możliwości odmowy.

Debora, poirytowana, udała się do siebie. Sama powinna była pomyśleć o ochronie obiektu. Zła była na siebie za to, że tego nie zrobiła. Cóż, dzięki Bogu, jeszcze nie jest za późno, by naprawić ten błąd.

- Przykro mi - powiedział kierownik firmy, której zawsze zlecała tego typu sprawy - przed środą nie zdołamy nikogo tam posłać. Nie uwierzysz pani, ale brakuje nam pracowników.

Debora nacisnęła widełki i wystukała numer wewnętrzny do Marka. Niestety odebrał jeden z jego kolegów. Mark był właśnie na odprawie u swojego szefa.

Będzie musiała łąpać go później i uprzedzić, że zostaje po godzinach. Przez moment zastanawiała się, co to za odprawa i miała nadzieję, że chodzi o jakieś nowe zlecenia.

Mark ostatnio bardzo powściągliwie rozmawiał z nią o swojej pracy. Zachmurzyła się, przypominając to sobie teraz. Zachowywał się w sposób niepodobny do siebie, bywał drażliwy, poirytowany. Wyrządzał jej przykrość tym wykluczeniem jej ze swojego zawodowego życia. Sposób, w jaki przyjął jej awans, też nie był dla niej miły.

Jego jawna dezaprobata odebrała jej całą radość i satysfakcję, a dzisiejsze wydarzenia uzmysłowiły dodatkowo, że buduje karierę na czyjejś klęsce. Nie żał jej było Andrew Rycarta - jej zdaniem był człowiekiem słabym i egoistą - ale jego żona, rodzina, ci wszyscy, którzy mieli nieszczęście dla niego pracować... Debora poczuła się odrobinę nieswojo, kiedy zaczęła się zastanawiać, jak by zareagowała, gdyby to Mark był jednym z tych ludzi, którzy dzisiaj przyniosą do domów wiadomość, że zostali bez pracy.

Oczywiście, ona i Mark byli w zupełnie innej sytuacji; oboje mieli znakomite kwalifikacje zawodowe i osobne kariery, jedno nie było finansowo uzależnione od drugiego.

Ile ludzkich istnień, poza swoim, zniszczył Andrew, uparcie zamykając uszy na rady, kierując się butną wiarą, że ryzyko wliczone w koszty jego zawężonej wizji kierowania przedsiębiorstwem nie sprowadzi na niego nieszczęścia?

Debora żałowała teraz, że zgodziła się na spotkanie z Ryaniem po pracy. W nastroju, w jakim się znajdowała, zapragnęła porozmawiać właśnie z Markiem i jemu się zwierzyć ze swoich rozterek.

Mark czekał w napięciu, aż Peter Biddulph skończy studiować leżące przed nim papiery.

Peter był dziesięć lat starszy od Ryana, lecz należał do zupełnie odmiennego gatunku mężczyzn. Był człowiekiem zrównoważonym, solidnym, unikającym wszelkiego ryzyka. Klienci darzyli go zaufaniem, gdyż wiedzieli, że ich interesy są bezpieczne w jego rękach. Spokojny, pragmatyczny, rzad

ko tracił panowanie nad sobą, bez względu na naturę prowokacji. Wszyscy, łącznie z Markiem, lubili go i podziwiali.

Mark wiedział z krążących po biurze plotek, że na przeszczeni ostatnich lat kilkakrotnie ponawiano próby odsunięcia go od czynnej praktyki i skłonienia do przyjęcia innego stanowiska, lecz Peter nie miał tego rodzaju ambicji; ani prestiż, ani wielkoświatowy styl życia, ani korzyści materialne nie pociągały go.

Reputacja zawodowa firmy znaczyła jednak dla niego wiele. Zależało mu również na sukcesach kierowanego przez niego działu. Tajemnicą poliszynela było, że pod maską spokoju wzbiera w nim niepokój spowodowany tym, że pionierzy zajmujące się likwidacją i przejmowaniem przedsiębiorstw zaczynają nadmiernie się rozbudowywać i prześcigać jego dziedzinę.

- Ach, Mark... - przemówił, odkładając na bok listę, którą czytał, i złożył dłonie w daszek, łącząc je koniuszkami palców. Spoważniał. Chwilę przyglądał się swoim rękom. - Mam tu listę rachunków, które przejąłeś, kiedy do nas przyszedłeś - zaczął, a zmarszczka na jego czole pogłębiła się. - Z początku było tu pięćdziesiąt nazwisk, teraz jest ich niecałe czterdzieści.

Mark czuł, jak jego zdenerwowanie wzrasta, skóra na twarzy napina się i czerwienieje. Opanował jednak instynktowną chęć przystąpienia do natychmiastowej obrony i poczekał, aż Peter skończy.

- Wszyscy oczywiście zdajemy sobie sprawę z tego, że nastały ciężkie czasy dla przemysłu. Recesja i jej konsekwencje będą odczuwalne jeszcze przez kilka lat. Sytuacja w firmie musi odzwierciedlać ten proces. Nie jest przecież zbiegiem okoliczności fakt, że działowi likwidacji i przejmowania przedsiębiorstw przybywa klientów w tym samym tempie, co nam ubywa. I niech sobie Ryan opowiada, co chce o tym, ile w tym jest jego osobistej ciężkiej pracy i ile energii

go to kosztuje. Nasi wspólnicy nie mają przecież oczu zamkniętych na procesy rynkowe, niemniej Ryan lubi... - Peter umilkł nagle. Mark wiedział, że fakt, iż jego zwierzchnik posunął się do jawnego krytykowania kolegi wobec pracownika, świadczy o tym, jak bardzo martwi go spadek obrotów w ich dziale.

- Kiedy do nas przyszedłeś - Peter podjął przerwany wątek - spodziewaliśmy się, że w związku z przewidywanym wzrostem gospodarczym z czasem obejmiesz kierownictwo własnego zespołu. Jednakże w obecnej sytuacji... - Peter zawiesił głos, spojrzął na Marka i bardzo opanowanym tonem ciągnął: - Na ostatnim posiedzeniu zarządu Ryan zaproponował, aby w związku z utratą klientów, zamiast rozbudowywać nasz pion zajmujący się produkcją przemysłową, połączyć go z działem obsługującym handel, który również bardzo ucierpiał z powodu recesji. Nie muszę ci mówić, że podkreślałem, iż wszystko wskazuje na to, że szczytowy moment recesji mamy już za sobą i że, jak uczy historia, po recesji następuje zawsze raptowny wzrost koniunktury w gospodarce. Powstające przedsiębiorstwa w początkowym stadium będą intensywnie korzystać z doradztwa finansowego, co oznacza wzmożone zapotrzebowanie na naszą wiedzę i czas, a czemu nie będziemy mogli sprostać, jeśli zmniejszymy liczbę zatrudnionych.

Peter spochmurniał jak gdyby jeszcze bardziej i Mark zastanawiał się, co jeszcze miał do powiedzenia Ryan, ten awanturnik i pirat, bez pardonu żerujący na złej passie innych.

- Wspólnicy dostrzegli zasadność mojego punktu widzenia, niemniej...

Mark odgadł, co teraz nastąpi. Już od kilku tygodni wyczuwał, że obiecany na początku awans nie dojdzie do skutku.

- Przykro mi, Mark, ale to nie potrwa długo. Z końcem przyszłego roku Charles przechodzi na emeryturę i oczywiście tobie powierzmy kierownictwo obu połączonych zespo-

tów. A teraz zyskasz przynajmniej czas na zdobywanie nowych klientów...

Mark wpatrywał się w Petera ze zdumieniem. Serce waliło mu w piersi jak młot, żołądek kurczył się, pod wpływem nerwów czuł mdłości. Oblewał się na zmianę to zimnym, to gorącym potem.

- Czy to znaczy, że moja sekcja ma być połączona z sekcją Charlesa Sawyera? - wydusił z siebie z trudem.

- Starsi wspólnicy - zaczęła Peter, odwracając wzrok i unikając spojrzenia Markowi w twarz - uznali, że to będzie najlepsze rozwiązanie. Jak już powiedziałem, zyskasz czas na zdo...

- Jestem finansistą, a nie komiwojażerem - wybuchnął Mark.

Było o wiele gorzej, niż się spodziewał. Szedł do gabinetu Petera przygotowany na to, że usłyszy, iż obiecany awans zostaje odroczone. Tymczasem dowiaduje się, że praktycznie zostaje zdegradowany, kierowanie własnym zespołem jest mu odebrane, a on ma szukać nowych klientów...! Co za poniżenie! Peter nawet nie ma odwagi spojrzeć mu w twarz! Mark czuł się jak parias, trędowaty, ostatni niedołęga... A wszystko to dzieło Ryana.

Musi stąd wyjść. Jeśli zostanie tu choćby sekundę dłużej, powie coś, czego będzie później żałował...

Niech się wypchają! A może Ryanowi, wspólnikom, chodzi o to, żeby odszedł?

Będzie miał czas na zdobywanie nowych klientów! Jak do cholery miałby tego dokonać?

- Naprawdę bardzo mi przykro, Mark - usłyszał głos Petera. - Ale, jak już powiedziałem, Charles wkrótce przejdzie na emeryturę... Oczywiście zachowasz też swoją pensję bez zmian... Dobrze się złożyło, że Debora nie poszła w twoje ślady. Słyszałem, że świetnie jej idzie. Ryan wprost nachwalił się jej nie mógł. Wspólnicy co prawda niezbyt przychylnie

odnieśli się do pomysłu powierzenia jej likwidacji fabryki Ryecarta, ale zapewnił ich, że ona da sobie radę.

Była piąta, kiedy Mark opuszczał gabinet Petera. Pokój, który dzielił z kolegami, był już pusty. Po co mieliby zostawać po godzinach? Na biurku zastał wiadomość: „Debora dzwoniła- 16.00”

Podniósł słuchawkę, lecz zaraz odłożył z powrotem na widełki. Równie dobrze może pofatygować się do niej osobiście.

Drzwi były otwarte, Debora rozmawiała przez telefon. Wszedł. Czekając aż skończy rozmowę, zaczął porównywać w myśli gabinet, który Debora dzieliła ze swoim zespołem, z tym, w którym pracował on i jego koledzy. Tu było jaśniej, przestronniej. Powietrze wibrowało energią i entuzjazmem. Na biurku stały kwiaty. Leżało tam też kilka grubych teczek z dokumentami.

Poczuł bolesny skurcz w żołądku. Ogarnęła go gorycz. Nie, nie zazdrości jej, powtarzał sobie, kiedy odkładając słuchawkę z uśmiechem spoglądała na niego. Jak mógłby być zazdrosny o Debs? Kocha ją...

- Mark...

Urwała, przenosząc całą uwagę na Ryana, który energicznym krokiem wmaszerował do pokoju, z zamachem otwierając lekko uchylone drzwi i zupełnie nie licząc się z tym, że ktoś mógłby za nimi stać.

- Och... przepraszam cię, Mark - zmartwił się nieszczerze. - Nie widziałem cię.

- Jesteś gotowa? - odezwał się Mark do Debory, ignorując Ryana.

- Przykro mi - odezwał się Ryan, zanim Debora zdążyła otworzyć usta. - Spóźniłeś się. Debbie umówiła się już na randkę. Ze mną... W winiarni...

Debbie? Od kiedy to Ryan nazywał ją Debbie? Przecież nienawidziła tego zdrobnienia. Mark poczuł, jak włos mu się

języ na głowie, a twarz zaczyna płonąć z bezsilnej złości i obrzydzenia. Wiedział, że Ryan specjalnie próbuje go rozdrażnić i wyprowadzić z równowagi, i że ostatnią rzeczą, jaką powinien zrobić, to dać się sprowokować. Jego mechanizm samokontroli był jednak mocno nadwerżony upokarzającą rozmową z Peterem.

- Ryan chciałby omówić ze mną kilka spraw związanych z likwidacją - usłyszał nagle głos Debory, lecz tak naprawdę wcale jej nie słuchał ani nie zwracał na nią większej uwagi. Obserwował Ryana i lisi, zadowolony z siebie uśmiech wijący się na jego twarzy. Jest w swoim żywiole, peszenie go, pomiatanie nim sprawia mu przyjemność... A Debora mu w tym pomaga. Czy ona tego nie widzi? Czyżby była aż tak ślepa?

Nagle jego rozterki przysły. Zdominowała je złość; złość na Debore za to, że pozwala Ryanowi tak sobą manipulować i wykorzystywać siebie po to, żeby jemu dokuczyć.

Odwrócił się na pięcie.

- Nie marudźcie zbyt długo w nocy - na odchodnym usłyszał jeszcze głos i rechot Ryana. - Jutro czeka ją bardzo ciężki dzień.

Debora dogoniła go w korytarzu.

- Mark, przepraszam...

- Za co? - spytał z goryczą. - Za to, że robisz ze mnie głupka przed Ryanem? Cóż, taki już jestem, i...

- O czym... o czym ty mówisz? Przykro mi, że nie zdołałam cię uprzedzić, że pracuję dłużej. Jak rozmowa z Peterem?

- Pracujesz? W winiarni? Daj spokój... Wiesz równie dobrze jak ja, do czego on zmierza. I na dodatek wydaje mu się, że ma szanse, bo inaczej nie traciłby czasu, prawda?

Debora zachłysnęła się powietrzem. Mark wiedział, że się zagalopował, wiedział, że jego oskarżenia są bezpodstawne, ale targały nim tak sprzeczne uczucia, że nie potrafił nad sobą zapanować, przyznać się, że przesadził, wyjaśnić przyczyny.

W każdej chwili Ryan może pojawić się na horyzoncie, wyszczerzyć zęby w tym swoim lisim uśmiechu, rzucić jakąś deprymującą uwagę.

- Nie musisz już iść? - spytał z sarkazmem Deborę i do dał: - Przecież nie możemy kazać mu czekać na ciebie, prawda?

- Kłopoty? - zainteresował się Ryan, kiedy Debora wróciła do gabinetu.

- Skądże - zaprzeczyła.

- Mhm... Odniosłem wrażenie, że biedny Mark nie wyglądał na zachwyconego.

- Zapomniałam, że mieliśmy wyskoczyć coś zjeść - skłamała.

- Aha... skoro tracisz nie tylko jego towarzystwo, ale i obiad, to może ja cię nakarmię w jego zastępstwie?

Debora była przekonana, że Ryan doskonale poznał się na kłamstwie. Na dodatek teraz została wmanewrowana w pójście z nim do restauracji, a to była ostatnia rzecz, na jaką miała ochotę. Dlaczego, do diabła, Mark zachował się w ten sposób? Dlaczego nie chciał jej wysłuchać? Dlaczego nie pozwolił sobie niczego wytłumaczyć?

Jeszcze przed chwilą tak pragnęła porozmawiać z nim o całym dniu, o swoich rozterkach związanych z likwidacją, a teraz prawie się bała wracać do domu!

Boi się wrócić do domu? Do Marka? Ależ to niemożliwe! To ~~ja~~ absurd!

Bolesna spuścizna

9

- Napijesz się jeszcze?

Debora potrząsnęła odmownie głową. Zesztywniała z napięcia, kiedy Ryan, pochylając się nad stolikiem, spytał:

- Coś nie tak? Nadal się martwisz dąsami twojego pana?

- To nie były dąsy - zaprzeczyła szybko Debora. - Mark nie należy do tych, co się dąsają.

- W tej sprawie nie możesz sobie pozwolić na ani jotę mniej niż sto dwadzieścia procent zaangażowania - powiedział Ryan z wszystkowiedzącym błyskiem w oku. Debora podejrzewała, że zdradził ją sposób zachowania, nerwowe kręcenie się na krześle. - Niech Mark sam się martwi o siebie. \ie możesz rozwiązywać jego problemów za niego. Źle wybrał - tu Ryan lekceważąco wzruszył ramionami - i teraz ponosi cenę ... ciężką cenę. Nikt nie lubi być przesuwany na niższe stanowisko, ale Mark musiał się chyba orientować, co się święci... W jego sytuacji...

- Na niższe stanowisko? - Debora wpatrywała się w Ryana z niedowierzaniem.

- Widzę, że nie zdążył ci jeszcze wszystkiego opowiedzieć. Posłuchaj, postawię ci jeszcze jednego drinka i...

- Nie, nie... Naprawdę nie mogę zostać.

Jeśli to, co mówi Ryan, jest prawdą, to nic dziwnego, że Mark był tak podminowany i rozdrażniony. Ale dlaczego nie pisał ani słówka? Dlaczego nie podzielił się z nią tym, co go nęka, tak jak ona zawsze postępowała? Ze stów Ryana wynika, że musiał mieć jakieś podejrzenia...

Ujęła się honorem i zwalczyła w sobie chęć zapytania Ryana o szczegóły.

Mark nie darowałby jej, że omawia jego sprawy z Ryanem, chociaż musiał wiedzieć, że Ryan sam zahaczy o ten temat. Czy nie przyszło mu do głowy, jak bardzo zrani ją fakt, że dowiaduje się wszystkiego od osoby trzeciej?

- Martwisz się, prawda? - spytał Ryan współczującym głosem, wymuszając zaprzeczenie, które oczywiście równało się przyznaniu.

- Nie... ja...

- Oczywiście, że się martwisz - przerwał jej Ryan. - Pomyśl... przecież skoro potrafi ukrywać przed tobą coś takiego, ile innych spraw mógł zataić.

Debora usiłowała pamiętać o tym, że Ryan z premedytacją gra na jej uczuciach, że takie sytuacje jak ta to dla niego chleb powszedni, że uwielbia nastawiać jednych przeciw drugim, że konfrontacja jest jego żywiołem.

- Z Peterem widział się zaledwie dziś po południu - przypomniała, usiłując zachować spokój. - Nie miał wiele okazji, aby ze mną porozmawiać.

Ryan roześmiał się.

- Robisz, co możesz, ale ci nie wychodzi. Pomyśl, Deboro. Albo facet jest tak kompletnym głupcem, że nie zorientował się, co w trawie piszczy, albo wiedział od dawna i nie powiedział... Albo, albo. Jesteś bardzo inteligentną dziewczyną, i bardzo piękną. Potrzebny ci jest mężczyzna, który by ci dorównał, pomógł, uczył... a nie chłopaczek uczepiony matczynej spódnicy.

Deborę uderzyła pogarda dla Marka przebijająca z przemowy Ryana, lecz wyczuła w niej jeszcze inny podtekst. W sposobie, w jaki teraz na nią spojrział, w jaki wypowiadał słowa, kryło się wyraźne seksualne wyzwanie. Przez krótką chwilę czuła nawet, że jego zainteresowanie jej schlebia.

Ryan to bardzo wytrawny uwodziciel, pamiętaj, ostrzegała

siebie w duchu. To mężczyzna, który umie bezbłędnie odnaleźć u kobiety jej słaby punkt.

- Miło z twojej strony, że ofiarowujesz mi swoje ojcowskie ramię, abym się na nim wypłakała - rzekła zdecydowanym tonem, odzyskując równowagę. - Wiem jednak, że nie przyprowadziłeś mnie tutaj dla omawiania mojego życia osobistego - dodała z szerokim obłudnym uśmiechem. Z satysfakcją zauważyła, jak wzdrygnął się na dźwięk słowa „ojcowskie”. - Doceniam twoją pomoc i rady dotyczące spraw zawodowych, ale teraz naprawdę muszę już iść...

- Uciekasz? - zarzucił jej Ryan, znowu tym swoim miękkim uwodzicielskim tonem.

Debora zignorowała zaczepkę.

- Chciałabym nadrobić zaległości w lekturze.

Ryan nie ponowił prób zatrzymania jej, lecz kiedy wyszli z winiarni, odwrócił się ku niej i oświadczył:

- Prędej czy później staniesz w obliczu konieczności podjęcia decyzji, wiesz o tym, prawda? On nie dotrzymuje ci kroku i albo się z tym pogodzisz, albo zaryzykujesz utratę wszystkiego, co udało ci się zdobyć. Pozwalając mu kurczowo trzymać się ciebie, nie wyświadczasz przysługi ani sobie, ani jemu. Prawdziwy mężczyzna nigdy by tak nie postępował. Wolałby albo utrzymać się na powierzchni o własnych siłach, albo zatonać...

- Mark jest prawdziwym mężczyzną - oświadczyła Debora nagle potwornie rozzłoszczona - jedynym, którego potrzebuję i którego pragnę...

- W takim razie jesteś głupia - uciał Ryan brutalnie.

Otwierając własnym kluczem drzwi mieszkania, wciąż jeszcze była wściekła na Ryana.

Mark leżał na kanapie. Obok stała pusta szklanka i pojemniki z folii aluminiowej po daniach na wynos, również puste. W powietrzu unosił się jeszcze zapach przypraw. Wymowa tri ve.nv

- samotność i życiowa klęska - krzyczała niemo i oskarżycielko. Gniew Debory zniknął przyćmiony poczuciem winy.

Mark ani się nie odezwał, ani nawet nie spojrział na nią; siedział odchylony do tyłu, z oczami przykniętymi, wsłuchany w dźwięki muzyki płynące ze słuchawek wetkniętych w uszy. Obraził się? Chce ją ukarać?

Debora odsunęła te pytania od siebie, zmusiła się do uśmiechu, stanęła przed Markiem i dotknęła jego ramienia. Starając się nadać głosowi wesołe brzmienie powiedziała:

- Chińskie...? Mhm... też umieram z głodu.

Mark otworzył oczy, lecz nie wyjął słuchawek z uszu.

- Nie zaproponował ci obiadu? Może bał się, że nie będzie mógł wpisać tego rachunku do funduszu reprezentacyjnego...

- Mówiłam ci przecież, że idziemy tylko na szybkiego drinka - przypomniała mu Debora. Pochyliła się, żeby zebrać z podłogi opakowania po obiedzie Marka.

Kiedy wróciła do saloniku, Mark wciąż leżał wyciągnięty na kanapie. Podeszła do niego, mimo protestów wyjęła mu z uszu słuchawki i spokojnym tonem zażądała wyjaśnień:

- Dlaczego nic mi nie powiedziałeś?

- O czym? - spytał z wyraźną zaczepką w głosie.

- O twoim... - zawahała się przed użyciem słowa „zdegradowaniu” - o twoim... stanowisku...

- Stanowisku? - usta Marka wykrzywił gorzki grymas, gdy wymawiał to słowo. - O jakim stanowisku? - spytał.

- Nie mam już stanowiska... tylko posiadę. Boże! Kiedy pomyślę, z czego zrezygnowałem, żeby przyjechać tutaj...! Gdybym został w Londynie... - Wstał i zaczął nerwowo chodzić po pokoju. - Nie muszę pytać, kto ci o tym powiedział. Założę się, że zrobił to z satysfakcją. Drań...

- Mogłeś go wyręczyć - wtrąciła Debora. - Dlaczego mi nie powiedziałeś? - spytała z pasją. Usiadła naprzeciw Marka, odgarnęła włosy z czoła.

- Kiedy? - spytał Mark napastliwym tonem. - Ostatnio

byłaś zbyt zajęta, żeby słuchać, co ewentualnie miałbym ci do powiedzenia.

Debora wpatrywała się w niego ze zdumieniem. Nie mogła uwierzyć, że potrafi zachowywać się jak nieznośne dziecko. Zawsze był taki dojrzały, taki zrównoważony...

- A poza tym, po co miałabyś mnie słuchać? - ciągnął Mark. - Masz o wiele ważniejsze sprawy na głowie. Boże, co za ironia losu, nie? Kiedy się tu sprowadziliśmy, to przede mną rozpościerała się wspaniała kariera... awans... Wiesz, co mi dzisiaj powiedział Peter? Że nie wystarczy być dobrym księgowym, trzeba też być sprzedawcą. Tak, sprzedawcą... Nietrudno zgadnąć, kto jest autorem tego pomysłu... twój szefunio zna się na sprzedaży, prawda? Przecież dobrze się sprzedał, wżenając się w firmę. Cóż, jeśli taka jest cena sukcesu, to wolę być wiecznym przegranym.

- Mark! Nie jesteś przegranym! - zaprotestowała gwałtownie Debora. - To wina recesji, nie...

- Nie moja osobiście? Dziękuję, ale sam wiem o tym... Szkoda, że nie wziąłem przykładu z ciebie, prawda? Mógłbym teraz przechwalać się swoim awansem i nowym samochodem służbowym.

Debora nie wierzyła własnym uszom. Twarz jej zapłonęła gniewem.

- To nie fair. Potrafię zrozumieć, co czujesz, ale...

- Potrafisz? Potrafisz... - przerwał jej Mark. - Potrafisz zrozumieć, co czuję, kiedy ten pacan Ryan umizguje się do ciebie, pożera cię wzrokiem...

Debora nie wiedziała, co odpowiedzieć. Wybuch Marka był dla niej kompletnym zaskoczeniem. Potrafiła zrozumieć, że jest przygnębiony - każdy by był - ale te komentarze pod adresem jej... Ryana... czegoś podobnego nigdy się po nim nie spodziewała.

- To tylko chwilowy impas - perswadowała. - Coś musi się ruszyć, a kiedy firma odbije od dna...

- Na miłość boską! - wykrzyknął Mark. - Czy ty niczego nie rozumiesz? Tu nie chodzi tylko o recesję. Tu chodzi o...

- nagle urwał, nie kończąc.

- O co? - nalegała Debora.

Mark potrząsnął głową.

- Mniejsza z tym. Jestem zmęczony... Kładę się...

Debora przyglądała mu się przez chwilę. Mark zachowywał się tak dziecinnie i niesprawiedliwie.

- Nie - odparła z całym spokojem, na jaki było ją stać.

- Nie możesz tak tego zostawić, Mark, wiesz dobrze. Przykro mi, że tak się stało i czułam się bardzo dotknięta tym, że dowiedziałam się o wszystkim od Ryana, a nie od ciebie. Wiem, że jestem po uszy zajęta tą likwidacją, ale...

- A dlaczego byś nie miała być zajęta? Zawsze dawałaś mi jasno do zrozumienia, ile znaczy dla ciebie twoja kariera.

Debora wzięła głęboki oddech. W słowach Marka wyczuła zawołowane oskarżenie. Teraz gniew okazał się silniejszy od współczucia.

- Bo znaczy - broniła się stanowczo. - Znaczy tyle samo, ile twoja kariera dla ciebie. Oboje zawsze o tym wiedzieliśmy i dotychczas zawsze to akceptowaliśmy.

Mark spojrział na Deborę. Mówiła prawdę. Dotychczas oboje uznawali nawzajem wagę swoich zawodowych osiągnięć; dotychczas... To znaczy dopóki ona nagle i niespodziewanie nie prześcignęła go. Szybko odsunął od siebie tę myśl. W ustach czuł słodko-kwaśny smak chińskich przypraw, a może to złość i gorycz porażki psuła mu trawienie? Czy może przyznać się przed nią, że to zazdrość podsycy jego lęk i poczucie porażki? Czy może się przyznać przed nią do czegoś, do czego nie ma odwagi przyznać się przed samym sobą?

- Przepraszam - powiedział zmęczonym głosem. - Chyba poniosły mnie nerwy. Bo chociaż zgadywałem, co się święci, jednak doznałem lekkiego szoku...

- Recesja nie będzie trwać wiecznie - odezwała się Debora, chcąc go pocieszyć.

- Tylko nie mów tego Ryanowi - poradził jej Mark i uśmiechnął się krzywo.

- A co dokładnie powiedział ci Peter? - spytała Debora, puszczając uwagę o Ryane mimo uszu.

Opowiedział jej. Słuchała z uwagą.

- Wasz duet ma trwać zaledwie jeden rok - powiedziała, kiedy umilkł - a do tego czasu...

- ... recesja minie? - dokończył za nią. - Przestań odgrywać Pollyannę, Debs. Nie będzie to największa ozdoba mojego życiorysu i przebiegu mojej kariery, prawda? Nie tak jak twój awans. Wiesz, Ryan zaczepił mnie dziś rano na korytarzu, żeby wyrazić mi współczucie, że w tym roku nie dostanę nowego samochodu służbowego. Zasugerował, że zawsze mogę udawać, że twój to mój. Zdrowo się uśmieł z własnego dowcipu. Przysługuje ci najwyższa kategoria. Jaki kolor wybrałaś?

Debora patrzyła na Marka oszołomiona.

- Żadnego nie wybrałam...

Ryan wspomniął jej co prawda o tym, że dostanie nowy samochód, ale poza zarejestrowaniem tej informacji w pamięci nie poświęciła jej ani sekundy więcej uwagi. Była zbyt zajęta zastanawianiem się, jak da sobie radę z likwidacją i komplikacjami, jakie z tego wynikną.

- Może ty wybierzesz? - zażartowała, chcąc wprawić Marka w weselszy nastrój.

- Daj spokój, Debs - odparł Mark. - Nie jestem dzieckiem...

Debora już miała na końcu języka odpowiedź: Ale zachowuj się jak dziecko, lecz nic nie powiedziała. To naturalne, że Mark jest zmartwiony i rozgoryczony, a Ryan tylko pogorszył sprawę swoimi uszczypliwymi uwagami. Dlaczego mężczyźni muszą od razu brać takie rzeczy do siebie? Gdyby ona

była na jego miejscu, gdyby to jej nie przyznano obiecanego awansu, też czułaby się zawiedziona, chociaż...

Odpedziła od siebie owo „chociaż”, lękając się pytań i odpowiedzi, jakie za sobą pociągało.

- Miałam nadzieję, że zjemy razem obiad - powiedziała, żeby zmienić temat, jednocześnie starając się nie myśleć o tym, że zachowuje się dokładnie tak samo jak jej matka, kiedy usiłowała rozwiać zły humor ojca. Jak gdyby to ona ponosiła winę... - Wiesz, kiedy musiałam dzisiaj powiedzieć tym ludziom w fabryce, że zostają zwolnieni, czułam się strasznie...

- Mam nadzieję, że nie zwierzyłaś się z tego Ryanowi?

- Nie. Rozmawiam z nim wyłącznie o sprawach zawodowych. O uczuciach... - zawiesiła głos i spojrzała Markowi prosto w oczy. Wstała, podeszła do niego. - Z uczuć zwierzęm się tylko tobie.

Marka ogarnęły wyrzuty sumienia. Debora była taka otwarta, taka uczciwa, wspaniałomyślna, kochana, a on...?

Objął ją i posadził sobie na kolanach. Oparł jej głowę o swoje ramię i zaczął gładzić po włosach. Przytuliła się do niego, ocierając się zmysłowo i delikatnie o jego policzek, niczym przymilna kotka.

- Przepraszam, zachowałem się jak świnia - szepnął Mark. - Chciałem ci opowiedzieć wcześniej o swoich kłopotach, ale bałem się zepsuć ci radość z twojego awansu.

Mówiąc to, zdawał sobie sprawę z tego, że jego słowa nie wyrażają całej prawdy, że cenzuruje swoje myśli, że stara się je uwznioslić, oczyścić z rzeczywistych i mniej chwalebnych pobudek.

Debora zaś, słuchając go, wydała z siebie ciche westchnienie ulgi. Na początku rozmowy zaczęła podejrzewać, że Mark nie jest zadowolony z jej awansu i teraz cieszyła się, że oparła się pokusie powiedzenia tego na głos. Uzmysłowiła sobie nagle, że w opiniach i sądach zaczyna przyjmować punkt wi-

dzenia Ryana. W przyszłości musi się bardziej pilnować i nie dopuścić, aby jego uszczypliwe docinki na temat Marka pośrednio biły w nią.

Są sobie z Markiem równi i mają swoje osobne role we wspólnym związku. Nie może być mowy o tym, że któreś z nich chce się w taki czy inny sposób wywyższyć.

- Przypuszczam, że Ryan próbował cię podrywać - powiedział Mark, pociągając ją delikatnie za włosy.

- Jedynie pro forma - zażartowała Debora. - Wie, że nie jest w moim typie i że mnie interesujesz tylko ty - dodała. Bo nie jesteś taki jak Ryan, dokończyła w myśli.

Mark odsunął ją od siebie i wstał.

- Mark...?-zaniepokoiła się.

- Nie dzisiaj, Debs... Nie jestem w najlepszym nastroju. W przeciwieństwie do twojego szefa-ogiera nie potrafię uprawiać seksu na zawołanie.

Debora nic nie odpowiedziała, lecz było coś w głosie Marka, co ją zaniepokoiło. Dlaczego wciąż przyrównuje się do Ryana? A może sugeruje, że ona mniej dba o jego uczucia, a bardziej o zaspokojenie swoich erotycznych potrzeb?

- Wciąż jesteś głodna? - pytanie Marka wyrwało ją z zadumy. - Wspomniałaś, że Ryan cię nie nakarmił.

- To prawda.

- Dobrze. Posiedź sobie tutaj, a ja pójdę do kuchni i usmażę ci mój słynny i niezrównany omlet z serem.

Idąc do kuchni, zastanawiał się, czy Debora równie wyraźnie jak on usłyszała fałszywą nutę w jego głosie. Nigdy przedtem nie musiał przed nią udawać, kryć się z prawdziwymi uczuciami.

Debora jest taka dobra, ma w sobie tyle ciepła, tyle uczucia, tyle altruizmu... Zauważył, jak na niego spojrzała, kiedy powiedział, że nie ma ochoty się dziś z nią kochać.

Ile czasu minie, zanim okaże się, że potrzebny jej jest tylko w łóżku? Teraz Ryan jest jej mentorem w sprawach zawodo-

wych, nie on... Mark zatrzymał się przy oknie i spoglądał w ciemność. Zagubił się we własnych uczuciach i miał z tego powodu wyrzuty sumienia.

Przestał jednak zaprzętać sobie nimi głowę i zajął się smażeniem omletu. Zaniósł go Deborze, a ona spojrzała na niego sennym wzrokiem.

- Mhm... Pachnie cudownie.

Kiedy jadła, Mark przypomniał sobie o czymś, o co chciał ją zapytać.

- Kim jest ta nowa blondynka?

- Och, zastępuje Myrę, która poszła na urlop macierzyński - odparła Debora i marszcząc lekko nos dodała: - Wiem, że się do niej uprzedzam, ale moim zdaniem jest trochę wyuzdana, nieprawda? Mini, tlenione włosy i ta mina bezradnego kobieciątka...

- Wyuzdana... a mnie się zdawało, że...

- Że co? - dopytywała się Debora, tłumiąc ziewanie.

- Nic, nic... - odparł Mark, zabierając od niej pusty talerz. Jego zdaniem blondynka wyglądała bardzo subtelnie i kobieco. Nie była ubrana tak szykownie jak Debora, oczywiście, ale w jej uśmiechu było coś nieśmiałego i jednocześnie uwodzicielskiego, coś co natychmiast podniosło poziom hormonów w jego krwi...

- Nie zwracaj uwagi na Ryana - usłyszał za sobą łagodny głos Debory, która przyszła za nim do kuchni.

Kiedy się do niej odwrócił, objęła go za szyję i przyciągnęła do siebie, ocierając się policzkiem o jego podbródek.

- Mhm... zgoda... - mruknął - całą uwagę skupię na tobie, dobrze?

Pogładził ją po plecach, nakrył dłonią pierś. Debora uniosła twarz i ze zdziwieniem zajrzała Markowi głęboko w oczy.

- Sądziłam, że nie masz ochoty...

- Zmieniłem zdanie - szepnął, objął ją mocno i zaczął

całować. Czyż to naprawdę istotne, że nagle podniecił go obraz innej kobiety? Przecież teraz trzyma w ramionach Debs, pieści jej ciało, całuje jej usta, jej zapach wypełnia mu nozdrza, jej cichy jęk rozkoszy rozbrzmiewa mu w uszach...

RS

Bolesna spuścizna

10

Dzisiaj była umówiona w poradni w ratuszu. Szykując się do rozmowy, a także usiłując zorientować się w finansach Andrew, Fiona spędziła poprzedni wieczór, układając listę praktycznych kroków, jakie mogłaby podjąć, żeby sama sobie pomóc w obecnej sytuacji.

Lista była żałośnie krótka i przy śniadaniu Fiona, intensywnie myśląc, wciąż ją na nowo odczytywała. Przysięgła sobie, że już nigdy nie będzie stała biernie z boku i już nigdy nie pozwoli, aby ślepy los i inni ludzie podejmowali decyzje za nią, jak to robił Andrew. Że zaciśnie zęby i wykrzesze z siebie odrobinę więcej asertywności. Szkoda, że nie zdobyłam się na to dobre kilka lat temu, przyznała samokrytycznie.

Na liście priorytetów figurowały: a) znalezienie pracy - obojętnie jakiej, każdej pracy, która przyniesie jakiś zarobek i b) uczynienie czegoś, żeby i ona, i co ważniejsze chłopcy, mieli gdzie zamieszkać po sprzedaży domu.

Dzięki Bogu jedne ferie szkolne niedawno się skończyły, następne będą dopiero na Wielkanoc. Jak szybko będzie musiała się wyprowadzić i jak szybko bank zdoła sprzedać dom?

Żałowała teraz, że nie wypytała Neville'a Wilsona dokładnie o te konkretne sprawy, ale była tak oszołomiona, że...

Cóż, w najgorszym przypadku będzie musiała schować dumę do kieszeni i poprosić rodziców, aby przyjęli ją pod swój dach. Była to ostatnia rzecz, na jaką miała ochotę, niewykluczone jednak, że dla dobra dzieci będzie musiała to zrobić.

Chociaż początkowo buntowała się przeciwko decyzji Andrew, aby posłać chłopców do szkoły z internatem, teraz była mu prawie wdzięczna za to. Przynajmniej tam mieli opiekę i zapewnione utrzymanie. Na razie. A w przyszłym roku... Nie, nie, w tej chwili nie mogła myśleć o tak dalekiej przyszłości. Nie śmiała nawet myśleć o tym, co będzie w przyszłym tygodniu.

Ponownie spojrzała na listę. Praca... Uśmiechnęła się melancholijnie sama do siebie. Nie była taka naiwna, żeby spodziewać się, że tak łatwo znajdzie posadę.

Są przecież rozmaite kursy, mówiła sobie. Przez ostatnie kilka dni studiowała miejscowe gazety i odwiedzała biuro pośrednictwa pracy, zbierając jak najwięcej informacji o programach dokształcających, z których mogłaby skorzystać. Właśnie między innymi o tym miała nadzieję porozmawiać z osobą w poradni.

Zerknęła na zegar kuchenny. Powinna się zbierać. Specjalnie umówiła się jak najwcześniej, nie chciała spędzić całego dnia, denerwując się jak przed egzaminem.

Wstała od stołu, wygładziła spódniczkę garsonki. W jednej z gazet znalazła reklamę sklepu z używaną odzieżą. Chyba również kupują ubrania, nie tylko sprzedają, pomyślała. Po co mi szafa pełna luksusowych ciuchów, skoro nie mam pieniędzy na jedzenie?

Co nie jest niczyją winą, a tylko i wyłącznie moja, mówiła do siebie wychodząc. Tylko bez rozczulania się nad sobą, mruknęła pod nosem.

Miała przed sobą dwie wyraźnie zarysowane drogi: mogła albo pogrążyć się w lęku, nieszczęściu i rozpacz, które niczym cienie w mroku czyhały, żeby się na nią rzucić i ją przytłoczyć, albo dzielnie stawić czoło sytuacji i spojrzeć na owo tragiczne zrządzenie losu jak na szansę udowodnienia światu, a co ważniejsze samej sobie, jaka potrafi być silna. Szansę rozpoczęcia wszystkiego od nowa, wyboru takiego

życia, jakiego zawsze pragnęła, na własny rachunek, odpowiedzialna tylko wobec siebie i dzieci.

Jest zdrowa, psychicznie i fizycznie, inteligentna (choć z lenistwa pozwoliła swojemu umysłowi popaść w stan bliski atrofii) i co najważniejsze ma wolę, aby te atuty spożytkować. Są to przecież jedyne atuty, jakimi obecnie dysponuje. Kiedy była młodsza, nie znalazła w sobie wystarczającej motywacji, aby je wykorzystać dla siebie. Teraz, kiedy spadła na nią pełna odpowiedzialność za chłopców...

Młoda dziewczyna w recepcji uśmiechnęła się do Fiony przyjaźnie i spytała o nazwisko. Poczekalnia, chociaż obskurna, robiła sympatyczne wrażenie. Z wyblakłymi ogłoszeniami i stertą zaczytanych pism przypominała trochę poczekalnię u lekarza.

Z zadumy wyrwał Fionę głos eleganckiej kobiety wywołujący jej nazwisko.

- Nazywam się Elizabeth Humphries - przedstawiła się kobieta, wprowadzając Fionę do swojego gabinetu. - Poznałyśmy się już podczas naszej krótkiej rozmowy przez telefon, kiedy dzwoniła pani, żeby się umówić.

Ile ona o mnie wie, zastanawiała się Fiona, siadając na wskazanym jej krześle. Wiadomość o samobójstwie Andrew i kłopotach jego firmy dostała się na pierwsze strony gazet. Naiwnością byłoby sądzić, że pracownica poradni nie kojarzy, kim jestem.

Co ona czuje, stając wobec konieczności udzielenia pomocy i rady żonie mężczyzny, który tyłu ludzi pozbawił pracy, zastanawiała się Fiona.

Na wszelki wypadek jednak, gdyby pani Humphries zbiegiem okoliczności o tych wszystkich wydarzeniach nie słyszała, Fiona krótko przedstawiła swoje położenie. Elizabeth nie przerywała jej.

- Na pewno myśli pani - zakończyła, zbity z tropu mil-

czeniu swojej rozmówczyni - że inni ludzie o wiele bardziej ode mnie potrzebują pomocy...

- Tak pani sądzi? - spytała spokojnie Elizabeth. - A może próbuje pani powiedzieć, że według pani tylko przedstawiciele pewnych określonych grup społecznych zwracają się do poradni takiej jak nasza? Zdziwiłaby się pani, gdybym zdradziła, ilu ludzi ustabilizowanych zawodowo i finansowo zgłasza się do nas na przykład w sprawie spłaty długów.

- Tak, zdaję sobie z tego sprawę - przyznała Fiona.

- Ale nadal uważa pani, że nie powinna siedzieć na tym krześle, prawda? - Elizabeth uśmiechnęła się i dodała: - Jesteśmy tutaj po to, żeby ludziom pomóc i poradzić, a nie ich osądzać. Czy przyniosła pani listę wierzycieli? - spytała.

Fiona podała jej kartkę i powiedziała:

- Napisałam do wszystkich tych osób, tłumacząc moje położenie i...

- Dobrze - stwierdziła Elizabeth z aprobatą. - Zobacz pani, okaże się, że większość z nich zgodzi się przyjąć minimalną sumę...

- Nawet na tyle mnie nie stać, dopóki nie znajdę jakiejś pracy. Chociaż, nie wiem, jaką pracę ktoś chciałby mi dać. Nie mam ani kwalifikacji, ani doświadczenia. W tej chwili moim największym zmartwieniem, oprócz długów, jest mieszkanie. Mąż kupił dom na swoje nazwisko i w dodatku, kiedy potrzebował zaciągnąć kolejną pożyczkę, przepisał go na bank. A teraz bank chce odebrać, co mu się należy.

- A czy ktoś z rodziny mógłby przyjąć panią do siebie?

- Nie bardzo... - odparła Fiona z wahaniem. - Ewentualnie rodzice... chociaż wolałabym coś wynająć, pod warunkiem oczywiście, że zaczęłabym pracować.

- Jeśli przyjmą panią na kurs doskonalenia zawodowego finansowany przez budżet państwa, dostanie pani pewną sumę - zaczęła Elizabeth. - Są też inne formy zapomóg, o które może się pani ubiegać, ale jeśli chodzi o mieszkanie... Cóż,

recesja spowodowała, że kolejka ludzi oczekujących na zmianę mieszkania gwałtownie się wydłużyła i wielu z nich musimy czasowo kwaterować w pensjonatach. Czy spytała już pani przedstawiciela banku, kiedy chcą, aby pani opuściła dom?

Fiona pokręciła głową. Na wzmiankę o opuszczeniu domu oblała się zimnym potem.

- Zdecydowanie warto by było się z nimi skontaktować, niejako uprzedzić ich ruch i wykazać im korzyści płynące z pozwolenia pani na zamieszkiwanie tam dalej w charakterze kogoś w rodzaju dozorczyńcy - wyjaśniła Elizabeth, a widząc brak entuzjazmu na twarzy Fiony, ciągnęła: - W handlu nieruchomościami nadal panuje impas, szczególnie jeśli chodzi o luksusowe posiadłości. Bank może zdecydować się na pewną zwłokę w nadziei na uzyskanie lepszej ceny. W takim przypadku opłaci im się zainwestowanie w ochronę obiektu, unikną bowiem ryzyka włamania, zniszczenia przez wandalów. Zamiast zatrudniać jakąś osobę czy firmę, mogą się zgodzić, aby pani nadal tam mieszkała i pilnowała domu. Mogą się też nie zgodzić - ostrzegła - lecz w moim przekonaniu zdecydowanie warto z nimi o tym porozmawiać. Proszę się jednak nie spodziewać natychmiastowej odpowiedzi - dodała. - Może się okazać, że trzeba będzie trochę uporów i stanowczości. A wiem, że w podobnych sytuacjach niektórym ludziom, a szczególnie kobietom, trudno zdobyć się na stanowczość.

Elizabeth cały czas przyglądała się Fionie z uwagą. Siedziała przed nią osoba bardzo, bardzo ładna; nawet napięcie i stres nie przyćmiły jej urody. Czy należy do kobiet, które przyzwyczyły się wykorzystywać warunki fizyczne jako atut przeważający w negocjacjach szalę na ich stronę? A może ten lekko gorzki grymas ust i poważne spojrzenie świadczą o silniejszym charakterze, niż można by sądzić, patrząc tylko na jej śliczną buzię?

Elizabeth podejrzewała, iż nie jest to wykluczone. Była

doświadczoną obserwatorką, umiała ocenić ludzi oraz ich reakcje. Zauważyła, że mimo zażenowania i skrępowania swoją sytuacją Fiona jest jak gdyby zadowolona z tego, że rozmawia z kobietą. Nie odniosła wrażenia, że pani Rycart wołałaby, aby doradzał jej mężczyzna, z którym mogłaby flirtować i czarować go swymi wdziękami.

- Umówię panią z wydziałem opieki społecznej... - zaczęła teraz Elizabeth, lecz widząc reakcję Fiony, urwała. - Czy ma pani jakieś zastrzeżenia? - spytała.

- Moi synowie są w szkole z internatem - wyjaśniła Fiona. - Jak mogę wyciągać rękę po zasiłek? - spytała cicho.

- Może pani, bo nie ma innego wyjścia - odparła Elizabeth stanowczym tonem. Fiona zarumieniła się, słysząc nutę nagany w tonie swojej rozmówczynie. Nie zdobyła się jednak na wyjaśnienie, że jej opór wypływa nie z dumy, lecz z poczucia winy. Ci ludzie, którzy znaleźli się na bruku - oni mają prawo do pomocy państwa, nie wdowa po człowieku, który do tego doprowadził.

Podczas gdy Elizabeth informowała ją o rozmaitych opcjach rządowego programu kształcenia bezrobotnych, z którego mogłaby skorzystać, Fiona zastanawiała się, co by powiedziała jej matka, gdyby wiedziała o podjętych przez córkę działaniach. Jeszcze jeden temat, którego ojciec raczej wołałby nie poruszać w rozmowach w swoim klubie golfowym... Jego jedynaczka ustawia się w kolejce po zapomogę z opieki społecznej!

Fiona wyszła z poradni z głową naładowaną informacjami i z mocnym postanowieniem skorzystania z rady pani Humphries, aby wystąpiła do banku z propozycją pozwolenia jej na pozostanie w domu. Nawet jeśli to będzie tylko kilka miesięcy, zyska czas na spokojne skupienie się na innych sprawach.

Przechodząc przez skwer, zauważyła kobietę kwestującą na jakiś cel dobroczynny. Automatycznie sięgnęła do kieszeni i zastygła w bezruchu. Dni, kiedy wrzucała do puszek wszy-

stkie drobne z portmonetki, minęły. Czy w ogóle ma jakieś drobne? Z głową spuszczoną, żeby ukryć rumieniec wstydu, minęła kobietę.

Pani Humphries miała rację mówiąc, że nie może nie starać się o wszelkie należne jej świadczenia z opieki społecznej. Nie czas na wyrzuty sumienia i skrupuły.

Fiona przetarła zmęczone oczy. To był długi dzień, a rozmowa telefoniczna z Nevillem Wilsonem wypompuwała z niej wszystkie siły fizyczne i psychiczne.

Neville obiecał, że przedstawi jej prośbę zarządowi banku, niemniej nie potrafił powiedzieć, czy odpowiedź będzie pozytywna i czy pozwoli jej nadal mieszkać w domu.

Z jego głosu wyczuła, że on sam odnosi się do tego pomysłu przychylnie, lecz, jak podkreślił, decyzja nie będzie zależała od niego. W związku z tym pozostawało jedynie czekać, czekać i... mieć nadzieję. Wolałaby jednak, nie kryła tego przed sobą, zająć się czymś konstruktywnym; pragnienie, które samo w sobie było czymś zaskakująco nowym u kogoś, kto zazwyczaj przyjmował pozycję biernego obserwatora i pozwalała, aby los i inni dyktowali mu swoje warunki.

O dziewiątej wieczorem, właśnie gdy udawała się na górę z zamiarem przygotowania sobie kąpieli i położenia się do łóżka, usłyszała samochód parkujący przed domem. Zatrzymała się w pół kroku. Przez szyby w drzwiach holu zobaczyła, jak błysnęły światła pozycyjne, potem na żwirze rozległy się męskie kroki. Pomyślała, że to Roberta ruszyło sumienie i przyjechał ją odwiedzić.

To jednak nie był Robert. Kiedy otworzyła drzwi, na ganku stał Frank Jarvis, jeden ze znajomych Andrew, cieszący się wątpliwą sławą kobieciarza.

Fiona przyglądała mu się przez kilka sekund zaskoczona. Na dodatek Frank trzymał olbrzymie naręcze białych lili, których nigdy nie lubiła.

- Fiono, moja droga... - odezwał się i lekko pochylił do przodu z zamiarem pocałowania jej, lecz ona cofnęła się natychmiast. - To dla ciebie - powiedział, wchodząc do holu i wręczył jej bukiet. Biorąc od niego kwiaty, Fiona poczuła mocny zapach płynu po goleniu, który nieprzyjemnie drażnił jej nozdrza.

- Właśnie miałam się położyć, Frank - odezwała się chłodnym tonem.

- Wiem, że wybrałem trochę późną porę na składanie wizyt... Posłuchaj, może usiądziemy sobie wygodnie... Chyba że wolisz, żebym poszedł z tobą na górę i otulił cię ciepło kołderką...?

Fiona nawet nie zadała sobie trudu, żeby odpowiedzieć na tę propozycję i wprowadziła gościa do zionącego chłodem salonu.

Frank usiadł na jednej z kremowych kanap i zapraszającym gestem poklepał poduszkę obok siebie.

- Usiądź tutaj koło mnie - zachęcał, kładąc ramię na oparciu. - Porozmawiamy...

Porozmawiamy? O czym mamy rozmawiać, zastanawiała się Fiona, omijając kanapę i wybierając stojący w bezpiecznej odległości fotel.

- Wiesz, jak bardzo cię zawsze podziwiałem, Fiono - zaczął Frank, kiedy gospodyni już usiadła. - A jeśli mam być szczerzy, to wyznam, że zawsze zazdrościłem Andrew, że ma ciebie za żonę. Jesteś bardzo piękną kobietą... i inteligentną, mam nadzieję - zawiesił głos. Po chwili uśmiechnął się i mówił dalej: - Ciężko mi myśleć, że taka piękna kobieta zostaje nagle pozbawiona tego wszystkiego, co życie oferuje. Piękne kobiety powinny mieć piękną oprawę... przyjemności...

Fiona już otwierała usta, żeby odpowiedzieć, lecz Frank uniósł dłoń, nakazując milczenie.

- Kiedy żył Andrew, on ci to wszystko zapewniał, lecz teraz go nie ma - powiedział. Wstał z kanapy i podszedł do

fotela. Fiona zeszywniała z obrzydzenia. Nie mogła uwierzyć, że to wszystko dzieje się naprawdę. - Jestem bardzo bogatym człowiekiem - ciągnął Frank - bardzo bogatym, który umie docenić piękne przedmioty i... i piękne kobiety. Kobieta taka jak ty nie powinna musieć martwić się o pieniądze. I nie ma powodu, żebyś to robiła. Sądzę, że wiesz, do czego zmierzam. W mieście, tuż obok katedry, są śliczne domki szeregowy na miejscu dawnych stajni. Byłoby ci tam bardzo wygodnie. Chciałbym pokazać ci jeden z nich, ale rozumiesz, że jak każdy człowiek rozsądny, chcę mieć pewność, że inwestuję mądrze, że otrzymam... otrzymam dokładnie to, na czym mi zależy.

Fiona czuła, że krew się w niej burzy. Czy ten człowiek naprawdę sądzi, że sprzedam mu siebie, oddam mu swoje ciało w zamian za domek? Wściekłość wprost odjęła jej mowę.

- Może pójdziemy teraz na górę i omówimy szczegóły?
- zaproponował gładko, zbliżając się do niej.

Jeszcze sekunda, a by ją dotknął. Obrzydzenie popchnęło Fionę do działania. Wstała gwałtownie i cofnęła się kilka kroków do tyłu.

- Mam o wiele lepszy pomysł... - powiedziała.

- Och? Jaki? - spytał Frank, a jego głos, jego spojrzenie, pełne były nie tłumionego pożądania. Fiona czuła, że robi jej się niedobrze.

- Weź słuchawkę, zadzwoń do żony i powtórz jej to wszystko, co powiedziałaś mnie - rzekła spokojnie, patrząc Frankowi prosto w oczy, czekając, aż każde jej słowo dotrze do jego świadomości.

Podejrzewała, że Frank potrafi być niebezpieczny, gwałtowny, że opętany namiętnością może się nawet na nią rzucić. Nie spuszczać wzroku z jego twarzy, dodała lodowatym tonem:

- Wyjdź... Natychmiast!

- Jeśli sądzisz, że takim postępowaniem wytargujesz wyższą cenę, to się mylisz - usłyszała. Głos Franka nabrzmiwał furją, gdy dodał brutalnie: - Może i jesteś piękna, ale na twoim miejscu byłbym ostrożniejszy. Przecież nie jesteś już taka młoda i ostry język zniechęci więcej adoratorów, niż przyciągnie. Może w łóżku niektórzy faceci pozwalają kobiecie dominować, w rozmowie nie. Dam ci radę. Nie ceń się za wysoko. Możesz nie znaleźć chętnego, ale nie przychodź wtedy do mnie. Zresztą w łóżku pewnie też jesteś do niczego - dodał zjadliwie. - Założę się, że więcej dałaby mi pierwsza lepsza dziwka spod latarni, więcej i taniej.

Potem nastąpiła dalsza przemowa w tym samym stylu. Fiona słuchała w milczeniu.

Kiedy nareszcie pozbyła się Franka i zaryglowała wszystkie zamki, oparła się ciężko o drzwi wejściowe. Drżała nie tyle z lęku, lecz z obrzydzenia i gniewu.

Do tej pory traktowała Belinę Jarvis z mieszaniną irytacji i pogardy; teraz głęboko jej współczuła.

Mijając otwarte drzwi salonu, automatycznie sięgnęła do klamki, chcąc je zamknąć. Woń wody po goleniu wypełniała całe pomieszczenie. Fiona wzdrygnęła się. Szeroko otworzyła wielkie okna. Lodowate powietrze wdarło się do wnętrza, lecz ona prawie nie poczuła zimna.

W łazience tarła skórę szorstką gąbką aż do bólu. Cały ten incydent musi mieć i komiczny aspekt, mówiła sobie, lecz nie była w nastroju do śmiechu.

A więc Frank Jarvis naprawdę szczerze wierzył, że zgodzę się na jego propozycję! Czyżby ludzie... mężczyźni... tak mnie widzieli? Jak towar, który można kupić, sprzedać, posiadać?

Obiły jej się wprawdzie o uszy niesprawdzone opowieści o rozwódkach i wdowach otrzymujących niedwuznaczne propozycje od dotychczas nieskazitelnie się prowadzących mężów swoich przyjaciółek, ale żeby Frank Jarvis zakładał...

Czy i on, i inni naprawdę uważają mnie za tak słabą, tak pozbawioną możliwości i inicjatywy, że przyjąłabym tego typu ofertę z otwartymi ramionami? Dobrze, już ja im pokażę, postanowiła z pasją. Udowodnię im wszystkim... rodzicom, bratu, Frankowi Jarvisowi... Blake'owi Hamiltonowi...

Blake Hamilton. Fiona znieruchomiała na wspomnienie tego nazwiska. Dlaczego, do diabła, dodała i jego do tej listy? Wizyta Franka Jarvisa musiała ją aż tak dogłębnie wytrącić z równowagi, że z mroku pamięci wyłoniła się postać należąca do odległej przeszłości.

A przecież Blake'a Hamiltona usunęła z myśli zdecydowanie i na zawsze w dniu, w którym zgodziła się zostać żoną Andrew.

Z myśli, ale czy z serca? Wzdrygnęła się niezadowolona z siebie. Nie bądź śmieszna, skarciła się w duchu. Byłaś po uszy zadurzona w Blake'u, ale to nie było uczucie, tylko fantazja wieku dojrzewania pobudzona przez romanse dla podlotków. Ta „miłość” nie była niczym więcej jak tylko wyidealizowanym obrazem Blake'a.

Nagły dzwonek telefonu zelektryzował Fionę. Miała ochotę zignorować przynaglające sygnały, lecz rozsądek mówił jej, że jest mało prawdopodobne, aby Frank Jarvis ponowił propozycję.

Kiedy podniosła słuchawkę i rozpoznała głos dyrektora szkoły, nie była pewna, czy ma się cieszyć, czy denerwować.

- Chłopcy czują się dobrze - zapewnił ją dyrektor, uprzedzając pełne obaw pytanie. - Może to dzięki temu, że są razem, a może dlatego, że nie oni jedni przeżywają rodzinne dramaty - dodał i wyjaśnił: - Dzwonię w sprawie ferii wielkanocnych.

Fiona zdała sobie sprawę z tego, że skupiwszy całą uwagę na przyszłości, zapomniała o teraźniejszości.

- Obaj pani synowie zostali zapisani na wyjazd do Włoch,

lecz mąż, płacąc chesne, nie uregulował żadnych dodatkowych opłat.

- O jaką sumę chodzi? - spytała Fiona zrozpaczona.

Kiedy usłyszała odpowiedź, serce podeszło jej do gardła. Odwołanie wycieczki w ostatniej chwili sprawi chłopcom olbrzymią przykrość, ale nie widziała innego wyjścia. W żaden sposób nie zdobędzie tylu pieniędzy.

- Nie musi mi pani dawać odpowiedzi w tym momencie - dobiegły ją uspokajające słowa dyrektora. - Ale gdybym mógł prosić o telefon jutro wieczorem...

- Dobrze. Oczywiście. Zadzwoń - obiecała Fiona.

Odłożyła słuchawkę na widełki i niewidzącym wzrokiem zapatrzyła się w przestrzeń. Co ma robić? Czy pozostaje jej coś innego, jak zatelefonować do Rory'ego i Daniela i wyjaśnić im, że nie stać jej na wysłanie ich do Włoch?

Cóż to będzie dla nich za upokorzenie i przykrość wobec kolegów!

Niestety, śmierć Andrew w sposób nieuchronny pozbawiła ich poczucia bezpieczeństwa i stabilizacji.

Z drugiej strony musi spojrzeć na to od strony praktycznej. Jeśli chłopcy przyjadą na ferie do domu, będzie musiała ich nakarmić i zapewnić im jakieś rozrywki... Boże!

Ze względu na nich schowa więc dumę do kieszeni i uda się do rodziców po prośbie, postanowiła znużona. Nie była to miła perspektywa, ale dla dobra dzieci musi zdobyć się na poświęcenie. Zdała sobie sprawę z tego, że cały dzień pełen był trudnych do przełknięcia rewelacji. Nic dziwnego, że czuje się tak psychicznie rozbita, pomyślała.

Pół godziny później, leżąc już w łóżku, ubrana w prostą bawełnianą koszulę nocną, zaczęła się zastanawiać, jaki wyrafinowany negliż zamówiłby sobie Frank, gdyby przystała na jego ofertę.

Bawiła się chwilę odgadywaniem jego gustu. Czerni, jedwab, wstążki... fason krępujący ruchy... czyniący z niej

bierny przedmiot, którym pan i władca może się zabawiać...
który może odpakowywać...

Tego rodzaju związek był całkowitym przeciwieństwem jej dziewczęcych marzeń; marzeń, w których spełnienie wierzyła; marzeń, które Blake kiedyś, dawno temu, jej odebrał i z premedytacją zniszczył.

RS

Bolesna spuścizna

11

- Fifi!

Fiona podniosła głowę, odgarnęła opadające na oczy włosy i zdziwiona spojrzała na gościa. Była tak pochłonięta usuwaniem chwastów, które rozpleniły się na jej grządkach warzywnych, że nawet nie usłyszała samochodu.

Gdyby ją kiedykolwiek zapytano o najbliższą przyjaciółkę, wymieniłaby Susie.

Poznały się podczas jakiejś akcji charytatywnej i mimo wyraźnych różnic charakteru natychmiast poczuły do siebie wzajemną sympatię.

Andrew nigdy nie aprobował tej przyjaźni. Susie i jej mąż obracali się w zupełnie innych kręgach niż Rycartowie. Jim był pracującym na własny rachunek majstrem budowlanym, specjalizował się w remontach i przeróbkach. Niemniej, mimo że cieszył się znakomitą renomą, nigdy, jak stwierdziła smutno, lecz ciepło Susie, nie dorobił się fortuny. Żadne z nich nie przywiązywało jednak wielkiej wagi do pieniędzy ani nie wykazywało szczególnych ambicji zawodowych. Ich życie koncentrowało się wokół rodziny. Susie miała w sobie mnóstwo ciepła i dobroci, czym natychmiast zjednała sobie Fionę. Fiona wiedziała, że gdyby należała do tej grupy kobiet, które czują potrzebę zwierzeń, wybrałaby właśnie Susie na swoją powiernicę.

W chwili śmierci Andrew Susie przebywała u swojej matki i Fiona celowo nie skontaktowała się z nią. Bała się, że wystawi ich znajomość na zbyt ciężką próbę.

Teraz jednak, patrząc na twarz przyjaciółki, wstydziła się tych niesprawiedliwych podejrzeń.

- Fifi! - zawołała jeszcze raz Susie, podbiegła i mimo ostrzeżeń, że pobrudzi się ziemią, chwyciła Fionę w ramiona.

- Jak się czujesz? Tak mi przykro, że nie odezwałam się wcześniej.. Jim zadzwonił z tą tragiczną wiadomością, ale mama obchodziła właśnie siedemdziesiąte urodziny i nie miałam serca wyjeżdżać i pozbawiać ją towarzystwa wnuków. Wróciłam dopiero wczoraj wieczorem. Chciałam zatelefonować, ale wiesz, jak to jest...

- Chodźmy do środka - zaprosiła Fiona.

Czuła, jak łyzy wzruszenia pieką ją w gardle i szczypią w oczy. Wycierając chusteczką nos, spytała:

- Dlaczego o wiele łatwiej jest płakać ze szczęścia niż z rozpaczy?

- Może dlatego, że chętniej przyznajemy się do dobrych uczuć niż do złych? - zasugerowała Susie.

Kiedy z kubkami kawy usiadły w kuchni, Fiona po raz pierwszy od śmierci Andrew poczuła, że może się przed kimś otworzyć i podzielić tym, co czuje.

- Wciąż nie potrafię uwierzyć, że Andrew mógł zachować się do tego stopnia lekkomyślnie i nic ci nie powiedzieć...

- westchnęła Susie, kiedy Fiona opowiedziała jej całą skomplikowaną historię. - Przepraszam, Fifi... - dodała. - Wiem, że był twoim mężem, ale...

- Nie przepraszaj - uspokoiła ją Fiona i potrząsnęła głową. Chociaż nigdy nie rozmawiała z Susie o stosunkach z Andrew, przypuszczała, że przyjaciółka zgaduje, iż nie jest to związek tak bliski, ciepły i oparty na wzajemnej miłości jak jej małżeństwo.

- Czy jacyś przyjaciele Andrew cię odwiedzili?

- Jacy przyjaciele? - prychnęła ironicznie Fiona i zaraz dodała: - Chociaż... Miałam jedną wizytę. Ktoś, jeden z pseudoprzyjaciół Andrew, odwiedził mnie wczoraj wieczor-

rem. A ja, naiwna i głupia, w pierwszej chwili się nie zorientowałam...

Susie z marsmem na czole wysłuchała relacji z wizyty Fran-ka Jarvisa.

- Teraz dopiero dostrzegam cały komizm tej sytuacji - zakończyła Fiona - ale wtedy... - urwała i oczy jej pociemniały od gniewu. - Bardziej niż jego cyniczna propozycja, żebym została jego kochanką, zabolalo mnie to, że on z góry założył, że się zgodzę i że jeszcze będę mu wdzięczna. Przyjął za pewnik, że może mnie kupić... niczym nowe auto, albo jakiś inny przedmiot, na który ma nagle ochotę. Powiedział, że od Andrew zawsze chciałam jedynie pieniędzy... Poczułam się, jak gdyby moje małżeństwo było czymś w rodzaju prostytucji, a to nieprawda. Powiedz, Susie... Czy tak mnie ludzie widzą? Susie...? Czy mają mnie za kobietę gotową oddać dumę i szacunek do siebie za pieniądze? - spytała z goryczą.

- Oczywiście, że nie - zapewniła ją z naciskiem Susie. - Przyznam szczerze, że zawsze zazdrościłam ci tego, że nie ma w tobie ani krzty próżności. A z twoją urodą mogłabyś być próżna; widziałam, jak mężczyźni wodzą za tobą wzrokiem, kiedy się pojawiaasz, ale widziałam także, że nigdy tego nie wykorzystujesz. Nie wiem, czy gdybym ja dysponowała takim atutem, oparłabym się pokusie. Podejrzewam, że niewiele kobiet zdobyłoby się na to. Pewnie, zdarza mi się wkładać ulubioną sukienkę męża albo staranniej się umalować, kiedy mam mu do zakomunikowania złe wiadomości w rodzaju astronomicznego rachunku za gaz, albo kiedy dzieci chciałyby coś ekstra... - Uśmiechnęła się. - Jim oczywiście potrafi w mig przejrzeć te sztuczki. Przyzwyczał się traktować je jako system wczesnego ostrzegania i nie robią już na nim wrażenia... Fifi, to musiało być okropne przeżycie... Trzeba było zadzwonić do mnie.

Fiona potrząsnęła głową.

- Wystarczyło, że zagroziłam, że powiem o wszystkim

jego żonie, a wyszedł jak zmyty. Susie, czułam się taka... taka... zbrukana, jak gdybym jakimś słowem czy gestem zachęciła go do... - Wzdrygnęła się z obrzydzeniem. - Jakie to musi być straszne uczucie, kiedy jedynym wyjściem wydaje ci się sprzedanie własnego ciała. Ile kobiet musi to robić, Susie? Ile kobiet nie ma innego sposobu zdobycia pieniędzy na jedzenie dla dzieci i siebie?

- Wiele kobiet. Zbyt wiele - odpowiedziała Susie rzeczowo.

- Żadna z nich nie powinna być postawiona w podobnej sytuacji - zaczęła Fiona żarliwie, lecz umilkła. - Przepraszam. Sama myśl o nim i o tym, jak mnie potraktował, uświadomiła mi, w o ile gorszej sytuacji mogłabym się znaleźć. Ja miałam przynajmniej wybór... mogłam odmówić. Wołałabym jednak, żeby bank dał mi odpowiedź. A jeśli się nie zgodzą, jeśli zdecydują sprzedać ten dom jak najszybciej i będą musiały...

- Wiesz, że zawsze możesz zamieszkać u nas - przerwała jej Susie. - I ty, i chłopcy. Na jesieni Rosie zaczyna studia. Będziemy mieli aż dwie sypialnie wolne.

- Och, Susie... już drugi raz doprowadzasz mnie do łez - powiedziała Fiona i głośno wytarła nos. - Czasami jestem taka wściekła na Andrew - dodała. - Dlaczego mu nie wystarczyło to, co mieliśmy? Dlaczego musiał tak ryzykować? Mam uczucie, że ani chłopcy, ani ja nigdy dla niego nic nie znaczyliśmy, i zastanawiam się, ile w tym mojej winy...?

- Nie ma w tym żadnej twojej winy, Fifi - stwierdziła stanowczo Susie. - I nie ponosisz żadnej odpowiedzialności za błędy Andrew. Przestań obwiniać siebie za to, co się stało.

- Weź się w garść i zorganizuj swoje życie na nowo - dokonczyła za nią Fiona ze śmiechem. - Tak?

- Tak. I chodź do nas na lunch.

- Nie mogę - odmówiła Fiona. - Jestem umówiona

w opiece społecznej - wyjaśniła. - Strasznie się boję - wyznała ponuro.

- Pojadę z tobą - zaproponowała Susie.

- I będziesz mnie trzymać za rączkę? - zakpiła Fiona.

- Nie, nie... Najwyższy czas, żebym się nauczyła mocno stąpać po ziemi. Próbuję sobie wytłumaczyć, że to co się stało, to wyzwanie i szansa... Tak twierdzą w pismach kobiecych.

- Siła pozytywnego myślenia - stwierdziła Susie. - Działa?

Fiona uśmiechnęła się melancholijnie.

- Powiedzmy, że w moim przypadku skuteczność tej metody oceniam na poniżej pięćdziesięciu procent... znacznie poniżej!

- Cóż... Czytałam gdzieś, że trzeba sporządzić listę stwierdzeń afirmujących... no wiesz, takie sentencje, które poprawiają nastrój, a potem powtarzać je sobie przed lustrem...

- To brzmi jak jakaś autohipnoza - zażartowała Fiona.

- Podobno jest bardzo skuteczna - zapewniła ją przyjaciółka.

- Tak samo skuteczna jak dieta-cud - odparła Fiona i obie wybuchnęły śmiechem.

Odkąd się znały, Susie narzekała, że musi zrzucić co najmniej trzy do czterech kilogramów, ale nigdy nie wytrwała przy żadnej diecie dłużej niż kilka tygodni.

Kiedy Fiona odprowadzała ją do samochodu, uświadomiła sobie, jak bardzo te odwiedziny poprawiły jej samopoczucie i o ile mniej samotna się po nich czuje. Z pewnością też dobrze było się pośmiać i na moment przestać myśleć o kłopotach.

- Dzięki, że przyszedłaś - powiedziała serdecznie, ściskając Susie na pożegnanie.

- Pamiętaj, mówiłam serio. Możecie z chłopcami mieszkać u nas - powiedziała poważnie Susie. - Nawet sądzę, że dobrze by było, gdybyś wprowadziła się od razu...

- Co? Teraz? Po tym jak spędziłam całe przedpołudnie,

przekopując stare grządki warzywne? Już widzę minę Jima, kiedy zabiorę się do jego cennych róż - zażartowała Fiona.

- Nie - dodała poważniejąc. - Muszę spróbować przebrnąć przez ten kryzys sama. Inne kobiety radzą sobie jakoś, samodzielnie wychowują dzieci, zarabiają...

- Mhm... ale z własnego wyboru i nie obciążone stertą długów do spłacenia.

- Nie zawsze - sprzeciwiła się Fiona. - Zbyt długo cho-
wałam głowę w piasek i tkwiłam w roli, w której obsadzili
mnie inni, Susie. Teraz muszę się przekonać, czy potrafię się
zmienić, czy też przesiąknęłam tą rolą, uwierzyłam, że mo-
ją jedyną zaletą jest ładna buzia. Czyli coś, co tak napra-
wdę nie ma nic wspólnego ze mną, jest tylko figłem ge-
nów, a nie osiągnięciem charakteru - powiedziała z goryczą.

- Czy naprawdę mam być z tego dumna, Susie? Uważać to za
moją zasługę? Czy naprawdę masz mnie za tak mało inteli-
gentną?

- Oczywiście, że nie - gwałtownie zaprzeczyła Susie.

- Dzięki. Miejmy nadzieję, że masz rację.

- Mam. Poczekaj, zobaczysz sama.

- Nie... Czekanie już mi się na nic nie zda. Teraz muszę
pracować nad sobą, wtedy zobaczę... A zacznę już dzisiaj od
rozmowy w wydziale opieki społecznej.

- Zadzwoń wieczorem - obiecała Susie, wsiadając do
samochodu. - Dasz sobie radę.

Fiona roześmiała się.

- Mam to sobie powtarzać przed lustrem?

- Dlaczego by nie? Na pewno nie zaszkodzi.

Fiona wyszła na ulicę pozwalając, aby drzwi wydziału
opieki społecznej zatrasnęły się za nią. Odetchnęła czystym
chłodnym powietrzem.

Mimo że przyszła punktualnie, musiała czekać ponad pół
godziny, zanim ktoś mógł ją przyjąć.

- Mamy dzisiaj trochę opóźnienia - usprawiedliwiła się energiczna, lecz wyraźnie zmęczona urzędniczka i wskazała Fionie krzesło.

Odpowiadając rzeczowo i zwięźle na jej pytania, Fiona znowu poczuła się zażenowana i przytłoczona winą. Mimo zapewnień Elizabeth Humphries, wciąż uważała, że nie powinna tu przychodzić i starać się o zapomogę. Podejrzewała, że siedząca po drugiej stronie biurka kobieta uważa tak samo, chociaż etyka zawodowa nie pozwala jej uzewnętrzniać osobistych opinii.

Po tej rozmowie wcześniejszy optymizm Fiony zniknął. Z ulgą opuszczała biuro, pozostawiając za sobą unoszący się w powietrzu przynębiający zapach rozpaczy i klęski.

Stojący po drugiej stronie ulicy Joel zauważył ją wychodzącą z gmachu. Wcześniej minął ją tam na korytarzu i natychmiast rozpoznał.

Nawet gdyby nie wiedział, kim jest, zwróciłby na nią uwagę. Wyróżniał ją ubiór, o ile nie twarz. Z początku rozwścieczyło go, że ona tam jest. Jak ktoś taki jak ona śmie wyciągać rękę do państwa, pomyślał z oburzeniem. Potem jednak, kiedy odwróciła ku niemu głowę i zauważył wyraz jej oczu, przypomniał sobie plotki opowiadane przez Sally, że podobno Ryecart zostawił żonę bez grosza, za to po uszy w długach.

Kiedy się przyglądał, jak wychodziła na ulicę, spostrzegł chłopaka, który wyskoczył nagle z bocznej uliczki i zbliżył się niebezpiecznie, chcąc zerwać torebkę z ramienia kobiety. W tej samej chwili, gdy chłopak wyciągnął rękę, Joel krzyknął i natychmiast rzucił się na pomoc.

Usłyszawszy ostrzeżenie, Fiona odwróciła się błyskawicznie. Kurczowo ścisnęła torebkę, którą wyrostek usiłował wyszarpnąć z jej rąk. Pchnięta przez spłoszonego napastnika, upadła. Po chwili zaczęła się niezdarnie podnosić. Pod wpływem doznanej wstrząsu omal nie wybuchnęła głośnym płą-

czem. Drżała, było jej niedobrze. Na dodatek wokół zebrała się już grupka ludzi, ciekawych zdarzenia.

- Dobrze się pani czuje? - usłyszała.

Wysoki barczysty brunet dotykał jej ramienia, starając się jednocześnie zasłonić ją sobą przed spojrzeniami gapiów. Emanujący od niego ciepły męski zapach sprawił, że poczuła się nagle znacznie lepiej. Chciała nawet przysunąć się bliżej, wesprzeć na nim. Ów kobiecy impuls reagujący na męską siłę i opiekuńczość, pewność, że gdyby otarła się o nieznanego, objąłby ją ramieniem i bezpiecznie przytrzymał, były dla Fiony całkiem nowymi doznaniem. Słyszała niemal równe, mocne uderzenia jego serca...

Łzy napłynęły jej do oczu, niewytłumaczalne poczucie straty wypełniło bólem jej serce, kiedy uświadomiła sobie, jak inny jest ów nieznanomy wybawiciel od mężczyzn, których spotkała na swojej drodze życiowej.

Po raz pierwszy od wielu, wielu lat zdominowały ją uczucia, które, jak sądziła, skutecznie stłumiła w sobie na zawsze...

Dziękując zwięźle za pomoc, poirytowana własną słabością, odsunęła się od Joela.

On zaś, obserwując ją, stwierdził, że nie może pozwolić, aby w takim stanie wracała sama do domu, chociażby tylko dlatego, że wątpił, czy fizycznie podoła. Pomagając jej wstać, czuł przez ubranie jej żebra. Wyglądała, jak gdyby od tygodni nie jadła porządnego posiłku. Dziwił się, skąd wzięła siły, aby tak kurczowo trzymać pasek torebki.

- Odprowadzę panią do samochodu - powiedział niskim głosem.

Fiona potrząsnęła głową.

- Nie, nie. Dam sobie radę... Dziękuję - odparła, lecz kiedy spojrzała na Joela, zrozumiała, że nie należy do mężczyzn dających się łatwo zniechęcić. Musiała powiedzieć mu prawdę. - Nie przyjechałam samochodem... przyszłam piechotą...

- Z Larchmount Avenue? Przecież to ponad trzy kilometry - zdziwił się Joel, zagradzając jej drogę, żeby nie odeszła.

Fiona spojrzała na niego zdumiona. Skąd on zna jej adres? Joel jak gdyby czytał w jej myślach.

- Rozpoznałem panią w biurze opieki społecznej - wyjaśnił. - Pracowałem w fabryce pani męża.

Fiona oblała się rumieńcem wstydu.

- Tak... tak mi przykro... - zaczęła i zająknęła się.

- To nie pani wina - Joel nie dał jej dokończyć. - A poza tym okazuje się, że urządził panią tak samo jak resztę z nas.

Fiona nie próbowała zaprzeczać. Wciąż było jej lekko niedobrze i czuła się roztrzęsiona. Pragnęła jak najszybciej znaleźć się w domu. Kiedy zaczęła iść, Joel ruszył u jej boku. Zawahała się i spojrzała na niego.

- Przyda mi się trochę ruchu. Moja żona narzeka, że zbyt dużo czasu spędzam w domu i tylko robię bałagan.

Mimo że powiedział to lekko i z uśmiechem, Fiona dosłyszała nutę rozgoryczenia w jego głosie.

- Dlaczego nie używa pani samochodu? Dla kobiet samotne spacerowanie nie są dzisiaj bezpieczne...

- Nie chciał zapalić - wyjaśniła Fiona i dorzuciła lakonicznie: - Poza tym poruszanie się piechotą jest tańsze.

Stanęli i spojrzeli na siebie.

- Tak - przyznał Joel - i na dodatek pomaga wypełnić czymś czas. Trudną miała pani przeprawę z opieką społeczną?

- Nie bardzo, ale czuję się okropnie, że w ogóle musiałam tam iść.

- Niech mi pani opowie - zaproponował Joel jak gdyby żartem.

- A pan... nie udało się panu znaleźć posady? - odważyła się spytać Fiona.

- Nie, i nie mam wielkich szans - powiedział Joel. - Nie w tej okolicy. - Urwał, dostrzegłszy ból w oczach Fiony. - To nie pani wina - dodał łagodnie.

- Niemniej czuję się tak, jak gdyby to była moja wina - wyznała i nagle uświadomiła sobie, że zaczęli rozmawiać o sprawach bardzo osobistych. Przecież się nie znamy, skarciła się w duchu. A jednak...

- Ale nie jest - powtórzył Joel. - Płyniemy tą samą łódką.

- Cóż, jeśli tak jest, to obawiam się, że nie popłyniemy daleko - zażartowała Fiona. - Nie jestem dobrym wioślaczem... ani w ogóle niczym... - dodała samokrytycznie.

- Och, na pewno nie jest aż tak źle - zaczął ją przekonywać Joel. - A jeśli chodzi o poruszanie wiosłami... to trzeba tylko, żeby ktoś pokazał rytm.

Słuchając gardłowego tembru głosu nieznanego, Fiona poczuła lekki dreszczyk emocji. W jego uwadze nie było ani joty jawnej czy ukrytej seksualnej aluzji, a wyraz twarzy świadczył, że nie miał wcale zamiaru niczego takiego insynuować, a jednak... Czy tak samo reagował na nią, jak ona na niego, zastanawiała się.

- Pańska żona... - spytała nagle - pracuje?

- Tak, jest pielęgniarką - odpowiedział Joel. Fionie wydało się, że nagle spochmurniał, jak gdyby mówienie, a nawet myślenie o żonie sprawiało mu przykrość.

- Macie dzieci? - brnęła dalej Fiona, chcąc zbudować jakąś neutralną platformę między nimi i zatrzeć wcześniejsze wrażenie nadmiernej i niebezpiecznej intymności.

- Dwoje. Dziewczynkę i chłopca. Dla mnie to tak, jak gdybym nie miał dzieci. Z każdą sprawą idą do matki i trudno się dziwić. To ona teraz trzyma kasę...

- Ja mam dwóch synów - powiedziała Fiona. - Obaj są w internacie. Andrew... Ja nie chciałam, ale mąż nalegał. Twierdził, że ich rozpieszczam i psuję.

- Sally też rozpłaszcza nasze, szczególnie Paula. Chcą czegoś, a ona natychmiast rzuca wszystko i...

Teraz Fiona wyłowiła w jego głosie nutę pretensji. Czyżby był zazdrosny o dzieci, zdumiała się.

- To nawyk, w jaki wpadają wszystkie matki - zaczęła łagodnie bronić tamtej kobiety. - Małeńkie dzieci są tak od nas uzależnione, że automatycznie stawiamy ich potrzeby na pierwszym miejscu, co niekoniecznie znaczy, że... - urwała, a Joel spojrział na nią.

- Co? Na pierwszym miejscu? Kiedy ja byłem mały, zdecydowanie tak nie było, ale Sally mi ciągle powtarza, że teraz czasy się zmieniły.

- Bo my chcemy dać naszym dzieciom wszystko to, czego sami nie mieliśmy.

- Mhm... Cóż... moja dwójka chciałaby tylko najnowsze bajery elektroniczne. Paul marzy o komputerze, a kiedy zaproponowałem, że zabiorę go na ryby, oświadczył, że go to nudzi... Coś się stało? - spytał widząc, że cień przemknął po twarzy Fiony.

- Nie, nic - zaprzeczyła i szybko dodała: - Pańskie dzieci mają szczęście, że ojciec w ogóle chce spędzić z nimi trochę czasu.

Nie kontynuowała tego tematu, a Joel nie domagał się wyjaśnień.

Czyli, jej zdaniem, mają szczęście, że jest ich ojcem? Joel wątpił, czy Sally zgodziłaby się z tą opinią.

Dotarli do furtki. Fiona stanęła, Joel zrobił zdziwioną minę. Nie zorientował się, że są u celu. Wydawało mu się, że wspólny spacer trwał zaledwie krótką chwilę.

Nie chciał kończyć rozmowy, pozwolić jej odejść. Było w tej kobiecie coś kojącego, ciepłego, coś, co sprawiało, że czuł się przy niej dobrze. Nie potrafiłby dokładnie wytłumaczyć, na czym to uczucie polega, wiedział tylko, że podczas tych kilku sekund, kiedy ją podtrzymywał, żeby nie upadła, czuł, jak drży i do jakiego stopnia jest bezbronna.

- Miło, że mnie pan odprowadził - mówiła teraz Fiona.

- Cała przyjemność po mojej stronie - odparł, nie mijając się z prawdą. - Dobrze jest móc z kimś porozmawiać.

- Tak - przyznała Fiona, zgadzając się tym samym ze wszystkim, czego nie ośmielił się wypowiedzieć.

- Mógłbym wpaść jutro i zajrzeć pod maskę samochodu, jeśli się pani zgodzi - zaproponował.

Fiona poczuła, że serce zabiło jej szybciej.

- Och, nie chciałabym pana fatygować - protestowała.

- Żadna fatyga - zapewnił ją Joel. - Zajmę się chociaż czymś pożytecznym...

- Cóż, jeśli to naprawę nie będzie dla pana zbyt duży kłopot... - Nie powinnaś się zgadzać, szeptał w panice głos rozsądku. - Nie stać mnie, żeby panu zapłacić - wyznała zażenowana. - Ja...

- Nie ma potrzeby. Jak powiedziałem, przynajmniej będę miał jakieś zajęcie... - Spojrzał na podjazd i dodał: - Podprowadzę panią do drzwi.

Powinam była zaprosić go na kawę, pomyślała Fiona, czując lekkie wyrzuty sumienia, kiedy Joel pożegnał się i poszedł. Jednak po porannej wizycie Susie zostało jej dosłownie kilka ziarenek, a urzędniczka z opieki społecznej powiedziała, o ile Fiona dobrze zrozumiała, że minie trochę czasu, zanim otrzyma zapomogę.

Nie poprawiła jej sytuacji także wizyta w sklepie z używaną odzieżą, bo chociaż właścicielka bardziej niż ochoczo zadeklarowała chęć przyjęcia garderoby Fiony, nie dała jej ani grosza.

- Sklep działa według ściśle określonych zasad sprzedaży komisowej - wyjaśniła. - Będę się z panią kontaktować pod koniec każdego miesiąca.

I tak rozwiały się nadzieje na zdobycie pieniędzy na wycieczkę chłopców. Teraz Fiona nie miała już wyjścia i musiała poprosić rodziców...

Wbrew pozorom Fiona nie lubiła być finansowo zależna od nikogo. Nawet jako nastolatka wolałaby zarobić na własne wydatki, zamiast otrzymywać kieszonkowe, lecz ojciec nigdy by na to nie pozwolił.

Przypomniała sobie teraz, jak ostro wypowiadał się Blake na temat jej uzależnienia od rodziców.

- Nie widzisz, co robisz? Oni ciebie kupują, Fiono, a ty się na to zgadzasz. Gdybyś naprawdę chciała studiować na uniwersytecie, być samodzielną, znalazłabyś środki.

- Jak? - pytała z płaczem.

Tak go kochała... Darzyła takim głupim, cielęcym uwielbieniem. Blake wypełniał jej dziewczęce sny fantastycznymi marzeniami o pocałunkach, jakie oglądała na filmach. Na myśl o tym, że mógłby pocałować ją w ten sam sposób, głodnymi rozwartymi ustami przylgnąć do jej rozchylnych warg, ogarniała ją fala gorąca, a ciało przeszywał dreszcz bolesnej rozkoszy...

Kochała go i zdławiła w sobie tę miłość, a ból rozstania sprawił, że nie miała już sił toczyć dalszych batalii z ojcem.

Zaloty, jakie z energią i determinacją przypuścił wówczas Andrew, odwracały jej myśli, wydawały jej się panaceum na ból, którego nie potrafiła ukoić ani usunąć z serca. Ojciec aprobował ten wybór, a małżeństwo stwarzało możliwość ucieczki z domu.

Fiona sądziła, że jedynie poprzez wmówienie sobie, że oto znalazła nowy obiekt uczuć, zdoła zapomnieć o upokorzeniu i odrzuceniu przez Blake'a i uwierzyć, że potrafi wzbudzić miłość mężczyzny.

Czasami tylko, bardzo, bardzo rzadko, kiedy szczególnie trudno jej było znaleźć spokój ducha, pozwalała sobie na rozważania, jak wyglądałoby teraz jej życie, gdyby tamtego feralnego dnia nie pojechała do Blake'a.

Przez całą zimę a potem wiosnę czekała na wakacje, na ostatnie, jak się obawiała, odwiedziny Blake'a, gdyż Michael już wkrótce miał skończyć studia. Miała teraz prawie osiemnaście lat, nie była więc już dzieckiem, ale kobietą, kobietą zdeterminowaną przetestować to, co szeptała jej kobieca in-

tuicja. Nie wystarczało już jej przyglądanie się uśmiechom Blake'a, słuchanie jego opowieści i marzenie o nim leżącym nocą samotnie w łóżku. Pocałunki, jakich teraz od niego pragnęła, miały nie być już tylko nierealnymi fantazjami.

Budzący się w niej instynkt kobiecy podpowiadał jej, że Blake interesuje się nią. Że kiedy się uśmiecha i wodzi za nią wzrokiem, zdaje sobie sprawę z tego, że i on ją pociąga. Że palące spojrzenie, jakie czasami czuła na sobie, oznacza, iż pragnie czegoś więcej...

Niestety, kiedy przyjechał, nigdy nie miała okazji znaleźć się z nim sam na sam. Zazwyczaj zaraz zjawiał się na horyzoncie albo ojciec, albo Robert i sposobność, aby okazać Blake'owi, co do niego czuje, zachęcić go, aby dostrzegł w niej już nie dziecko, a kobietę, pryskała...

Raz czy dwa, gdy rzeczywiście zostali sami, Fionę poraziła taka nieśmiałość, że nie zdołała wydobyć z siebie ani słowa o uczuciach przepełniających jej serce.

Za pierwszym razem wpadli na siebie wieczorem, kiedy Blake otwierał drzwi łazienki dla gości. Na widok wystających spod krótkiego płaszcza kąpielowego gołych, pokrytych delikatnymi włoskami nóg, z nagłego podniecenia poczuła skurcz w żołądku, a całe jej ciało zapłonęło, jak gdyby skórę nakłuło tysiące rozpalonych igieł. Postąpiła krok do przodu, lecz Blake cofnął się i została na korytarzu, onieśmielona i zażenowana.

Za drugim razem natknęła się na niego, kiedy szukała Michaela. Chciała go poprosić, aby zapiął jej perły. Zamiast brata zastała w jego pokoju Blake'a, który czekał na przyjaciela.

- W takim razie może ty mi je zapniesz - przemówiła nieśmiało, ledwo mogąc wydobyć głos ze ściśniętego tępą gardła. Jednocześnie odwróciła się do niego plecami i uniosła do góry bujne włosy, odsłaniając kark. Zadrżała, jeszcze zanim poczuła dotyk jego chłodnych palców na rozpalonej szyi.

Spojrzała w lustro, sycąc oczy widokiem jego ciemnych włosów przy swoich jasnych, boleśnie świadoma bliskości ich ciał, ciepła emanującego od Blake'a i męskiej tężyzny. Wystarczyło przymknąć powieki, odchylić się lekko do tyłu, oprzeć...

Lecz w tym samym momencie, gdy ta myśl zrodziła się w jej głowie, poczuła ręce Blake'a na swych ramionach. Odwróciła ją łagodnie twarzą do siebie i patrząc na nią poważnie, zaczął:

- Fiono.ja...

Nigdy się nie dowiedziała, co miał jej zamiar powiedzieć, gdyż do pokoju wkroczył Michael, przepaszając przyjaciela za spóźnienie, przekomarżając się z siostrą i żartując z pereł, w które się wystroiła.

- Tatuś lubi, kiedy je noszę - stwierdziła, nie tłumacząc, dlaczego zależy jej na jego dobrym humorze. Instynktownie wyczuwała, że ojciec nie przepada za Blake'em, lecz nie miała pojęcia, co było przyczyną tej niechęci. Istotnie, rodzina Blake'a nie miała ani majątku, ani pozycji, lecz on sam iznaczał się wybitną inteligencją i pod tym względem prześcigał i Roberta, i Michaela.

Pewnego dnia będzie bogaty i sławny. Kiedy mu to oświadczyła podczas wspólnych wakacji kilka lat wcześniej, wybuchnął śmiechem, najwyraźniej rozbawiony jej dziecięcą wiarą w niego. Miała wtedy szesnaście lat, rzeczywiście była jeszcze dzieckiem...

Wychodząc z pokoju brata, powtarzała sobie w duchu, że to dopiero początek pobytu Blake'a u nich, że mają mnóstwo czasu...

Rzecz w tym, że nie mieli. Pewnego popołudnia, kiedy wróciła z tenisa, zastała Roberta i Blake'a pogrążonych w rozmowie.

Blake wyglądał dziwnie ponuro, jak gdyby był rozgniewany, twarz Roberta natomiast była odpychająca i rozogniona.

W pierwszej chwili Fiona pomyślała, że musieli się o coś pokłócić, lecz okazało się, że się pomyliła. Robert przekazywał po prostu Blake'owi otrzymaną telefonicznie wiadomość.

Kiedy dowiedziała się, że Blake wyjeżdża, łzy napłynęły jej do oczu i ukrycie rozczarowania kosztowało ją wiele trudu. Nawet nie mogła pomachać mu na pożegnanie, ponieważ rodzice uparli się, żeby towarzyszyła im w trakcie przyjęcia, na które byli zaproszeni. Kiedy wróciła, Blake'a już nie było. Michael powiedział jej tylko, że przyjaciel został wezwany w niespodziewanej i pilnej sprawie.

Martwiła się, że to może stan zdrowia jego matki, która chorowała na jakąś bardzo poważną chorobę, pogorszył się.

Dużo wiedziała o nim i jego rodzinie. Latami zbierała i przechowywała w sercu informacje od brata i od samego Blake'a.

Wiedziała, na przykład, że ojciec Blake'a zginął w wypadku, kiedy syn miał piętnaście lat i że wkrótce potem matka zaczęła chorować. Wiedziała, że Blake musi pracować, aby opłacić studia i że właśnie wrócił na uczelnię po rocznym urlopie dziekańskim, podczas którego zarabiał na ukończenie pracy magisterskiej.

Wiedziała również, ponieważ brat jej o tym powiedział, że Blake nie tylko płaci za własne studia, lecz również posyła pieniądze matce. Kiedy o tym usłyszała, wzruszyła się gęęboko.

Po wyjeździe Blake'a Fiona czuła się bardzo nieszczęśliwa, a jej rozpacz wzmogła się, kiedy otrzymała wyniki egzaminu dojrzałości i ojciec nie zgodził się chociażby nawet porozmawiać z nią o ewentualnych dalszych studiach.

- Tatuś ma całkowitą rację - oświadczyła matka. - Gdybyś została przyjęta do Oksfordu, do któregoś z renomowanych college'ów dla dziewcząt, do Somerville, na przykład, sytuacja wyglądałaby diametralnie różnie, ale te nowoczesne uczelnie... Tatuś wybiera to, co dla ciebie najlepsze, Fiono

- dodała - i mogłabyś to docenić... docenić swoje szczęście, zamiast kaprysić.

Fiona jednak upierała się przy swoim, bardzo nierozważnie powołując się na słowa Blake'a.

- Blake uważa, że każdy powinien robić użytek ze swojej inteligencji; jego zdaniem prawdziwa niezależność to niezależność duchowa. Mówi, że każdy, obojętnie czy jest mężczyzną, czy kobietą, powinien mieć możliwość...

- Obawiam się, Fiono, że nie interesuje mnie, co ten młody człowiek ma do powiedzenia. Podejrzewam nawet, że ma wyrobione zdanie na zbyt wiele kwestii. Zresztą jak wszyscy tego typu ludzie. -I układając wargi w wąską linijkę, uśmiechnęła się sucho do córki. - Otóż właśnie to ojciec ma na myśli, kiedy mówi, że uniwersytet nie jest odpowiednim miejscem dla ciebie - dodała. - Obawia się, że wyrze to na ciebie niewłaściwy wpływ, że spotkasz niewłaściwych ludzi... mężczyzn podobnych do Blake'a...

- Michael lubi Blake'a - zaprotestowała Fiona. - Przyjaźnią się. Wynajmują wspólne mieszkanie.

- Mężczyźni wolno zawierać znajomości, jakie są zupełnie niestosowne w przypadku młodych dziewcząt - pouczyła ją matka. - Twój ojciec i ja tolerowaliśmy obecność Blake'a Hamiltona w naszym domu ze względu na Michaela, ale od początku było oczywiste, kim on jest.

Fiona już chciała zaoponować, zaprotestować, lecz z holu dobiegł głos ojca i, nauczona gorzkim doświadczeniem, wiedziała, że jeśli rodzice staną murem obok siebie, nie ma szans na wygraną.

Wielkie nadzieje związane z tymi wakacjami nie spełniły się. To było najgorsze lato w jej życiu...

Rankiem w dniu swoich urodzin przejrzała pocztę w oczekiwaniu życzeń od Blake'a. Przecież przysłał jej gratulacje z powodu zdania egzaminów i ukończenia szkoły, życzył jej wówczas wszystkiego najlepszego.

Tym razem listu nie było.

Rodzice zaplanowali przyjęcie dla niewielkiego grona znajomych posiadających dzieci w tym samym co ona wieku. Fiona nienawidziła każdej sekundy tamtego wieczoru, a szczególnie momentu, kiedy ojciec wstał, wygłosił krótkie przemówienie i wręczył jej kluczyki do samochodu - prezentu z okazji urodzin. Przez ostatnie kilka miesięcy brała lekcje i, ku zdziwieniu i zawstydzeniu Roberta, który trzykrotnie zdawał egzamin, dostała prawo jazdy za pierwszym podejściem.

Nie chciała samochodu. Pragnęła niezależności, prawa do dokonywania własnych wyborów, podejmowania samodzielnych decyzji... Tylko ona wiedziała, że łzy które napłynęły jej do oczu, kiedy przyjmowała królewski prezent, nie były łzami szczęścia, lecz rozpacz i obrzydzenia. Wiedziała, że te same pieniądze mogłyby jej zapewnić studia i przez jedno mgnienie przemknęła jej przez głowę myśl, żeby uciec, sprzedać auto... zbuntować się. Ale ona nie była buntowniczką z natury, nawyk posłuszeństwa zbyt głęboko zakorzenił się w jej charakterze.

A potem całkiem niespodziewanie rodzice otrzymali zaproszenie na weekend od pewnego wpływowego znajomego ojca, również zapalonego golfisty. Jej nie zaproszono. Robert przebywał z wizytą u rodziny Lidii, Michael też gdzieś wyjechał i mimo oporów matki Fiona miała zostać w domu sama.

Decyzji o odwiedzeniu Blake'a nie podjęła natychmiast, z początku był to jedynie nieśmiały pomysł, szalony i nierealny, lecz z czasem coraz bardziej natrętnie domagający się realizacji. Wyobraźnia podpowiadała nawet idealny pretekst do takiej wizyty; pretekst, który ledwo wykiełkował w jej głowie, a już przerodził się w nieodpartą chęć, by go wykorzystać.

Nabrała bowiem przekonania, że Blake zdoła wymyślić sposób obejścia przeszkód stawianych przez ojca... Z pewnością zdoła przekonać rodziców, że powinna się kształcić dalej,

wmawiała w siebie, całkowicie niepomna faktu, że Blake był ostatnią osobą, której rad jej ojciec chciałby wysłuchać.

Podczas gdy matka zaabsorbowana była szykowaniem i pakowaniem swojej garderoby, Fiona układała w myśli dokładny plan, ignorując odzywający się w niej słaby głos rozsądku ostrzegający, że nic dobrego z tego wszystkiego nie wyniknie. Potrzeba spotkania z Blake'em była jednak tak przytłaczająca, tak dojmująca, że uczyniła ją ślepą i głuchą na wszystko inne.

Kładąc się wieczorem do łóżka, przymykała powieki i wyobrażała sobie wyraz jego oczu, gdy otworzy drzwi i ujrzy ją na progu. Będzie oczywiście wiedział, co ona czuje, tak jak ona wyczyta z jego twarzy, jak bardzo za nią tęsknił... jak bardzo pożądał.

Kiedy do niego pojedzie, odda mu się. A kiedy wyznają sobie wzajemne uczucia... Blake już nie pozwoli jej wrócić. Będzie należała do niego i wszystko cokolwiek uczynią jej rodzice nie zmieni tego faktu.

Wyobraźnia roztaczała przed nią rozmaite wizje: oto biegnie do domu po wykładach, żeby przygotować Blake'owi kolację, wąski złoty paseczek obrączki na palcu świadczy o jej dorosłości; oto kupuje kwiaty do ich mieszkanek, a Blake z czułością śledzi drobne zmiany, jakie swoją kobiecą obecnością poczyniła. Widziała, jak z radością i dumą przyjmuje wiadomość o jej dyplomie, porywa ją w ramiona i zapewnia o swojej miłości. Widziała, jak... Zażenowana własną śmiałością, mimo ciemności oblała się palącym rumieńcem.

Rodzice wyjechali wczesnym rankiem, lecz ona odczekała prawie do południa, zanim wyruszyła w drogę, gdyż bała się, że z jakiegoś powodu mogliby jeszcze zawrócić.

Nie martwiła jej ta zwłoka, obliczyła, że jazda powinna zająć jej około dwóch godzin. W swoich rachubach nie wzięła jednak pod uwagę, że mogą się jej pomylić zjazdy z autostrady, że może zgubić drogę. W rezultacie dotarła na miejsce

dopiero wczesnym wieczorem. Było chłodno, ciężkie chmury zasnuły niebo.

Zaparkowała przed budynkiem i w strugach deszczu przebiegła przez chodnik do drzwi wejściowych. Zadzzwoniła. Wielka kropla deszczu spadła na jej na twarz, rozmazując tusz do rzęs. Kiedy usiłowała chusteczką zetrzeć ślad z policzka, drzwi otworzyły się.

- Blake...? - Zmęczona i pełna emocji padłaby w jego ramiona, gdyby jej nie powstrzymał.

- O co chodzi? Czy coś się stało? - zaczął się dopytywać.
- Mike? Czy coś złego przytrafiło się jemu...?

Michael? Stała, wpatrując się w Blake'a. Nie tak to sobie zaplanowała... wyobrażała... Blake trzymał ją na odległość wyciągniętych ramion, patrzył na nią chłodno, bardziej zainteresowany losem jej brata niż nią.

Stłumiła w sobie kiełkujące w niej wątpliwości.

- Blake - powiedziała - przyjechałam się z tobą zobaczyć. Muszę z tobą porozmawiać...

Blake jak gdyby wcale jej nie słuchał.

- Jak się tutaj dostałaś? - spytał.

- Samochodem - wskazała na zaparkowane przy krawężniku auto.

- Twoim samochodem?

- Tak... dostałam na urodziny...

- Rozumiem... Powinienem był się domyślić.

Rażona cynizmem w jego głosie Fiona skuliła się i nagle poczuła, że opuszcza ją pewność siebie i że wstrząsają nią dreszcze. To był jakiś inny Blake.

- Posłuchaj... Wejź do środka i opowiedz mi, o co właściwie chodzi - zaproponował.

Pokój, do którego ją wprowadził, był skąpo umeblowany. Panował tu nieskazitelny porządek. Na biurku leżała otwarta książka, oświetlona strumieniem światła ze stojącej obok lampy.

- Och, przepraszam... Przerwałam ci... - Fiona zaczęła usprawiedliwiać się niezręcznie.

Twarz Blake'a wykrzywił grymas.

- Cała Fiona! - zakpił. - Zawsze demonstruje, jak znakomicie została wychowana, jakie ma nieskazitelne maniere. .. jaka jest dobra. Boże, ty chyba nie jesteś prawdziwa! - wybuchnął z taką gwałtownością, że Fiona aż się wzdrygnęła. - Nie możesz być prawdziwa - dodał. Stał na wprost niej i przeszył ją spojrzeniem pełnym gniewu. - Zjawiasz się na moim progu, udajesz, że potrzebujesz pomocy, a potem...

- Ja naprawdę potrzebuję twojej pomocy - powiedziała Fiona. - Ojciec nie pozwala mi iść na studia.

- Co za niespodzianka! - wykrzyknął Blake i widząc minę Fiony, szydził dalej. - Musiałaś się chyba spodziewać, że coś takiego nastąpi. Samochód to, jak sądzę, nagroda za posłuszeństwo... Po co tu przyjechałaś, Fiono? Czego naprawdę ode mnie chcesz? Mam zgadywać?

Bała się go teraz; takiego Blake'a nie znała.

- Już... już ci powiedziałam - zaczęła się jąkać. - Chciałam... chciałam z tobą porozmawiać... poradzić się...

- Poradzić się mnie? - chrapliwość jego śmiechu boleśnie drażniła jej uszy. - A więc chcesz mojej rady, tak? Doskonale. Dam ci ją. Moja rada brzmi: przestań się oszukiwać i spójrz na świat realnie. Ale ty nie lubisz realnego świata, nie lubisz prawdy, mam rację, Fiono? Ty wolisz być grzeczną córeczką swojego tatusia, chronioną przed wszelkimi nieprzyjemnościami, jakie niesie ze sobą życie, takimi jak konieczność podejmowania decyzji, albo zrezygnowania z nowej sukienki co tydzień, pereł wokół szyi i tego wszystkiego, czym on cię obsypuje. Tego naprawdę chcesz, prawda, Fiono?

- Oczywiście, że nie - zaprzeczyła. Jego atak zaszokował ją i zranił. Nie miała pojęcia, że Blake potrafi zachowywać się w taki sposób, mówić do niej tak brutalnie... jak gdyby... jak gdyby jej wcale nie lubił... Łzy napłynęły jej do oczu, lecz

mruganiem usiłowała je powstrzymać. - Ja naprawdę chcę iść na uniwersytet, ale...

- Ale co?

- Ale nie mogę - odparła drżącym głosem. - Bez finansowej pomocy rodziców nie mogę.

- Dlaczego? - spytał obcesowo Blake. - Inni mogą. Pracują na swoje studia, ale ty oczywiście nigdy byś się na to nie zdobyła... - Ujął jej dłoń, przyjrzał się ślicznym wymanikirowanym paznokciom, pogładził jedwabistą skórę, lecz w jego dotyku nie było śladu miłości ani czułości, ani cienia pożądania. - Nie - dodał ciszej, bardziej do siebie niż do niej, albo tak się Fionie tylko wydawało - nie, ty byś nie potrafiła...

- Potrafiłabym - przerwała mu Fiona, wściekła na niego za to spojrzenie, za pogardę w oczach, w głosie, w całej jego postawie wobec niej. - Potrafiłabym pracować. Potrafiłabym... - Umilkła widząc, jak na nią patrzy. Lodowaty gniew w jego wzroku zniszczył wszystkie jej marzenia, siła, z jaką ją od siebie odpychał, obróciła je w gruzy. - Blake... - szepnęła. Błaganie w jej głosie było tak jawne, że słysząc je, skuliła się w sobie, zawstydzona sposobem, w jaki obnaża swoje uczucia.

- Nie - zaprzeczył Blake stłumionym głosem, potrząsając gwałtownie głową. - Och, nie, nie... nie. Nie potrafiłabyś, Fiono... - Twarz mu pociemniała, pod wpływem nagłego impulsu objął ją i przycisnął do siebie tak silnie, że aż jęknęła z bólu. Ogarnięta paniką zaczęła się wyrwać, lecz wówczas Blake, chcąc ją obezwładnić, gwałtownie przywarł ustami do jej ust, wyciskając na nich dziki, karzący pocałunek, w niczym nie przypominający czułego, niemal pełnego czci pocałunku jej marzeń.

Ten pocałunek był gorący i miazdzący jej wargi, władcze rozwierający je, wymuszający posłuszeństwo. Piersi bolały ją od naporu mocnego torsu Blake'a, kolana ugiwały się pod nią,

była bliska szoku. Łzy, którym broniła dostępu do oczu, paliły jej ściśnięte gardło.

- O co chodzi... coś ci się nie podoba? - pytał Blake, przyciskając usta do jej ucha. - Przecież po to przyjechałaś... Tego chciałaś...

- Nie! - zaprzeczyła Fiona, rozpaczliwie starając się uwolnić z jego objęć, lecz on trzymał ją w uścisku niczym w stalowej obręczy.

- Nie kłam - sztychował z niej. - Widziałem, jak na mnie patrzysz... jak wodzisz za mną oczyma... jak pożerasz głodnym wzrokiem. Ale to także był fałsz, jak wszystko inne, jak cel twojej wizyty, jak niemożność pójścia na studia...

- Ja nie kłamię - broniła się Fiona.

- Kłamiesz - upierał się Blake. - Jest tylko jedna osoba, która nie pozwala ci iść na uniwersytet - powiedział cierpko - ale tą osobą nie jest ojciec. To ty sama. Ty sama, Fiono. Nie jesteś zdolna do podjęcia żadnego wysiłku, żadnej ofiary... Zostawiasz wszystko innym, a sama, ślicznotko, siedzisz grzecznie i grasz swoją rolę. Mam ci powiedzieć, co sędzę o tej twojej śliczności... chcesz? To nie jest wcale uroda, Fiono. To brzydota, bo bez inteligencji, bez charakteru, twoja śliczna buzia jest pustą maską, a nie twarzą prawdziwej kobiety. Jesteś śliczną lalką, ślicznie ubraną i opakowaną, ale cikliwą i pozbawioną życia.

Mówił jeszcze wiele podobnych rzeczy, zanim puścił ją wreszcie i odepchnął od siebie z całej siły.

Drzwi wejściowe były na szczęście otwarte i Fiona, powodowana jedynie chęcią, aby jak najszybciej uciec od swojego dręczyciela, od upokorzenia, jakiego doznała, wybiegła na ulicę.

Blake rzucił się za nią, dogonił przy samochodzie. Przez moment myślała, że otworzy drzwiczki i zacznie szarpać się z nią, lecz ku swojej nieopisanemu uldze zauważyła zbliżającego się policjanta. Skorzystała z okazji, przekreśliła kluczyk w stacyjce i odjechała.

Ból wywołany odtrąceniem oraz słowami Blake'a był tak ogromny, że przez wiele następnych tygodni nie wiedziała, czy go w ogóle zniesie. Tylko duma trzymała ją przy życiu. Przecież teraz pozostała jej jedynie duma.

Nie mogła uwierzyć, że była do tego stopnia głupia, aby wyobrazić sobie, iż Blake jej pragnie i odwzajemnia jej uczucia. Ilekroć pomyślała o tym, do czego się posunęła, skręcała się wewnątrz jak gdyby pod wpływem zadawanych własną ręką tortur, spalała się w ogniu pogardy i obrzydzenia do samej siebie.

Nienawidziła siebie tak mocno, że nie miała już siły na nic innego, a z pewnością nie na walkę z rodzicami.

Kiedy półtora miesiąca później poznała Andrew, wmówiła w siebie, że oto znalazła balsam, jakiego potrzebuje, aby ukoić i zabliznić rany. I że po tym wszystkim, co usłyszała od Blake'a, rzeczywiście wygrała, jak twierdzili jej rodzice, los na loterii.

Łatwo było się oszukiwać, że postępuje słusznie; przecież oszukiwała się już wcześniej. Teraz nawet łatwiej było ulec presji rodziców, udawać przed sobą, że nigdy tak naprawdę nie kochała Blake'a. Niemniej ziarno lęku, jakie w niej zasiał, ziarno samozwątpienia pozostało...

A jeśli Blake miał rację? Jeśli naprawdę pod tą śliczną powłoką kryła się pustka?

Nie, Blake nie miał racji, mówiła sobie teraz z żarliwą wiarą. Udowodnił mu to!

Joel najwyraźniej nie uważał, że jest zbyt pusta, zbyt głupia, aby się jej zwierzyć. Nie traktował jej urody z pogardą.

Jest żonaty, upomniała się w duchu, prawie go nie znasz, ma dość własnych problemów...

No tak, ale mimo tych problemów przysłuchiwał się jej z uwagą i niemal serdeczną troską... a ciepło, z jakim mówił do niej... dotykał ją...

Pod prawie każdym względem byli od siebie biegunowo

różni, a jednak, słuchając go, przemawiając do niego, czuła taką bliskość, jakiej dotąd nie doświadczyła w stosunkach z żadnym mężczyzną. Dlaczego akurat on? - zastanawiała się.

Dźwięk telefonu uwolnił ją od konieczności znalezienia odpowiedzi na to pytanie.

Boże! Dzwonił dyrektor szkoły, a ona nawet nie zdążyła skontaktować się z rodzicami! Tchórz z ciebie, skarciła się w duchu. Uświadomiła sobie jednocześnie, że będzie musiała prosić go o dodatkową zwłokę, lecz zanim zaczęła, usłyszała z drugiej strony słowa:

- Chyba znaleźliśmy rozwiązanie, proszę pani. Szkoła dysponuje specjalnym funduszem, z którego korzystamy w takich przypadkach. Porozumiałem się już z dyrektorem administracyjnym, który potwierdził, że chłopcom przysługuje tego typu pomoc, więc jeśli nie chce pani koniecznie, żeby spędzili Wielkanoc w domu, czego osobiście w tym momencie nie doradzam, mogą wziąć udział w wycieczce. Do lata bardziej się oswoją ze świadomością śmierci ojca i wszystko powinno już wyglądać inaczej.

- Przynajmniej jedna rzecz ułożyła się po mojej myśli - zwierzyła się Fiona Susie, kiedy przyjaciółka zatelefonowała wieczorem.

- Cóż, odbiłaś się od dna i idziesz do góry - rzekła pełna optymizmu Susie.

- Nie muszę się odbijać. Jeśli o mnie chodzi mogę pozostać na dnie - odparła niepocieszona Fiona.

Opowiedziała przyjaciółce z detalami o tym, jakim koszmarem była dla niej rozmowa w biurze opieki społecznej, ani słowem jednak nie wspomniała o Joelu.

Bo niby po co, spytała sama siebie, odkładając słuchawkę. Przecież ani on się nie liczy w moim życiu, ani ja w jego...

Bolesna spuścizna

12

Joel zeszywniał słysząc, jak Sally otwiera drzwi kuchenne; słuchem, myślą, wychwycił tłumione westchnienie irytacji towarzyszące tej czynności.

- Joel? Gdzie jesteś?

Weszła do pokoju dziennego i oskarżycielskim tonem spytała:

- Nie masz nic lepszego do roboty, tylko gapienie się w telewizor przez cały dzień?

- Daj mi jakiś pomysł.

- Szukaj pracy! - rzuciła i natychmiast pożałowała swoich słów, ale było za późno, nie dało się już ich cofnąć. Twarz Joela stężała, a usta wykrzywił gorzki grymas.

- Jakiej pracy? Gdzie? Nie ma pracy, wiesz o tym.

Wiedziała. Przecież przez ostatnie tygodnie musiała wysłuchiwać tego niemal codziennie.

Powodowana wyrzutami sumienia usiłowała walczyć z frustracją. To nie wina Joela, że jest bezrobotny, nawet jeśli Daphne jest przeciwnego zdania. W związku z Daphne przypominała sobie o czymś.

- Może i nie ma stałej pracy - ripostowała - ale wszędzie jest coś do zrobienia. Zaledwie wczoraj Daphne mówiła mi, że zna dziesiątki ludzi szukających kogoś do tej czy innej roboty w domu czy w ogródku. Ona ma rację, Joel. A siostra przełożona zwierzyła mi się, że od dawna usiłuje znaleźć kogoś, kto by pomalował jej dom z zewnątrz. Przecież mógłbyś...

Joel miał dość.

- Co mógłbym? - wybuchnął i aż poczerwieniał na twarzy.
- Łazić po prośbie do takich samych snobów jak twoja siostrunia i żebrać o jakieś zajęcie? To by jej się spodobało, co?

Sally gestem wyrażającym znużenie przeczesła palcami włosy. Wracała z oddziału, gdzie właśnie zmarł chory, o którego życie toczyli walkę przez ponad tydzień. Była wykończona i fizycznie, i psychicznie pełną napięcia pracą - teraz na całym etacie - oraz zajmowaniem się domem.

- A jednak byłoby to zajęcie przynoszące pewien zarobek - skomentowała sucho.

Czy on w ogóle zdaje sobie sprawę z tego, jak ona musi się nagimnastykować, żeby związać koniec z końcem? Wiedziała, że się gryzie utratą posady, starała się, jak tylko mogła, żeby nie dokładać mu zmartwień. Ukrywała przed nim, że jej pensja nie wystarcza na wszystkie wydatki. Ale, na miłość boską, on chyba umie liczyć, zdaje sobie sprawę z tego, ile ona zarabia, a ile on przynosił. Czy nie widzi, jak ona się miota?

Nagle wzrok jej padł na leżące na podłodze ilustrowane pisma poświęcone wędkarstwu, z których jedno było bardzo drogie. Tłumiona gorycz i napięcie nagle eksplodowały w niej i nie potrafiła już opanować fali wściekłości.

- Jak mogłeś!? - wrzasnęła, chwytając pisma i podsuwając mu je pod nos. - Jak mogłeś wyrzucać pieniądze, kiedy wiesz, że... - głos uwiązł jej w gardle. Cisnęła pisma z powrotem na podłogę. - Jeśli się spodziewasz, że będę zaharowywać się na śmierć, po to, żebyś ty mógł fundować sobie te śmiecie...

Twarz Joela zbielała.

- Kosztowały trzy osiemdziesiąt, mniej niż kieszonkowe, które dajesz dzieciakom - wycedził przez zaciśnięte zęby.

Jego słowa chłostały sumienie Sally niczym bicz, lecz była zbyt zła, aby się cofnąć.

- Oni te pieniądze zarabiają - odcięła się.

Joel zrobił krok do przodu i przez jedno zapierające dech w piersiach мгновение Sally naprawdę pomyślała, że ją uderzy - on, Joel, który był najmniej gwałtownym człowiekiem, jakiego znała. Instynktownie skuliła się w sobie, a w jej oczach zabłyśły strach, przerażenie i zdumienie.

Joel również sprawiał wrażenie wstrząśniętego. Wstrząśniętego - to za mało, zauważyła w nim coś jeszcze, czego nie potrafiłaby nazwać, lecz co ścisnęło ją boleśnie za gardło, coś, czego jej oczy nie chciały zobaczyć, lecz serce czuło; Joel miał ramiona skulone, a wzrok błędzący, zamyślony; wzrok człowieka rozgoryczonego, pokonanego.

Zapagnęła nagle podbiec do niego, zarzucić mu ręce na szyję, przeprosić... Wyłumaczyć, że jest zmęczona, zagubiona i bardzo, bardzo przestraszona; że nie zdawała sobie w pełni sprawy z tego, co to znaczy wziąć na własne barki całą odpowiedzialność finansową za czteroosobową rodzinę; że czasami boleśnie pragnie, aby ją objął i zapewnił, chociażby to nawet była nieprawda, że nie ma się czym martwić, bo on się wszystkim zajmie.

Czuła się taka osamotniona, taka zależniona, a Joel jakby tego nie zauważał albo o to nie dbał.

Nie tak jak inni. Kiedy się ostatnio spotkały, Daphne zwróciła uwagę, jak źle wygląda.

- Można by sądzić, że Joel znajdzie jakiś sposób, żeby zarobić trochę grosza - powiedziała. - Przecież roboty się nie boi, zna ją z dzieciństwa...

Sally unikała wzroku siostry. Byłoby nielojalne wobec Joela, gdyby opowiedziała Daphne, jak on bardzo nienawidzi swojego dzieciństwa, jakie ma pretensje do ojca, który nigdy nie zakrzętnął się wokół regularnej pracy, tylko imał się każdego zajęcia, jakie mu się trafiło.

- Złota rączka. Popychał. Przynieś, podaj, pozamiataj - mawiał o ojcu z goryczą. - Ludzie traktowali go jak śmie-

cia. Nigdy nie powinien się żenić z matką... Zniszczył życie jej, sobie, i nam...

Sally słuchała tego ze zdumieniem. Jako dziewczynka uważała atmosferę tamtego domu, mit cygańskich przodków, za romantyczne, lecz Joel odkrywał przed nią inny aspekt swojego dziedzictwa - prześmiewki, które musiał znosić jako dziecko, zrodzoną później determinację, aby nigdy, przenigdy nie upodobnić się do ojca.

Chociaż ona lubiła tego człowieka. Był bardzo podobny do Joela. Łagodny i uprzejmy, cierpliwy... Wiedziała, jak cierpiał z powodu odrzucenia przez syna.

- Brakuje roboty - odpowiedziała wtedy siostrze, celowo udając, że nie zrozumiała aluzji. - Dla ludzi z jego zawodem...

Daphne wydała z siebie teatralne westchnienie.

- Jesteś dla niego zbyt miękka - skarciła młodszą siostrę. - Pozwalasz się wykorzystywać. Powinnaś mieć się na baczności ... Czym skorupka za młodu...

- Co chcesz przez to powiedzieć? - Sally wbrew woli dała się wciągnąć w dyskusję.

- Cóż, powszechnie wiadomo, że u Cyganów mężczyźni żyją z tego, co zarobią kobiety - obłudnie wyjaśniła Daphne.

- Daphne, krzywdzisz go - zaprotestowała Sally. - Joel jest inny. On nigdy by... - urwała. Głos odmówił jej posłuszeństwa.

Teraz chciała wytłumaczyć Joelowi, że nie chodzi jej o pieniądze wydane na pisma, naprawdę nie o to... lecz słowa uwięzły jej w gardle. Nie mogła opanować wzburzenia. Zobaczyła, że Joel odwraca się plecami, ignoruje ją, wychodzi... Nagle staje jednak w drzwiach. Obraca się i mówi spokojnie, beznamiętnie:

- Nie kupiłem ich, dostałem.

Duma nie pozwalała mu powiedzieć, że po prostu nie miał grosza, żeby je kupić. Rozdając dzieciom kieszonkowe, i po-

wtarzając ciągle, że robi to dlatego, aby nie czuły się gorsze od koleżanek i kolegów, Sally nigdy nie pomyślała, że on może czuć się dokładnie tak samo. A jak ma się czuć, kiedy nie może nigdzie pójść z kumplami, bo nie ma grosza przy duszy ani żadnych szans na zarobienie czegokolwiek, jak się dziś dowiedział w pośredniaku?

Sally przełknęła ślinę. Ogarnęło ją poczucie winy.

- Byłeś w biurze pośrednictwa pracy? - spytała, unikając napotkania jego wzroku.

- Tak. Nic nie mają... Niczego innego się zresztą nie spodziewałem.

- Och, Joel! Przestań się tak nad sobą roztkliwiać! Gdybyś naprawdę chciał, znalazłbyś coś! Mówiłam ci, że Daphne chce odnawiać pokój. A nam potrzebne są pieniądze. Opony w moim samochodzie są już kompletnie łyse, aż strach jeździć. I tak mamy szczęście, że ja pracuję...

- Mamy? - powtórzył z ironią Joel. - Ja nie czuję się wcale takim szczęściarzem! Z czego niby mam się cieszyć? Z tego, że mam żonę, która mi wciąż wbija do głowy, że to ona utrzymuje rodzinę i że przybyła jej jeszcze dodatkowa gęba do nakarmienia... pasożyt, truteń, który nic nie robi i któremu musi stawiać dzieciaki za wzór? Na nich ci nie żal pieniędzy. No, powiedz, Sally, co ty tak naprawdę myślisz? No, co? Lepiej by ci było beze mnie, odetchnęłabyś, gdybym sobie poszedł?

- Nie! - zaprotestowała gwałtownie Sally. - Doskonale wiesz, że to nieprawda!

- Nieprawda? W dziwny sposób to okazujesz.

Sally spuściła wzrok. Boże, niech tylko nie zaczyna od początku. Ile razy usiłowała mu wytłumaczyć, że jest po prostu zbyt zmęczona na seks. Ma tyle innych spraw na głowie, tyle kłopotów, każdy czegoś od niej chce, każdy dzień wysysa z niej wszystkie siły i seks jest ostatnią rzeczą, na jaką ma ochotę.

Zła była na niego za ten egoizm, za brak zrozumienia, za ślepotę. Czasami, leżąc w ciemności, czując dłonie Joela wędrujące po jej ciele, stawała się napięta, chciała mu powiedzieć, żeby zrobił swoje i dał jej spać, ale zawsze się powstrzymywała, gdyż pamiętała, jak inaczej było w pierwszym okresie ich małżeństwa, kiedy dzieci były jeszcze małe. Jej ciało reagowało wówczas na najdelikatniejszy sygnał i ogarniała ich taka namiętność, że zdarzało się, iż nawet nie szli kochać się do sypialni na górę.

Joel przyglądał się żonie w zamyśleniu. Z jej twarzy wyczytał, że zrozumiała wyrzut ukryty w jego słowach, lecz nie chce podejmować dyskusji. Czy nie rozumie, jak strasznie go rani, kiedy odsuwa się od niego albo kiedy jej ciało przyjmuje go z zimną, martwą obojętnością? Czyżby w ten sposób chciała mu uświadomić, że przestał się dla niej liczyć jako mężczyzna? A przecież on tak bardzo stara się okazać jej, że jest mu źle, że jej potrzebuje... że łaknie jej bliskości, potwierdzenia, że wciąż jest dla niej ważny, że ona jego pragnie, potrzebuje... że mimo iż nie dotrzymał danej jej obietnicy zapewnienia bytu i jej, i dzieciom, ona go rozumie i wciąż kocha. Tak, on okazuje jej swoją bezradność i bezbronność, a ona się od niego odwraca, swoim zachowaniem mówi mu, że nic nie jest wart ani jako mężczyzna, ani jako żywiciel. Owo odrzucenie głęboko rani jego dumę, o wiele głębiej niż gniewne, gorzkie słowa. Ból ścisnął mu gardło, wypełnił jego serce.

- Mógłbyś przynajmniej zatelefonować do Daphne i dowiedzieć się, co dokładnie jest do zrobienia i ile gotowa jest ci zapłacić - odezwała się Sally, chcąc jak najszybciej ominąć temat seksu.

- Sama się dowiedz - wycedził Joel przez zaciśnięte zęby.
- To twoja siostra, do cholery.
- Ale się zgodzisz...? - upewniała się.
- A mam jakieś inne wyjście?

Trzęsąc się ze zdenerwowania, Sally podeszła do telefonu

i wykręciła numer siostry. Czekając, aż Daphne podniesie słuchawkę, rzuciła:

- Zrobisz zakupy. Ja wracam do szpitala. - Wzięła zastępstwo za chorą koleżankę. Chwytała teraz każdą okazję dodatkowego zarobku, nawet kosztem snu. - Nie zapomnij, że Paul idzie na zajęcia z informatyki... Wszystko co trzeba kupić zapisałam na kartce i zostawiłam ci pieniądze. Aha, i podrzucisz mnie... - umilkła i przygryzła dolną wargę. Ciekawe, ile będzie musiała wziąć dodatkowych dyżurów, żeby zapłacić za te nowe opony. - Daphne? - odezwała się do słuchawki. - Dzwonię w sprawie tego remontu, który chciałaś, żeby ci Joel zrobił...

Joel bez słowa wyszedł z pokoju. Czy ona nie zdaje sobie sprawy z tego, jaką mu wyrządza przykrość? Miałby jej ochotę powiedzieć: Na miłość boską, okaż mi więcej szacunku, Sally, ale nie potrafił się na to zdobyć. Jak może domagać się czegoś, do czego stracił prawo?

Nie wspomniała mu nawet, nie omówiła z nim dzisiejszego zastępstwa. Gdzie się podziała ta dziewczyna, dla której był opiekunem, idolem, obiektem żarliwej, namiętnej miłości?

Tamta Sally odeszła, a jej miejsce zajęła kobieta, która zamiast na niego patrzyła bardziej obok niego, traktowała go z niecierpliwą irytacją, nie brała pod uwagę w swoich planach, pomijała w decyzjach.

We własnym domu czuł się jak piąte koło u wozu, beużyteczne, niechciane, zawadzające.

Był taki dumny z tego, że jest jej mężem... że ona go kocha, że ta miłość okazała się silniejsza od dezaprobaty jej rodziców. I co?

Czy Sally nadal go kocha? Czy to w ogóle możliwe? Zawiódł ją, nie sprawdził się.

Kiedy później zawiózł ją do szpitala, zauważył, że wysiadając unikała jego wzroku.

Spojrzał na poziom benzyny. Bak był prawie pusty. Oby

wystarczyło na dojazd do supermarketu i do domu. Nie prosi Sally o pieniądze. O nie!

Sally zdjęła pielęgniarski czepek i palcami rozczesała włosy. Była zaledwie ósma, lecz ona marzyła tylko o powrocie do domu i wczłganiu się do łóżka. Zdażyła wyjść za bramę szpitala, kiedy usłyszała doganiający ją samochód. Odwróciwszy głowę, rozpoznała kierowcę. Serce zabiło jej niczym pensjonarce. Kenneth Drummond.

- Piechota? - spytał, opuszczając szybę.

Sally kiwnęła tylko głową, nagle nie mogąc wymówić ani słowa.

- Wsiadaj, podwiozę cię.

Potrząsnęła odmownie głową, Kenneth jednak nie odjechał. Najwyraźniej miał zamiar czekać, aż zmieni zdanie. Sally wahała się, wewnętrzny szósty zmysł ostrzegał, aby nie przyjmowała zaproszenia, lecz formujący się za upartym autem korek spowodował, że uległa.

Wnętrze samochodu było rozgrzane, niepokojąco, delikatnie pachnące płynem po goleniu Kennetha. Obite skórą siedzenie ułożyło się do kształtu jej ciała, zimny poranek pozostał za oknem drogiego luksusowego auta.

Zauważyła, że przyglądając się jej badawczo, Kenneth zmarszczył czoło.

- Wyglądasz na wykończoną - powiedział znienacka. - Co ty, do diabła, ze sobą wyprawiasz, kobieto?

Z niewiadomego powodu Sally poczuła szczypanie pod powiekami. Joel ani razu nie spostrzegł, jaki efekt na jej kondycję fizyczną, na jej wygląd ma ustawiczne napięcie, w jakim ostatnio żyła. Jest zbyt zaabsorbowany samym sobą, aby mnie w ogóle zauważać, pomyślała z goryczą. Drżącym głosem odpowiedziała Kennethowi:

- Dziękuję za komplement... Po prostu miałam podwójny dyżur i...

- Podwójny dyżur?
- Potrzebne nam są pieniądze - tłumaczyła Sally. - Joel wciąż jest bez pracy.

- To dlaczego się nie pofatygował, żeby cię zawieźć do domu? - spytał Kenneth z wymówką w głosie.

Wciąż nie był pewien, dlaczego ta kobieta budziła w nim tak intensywne emocje, tak gwałtowne pożądanie; nie wyróżniała się przecież niczym szczególnym, była zwyczajną niebrzydką kobietą o raczej przeciętnej inteligencji, poziomem bardzo odbiegającą od środowiska akademickiego, w jakim on się obracał. Potrafił sobie wyobrazić uniesione ze zdziwienia brwi kolegów, gdyby się dowiedzieli o ich znajomości.

Pocziwy Kenneth odgrywa rolę Pigmaliona, skomentowaliby starsi, podczas gdy młodszy wiekiem, bardziej śmiali wykładowcy parsknęliby rubasznym śmiechem i powiedzieli-by: Chyba za często oglądasz *Edukację Rity*...

Nie, nie miał złudzeń co do tego, jak krąg znajomych potraktowałby ją czy jego. Obracał się w światku rządonym prawami brutalnej konkurencji, nawet jeśli otwarcie nikt tego tak nie nazywał; światku ludzi rywalizujących ze sobą pod względem intelektu, ludzi, których pozycja materialna nie była bardzo wysoka i którzy w swych ocenach zwracali uwagę przede wszystkim na stopień wykształcenia.

Wybranka, która jest wykwalifikowaną pielęgniarzką, a nie posiadaczką tytułu naukowego, narażałaby go na otwarte kpiny.

A jednak wszystko to nie przeszkodziło mu jej pożądać. Wciąż pamiętał tę chwilę, kiedy leżąc na szpitalnym łóżku, unióś powieki i zobaczył ją pochylającą się nad nim. Świadomość, że żyje, że może myśleć i czuć, czuć wszystkimi zmysłami, mieć władzę we wszystkich częściach ciała, wyzwoliła w nim falę tak gwałtownego wzruszenia...

Sally była jak gdyby stworzona dla niego. Oczywiście, że

wymagałaby oszlifowania, ukształtowania, lecz w przeciwieństwie do jego pierwszej żony nie spierałaby się, nie próbowała z nim konkurować. Szanowałaby jego sądy, wiedziałaby, że on ma rację.

Wzbierała w nim fala erotycznego podniecenia, lecz nie próbował dotknąć Sally, objąć, okazać, co czuje.

Kiedy zdarzy się ten pierwszy raz, nie będzie to akt pospieszny, nie zaplanowany, nie przygotowany. W rzeczywistości Kenneth już wiedział, gdzie i jak się to odbędzie. Wyobraźnia podsuwała mu obraz ich dwojga razem tak wyrazisty, że niemal pachnący świeżą, czystą wonią nieskazitelnej bawełnianej pościeli jego łóżka, na wpół zakrywającej delikatne ciało Sally. Widział wyraz jej oczu - ni to zdumienie, ni to rozkosz - kiedy podziwia wyrafinowaną elegancję jego sypialni.

Przy Sally będzie panem i władcą, tym, czym jego żona nie pozwoliła mu zostać.

Nagle spochmurniał. Nie chciał, żeby nieprzyjemne wspomnienia o pierwszym małżeństwie zmaciły to, co odczuwał teraz. Sally była przeciwieństwem jego byłej żony, zupełnie innym typem kobiety. O wiele mniej rozbudzona seksualnie, o wiele bardziej kobieca. Nawet jeśli wciąż uparcie i nierozważnie trwała przy swoim mężu.

Wyczuwając podniecenie Kennetha, Sally naprężyła wszystkie mięśnie, oczekując zachowania podobnego do zachowania Joela w podobnych okolicznościach.

- To nie jest droga do mojego domu - powiedziała pospiesznie. Jej pierwotna radość ze spotkania prysła. Bez względu na to, jak bardzo pociąga ją Kenneth i jakie uczucia w niej budzi, jej ciało buntowało się przeciwko jakiegokolwiek próbie zbliżenia. Miłość fizyczna była dla niej obowiązkiem, czymś, co znosiła dla świętego spokoju.

- Wiem - przyznał Kenneth i odwrócił do niej uśmiechniętą twarz. - Porywam cię - dodał miękko i ciepło. - I nic na to nie poradzisz.

Kiedy zobaczył jej twarz, przerażenie, nad którym nie zdołała zapanować, świadomość tego, jak bardzo trafnie ocenił jej charakter, wzbudziła w nim nową falę czułości. Delikatnie dotykając dłoni Sally, zapewnił ją:

- Och, Sally... nie... to, co zaistniało między nami, dalece wykracza poza wąskie ramy seksu. Jak mogłaś sądzić inaczej? Ja nie pragnę jedynie satysfakcji z posiadania twojego ciała, Sally. Mnie chodzi o ciebie... ciebie... ciebie całą. Pragnę twojego uśmiechu, rozmów, spokojnego milczenia. Ty...

Sally potrząsnęła głową. Łzy zasnuwały jej oczy. Ogarnęło ją uczucie radości, ulgi i wdzięczności. Była bliska euforii.

- A ty co sobie pomyślałaś? - zaczął się z nią przekomercyzować Kenneth. - Że porywam cię, żeby wykorzystać? - Kiedy oblała się rumieńcem, wybuchnął śmiechem. - Ostatnią rzeczą, do jakiej bym był zdolny, to zmuszenie kobiety do stosunku siłą. A szczególnie kobiety, którą... którą kocham. Czy... czy on się do tego posuwa, Sally? Czy on... twój mąż... kiedykolwiek...?

Sally gwałtownie potrząsnęła głową, nie chcąc rozmawiać o Joelu.

- Mówiłaś mu o mnie? - spytał Kenneth.

- Nie - zaprzeczyła szybko i z poczuciem winy. - To znaczy...

- To znaczy... - nalegał Kenneth - że za mało się liczę, aby o mnie wspominać. A może przeciwnie... zbyt jestem dla ciebie ważny...

Jego przenikliwość przytłoczyła Sally. Poczowała, że się rumieni.

- Ja... my... ostatnio mamy niewiele okazji do porozmawiania - chcąc wymigać się od jasnej odpowiedzi, zaczęła z wahaniem dobrać słowa. - Ja... Joel nie lubi, kiedy w domu opowiadam o pacjentach. On...

- Pacjentach? - przerwał jej Kenneth. - Czyżbym był dla

ciebie jedynie pacjentem, Sally? Sądziłem, że zostaliśmy przyjaciółmi.

Przyjaciółmi? Serce zatrzepotało jej w piersi.

- Tak... tak - przyznała. - Ale Joel...

- Co Joel? Nie lubi, kiedy masz swoich własnych przyjaciół? Nie powinnaś mu pozwolić dyktować sobie... Nie jesteś jego własnością. Jesteś istotą ludzką z jej prawami i potrzebami. To jest najgorszy błąd, jaki mężczyzna może popełnić: odmówić kobiecie prawa do indywidualności, nie dostrzegać jej odrębności...

A Joel właśnie to robi, pomyślała Sally z goryczą. Traktuje mnie, jak bym była jego własnością.

- W zeszłym tygodniu omal do ciebie nie zatelefonowałem - przyznał się Kenneth.

Żołądek podskoczył jej do gardła.

- Tęskniłem do ciebie. A ty?

- Kenneth... ja nie mogę...

- Jesteśmy przyjaciółmi, nie zapominaj - odparł uspokajającym tonem. - Przyjaciółom wolno tęsknić za sobą, przebywać ze sobą. Lubię z tobą rozmawiać, lubię sposób, w jaki mnie słuchasz...

A ja lubię sposób, w jaki ty mnie słuchasz, przyznała w duchu Sally. Kenneth sprawiał, że czuła się ceniona i szanowana, nie tak jak Joel, który ostatnio nawet nie dawał jej dokończyć zdania, tylko zaraz naskakiwał na nią.

Z Kennethem czuła taki spokój... taki spokój...

- Chciałbym umówić się z tobą - powiedział Kenneth. - Zaprosić cię gdzieś, zrobić ci jakąś przyjemność... Gdzie miałybyś ochotę pójść?

Sally wpatrywała się w niego szeroko otwartymi oczami. Przecież nigdzie nie może z nim iść. Przecież on doskonale wie o tym.

- Ja nie mogę, Kenneth. Ja... ja mam męża. - Głos jej się łamał, zdradzając prawdziwe myśli. Uświadomiwszy to sobie,

zaczzerwieniła się i spuściła wzrok. Czy z drżenia jej głosu Kenneth odgadł, jak bardzo pragnęłaby zrzucić z siebie ciężar, który dźwiga i przez krótką chwilę być adorowaną i rozpieszczaną?

- Ustaliliśmy już przecież, że jesteśmy przyjaciółmi, że mamy prawo do własnego życia. Kto mógłby mieć jakiegokolwiek zastrzeżenia, że para przyjaciół spędzi kilka godzin w swoim towarzystwie, Sally? Jestem przekonany, że twój mąż spotyka się ze swoimi kolegami.

- Tak, ale to są... to są mężczyźni...

- Jak ja - odpowiedział Kenneth i wybuchnął śmiechem.

Sally także się roześmiała. Nie mogła się powstrzymać od śmiechu, a poza tym, czy Kenneth nie miał racji? Przecież zasługuje na chwilę dla siebie. Należy jej się nagroda za ciężką harówkę, chwila przyjemności...

- Nie sądzę, żeby.... żeby to się spodobało Joelowi...
- opierała się. - On...

- Powiesz mu, że znowu wzięłaś podwójny dyżur - odpowiedział jej Kenneth.

Spojrzała na niego oszołomiona. Jego słowa nie pozostawiały już żadnych wątpliwości co do istoty tego, co ich łączyło. Koniuszkiem języka zwilżyła wyschnięte wargi. Narastał w niej paniczny lęk.

- Kenneth, zrozum, nie mogę - protestowała. Wskazówki zegara na desce rozdzielczej minęły dziewiątą. Spędziła z Kennethem prawie godzinę, a zdawało jej się, że ledwie pięć minut, może nawet jeszcze mniej. - Proszę, zawieź mnie do domu... Dzieci... pewnie martwią się, co się ze mną stało.

- Dzieci? - zdziwił się Kenneth. - Sądziłem, że to nastolatki.

- Tak, ale...

- Więc są już niemal dorosłe i samodzielne - przybrał lekki ton. - Przestań się martwić o nie, a zadbaj trochę o siebie.

- A ty nie martwisz się o swoje dzieci? - spytała Sally. Pod niefrasobliwą nutą w głosie Kennetha wyczuła pewną zawziętość, która ją zaniepokoiła. - Nie brak ci ich?

- Prawie ich nie znam, więc jak może mi ich brakować? - wyznał. - Mówiłem ci już, że za ojca uważają bardziej drugiego męża mojej żony niż mnie. Poza tym są dorosłe.

Stłumione westchnienie współczucia, jakim odpowiedziała mu Sally, uświadomiło Kennethowi jej naiwność. Nie brakowało mu synów, ponieważ nigdy nie wytworzyła się między nim a dziećmi żadna więź uczuciowa. Po pierwsze nigdy nie chciał mieć dzieci. Do ślubu zmusiły go przede wszystkim troska o to, co ludzie pomyślą, i obyczajowość owego okresu. Młody człowiek z jego pozycją pragnący zrobić karierę naukową nie mógł porzucić swojej dziewczyny w ciąży, szczególnie dziewczyny z tak silnym charakterem i tak wygadanej jak Rebecca.

W pośpiechu spowodowanym chęcią zatarcia jego, czy raczej - ich wspólnej pomyłki, nie pomyślał, jaki wpływ będzie miało niemowlę na jego życie. Wmówił sobie nawet, że żona i rodzina dadzą mu prestiż w oczach starszych kolegów.

Rzeczywistość jednak spadła na niego niczym kubeł zimnej wody. Rebecca stwierdziła, że niewielki dom, który kupił i urządził z myślą o wrażeniu, jakie chciał wywrzeć zarówno na znajomych, jak i na studentach - ciemne, surowe meble, gładkie białe ściany, gołe wypolerowane drewniane podłogi - był całkowicie nieodpowiedni dla małego dziecka. Chciała wszystko usunąć i zastąpić jaskrawymi modnymi kolorami i materiałami, które wzbudzały w nim wstręt.

Zamieszanie, jakie ten wrzeszczący becik, kryjący w sobie ludzkie stworzenie będące jego synem, wniosło w jego dotychczasowe uporządkowane życie, doprowadziło Kennetha do stanu, kiedy nawet spojrzeć nie mógł na niemowlę. Ten ryk,

bałagan, smród... Wzdrygnął się, chcąc strząsnąć z siebie przykre wspomnienie.

- To musiało być dla ciebie ciężkie przeżycie - powiedziała ze współczuciem Sally, która zupełnie błędnie zinterpretowała ów odruch. - Świadomość, że ktoś inny wychowuje twoje dzieci...

Kenneth mruknął coś nieokreślonego w odpowiedzi. Tłumaczenie jej prawdy nie miało sensu. Jaki w ogóle wpływ jego odraza do małych dzieci może mieć na ich stosunki? Oto kolejna zaleta Sally. Nie jest żadną głupiotką młodzianką dziewczyną, która nagle poczuje irracjonalne pragnienie, aby zepsuć idealną harmonię ich związku macierzyństwem.

- Naprawdę muszę wracać. Joel... - Sally z niepokojem w głosie ponowiła swoją prośbę.

- Dobrze. Już jedziemy - zapewnił ją uspokajającym tonem. Zawrócił z obranej trasy, a potem zwolnił, aby móc się lepiej przyjrzeć Sally. Pod wpływem jego spojrzenia, zarumieniła się delikatnie. - Nie pozwolę ci odejść, Sally - zapewnił ją cicho. - Zajmujesz zbyt ważne miejsce w moim sercu. Szanuję twoją lojalność wobec męża, ale oboje wiemy, że on nie jest cię wart. Gdyby on był na twoim miejscu, nie miałby takich oporów co ty.

Na dźwięk tych słów Sally przeszedł dreszcz. Powinna zaprzeczyć, lecz nie mogła. Czas spędzony z Kennethem był takim ukojeniem po całej domowej gehennie, jakby prześwietem błękitu na zasnutym ciemnymi chmurami niebie. Kenneth rozumiał, co ona czuje, w sposób, na jaki Joel nigdy nie potrafił się zdobyć... A może nie chciał?

- Zadzwoń do ciebie - powiedział Kenneth, skręcając w główną ulicę prowadzącą do jej domu.

- Nie! Broń Boże! - wykrzyknęła Sally przerażona. - Nie wolno ci...

Kenneth zatrzymał samochód.

- W takim razie powiedz, kiedy znowu cię zobaczę.

Sally zaczęła się gorączkowo zastanawiać. Umysł miała zmałowany, przeciążony wyrzutami sumienia.

Wiedziała, że powinna powiedzieć Kennethowi, że ich spotkanie są niemożliwe, że jest mężatką, że kocha Joela... lecz nie mogła się zdobyć na te słowa. Ku swojemu zaskoczeniu usłyszała, jak mówi:

- Siostra przełożona pytała, czy wzięłabym dodatkowy dyżur w poniedziałek. Jeszcze nie dałam odpowiedzi...

W ustach poczuła dziwną suchość, jak gdyby ogrom kłamstwa, jakie planowała, parzył ją w język. Nigdy nie skłamała Joelowi, nawet jej do głowy nie przyszło, że mogłaby go oszukać i jakąś część duszy już żałowała tego, co powiedziała, już pragnęła cofnąć te słowa, lecz było za późno.

- W takim razie do poniedziałku - szepnął Kenneth, całując ją miękko i czule.

Łzy zapiekły ją pod powiekami. Kiedy ostatni raz Joel pocałował ją tak delikatnie, z taką subtelną powściągliwością?

Drżąc odsunęła się od Kennetha. Pocałunek, jaki wymienili, sprawił, że poczuła się tak, jak gdyby przekroczyła niewidzialną granicę, wstąpiła na przerażającą ziemię niczyją.

- Nie martw się - uspokajał ją Kenneth, przytrzymując jej rękę w swoich. Chwilę potem, muskając wargami wnętrze jej dłoni, dodał: - Wszystko będzie dobrze...

Spiesząc do domu na uginających się pod nią nogach, z sercem obciążonym wyrzutami sumienia, Sally czuła narastający w niej lęk. Znała kobiety, które angażowały się w pozamałżeńskie romanse i łamały ślubną przysięgę, ale zawsze wierzyła, że ona nie znajdzie się pośród nich. I oto...

Stanęła. Przez ściśnięte gardło z bólem przełknęła łzy. Widziała już swój dom. Nagle doznała jak gdyby rozdwojenia jaźni. Część jej duszy chciała tam biec, skryć się w znajomym bezpiecznym wnętrzu, jakaś inna część zatrzymywała ją...

Przymknęła oczy, zacisnęła drżące wargi. Nagle z przera-

żeniem uświadomiła sobie, że ta druga część niej samej pragnie zawrócić i biec za Kennethem.

Nigdy w życiu nie przeżyła takiej wewnętrznej rozterki, takiego bólu, takiego pomieszania winy, rozpacz i odrazy ani takiej bezsilnej, beznadziejnej tęsknoty za tym wszystkim, co Kenneth chciał jej ofiarować.

RS

Bolesna spuścizna

13

Fiona wyczerpana opadła na fotel, palcami przecesała włosy. Zauważyła przy tym, że dłonie jej lekko drżą. Susie musiała też to spostrzec, gdyż spojrzała na przyjaciółkę z serdecznym współczuciem.

- Nic mi nie jest - zapewniła ją Fiona lekko zachrypniętym głosem. - Tylko, że to - wskazała na porządnie ułożone na podłodze sterty męskich ubrań i otwarte szafy - wydaje się takie ostateczne. Człowiek zapomina, jak bardzo... Andrew był takim kolekcjonerem. Znalazłam ubrania, których nigdy nie... - urwała i zagryzła wargi. - Mam wrażenie, że nie powinnam tego robić - wyznała po chwili. - Brać każdą sztukę do ręki, opróżniać kieszenie. Czuję się, jak gdybym łamała jakieś tabu, popełniała jakąś niedyskrecję. Co innego, gdybyśmy byli sobie bliżsi, a tak... - Potrząsnęła smutno głową i zmusiła się do uśmiechu. - Wiesz dobrze, Susie, że gdybyś nie przyszła tu dziś rano i nie uparła się, że mi pomożesz, szafy byłyby pełne garderoby Andrew aż do momentu sprzedaży domu.

- Dostałaś jakąś odpowiedź z banku? - spytała Susie.

Fiona potrząsnęła głową.

- Jeszcze nie.

Przesunęła dłonią po swetrze, który właśnie zdjęła z półki. Kaszmirowa wełna była niewiarygodnie delikatna w dotyku. Ten pastelowożółty pulower z wyhaftowanym na froncie emblematem sama kupiła dla Andrew rok temu na urodziny, oszczędzając drobne sumy z pieniędzy na utrzymanie domu.

Andrew włożył go raz, z uprzejmości, jak sądziła, gdyż nigdy go już później w nim nie widziała.

- O czym myślisz? - spytała Susie cicho.

- O tym, jak właściwie mało znałam mego męża - odparła Fiona znudzonym głosem.

- Mężczyźni bywają zamknięci w sobie - stwierdziła Susie. - Sądzą, że jeśli ulegną pokusie zwierzenia się komuś, ujawnienia swoich uczuć, dają dowód słabości charakteru, braku męskości.

- To nie to... Nie chodzi mi tylko o... Widzisz, Susie, ja nawet nie wiedziałam takich drobiazgów, jak... jak... na przykład jakie ubrania lubi... Ja nie próbowałam go poznać - wyznała i łzy napłynęły jej do oczu. - Odwróciłam się od niego i pozwoliłam mu iść swoją drogą. Nie zależało mi na nim na tyle, żeby próbować go zatrzymać. Musiał to czuć, prawda? Musiał...

- Przestań siebie obwiniać - przerwała jej kategorycznym tonem Susie. - Do zerwania związku potrzeba współdziałania drugiej strony tak samo jak do jego zawiązania. Gdyby Andrew pragnął bliższej więzi z tobą i chłopcami, powiedziałyby ci, okazałyby to w jakiś sposób.

- Możliwe, ale nawet w dzisiejszych czasach czy to nie na kobiecie spoczywa odpowiedzialność za emocjonalną stronę związku? Przepraszam - zwróciła się do przyjaciółki - za bardzo się dzisiaj rozrzewniam nad sobą... No, zapakujmy te ciuchy i będę mogła przetrzeć szafy. Jesteś pewna, że to dla ciebie nie za duży kłopot pojechać z paczkami do schroniska dla bezdomnych?

- Oczywiście, że nie. Ale nadal uważam, że mogłabyś część tych ubrań sprzedać.

Fiona wzdrygnęła się mimo woli.

- Nie, nie... Nie mogłabym się na to zdobyć. - Sprzedaż własnych ubrań to co innego niż sprzedaż rzeczy Andrew. Poza tym - dodała - nie jestem pewna, czy miałabym prawo

je sprzedawać; z tego co wiem, prawdopodobnie należą do banku.

Susie przyglądała się jej ze wzruszeniem i podziwem. Wczorajszego wieczoru wyznała Jimowi, swojemu mężowi, że wątpi, czy miałyby odwagę i siłę stawić czoło sytuacji tak dzielnie jak Fiona.

Kiedy wspólnie zapakowały ubrania do plastikowych worków na śmieci i zaniósły do samochodu, powiedziały łagodnie:

- Posłuchaj, pojedź dziś do nas. Moglibyśmy...

Fiona szybko potrząsnęła głową.

- Nie, nie... Dziękuję. To miło z twojej strony, ale nie mogę. Chciałabym skorzystać z dobrej pogody i popracować przy grządkach. Nie wiem, jak długo jeszcze będę tu mieszkać, ale może uda mi się wyhodować trochę nowalijek, zanim bank nas wyrzuci.

Fiona doskonale wiedziała, że się rumieni, ale miała nadzieję, że Susie złoży to na karb wysiłku związanego z niesieniem ciężkich worków. Prawdą było, że chciała popracować w ogródku, lecz prawdą było również, że istniała jeszcze inna przyczyna, dla której chciała zostać w domu i której nie miała ochoty zdradzać.

On oczywiście najprawdopodobniej nie przyjdzie, zapewne nie miał wcale zamiaru przyjść, kiedy proponował, że zajrzy do silnika jej samochodu. I tak naprawdę, czy jest jakiś powód, dla którego chciałyby go znowu zobaczyć? Jest? Oprócz tego, że miło jej się z nim rozmawiało... i tego, że był pierwszą osobą, przy której mogła zrzucić z siebie maskę samokontroli... i tego, że gdy stał przy niej na ulicy, chroniąc ją przed spojrzeniami gapiów, czuła się tak... tak...

- No, nareszcie! - wykrzyknęła Susie radośnie, wrzucając ostatni z worków do swojego kombi. - Tak, od razu zawiozę je do schroniska. Aha, całkiem bym zapomniała... Przywiozłam ci coś. Matka zawsze obdarowuje mnie mnóstwem je-

dzenia ze wsi. Słuchając jej, można by pomyśleć, że poza granicami Yorkshire przyzwoita świeża żywność nie istnieje. Cóż, siła przyzwyczajenia, a poza tym jako żona farmera... Bóg jeden wie, kiedy byśmy zjedli trzy tuziny wiejskich jaj i to wszystko, co zmuszona byłam ze sobą zabrać.

Susie unikała wzroku Fiony, kiedy podawała jej koszyk.

Ciężki, pomyślała Fiona, musi w nim być coś więcej niż tuzin jaj czy słoik domowej marmolady albo marynat.

Łzy wzruszenia zaszczypały ją pod powiekami. Duma buntowała się przed przyjęciem podarunku, lecz kiedy spojrzała na ofiarodawczynię, w jej oczach również dostrzegła łzy.

- Weź to, Fiono - prosiła Susie. - Wiesz, że gdyby sytuacja się odwróciła, pierwsza przybiegłabyś... - Przełknęła łzy i potrząsnęła głową. - Nie mogę znieść myśli, że siedzisz całymi dniami sama w tym domu, szczególnie po tym, co mi tamtego dnia opowiedziałas. Przemyśl moje zaproszenie, przeprowadź się do nas...

- Jeszcze nie teraz - powiedziała Fiona, z trudem wydobywając z siebie głos. - Nie ułatwaj mi wszystkiego, Susie, bo jeszcze skuszę się, poddam i wybiorę łatwą drogę, a przecież nie mogę... Nie wolno mi. Czy nie widzisz, że całe życie tak postępowałam... że zawsze wybierałam łatwiejszą drogę? Tym razem będzie inaczej. Znasz to powiedzenie - dodała i uśmiechnęła się smutno - pieczone gołąbki nie idą same do gąbki.

- Mhm... znam - przyznała Susie - ale... - spojrzała na Fionę i umilkła. - OK, OK - dodała po chwili - już nic więcej nie powiem, pamiętaj jednak...

- Będę pamiętać - zapewniła ją Fiona, śmiejąc się z miny przyjaciółki. - A ty z kolei nie zapomnij podziękować mamie za hojność, dobrze?

Patrzyła za samochodem Susie, aż zniknął za zakrętem. Potem podniosła koszyk i udała się z nim do kuchni. Jak

podejrzewała, zawierał o wiele więcej frykasów, niż Susie wymieniła: świeżutki ser i kawał pasztetu w cieście, ulubionego specjału Jima, który Susie zawsze przywoziła z Yorkshire, tak samo jak domową szynkę i bekon.

Jedzenia w koszyku wystarczy na dwa do trzech tygodni, a na dodatek wszystko to było o wiele bardziej apetyczne i pożywne niż dieta, do jakiej ostatnio przywykła.

Łzy zamgliły jej oczy, kiedy rozpakowywała paczki i chowała je do lodówki. To była chyba najcięższa lekcja pokory, jaką otrzymała. Dobroczynność... musi nauczyć się przyjmować zapomogi, zamiast je rozdawać.

Sally zamarła, słysząc dzwonek telefonu. Kiedy Joel wstał odebrać, poczuła kurcz w żołądku. To głupota tak reagować, skarciła sama siebie w duchu. Przecież nic złego nie zrobiła. Nawet gdyby Kenneth zadzwonił, to co? Jest byłym pacjentem, który...

Który co? Który pocałował ją i otworzył jej oczy na to wszystko, czego w jej życiu brakowało?

- Twoja siostra - poinformował zwięźle Joel, wchodząc do kuchni.

Ulga, jaką poczuła Sally, była dziwnie doprawiona szczyptą zawodu.

W chwili kiedy brała do ręki słuchawkę, przyszedł listonosz. Ku swojemu przerażeniu, wśród reklam, dostrzegła charakterystyczne koperty z rachunkami.

- Ustaliłaś z Joelem, kiedy będzie mógł zająć się odnawianiem? - dopytywała się Daphne. - Tylko chciałabym, żeby zaczął jak najszybciej, bo w przyszłym miesiącu wydajemy przyjęcie. Zresztą nie powinno mu to zająć wiele czasu, prawda? Nie robi przecież nic innego.

Sally stłumiła westchnienie.

- Porozmawiam z nim od razu - obiecała siostrze.

- Czego chciała? - spytał Joel, gdy odłożyła słuchawkę.

Sally ponownie westchnęła. Joel i Daphne od początku nie przypadli sobie do gustu. Przyznawała, że Daphne potrafi zachowywać się jak okropna snobka, ale czy Joel musi tak agresywnie reagować na wszystko, co ona robi albo mówi? Czy nie widzi, jak to jej utrudnia życie?

Wygląda na zmęczoną, zauważył Joel, przyjrząwszy się żonie. Schudła, pomyślał i zmartwił się.

Idąc w stronę zlewu, potknęła się i zawadziła o róg stołu.

Joel instynktownie wyciągnął rękę, podtrzymał, żeby nie upadła, dotknął biodra, roztarł bolące miejsce.

Zapach mydła i szamponu podrażnił jej nozdrza. Joel wydał jej się taki potężny i mocny, a ona przy nim taka drobna i mała. Przypomniało się jej, jaki był zawsze wobec niej opiekuńczy, a ona jaka przy nim bezbronna. Opiekuńczość, potrzeba osłaniania i chronienia słabszych była chyba najsilniej zakorzenioną cechą charakteru jej męża.

Pod wpływem impulsu Joel zapragnął otoczyć Sally ramionami, przytulić ją do siebie, wyznać, jak się za siebie wstydzi. Zapragnął także, czuł to, nie tylko tulić ją, lecz zostać przez nią przygarnięty, usłyszeć, że ona go rozumie, że...

- Nie, Joel...

Ostry protest w jej głosie zranił go do głębi, dotknął najczulszego miejsca, a irytacja i wstręt, które zobaczył na twarzy wrywającej się z jego objęć Sally, sprawiły, że słowa, które chciał wypowiedzieć, zamarzy mu na ustach.

- Tylko jedno masz w głowie. Pomyślałbyś czasami o czymś innym - syknęła.

- O czym, na przykład? - zaczął ją podjudzać.

- Na przykład o tym - z tymi słowami cisnęła na stół plik rachunków.

Jeszcze nie odebrała pensji, a już ją z góry wydała. Wczoraj wieczorem Paul oznajmił, że potrzebne mu są nowe buty do gry w piłkę, teraz te płatności... Niedobrze jej się robiło na

myśl o otwarciu kopert, o tym, że może nie zdołać wszystkiego zapłacić. A tymczasem Joelowi zebrało się na amory!

Joel przyglądał się jej w milczeniu. Nie rozcięte koperty leżały między nimi na blacie. Nagle Sally chwyciła jedną, rozerwała, przebiegła wzrokiem po blankiecie. Może uda się to zapłacić z pieniędzy, jakie Joel zarobi u Daphne?

Sięgnęła po następną kopertę, lecz Joel powstrzymał ją.

- Ta jest zaadresowana do mnie.

Sally spojrzała na niego zdumiona. Do tej pory Joel nie przywiązywał wagi do tego, kto otwiera korespondencję, a ponieważ listonosz przychodził, kiedy był w pracy, zazwyczaj ona się tym zajmowała.

Nagle poczuła, że ma tego wszystkiego dość.

- W takim razie sam otwórz - wycedziła - i sam zapłać...

Rozgoryczony patrzył, jak Sally wybiega z kuchni. Opuszkami palców wciąż czuł krągłość jej biodra, które przed chwilą dotykał. Dawniej nigdy by nie pomyliła intencji, odróżniała gest pocieszenia od gestu zmysłowego, pytającego... Dawniej... dawniej wiele rzeczy wyglądało inaczej.

Podniósł sporną kopertę i otworzył.

Sam zapłać. Poczł bolesne szczypanie łez bezsilności i upokorzenia.

Kiedy dopadła sypialni, Sally spostrzegła, że cała drży po kłótni z Joelem.

Nie powinnam odzywać się do niego w ten sposób, pomyślała, ale czy on nie widzi, w jakim napięciu ja żyję? Inni widzą - Daphne, Kenneth...

Z ciężkim westchnieniem wstała. Za niecałą godzinę rozpoczyna pracę, a przed wyjściem musi jeszcze namówić Joeła, żeby zgodził się odnowić jadalnię Daphne.

Z okna na piętrze Fiona zobaczyła Joela wchodzącego przez furtkę.

- Samochód stoi w garażu. To tędy - powiedziała, wycho-

dząc gościowi na spotkanie. Wiatr rozwiewał mu włosy, gęste, ciemne, jedwabiste. Zapragnęła ich dotknąć.

Skrepowana odsunęła się od Joela, przyspieszyła kroku. Szła przodem, pokazując drogę na tyły domu. Co się z nią dzieje? Nigdy tak się nie czuła w obecności mężczyzn. Nigdy nie reagowała w ten sposób na żadnego mężczyznę.

Obejrzała się przez ramię. Nagle postanowiła mu powiedzieć, że zmieniała zamiar. Nie chce go tutaj. To zbyt...

Joel stał, przyglądając się opielonym grządkom.

- Mój ogród warzywny - usłyszała nagle własny głos. - Pomyślałam...

Joel schylił się, podniósł grudkę ziemi, rozkruszył w palcach.

- Dobra gleba - stwierdził. - Ale musi pani zrobić coś z tym żywopłotem. Najlepiej przyciąć, bo zabiera światło.

- Widzę, że zna się pan na tym o wiele lepiej ode mnie. Lubi pan pracę w ogródku?

- Nie - odparł zwięźle Joel i zdając sobie sprawę, jak niegrzecznie to zabrzmiało, dodał: - Ojciec miał działkę. Jako chłopak musiałem ją uprawiać...

Kiedy to mówił, Fiona wyczytała z jego twarzy, że wspomnienia z tego okresu nie są mu przyjemne.

- To musiała być ciężka praca - powiedziała ze zrozumieniem.

- Ciężka i brudna - rzekł Joel. - Myłem ręce wybielaczem, żeby usunąć ślady ziemi, bo inaczej...

Umilkł i potrząsnął głową. Już i tak powiedział więcej, niż chciał. Nawet Sally nie wiedziała o wszystkich upokorzeniach, jakich doznał w szkole. Kiedyś jeden z nauczycieli nie pozwolił mu dotknąć szkolnych książek brudnymi palcami. Zdarzyło się to, jeszcze zanim ją poznał. Dławił w sobie bolesne wspomnienie, ponieważ nie mógł znieść wstydu. I oto nagle już prawie zwierzył się tej kobiecie, która nie tylko była mu całkiem obca, ale która nie miała, podejrzewał, bladego

pojęcia o tym, jak wygląda życie na granicy nędzy i co oznacza niepewność jutra, jaka mu stale towarzyszyła w dzieciństwie.

- Garaż jest tam - wskazała Fiona.

Ogromny garaż mógłby pomieścić trzy auta. Dealer zabrał limuzynę Andrew dosłownie w kilka dni po jego śmierci. Najwyraźniej też była kupiona na kredyt. Na szczęście jej samochód, wyglądający w tym hangarze na mały i samotny, był splecony.

Kiedy Joel podszedł do wyłącznika, Fiona oblała się rumieńcem zażenowania. Przypomniała sobie, że nie zmieniła przepalonej żarówki.

- Nie ma sprawy. Wkręcę - zaproponował Joel.

- Potrafię zmienić żarówkę - powiedziała z lekką ironią i dodała: - Chociaż i tak będę chyba musiała rozejrzeć się za kursem uczącym podstawowych napraw domowych. To śmieszne nie umieć zmienić bezpiecznika czy wtyczki.

Joel wyczuł frustrację w jej głosie.

- To naprawdę nie jest takie trudne - powiedział uspokajającym tonem. - Mógłbym panią raz dwa nauczyć.

Z powodu, który dla niej samej pozostawał tajemnicą, Fiona poczuła, że zalewa ją fala gorąca.

- Pójdę już... nie będę panu przeszkadzać... - powiedziała lekko schrypniętym głosem. - Zro... Napije się pan kawy?

Kiedy przyniosła parujący kubek, maska samochodu była podniesiona, a Joel stał pochylony nad silnikiem. Zdjął kurtkę, zawinał rękawy. Ramiona miał szersze od Andrew, bardziej muskularne, skórę lekko śniadą pod meszkiem ciemnych włosów.

Lekki dreszcz podniecenia przeniknął ją całą. Odwróciła wzrok.

Co się ze mną dzieje? Zachowuję się jak przysłowiowa złaźniona seksu wdowa. Co, zważywszy prawdę o naszym małżeńskim pożyciu, byłoby śmieszne.

Była w kuchni, kiedy pół godziny później Joel zapukał do drzwi i wszedł.

- Sądę, że teraz będzie w porządku - powiedział. - Styki wymagały przeczyszczenia. Prawdopodobnie dobrze by mu zrobiła dłuższa jazda.

Fiona skrzywiła się lekko. Dłuższa jazda oznaczała konieczność zatankowania, a na to nie było jej stać. Z ranną pocztą przyszedł rachunek za światło. Zauważyła, że Joel spogląda na blankiet.

- Nam też dzisiaj przynieśli - odezwał się. - Sally twierdzi, że większy niż zwykle... Oczywiście to moja wina. Przepraszam. Niestety nie potrafię... - urwał.

- To musi być bardzo nerwowy okres dla was obojga - odezwała się Fiona ze współczuciem. - Ale przynajmniej macie siebie nawzajem.

Joel zaśmiał się chrapliwie.

- Tak pani sądzi? Ostatnimi czasy jakoś tej wspólnoty nie czuję...

Fiona zorientowała się, że dotknęła czułego punktu.

- Utrata posady to dla mężczyzny ogromny stres - powiedziała spokojnie. - Sally... pańska żona na pewno się bardzo martwi o pana. Ona...

- Martwi? - powtórzył ironicznym tonem Joel. - Cóż, co prawda nigdy nie wiadomo. Ostatnio słyszę od niej tylko: Joel, zrób to, Joel, zrobiłeś tamto? Nie dotykaj mnie, Joel...

Zmieszał się i zamilkł. Powiedział więcej, niż zamierzał powiedzieć, pomyślała. Dawna Fiona, owa Fiona, która zawsze wolała zrobić unik, zamiast spojrzeć prawdzie w oczy, zdecydowała się udać, że niczego nie słyszała. Lecz ona nie była już tamtą Fioną.

- Wiele kobiet rezygnuje z seksu, kiedy przeżywa jakiś stres... Mężczyzn to także dotyczy - powiedziała opanowanym tonem, patrząc Joelowi prosto w twarz.

- Od Sally nie chcę jedynie seksu, to, czego pragnę, nazy-

warny miłością, a to oznacza coś o wiele więcej niż te kilka sekund w niej. O wiele, wiele więcej.

Fiona nie mogła opanować swojej reakcji, czuła, jak krew szybciej zaczyna krążyć w jej żyłach, jak na jej policzkach występują rumieńce.

- Przepraszam - usprawiedliwiał się Joel, palcami przeczesując włosy. - Nie powinienem tego mówić. Nie chciałem stwarzać krępującej sytuacji, ale tak jakoś... Dlaczego kobiety zawsze nazywają to seksem, kiedy chcą mężczyznę upokorzyć, wywołać wyrzuty sumienia, sprowadzić nas do roli bezdusznych samców? Kiedy słyszy się, co ona teraz mówi, trudno uwierzyć, że był taki czas... - zamilkł i potrząsnął głową. Po chwili odezwał się ponownie: - Przepraszam, ma pani wystarczająco dużo własnych problemów, żeby jeszcze wysłuchiwać moich... Mogę umyć ręce?

Fiona dopiero teraz zauważyła, że jej gość ma nie tylko całe dłonie umazane smarem, ale i ciemną smugę na policzku.

- Oczywiście, przepraszam, że sama nie zaproponowałam. Proszę skorzystać z łazienki Andrew - powiedziała, otwierając drzwi i przeprowadzając Joela przez hol do schodów. - Jest tam też prysznic, ale nie wiem, czy woda będzie wystarczająco ciepła.

- Łazienka Andrew? - spytał Joel nagle.

Fiona oblała się rumieńcem.

- Proszę się nie martwić... Usunęłam wszystkie osobiste drobiazgi... i... i... - zająknęła się.

- Mielście osobne łazienki? - zdziwił się Joel.

- Taak.... Tak, osobne - odparła Fiona trochę zażenowana. - Tak było... wygodniej. Andrew był człowiekiem bardzo chroniącym swoją prywatność, nie lubił...- gorączkowo szukała właściwych słów. Była zła i zażenowana koniecznością ujawniania tego typu szczegółów.

Joel wyczuł jej skrępowanie. Jak naprawdę wyglądało jej pożycie z mężem, zastanawiał się. Chyba nie byli sobie bli-

scy, ani uczuciowo, ani fizycznie. Ciekaw był, czy mieli osobne sypialnie, tak jak oddzielne łazienki, lecz odsunął od siebie te rozważania, wyczuwając niebezpieczeństwo, jakie się z nimi kryło.

Fiona czekała w kuchni, aż zejdzie. Kiedy się pojawił, włosy miał jeszcze mokre, a koszula przyklejała się do wilgotnego ciała. Przyniósł także ręczniki. Kiedy jej je podawał, wyczuła bijący od niego, wywołujący dziwne łaskotanie w żołądku zapach mydła.

- Dziękuję za naprawę samochodu - powiedziała przytłumionym głosem, unikając napotkania jego wzroku.

Jaka jest drobna, pomyślał. Opadające do ramion blond włosy rozdzielały się, ukazując skrawek szyi. Gdyby wyciągnął rękę, mógłby opuszkami palców dotknąć jej delikatnej skóry. Odepchnęłaby go, jak Sally, czy zadrżałaby w niemym odzwieku na wzbierające w nim zmysłowe podniecenie? A może odwróciłaby głowę, aby na niego spojrzeć, milczeniem wyrazić zgodę... zaakceptować... zaprosić?

- Ogromnie mi przykro, że ma pan teraz trudną sytuację w domu - ciągnęła Fiona drżącym głosem. - Bardzo pragnęłabym panu jakoś pomóc. Czuję się...

Miała już zamiar powiedzieć „winna”, lecz w tej samej chwili Joel zrobił krok do przodu i słowa uwięzły jej w gardle.

- Bycie tutaj z panią... rozmowa... już mi pomagają - powiedział, a kiedy to mówił, zrozumiał, że tak jest naprawdę, że jest w tej kobiecie coś, co go pociąga, wymusza zwierzenia, powoduje, że on, zawsze zamknięty w sobie, otwiera się przed nią...

Czuł się w towarzystwie tej kobiety swobodnie, niemal swojsko, a jednocześnie silnie wyczuwał narastające między nimi erotyczne napięcie.

Pragnę jej, przyznał się przed sobą w duchu. Bardzo pragnę, bardzo, bardzo...

- Musi pan już iść - powiedziała Fiona szybko, cofając się przed nim. - Mam nadzieję, że wszystko się jakoś ułoży... to znaczy w domu. Jestem dobrej myśli.

Gdybym pochylił głowę, mógłbym ją pocałować, pomyślał Joel. Ale gdybym to zrobił... kiedy już bym to zrobił...

Całą siłą woli zapanował nad swoimi impulsami. Czy nie ma i tak wystarczająco dużo zmartwień bez...

Bez czego? Jest normalnym mężczyzną, z normalnymi męskimi potrzebami, ale nigdy jeszcze nie odczuwał pokusy zdradzenia Sally, nigdy jeszcze żadna inna kobieta nie wzbudziła w nim tak gwałtownego pożądania.

Po jego odejściu Fiona wróciła do kuchni, zebrała wilgotne ręczniki, którymi się wycierał, podniosła do twarzy. Wciąż czuła jego zapach, zapach jego skóry, jego tęczyzny. Wzdrygnęła się i rzuciła ręczniki z powrotem na posadzkę.

Dzięki Bogu istnieje małe prawdopodobieństwo, że jeszcze kiedyś go spotka. Przed chwilą, stojąc tak blisko niego, wyczuła jego podniecenie, pożądanie i wiedziała, że wystarczy tylko nieznaczny ruch w jego stronę, a...

Joel dotarł już prawie do centrum, kiedy usłyszał, że ktoś go woła. Zatrzymał się, odwrócił i zobaczył biegnącego w jego kierunku Duncana.

Chłopak zmienił się, odkąd go ostatni raz widział. Zmężniał, poruszał się z większą pewnością siebie, głowę trzymał wyżej.

- Jak się masz, Joel.
- W porządku. A co u ciebie?
- Świetnie, szczególnie odkąd zapisałem się do sekcji sportowej, jaką w ośrodku rekreacyjnym utworzyli specjalnie dla ludzi bez pracy... Powinieneś też się zapisać, oni...
- Nie stać mnie, synu.
- To nic nie kosztuje - powiedział Duncan i dodał: - Posłuchaj, właśnie tam idę. Chodź" ze mną. Kilku kumpli z fa-

bryki też przychodzi. Można korzystać ze sprzętu, a poza tym szukają chętnych do pracy społecznej.

- Praca społeczna?

- Tak. Namówili mnie, żebym odwiedzał kilku starszków w szpitalu, robił dla nich zakupy i tak dalej...

- To stąd masz takie muskuły - zażartował Joel niewesoło. - Od dźwigania zakupów...

Duncan zarumienił się, ale zaraz wybuchnął śmiechem.

- Nie, nie. Ćwiczyłem w siłowni. Ty też możesz, bo to za darmo. Zabijasz czymś czas, spotykasz ludzi. - Zaczął iść obok Joela. Wciąż się śmiejąc, namawiał: - Mówię ci, spróbuj, też wyrobisz sobie muskuły.

Joel już miał powiedzieć Duncanowi, że nie może mu towarzyszyć, lecz zmienił zamiar. Czy ma coś do roboty w domu? Sally jest w pracy, dzieciaki u kolegów. Czeką na niego telewizor i spisana ręką Sally lista spraw do załatwienia... więc równie dobrze może iść z chłopakiem. W ten sposób nie będzie marnował elektryczności... i pieniędzy Sally.

Było już dobrze po szóstej, kiedy Joel wychodził z ośrodka. Z poczuciem winy zerknął na zegarek. Nie skontaktował się z Daphne. Sally go chyba zabije, kiedy się o tym dowie.

Zdziwił się, przekonawszy, ilu znajomych z fabryki skorzystało z bezpłatnej oferty klubu sportowego dla ludzi pozostających bez pracy. Wyglądało na to, że spora grupka chłopaków urządziła sobie tu miejsce nieoficjalnych spotkań.

Podobnie jak on żaden nie zdołał znaleźć nowej posady, ale słuchając ich i porównując ich nastawienie ze swoim, Joel przekonał się, że potrafili zdobyć coś, czego on nie miał. Byli zdecydowanie bardziej optymistycznie nastawieni do rzeczywistości i korzystali z życia o wiele więcej niż on.

Mijając basen, zajrzał do środka.

- Kiedyś całkiem nieźle pływałeś - przypomniał jeden z kolegów.

Joel zdumiał się.

- Byłeś w drużynie szkolnej - nadmienił inny.
- To było wieki temu - powiedział.
- Racja, ale byłeś dobry... Pamiętam, jak ci kibicowałem.

Wiesz, szukają chętnego do trenowania drużyny młodzików, którą właśnie zorganizowali. I instruktora dla początkujących. Nadałbyś się. Pamiętam, jak obserwowałem, kiedy uczyłeś swojego dzieciaka...

Joel niepewnie wzruszył ramionami. Uczenie własnych dzieci to co innego, uczenie obcych...

- Cienko przęda, jeśli nie stać ich na znalezienie nikogo lepszego ode mnie - rzucił.

W drodze do domu przypomniał sobie jednak, jak nauczyciel gimnastyki mówił mu, że jest urodzonym sportowcem. Proponował mu nawet, żeby trenował w szkolnej drużynie pływackiej i w sekcji nurkowania, ale on wykręcił się mówiąc, że go to nie interesuje.

Kłamał. Marzył przecież o treningach, ale co z tego... Kto by pracował za niego na działce, kto by pilnował, żeby mieli pełne talerze i skąd, do diabła, wzięłyby pieniądze na sprzęt?

Lepiej, żeby myśleli, że go to nie interesuje, postanowił wówczas. Nie chciał narażać się na upokarzające komentarze, gdyby ujawnił prawdziwe motyw.

Instruktor... On miałby zostać instruktorem? Z drugiej strony, co mu szkodzi popilnować dzieciaków, kiedy ćwiczą? Miałby jakieś zajęcie, a jeśli Duncanowi się wydaje, że nie da sobie rady na siłowni, to jeszcze zobaczymy...

Uśmiechając się do siebie, Joel różnym krokiem ruszył do domu.

Bolesna spuścizna

14

- To bank nam płaci, Deboro - powiedział z naciskiem Ryan. - Pamiętaj o tym, kiedy następnym razem najdzie cię ochota naprawiania świata.

- Co chcesz mi powiedzieć? Że się nie nadaję? - spytała ze złością.

- Oczywiście, że się nadajesz. Gdybym myślał inaczej, to po pierwsze nigdy bym cię nie rekomendował do tej funkcji. Ostrzegam cię tylko, żebyś się zbyt nie angażowała emocjonalnie.

- Samo to, że obchodzi mnie los ludzi, którzy tracą pracę, że dostrzegam problemy, jakie to dla nich stworzy, nie oznacza jeszcze, że angażuję się emocjonalnie - zaprotestowała.

W każdej chwili Ryan mógł zacząć oskarżać ją, że reaguje typowo po kobiecemu - ostateczny argument mężczyzn jego pokroju zawsze wysuwany wobec kobiet w sytuacji wymagającej przypomnienia im, gdzie ich miejsce i kto tu rządzi.

- A poza tym - dodała stanowczym tonem - upewnienie się, że ci ludzie wiedzą, co im przysługuje, jest, moim zdaniem, zwykłym obowiązkiem zawodowym, szczególnie ze względu na reputację firmy takiej jak nasza.

- O reputację w jakich kręgach ci chodzi? Wśród naszych klientów, którzy płacą wystawiane przez nas rachunki, a w konsekwencji nasze pensje, czy wśród tych rozbitków życiowych z pustymi kieszeniami?

- Oni nie są rozbitkami życiowymi - zaczęła się De-

Debra. - Ci ludzie nie są przecież winni temu, że stracili posady, oni...

Urwała. Mina Ryana wyrażała irytację połączoną z nudą, a niecierpliwe dudnienie palcami po blacie biurka miało służyć za ostrzeżenie, iż przekroczyła granice, jakie jej wyznaczył.

- Chciałam jedynie - odezwała się ponownie - żeby byli pracownicy firmy wiedzieli dokładnie, jak przedstawia się ich sytuacja finansowa i prawna.

- A kto, do diabła, zapłaci za dodatkowy czas stracony na to wszystko? Za dodatkowe koszty wysyłania pism do każdego z osobna, za...

- Mamy moralny obowiązek...

- Dorośnij wreszcie, dziewczyno. Zacznij żyć w prawdziwym świecie. Jesteśmy tutaj, żeby robić forszę, zwyczajnie i po prostu, a jeśli nie potrafisz tego zrozumieć, albo się z tym pogodzić, to znaczy, że wybrałaś zły zawód. Zawsze się dziwiłem, co widzisz w tym mięczaku Marku, a teraz, zdaje się, już pojąłem. Sądziłem - ciągnął - że my dwoje należymy do tego samego gatunku... że stworzymy zgodny duet. Wiesz, jak bardzo starsi współpracownicy sprzeciwiali się, kiedy forsowałam cię, zamiast ludzi z dłuższym stażem?

Wiem, przyznała w duchu Debra. Z początku nie zastanawiała się zbyt nad konsekwencjami obiecanego awansu - była zbyt podekscytowana i uradowana - lecz ostatnio zaczęła dostrzegać pewne oznaki zazdrości i ochłodzenia stosunków ze strony koleżanek i kolegów.

Do tej pory udawało się jej to ignorować. Tłumaczyła sobie, że takie jest życie, że zawsze kiedy ktoś zostaje wyniesiony nad innych, wzbudza to z początku negatywne emocje. Optymistycznie wmawiała w siebie, że taka reakcja otoczenia będzie dla niej okazją do nauki, do podniesienia swoich umiejętności postępowania z ludźmi. Lecz z jakiegoś powodu nie wszystko układało się po jej myśli.

Z zawiścią kolegów dawała sobie radę, albo przynajmniej tak się jej wydawało, niemniej, kiedy wyczuła zawołane aluzje co do tego, że jej awans nie był uznaniem jej kwalifikacji zawodowych, lecz dowodem faworyzowania jej przez Ryana, sytuacja stała się dla niej bardziej skomplikowana.

Nikt, co prawda, niczego takiego jej jeszcze nie zarzucił, lecz pomówienie wisiało w powietrzu. Otwarte dementowanie byłoby jednak próbą torpedowania niewidocznych fluidów. Sondowanie opinii w starym dziale, dla sprawdzenia, czy jej podejrzania są uzasadnione, byłoby z kolei jawnym przyznaniem się do braku poczucia bezpieczeństwa, potwierdzeniem przed sobą samą i przed całym światem, że nie potrafi odseparować się od zdania otoczenia. A w dalszej konsekwencji - okazaniem nieumiejętności wydawania poleceń i kierowania podległym zespołem, nieumiejętności zasłużenia na szacunek podwładnych, nawet okazywany wstrzeмиęźliwie.

A teraz wyglądało na to, że Ryan także przeszedł do ofensywy, krytykując ją za metody pracy, podkopując jej pewność siebie.

Przez moment chciała zaatakować go wprost i zapytać, czy chce, żeby zrezygnowała. Miała dziwne wrażenie, że z jakiegoś powodu Ryan z premedytacją usiłuje wyprowadzić ją z równowagi i zdenerwować, i dlatego czepia się tego jednego aspektu jej postępowania, owego czułego punktu wszystkich kobiet, czyli emocjonalnego podejścia do spraw, tak różniącego je od mężczyzn.

Kiedy zrobiła dyplom, postanowiła, że nie dopuści, aby szowinistycznie nastawieni staroświeccy panowie, wciąż piastujący władzę i zajmujący najwyższe pozycje w świecie finansów, wpędzili ją w przekonanie, że jedynym sposobem, w jaki ona, kobieta, może przetrwać i odnieść sukces wśród nich, jest zaakceptowanie i przyjęcie ich kodeksu postępowania.

Debora była dumna z tego, że jest kobietą. Dumna ze swojej kobiecości.

- Przepraszam, możliwe, że się trochę zagalopowałem - usłyszała słowa Ryana wypowiedziane pojednawczym tonem. - Ale nie zwierzaj mi się, dobrze. Bądź grzeczną dziewczynką.

Grzeczną dziewczynką! Całym wysiłkiem woli zdołała przełknąć ciętą ripostę, jaka cisnęła się jej na usta.

Po wyjściu Ryana, zamiast skupić się na pracy, oddała się rozmyśleniom. Czy jej się tylko tak zdawało, czy Ryan naprawdę dawał jej do zrozumienia, że wybrał ją nie tylko do przeprowadzenia tej likwidacji?

Wstała i podeszła do okna. Znała oczywiście jego reputację kobieciarza, ale swoje stanowisko określiła wyraźnie. Poza tym podejrzewała, że nie jest dokładnie w jego typie. Ryan potrafił być bardzo zabawny, kiedy chciał, lecz było jasne, że lubił być w centrum zainteresowania, lubił i odczuwał potrzebę dyrygowania otoczeniem, a tego typu mężczyzna, nawet gdyby był wolny, nawet gdyby ją pociągał, nie nadawał się dla niej.

Nie... nigdy bym nie mogła zaangażować się w romans z człowiekiem pokroju Ryana, nie, nie... Straciłabym szacunek i dla niego, i dla siebie.

Ryan uczynił już jedną czy dwie kąśliwe uwagi na temat jej i Marka, sugerując, że w ich związku ona odgrywa dominującą rolę. To jednak nie była prawda. Oboje z Markiem szanowali się i kochali nawzajem.

Miała ogromne szczęście, że spotkała Marka. Głębia jej uczucia do niego czasami nawet ją samą zaskakiwała. Był - całkiem dosłownie - opoką, na której zbudowała fundament swojego życia i wszelkie uwagi Ryana pod jego adresem raniły ją bardzo dotkliwie.

Lecz mimo że chciała stanąć w jego obronie, nigdy się na to nie zdobyła. Wiedziała, jak Ryan by to zinterpretował. Jego

zdaniem mężczyźni nie potrzebują ani obrony, ani orędownictwa kobiet, sami potrafią sobie poradzić.

Ryan jest taki przedpotopowy, prawdziwy dinozaur, pomyślała, niemniej owe krążące po biurze, szeptane po kątach pogłoski, że awansował ją po to, żeby z wdzięczności poszła z nim do łóżka, to chyba czysty wymysł...

Wiedziała oczywiście, że Ryan miał ochotę się z nią prześpać, ale żeby ofiarowywać jej awans po to, żeby to na niej wymusić? Uciekać się do takich metod? Nie, Ryan by czegoś podobnego nie zrobił. Musi wiedzieć, że ona nigdy nie podda się podobnemu seksualnemu szantażowi.

Dobrze się składa, że z okazji Wielkanocy będą mieli dłuższy weekend, ucieszyła się, zabierając się z powrotem do pracy. Likwidacja fabryki Andrew Rycarta zapowiadała się na dłużej, niż ktokolwiek z nich się spodziewał i obawiała się, że będzie musiała przynajmniej część wolnego czasu poświęcić na odrabianie zaległości, jakie wytworzyły się w innych sprawach.

Martwiła się, że Mark tak dotkliwie przeżywa impas w swojej karierze zawodowej. Wiedziała oczywiście, jak okropnie musi się z tym czuć, niemniej zastój w ich dziale był logiczną konsekwencją recesji, czymś, co każdy z pewnością przewidział i czego się spodziewał.

- Masz pojęcie, jak się czuję, siedząc nad pustym biurkiem przez trzy dni w tygodniu? - spytał z irytacją nie dawnej jak dwa dni temu. - Nie, oczywiście, że nie masz - ciągnął, sam odpowiadając na własne pytanie. - Bo ty dokonałaś właściwego wyboru, kierowałaś się intuicją, okazałaś przenikliwość. .. Ryan ma rację, jesteś ode mnie lepsza.

- Zdecydowałam się na taką specjalizację, bo to była jedyna furka otwarta przede mną - przypomniała mu Debora. - Nie zapominaj, że to ty pierwszy podjąłeś decyzję o przeprowadzce. Mnie było bardzo dobrze w Londynie. Przekwalifikowałam się, bo tylko to mi tutaj proponowano.

Przecież wątkowali ten problem, zanim dała ostateczną odpowiedź. Lecz wówczas to przed Markiem rozpościerała się błyskotliwa kariera usiana awansami. Jeśli o nią chodzi, ostrzegał ją wtedy, może się okazać, że przenosząc się na północ, aby być z nim, zamieni siekierkę na kijek - w firmie panuje bowiem bardzo staroświeckie nastawienie do kobiet.

- W takim razie będę musiała je zmienić, prawda? - replikowała wówczas, nie zrażona.

Potem oboje wybuchnęli śmiechem, potem poszli do łóżka, kochali się, w namiętnym uniesieniu zapominając o tak poważnych sprawach jak ich zawodowe kariery.

- Uważaj - ostrzegała ją jeszcze w Londynie starsza stażem koleżanka o twardym charakterze - bo inaczej dasz się wpędzić w pułapkę, pozwolisz, żeby myślał, że jego kariera, jego potrzeby są ważniejsze od twoich.

- To nie tak - protestowała Debora. - Chcę jechać do Lincoln, poza tym z punktu widzenia mojej kariery to korzystna zmiana.

- Tym razem może tak - odparła sceptycznie koleżanka.

- Mark nie należy do tego typu mężczyzn, którzy oczekują, że zawieszę moje ambicje na kołku. On wie, jak wiele znaczy dla mnie moja praca - ciągnęła Debora.

- Taak... z początku oni wszyscy tak twierdzą. - Owa dobiegająca pięćdziesiątki koleżanka miała za sobą nieudane małżeństwo i burzliwy rozwód i czasami, mimo zręcznego kamuflażu, nie udawało jej się ukryć zadawnionych urazów. - Kiedyś starali się zaciągnąć dziewczynę do łóżka przysięgając, że rano nadal będą ją szanować. To było jeszcze wtedy, kiedy my głupie miałyśmy do takiego stopnia wyprane mózgi, że dałyśmy sobie wmówić, że potrzebny nam jest ich szacunek. Teraz mówią, że szanują niezależność kobiet, że wierzą w równouprawnienie... Różnica polega na tym, że moje pokolenie wiedziało, że to wierutne kłamstwo, a twoje daje się nabrać.

Debora uśmieła się nie tylko z pomysłu, że Mark kiedykolwiek musiałby ją zwodzić, lecz również z ironii w głosie swojej rozmówczynie, która uparcie starała się odwieść młodszą koleżankę od jakiegokolwiek życzliwości i sympatii wobec rodzaju męskiego.

- Z kuchni do sali posiedzeń długa droga i z pewnością ciężko ją pokonać, ale nawet jeśli któraś z nas podejmie tę wędrówkę, co za różnica? Wciąż zbyt wiele kobiet związanych jest emocjonalną więzią z mężczyznami, którzy zapewniają je o swojej miłości. I przeżywają straszliwe męki, kiedy ci mężczyźni zaczynają szarpać postronki... A oni wszyscy prędzej czy później to robią. Czy to jest miłość?

To gorycz rozvodu uczyniła z niej taką cyniczkę, podejrzewała Debora w duchu.

Mark poirytowany otworzył drzwi swojego gabinetu. Kilka godzin przekładania papierków na biurku i udawania, że coś robi, zmęczyło go.

Wychodząc na korytarz, zauważył ową blondynkę zastępującą urzędniczkę na urlopie macierzyńskim. Szła w jego kierunku, dzwignając całe naręcze akt.

- W którą stronę? - spytał. Cała złość mu minęła na widok jej wyraźnie prowokacyjnego kołysania biodrami przy każdym kroku.

Możliwe że Debora miała rację twierdząc, iż dziewczyna z premedytacją wykorzystuje atrybuty swojej urody i młodości, lecz w jej krągłych biodrach i lekko wydętych, starannie wyszminekowanych ustach było coś, co pozytywnie działało na jego męskie ego.

Podbiegł i otworzył przed nią drzwi prowadzące na awaryjne schody. Nie miało znaczenia, że on wiedział i że ona wiedziała, iż doskonale sama by sobie dała radę. Liczyło się spojrzenie, jakim obrzuciła Marka, dziękując mu za ten dżentelmeński gest. W tym celu zatrzymała się w przejściu, gdzie

było najmniej miejsca, opierając się niemal o ramię Marka, który przytrzymał skrzydło drzwi.

- Dzięki... Nie miałam pojęcia, że te papierzyska są aż tak ciężkie. - Przy tych słowach potrząsnęła naręczem teczek, a materiał bluzki naciągnął się na jej piersiach, uwydatniając sutki. Były twarde i sterczące, jak gdyby...

Mark pospiesznie odwrócił wzrok.

- Służę...-zaoferował się.

- Mam nadzieję, że chodzi panu o akta - odparła kokieteryjnie, a potem zachichotała i przechyliła się do przodu, żeby Mark mógł wziąć z jej rąk teczeki.

Otwarcie i z premedytacją mnie prowokuje, pomyślał Mark, flirtuje ze mną na całego...

- Ależ pan jest silny - szepnęła, kiedy wziął od niej cały stos. - Pewnie spędza pan mnóstwo czasu na siłowni. Od razu widać, kiedy mężczyzna dba o mięśnie. Chociaż, nie lubię kulturystów... - dodała, wydymając bardziej wargi i przechylając figlarnie głowę.

Mark, mimo że raczej wysoki i barczysty (rezultat uprawiania gry w rugby w młodości), doskonale wiedział, że posturę ma raczej przeciętną, słysząc więc ów fałszywy komplement, odwrócił głowę, aby ukryć uśmiech.

Stara się dziewczyna, pomyślał z uznaniem i ze zdziwieniem stwierdził, że sprawia mu to niekłamana przyjemność.

- Ma pan jakieś plany na wielkanocny weekend? - spytała.

Mark pokręcił głową.

- Ja też nie. Przyznam się panu, że najbardziej bym chciała spędzić ten czas w jakimś romantycznym zakątku z obłądnie seksownym mężczyzną - powiedziała i rzuciła Markowi powłóczyście, trochę kpiące, trochę bojaźliwe, spojrzenie spod pomalowanych grubo tuszem rzęs. - Tylko my dwoje... sami... ja i on... - dodała, znacząco nadając głosowi przytłumione zmysłowe brzmienie.

Dotarli do kolejnych drzwi i kiedy Mark zatrzymał się, aby je przed nią otworzyć, przysunęła się do niego, niby starając się prześlizgnąć przez wąską szczelinę pomiędzy uchylonymi do połowy skrzydłami, a w rzeczywistości po to, żeby otrzeć się o niego, żeby poczuł muśnięcie jej miękkich, pełnych, ciepłych piersi na swoim ramieniu.

Debora miała zgrabne, jędrne i bardzo piękne piersi, które w biurze ukrywała pod luźnymi bluzkami o koszulowym kroju. Biust urzędniczki był pełniejszy, pulchniejszy, przez mgnienie przywodzący na myśl wspomnienia lubieżnych wizji nastolatka.

- Hej... co tu się wyprawia? No, no...

Mark gwałtownie odwrócił głowę. Zobaczył parę kolegów zbliżających się korytarzem. Byli młodszy od Marka, świeżo po stażu. Podczas gdy jego towarzyszka z kokieterijną minką i udawanym zażenowaniem dziękowała mu za pomoc i, szykując się do przejścia akt, obciągała bluzkę, demonstrując ponownie swoje wdzięki, kątem oka zauważył, że kpina na twarzach żartownisiów ustępuje miejsca owemu szczególniemu wyrazowi uznania dla mężczyzny odnoszącego większe sukcesy w podbojach.

Kiedy dziewczyna odeszła, odwrócili głowy i odprowadzili ją wzrokiem.

- Niezła sztuka - rzucił jeden z nich i dodał ze śmiechem:
- Zdradź nam swój sekret, Mark. Może to twój płyn po goleniu działa jak magia...

Mark też się roześmiał i potrząsnął głową.

- Trudno, chłopaki, ale tego się nie kupuje we flakonie, z tym się trzeba urodzić.

Świadomość, że wzbudził w nich odrobinę zawiści, poprawiła mu samopoczucie. Pomyślał, że nie mogą go już lekceważyć jako człowieka bez zawodowej przyszłości, który musi na dodatek z boku przyglądać się, jak jego kochanka wysforowuje się na prowadzenie. I właśnie ta myśl sprawiła, że roz-

grzeszył się w duchu z zachowania nie bardzo licującego z jego stylem bycia.

Doskonale wiedział, jak Debora by to skomentowała. Odkał dorósł, dojrzał, odrzucił pozę macho.

Debora zresztą też nigdy nie flirtowała. Ona po prostu nie należała do tego gatunku kobiet. Była zbyt uczciwa i prostolinijna, brzydziła się udawaniem i zwodzeniem mężczyzn. Ostatnią rzeczą, jaką by zrobiła, było bezinteresowne i nieszkodliwe łechtanie ego partnera, czy to publicznie, czy kiedy byli sam na sam.

- Nie droczyć się z nami. Zdradź nam swój sekret - znowu zaczęli nagabywać go koledzy.

- Wyszło szydło z worka... A mieliśmy cię za...

- Co to za pogaduszki? Nie macie nic do roboty?

Mark zesztyniał na dźwięk głosu Ryana dobiegającego zza jego pleców.

- Co wy sobie myślicie? - Ryan naskoczył na młodych pracowników. - Gdzie akta, o które prosiłem?

- Przepraszam, właśnie po nie szedłem... - jeden z nich zaczął się usprawiedliwiać i nerwowo przestępować z nogi na nogę.

Nie czekając, aż się oddalą na tyle daleko, aby nie słyszeć, co powie, Ryan zwrócił się do Marka.

- Posłuchaj, wiem, że aktualnie nie jesteś przeciążony pracą i możesz sobie pozwolić na pewne luzy, ale jeśli decydujesz się trwonić czas, znajdź sobie do towarzystwa kogoś z własnego pionu, a nie z mojego, dobrze? Wyrażam się dostatecznie jasno? My mamy co robić.

Skończywszy odwrócił się na pięcie i ruszył przed siebie, nie dając Markowi szansy na replikę. Upomnienie Ryana kompletnie zepsuło dobry nastrój, w jaki wprowadził go niewinny flirt z sekretarką. Dławiła go wściekłość, w ustach czuł niesmak.

- Masz już jakieś plany na weekend? - spytał Peter, kiedy

Mark wrócił do pustego biurka i pokoju, w którym zaczynał się dusić jak w więzieniu. - Pomyśleliśmy z żoną, że wybierzemy się przyczepą nad morze.

- Słucham...? Nie, nie mamy żadnych szczególnych planów - odpowiedział Mark w roztargnieniu.

Ile to już czasu minęło, odkąd ostatni raz wybrali się gdzieś z Deborą tylko we dwoje, zaczął się zastanawiać pod wpływem pytania Petera. Zeszłe wakacje spędzili z przyjaciółmi, a w tym roku jeszcze nie omawiali urlopowych planów. Deborą ustawicznie była zbyt zajęta, żeby rozmawiać na ten temat... żeby w ogóle rozmawiać na jakikolwiek temat nie dotyczący jej pracy i awansu.

- Idę dziś na lunch wcześniej - oznajmił nagłą decyzję szefowi.

Bolesna spuścizna

15

- Jak to, zarezerwowałeś miejsca? Mark, jak mogłeś? Wiesz, że po uszy tkwię w tej likwidacji. Nie mogę jechać... Planowałam, że wykorzystam święta na odrabianie zaległości w innych sprawach.

Debora przerwała gorączkową wędrówkę po pokoju i stanęła przed Markiem. Gestem zdradzającym niecierpliwość i irytację przeczesła palcami włosy.

- Dlaczego wpiery nie porozumiałeś się ze mną?
- Chciałem ci zrobić niespodziankę - wyjaśnił Mark sztywno.

- Niespodziankę?! - wykrzyknęła Debora zdumiona. - Przecież wiesz, jak ważna jest dla mnie ta likwidacja. Nie mogę rzucić wszystkiego i wyjechać z tobą. Powinieneś porozumieć się ze mną, zanim zarezerwowałeś miejsca. Przyznasz mi chyba rację?

Umilkła nagle, zaniepokojona sposobem, w jaki Mark na nią patrzył.

- Powinieneś porozumieć się z tobą? - powtórzył serio. - A czy ta zasada nie obowiązuje obu stron, Deb? Uważasz, że to równouprawnienie, o którym wy, baby, tyle krzyczycie, daje ci jakieś specjalne przywileje? Na przykład, że teraz, kiedy ty zarabiasz więcej, to ty podejmujesz ważniejsze decyzje, tak?

Debora nie wierzyła własnym uszom.

- To ty poszedłeś do biura podróży i wykupiłeś miejsca - przypomniała mu.

- A ty postanowiłaś, że będziesz pracować... bez porozumienia ze mną. Powiedz mi tylko jedno, Deb. Czym ja mam się zająć w święta, kiedy ty będziesz pracować? - Debora wpatrywała się w niego kompletnie zbита z tropu. - Mammy dłuższy weekend - ciągnął Mark z pasją. - Czas przeznaczony na spędzenie razem, na wspólny relaks i rozrywkę. Prawda, zapomniałem - wtrącił z ironią. - Przecież ty już się wyśmienicie bawisz, oddając się bez reszty pracy. Cóż, wybaczyć, że ja nie czerpię takiej samej przyjemności z mojej. Może umknęło to twojej uwagi, jesteś przecież zbyt zajęta, aby zauważać takie drobiazgi, że tkwienie pięć dni w tygodniu za pustym biurkiem nie działa stymulująco na umysł.

- Na miłość boską, Mark! Nie dramatyzuj! Twoje biurko nie jest puste.

- Ale prawie... zresztą nie w tym rzecz. Czy dla ciebie nic już się nie liczy poza twoją pracą, Deb? Czy wszystko... wszyscy... muszą się podporządkować twojej karierze? Jak ci się wydaje, jak ja się czuję, przyglądając się noc w noc, jak ty pracujesz, słuchając poleceń, żebym przyciszył telewizor, bo się nie możesz skupić? Traktujesz mnie jak osobnika podlegszego gatunku, który nie dorasta do twojego poziomu.

- Mark, to nie fair - zaprotestowała Debora. - Wydawało mi się, że rozumiesz... że zawarliśmy umowę - dodała znużona. - Nie mogę uwierzyć, że to wszystko mówisz naprawdę ty, Mark... O co ci chodzi? Chcesz, żebym się cofała, bo tobie nie idzie?

Mark zeszytywniał, słysząc gniew i pogardę w głosie Debory.

- Oczywiście, że nie - zaprzeczył. - Tylko... Posłuchaj. Wiem, ile ten awans dla ciebie znaczy, ale musisz przyznać, że nie nastąpił w momencie najkorzystniejszym dla mnie...

- Dla ciebie? - Debora zrobiła wielkie oczy ze zdumienia - Przecież mówimy o mojej karierze, nie o twojej. Czego ty

ode mnie chcesz, Mark? Mam udawać, że nie chcę piąć się wzwyż, że mnie to nie ekscytuje?

- Jasne, że nie. - W sercu Marka wyrzuty sumienia mieszały się z irytacją. - Mogłabyś jednak spróbować postarać się, żeby sukces nie przysłaniał ci całego świata, pamiętać, że w życiu istnieją jeszcze inne rzeczy. Czy Ryan także zamierza poświęcić ten weekend pracy?

Tym pytaniem kompletnie ją zaskoczył. Debora oblała się rumieńcem, chociaż mówiła sobie w duchu, że nie ma sobie nic do zarzucenia.

- Nie wiem... Możliwe, że tak. Nie zwierzał się mi. Powiedział jedynie, że chce mieć pewność, że jestem na bieżąco ze wszystkim. Naszym głównym klientem jest bank - ciągnęła, lecz widząc, w jaki sposób Mark na nią spojrział, zmieniła ton. - Mark, wiesz, jak ważny dla mnie jest ten awans... Ryan już zaczął przebąkiwać, że bywa atakowany za swoją decyzję przez pozostałych wspólników. Nie chcę sprawić mu zawodu.

- Nie chcesz? Dlaczego? A mnie możesz sprawić zawód, tak?

Debora zamarła.

- To nie fair, Mark - wybuchnęła. - Mogłabym oskarżyć ciebie o to samo. Nie okazałeś mi ostatnio wiele wsparcia, prawda? Zaczynam się zastanawiać, czy Ryan nie ma racji, kiedy mówi, że jesteś o mnie zazdrosny... - Umilkła, klnąc samą siebie w duchu za to, że powiedziała zbyt dużo. - Mark, wybacz, ale...

- Nieważne - powiedział specjalnie, żeby zrobić jej przykrość i odwrócić się. - Zapomnijmy o całej tej cholernej wyprawie. Zajmij się swoją ceną likwidacją, Deb... a ja zajmę się malowaniem mieszkania. Kto wie, może da mi to jakąś satysfakcję. Z pewnością będzie to lepsze wyjście od weekendu we czwórkę z Ryanem i twoją pieprzoną robotą. Taki kwartet nie zmieściłby się do podwójnego łóżka...

Zachowuje się jak dziecko i musi o tym wiedzieć, pomy-

ślała Debora. Złość, niczym twarda gula, dławiła ją w gardle, pod powiekami zbierały się niebezpieczne piekące łzy doznanej urazy.

Nienawidziła sporów i waśni. Normalnie nigdy się z Markiem nie kłócili... przynajmniej do tej pory.

Rozgoryczenie i złość Marka kompletnie ją zaskoczyły, a oskarżenia, jakimi ją obrzucił, były tak do niego niepodobne, że omal nie mogła uwierzyć, że padły z jego ust.

Cóż, jedno było pewne. Z powodu owej wiszącej nad nią kłótni, nie będzie mogła skoncentrować się na swojej pracy tak jak należy. Może dobrze im obojgu zrobi, jeśli wyrwą się na kilka dni, usiądą spokojnie, porozmawiają na trzeźwo? Wiedziała, jak bardzo przygnębiony był Mark z powodu impasu w jego pionie, lecz nigdy jej na myśl nie przyszło, że jej sukces wywoła u niego aż taką reakcję negatywną.

Słuchając go przed chwilą, miała wrażenie, jak gdyby insynuował, że w jej sercu musi rywalizować z jej pracą, a przecież owe dwa aspekty swojego życia traktowała całkowicie oddzielnie.

Kiedy weszła do sypialni, Mark stał przy oknie zapatrzony w dal. Nie odwrócił się, dopóki nie dotknęła jego ramienia. Twarz miał bladą i spiętą. Zauważyła, że zamiast iskerek wesołości w jego oczach czaił się cień. Ogarnęło ją poczucie winy. Ile czasu minęło, odkąd śmieli się razem? A przecież to poczucie humoru było pierwszą cechą, jaka ją w nim pociągała. I podobnie jak jego ciepło i dobroć sprawiło, że nigdy nie było w niej obawy, iż wiążąc się z nim, w jakiś sposób oddaje mu kontrolę nad sobą.

- Niewykluczone, że kilka dni z dala od domu dobrze by nam zrobiło - odezwała się pojednawczym tonem. - Musimy koniecznie ze sobą porozmawiać...

Poczuła, jak na dźwięk tych słów napiął mięśnie w niemym oporze. Czego więcej się po mnie spodziewa, zastanawiała się ze złością. Przecież chyba nie przeprosin? Za co

miałaby go przeproszać? Nie uczyniła niczego, czego, gdyby role się odwróciły, on sam by nie uczynił z całkowitym przekonaniem, iż przysługuje mu pełne prawo postępować, jak uznaje za stosowne.

Przykro jej było, że Mark ujawnił przed nią tę stronę swojej natury. Sądziła, że potrafi wynieść się ponad własne ego.

- Niczego nie zapomniałaś? - spytał Mark, biorąc walizkę Debory.

Debora spojrzała w tym samym co on kierunku - na swoją teczkę. Pokręciła głową. Usiłowała nie okazać poczucia winy, jakie ją ogarnęło, na widok jej pękatek kształtów.

Ryan nie był zachwycony, kiedy mu zakomunikowała, że wyjeżdża. Nie omieszkał nawet...

- Gotowa?

Kiwając głową, chwyciła lekką sportową kurtkę i poszła za Markiem.

- Dokąd? - spytała, kiedy siedzieli już w samochodzie. Mark uparcie trzymał tę informację w tajemnicy i Debora starała się jak mogła, aby nie psuć mu przyjemności z szykowanej niespodzianki, chociaż w rzeczywistości zbyt była zaabsorbowana pracą i przygnębiona ich kłótnią, aby mieć ochotę na tego rodzaju zabawy. - Tych kilka dni spędzonych razem da nam przynajmniej czas, aby porozmawiać.

- Nie - zaprzeczył Mark z pasją i dodał już mniej obcesowo: - Na tych kilka dni zapomnijmy o wszystkim, Debs, i cieszymy się sobą. Zgadłaś już, gdzie jedziemy?

Debora zmarszczyła brwi. Co w niego wstąpiło? Normalnie nigdy nie wpadał w taki eskapistyczny nastrój.

- Nie - odparła w roztargnieniu. - Powiedz wreszcie.

- Remington - zakomunikował.

Remington? Zdumiona odwróciła głowę i spojrzała na Marka. W tej małej miejscowości w Yorkshire spędzili swój pierwszy wspólny weekend. Zatrzymali się wówczas w stoją-

cym na uboczu otoczonym parkiem hotelu z ogromnymi sypialniami i przyległymi do nich staroświeckimi łazienkami.

Był wówczas listopad, nad wrzosowiskami unosiły się mgły, płonąca polana na kominku zachęcały do pozostania w domu... w łóżku.

Mark był pierwszym mężczyzną, wobec którego Debora potrafiła naprawdę uzewnętrznić swoją kobiecość. Radośnie okazała mu, jak bardzo go pragnie, jak pobudza jej namiętność. Po raz pierwszy w życiu odrzuciła wszelkie bariery i pozwoliła komuś obcemu wejść w intymny świat swoich zmysłów.

Po raz pierwszy też przeżyła orgazm, nie starając się usilnie, aby go osiągnąć. I to nie jeden raz. Jej ciało, kiedy zdecydowało się zaakceptować Marka, jak gdyby postanowiło nadrobić stracony czas.

- Hej... zwolnij tempo - droczył się z nią Mark, gdy pieścizotami starała się go pobudzić do kolejnej erekcji. - Nie posiadam twoich zdolności natychmiastowej regeneracji.

Nie zrażona szeptała mu do ucha, że innymi sposobami może dać jej ciału rozkosz, jakiej ono pragnie.

- Dlaczego sam na to nie wpadłem... - mruknął wówczas, obejmując wargami nabrzmiały koniuszek jej piersi, przesuwając dłonią po jej brzuchu, rozsuwając nogi, czując, jak przytulona do niego drży w oczekiwaniu.

Od tamtego czasu wciąż byli zgranymi kochankami, chociaż ostatnio ich stosunki stały się jak gdyby mniej żarliwe i rzadsze... O wiele rzadsze.

Zdarzało się ostatnio nie raz, że kiedy skończywszy późno pracę, kładła się do łóżka, Mark już dawno zasnął i spał tak mocno, że nie budził go ani delikatny dotyk, ani ciepło jej warg szepczących mu do ucha, jak bardzo go pragnie...

- Och, Mark! - wykrzyknęła teraz - Remington!

- Nie udawaj - przerwał jej Mark ponuro. - Wcale nie chcesz tam jechać.

Potrząsnęła gwałtownie głową.

- Chcę - powiedziała - oczywiście, że bardzo chcę...

A może Mark ma rację? Może pozwala, aby praca do tego stopnia ją pochłonięła, że oprócz niej nic już się nie liczy? Lecz przecież kto jak kto, ale Mark powinien wiedzieć, że ona nigdy by do tego nie dopuściła.

Remington. Sama myśl o wspólnym powrocie w to miejsce unosiła ciężar napięcia z jej ramion.

- Masz słuszność - powiedziała przytłumionym głosem - potrzebne nam jest kilka dni razem... tylko we dwoje...

Mark wzdrygnął się, słysząc nutę zmysłowej obietnicy w jej głosie. Kiedy rezerwował miejsca, wydawało mu się to wspaniałym pomysłem. Podniecony niewinnym flirtem z sekretarką, przypomniał sobie, jaki wspaniały był ów pierwszy wspólny weekend. Nie znał hojniejszej kochanki od Debory. Nie wiedziała, co to nieśmiałość, gierki, sztuczki, nie wymagała, aby przytulnymi pieszczotami zdobywał ją w nagrodę...

I wówczas ani nie chciał, ani nie potrzebował udawać głębokiego snu, byle tylko uniknąć kochania się z nią.

Cóż, każda para prędzej czy później przeżywa kryzys, ów spadek napięcia, wzajemnego zainteresowania...

Spadek napięcia czy... całkowity zanik...? Ostatnio, kiedy zmuszał się do stosunku, kiedy przeżywał wewnętrzny lęk przed impotencją, zaczął się zastanawiać, czy wszystko z nim wciąż jest w porządku, lecz zaskakująco gwałtowna reakcja na prowokujące zachowanie sekretarki udowodniła mu, że nie ma się czego obawiać.

Problem w takim razie tkwi gdzie indziej. Czyżby winna była Debora? Czyżby zmienił się jego stosunek do niej?

Przyznał teraz przed sobą, że nie chce z nią rozmawiać, nie chce iść z nią do łóżka. Mdliło go i był zmęczony nową rolą, jaką Debora mu wyznaczyła, miał też serdecznie dość szyderczych komentarzy Ryana i jego ustawicznych aluzji, że siedzi pod pantoflem kochanki.

Czy ona nie widzi, jak trudny okres przeżywam... czy nie potrafi zrozumieć...?

- Och, Mark - usłyszał jej głos i zobaczył blask w oczach.
- To będzie wspaniały weekend. Tylko we dwoje.

Przyjechali do hotelu wieczorem i zanim się rozpakowali, całkiem się ściemniło.

Debora nie była zadowolona, kiedy Mark uparł się, aby zamiast zamówić kolację do pokoju, zeszli do jadalni, lecz dla świętego spokoju przystała. Nie protestowała także, gdy cały wieczór przegadał z jednym z gości, pozostawiając jej zabawianie zahukanej żony owego przypadkowego znajomego.

Skrzywiła się lekko, kiedy rano wstał przed nią, zniknął, a wróciwszy, zakomunikował, że zapisał ich oboje na grupowe zwiedzanie okolicy.

- Połóż się - zachęcała, uśmiechając się kusząco.

Wiosenne słońce nadawało ciepły złotawy odcień jej skórze i Mark wiedział, że to nie chłodne powietrze zaróżowiło jej stwardniałe sutki... A jednak potrząsnął odmownie głową i oznajmił:

- Nie mamy czasu. Za trzy kwadranse wyruszamy.

Celowo marudził na dole i przyszedł zakomunikować jej plany, kiedy było już za późno.

Promienny uśmiech, z jakim przyjęła odmowę, a także dobry humor podczas całego spaceru powiększyły tylko jego wyrzuty sumienia i, co dziwne, pogłębiły jego gniew. Byłoby mu łatwiej znaleźć usprawiedliwienie dla swojego zachowania, gdyby opierała się i protestowała.

- Nie mogę się doczekać powrotu do hotelu i gorącej kąpieli w tej ogromnej wannie - szepnęła i kiedy nikt nie patrzył w ich stronę, delikatnie przygryzła płatek jego ucha.

- Och, boska kąpiel... jak ty - powiedziała Debora do Marka, wślizgując się za niego, przytulając wilgotnym ciałem

do jego pleców, wsuwając dłonie pod koszulę, którą właśnie zapinał.

- Hej! Ostrożnie... moczysz mi koszulę!

Debora roześmiała się.

- To ją zdejmij - zaproponowała, żartem gryząc go w ramię.

Z ulgą stwierdził, że gdy Debora stanęła za nim, objęła go i delikatnie połaskotała skórę na jego piersi, poddanie się zmysłom nie było tak trudne, jak się obawiał.

Debora nie była stereotypową kochanką z podręcznika, była zbyt zmysłowa i pełna wyobraźni - powolna pieśczoła opuszków jej palców działała na niego coraz bardziej podniecająco.

- Dość? - szepnęła figlarnie, gdy nakrył ręką jej dłoń, która w swojej wędrówce ześlizgnęła się już na brzuch. Przywierając mocniej do jego pleców, Debora mruknęła: - Mhm... Kocham twoje ciało, Mark. Czuję rozkosz, kiedy ciebie dotykam... Jesteś taki doskonale męski...

- Czyli jaki? - spytał. Unieruchomiwszy jej dłoń w swojej, czuł się bezpieczniej. - A może już znam odpowiedź? - dodał żartem, spuszczać wzrok i przyglądając się swojej erekcji.

Debora znowu się roześmiała.

- Nie... nie dlatego, próżny chłopczyku... chociaż, muszę przyznać, że to bardzo... bardzo kuszący widok - dodała trzeźwym tonem. - Nie, nie... mnie chodziło o tutaj - wolną dłoń przesunęła po jego szerokim torsie - i tutaj - koniuszkami palców musnęła delikatne włoski porastające jego skórę. - I tutaj - jej głos nabierał chrapliwych tonów. Zsunęła dłoń niżej, pogładziła jego pośladki i dotknęła stwardniałego członka. - Smakujesz też dobrze - szepnęła, zębami delikatnie szczypiąc go w ramię. - Smaczny, pachnący, miły w dotyku... Och, Mark...

Poczuł dreszcz przebiegający jej ciało, kiedy przytuliła się do niego jeszcze mocniej.

- Bardzo cię pragnę - wyznała.

Czuł, jak jej pożądanie wzmaga jego namiętność, osłabiając ją, jemu dodaje sił; czyni ją bezbronną, uzależnia od niego, zdaje na jego... łaskę.

Oczami wyobraźni zobaczył wydęte lekko wargi sekretarki, jej bujny biust i cień zawiści w spojrzeniu młodszych kolegów.

Poczuł silniejsze napięcie w łądźwiach.

Uwolnił dłoń Debory, odwrócił się twarzą do niej, ujął ją za ramiona.

- Nie... nie... wcale mnie nie pragniesz - powiedział, kiedy wyciągnęła rękę, żeby go znowu pieścić. - Wolno pa-trzyć, ale nie wolno dotykać.

Zanim zdołała wydać z siebie okrzyk zdumienia, które wy-czytał z jej oczu, zaczął muskać jej wargi lekkimi pocałun-kami.

- Nie... nie tak, Mark - protestowała spragniona silniej-szych doznań. - Pocałuj mnie jak należy.

- Nie podoba ci się? Nie lubisz już moich pocałunków?
- droczył się z nią, udając, że nie rozumie, o co jej chodzi. Zwodząc ją w ten sposób, odmawiając spełnienia, czując jak Debora drży w oczekiwaniu, doznawał dreszczyku dziwnej, nie znanej dotąd satysfakcji.

- Mark... - usłyszał napięcie w jej głosie, lecz nie poddał się mu. Pochylił głowę i językiem zaczął kolistymi ruchami łąskotać jej piersi, wpierw jedną, potem drugą, powoli, deli-katnie, leniwie. Debora drgnęła, wygięła się do tyłu, dając mu sygnał, że chce, żeby objął jej sutki wargami.

Na bardzo wczesnym etapie ich stosunków odkrył, jak bardzo wrażliwa była na ten rodzaj erotycznej pieśczo-ty - gdyby miał być szczery, przyznałby, że odkrycia tego doko-nał, ponieważ sama mu o tym powiedziała, szepnęła, jak lubi kiedy dotyka i ssie jej piersi. Gdy pieścił ją w sposób, jakiego pragnęła, wydawała z siebie ciche pomruki zadowolenia

i wyginała ciało w łuk. Zdarzało się nawet, że przeżywała wtedy orgazm.

Nie, Debora nie miała żadnych tajemnic ani żadnych oporów przed mówieniem mu, pokazywaniem, jak najlepiej może jej pomóc osiągnąć szczytową rozkosz. Nie uciekała się do żadnej tajemniczości, mistyki.

- Nie przyszło ci kiedyś do głowy, żeby udawać? - spytał pewnego popołudnia, kiedy otwarcie poinformowała go, że tym razem nic z tego nie będzie i żeby przestał się starać.

- Udawać? - powtórzyła i spojrzała na niego ze zdumieniem. - Po co miałabym udawać? - spytała. - To byłaby obraza nas obojga, to by pozbawiło nasze stosunki wszelkiej wartości, nigdy w życiu nie posunęłabym się do tego. Orgazmu nie możesz mi ani dać, ani mnie go pozbawić - tłumaczyła spokojnie. - A ponieważ nie zależy od ciebie, nie ponosisz żadnej winy, jeśli go nie przeżywam. To ja mam ci podpowiedzieć, w jaki sposób możesz, albo nie możesz, pomóc mi go osiągnąć.

- Aha, rozumiem... moja rola sprowadza się do wykonywania twoich instrukcji, tak? - żartował ze śmiechem.

Tak, wówczas śmiał się z tego. Kiedy przestałem się śmiać? - zapytał teraz sam siebie, słysząc przyspieszone bicie serca Debory i jej płytki oddech.

- Mark... -jęknęła.

Zignorował ten protest. Pochylił się niżej, teraz koniuszkiem języka pieścił jej pępek. Drgnęła, mięśnie jej brzucha napięły się, dreszcz przemknął pod skórą.

Mark wiedział, że gdyby puścił jej ramię i wsunął dłoń między nogi, poczułby wilgotne ciepło, lecz nie zrobił tego. Zaczął natomiast całować wewnętrzną stronę rąk Debory, przeguby, zgięcie łokcia, pachy.

- Nie, nie... - chwycił ją za rękę, kiedy chciała go dotknąć. Wykręcając jej ramię do tyłu, przyciągnął ją do siebie, zajrzał w oczy zamglone nagłym przypływem rozkoszy.

Chociaż wiedział, że gotowa jest już, by go przyjąć w sobie, wyczuł, jakiego doznała wstrząsu, gdy opadł na stojące za nim krzesło, pociągając ją za sobą. Zesztywniała na mgnienie, lecz po chwili z namiętym jękiem przywarła do niego, przyjmując go w pełni.

- Nie zdążyłaś nacieszyć się mną? - szepnął, gdy wyczerpana, ciężko oddychając, odpoczywała.

Debora uniosła powieki i spojrzała na niego. Nie była przyzwyczajona do zaborczej gwałtowności ze strony Marka i normalnie raczej by ją to ostudziło, nie podnieciło. Lecz po długim okresie, kiedy unikał zbliżenia, odczuwała taką ulgę, że wciąż jej pożąda, że gotowa była przymknąć oko na tak niezwykle u niego zachowanie.

- Chcesz jeszcze... proszę bardzo - zachęcał.

Tym razem potrzebowała więcej czasu, zanim osiągnęła orgazm. Kiedy drżąc przytuliła się do niego, odsunął ją na odległość ramion i powiedział:

- Dalszy ciąg w łóżku... będzie nam wygodniej...

- Dalszy ciąg? - zamrugała ze zdziwienia oczami. - Wiem, że tutejsze świeże powietrze jest bardzo pokrzepiające - zażartowała i westchnęła: - Och, Mark, jak dawno niczego podobnego nie robiliśmy... - Jak dobrze wiedzieć, że wciąż mnie pragniesz, dodała w myślach.

Kochali się jeszcze dwa razy, zanim Debora oświadczyła, że musi się przespać, jeśli ma w ogóle myśleć o kolacji.

Nie mogła sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz była tak nasycona, tak zadowolona. Wyczerpana, wsunęła się pod kołdrę, trzymając ją odchyloną, czekając, aż Mark do niej dołączy.

Miała wrażenie, że jej mózg draży jakaś ważna myśl, lecz potrzeba snu zwyciężyła.

Gdy tylko Debora zasnęła, Mark wstał z łóżka. Uświadomił sobie nagle, że mimo usilnych starań nie osiągnął prawdziwej satysfakcji. Przeraził się, poczuł ucisk w żołądku.

Zrozumiał, że nie wyzbył się złości na Deborę. Że odczuwa zadowolenie nie z powodu wyzwolenia w niej szczytowej namiętności, lecz raczej z powodu zademonstrowania swojej przewagi... Oto jego ciało udowodniło jej swoją męskość, którą mu odebrała na polu zawodowym.

Z posępną twarzą spuścił wzrok.

Co się z nami dzieje? Dlaczego jest mi tak źle i dlaczego ona tego nie dostrzega?

RS

Bolesna spuścizna

16

- Hej! Wyglądasz dziś na bardzo zadowoloną z siebie. Dobrze spędziłaś weekend, hę? - zapytał zaczepnie jeden z kolegów.

- Bardzo miło. Dziękuję - odparła Debora spokojnie, ignorując ukrytą za domyślnym uśmiechem aluzję.

Wiele jeszcze czasu upłynie, zanim molestowanie seksualne zniknie z miejsc pracy, pomyślała. Tego typu uwagi czynione są tak instynktownie i odruchowo, są tak nieodłączną cechą męskiego ego... chociaż, aby zadośćuczynić prawdzie, trzeba by przyznać, że zainteresowanie życiem erotycznym bliźnich nie jest tylko domeną mężczyzn. Chodzi tylko o to, że kiedy oni... Zresztą, mniejsza z tym.

Tak, Debora musiała przyznać, że to był wspaniały weekend. W drodze powrotnej powiedziała Markowi, iż miał rację, nalegając na wyjazd, przeprosiła go za swoje pierwotne sprzeciwy.

Teraz poddała się impulsowi i na ułamek sekundy przymknęła powieki, aby wrócić do tych przeżytych wspólnie chwil.

Mark był zawsze wrażliwym i hojnym kochankiem, ale podczas tego weekendu... Jeszcze nigdy nie miał takich wymagań... Aż musiała żartem protestować, że przecież to nie maraton.

Normalnie to ona narzucała tempo...

- Jedno słówko, Deboro.

Speszona, jak gdyby przyłapaną na gorącym uczynku.

otworzyła oczy i, widząc przed sobą Ryana, zarumieniła się lekko. Nie słyszała, kiedy wchodził do gabinetu. Zauważywszy jego minę, poczuła ostrzegawczy skurcz żołądka. Coś albo ktoś musiał go mocno zdenerwować.

- Mamy dzisiaj po południu zebranie wspólników i chciałbym otrzymać raport przedstawiający aktualny stan rzeczy. Gdybyś mogła przygotować go najpóźniej na drugą...

Debora spojrzała na niego zdumiona, lecz Ryan unikał jej wzroku. Serce zaczęło jej bić odrobinę zbyt szybko, gdy tymczasem umysł starał się ochłonać z szoku wywołanego nutą irytacji i zniecierpliwienia, wyraźnie wskazującą na nagłą zmianę stosunku szefa do niej. Bywała już świadkiem podobnego zachowania Ryana...

- Obawiam się, że nie zdążę. Jestem umówiona z... - zaczęła.

- Nie będziesz miała czasu? - spytał, odwracając się z kamienną twarzą ku niej i przerywając jej w pół zdania. - Ale na plotkowanie o weekendzie czas znalazłaś. Zlecając ci tę sprawę, ostrzegałem, że będzie ona wymagała od ciebie studwudziestoprocentowego zaangażowania. Kiedy tu przyszłaś, jedną z cech, którą mi zaimponowałaś, było twoje poświęcenie karierze zawodowej, lecz obecnie najwidoczniej inne sprawy stały się dla ciebie ważniejsze. Nie płacimy ci za bujanie w obłokach i rozpamiętywanie namiętnych nocy!

Debora przełknęła urazę, zdając sobie sprawę z tego, że niewiele może powiedzieć na swoją obronę, mimo że w głębi duszy miałyby ochotę podyskutować z oskarżeniem o brak zaangażowania w pracę.

- Chcę mieć ten raport - powtórzył Ryan szorstkim tonem.

Szóstym zmysłem wyczuwała, że grupka kolegów skupionych wokół automatu z kawą stojącego koło drzwi jej gabinetu rozmawia o niej. Czuła, jak małżowiny jej uszu czerwienią z poczucia doznanej niesprawiedliwości. To nie fair ze stro-

ny Ryana kwestionować jej zaangażowanie. I na pewno mógł jej dać więcej czasu na przygotowanie raportu!

Na szczęście lubiła w miarę na bieżąco prowadzić swoje notatki... Z pasją włączyła komputer.

Najpóźniej na drugą, powiedział. Dobrze, więc będzie miał to sprawozdanie!

- Tak? - zdziwiła się sekretarka Ryana i spojrzała na Deborę znad okularów.

Ignorując arogancki ton starszej kobiety, Debora z uśmiechem wręczyła jej teczkę z dokumentami.

- Tu jest raport, który Ryan chciał mieć na zebranie wspólników.

Sekretarka zmarszczyła brwi.

- Zebranie wspólników? Jakie zebranie? - spytała, nie ruszając się z miejsca, aby odebrać teczkę. - Nie ma żadnego zebrania.

Debora wpatrywała się w nią osłupiała.

- Ale przecież... Ryan powiedział mi rano, że potrzebne mu sprawozdanie na dzisiejsze popołudnie.

Sekretarka przyglądała się Deborze niewzruszona.

- Nie ma żadnego zebrania - powtórzyła.

- Czy mogłabym z nim mówić? - spytała Debora, usiłując opanować ogarniającą ją furję i nie zwracać uwagi na nieuprzejme zachowanie sekretarki. Już dawno doszła do wniosku, że Ryan używa jej jako zasłony dymnej i bufora i że jej agresywny stosunek do pracowników firmy bawi go, a nawet dostarcza swoistej satysfakcji.

- Wyszedł - lakonicznie poinformowała kobieta. - I nie wróci przed wpół do piątej - dodała.

Wróciwszy do siebie, Debora położyła raport na biurku. Całe przedpołudnie pracowała bez wytchnienia. Straciła nie tylko kupę nerwów, ale i cenny czas. W jaką gierkę się ze mną bawi, zastanawiała się. Zaczęła słowo po słowie analizować

ich poranną rozmowę. Tak, jasno i wyraźnie powiedział, że chce mieć raport jeszcze dziś... tak, i całkiem wyraźnie oświadczył, że dzisiaj odbędzie się zebranie wspólników.

Sekretarka spodziewa się go dopiero później... Nie mógł przecież zwołać zebrania i nie powiadomić jej o tym.

Przygryzając dolną wargę, poprosiła o połączenie z sekretarką innego ze wspólników pod pretekstem, że nie może odczytać notatki w swojej agendzie.

- Zebranie? - zdziwiła się jej rozmówczyni. - Nie, nie sądzę. Na pewno nie dzisiaj.

Debora podziękowała i odłożyła słuchawkę.

Na powrót Ryana musiała czekać aż do szóstej. Już miała zrezygnować, kiedy zobaczyła, jak wchodzi.

Na szczęście jego sekretarka poszła do domu, więc nikt jej nie zatrzymał, kiedy wtargnęła za nim do gabinetu.

- Jeszcze tutaj...? - uśmiechnął się niby jowialnie na jej widok, lecz chytry błysk w oku świadczył, iż domyśla się wszystkiego.

- Musiałam nadrabiać czas, który zmarnowałam, przygotowując raport dla ciebie przed południem - odparła Debora gładko.

- Raport? Jaki raport? Aha... przepraszam. Zebranie odwołano. Usiłowałem cię zawiadomić przed wyjściem, ale byłaś zajęta gdzieś indziej...

Zajęta gdzieś indziej? Całe przedpołudnie nie ruszała się zza biurka, nawet nie poszła do toalety.

Podły kłamca.

Po pierwsze kłamał o tym zebraniu.

Wiedziała, że nie ma sensu oskarżać go o to i, widząc, w jaki sposób się jej przygląda, podejrzewała, iż odczuwa satysfakcję z faktu, że spłatał jej takiego figla.

- Już dobrze... Chodź, postawię ci drinka i powiesz mi, jak sprawa stoja - zaproponował i posłał jej uśmiech wyraża-

jący taką pewność, że nie odmówi, że mu wybaczy... taki bezczelny... taki triumfujący...

- Przykro mi, ale nie mogę - powiedziała.
- Narzeczony czeka z obiadem? - zakpił.
- Muszę popracować, żeby nadrobić czas, który straciłam, pisząc to sprawozdanie - wyjaśniła.

Ryan wzruszył ramionami i machnął ręką.

- Takie jest życie... - stwierdził beztrzesko. - Jeśli nie potrafisz sobie z tym poradzić... - Włożył ręce do kieszeni i odszedł niespiesznym krokiem.

Celowo mnie prowokuje, pomyślała Debora. Ale dlaczego? Bo naprawdę uważa, że się nie nadaje? Bo żałuje, że mi zlecił tę sprawę?

Zmęczona poszła korytarzem do gabinetu Marka. Rano przyjechali razem. Stary samochód zdała, nowego jeszcze nie dostarczono.

Pokój Marka był pusty. Zastanowiło ją to. Usłyszawszy szcęk otwieranych drzwi, odwróciła się, lecz zamiast Marka zobaczyła tymczasowo pracującą tu sekretarkę.

- Och! - wykrzyknęła dziewczyna, zdumiona jej widokiem.

- Właśnie szukam Marka - wyjaśniła Debora.

- Marka? - urzędniczka uniosła brwi. - Ach, wyszedł wieki temu. Powiedział, że umówił się z klientem na golfa.

- Na golfa?

Nic jej nie wspomniał, a poza tym jeszcze dziś rano powiedział, że nie mogą iść razem na lunch.

- Nie słyszałaś? - mówił z goryczą w głosie. - Nam nie wolno jeść lunchu, przynajmniej do chwili znalezienia nowego klienta, który za nas zapłaci.

- Och, Mark! - westchnęła zniecierpliwiona. - Przestań być taki dziecinny! - Skoro jest aż tak źle, zrób coś, zamiast narzekać...

- Co? - spytał rozdrażniony.

- Przenieś się do nas - odparła natychmiast.
- Dziękuję, nie skorzystam.

A teraz gra sobie w golfa i najwyraźniej zapomniał, że miał ją odwiedzić do domu.

Mogłam równie dobrze iść z Ryanem na drinka, pomyślała Debora, zamykając teczkę z dokumentami, które studiowała. Spojrzała na zegarek. Z biura przyjechała taksówką, spodziewając się, że zastanie już Marka w domu, lecz teraz dochodziła dziewiąta, a on ani się nie zjawił, ani nie zatelefonował.

Wstała. Zniecierpliwiona i poirytowana wyjrzała przez okno. Dzisiejszy incydent z Ryanem zaniepokoił ją. Koniecznie potrzebowała przedyskutować to zajście z Markiem. Dotychczas uważała, że znakomicie daje sobie radę z nowymi obowiązkami, była zadowolona z postępu prac związanych z likwidacją zakładów Kilcoyne i pewna swojej linii postępowania. Jednak ów nagły zwrot w zachowaniu Ryana sprawił, iż zaczęła się zastanawiać, czy nie była zbyt pewna swojej pozycji.

Było już po dziesiątej, kiedy zjawił się Mark.

- Dlaczego mi nie powiedziałaś, że zmieniłeś plany? - zaatakowała go, natychmiast jak tylko wszedł do pokoju.

- Próbowałem, ale telefon był zajęty.

- Mogłeś zostawić wiadomość.

- Dziwi mnie, że w ogóle zauważyłaś mój brak - odparł Mark, ruchem głowy wskazując papiery na biurku.

- Och, Mark - westchnęła Debora i przesunęła ręką po włosach. - Naprawdę ostatnią rzeczą, jakiej teraz pragnę, jest kolejna sprzeczka. - W ogólnych zarysach przedstawiła, co zaszło między nią a Ryanem i kończąc, dodała: - Zaczynam odnosić wrażenie, że Ryan żałuje, że mnie awansował, że...

- Nie dziwię mu się, skoro nie pomogło mu to pójść z tobą do łóżka - skomentował cynicznie Mark.

Debora spojrzała na niego zdumiona.

- Usiłujesz powiedzieć, że Ryan wybrał mnie tylko po to,

żeby mnie przelecieć? - Była zbyt wstrząśnięta i wściekła, aby zważać na słowa.

Mark wzruszył ramionami.

- Daj spokój... Wiesz, jakie ma metody...

Pogarda w jego głosie wzmogła tylko jej złość.

- To nie fair! - wykrzyknęła z pasją. - Zasłużyłam na awans. To nie miało nic wspólnego z...

- Z czym? Z tym, że facet ma na ciebie chrapkę? Nie udawaj naiwnej! - A widząc płonąca świętym oburzeniem twarz Debory, westchnął i dodał: - Posłuchaj... Nie twierdzę, że poszłabyś z nim do łóżka, ale kiedy zaproponował ci tę pracę, musiałś zdawać sobie sprawę z tego, o jaką stawkę chodzi...

- Zaproponował mi tę pracę, bo ceni moje kwalifikacje - upierała się Debora, wciąż z wypiekami na policzkach.

- Doprawdy? - spytał Mark ironicznym tonem.

- Jesteś niesprawiedliwy. - Zdenerwował ją. Nie mogła uwierzyć, że Mark, że właśnie on, zadał jej taki cios. - Celowo starasz się bagatelizować moje zdolności, wzbudzić wyrzuty sumienia, że pnę się do góry, kiedy ty...

- Co ja? Może jestem takim fajtłapą, że nie mogę znieść myśli, że tobie się wiedzie? Jeśli uważasz, że przesadzam, zajrzyj od czasu do czasu do działu ogólnego. W zeszłym tygodniu stawiali na Ryana, ale teraz, po tym, jak spędziłaś weekend ze mną, jego szanse chyba spadły.

- Zazdroszczą mi, ot co - oburzyła się Debora. - Typowo męski sposób lekceważenia, poniżania i dyskryminowania kobiet. Wszyscy wiedzą, że mieszkam z tobą, że Ryan obchodzi mnie tyle co zeszłoroczny śnieg.

- Wszyscy? Ryan także?

- Oczywiście? Mark, o co ci chodzi? Dlaczego jesteś taki wstrętny? I bez tego mam dość kłopotów z Kilcoyne, z Ryanem...

- Chciałaś usłyszeć moje zdanie - przypomniał jej.

- Dobra robota - pochwalił Ryan Deborę, kiedy wychodzili z urzędu skarbowego. - Dobrze sobie z nimi poradziłaś.

- Dziękuję.

Z początku była bardzo ostrożna, kiedy Ryan zaproponował, aby towarzyszyła mu przy omawianiu spraw podatkowych jednego z jego prywatnych klientów. Urząd skarbowy zakwestionował pewną sferę działalności owego klienta twierdząc, że porusza się on w szarej strefie i wykorzystuje luki prawne. Debora była przerażona, kiedy się okazało, że to ona ma udzielać inspektorowi wyjaśnień.

W ciągu ostatnich kilku tygodni zachowanie Ryana wobec niej było tak nierówne, że zupełnie nie wiedziała, co sądzić: czy daje jej okazję udowodnienia swych kompetencji zawodowych, czy rzuca ją wilkom na pożarcie. Nawet teraz, gdy z uśmiechem pełnym aprobaty powiedział jej komplementy, nie była pewna jego intencji.

Starła się nie myśleć o tamtej kłótni z Markiem i o tym, co jej wtedy powiedział. Wmawiała w siebie, że wybrała zły moment i że Mark naprawdę nie myśli tego wszystkiego, co mówił o kulisach jej awansu.

Żadne z nich nie wracało już zresztą do tematu kłótni i zdawało się, że Mark odzyskał równowagę.

Ale czy tak było naprawdę?

W drodze powrotnej Ryan wciąż analizował szczegóły rozmowy w urzędzie skarbowym i kiedy dotarli do biura, Debora była już w bardziej optymistycznym nastroju. Każdemu zdarzają się lepsze i gorsze chwile, stwierdziła w duchu, i Mark ma takie samo prawo do podłego nastroju jak wszyscy. Niemniej głęboko, głęboko w sercu, tkwiła zadra, która nie dawała jej spokoju. Mark wiedział, jak bardzo go kocha. I wiedział, jak bardzo czuła jest na punkcie merytorycznych kryteriów w karierze zawodowej. Podczas studiów wielokrotnie o tym dyskutowali.

Z bólem przyznała przed sobą, że nieśmiało zaczyna kłkować w niej podejrzenie, iż Mark zazdrości jej sukcesu.

Ostatnio zauważyła, że podczas rozmów z nim bardzo się kontroluje, pilnuje, żeby nie powiedzieć niczego, cò mogłoby mieć związek z jej rozwijającą się karierą i impasem, w jakim on się znalazł. Ile razy zahaczyła o ten temat, niemal fizycznie czuła, jak Mark odsuwa się od niej.

- Mhm... obudź się, śpiochu.

Debora z uśmiechem przesunęła końcami palców po wewnętrznej stronie uda Marka i pochyliła głowę, aby otrzeć się o jego ciepłą szyję. Jedwabistymi włosami zahaczyła o jego nocny zarost i zadrżała w przewidywaniu rozkoszy, jaką poczuje, gdy Mark zacznie wargami pieścić jej piersi, a jego szorstki podbródek przylgnie do miękkiej wrażliwej skóry... Dreszcz emocji ogarnie nie tylko jej piersi...

- Mark... - jej dłoń dotarła wyżej, palec gładził mocne, gęste owłosienie - wiem, że nie śpisz - szepnęła, lekko ścisnąc wargami płatek jego ucha.

Przysunęła się jeszcze bliżej, zaczęła pocałunkami szukać jego warg, leniwymi ruchami ocierać stwardniałe sutki o jego tors. Wiedziała, że gdyby Mark wsunął teraz rękę między jej nogi, poczułby, że jest gotowa go przyjąć. Ta myśl jeszcze bardziej ją podnieciła, sprawiła jeszcze większą przyjemność...

- Na miłość boską, nie teraz - mruknął Mark. Odepchnął ją od siebie. Usiadł i owinał się szczelnie kołdrą.

- Mark! - wykrzyknęła Debora.

- Daj mi spokój, dobrze? Nie jestem w nastroju. Rozumiesz? Co w ciebie wstąpiło? Lubię, kiedy kobieta od czasu do czasu przejmuje inicjatywę, ale ty... Nie nauczono cię, że czasami grzeczniej jest poczekać, aż cię poproszą?

Debora wpatrywała się w niego szeroko otwartymi oczami. Podniecenie i pożądanie ustąpiły gniewowi. To nie był

pierwszy raz, kiedy Mark odmawiał kochania się z nią. Ale nigdy jeszcze nie powiedział, żeby nie robiła pierwszego kroku. Wręcz przeciwnie. I nigdy nie mówił do niej w ten sposób! Czuła się jak... jak jakaś...

W milczeniu wstała, poszła do łazienki, wzięła prysznic i ubrała się.

- Przepraszam - powiedział Mark pół godziny później.
- Zdaję sobie sprawę, że odrobinę przesadziłem...

- Odrobinę? - przerwała mu ze złością.

- Wiem, wiem... Ale kiedy się rozpędzisz, nic cię już nie powstrzyma, przeszkocz do przodu niczym pociąg ekspresowy. Wiesz dobrze, jak to jest...

Debora nalała im obojgu kawy, a potem zapytała:

- O co ci chodziło, kiedy powiedziałeś, że powinnam poczekać, aż mnie poprosisz? Zawsze byliśmy zgodni co do tego, że kobiety mają prawo uzewnętrzniać swoje potrzeby seksualne.

- Tak, ale pomyśl o tym inaczej.... Ja nie... - potrząsnął głową i zmienił taktykę. - Coś się między nami stało, Deb. Nie jestem pewien, co to jest, ale nie jest już między nami tak jak dawniej. Zawsze byłeś wrażliwa... nieskrępowana... Przemyśl to sobie. Boże! Rok temu nie rozmawialibyśmy w ten sposób!

- Nie - zgodziła się Debora z goryczą w głosie. - Rok temu byłbyś szczęśliwy, budząc się w moich objęciach...

- Nie o to mi chodzi, na miłość boską. Ale to kryje się za wszystkim, co powiedziałem. Rok temu wiedziałabyś, że nie jestem w nastroju... Teraz... - wzruszył ramionami - teraz liczy się tylko to, czego ty chcesz, na co ty masz ochotę... Chcesz seksu - ja mam ci go dostarczyć, czy jestem w nastroju, czy nie... Ja to nie Ryan, nie mogę się pieprzyć na zawołanie. Posłuchaj - powiedział nagle. - Wyjedźmy stąd. Zaczniemy od nowa. Może nawet wrócimy do Londynu...

Debora odstawiła kubek.

- Chcesz, żebym zrezygnowała z posady? Teraz, kiedy...
- Widzisz? Od razu zaczynasz swoje. Twoja posada...
A ja chcę, żebyśmy wrócili do punktu wyjścia. Dla naszego...
- Chcesz, żebym zeszła o szczebel niżej dla usatysfakcjonowania twojego ego. Tak? - spytała Debora, niebezpiecznie zniżając głos. - Tobie wcale nie chodzi o seks, ani o nas, prawda? Ty nie potrafisz pogodzić się z... - Bezradnie potrząsnęła głową. - Co usiłujesz zrobić, Mark? Podporządkować mnie sobie, odmawiając współżycia, ukarać mnie, bo odnoszę sukcesy, a ty nie? Udało ci się... Cóż, zawsze mogę iść do łóżka z kim innym...

Z wyrazu twarzy Marka wyczytała, że ugodziła go w czuły punkt, lecz wcale nie odczuwała satysfakcji z tego powodu. Na zewnątrz była spokojna i opanowana, lecz w środku trawiły ją niedowierzanie i rozpacz. Jej serce rozdzierał niewysłowiony ból.

Dotąd myślała zawsze, że Mark ją kocha, naprawdę kocha, lecz okazało się, że w rzeczywistości bardziej kochał siebie, że jego ego było ważniejsze od niej.

Mark przyglądał się Deborze ze złością. Wpierw sprawiła, że poczuł się jak kompletny bankrut życiowy, nie tylko jako mężczyzna, lecz jako fachowiec, a teraz usiłuje obudzić w nim wyrzuty sumienia.

- Nie możemy tego tak ciągnąć - usłyszał jej głos.

- Nie - zgodził się, nagle dostrzegając jedyne wyjście otwierające się przed nim, rozwiązanie, które tygodniami odsuwał od siebie, lecz które było, wiedział to teraz, nieuniknione. - Już mnie nie potrzebujesz, Deb. A ja nie chcę ciebie. Najwyższy czas, abyśmy to zaakceptowali i poszli własnymi drogami.

Bolesna spuścizna

17

- Czysto... dynamicznie... każdy ruch się liczy! - idąc wzdłuż basenu, Joel krzyczał do chłopaka w wodzie.

- Robią postępy - pochwalił go kierownik ośrodka rekreacyjnego, który zatrzymał się i przyglądał trzem chłopcom wychodzącym z wody. - Dobry z siebie trener.

- Dziękuję - Joel odwrócił wzrok i spojrzał na swoich podopiecznych, łan, najmłodszy z całej trójki, był zdecydowanie najszybszy, jednak jeszcze nie złapał właściwego rytmu oddechu i Joel chciał z nim o tym porozmawiać.

- Nie myślałeś, żeby zająć się tym zawodowo? - spytał kierownik.

Joel skrzywił się.

- Jestem majstrem, Neil. A przynajmniej byłem... Zwykłym robotnikiem. - Mówiąc te słowa, pomyślał o siostrze Sally. Przez te wszystkie lata zawsze bardzo wyraźnie podkreślała różnicę pomiędzy karierą nauczycielską jej męża a jego „robotą”. - Nie mam wykształcenia ani potrzebnych kwalifikacji - dodał.

- To prawda, ale nic nie stoi na przeszkodzie, żeby je zdobyć - odparł Neil Saunders. - Masz prawdziwy dar, umiesz pracować z dziećmi, Joel, umiesz je uczyć...

Konikiem Neila Saundersa był specjalny program pomocy społecznej polegający na angażowaniu w ośrodku sportowym bezrobotnych jako bezpłatnych instruktorów, wykorzystywaniu posiadanych przez nich umiejętności i tym samym zapobieganiu ich demoralizacji.

Zacięcie bronił tego pomysłu przed zarządem, rozwiewał wątpliwości dotyczące ubezpieczenia i ryzyka wypadku i w końcu dopiął swego.

Żona żartowała sobie z niego, przezywając go błędnym rycerzem, lecz kiedy widział rezultaty - odradzając się wiarę w siebie owych dorosłych i entuzjazm dzieciaków oddanych ich pieczy, serce mu rośło.

Joel był wyjątkowym nabytkiem. Posiadał rzadki dar - cierpliwość i silną rękę - dzięki czemu potrafił wydobyć ze swoich podopiecznych wszystko to co najlepsze.

- Przemyśl to sobie - rzucił za Joelem, który zrobił już krok w stronę chłopców. - Aha, i jeszcze jedno... - dodał, chwytając go za ramię - potrzebujemy kogoś do prowadzenia zajęć z dorosłymi. Jesteś zainteresowany?

- Taak... Masz jakieś dalsze zakusy na mój wolny czas? - zażartował, lecz w głębi ducha było mu przyjemnie, że go chcą, że może mieć swój wkład w coś wartościowego. To wspaniałe uczucie mieć znowu cel w życiu, przyznawał przed sobą; mieć po co wstawać rano z łóżka. Teraz nawet w domu opracowywał dodatkowe ćwiczenia dla chłopaków, chodził do biblioteki, wypożyczał fachowe książki, szukał wskazówek, jak zdominować ich do maksymalnej pracy.

Z początku obawiał się, że Tim Feathers, zawodowy trener zatrudniony na stałe w klubie, będzie na niego patrzył niechętnym okiem albo uważał, że jego wysiłki to strata czasu. A jednak, ku jego zaskoczeniu i wielkiej uldze, Tim z otwartymi ramionami przyjął jego pomoc.

- Jeśli zajmiesz się młodzikami, ja będę miał więcej czasu na trenowanie seniorów. Chcielibyśmy w tym roku wysłać drużynę na kilka zawodów międzynarodowych. Oczywiście zabraliśmy się do tego zbyt późno. Prawdziwy trening zaczyna się tak naprawdę już na pierwszej lekcji.

To właśnie Tim podpowiedział mu, żeby poczytał coś sobie na temat nowoczesnych metod treningu. Joel w mig się

zorientował, że metoda, jaką Tim posłużył się wobec niego, polegała nie na krytyce, lecz na pochwałach i zachętach, i natychmiast zastosował ją wobec swoich uczniów.

Początek ferii wielkanocnych oznaczał wzmożony ruch w ośrodku rekreacyjnym i Joel ze zdziwieniem stwierdził, że minęły dopiero zaledwie dwa tygodnie od przypadkowego spotkania z Duncanem, dzięki któremu trafił tutaj.

- Za pół godzinki lunch. Pójdiesz ze mną? - spytał Neil.
Joel potrząsnął głową.

- Chciałbym, ale nie mogę. Obiecałem Paulowi, że jak skończę, zagramy partyjkę snookera.

Kiedy Joel go tu pierwszy raz przyprowadził, jego syn był najeżony i odpowiadał monosylabami.

- Dlaczego nie możesz zostać z nim w domu? - wtrąciła się poirytowana Sally, kiedy Paul marudził, że wolałby posiedzieć w fotelu i oglądać wideo.

- Bo po pierwsze już obiecałem pomagać w klubie, a po drugie chłopakowi dobrze zrobi, jak się trochę porusza.

Twarz Sally stężała.

- Daj spokój, Joel. Ciagniesz go, bo tak ci wygodniej.

Chociaż o tym nigdy nie rozmawiali, w powietrzu wisiało żądanie, że skoro ona zarabia na życie, na niego spada teraz obowiązek zajęcia się dziećmi podczas ferii. Cathy była już w tym wieku, że wolała spędzać czas raczej z koleżankami niż z rodziną. Teraz Joel przypomniał sobie, jak Sally na niego naskoczyła, kiedy powiedział, że jego zdaniem pozwalają dziewczynce zbyt szybko wydorosnąć. Doznał szoku, gdy przypadkiem natknął się na całe to towarzystwo w mieście - gromadę przebranych za dorosłe kobiety nastolatek w mini potrząsających grzywami długich włosów i udających brak zainteresowania uwagami obserwujących je chłopaków.

- Ona ma dopiero piętnaście lat - tłumaczył Sally. Obraz córki z rozpuszczonymi włosami i ostrym wyzywającym makijażem nie dawał mu spokoju.

- Otóż to - odparła Sally. - W tym wieku dziewczęta uważają się już za dorosłe. Może gdybyś poświęcił więcej uwagi jej zamiast sobie, zauważyłbyś to wcześniej. Ona nie jest głupia, Joel.

- Nie jest, ale nie chcę... - potrząsnął głową. Nie umiał powiedzieć Sally, co poczuł na widok tych dziewczyn.

W pierwszej chwili nie rozpoznał własnej córki i zrobił to, co zrobiłby każdy mężczyzna na jego miejscu - obejrzał się za ładnymi długowłosymi i długonogimi nastolatkami, odrobinę ubawiony ich udawaną obojętnością na spojrzenia chłopaków. Nagle serce podeszło mu do gardła, gdy jeden z nich zbliżył się do Cathy. Z trudem opanował ojcowski instynkt ruszenia z odsieczą. Siłą woli zdusił w sobie chęć wszczęcia natychmiastowego śledztwa: kto, jak się nazywa, gdzie mieszka...?

Chciał zwierzyć się Sally ze swojego lęku, lecz ona zamiast słuchać go, rozgniewała się. Zła była również z powodu porządków, jakie zrobił w kuchennych szafkach - twierdziła, że teraz niczego już nie może znaleźć.

- Zamiast sprzątać nasz dom, mógłbyś zajrzeć do Daphne i zabrać się do tapetowania - powiedziała.

Idąc na spotkanie Paula, Joel z ulgą stwierdził, że przynajmniej wizyty w domu Daphne już mu nie grożą.

Kiedy wszedł do klubowej kawiarni, Paul rozmawiał właśnie z kilkoma innymi chłopcami. Joel zauważył wśród nich jednego ze swoich uczniów.

- Zagramy? - zaproponował.

- Możemy - rzucił Paul, lecz Joel zauważył u niego lekką, choć dobrze skrywaną, niechęć. - Idziesz dziś do cioci? - spytał Paul później.

- Nie. Wczoraj skończyłem - powiedział i zaciął zęby na wspomnienie rozmowy z Daphne. Kiedy jej zakomunikował, że pokój gotowy, przyszła łaskawie, żeby go obejrzyć.

- Mhm... całkiem nieźle - mruknęła, patrząc dokoła kry-

tycznym okiem. - Żałuję oczywiście, że nie miałam czasu wezwać prawdziwego fachowca, szczególnie, że tapeta była taka kosztowna. Musieliśmy sprowadzać ją na specjalne zamówienie, a mnie bardzo zależało, żeby jadalnia była skończona jeszcze w tym tygodniu. Wyprawiamy kolację... cóż, teraz nasza kolej, by przyjąć dyrektora szkoły wraz z żoną... Nie chciałabym cię krępować proponowaniem zapłaty... Wiem, jaki jesteś wrażliwy na tym punkcie. Zamiast tego zabiorę gdzieś Sally na lunch. Zasługuje biedaczka na trochę przyjemności. - Przerwała i obrzuciła Joela spojrzeniem pełnym dezaprobaty. - O wiele za dużo pracuje - ciągnęła. - Kiedy ją któregoś dnia zobaczyłam, była tak wykończona, że pomyślałam, że wygląda na starszą ode mnie. Cóż, nie ma innego wyjścia, musi utrzymywać i dzieci, i teraz ciebie...

Joelowi udało się zapanować nad nerwami. Ulżył sobie dopiero w domu.

- Co ona do diabła sugeruje... że ja lubię być bezrobotnym? Uzależnionym od ciebie?

- Joel, błagam, to moja siostra... Martwi się, naturalnie...

- Co naturalnie? Naturalnie ma mnie za trutnia, który żyje z tego, co zarobi żona. A może i ty tak uważasz, Sal?

- Och, Joel, błagam, nie kłóćmy się znowu - prosiła Sally zmęczonym głosem.

Jak miał jej wytłumaczyć, sprawić, żeby zrozumiała, że wcale nie chce się kłócić? Chciał jedynie, żeby wzięła jego stronę, usłyszeć od niej, że rozumie, że wie, jak mu jest z tym wszystkim źle, że go nie wini za to, co się stało.

Wracając z Paulem do domu, przypomniał sobie rozmowę z Neilem. Może on ma rację? Może warto zapisać się na jakiś kurs, przekwalifikować się?

Lubił chodzić do ośrodka, lubił zajęcia z młodzieżą, cieszył się widząc, jak robią postępy. Odczuwał przyjemność, satysfakcję... miał poczucie celu.

Wyciągał nogi. Nagle chciał szybciej dotrzeć do domu. Na

wypadek gdyby się zdecydował, Neil dał mu numer telefonu do organizacji trenerów, gdzie poinformują go o dostępnych dla niego możliwościach kształcenia.

- Brr... Ciemny chleb - wykrzywił się Paul, kiedy Joel zawołał dzieci na dół na podwieczorek. - Nie lubię ciemnego pieczywa. Wolę bułki.

- A to co jest? - dopytywała się Cathy, ostrożnie trącając widelcem *lasagne*. - Bez mięsa, tak?

Cathy lubiła mówić o tym, że zostanie wegetarianką, ale tylko wtedy, kiedy jej to pasowało.

- Bez - zapewnił ją Joel.

W podręcznikach, które wypożyczył z biblioteki, były całe rozdziały poświęcone zdrowej diecie i kiedy przeczytał wypisane na opakowaniach składniki dań gotowych, które dotychczas kupował, włosy stanęły mu dęba na głowie. Niektóre z tych potraw nie miały prawie żadnej wartości odżywczej!

Ignorując nerwowe protesty Sally, postanowił, że o wiele lepiej sam poradzi sobie z gotowaniem... o wiele lepiej...

- Ciemne pieczywo jest zdrowsze - tłumaczył Paulowi - i zawiera...

Paul skrzywił się, ale zjadł wszystko. To samo Cathy, mimo że z początku patrzyła na talerz podejrzliwie.

- Co na deser? - spytał Paul.

- Sałatka owocowa z jogurtem.

Udało mu się kupić tańsze owoce na targu, kiedy sprzedawcy zwijali już kramy. Joel był bardzo dumny z przygotowanego przez siebie posiłku. Nie zdawał sobie dotąd sprawy z tego, że właściwe odżywianie może być aż tak bardzo skomplikowane. Jedzenie jest źródłem energii i, tak jak każdy silnik, mięśnie działają sprawniej, jeśli dostarczy się im odpowiedniego paliwa.

- Ugh... za mało słodkie - wykrzywiła się Cathy, wkładając do ust łyżkę sałatki.

- Przeciwnie. W sam raz, nadmiar cukru szkodzi...
- Boże... jesteś gorszy od mamy - rzędziła dziewczynka, niemniej spałaszowała swoją porcję.

Słyszając, że Sally otwiera drzwi, Joel podniósł głowę.

- Masz szczęście, mamó - zażartowała Cathy. - Przyszłaś na czas, żeby spróbować pysznej, pożywnej sałatki tatusia...
- Racja. Zaleta tej sałatki polega na tym, że nie ma się ochoty na dokładkę - wtrącił Paul, lecz bez złośliwości w głosie.

Oboje pozmywali po sobie.

- Siadaj, Sal - zapraszał Joel. - Włączę czajnik. Nie zgadniesz, co Neil mi dzisiaj zaproponował. Jemu się wydaje...

- Jak mogłeś! - przerwała mu Sally, w ogóle nie słuchając, co do niej mówi. - Kiedy Daphne zadzwoniła do szpitala, żeby opowiedzieć mi o tym, co narobiłeś, własnym uszom nie wierzyłam. Zdajesz sobie sprawę z tego, ile kosztowała ta tapeta? - wymyślała mu podniesionym głosem. - Daphne niemal od zmysłów odchodzi. Jeśli nie wiedziałeś, jak ułożyć wzór, trzeba było ją zapytać... - urwała, a potem, zwiężając oczy w szparki, rzuciła oskarżenie: - Doskonale wiedziałeś... Zrobiłeś to specjalnie. Specjalnie przykleiłeś tapetę do góry nogami! - dokończyła z histerycznym piskiem. Cała aż się trzęsła z wściekłości. Słyszając, że Paul zachichotał, odwróciła się z furią w jego stronę. - Tu się nie ma z czego śmiać! Co w ciebie wstąpiło, Joel! - wymyślała dalej. - Daphne jest wściekła i nie dziwię się jej. Całą tapetę trzeba zrywać i położyć nową. Musiałam oczywiście zaproponować, że pokryje koszty... Wiesz ile? - jej głos znowu przeszedł w pisk.

- Powiedz jej, żeby to potrąciła z sumy, której mi nie zapłaciła - zaproponował Joel z ironią.

Sally krew uderzyła do głowy.

- To dlatego tak postąpiłeś? - żądała wyjaśnień. - Dlatego że...

- Dlatego że wykorzyststała mnie po to, żeby mieć robotę

za darmo - dokończył za nią Joel. - Nie... Żartuję oczywiście...

- To dlaczego? - Sally nie ustępowała. - Musiałeś zdawać sobie sprawę z tego, jak ciężko to przeżyje. Specjalnie zamawiała tę tapetę. Zobaczyła ją w jakimś piśmie. Wyobraź sobie, jak się czuła, kiedy sąsiadka zauważyła, że jest przyklejona do góry nogami... jaka znieważona, upokorzona...

Tak samo jak ja, kiedy mi kazałaś odnowić jej jadalnię, pomyślał Joel.

- Twoja siostra to snobka - oświadczył. - Jej zależy jedynie na zrobieniu wrażenia na innych, popisaniu się. Widziała, co robię... - Widziała? Praktycznie stała nad nim niczym dozorca więzienny. Na lunch dała mu kubek herbaty i kilka stęchłych herbatników. - Mogła powiedzieć, że źle kładę...

Twarz Sally płonęła, oczy ciskały pioruny.

- Wiem, że nigdy jej nie lubiłeś, ale nigdy nie podejrzewałam, że zdolny jesteś do czegoś tak niskiego. Przecież wiedziałeś, że to odkryje...

Joel wzruszył ramionami. Istotnie, z początku sam się zastanawiał, w którą stronę układać wzór, i gdyby Daphne zadała sobie trochę trudu, żeby potraktować go przyzwoicie, powiedziałyby jej o tym. Ale jej stosunek do niego tak go zirytował, że kiedy zaczęła narzekać, że przykleił dopiero jeden pasek, zamiast wytłumaczyć jej, że nie leniuchował, o co miała pretensję, ale studiował wzór, zmilczał.

Sama Daphne tonem osoby wszystkowiedzącej poinstruowała go, jak robota ma być wykonana. On jedynie zastosował się do poleceń.

- Zrobiłem, co mi kazała - oświadczył spokojnie.

- Ale wiedziałeś, że kładziesz źle - wmawiała mu z uporem Sally. - Nie próbuj zaprzeczać. Poznaję po twoich oczach. Powinieneś był powiedzieć Daphne...

- A odkąd to twoja siostra słucha, co ja mówię? Dla niej

jestem nikiem... pyłem... powietrzem. Nie mam prawa do własnego zdania. Jestem zbyt tępy.

- To nieprawda - zaprzeczyła Sally, lecz bez przekonania.

- Będziemy musieli to poprawić - dodała.

- Ja nie mogę - oświadczył Joel. - Jestem zajęty...

Sally obrzuciła go wściekłym spojrzeniem.

Daphne zadzwoniła do niej akurat podczas obchodu. Usiłowała wytłumaczyć siostrze, że to nie jest właściwy moment na prywatne rozmowy, lecz Daphne była głucha na wszelkie aluzje i wrzeszczała tak głośno w telefon, że co najmniej połowa oddziału słyszała, co mówi. W końcu udało się Sally wpaść jej w słowa i zapewnić ją, że Joel przyjdzie i wszystko poprawi.

Na szczęście Daphne nawet nie przypuszczała, że szwagier mógłby świadomie sobie z niej zadzwic.

Łzy ścisnęły Sally za gardło. Jak on mógł zachować się tak głupio? Musiał przecież zdawać sobie sprawę z tego, że cała sprawa się wyda. Wszystkie pieniądze z dodatkowych dyżurów i wszystkie oszczędności pójdą na odkupienie tapety.

- Zajęty? Czym? - napadła na niego. - Traceniem czasu z kumplami? Wiesz, Joel...

- Mamo, przecież tata trenuje...

- Nie wtrącaj się, Paul - uciszyła go Sally ze złością.

- Idźcie do siebie, oboje - rozkazała.

Kątem oka zauważyła, że Cathy i Paul wymienili porozumiewawcze spojrzenia, potem Paul wzruszył ramionami i skierował się w stronę schodów. Nie była przyzwyczajona słyszeć z ich ust, a szczególnie z ust Paula, jakiegokolwiek obrony ojca i z jakiegoś powodu fakt, że syn stanął po jego stronie, wzmógł jej wściekłość.

- Jak mogłeś postąpić tak nieodpowiedzialnie? - zaczęła od nowa, kiedy dzieci wyszły. - Wiedziałeś, co z tego wyniknie. Masz pojęcie, ile nadgodzin muszę przepracować, żeby zapłacić za tę tapetę?

- Nie będziemy płacić za żadną tapetę - oświadczył Joel z mocą.

- My nie, ale ja... Ja będę.

Coś w spojrzeniu Joela poruszyło jakąś czułą nutę w jej sercu, lecz nie powstrzymało jej od wypowiedzenia tych słów. Kiedy Daphne powiadomiła ją, co Joeł zrobił, poczuła się wewnętrznie rozdarta. Walczyła ze sobą - chciała i ułagodzić jakoś siostrę, i cisnąć słuchawkę na widełki.

Czy Joel nie widzi, że ten niski i małostkowy odwet za rzekomy snobizm Daphne ugodził boleśniej w nią niż w jej siostrę?

W istocie Joela już zaczynało gryźć sumienie, nie ze względu na Daphne - nic nie zdołałoby zmienić jego opinii o szwagierce - lecz ze względu na Sally.

Z drugiej strony jednak miał jej za złe, że automatycznie wzięła stronę siostry, że nie chciała spojrzeć na wszystko jego oczami, że lekceważyła jego pracę w ośrodku, że przez to czuł się niepotrzebny, nic nie wart...

- Teraz będziemy musieli zapłacić. Przyrzekłam już Daphne. A ty będziesz musiał iść do niej i ją przeprosić.

- Ja miałbym ją przeproszać? Za co? - zachnął się. I z zaciętą miną dodał: - Wykluczone.

- Możesz to zrobić, kiedy pójdziesz kłaść nową tapetę - ciągnęła Sally nie zrażona. Ze strachu czuła skurcz w żołądku. Żeby odczepić się od Daphne, zgodziła się, że Joel musi ją przeprosić. Co będzie, jeśli on się uprze?

- Nigdzie nie pójde - oświadczył Joel. - Nie przeproszę, nie tknę tej cholernej tapety. Już powiedziałem, mam coś lepszego do roboty.

Pięć minut później obserwował ją w zamyśleniu, jak zrezygnowana szła na górę. Naprawdę wyglądała na zmęczoną i przybitą. Jakaś cząstka jego wrywała się, żeby podbiec, wziąć ją w ramiona, przytulić... tak jak dawniej... tak jak lubiła i pragnęła w początkach ich małżeństwa.

Przypomniał sobie, jak kiedy była w ciąży z Cathy, lubiła przytulić się do niego, a on łagodnie masował jej bolące plecy. Czuł się wówczas tak winny jej dolegliwości, a ona śmiała się z niego i mówiła, że bolący krzyż to mała cena za upragnione przez nich oboje dziecko.

Teraz czuł się równie winny, ale z innych powodów. Jak jednak ma iść do niej i objąć ją, utulić, pocieszyć, skoro oboje wiedzą, że nie potrafił dotrzymać składanych kiedyś przyrzeczeń?

- Jestem w ciąży - powiedziała wtedy, piętnaście lat temu, z lękiem i zdziwieniem, a potem zaniepokojona spytała: - Jak sobie damy radę bez mojej pensji?

- Jakoś to będzie - zapewnił ją. - Odłożyłem trochę, nie długo obiecują podwyżkę...

Spojrzała na niego z podziwem i uwielbieniem, a jego rozsadała duma i pewność siebie. Potem wtuliła się w jego ramiona, szukając w nich schronienia i wsparcia.

Dzisiaj na podobne słowa machnęłaby ręką i parsknęłaby śmiechem... I miałyby rację, przyznał ponuro.

Mniej więcej w tydzień później dzwonek telefonu wyrwał Sally z głębokiego snu. Joel z pewnością wyszedł już do ośrodka, ferie się skończyły i dzieci były znowu w szkole.

Słaniając się na nogach, wstała i zeszła na dół, by odebrać telefon.

- Sally? Tu Kenneth.

Serce zatrzepotało jej w piersi, a potem zaczęło walić jak oszałałe.

- Kenneth...?

Oparła się o ścianę. Krew napłynęła jej do twarzy, policzki paliły.

- Kiedy mógłbym się z tobą zobaczyć? - usłyszała pytanie.

Nie zobaczy go więcej, już postanowiła. Tak było bezpieczniejsze... mądrzej.

- W poniedziałek mam się zgłosić na wizytę kontrolną w szpitalu - ciągnął Kenneth, nie czekając na odpowiedź. - O której kończysz dyżur?

- O drugiej - powiedziała automatycznie, dodając szybko: - Ale Kenneth, ja nie...

- Będę na ciebie czekał - powiedział miękko, przerywając jej rozterki i nie dając jej szansy na zdecydowaną odmowę, odłożył słuchawkę.

Drżąc Sally opierała się o ścianę, tuliła słuchawkę do piersi. Nie powinna... jest mężatką. Bez względu na to, jak platoniczne stosunki będą ją łączyć z Kennethem, wiedziała, że jej uczucie do niego, szczęście, jakiego doznaje, przebywając z nim, zagraża jej małżeństwu. Z poczuciem winy przymknęła powieki.

Wreszcie położyła słuchawkę na widełki. Z trudem przełknęła ślinę. Jak często ostatnio porównywała Kennetha z Joelem, ile razy przyłapywała się na tym, że patrząc na Joela, obserwując go, słuchając, pragnie, żeby...?

Żeby co?

To wszystko wina Joela, powiedziała do siebie z mocą. Gdyby nie był tak zaabsorbowany swoim życiem, gdyby choć raz spytał, czego ona pragnie, jak się czuje, gdyby choć raz poświęcił jej tyle uwagi i wsparcia, ile oczekuje od niej, ich wzajemne stosunki wyglądałyby inaczej.

Daphne i Kenneth mają rację. Joel uważa, że jej miłość mu się należy. Jest nieczułym egoistą.

Ale jednak jest jej mężem.

Telefon zadzwonił ponownie, przerywając Sally ten wewnętrzny dialog z samą sobą. Zamarła, trzęsąc się ręką sięgnęła po słuchawkę. Jeśli to znowu Kenneth, powie mu, że zmieniła zdanie i nie spotka się z nim. Już nigdy więcej go nie zobaczy...

Strasliwe poczucie utraty czegoś ścisnęło ją za gardło.

Lecz to nie był Kenneth, a Daphne.

- Joel się jeszcze nie zjawił - zakomunikowała.

- Porozmawiam z nim - obiecała Sally, uprzedzając tyradę siostry, która jednak i tak zdołała powiedzieć swoje.

Kiedy w pół godziny później wrócił Joel, Sally nie otrząsnęła się jeszcze po tej nieprzyjemnej, pełnej krytyki i narzekania rozmowie. Zobaczyła, jak się zachmurzył na widok jej miny, a potem położył stertę książek na stole. Na stole, który dopiero co uprzątnęła z nagromadzonych rupieci!

Nie panując nad nerwami, co jej się coraz częściej zdarzało, wybuchnęła:

- Nie próbuj nawet ich tutaj zostawiać! Nie widzisz, że właśnie sprzątnęłam?

Była rozstrzęsiona. Ten nagły, nieuzasadniony wybuch przeraził ją, lecz jednocześnie przyniósł ulgę, rozładował wzrastające napięcie.

Joel się nie odezwał, nie zareagował na atak, po prostu stał i przyglądał się jej.

Czy on nie widzi, że to jego wina, że nie panuje nad sobą? Sally czuła wzbierającą w niej nową falę gniewu wywołaną jego chłodną obojętnością.

- Wzięłam dodatkowy dyżur w poniedziałek - poinformowała, odwracając się plecami.

Natychmiast jak tylko przebrzmiały te słowa, chciała je cofnąć. Przecież wcale nie to pragnęła powiedzieć. Twarz ją paliła rumieńcem, czuła lekki zawrót głowy, jak ktoś, kto doznał gwałtownego wstrząsu. Czekwała, żeby Joel coś powiedział, zaprotestował. Miała nadzieję, że się nareszcie odezwie.

Nigdy przedtem mu nie skłamała, nigdy z premedytacją nie oszukała, w żadnej sprawie... nigdy nie czuła takiej potrzeby... A oto jednak kłamie, żeby móc się spotkać z innym mężczyzną...

Z mężczyzną, który traktuje mnie lepiej niż Joel, dodała

w myśli. Który mnie ceni, który stawia mnie na pierwszym miejscu. Z mężczyzną, który dostrzega to, czego mój mąż nie dostrzega, który widzi, jak bardzo potrzebuję czyjegoś wsparcia, tliwości, opieki.

A mimo to była przerażona wagą czynu, jakiego się dopuszczała.

Czekała, aby Joel przerwał milczenie, zaczął ją oskarżać, przeczuwać zdradę, lecz on już się odwrócił, jak gdyby nie interesował się tym, co powiedziała, jak gdyby nie zdawał sobie sprawy z tego, co czuła.

Ośrodek stał się dla niego ważniejszy ode mnie, pomyślała rozgoryczona. Spędza tam więcej czasu niż w domu. On i Paul...

Słuchając ich rozmów o wydarzeniach i ludziach, którzy jej byli całkowicie obojętni, Sally miała coraz większe poczucie wyobcowania, zepchnięcia na margines.

Stałam się dla Joela maszynką do płacenia rachunków, myślała. Nawet by go to nie obeszło, gdybym mu powiedziała o Kennecie. Nie słucha, kiedy usiłuję z nim porozmawiać.

Pałace łzy złości zbierały się jej pod powiekami, lecz siłą woli powstrzymała je.

- Hej!

Fiona napięła mięśnie, rozpoznając głos Joela. Odłożyła książkę na półkę. Joel zerknął na tytuł i uniósł brwi.

- *Naprawy domowe - ależ to bardzo proste!* Nowe kłopoty? - spytał.

- Pralka - przyznała się Fiona. - Nie chce wirować, a mechanik zażąda pewnie ze dwadzieścia pięć funtów za samo przyście.

- Może ja mógłbym rzucić okiem? - zaproponował Joel. Fiona zarumieniła się lekko zażenowana.

- Nie, dziękuję. Dam sobie radę, to nic wielkiego - odpar-

ła, nie chcąc, aby pomyślał, że chce wymusić na nim darmową usługę.

Albo że używa zepsutej pralki jako pretekstu, żeby się znowu z nim spotkać.

Jej skrępowanie rosło. Joel był bardzo atrakcyjnym mężczyzną i przyłapała się na tym, że myśli o nim o wiele częściej, niżby chciała. Tłumaczyła sobie, oczywiście, że to dlatego, że był jednym z robotników pracujących w fabryce Andrew, i że oboje są, jeśli można się tak wyrazić, współofiarami jego egotyzmu, lecz te argumenty nie w pełni ją przekonywały.

- Nie ma pani zaufania do moich umiejętności, tak? - zażartował Joel.

- Nie, nie... Nie w tym rzecz - Fiona zaczęła go pospiesznie zapewniać, po czym, widząc rozbawienie w jego oczach, roześmiała się. - Uczy się pan pływać? - spytała, ruchem głowy wskazując trzymane przez niego podręczniki.

- Niezupełnie - odparł Joel i krótko wyjaśnił, po co potrzebne mu są te książki.

- Trener... no tak... Powinna była się domyślić! - wykrzyknęła Fiona. - Wydawało mi się trochę dziwne, że pan sam uczy się pływać...

- Czyżbym był za stary? - droczył się z nią.

Fiona roześmiała się i zaprzeczyła.

- Skądże, oczywiście, że nie... tylko... nie ma pan... - jąkała się, szukając właściwych słów - Po prostu wygląda pan na sportowca. - Uważała, że ma sylwetkę, ciało kogoś bardzo sprawnego fizycznie, lecz bała się, że taka uwaga może zostać zrozumiana jako aluzja czy wręcz zaczepka o charakterze erotycznym, a wywołanie wrażenia, że ma ochotę na flirt, było ostatnią rzeczą, jakiej by pragnęła. - A więc trenuje pan innych - ciągnęła. - Kto pana zachęcił?

Joel opowiedział jej w skrócie, jak do tego doszło.

- Oczywiście nic za to nie dostaję - dodał skromnie -

i chociaż Neil sądzi, że powinienem spróbować skończyć kurs, nie mam żadnej gwarancji, że...

- Ależ to cudownie! - wykrzyknęła Fiona. - Pańska żona na pewno się cieszy!

- Sally? Nie. Ona uważa, że tracę tylko czas, że powinienem szukać poważnej pracy - odparł Joel ponuro.

Fiona przyjrzała mu się. Czyli nadal nie układa się między nimi najlepiej. Żal jej było obojga. Kiedy między małżonkami zaczyna się coś psuć, wszyscy dookoła cierpią.

- To dla mnie naprawdę żaden problem zajrzeć do pani pralki - Joel nawiązał do początku rozmowy. - Mógłbym nawet pójść z panią już teraz, jeśli to pani odpowiada - zaproponował. Sally wspomniała coś o dodatkowym dyżurze, a on nie miał żadnych popołudniowych zajęć w ośrodku.

- Jeśli to naprawdę nie sprawi panu kłopotu...

- Żadnego. I chemie udzieliłbym pani jeszcze kilku lekcji pływania - roześmiał się Joel.

Fiona mu zawtórowała.

Kiedy ostatni raz słyszałem śmiech Sally, zastanowił się Joel.

- No, chyba już powinno być dobrze - mruknął Joel, ostatni raz obracając bęben. - Nakrętka się obluźowała, to wszystko - dodał, wysuwając się zza pralki. - Teraz nie powinna pani już mieć żadnych kłopotów.

- Bardzo jestem panu wdzięczna - dziękowała Fiona dziesięć minut później, nalewając mu w kuchni kubek herbaty. - Wątpię, czy nawet przy pomocy książki udałoby mi się zlokalizować usterkę, nie mówiąc już o naprawieniu jej...

- Tu nie potrzebna żadna filozofia - skrzywił się Joel - tylko odrobina zwykłej siły...

- Niech pan nie pomniejsza swoich zasług - powiedziała Fiona. - Wie pan, ile bym musiała zapłacić mechanikowi?

- Może Daphne ma rację? - odezwał się Joel. - Wciąż

powtarza Sally, że powinienem spróbować zarabiać jako złota rączka, zamiast marnować czas w ośrodku.

- Wcale nie marnuje pan czasu - oburzyła się Fiona. - Z tego, co mi pan opowiedział, wynika coś wręcz przeciwnego. Pomaganie ludziom... uczenie ich... musi dawać olbrzymią satysfakcję - dokończyła z nutą zazdrości w głosie.

- I daję - zgodził się Joel. - Kiedyś, zanim na serio zaangażowałem się w tę robotę, wyśmiałybym pewnie każdego, kto by mi usiłował wmówić, jak to świetnie poprawia samopoczucie. Ale teraz, kiedy obserwuję te dzieciaki... Wie pani, one naprawdę dają z siebie wszystko. Neil ma nadzieję, że w przyszłym roku uda się nam wystawić drużynę juniorów, nie tylko seniorów. Uważa, że jeśli wyselekcjonuje się ich odpowiednio wcześniej... - urwał i potrząsnął głową. - Przepraszam, nudzę panią...

- Przeciwnie - zaprotestowała Fiona. - To bardzo ciekawe.

Joel spojrzął na nią i ciągnął:

- Neil chce, żebym mu pomagał z grupą dorosłych, ale nie wiem, czy się nadaję. Co innego uczyć dzieciaki...

- Ale co szkodzi spróbować?

Joel podniósł do ust kawałek ciasta, które Fiona ukroiła dla niego. Skosztował i uniósł brwi.

Podczas weekendu Fiona odwiedziła chłopców w internacie i dzięki wspiałości Susie mogła zawieźć im trochę ich ulubionego ciasta z marchewki i rodzynek. Właśnie tym ciastem poczęstowała teraz Joela.

- Nie smakuje panu? - spytała. - Proszę nie jeść, jeśli...

- Nie, nie... bardzo smaczne. Zastanawiałem się tylko, z czego to jest.

- Może jest pan uczulony na...

- Nie. Chodzi o to, że odkąd zacząłem zagłębiać się w te podręczniki, eksperymentuję trochę w kuchni. Sally pracuje, więc scedowała na mnie przygotowywanie obiadu dla dzie-

ciaków. Narzekają, że ciągle dają im na deser sałatkę owocową, więc ciekaw jestem...

- Och, na pewno da sobie pan radę - zapewniła go Fiona, odgadując jego pytanie. - To proste i pożywne... Moi chłopcy przepadają za tym ciastem. Napiszę panu, jak to się robi.

Jak ona różni się od Sally, pomyślał Joel. Od Sally, która narzeka, że poprzestawiałem wszystko w szafkach w kuchni, że kiedy gotuję, robię tyle bałaganu...

- A na dodatek to ciasto jest tanie - dodała Fiona.

- Jak moja sałatka.

- Jak sobie pani daje radę? - spytał, kiedy wstała po papier i coś do pisania.

- Całkiem niezłe - skłamała Fiona gładko.

Wciąż nie otrzymała odpowiedzi z banku i jej optymizm był na granicy wyczerpania. Niewielka zapomoga, którą dostała z opieki społecznej, nie starczyła na długo i gdyby nie Susie, która niezmiernie zapraszała ją na obiady albo kolacje i obdarowywała resztkami, Fiona podejrzewała, że musiałyby przejść na bardzo elementarną dietę.

- Chciałabym też skończyć jakiś kurs - zwierzyła się Joelowi - chociaż jeszcze nie wiem, co wybiorę. Z początku chciałam iść na uniwersytet, ale widząc tylu absolwentów bez pracy, zaczęłam się zastanawiać, czy nie byłoby mądrzej starać się zdobyć jakiś praktyczny zawód. Pytanie tylko, jaki? Proszę - podała Joelowi kartkę z przepisem na ciasto. - To bardzo proste... Macie w domu mikser?

- Tak - odpowiedział Joel, pochylając się nad przepisem.

- Co to znaczy... Utrzeć masło do konsystencji śmietany i...

- Trzeba...

Joel słuchał uważnie. Sympatyczna kobieta, stwierdził. Ciepła i miła. Już samo to wystarczyło, żeby ją polubił. Dzięki owemu ciepłu i miłemu obejściu odprężył się, łatwo mu się z nią rozmawiało, nie chciało mu się stąd wychodzić... A jednocześnie emanująca z niej kobiecość, delikatność, subtelne

oznaki skrępowania, jakie swoim męskim zmysłem wyczuwał, niebezpiecznie go podniecały.

- Rozumie pan? Proste, prawda? - usłyszał na zakończenie.

Podniósł głowę i spojrzął na Fionę. Policzki miała lekko zaróżowione, a pod wpływem jego intensywnego spojrzenia rumieniec pogłębił się. Działał na nią w ten sam sposób jak ona na niego, spostrzegł. Była świadoma jego męskości i odrobinę przestraszona. Nie sądził, aby bała się, że mógłby ją skrzywdzić, czy znieważyć, nie, była raczej onieśmielona i przestraszona własną pobudliwością.

Kiedyś, dawno temu... bardzo dawno... widział ten sam wyraz w oczach Sally, a kiedy wziął ją w ramiona, poczuł, że drży, wiedział, że gdy tylko ją dotknie, pocałuje, ona podda się mu... ulegnie namiętności, pożądaniu...

Fiona również zauważyła, że pod wpływem bliskości Joela dzieje się z nią coś dziwnego, zupełnie jak gdyby była nastolatką. Czuła, że zaczyna drzeć, że nogi się pod nią uginają, że ogarnia ją potrzeba fizycznego kontaktu, dotyku, że chce go objąć i znaleźć się w jego objęciach.

Przerażona, że Joel mógłby odgadnąć jej myśli, odwróciła wzrok, pochyliła głowę. Pasma włosów opadło jej na twarz. Automatycznym ruchem uniosła dłoń, aby je odgarnąć za ucho, lecz Joel okazał się szybszy.

Opuszki jego palców były szorstkie, lecz dotyk delikatny i ciepły, niemal kojący. Jak gdyby wiedział, że walczy ze sobą i starał się ją pocieszyć.

- Ty drżysz...

Fiona znieruchomiała, wargi miała wysuszone, serce biło w jej piersi niczym młot. Twarz jej płonęła. Usiłowała się cofnąć, lecz Joel wciąż trzymał dłoń przy jej policzku i delikatnie obracał jej twarz ku sobie.

- I nie tylko ty... Dotknij... - ujął jej drugą dłoń i przyłożył sobie do piersi. - Czujesz?

Mocne, szybkie uderzenia przyprawiły ją o zawrót głowy. A może to wzbierające w niej pożądanie sprawiło, że kuchnia zaczęła nagle wirować, a ona poczuła, że traci siły i musi oprzeć się o niego, bo inaczej upadnie?

- Nie... - protestowała, kiedy pochylił się i zobaczyła, że jego usta przybliżają się do jej twarzy. - Nie wolno nam...

Zatrzymał się na moment, zajął jej głęboko w oczy.

- Nie - powtórzył. - Nie wolno.

RS

Bolesna spuścizna

18

Sally spojrzała nerwowo na zegarek. Prawie wpół do trzeciej. Kenneth na pewno nie będzie czekał tak długo.

Wie, że kończę dyżur o drugiej i kiedy się nie zjawię, pomyśli, że zmieniłam zdanie i zrezygnowałam.

Gdyby Joel jej tak nie rozgniewał, gdyby nie wpędził ją w depresję, nie zgodziłaby się na spotkanie, bez względu na to, jak bardzo by miała na to ochotę.

Kiedy wyglądała na sobie spódnice, zauważyła, że drżą jej palce.

Co za głupota, powiedziała do siebie, trząść się jak mała dziewczynka, która się boi, że przyłapią ją na gorącym uczynku. Przecież nie robię nic złego. Po prostu pewien mężczyzna lubi przebywać w moim towarzystwie, a ja w jego, bo... bo przy nim czuję się bezpieczna i doceniana, a to, że powiedział... dał do zrozumienia, że się zakochał, nie znaczy...

Wstając, zachwiała się niepewnie i nagle zastygła w bezruchu, gdyż drzwi otworzyły się i do szatni dla personelu weszła druga pielęgniarka. Na widok Sally uniosła brwi.

- Ładny kostium - zauważyła. - Wybierasz się gdzieś?

- Nie, po prostu miałam ochotę na jakąś odmiannę - bąknęła Sally.

Kostium, uszyty z pastelowego mięsistego lnu, otrzymała „w spadku” od siostry, która narzekała, że materiał za bardzo się gniece.

Z poczuciem winy Sally unikała przyznania się przed samą sobą, że kostium ten wkłada tylko na bardzo specjalne

okazje. I co z tego, że postanowiła raz przebrać się w pracy, zamiast wracać do domu w pielęgniarskim uniformie? Jest wiosna, słońce świeci, czy ona nie ma takiego samego prawa jak inne kobiety ubrać się raz na jakiś czas w coś kobiecego i mało praktycznego?

Ponownie zerknęła na zegarek. Prawie za kwadrans trzecia. Teraz z pewnością już sobie poszedł.

Tak trzeba, powiedziała sobie z mocą, opuszczając budynek. Dla dobra Kennetha... dla dobra wszystkich.

Pomyślała przelotnie o Joelu, który ostatnio nigdy nie miał na nic czasu, tak był zaabsorbowany zajęciami w ośrodku. Dawniej natychmiast by wiedział, wyczułby, że coś jest źle. Wpierw sprzeciwiał się, kiedy postanowiła podjąć pracę na całym etacie, a teraz, kiedy powiedziała, że bierze dodatków \ dyżur...

Była taka zdenerwowana, kiedy mu o tym powiedziała, zdenerwowana i podniecona jednocześnie, odrobinę też przerażona, że zarzuci jej kłamstwo, że zacznie się domagać, aby mu powiedziała, co naprawdę robi.

A może, ponieważ on chce od niej tylko seksu, nie przychodzi mu do głowy, że inny mężczyzna mógłby się w niej zakochać?

Ostatnio nawet dzieci zaczęły ją jakby inaczej traktować; teraz zwracały się ze wszystkim do Joela. Zwierzały mu się, śmiały z nim... Zauważyła, jak nagle milkną, gdy wraca z pracy, jak wymykają się z pokoju, kiedy wybucha kolejna awantura.

Może Kenneth ma rację mówiąc, że są już prawie dorosłe i że już jej tak nie potrzebują... że chcą teraz od niej tylko pieniędzy?

Łzy przysłoniły jej oczy. Zaczęła gwałtownie mrugać, aby je odpędzić.

- Nareszcie... Już zaczynałem podejrzewać, że się minęli śmy...

Zamarła, na ułamek sekundy jej serce przestało bić, a potem zaczęło walić jak oszalałe.

Kenneth! A jednak czekał. Nie wiedziała, czy jest bardziej zaskoczona, czy uszczęśliwiona. Przecież nie spodziewała się, że zastanie go jeszcze w umówionym miejscu. Szczerze wierzyła, że Kenneth zrezygnuje. Teraz jednak ogarnęła ją na jego widok wielka radość, a wzbierające w niej uczucie było tak silne, że nie szła, lecz unosiła się jakby na skrzydłach.

Chciała go zobaczyć, pobyc z nim... To tylko sumienie, zakodowane poczucie, co należy, a czego nie należy czynić, nakazywało, że nie powinna się z nim widywać.

- No dobrze... - mówił Kenneth - to gdzie chciałabyś pójść?

Pójść? Sally spojrzała na niego zdumiona. Była do tego stopnia przekonana, że nie będzie na nią czekać, iż nie pomyślała o tym, jak spędzą czas.

- Nie musimy się spieszyć, prawda? Chociaż, osiem godzin to chwila w porównaniu z wiecznością, którą pragnąłbym spędzić wspólnie z tobą - zażartował. - Całe życie... Nie, jedno życie to zbyt mało... Zobacz, jakie plotę androny przy tobie - roześmiał się. - Cóż, powszechnie wiadomo, że zakochany mężczyzna staje się tak otumaniony, że prawi banały, gdyż żadne słowa nie wydają mu się dość wspaniałe na wyrażenie ogromu jego uczucia...

Dotknął lekko jej ramienia. Ciepło płynące z jego palców przeniknęło przez rękaw kostiumu. Spodobało się jej, że nie czynił żadnych agresywnych gestów, które mogłyby sprawić, że poczułaby się zagrożona.

Świadomość, że nawet gdyby ktoś ich obserwował, nie mógłby mieć żadnych zastrzeżeń co do sposobu, w jaki Kenneth ją dotyka, dodała jej pewności siebie. Ot, serdeczny gest mężczyzny witającego się ze znajomą.

Jego słowa jednak wywierały zupełnie inny efekt. Podniecały, nęciły, łechtały, nie wymagając z jej strony rewanzu...

Była to taka słowna gra miłosna budząca wspomnienie pierwszych randek z Joelem. Wówczas i on traktował ją tak samo ostrożnie, jak gdyby była figurynką z kruchej, cennej porcelany.

Przed nią umawiał się z innymi dziewczynami, o wiele bardziej świadomymi swoich wdzięków i bardziej doświadczonymi, lecz podczas ich pierwszej randki nie żądał niczego, wziął ją jedynie za rękę...

- Nie podoba mi się, że się z nim widzisz - oświadczyła jej matka podenerwowanym tonem. - Oni wszyscy są tacy sami, to ten typ... Chcą tylko jednego...

- On nie jest taki - Sally broniła Joela, rumieniąc się ze wstydu na myśl o tym, co matka insynuuje. W ich domu nie rozmawiało się o seksie, lecz obie z Daphne wiedziały, że matka nie życzy sobie, aby wplątały się w „kłopoty”.

Wówczas Joel kochał ją tak subtelnie i czule, a teraz...

Kiedy przestał zabiegać o jej względy, a zaczął traktować, jak gdyby miał prawo...?

Nie wyobrażała sobie, aby Kenneth był zdolny do czegoś podobnego.

Osiem godzin... Osiem godzin sam na sam z Kennet-hem... Serce zatrzepotało jej radośnie w piersi. Poczuła, że drży z podniecenia. Gdzie chciałyby pójść?

- Nie wiem... - powiedziała. - Naprawdę nie zastanawiałam się, dokąd...

- Za to ja tak - powiedział Kenneth łagodnie. - Choć gdybym się przyznał, gdzie naprawdę chciałbym cię zabrać...

Umilkł, oczy mu pociemniały i Sally poczuła, że pod wpływem obietnicy i pokusy zawartej w podtekście tych słów oblewa się gwałtownym rumieńcem.

- Ale na to jest jeszcze za wcześnie, prawda? - spytał melancholijnie.

Kenneth sam był zaskoczony tym, jak bardzo ów przedłużający się prolog ich intymnego związku go podniecał. Ocze-

kiwanie graniczyło z euforią, przyprawiało go o zawrót głowy. Szybki, zaborczy, namiętny seks nigdy go zresztą nie pociągał, on lubił delektować się wymagającym ogromnej samokontroli przeciąganiem gry wstępnej.

Żona oskarżyła go kiedyś o seksualny narcyzm, o czerpanie większej satysfakcji z myśli, że pobudza i kontroluje jej reakcje, że to on jest sprawcą jej orgazmu, niż z osiągnięcia szczytowego spełnienia.

Wkrótce potem przestała mieć orgazm. Oświadczyła, że już dłużej nie chce być wykorzystywana, że nie chce być przedmiotem studiów niczym laboratoryjne zwierzę. Dodała, iż uważa jego pragnienie osiągnięcia zadowolenia za pomocą jej jako medium za perwersję.

Nigdy go nie rozumiała, pomyślał ponuro. Jej reakcje były zbyt elementarne, zbyt zwierzęce. Sally jest inna, wrażliwsza, subtelniejsza. Pożądanie, jakie w nim wzbudza, jest nie tylko fizyczne, ale i duchowe.

Fakt, iż dzisiaj, kiedy mógłby zabrać ją do domu i mieć całą dla siebie, zdecydował się na spotkanie w miejscu publicznym, pobudziło jego namiętność, przydając temu przeżyciu smaku i pikanterii.

- Wiem! - wykrzyknął, jak gdyby właśnie przyszedł mu do głowy znakomity pomysł. - Jest taki cudowny dzień, pojedźmy do Farringdean. Co ty na to?

- Farringdean? - Słyszała o tej wytwornej rezydencji i parku, lecz nigdy tam nie była.

- Pałac prawdopodobnie będzie zamknięty, ale do parku na pewno nas wpuszczą. Przejdziemy się, porozmawiamy... poznamy się lepiej.

- To brzmi cudownie - powiedziała Sally z wdzięcznością. Czyżby odgadł jej rozterki, wewnętrzną walkę, jaką toczyła sama z sobą, świadoma jego uczuć do niej oraz własnego podniecenia, lecz jednocześnie pełna lęku przed uczynieniem kolejnego kroku?

Dopóki nie przekroczy odgradzającej ich od siebie fizycznej bariery, dopóty będzie mogła udawać przed sobą, że nie robi nic złego. Jeśli natomiast...

- Co słysząc w domu?

Spacerowali po parku już prawie pół godziny, a Sally nie mogła powstrzymać się, żeby nie stawać co pięć minut i nie zachwycać się pięknem przyrody.

- Nie najgorzej - odpowiedziała.

Przechadzali się teraz wysypanymi białym żwirkiem ścieżkami ogrodu francuskiego. Kenneth trzymał ją za rękę, a Sally czuła się szczęśliwa i odprężona. Przenikało ją przyjemne ciepło jego dłoni, a jednocześnie wiedziała, że ów dotyk nie jest żadnym wstępem ani żądaniem czegoś więcej, jak to bywało w przypadku Joela.

- Joel bardzo się zaangażował w pracę w ośrodku sportowo-rekreacyjnym i spędza tam prawie cały czas.

- Sądziłem, że będzie szukał stałego zajęcia - powiedział Kenneth krytycznie.

- Miał szukać - przyznała Sally.

- A zamiast szukać pracy, byczy się, pozwalając, żebyś ty go utrzymywała.

Ujrzała zacięty wyraz jego twarzy i zrobiło się jej przyjemnie, że Kenneth gniewa się w jej obronie. Niemniej poczucie przyzwoitości zmusiło ją do dodania:

- On tam pracuje społecznie, jest instruktorem pływania, uczy dzieci...

- Ale nie dostaje za to złamanego grosza. Czy on sobie zdaje sprawę z tego, jakie ma szczęście, że ożenił się z taką kobietą jak ty? - spytał Kenneth czule. Stał przed nią i wolną dłonią pogładził ją po policzku. - On ciebie nie docenia, Sally, wiesz o tym, prawda? Ja na jego miejscu chwyciłbym się każdego zajęcia, robiłbym cokolwiek... - urwał i potrząsnął głową. - Stało się coś? - spytał zaniepokojony, widząc, jak zareagowała

na jego słowa. -I nie zaprzeczaj, bo czytam to z twoich oczu. Nie wiem, co cię trapi, ale czuję, że coś ci leży na sercu...

- To nic, naprawdę drobiazg nie wart... Widzisz, Joel... Moja siostra poprosiła go, żeby wytapetował jej jadalnię. Wydaje kolację dla jakichś ważnych gości, zaprosiła dyrektora szkoły z żoną. Tylko że Joel przykleił tapetę do góry nogami i teraz... - przygryzła ze wstydu wargę. - Teraz Daphne domaga się, żeby przyszedł i zrobił wszystko od nowa, a on zaparł się i nie chce. Skończyło się na tym, że w poniedziałek, czyli w wolny dzień...

Nie dodała, że jeszcze nie wspomniała o swoim postanowieniu Joelowi ani że wpadłby we wściekłość, gdyby się dowiedział, że sama tapetowała pokój Daphne... ale czy miała jakieś inne wyjście?

- Jesteś dla niego stanowczo za dobra - szepnął Kenneth i lekko ścisnął jej dłoń. - Powinnas go rzucić. To człowiek, który cię nie szanuje ani nie ceni.

Sally poczuła suchość w ustach. Serce zabiło jej niepokojąco mocno. Słowa Kennetha były tylko echem słów jej siostry, lecz słyszane z jego ust nabierały o wiele większej mocy.

- Nie mogę... nie mogę go rzucić - zaprotestowała, głęboko poruszona. - On mnie po... potrzebuje...

- On ciebie wykorzystuje - przerwał jej Kenneth. - A poza tym, Sally, nie powinnaś się pytać, czy on ciebie potrzebuje, lecz czy ty potrzebujesz jego, czy nadal go pragniesz... Wciąż sypiacie ze sobą? - spytał obcesowo.

To pytanie wstrząsnęło nią do głębi. Poczuła przeszywającą ją dreszcz.

- Tak... To znaczy śpimy w jednym łóżku - odpowiedziała stłumionym głosem - ale...

- Ale nie współżyjecie ze sobą... nie odbywacie stosunków - podpowiadał Kenneth.

- Ja... my... Joel chce, ale...

Umilkła i przymknęła oczy z poczuciem winy, że każde

słowo powiększa ciężar zdrady wobec Joela i ich małżeństwa. Z drugiej strony rozmowa z kimś, kto ją rozumie, przed kim mogła się otworzyć i szczerze wyznać prawdę, przynosiła jej ogromną ulgę. Gdyby Daphne nie była tak wrogo nastawiona do Joela, mogłaby się z wierzyć jej, lecz w rozmowie z siostrą, która widziała w Joelu same wady i zawsze szukała pretekstu do krytyki, Sally musiała uważać na to, co mówi.

- Sądzę, że kobiety i mężczyźni inaczej traktują seks - powiedziała smętnie. - Joel zdaje się nie rozumieć, że dla mnie seks nie jest czymś, co... że ja nie potrafię się zmusić... - urwała i pokręciła bezradnie głową.

- Zmusić do czego? - dopytywał się Kenneth. - Do pożądania? A on mimo to cię zmusza, chociaż wie, że...? - W jego głosie słychać było wyraźną pogardę i potępienie.

- Nie... to nie tak - zaprotestowała Sally, biorąc męża w obronę. - Joel do niczego mnie nie zmusza.

Znowu przerwała. Jak wytłumaczyć Kennethowi, jak przyznać otwarcie, że osłabienie jej zainteresowania seksem sprawiło, że niemal wolała, aby Joel szybko skończył i nawet nie próbował pieszczotami doprowadzić jej do orgazmu?

- Nie pragniesz go. On to musi wiedzieć - z uporem mówił Kenneth. - W moich oczach to stawia go... - zawiesił głos i potrząsnął głową. - Związek dwojga ludzi, miłość do partnera polega na czymś o wiele bardziej skomplikowanym. To nie jest tylko sam seks...

- Słusznie - zgodziła się Sally ze smutkiem.

- Wiesz, co do ciebie czuję - mówił dalej Kenneth. - Rzuć go, Sally, i zwiąż się ze mną...

- Nie mogę - zaprotestowała przerażona. To przyszło tak szybko, spadło na nią tak nagle... Nie była jeszcze gotowa do podjęcia żadnej decyzji, do angażowania się w żaden związek... A poza tym, jak mogłaby zostawić Joela!?

Kenneth obserwował ją z uwagą. Mógł sobie pozwolić na zwłokę, pławić się w podniecającym wyczekiwaniu, bo był

pewny, że i tak, prędzej czy później, Sally sama do niego przyjdzie.

Jeśli jej mąż ma takie potrzeby seksualne, jak ona twierdzi, zapewne niedługo wytrzyma w tym stanie pół-celibatu. Wcześniej czy później znajdzie sobie inną kobietę, pomyślał cynicznie, a kiedy już pojawi się problem tej trzeciej, wtedy on, Kenneth...

- Nie mogę znieść myśli, że wracasz do niego - powiedział dziesięć minut później, kiedy po raz kolejny obchodzili ozdobne kłomby. - Że będziesz z nim w jednym domu, w jednym łóżku...

- Proszę, nie... - szepnęła Sally, a łzy napłynęły jej do oczu. Straszliwa rozterka, sprzeczne ze sobą potrzeby, rozrywały jej serce do bólu.

Rozmowa z Kennethem sprawiła, że w ostrzejszych barwach zobaczyła pustkę swojego małżeństwa i stosunków z Joelem, lecz przecież on był jej mężem, przysięgała mu. Jeśli go porzuci...

- Nie rób takiej smętej miny - prosił Kenneth. - To nie twoja wina. To jego należy oskarżać za to, że utracił twoją miłość, Sally, nie ciebie. - Wziął ją za ramiona i obrócił ku sobie, potem ujął ją pod brodę i zajął głęboko w oczy. W parku oprócz nich nie było nikogo, lecz Sally spłoszona obejrzała się za siebie, kiedy Kenneth pochylił się, żeby ją pocałować. Muśnięcie jego warg, delikatne, pełne samokontroli zamiast gorącej namiętności, jakiej się spodziewała, sprawiło, że poczuła głęboką wdzięczność.

- W tej chwili niczego tak nie pragnę, jak zabrać cię ze sobą do domu i kochać się z tobą tak długo, aż zgodzisz się go rzucić i zostać ze mną na zawsze... ale wiem, że nie mogę tak postąpić. Sumienie mi nie pozwala... Nie mogę cię zmuszać, żebyśmy zostali kochankami. Nie, Sally... Pragnę, abyśmy oboje tego chcieli, aby intymne zbliżenie między nami było najwyższym wyrazem wzajemnych uczuć, a nie jakimś gorą-

czkowym aktem kopulacji, po którym oboje poczuliśmy się oszukani... Zbyt wiele dla mnie znaczysz...

Teraz już jest moja, pomyślał Kenneth z triumfem. Efekt, jaki wywierały jego słowa, malował się na jej twarzy tak wyraźnie, że nie mógł mieć co do tego żadnych wątpliwości.

Jako student zdobywał pochwały za popisy oratorskie. Była żona szydziła z jego peanów, nazywała go pozerem, szukającym poklasku aktorzyzną, który czerpał więcej rozkoszy z mówienia o seksie niż z uprawiania go.

- Nie będę wywierał nacisków - obiecywał teraz - ale nie pozwolę ci uciec. Potrzebuję cię, Sally...

- Nie wolno nam - powtórzyła Fiona drżącym głosem, w którym jednak nie było słychać szczerzego przekonania, nalegania, aby przestał delikatnie gładzić jej włosy, zaglądać w oczy, szukać w nich pożądania, wysyłać obietnice...

Jej mózg, serce, sumienie mówiło jedno, zmysły zaś gwałtownie domagały się czego innego i gdyby naprawdę chciała, aby przestał, nie zwracałaby twarzy ku niemu, nie przysuwałaby się bliżej, nie wpatrywałaby się w jego usta, nie drżałaby z podniecenia i wyczekiwania rozkoszy.

Nie powinienem, mówił do siebie w duchu Joel; powinienem umieć się opanować, kontrolować własne instynkty... Nieważne, jak bardzo jej chcę... pragnę aż do bólu... Nieważne, jak silnie jej pożadam... Nieważne, jak oziębła stała się wobec mnie Sally, nie mogę... nie powinienem. Lecz właśnie w tej samej chwili Fiona się poruszyła, wykonała nieznaczny, bezwiedny gest, a jej dotyk, tak niewinny, wyzwolił w nim zmysłowy dreszcz, który ostatecznie złamał jego wolę.

Jest taka czuła... taka ciepła i uległa, taka wrażliwa...

Nic już się nie liczyło wobec tego, co było między nimi teraz. Nic... nic...

Wziął jej twarz w swoje dłonie. Czuł, jak drży, widział, jak poruszają się mięśnie jej szyi, kiedy w zdenerwowaniu prze-

łyka ślinę. Pochylił się, aby ją pocałować. Jej usta były miękkie i pełne, wilgotne i drżące jak ona cała.

Wydawało mu się, że od niepamiętnych czasów nikogo tak nie całował, nie czuł takiego podniecenia, takiego spazmu namiętności, niemal bólu.

Fiona także nie przypominała sobie, aby kiedykolwiek ktoś ją w ten sposób całował, pragnął, pożył, potrzebował. Żarliwe, palące złączenie ich warg, ust, języków, owa obezwładniająca moc była dla niej doznaniem całkowicie nowym, dziwnie nieznanym i jednocześnie znanym, drzemającym w jakimś zakamarku jej ciała... zdawała się reminiscencją owych wszystkich godzin, owych nocy spędzonych na marzeniach o kochanku, który sprawi, że będzie czuła się właśnie tak jak teraz, który rzuci iskrę, wznieci płomień jej dziewiczej namiętności, i będzie go podsycił, aż oboje się w nim spalą.

Oto owa moc, pomyślała, tkwiąca we mnie siła, żywioł, którego zawsze się obawiałam, przed którym się zawsze cofałam. Oto poznanie, uznanie, własnej zmysłowości.

- Pragnę cię... potrzebuję... Och... nie każ mi czekać...

Słowa te, stanowiące otwarte wyznanie, otoczyły ją, były jak gdyby echem innych dźwięków, tworzących intymny akompaniament tej chwili: szelest materiału, delikatne ocieranie się ciała o ciało, bardziej szorstkie przesuwanie dłoni po skórze, spotkanie się wilgotnych spragnionych ust, przyspieszone płytkie oddechy, cichy jęk rozkoszy, cmoknięcie wilgotnych warg obejmujących koniuszek jej piersi.

Jest coś niezwykle erotycznego w kształcie i smaku kobiecej piersi, pomyślał Joel, a jednocześnie coś zakazanego wynikającego ze świadomości, że owa dorosła męska pieszczota ma swoje korzenie w niewinnym ssaniu matczynego mleka.

Po urodzeniu dzieci Sally nie lubiła, kiedy pieścił jej piersi ustami. Mówiła, że karmienie, a potem pigułka uczyniły je zbyt wrażliwymi.

Ze złością wygnał z myśli wspomnienie Sally. Nie chce go, nie obchodzi ją, co on robi. Nie tak jak Fiona, która teraz żarliwie szepce, że pragnie poczuć go w sobie, która go pieści, ruchami dłoni błaga, ponagla, aby ją zaspokoił... która teraz, kiedy wsuwa rękę między jej nogi, wydaje z siebie stłumione westchnienie i która drży z rozkoszy, kiedy dotyka jej...

Oto, pomyślała Fiona, zmysłowość w czystej postaci, uwolniona od cywilizacji, konwenansów i form, obyczajów i wychowania, zredukowana do swojej istoty. Dostrzegła czystość swojego... ich instynktu, jak gdyby żarliwość i intensywność przeżyć spaliła otoczkę wstydu i winy.

- Teraz, teraz... teraz... - szeptała, przywierając do Joela. Uniósł ją w górę, a ona otoczyła nogami jego biodra. - Tak... tak... tak... - Nagle usłyszała swój jęk i odpowiadający mu stłumiony, triumfujący okrzyk Joela.

Przytuliła się do niego. Trzymał ją mocno w objęciach, gładził wilgotne od potu włosy, całował czoło, usta, pierwszy raz łagodnie, drugi raz jak gdyby pytająco, a potem w milczeniu wziął ją za rękę i zaprowadził na górę.

- Fiona, zbudź się. Fiona...

Leniwie uniosła powieki. Widząc pochylonego nad sobą Joela, oblała się rumieńcem. Był już całkiem ubrany, w rękę trzymał kubek herbaty.

- Przyniosłem ci herbatę - powiedział.

Przyglądał się jej, jak kurczowo przyciskając kołdrę do piersi, usiłowała usiąść. Ognik rozbawienia w jego oczach sprawił, że uśmiechnęła się i puściła kołdrę.

- Musisz iść - powiedziała cicho. - Nie powinniśmy...

- To ja nie powinienem - poprawił ją Joel.

- To był przypadek... błąd... - ciągnęła Fiona, jak gdyby nie słyszała znaczącej nuty w jego głosie. - Musimy oboje zapomnieć o tym, co się stało, a do czego nigdy nie powinno dojść.

- Nie - zaprzeczył Joel z mocą. - Zgadzam się, że nie powinniśmy do tego dopuścić, ale zapomnieć...? Wiesz, jak dawno nie przeżyłem czegoś podobnego? - urwał nagle i wziął ją w ramiona. - Masz pojęcie, co to znaczy dla mężczyzny, kiedy kobieta reaguje w ten sposób... pragnie go... daje mu odczuć, że...

- Jesteś żonaty, Joel - przerwała mu Fiona rozpaczliwie. - Masz rodzinę, dzieci... To, co się między nami stało, nie może się już nigdy powtórzyć. Nie wolno nam się widywać. Ja nie mogę... - umilkła, czytając z wyrazu jego oczu, że jej słowa mile łechczą jego męską dumę. Trudno jej było winić go o to albo mieć mu to za złe. Ona czuła dreszczyk takiej samej atawistycznej kobiecej przyjemności, kiedy puściła kołdrę i zobaczyła, jak podziałał na niego widok jej nagich piersi. - To tylko seks - powiedziała. - Incydent bez głębszego znaczenia. Seks i nic więcej. - Nie potrafiła jednak całkiem zapomniać nad głosem i Joel, usłyszawszy nutę żalu w słowach Fiony, pochylił się i objął ją.

- Nie, to nie był tylko seks - zaprzeczył, łagodnie tuląc ją do siebie.

- Nie - przyznała Fiona. - Ale nic nie zmienia faktu, że nie możemy dopuścić, aby to się powtórzyło. Bo wówczas nie będę się potrafiła powstrzymać od zakochania się w tobie - wyznała otwarcie - a Sally... twoja żona... przecież ją kochasz...

- Do dzisiaj tak uważałem - odparł Joel - ale teraz...

- To było stwierdzenie, nie pytanie - przerwała mu Fiona z uśmiechem.

- Bardzo łatwo by mi było kochać ciebie, Fiono - oświadczył Joel poważnie. - Tak naprawdę...

- Przez pewien czas na pewno - zgodziła się Fiona - ale później byłoby ci... nam... bardzo, bardzo trudno. Oboje wiemy, że gdybyś znajdował więcej szczęścia w domu, nigdy byś... Wracaj do domu, Joel - nakazała łagodnie. - Wracaj do domu i zapomnij o wszystkim.

- A jeśli mi się nie uda?
- Musi się udać.

Rozpłaczę się później, po wyjściu Joela, mówiła sobie Fiona, gdyż już teraz wiedziała, z czego musi zrezygnować i jak bardzo żałuje, że okoliczności są takie, jakie są - że on nie jest wolny, że ma żonę, dzieci, że ona....

To, co wydarzyło się między nimi, było jak letnia burza, gwałtowne i wstrząsające, przyćmiewające wszystko inne, kiedy trwało, lecz kiedy minęło, szybko odchodzące w zapomnienie.

O ile łatwiej pozwolić mu odejść teraz, niż ryzykować złamane serce i cierpienie, jakie ten związek w sposób nieunikniony musiałyby na nią sprowadzić.

Łatwiej...? Łatwiej niż co? - pytała siebie ze smutkiem, kiedy została sama.

Bolesna spuścizna

19

Elizabeth z zasepioną miną przyglądała się ubraniu rozłożonemu na łóżku: spodnie na podróż, kostium, w który zamierzała się ubrać na konferencję, bielizna, rajstopy, pantofle, sweter „na wszelki wypadek” i cienka jedwabna bluzka, którą mogła wieczorem włożyć do czarnych spodni, gdyby musiała wyglądać bardziej elegancko. A może powinna zabrać sukienkę?

- Richardzie? Czy nie sądzisz, że powinnam mieć sukienkę na wieczór?

- Przecież jedziesz na konferencję, nie na bal.

Lakoniczność tej odpowiedzi zaskoczyła ją. Ostatnio Richard był nienaturalnie dla siebie poirytowany, co składała na karb nerwów i niepewności związanej z wciąż nie rozstrzygniętą kwestią lokalizacji pogotowia wypadkowego i oddziały chirurgii urazowej. Zmarszczka na jej czole pogłębiła się. Wiedziała, co prawda, że odrobina żoninej tolerancji dobrze oliwi tryby małżeńskiego współżycia, niemniej mąż wyładowujący swoją irytację na domownikach bez wyjaśnienia, o co chodzi, to zupełnie inna sprawa.

Zdecydowanym spojrzeniem obrzuciła zgromadzoną na łóżku garderobę, potem odwróciła się w stronę Richarda i spokojnie spytała:

- O co ci chodzi, Richardzie? Przecież widzę, że coś cię gnębi... -dodała.

- O nic - uciał krótko Richard i zaraz dodał, zdradzając prawdziwe uczucia: - Na miłość boską, Liz, jedziesz tylko na

dwudniową sesję, a robisz wokół tego tyle zamieszania, jak gdybyś udawała się na szczyt międzynarodowy. Kiedy ja jeździłem na konferencji...

Elizabeth miała tego dość.

- Kiedy ty jeździłeś na konferencji, miałeś mnie, która szykowała ci walizkę - przypomniała mu. - Może odrobinę przesadzam, ale to wciąż jeszcze jest dla mnie coś nowego. Tak, przyznaję, mam *Reisefieber*... Kiedy wezmę udział w takiej ilości konferencji co ty, może będę miała taki sam nonszalancki stosunek do wyjazdów, do tego czasu jednak proszę, abys się zdobył na choć trochę pobłażliwości - zakończyła cierpko.

- Masz rację, Liz. Przepraszam.

- Wiem, jak bardzo się martwisz tym pogotowiem - odezwała się Elizabeth, teraz już tonem bardziej wyrozumiałym.

- Może gdybyśmy porozmawiali...

- Swoje rady zostaw dla klienteli poradni - przerwał jej na nowo poirytowany.

Widząc, że Elizabeth ściąga usta i spokojnie odchodzi, zaklął cicho pod nosem. Jak ma jej wytłumaczyć, co go gnębi? Czy ona potrafi zrozumieć, jak się czuje człowiek, który musi stale oglądać się przez ramię, aby sprawdzić, w jakim tempie doganiają go młodsi... człowiek, który budzi się w środku nocy w panice, bo przed sobą, zamiast tuzina różnych dróg i możliwości, widzi ślepy zaułek, ścianę?

Oczywiście, że Liz jest podekscytowana wyjazdem na konferencję, nowymi perspektywami otwierającymi się przed nią, ale to jej ożywienie, kariera, stanowią tak ostre przeciwieństwo jego obecnej kondycji, że wątpił, czy potrafiłaby go naprawdę zrozumieć. A poza tym, nie chciał obarczać jej swoimi lękami, nie chciał psuć jej przyjemności.

- Barbara ma swój klucz - przypomniała mu Elizabeth, mówiąc o młodej samotnej matce, która dwa razy w tygodniu przychodziła sprzątać. - Aha, i kupię ci kilka gotowych dań, które odgrzejesz sobie w mikrofalówce...

- Na miłość boską, Liz, nie jestem dzieckiem. Wiesz, że potrafisz sobie coś ugotować, jeśli zaistnieje taka potrzeba. Przecież wyjeżdżasz tylko na dwa dni, a nie na dwa miesiące. Poza tym i tak pewnie zjem coś w szpitalu.

- W szpitalu? Sądziłam, że chcesz grać w golfa - zdziwiła się Elizabeth.

- Muszę nadrobić pewne zaległości w papierach - wyjaśnił Richard.

Budżet. Pamiętał cię niezadowolonia w oczach Briana, kiedy ostatni raz rozmawiali o finansach. Przysiągł sobie, że mimo awersji do całego projektu zamiany państwowej służby zdrowia w interes dochodowy udowodni Davidowi Howarthowi, że potrafi kierować swoim oddziałem nie gorzej i nie mniej efektywnie od innych.

Pod warunkiem, oczywiście, że na tej efektywności nie ucierpią pacjenci.

- Niewykluczone, że nawet jeszcze dziś wieczorem się do tego zabiorę - oświadczył.

- Nie, Richardzie, proszę cię - zaprotestowała gwałtownie Elizabeth. - Mieliliśmy pojechać do Sary... chyba nie zapomniawszy? Wieki całe nie widziałeś swojej wnuczki.

Zgadła, zapomniał. Widząc jego minę, Elizabeth poczuła, że ogarniają irracjonalny lęk. Takie roztargnienie, zamykanie się w sobie były zupełnie do Richarda niepodobne.

- Na pewno wszystko w porządku? - spytała, nie dając za wygraną.

Przez krótką chwilę Richard się wahał. Okazja zwierzenia się jej kusiła, ale cóż mogłaby mu powiedzieć Elizabeth innego, poza tym co sam doskonale wiedział?

- Na pewno - odparł, kierując się w stronę drzwi.

Elizabeth odprowadziła go wzrokiem pełnym zadumy. Coś go gnębi, nie miała co do tego wątpliwości. Dlaczego wszyscy mężczyźni, nawet najbardziej dojrzały i zrównoważony, z uporem kryją się za murem milczenia? Co ich tak

przeraża w otwartym przyznaniu się do tego, że coś im leży na sercu?

Często obserwowała podobne zahamowanie u mężczyzn zgłaszających się do poradni i współczuła ich partnerkom, odgadując, jak zdezorientowane i zestresowane muszą być sytuacją, w której ukochany uparcie nie chce zrozumieć, że szczerza rozmowa wzmocni, a nie osłabi ich związek.

W zamyśleniu zeszała na dół. Richarda znalazła w kuchni, przygotowywał dla nich obojga herbatę. Przyjęła ten gest jako gałązkę oliwną.

- Zapomniałem ci powiedzieć, że Brian i jego żona urządzają przyjęcie powitalne dla naszego nowego psychologa. Chcą go przedstawić i wprowadzić w nowe środowisko.

- Znasz go? - spytała Elizabeth.

- Nie. Posada u nas, w Ogólnym, to w jego przypadku swoista degradacja. Z tego, co mówi Brian, wynika, że pracował kilka lat w Stanach, ale teraz, z powodów rodzinnych, chce wrócić i godzi się zarówno na niższą pensję, jak i na mniejszy prestiż... Brian jest pełen entuzjazmu dla jego dokonań. Wygląda na to, że facet wierzy w ścisłą współpracę psychologa z internistą i chirurgiem, w kompleksowe, a nie wycinkowe podejście do pacjenta. Chce zapewnić chorym właściwą terapię, pomoc w przezwyciężaniu szoku wywołanego cierpieniem, wypadkiem, operacją, w ogóle chorobą...

- Mhm... wobec tego powinniście znaleźć wspólny język. Przecież o to samo walczyłeś od lat. Zawsze narzekałeś, że zbyt dużo pacjentów przychodzi do szpitala zupełnie psychicznie nie przygotowanych do operacji.

- Brian i David mają o nim bardzo wysokie mniemanie. Młody, trzydzieści osiem lat...

Elizabeth odstawiła kubek. Zastanowiła ją ukryta nuta niechęci w głosie Richarda, którą doświadczonym uchem wyłowiła. Zawsze był bardzo otwarty w stosunku do ludzi, lecz

teraz z jakiegoś powodu wydawał się wręcz agresywnie nastawiony do wszystkiego i wszystkich.

- Z tego, co mówisz, wynika, że ich nie zmarnował - powiedziała. - Musi być...

- Dlaczego dzisiaj wszyscy są tak zafascynowani młodością? - wybuchnął Richard. - Co sprawia, że człowieka bliżej czterdziestki się ceni, a drugiego, bliżej pięćdziesiątki, spisuje na straty?

Elizabeth spojrzała na męża zaskoczona.

- To ty zacząłeś mówić o jego wieku - przypomniała mu.

- Ale dla Briana i Davida wiek zdaje się liczyć bardziej niż kwalifikacje. Dawniej chirurga nie uważano za wystarczająco doświadczonego, aby powierzyć mu stanowisko ordynatora, o ile nie praktykował przez co najmniej dwadzieścia lat. Teraz, jeśli nie zostanie ordynatorem przed trzydziestką, może w ogóle przestać marzyć o kierowaniu własnym oddziałem. Wiesz, na co David chce teraz namówić Briana? - spytał. - Na obowiązkowe badania lekarskie dla każdego po pięćdziesiątce!

- Przecież sam często twierdziłeś, że ponad połowa przeprowadzonych przez ciebie operacji nie byłaby konieczna, gdyby ludzie poświęcali tyle samo czasu i uwagi na konserwowanie własnych organizmów, co na konserwowanie samochodów - wtrąciła przekornie Elizabeth.

- Rozsądne środki ostrożności to jedno - ripostował Richard z pasją - a dawanie komuś specjalnie do zrozumienia, że człowiek po pięćdziesiątce nadaje się tylko na szmelc... - umilkł nagle i potrząsnął głową z oburzeniem.

List Briana wysłany do lekarzy, zawiadamiający, że z nowym kwartałem zamierza wprowadzić obowiązek badań kontrolnych dla wszystkich członków personelu, którzy skończyli pięćdziesiąt lat, od trzech dni leżał na jego biurku, czekając na odpowiedź.

Co za bezczelność ze strony tego Davida Howartha! Czy

on naprawdę podejrzewa, że będę kogoś operował, jeśli uznaję, że się do tego nie nadaję?

Bez względu na to, co sobie David myśli, dobry chirurg to nie tylko dobry wzrok i pewna ręka. To zalety, owszem, przydatne, lecz czysto fizyczne, i nie mogą zrekompensować braku doświadczenia, pewności siebie, wiedzy, które zdobywa się całymi latami, oraz owej intuicji, szóstego zmysłu, który przychodzi z wiekiem.

Elizabeth westchnęła cicho. Obojętnie, co David postanowi, Richard stanie okoniem, bo po prostu nie lubi samego Davida. Nie winiła go za to, sama także nie darzyła tego człowieka specjalną sympatią.

- Czas się zbierać - powiedziała. - Obiecałam Sarze, że będziemy na piątą...

- Dzięki nowym funduszom mogliśmy urządzić pracownię rentgenologiczną, przyjąć do pracy dwie pielęgniarki i stać się przychodnią specjalistyczną z prawdziwego zdarzenia. Robimy teraz nie tylko badania cytologiczne, ale i kompleksowe, ogólne. Doradzamy i nastolatkom, na przykład jaką pigułkę stosować, i kobietom dojrzłym w okresie menopauzy, które decydują się na kurację hormonalną - rozwodził się Jan. - Bernard nawet mówi o urządzeniu niewielkiej sali operacyjnej. W nowym budynku znajdzie się miejsce. Miejcie się na baczności - dodał żartem - bo zanim się obejrzyście, wysadzimy was z siodła... Nie pozostanie wam nic innego, jak emerytura i pole golfowe... A propos... Myślałeś o wcześniejszej emeryturze? - zmienił nagle temat. - Wiem, że mój ojciec rozważa taką możliwość... Matka twierdzi, że staruszek chce spędzić z nią trochę czasu, póki są jeszcze na tyle młodzi, żeby mieć z tego jakąś przyjemność.

- Nie martw się, mama nie pozwoli tacie przejść na emeryturę - wtrąciła Sara. - Nie teraz, kiedy dopiero co rozpoczą-

la własną karierę zawodową... Jak sobie dasz radę podczas jej nieobecności? - zwróciła się do Richarda z uśmiechem.

- Och, na miłość boską, Saro, nie rób tragedii. Pozwól sobie przypomnieć, że nie jestem małym dzieckiem...

Przy stole zaległa niezręczna cisza. Nagle Katie, czteroletnia córeczka Sary i Iana, ułożyła buzię w podkówkę i, smutnie patrząc na matkę, sepleniącym głosem spytała:

- Dlaczego dziadzius jest taki zły?

- Nie jestem zły, słoneczko - zapewnił ją Richard, posyłając Sarze przepraszające spojrzenie - Przykro mi, Saro. Nie powinienem reagować tak ostro...

- Nic się nie stało, tato. Wszyscy wiemy, jak bardzo się martwisz tym nowym pogotowiem. Wiesz już, któremu szpitalowi przypadnie?

- Nie...

Dostrzegłszy wymianę spojrzeń między córką i zięciem, zaczął się zastanawiać, czy Ian słyszał już plotki o tym, że faworytem w przetargu jest jednak Szpital Północny. Lubił męża Sary i dobrze się ze sobą dogadywali, lecz wiedział, że młody człowiek ma inne poglądy od niego, nie chciał więc z nim dyskutować o problemach finansowych Szpitala Ogólnego. Pragnął uniknąć ewentualności mimowolnego przekazania tych informacji niepowołanym uszom.

Nie sądził jednak, aby zięć był w stanie ujawnić jakieś rewelacje, o których w Północnym by nie wiedzieli. Podejrzał, że David zdążył dać już wszystkim do zrozumienia, kogo popiera.

- Dziadziusiu? Jesteś strasznie stary, prawda? - zaszczębiotowała Katie.

- Katie! - skarciła ją Sara.

- Strasznie, strasznie stary - upierało się dziecko. - Wszyscy dziadziusiowie są starzy... I umrzesz? - upewniała się wesoło.

- Nie tak szybko jak ty - odezwał się Ian ostrzegawczym tonem.

Richard zdołał jakoś zawtórować Elizabeth, która, śmiejąc się, zaczęła wyjaśniać Ianowi, że w oczach czteroletniej dziewczynki oboje muszą być bardzo wiekowi.

- Co tatę ugryzło, mamó? Nigdy nie widziałam go w takim stanie. Jest rozdrażniony, wszystko go irytuje...

Słyszając głos córki, Richard zatrzymał się pod drzwiami kuchni.

- Martwi się o to nowe pogotowie - padła odpowiedź.

- Nie, tu chodzi o coś więcej - odparła Sara. - Nie podejrzewasz. .. nie sądzisz, że czuje się zagrożony z powodu twoich sukcesów?

- Zagrożony? Zazdrosny o mnie, to masz na myśli?

- Tak jakby... - Richard wyraźnie usłyszał zażenowanie w głosie Sary. - To musi być dla niego trudne, prawda? Do tej pory był przyzwyczajony, że zawsze jesteś w domu, a teraz wyjeżdżasz na konferencje, zaczynasz żyć samodzielnie...

- Nie, Saro, źle ci się wydaje - zaoponowała Elizabeth niby zdecydowanie, lecz Richard wyłowił w jej głosie nutę niepewności, która go zabolowała.

Dumny był z żony, dumny i zadowolony z jej sukcesu. I jeśli zaczął porównywać tempo wzrostu jej kariery z zagrożającym schyłkiem swojej, to nie dlatego, że był zazdrosny. Chyba Elizabeth to wie, nawet jeśli Sara tego nie dostrzega?

Usłyszał teraz kroki Sary zbliżającej się do półotwartych drzwi i cofnął się szybko. Najmniej pragnął teraz, aby córka zorientowała się, że słyszał całą rozmowę.

Zauważył, że Elizabeth zdziwiła się, kiedy oświadczył, że jest zmęczony i pod tym pretekstem skrócił wizytę w domu córki i jej męża.

- Byłeś dziś w bardzo swarliwym usposobieniu. Sara chyba poczuła się dotknięta.

Sara dotknięta... Richard zastygł w bezruchu z półbutem w ręce.

Elizabeth, już rozebrana, szykowała się do snu. Przyjrzał się jej. W jej włosach pojawiły się nieznaczące przebłyski siwizny. Chociaż, kiedy owinięta ręcznikiem kręciła się po sypialni, a światło padało na nią z tyłu, wyglądała prawie tak młodo, jak Sara.

Zatrzymała się przy komodzie, schyliła, otworzyła szufladę, sięgnęła po świeżą koszulę nocną.

- Richardzie? - odezwała się, zasuważąc szufladę i obracając w jego kierunku. W jej głosie wyraźnie zabrzmiało napięcie. - Twój... ten zły humor... nie ma nic wspólnego ze mną... z faktem, że...?

Richard ze złością cisnął w kąt skarpetkę, którą właśnie ściągnął ze stopy.

- Z jakim faktem? Że pnieś się wzwyż, że masz przed sobą obiecującą karierę, podczas gdy ja już maszeruję z górki, przekroczyłem smugę cienia i teraz nadaję się tylko na emeryturę, tak? O to ci chodzi? - umilkł na chwilę, lecz zaraz mówił dalej: - Pytasz, czy ci zazdroszczę? O to mnie podejrzewasz?

- Oczywiście, że nie! - zaprzeczyła, wyraźnie wstrząśnięta podobną insynuacją - Nawet mi to do głowy nie przyszło.

- Podsłuchałem waszą rozmowę w kuchni - oświadczył Richard bez ogródek. - Niemal kliniczny przypadek, prawda? Starzejący się mąż, zazdrosny o dynamiczną karierę odkrywającej uroki niezależności żony; jego strach, że owa niezależność to kres jego dominacji w ich związku; w miarę jak żona nabiera coraz więcej pewności siebie i odnosi coraz więcej sukcesów, on przechodzi przez wszystkie obowiązkowe fazy: od złości przez depresję do impotencji. Dziwne, prawda, jakim wrażliwym barometrem są męskie genitalia? Rejestrują wszelkie wahania poczucia własnej wartości, statusu w rodzinie i społeczeństwie...

Poczuł, jak sprężyny materaca ugięły się pod ciężarem Elizabeth, która usiadła obok niego.

- O co ci chodzi, Richardzie? Przecież wiem, że mi nie zazdrościsz...

- Wiesz? - odwrócił się gwałtownie, żeby na nią spojrzeć.

- Z Sarą rozmawiałś bez przekonania, słyszałem...

- To prawda - przyznała. - Ale nie dlatego, że się z nią zgadzam. Wiem, że jest w błędzie.

- W takim razie dlaczego?

- Dobre, staroświeckie, kobiece poczucie winy - powiedziała smętnie. - Wiem, jak bardzo się martwisz o to nowe pogotowie i jakaś część mnie czuje, że powinnam zostać tu z tobą, martwić się razem, podobnie jak podczas choroby Katie miałam wyrzuty sumienia, że nie jestem przy Sarze dwadzieścia cztery godziny na dobę. Na tym między innymi polega bycie kobietą - dodała po chwili milczenia. - Ten nasz wewnętrzny szept, głos mówiący, że nie możemy być w pełni kobietami, jeśli nie jesteśmy „tam”, czyli gotowe spieszyć z pomocą najbliższym, których kochamy... Jeśli nie potrafimy machnąć czarodziejską różdżką i uczynić ich życia rajem, odegnąć wszelki ból i udrękę... Taką miarą mierzymy nasz życiowy sukces, najdroższy... - Znowu umilkła na chwilę, a potem ciągnęła: - Powątpiewanie, które twoje doświadczone ucho usłyszało, wynikało z wewnętrznego pytania, w jaki sposób mogę jednocześnie być i dobrą żoną, i wyjechać, wiedząc, jak bardzo się martwisz... oraz wiedząc, że nie chcesz podzielić się tym zmartwieniem ze mną...

- Bo nie chcę ci psuć przyjemności... Wiem, jak wiele ten wyjazd dla ciebie znaczy.

- Czyli chodzi o coś jeszcze, nie tylko o nowe pogotowie? - domyśliła się Elizabeth.

- Tak - przyznał Richard. - Wydaje mi się, że David próbuje się mnie pozbyć...

- Pozbyć się ciebie? Co ty wygadujesz? Zwolnić ciebie? Przecież nie może, ot tak, po prostu...

- Nie, nie zwolnić. Ale nie jest żadną tajemnicą, że pozbył się już wszystkich członków personelu w starszym wieku, a ja zbliżam się do sześćdziesiątki...

- Masz dopiero pięćdziesiąt pięć lat - uściśliła Elizabeth - o co do tamtych, to sami chcieli przejść na wcześniejszą emeryturę.

- Doprawdy? - spytał ironicznie Richard.

Elizabeth przyjrzała mu się uważnie.

- David sprawia, że zaczynam wątpić w słusność własnego osądu, Liz... zastanawiać się, czy przypadkiem nie zaczynam zostawać w tyle, tracić kontaktu z postępem w medycynie. Wciąż sobie powtarzam, że pięćdziesiąt pięć lat to żaden wiek, że kiedy byłem stażystą, uważano, że chirurg osiąga szczytową formę dopiero koło sześćdziesiątki. Obecnie jednak... David chce, żebym odszedł. Czuję to, wiem... Cała ta gadanina o budzecie to tylko zasłona dymna. Ale ja nie chcę przechodzić na emeryturę, Liz. Jeszcze nie jestem gotów. Och, zawsze wiedziałem, że w końcu i mnie to czeka, taka jest po prostu kolej rzeczy, lecz było to coś majaczącego w bezpiecznej oddali... coś, co przytrafia się innym, a mnie oszczędzi. Nie chcę iść na emeryturę. Nie chcę spędzić reszty życia na grze w golfa i wspominkach... na oczekiwaniu na śmierć.

- Richardzie! - oburzyła się Elizabeth.

- A na co? Nadmiar wolnego czasu, próżnia, której nie ma czym wypełnić... To przekleństwo, nie dar. Kiedy się nad tym zastanawiam, kiedy myślę, czym będzie życie, zimny pot mnie oblewa. Ogarnia mnie panika, paraliżujący strach... Boję się tych pustych dni.

- Nic mi dotąd nie mówiłeś...

Richarda uderzył ból w jej głosie. -

- Bo to nigdy przedtem nic stanowiło dla mnie próbie-

mu... Nawet nie zdawałem sobie sprawy, co o tym sędzę, dopóki David, jak gdyby mimochodem, nie zaczął czynić subtelnych aluzji do mojego wieku. Przypuszczam, że pomi-jałem ten temat, bo nie chciałem się w niego zagłębiać.

- Ale nie musisz wcale myśleć o tych sprawach w ten jeden jedyny sposób - odezwała się Elizabeth. - Jest wiele rzeczy, które możesz robić. Możesz udzielać konsultacji... Możesz otworzyć praktykę prywatną... Słyszałeś, co mówił Ian? Szukają chirurga. Możesz poświęcić się pracy społecznej...

- Popychać wózki, a potem samemu zasiąść w jednym z nich? Do diabła, Liz, z takimi pomysłami... Przepraszam - dodał, widząc po jej minie, że zrobił jej przykrość.

- Nie obraziłam się.

Nigdy dotąd nie rozmawiali na temat emerytury. Odkąd Sara skończyła szkołę, czas biegł tak szybko, ich życie stało się tak intensywne... i gdyby miała być całkiem szczerą, musiałyby przyznać, że podobnie jak Richard, ona również do-tychczas zakładała, że emerytura jest sprawą odległej przy-szłości.

Elizabeth zawsze wiedziała, jak wiele praca znaczy dla jej męża, lecz uczucia, jakie teraz przed nią odkrył, lęk przed pustką... Mimo całego wykszolenia, mimo doświadczenia ze-branego w podobnych sytuacjach, z którymi spotykała się w swojej pracy, nie wiedziała, jak pokierować rozmową.

- Wiesz, że zawsze żał mi było mężczyzn, którzy, jakby się wyrazić, padali przy kieracie. Nagły atak serca pozbawiał ich dobrze zasłużonego odpoczynku... Teraz niemal im za-droszczę...

- Richardzie!

- Dobrze, już dobrze... David Howarth ma cholerną wła-dzę i może mnie zmusić do emerytury, nawet jeśli jego plan wprowadzenia obowiązkowych badań spali na panewce... - umilkł. Zobaczył, że Elizabeth przygląda mu się coraz bar-dziej zatroskana.

- Jednak pewnego dnia będziesz musiał przejść na emeryturę... Nie możesz...

- Czego nie mogę? - nie pozwolił jej dokończyć Richard.
- Uciec przed losem? - Uśmiechnął się ironicznie. - Sądysz, że sam o tym nie wiem? Powiniennem snuć plany, myśleć konstruktywnie, wyrobić sobie pozytywny stosunek do sprawy, stawić czoło wyzwaniu... Z pewnością takich słów właśnie użyłby nasz nowy kolega psycholog. Boże... Widziałem ich w klubie golfowym, czekających na śmierć, żyjących jedynie wspomnieniami....

- Richardzie, to nie musi wyglądać właśnie tak - wtrąciła Elizabeth.

- Nie potrafię spojrzeć prawdzie w oczy - przyznał ponuro Richard, jak gdyby nie słyszał, co powiedziała. - Nie potrafię żyć bez mojej pracy... bez poczucia celu ani porządku w życiu. Ale jeśli Północny wygra, nie będę miał innego wyjścia.

- Co? Dlaczego?

- Z dwóch powodów. Po pierwsze dlatego, że to przeze mnie szpital przegra. David Howarth nie kryje swojej dezaprobaty dla sposobu, w jaki kieruję finansami naszego oddziału. Uważa, że szastam pieniędzmi... że za mało operuję. Po drugie dlatego, że jeśli w Północnym zorganizują nowoczesne ostre pogotowie wypadkowe, wszystkie poważniejsze operacje będą przeprowadzane właśnie tam, a Ogólny spadnie do drugiej ligi, z młodą kadrą odpowiednią do operowania cięższych przypadków. Wtedy nie będzie już uzasadnienia dla trzymania na posadzie kogoś takiego jak ja. Moja pensja okaże się zbytnim drenażem kasy. Widzisz więc, że czy tak, czy siak znajdę się na straconej pozycji. Pozostanie albo skakać, albo czekać, aż mnie popchną.

- Ale jeszcze nie postanowiono, że Północny dostanie fundusze na utworzenie tego pogotowia. Sądziłam, że ostatnie słowo należy do ministra.

- Słusznie - przyznał Richard z ponurą miną - ale minister posłucha rekomendacji Davida...

- Och, Richardzie...

Pod wpływem współczucia wyrażonego w tym westchnieniu, Richard uśmiechnął się melancholijnie.

- Może Sara miała rację - przyznał - może jestem odrobinę zazdrosny o ciebie, albo wyrażając się ściślej - zazdroszczę tobie...

Elizabeth objęła go mocno.

- Głupstwa pleciesz - powiedziała. - Wiesz o tym.

Richard przytulił się do niej, ucisnął, poczuł nagłą potrzebę otarcia policzka o jej miękkie włosy... Jednak już w następnej chwili, jak gdyby nie mogąc wytrzymać wzruszenia, podniósł głowę i drżącym głosem spytał:

- Co pani sądzi, pani Humphries? Co pani mi radzi? Jakie pani widzi rozwiązanie mojego problemu?

Elizabeth spojrzała na niego i potrząsnęła głową. Jak może mu powiedzieć, że rozwiązania musi szukać w sobie, że musi znaleźć coś, co nada jego życiu sens, który, jak mu się wydaje, straci wraz z pracą.

- Wszystko polega na zmianie nastawienia - powiedziała łagodnie. - A to najłatwiej w świecie powiedzieć, lecz bardzo, bardzo trudno wykonać.

Jak często mówiła te same słowa obcym ludziom, prawiała im kazania, recytowała niczym wyznanie wiary. A tymczasem teraz, kiedy adresowała je do Richarda, wydały się jej tak samo puste i bezużyteczne, jak dla niego życie bez ukochanej pracy.

Bolesna spuścizna

20

- Jesteś pewien, że chcesz iść, Richardzie? - spytała Elizabeth, patrząc badawczo na jego twarz. W ciągu tych kilku ostatnich tygodni dziwnie się postarzał. Nie... nie fizycznie, lecz sprawiał wrażenie, jak gdyby stracił swój zwykły apetyt na życie, energię i wigor, które zawsze sprawiały, że z takim entuzjazmem podejmował rzuconą przez los rękawicę.

- Nie mam wyboru - odpowiedział Richard. - Każda odmowa spotkania się na gruncie towarzyskim z nowym luminarzem naszego szpitala to dla Davida dodatkowy argument przeciwko mnie.

- Widziałeś go już? Mam na myśli tego nowego psychologa.

- Brian przedstawił nas sobie.

Elizabeth zmartwiła się, słysząc ten pełen rezerwy ton. Znała jego przyczynę i wiedziała, że nie jest w stanie pomóc Richardowi.

Może oczywiście słuchać, rozmawiać z nim, sugerować konstruktywne rozwiązania, podpowiadać, jak mógłby próbować opanować lęk przed emeryturą, lecz nie posiadała czarodziejskiej różdżki, za pomocą której mogłaby zmienić bieg wydarzeń. Pocieszenie go, że ma przed sobą jeszcze kilka ładnych lat wypełnionych pracą na nic się nie zda, służy jedynie spychaniu tego problemu na bok, udawaniu, że nie istnieje...

Brian z żoną mieszkali w odległości czternastu, może piętnastu kilometrów od nich, w schludnym nowoczesnym domu

na niewielkim ekskluzywnym osiedlu, które Elizabeth przypisała o lekką klaustrofobię, lecz pasowało do pedantycznego, uporządkowanego charakteru Grace Simmonds.

Mimo różnicy charakterów obie kobiety lubiły się. Grace była o sześć lat młodsza od Elizabeth, lecz zachowywała się jak osoba znacznie starsza. Elizabeth sądziła, iż należała ona do tych kobiet, które czuły się najbezpieczniej, przybierając uznaną obecnie za staroświecką pozę godnej matrony. Jej życie obracało się wokół trójki dzieci, ogródka i brydża, natomiast Brian, wraz ze swoją pracą i golfem, miał w nim ściśle wyznaczone miejsce na uboczu. Nie był to typ małżeńskiego związku, jakiego Elizabeth pragnęłaby dla siebie, lecz w przypadku Simmondsów sprawdzał się.

Znając dobrze Grace, nie była też zaskoczona, kiedy odkryła, że przy stole posadzono ją obok honorowego gościa.

Grace należała do osób instynktownie przybierających postawę obronną i podejrzliwych wobec działań mających na celu leczenie raczej umysłu niż ciała. Dla niej psycholog był kimś, kogo należało unikać i trzymać od siebie z daleka, a ponieważ David przybył sam, a Richard zajmował w hierarchii gości następne miejsce zaraz po nim, Grace uznała za „stosowne”, posadzić jego żonę obok bohatera wieczoru.

- Robi wrażenie całkiem... całkiem normalnego - szepnęła nerwowo przy powitaniu, rzucając przy tym przez ramię spojrzenie w kierunku, gdzie Brian i David stali pogrążeni w rozmowie z szatynem, który, jak się domyśliła Elizabeth, musiał być owym nowym psychologiem. - Szkoda tylko, że nie jest żonaty... - dodała, zwracając się już do samej Elizabeth, gdyż Richard je opuścił - ... bo to taka niezręczna sytuacja, chociaż, David też jest sam, więc liczba gości i tak jest parzysta... Myślałam nawet, żeby kogoś jeszcze zaprosić dla równowagi, ale bałam się ryzykować... No, ale z drugiej strony to kolacja bardziej oficjalna niż towarzyska, prawda? W takich sprawach Brian jest zupełnie bezużyteczny... - do-

dała zaafierowana, rzucając niespokojne spojrzenie w stronę męża.

- Jestem przekonana, że podjęłaś słuszną decyzję - powiedziała taktownie Elizabeth, chcąc ją uspokoić.

- Koszmarna baba - mruknął pod nosem Richard, kiedy do niego dołączyła. - Nie wiem, jak Brian z nią tyle lat wytrzymał i jeszcze jej nie zamordował.

Elizabeth nie skomentowała tej uwagi. Wiedziała, że ten wybuch spowodowany był bardziej wewnętrznym napięciem niż brakiem sympatii do Grace.

- Och! Świetnie się składa. Miałem nadzieję, że uda mi się z tobą porozmawiać...

Elizabeth zdziwiła się w duchu, lecz uśmiechnęła się do Blake'a Hamiltona, który po dżentelmeńsku przysunął jej krzesło. Blake nie czekał, aż Brian go przedstawi, lecz, widząc nowoprzybyłych, szybko przeprosił swoich rozmówców i podszedł do Richarda i do niej.

Jego atrakcyjna powierzchowność nie zrobiła większego wrażenia na Elizabeth - poślubiła przecież wyjątkowo przystojnego mężczyznę - ale jego serdeczność i bezpośredniość mile ją zaskoczyły.

Miała okazję spotykać rozmaitych psychologów, zarówno na gruncie towarzyskim, jako żona lekarza, jak i zawodowym, i w przeciwieństwie do Grace ani nie peszyła się, ani nie odczuwała specjalnego lęku w ich obecności. Co zauważyła natomiast jako ich zawodową cechę wspólną, i co pragnęła w sobie wyrobić, to umiejętność dystansowania się od zabarwionego emocjami punktu widzenia innych ludzi.

Blake Hamilton jednak emanował niespodziewanym ciepłem i wdziękiem, które, jak podpowiadała jej kobieca intuicja, nie były ani udawane, ani powierzchowne. Mimo lat spędzonych w Stanach Zjednoczonych w jego wymowie nie słychać było cienia amerykańskiego akcentu, a w zachowaniu

nie dostrzegła ani śladu aroganckiego przeświadczenia, jakim to zaszczytem jest dla ich prowincjonalnego szpitala pozyskanie specjalisty tej miary co on.

Rozbawiła ją natomiast prawie bałwochwalcza atencja, z jaką David odnosił się do nowego pracownika. Rozbawiła i jednocześnie zabolęła, kiedy porównała owo płaszczenie się przed młodym człowiekiem ze sposobem, w jaki Howarth zaczął ostatnio traktować Richarda.

Blake natomiast dokładał wszelkich starań, aby włączyć Richarda do rozmowy i zwracał się wciąż do niego, ignorując niemal Davida.

- Twój mąż jest wybitnym chirurgiem - wtrącił podczas pierwszego dania.

- Tak - przyznała Elizabeth, wiedząc, że to szczerza prawda.

David natomiast, który słyszał tę wymianę zdań, skrzywił się, wyraźnie niezadowolony z tych komplementów.

- I na dodatek obdarzony ogromną inwencją - ciągnął Blake. - Dziś rano rozmawiałem z jedną z jego pacjentek, kobietą czekającą na bardzo poważną operację piersi. Zwierzyła mi się, że Richard specjalnie tak zaplanował termin zabiegu, aby przypaść w najkorzystniejszym momencie jej miesięcznego cyklu.

Z lewej strony Elizabeth rozległo się ciche szydercze prychnięcie, lecz nie odwróciła głowy ani żadnym gestem nie zdradziła, że je dosłyszała.

- Otóż Richard czytał w literaturze fachowej artykuł sugerujący, że w pewnych fazach cyklu menstruacyjnego kobiety mają większe szanse wyzdrowienia. Kierując się zatem dobrem tej pacjentki, szczególnie, że jej operacja jest bardzo poważna, wziął tę okoliczność pod uwagę. Dla kobiety amputacja piersi jest ogromnym wstrząsem, nawet jeśli psychicznie jest na to przygotowana...

- To zrozumiałe...

- Dostosowywać termin operacji do faz cyklu menstruacyjnego...? Słyszałem, o czym pan mówił, kolego - wtrącił David kąśliwie. - Mój Boże... Nic dziwnego, że szpital boryka się z tak wieloma problemami... Może byś zaczął terapię od personelu, zamiast zajmować się pacjentami, co, Blake? - dodał niby żartem.

Elizabeth doskonale wiedziała, że Richard musiał słyszeć, o czym była mowa w tym końcu stołu. Zdusiła w sobie złość. Komentarz Davida potwierdzał tylko słusność opinii, jaką miała o nim od dawna, lecz nie podejrzewała, że wykorzysta on tę na wpół towarzyską okazję, aby upokorzyć Richarda.

- Wręcz przeciwnie - usłyszała teraz chłodną odpowiedź Blake'a. - Moim zdaniem Richardowi należy się chwała za dalekowzroczność. Zbyt wielu ludzi, biorąc skalpel do ręki, zapomina o tym, że istota ludzka składa się z czegoś więcej niż samo ciało. Z ogromną ciekawością będę obserwował, czy pacjentka Richarda szybciej zacznie odzyskiwać zdrowie fizyczne i równowagę psychiczną niż kobieta w Szpitalu Północnym, która przeszła o wiele lżejszy zabieg. Bo przecież po co w ogóle jesteśmy, jeśli nie po to, aby pomagać ludziom nie tylko utrzymać się przy życiu, lecz także żeby sprawić, by to życie mieli lepsze i szczęśliwsze. Leczenie pacjenta nie polega jedynie na wycięciu kawałka chorego organu i chirurgicznym obdarzeniu myśleniem perspektywnym, ci którzy osiągają najwyższą wyleczalność, dostrzegają ten fakt.

David milczał, lecz Elizabeth czuła jego tłumioną irytację. Zastanawiała się, lekko przerażona, ile nieumyślnej szkody owe niespodziewane peany na temat Richarda wyrządzą jego sprawie.

Pragnąc koniecznie sprowadzić rozmowę na bezpieczniejsze tory, zapytała:

- Znalazłeś już sobie dom, Blake? Mieszkanie czy...?

- Tak - oświadczył. - Ale dom to najmniejszy kłopot. Powodem, dla którego wróciłem do kraju, było to, że całkiem

nagle i kompletnie niespodziewanie stałem się jedynym opiekunem córeczki zmarłej kuzynki. Przyznam się, że zupełnie zapomniałem o istnieniu Annie, aż pewnego dnia otrzymałem wiadomość o śmierci jej obojga rodziców. Moja kuzynka zawsze była trochę zbuntowana - ciągnął. - Kiedy poznała grupę azylantów, uchodźców z Ameryki Południowej, rzuciła studia i zaangażowała się w prowadzoną przez nich działalność polityczną. Wysłali ją do swojego kraju i tam poznała przyszłego męża, pomogła mu nawet uciec z więzienia. Na szczęście udało im się wyjechać, zanim ich złapano. Kiedy Lisa wyszła za mąż za Miguela, bałem się, że on wykorzystał ją jedynie dla swoich celów, lecz myliłem się - oni naprawdę bardzo się kochali. Oboje impulsywni... gotowi na każde ryzyko... Niebezpieczeństwo i emocje były im potrzebne do życia niczym powietrze i pożywienie. W Leeds mieli przyjaciół, też uchodźców, zamieszkali więc blisko nich. Jest to bardzo ściśle ze sobą powiązana, całkowicie poświęcona działalności politycznej grupa ludzi, których jedynym celem życiowym stała się niepodległość ich kraju. Obawiam się, że to cel idealistyczny i niemożliwy do osiągnięcia, lecz Lisa poświęciła się mu bez reszty. Na szczęście Annie urodziła się w tym kraju i ma brytyjskie obywatelstwo - dodał i westchnął z wyraźną ulgą. - Moja kuzynka była zawsze sensatką i kiedy zwróciła się do mnie z prośbą, czy zostanę ojcem chrzestnym i czy może wyznaczyć mnie na prawnego opiekuna Annie, wtrącała do rozmowy mnóstwo aluzji o politycznych zamachach i tak dalej... Przyznam szczerze, że zgodziłem się, bo to było najprostsze, co mogłem zrobić. Ona z taką pasją poświęcała się temu, w co wierzyła... Nigdy nie spodziewałem się, że ich życie zostanie tak nagle przerwane...

- To straszne... - wtrąciła Elizabeth. - Czyta się o tym w gazetach...

- Nie, nie. To nie było, tak jak myślisz - uspokoił ją Blake. - Śmierć Lisy i Miguela nie miała żadnego związku z po-

lityką, była bardziej... przyziemna. Ot, wypadek samochodowy. W całej tej grupie wszyscy klepali biedę i po wypadku policja stwierdziła, że nie rozumieją, jak samochód Lisy w ogóle jeszcze jeździł. Oczywiście nie mieli opłaconego podatku drogowego, żadnego ubezpieczenia, niczego. Tego typu biurokratyczne wymogi były dla Lisy przekleństwem systemu i nie zastosowałyby się do nich, nawet gdyby było ją stać na związane z nimi koszty. Nie muszę dodawać, że Annie w żaden sposób nie była zabezpieczona, że mieszkanie wynajmowali i żyli z dnia na dzień... Podejrzewam, że tak samo jak ja, Lisa nawet nie pamiętała, iż ustanowiła mnie kiedyś opiekunem swojej córki, lecz w świetle prawa nim jestem, chociaż dziewczynka mnie nawet nie zna.

- Ale jeśli to była tak ściśle ze sobą powiązana grupa ludzi, to z pewnością...

- Otóż nie - przerwał jej Blake, odgadując, co miała na myśli. - Jak powiedziałem, życie wszystkich podporządkowane jest jednemu celowi, czyli dążeniu do obalenia rządu ich kraju. A dzieci, na pewno bardzo kochane i chciane, pozostawione są w znacznej mierze samym sobie, niektóre nie potrafią nawet płynnie mówić po angielsku, nie wspominając już o tym, że nikt nie pilnuje, czy chodzą do szkoły. Nie ma mowy, aby sąd opiekuńczy zgodził się na to, żeby Annie pozostała w tym środowisku. I dlatego właśnie wróciłem...

- Ale nie jesteś pewien, czy to słuszna decyzja? - odgadła Elizabeth.

Blake uśmiechnął się blado w odpowiedzi.

- Czy to aż tak bardzo rzuca się w oczy? - spytał. - Muszę przyznać, że zareagowałem pod wpływem impulsu, a to nie zawsze jest najmądrzejsze. W oczach prawa jestem odpowiedzialny za dziewczynkę, nic tego faktu nie zmieni, ale sąd opiekuńczy dał mi jasno do zrozumienia, że nie są najbardziej zadowoleni z takiego obrotu sprawy. Dla dziecka, dla każdego dziecka, utrata rodziców jest tragedią, a dodawanie do niej

kolejnego urazu spowodowanego oderwaniem od środowiska, które zna, i przeniesienie go w całkowicie obce, nowe otoczenie, wywiezienie do innego kraju, co by się stało, gdybym postanowił zabrać Annie ze sobą do Ameryki... - umilkł i pokręcił głową. - Szczęśliwym zbiegiem okoliczności mój kontrakt w Stanach wygasł. Załatwianie wszystkich formalności na odległość byłoby niemożliwe, więc przyjechałem... No i zabrałem się do szukania posady w okolicy odpowiedniej dla dziecka takiego jak Annie...

Elizabeth uznała, że to wyjaśnia całkowicie powód przyjęcia przez specjalistę tej miary co Blake oferty pracy w tutajszym szpitalu.

- Początki z pewnością nie będą dla Annie łatwe... - mówił dalej.

- Ani dla ciebie - uzupełniła Elizabeth.

- To prawda - przyznał i spojrział na nią z namysłem. - Bardzo łatwo doradzać innym, żeby nie podejmowali życiowych decyzji w afekcie, lecz znacznie trudniej samemu zastosować się do tej rady.

- Czy naprawdę nie było nikogo innego, kto mógłby wziąć dziewczynkę do siebie... kogoś bliżej z nią związanego? - spytała Elizabeth.

- Niestety nie. Alternatywa jest następująca: albo rodzina zastępcza, albo ja. Kurator dał jasno do zrozumienia, że skłania się ku temu pierwszemu rozwiązaniu. Sama więc widzisz... Znalezienie domu to, jak już powiedziałem, drobiazg w porównaniu z drugim zadaniem, przed którym stoję. Otóż muszę znaleźć kogoś, kto ofiaruje małej to, czego ja w sposób oczywisty nie mogę jej dać, czyli swój czas - zwierzał się dalej. - Czas, opiekę, poczucie bezpieczeństwa, pewność, że w dzień czy w nocy, ktoś nad nią czuwa. Tego potrzebuje najbardziej i dlatego nie chcę, aby trafiła do domu dziecka czy do rodziny zastępczej. Annie potrzebny jest ktoś gotowy zastąpić jej rodzoną matkę, ktoś, kto by ją kochał i dał jej to

poczucie bezpieczeństwa, którego ona tak łaknie. Wszystkie agencje, do których się zwracałem, kontaktowały mnie dotąd albo z gospodyniami, paniami w średnim wieku z teką znakomitych referencji, osobami, które, jak podejrzewam, bardziej by dbały o nieskazitelną czystość i porządek niż o dobro dziecka, albo z zagranicznymi *au pair*, które z kolei na pewno bardziej interesowałyby się chłopakami niż małą dziewczynką. Mnie... a właściwie - Annie potrzebna jest kobieta, która wie, co znaczy być matką, kobieta na tyle dorosła, aby, kiedy potrzeba, okazywać zdecydowanie i wymagać dyscypliny, i na tyle młoda, aby znaleźć wspólny język i zdobyć zaufanie jedenastolatki. Kobieta obdarzona ciepłem i tchnąca macierzyńską miłością, dla której to zajęcie będzie czymś więcej niż pracą...

- Wydaje mi się, że znam taką właśnie osobę - rzekła Elizabeth spokojnym tonem. Zobaczywszy zdumienie w oczach Blake'a, szybko wyjaśniła: - To moja klientka... jest dokładnie taka, jak opisałeś. Ma dwoje własnych dzieci... dwóch chłopców, obecnie w internacie... Czy to nie będzie ci przeszkadzało? - zaniepokoiła się nagle. - Wakacje...?

- Nie - odparł Blake - jeśli się nadaje. Prawdę mówiąc, kontakt z innymi dziećmi jest Annie bardzo potrzebny. Ale jestem pewien, że kobieta, którą stać na posłanie synów do szkoły z internatem, nie...

- Tak postanowił jej mąż, nie ona, a obecnie są tam nadal, ponieważ... Widzisz, całkiem niedawno jej mąż popełnił samobójstwo, zostawiając ją w dramatycznej sytuacji finansowej, z perspektywą wyrzucenia z domu włącznie... - umilkła na moment i dodała: - Jeśli uważasz, że za bardzo się wtrącam i że ona ci nie odpowiada, to...

- Nie, nie. Wręcz przeciwnie. Uczciwie przyznam, że wolę polegać na twojej opinii niż na agencjach, a z całą pewnością nie będzie gorsza od kandydatek, z którymi już przepro-

wadziłem rozmowy wstępne. Jeśli więc istotnie uważasz, że ta oferta ją zainteresuje...

- Skontaktuję się z nią - zaproponowała Elizabeth - wyłuszczyć, o co chodzi, i namówię, żeby ewentualnie do ciebie zatelefonowała...

- Koniecznie. Tu jest mój numer... - Na wyrwanej z notesu kartce zapisał serię cyfr. - Przepraszam, ale nie miałem czasu zamówić wizytówek...

Wkładając karteczkę do torebki, Elizabeth pomyślała, że propozycja Blake'a jest idealnym rozwiązaniem dla Fiony Rycart, a Fiona idealną osobą do opieki nad sierotą. Jest osobą, która instynktownie przyciąga do piersi kulawe kaczątko i inne ofiary losu, szczególnie jeśli na dodatek są dziećmi. Posiada właśnie to wewnętrzne ciepło, autentyczne współczucie, jakiego potrzebują.

- O czym tak żywo rozmawialiście z Blake'em? - spytał Richard w samochodzie, kiedy wracali do domu.

Elizabeth opowiedziała mu.

- Mhm... cała ta sprawa świadczy, że to przyzwoity chłop. Miejmy tylko nadzieję, że nie przeliczył się z siłami...

- Jest pełen entuzjazmu dla waszego nowego pogotowia - powiedziała Elizabeth. - Słyszałam, jak mówił Davidowi, że dobrze by było przewidzieć w nim dodatkowy etat dla psychoterapeuty.

- Tak. Mnie też o tym napomknął. Sondowałem, co o tym myślę. Wywnioskowałem, że w Północnym nie są zbyt entuzjastycznie nastawieni do pomysłu, żeby ktoś obcy wtrącał im swoje trzy grosze. Osobiście uważam, że ma rację. Ludziom trzeba nastawiać nie tylko połamane kości. Cóż, będzie miał ciężki orzech do zgryzienia, jeśli zechce przekonać Davida... Jemu nie spodoba się perspektywa nowych wydatków.

- Blake sprawił na mnie wrażenie człowieka, który znakomicie umie sobie radzić z takimi osobami jak David - rzekła

Elizabeth rozsądnie. - A David odrobinę się go boi i nie uczyni niczego, co by zniechęciło Blake'a i doprowadziło do zerwania kontraktu. Nigdy nie wiadomo... Mając Blake'a w Ogólnym, David może nagle zmienić front i przychylić się do pomysłu otwarcia pogotowia właśnie u was.

- Och tak... David jest bardzo dumny z pozyskania Blake'a dla naszego szpitala, ale zgodzi się na ostre pogotowie tylko pod warunkiem, że ja odejdę. Słyszałaś, jak się o mnie wypowiada... Na własne oczy widziałaś... - Dobry humor Richarda natychmiast gdzieś uleciał. - On chce się mnie pozbyć, Liz. I daje to jasno do zrozumienia.

- Przecież nie może cię zmusić...

- Nie, ale doskonale wie, że Ogólny potrzebuje tego pogotowia o wiele bardziej niż mnie.

- Och, Richardzie...

Blake nigdy nie lubił proszonych kolacji. Zbyt natrętnie przywodziły na myśl osoby i wydarzenia, o których wolałyby zapomnieć. Kojarzyły się ze stylem życia i typem ludzi, jakich nigdy nie darzył sympatią.

Kiedy dorastał, nie chodził na przyjęcia; jego matka, pracująca wdowa, nie obracała się w takich kręgach. Kiedy był chłopcem, przyjęcia i ludzi, którzy je wydawali, otaczała aura tajemniczości i snobistycznej ekskluzywności, przynależności do kasty, dla której żywił raczej pogardę niż zazdrość. Jego matkę natomiast odwiedzali przyjaciele, którzy po prostu wpadali i zostawali na obiedzie czy kolacji. We wspomnieniach dom dzieciństwa pełen był hałasu, śmiechu, rozmów, dowcipów i dobrego jedzenia; był to dom, w którym, siedząc cichutko, z boku przysłuchiwał się, jak matka udzielała dobrych rad, słuchała, rozmawiała, dyskutowała.

Czy już wówczas to się zaczęło? Owa fascynacja nadziejami i marzeniami innych, tym wszystkim, co się roi w ludzkich umysłach?

Oczywiście, owe szczęśliwe wspomnienia dotyczyły okresu, kiedy ojciec żył jeszcze, a matka cieszyła się dobrym zdrowiem.

Obecnie już nie żyła. Zmarła, kiedy Blake był na ostatnim roku studiów, a w pół roku później... Umysł, słuchając zakodowanego nakazu, automatycznie skierował myśli na inny tor.

Proszone przyjęcia dawno straciły mistyczną otoczkę, już nie stanowiły elementu świata i stylu życia niedostępnego dla niego; teraz to raczej on odsuwał ten świat od siebie. Sztwność i ustawiczna dbałość o formy irytowały go i kępowały. Uważał tego rodzaju okazje za rezerwat przestarzałych stereotypów, arenę, na której uzewnętrzniały się najgorsze cechy pewnego gatunku ludzi.

Jak w takiej atmosferze może komukolwiek smakować jedzenie, dziwił się. To dlatego kobiety pokroju Grace Simmonds robią wrażenie tak załężnionych.

Uśmiechnął się w duchu na myśl, że kiedyś czułby się w tym towarzystwie nie tylko załężniony, ale agresywnie najeżony.

Podczas lat spędzonych na uniwersytecie miał tendencję do traktowania bogactwa i życiowego sukcesu z pewną dozą pogardy i podejrzliwości. Nadal nie uważał, że ogniskowanie całej energii życiowej na zdobywaniu pieniędzy i statusu jest czymś chwalebny ani godnym podziwu, lecz obecnie jego zastrzeżenia wynikały z całkiem odmiennych pobudek niż dawniej.

Pieniądze są potrzebne, aby żyć, lecz aby żyć godnie, potrzebne jest jeszcze coś więcej, coś, co pochodzi z wnętrza człowieka i czego nie można kupić.

Wiele czasu zajęło mu zrozumienie tej prawdy, a jeszcze więcej zastosowanie jej w praktyce. W jego życiu był cały stracony okres, lata zaślepienia mrocznym, gorzkim buntem i gniewem, gdy uparcie nie chciał uwierzyć, że zadania, jakie

przed sobą postawił, cel, jaki sobie wyznaczył, nie był tym celem, jakiego pragnął.

Z perspektywy czasu łatwo dostrzec, jak bardzo wyniszczające psychicznie było owo zachowanie... Dzięki nabytej wiedzy o samym sobie, owej pogłębionej samoświadomości, wiele rzeczy widzi się jak na dłoni...

Ogarnięty smutkiem Blake przymknął oczy.

Nie powiedział Elizabeth Humphries całej prawdy o motywach przyjazdu w te strony i zaangażowaniu się do pracy w Szpitalu Ogólnym. Z jego stosunkami w środowisku medycznym z łatwością otrzymałby posadę w którymś z prestiżowych szpitali klinicznych, mógłby zostać konsultantem, rozwinąć praktykę na w pół prywatną... Z pewnością byłyby to zajęcia o wiele bardziej lukratywne, nie tylko z punktu widzenia finansów lecz i zawodowej kariery.

Jego jednak przywiodło w te strony coś o wiele ważniejszego od pieniędzy i laurów. Kiedy zobaczył ogłoszenie o posadzie w Ogólnym, jedynie przelotnie rzucił na nie okiem, lecz kiedy uzmysłowił sobie, gdzie się ów szpital znajduje...

Uśmiechnął się do siebie na myśl o tym, jak zareagowałyby większość jego kolegów, gdyby przyznał im się, iż pozwolił przeznaczeniu ingerować w swoje życie. Nie, nie tylko pozwolił, kurczowo uchwycił się szansy, jaką los mu podsunął, a to zasadnicza różnica...

Podjęcie opieki nad Annie oznaczało przebudowanie całego jego życia i kiedy otrząsnął się z pierwszego szoku wywołanego uświadomieniem sobie tego faktu, doszedł do wniosku, że najwyższy czas przetasować nie tylko zewnętrzne układy, lecz również własne wnętrze.

Zbyt długo żył uwięziony w przeszłości, z bagażem stłumionych uczuć, których wyrzekł się z lęku przed bólem, jaki mogłoby spowodować wydobywanie ich na powierzchnię.

Wrócił gotów stawić czoło przeszłości, stanąć do walki i wygnać demona.

Nie, nie w sensie biblijnym... uśmiechnął się do siebie z autoironią. Nie, szansa, aby kiedykolwiek dane mu było to uczynić, była bardzo niska. W gruncie rzeczy, czy chciałby tego dokonać? - zastanawiał się.

Odsunął od siebie tę kwestię, nie znalazłszy odpowiedzi. Nie wrócił tutaj, aby rozczulać się nad sobą, lecz żeby rozprawić się z pewnymi epizodami z dawnego życia.

Zanalizował, zrozumiał i przebaczył wiele, lecz pewnych spraw nigdy naprawdę nie zapomniał, nie wymazał z tablic pamięci; przeszłość tak głęboko przeniknęła do tkanki jego osobowości, że usunięcie jej było już niemożliwe.

Lata spędzone w Ameryce dobrze mu zrobiły, pod każdym względem... Wyjechał po śmierci matki, uciekł z początku na pewien czas tylko, znalazł miejsce, gdzie harówką i determinacją mógł dokonać całkowitej transformacji siebie i wrócić niemal jako mityczny bohater, zwycięzca w złotej zbroi... Jednak ciężar złota ugniatał mu barki, blask gwałt nie podświetlany wewnętrznym światłem, lecz trawiony pustką, o której tylko on wiedział... A potem nie było już powodu, aby wracać, nie było komu zaimponować sukcesem, splendorem, sławą...

Tak więc został w Kalifornii, a kiedy jedna ze stażystek dała mu do zrozumienia, że jest chętna, otworzył ramiona i zaczął sobie wmawiać, że gibkość jej opalonego ciała, jedwabistość czarnych loków, namiętne spojrzenie smolistych oczu, powab i kokieteria, są godną rekompensatą za to wszystko, co utracił.

Przeżyli wspólnie trzy lata. Potem ona rzuciła go dla mężczyzny o dwadzieścia lat starszego, który, jak wyznała z rozbrajającą szczerością, będzie dla niej takim mężem, jakim on nigdy nie zdołałby zostać.

W dniu ich ślubu, śledząc wydarzenia jako pozostający na uboczu obserwator, ze zdziwieniem stwierdził, że to wszystko jego jak gdyby wcale nie dotyczy... nie wzrusza...

Mieszkał nadal w Kalifornii, kiedy odwiedził go Michael Waverly, lecz po jego wyjeździe długo już tam nie został. Zaczął odczuwać lekki przesyt kalifornijskim stylem życia.

Potrzebował czegoś zdrowszego, bardziej pożywnego, sycającego i dlatego przeniósł się na północ i rozpoczął nowy okres w życiu, chociaż zabrał ze sobą багаż wspomnień, obciążony teraz nowym poczuciem winy.

Do pewnego stopnia wciąż ten багаż wszędzie ze sobą woził. Koło się zamknęło. Wrócił do punktu wyjścia - do Annie i mocnego postanowienia wypełnienia obietnicy tak bez troski danej kiedyś jej matce.

Nic nigdy nie zrekompensuje dziewczynce utraty rodziców, niemniej on jest jej jedynym żyjącym krewnym i uważa, że zasługuje na lepszy los niż bezosobowy dom dziecka czy inna forma zinstytucjonalizowanej opieki.

Tylko żeby mu pozwolili...

Sytuacja byłaby inna, gdyby był żonaty, powiedziała pani kurator, i z jej miny wyczytał, co o tym myśli. Nie pierwszy raz w życiu widział owo podejrzliwe i krytyczne spojrzenie.

Wiedział, że nieżonaty mężczyzna w jego wieku należy do rzadkości i że u każdego człowieka obdarzonego wybujałą wyobraźnią rodzi się podejrzenie co do jego seksualnej orientacji czy zdolności założenia normalnej rodziny. Nawet najbardziej prostolinijni i dobronasi ludzie zaczynają sądzić, że może posiada jakąś wrodzoną wadę charakteru uniemożliwiającą mu otoczenie drugiej osoby trwałym uczuciem, zbudowanie trwałych więzów.

W dzisiejszym nowoczesnym społeczeństwie jednym z najcięższych grzechów jest emocjonalna niezależność. Ciekawe, jak wielu ludzi myli oziębłość z urazem wywołanym zbyt silnymi uczuciami. Oziębli ludzie nie żyją w ciągłym strachu przed nowym bólem...

Tradycyjna obyczajowość, myślał gorzko, nie pozwala

mężczyznom na przeżywanie tego rodzaju mąk. Ich rolą jest zadawanie ran, i pozostawianie ofiary na pastwę cierpienia.

Przedstawiciele jego płci opanowali sztukę odchodzenia do perfekcji, lecz, jak wiedział i z doświadczenia w pracy, i z autopsji, wraz z odejściem problem nie znikał. Można odejść od drugiego człowieka, od własnego serca nie.

Blake przysiadł na brzegu łóżka i zamknął oczy.

Może ten powrót do Anglii nie był wcale takim dobrym pomysłem, zastanawiał się. Obudził w nim zbyt wiele wspomnień, na nowo wyostrzył obrazy, których kontury udało mu się zatrzeć dopiero po wielu latach. Nie miało sensu powtarzanie dobrze znanych prawd, że nie wstępuje się dwa razy do tej samej rzeki...

A nawet gdyby było mu to dane, w którym momencie postąpiłby inaczej? Co by mu to dało? Kilka godzin rozkoszy i wyrzuty sumienia na wiele lat. Wówczas istotnie zabawiłby się w pana życia i śmierci, ze wszystkimi kryjącymi się w tym tragicznymi konsekwencjami.

Dziwne, że dopiero kiedy było za późno, uświadomił sobie, jak bardzo jest podatny na ciosy i jak łatwo go zranić. Wówczas jednak zakładał, że ból, nawet tak intensywny, kiedyś w końcu minie, że kiedyś pokocha lepiej i mądrzej.

Mógłby powiedzieć pani kurator, że trwa w beżennym stanie, ponieważ nie wierzył we własną zdolność znalezienia kobiety, którą obdarzyłby szczerą miłością.

- Boże, Blake, jesteś takim śmiesznym idealistą - powiedziała mu z pogardą ostatnia kochanka. - Ludzie w naszym wieku nie zakochują się, chyba że są żałośnie niesamodzielnymi...

Była rdzenną mieszkanką Nowego Jorku, olśniewająco piękną, kruchą, dowcipną, inteligentną... bardzo seksowną, lecz zimną... Należała do tego typu kobiet, z którymi lubił się wiązać, gdyż wiedział, że nie będą po nim oczekiwać tego, czego nie mógł im ofiarować.

Ostateczną przyczyną zerwania nie był jednak wzajemny brak miłości, lecz jego słabnące zainteresowanie seksem.

Seks bez prawdziwej miłości już go nie pociągał; stał się nałogiem, który rzucił bez żalu, głodem, którego już nie musiał zaspokajać.

Jego partnerka twierdziła, że zmienił go pobyt w Rumunii, i może miała rację. Kiedy odpowiedział na apel ONZ skierowany do lekarzy, aby poświęcili wolny czas ofiarom totalitarnego reżimu, nie wiedział, czego oczekiwać. Wkrótce się przekonał.

Blake'owi ludzkie cierpienie nie było obce, lecz tamte dzieci, większość z nich jeszcze prawie niemowlęta... ich ogromne, przerażone oczy w maleńkich, umorusanych twarzyczkach...

Nie tyle zmienił swoje spojrzenie na świat, co utwierdził się w tym, co już wiedział i czuł, zaakceptował pewne aspekty własnej osobowości i własne potrzeby emocjonalne. Chciał dawać miłość, dzielić się z nią. Ale nie taką, na jaką nie było go stać. Skoro nie mógł ofiarować nic kobietom, niechże da coś z siebie dzieciom.

To znowu przywiódło go do rozmyślań o Annie.

- Dlaczego chce pan wziąć dziewczynkę do siebie? - pytała dociekliwie pani kurator.

Bo ona mnie potrzebuje, mógłby odpowiedzieć, lecz taki powód był zbyt prosty i jednocześnie zbyt zagmatwany. Mógłby tej kobiecie jedynie wytłumaczyć, że w oczach Annie dojrzał ten sam wyraz, co w oczach rumuńskich dzieci, że wie, iż ona potrzebuje kogoś wyłącznie dla siebie, kogoś, kto otoczy ją miłością, a nie tylko poświęci czas na zabiegi terapeutyczne, kogoś, kto da jej coś, czego nigdy nie zaznała.

Nie, nie uważał, że Lisa i Miguel byli złymi rodzicami, lecz w ich życiu co innego było ważniejsze. Fizycznie byli z Annie, a psychicznie...?

Rodzina zastępcza, nawet najlepsza, nie była odpowied-

nim miejscem dla jedenastoletniej dziewczynki. Wiedział to jako człowiek i jako psycholog, niemniej pani kurator miała też trochę racji, kiedy dowodziła, że on sam nie jest w stanie zapewnić dziecku takiej opieki, o jakiej mówi.

Da jej dom, zapewni bezpieczeństwo i dobrobyt, ofiaruje miłość, ale nie będzie mógł przebywać z wychowanicą dwadzieścia cztery godziny na dobę. Znalezienie osoby, która dysponuje taką możliwością, okazało się trudniejsze, niż sobie wyobrażał; miał oczywiście na myśli znalezienie właściwej osoby.

Teraz jednak, dzięki Elizabeth Humphries, zaświtała nadzieja, że problem zostanie szczęśliwie rozwiązany. Państwo Humphries zrobili na nim wrażenie dobrze dobranej pary i bardzo zgodnego małżeństwa.

Richard... Blake zachmurzył się. Pierwszorzędny chirurg, podziwiany zarówno przez kolegów lekarzy jak i pacjentów, lecz mający przeciwnika w osobie Davida Howartha. Nie trzeba było wiele czasu, aby dostrzec ową animozję i odgadnąć jej przyczynę.

Blake nie był zadowolony z takiej sytuacji. Ostatnią rzeczą, jakiej w danej chwili pragnął, było wikłanie się w wewnętrzne konflikty szpitala, lecz podobnie jak Richard uważał, że zbytnie ograniczenia finansowe pociągną za sobą niebezpieczne, a nawet zagrażające zdrowiu chorych obniżenie standardów usług i poziomu leczenia.

Dzisiaj David wspomniał, że minister zdrowia ma odwieźć oba szpitale.

- Oficjalnie to ona - minister zdrowia była kobietą - podejmie ostateczną decyzję, gdzie powstanie ostre pogotowie, lecz w rzeczywistości polegać będzie na moim zdaniu - pochwalił się przed nowym pracownikiem.

Blake w zamyśleniu zdjął koszulę i na bosaka począłpał do łazienki.

- Twoje ciało wygląda bardzo, bardzo seksownie - po-

wiedziała mu kiedyś Holly, kiedy pierwszy raz się kochali. A gdy poszli do łóżka ostatni raz, użyła prawie tych samych słów, lecz wypowiedziała je zupełnie innym tonem: - Szkoda, że na wyglądzie się kończy...

Ze znużeniem pomyślał, że wszelkie wprawne i wyrafinowane pieszczoty Holly nie budziły w nim prawdziwego pożądania. A jednak w snach, a bywało, że i na jawie, wystarczyło zamazane wspomnienie pewnej twarzy... głosu, uśmiechu, zapachu... a namiętność wzbierała w nim aż do fizycznego bólu... jak teraz...

RS

Bolesna spuścizna

21

Przez cztery dni Fiona z powodzeniem wmawiała w siebie, że nic się nie stało i że udało jej się zepchnąć myśli o Joelu i o tym wszystkim, co przeżyła w jego ramionach, do małego, mocno opieczetowanego schowka w pamięci, do którego dostęp niedługo zniknie, przysypany bagażem innych doświadczeń. I nagle, piątej nocy od owego wydarzenia, obudziła się z twarzą mokrą od łez, z poczuciem bezmiernej samotności i tęsknoty.

Z jakiego naprawdę powodu płacze, zastanawiała się, usiłując stłumić ów ostry, przenikliwy ból, który ją obudził, owo poczucie utraty nie tylko teraźniejszego i przyszłego życia, lecz również cząstki przeszłości.

Kobieta, która tak intensywnie reagowała na dotyk Joela, nie była tą samą kobietą, która przez tyle lat wiodła żywot biernej żony u boku Andrew. A teraz, kiedy było za późno, pojęła, dlaczego przez te wszystkie lata ukrywała się za ochronną zasłoną owej bierności i uległości. Działo się tak, gdyż zaakceptowanie swoich seksualnych kobiecych potrzeb byłoby dla niej wówczas nie do pomyślenia.

Teraz, kiedy euforia spowodowana uwolnieniem się od krępujących ją więzów i swobodnym okazywaniem swojej zmysłowości minęła, pozostała zimna naga pustka samotności.

Joel jest mężem innej kobiety, kobiety, która, jego zdaniem, go nie kocha.

Ja natomiast go pragnę, uzmysłowiła sobie Fiona. Bardzo, bardzo pragnę.

Wstała i zeszła na dół, żeby zrobić sobie herbaty. Przez kuchenne okno widziała pierwsze blade promienie słoneczne przenikające ciemność. Wydawało się niemożliwe, że przebijają się przez mrok, lecz oczywiście wiedziała, iż w końcu im się to uda.

Odstawiła kubek. Czy naprawdę chodzi mi o Joela, czy po prostu o kogoś, do kogo mogłabym się przytulić, na kogo mogłabym przerzucić swoje problemy, kogoś, kto dałby mi poczucie celu w życiu? Czy naprawdę jestem aż tak słaba, aż tak zastraszona?

Nawet gdyby Joel był wolny i mógł się ze mną związać, ja nie jestem wolna, przyznała uczciwie i szczerze; zbyt wiele niedokończonych spraw mnie obciąża.

A poza tym - pomyślała z melancholijną autoironią, patrząc na blade cytrynowożółte wiosenne słońce, wschodzące na szarym niebie - czy nie powinnam wpierw pokochać samą siebie, zanim spróbuję przekonać się, że Kocham kogoś drugiego?

- Wiosenne porządki - zauważyła z ponurą miną Susie, która pięć godzin później wpadła niespodziewanie, żeby zaprosić przyjaciółkę na lunch i zastała Fionę na drabinie, myjącą okna. - Na twój widok ogarniają mnie wyrzuty sumienia. Ja jeszcze moich nie tknęłam.

- Mmm... Cóż, to raczej terapia niż wypełnianie obowiązków dobrej gospodyni - przyznała się Fiona, schodząc z drabiny i odgarniając włosy z czoła. Susie zauważyła, że przyjaciółka wyszczuplała i wygląda na zmęczoną, lecz jednocześnie emanowała z niej jakaś nowa energia i determinacja.

- Terapia? - zdziwiła się Susie i dodała żartem: - Tobie potrzebny jest mężczyzna, a nie... - urwała. Widząc ból w oczach Fiony, zawstydziała się własnej gafy. - Och, Fifi, przepraszam, nie chciałam być nietaktowna. Wiem, że Andrew był...

- Tu nie chodzi o Andrew - przerwała jej Fiona i skrzywiła się lekko. - Nawet ja nie potrafię być aż taką hipokrytką. Dobrze wiesz, jak wyglądało nasze życie, Susie, nasz związek... - Wstała, podeszła do zlewu i odwrócona plecami do przyjaciółki, ciągnęła: - Nigdy nie martwiłam się zbyt tym, że nasze pożycie małżeńskie nie było zbyt intensywne. Szczerze przyznam, że byłam z tego w pewnym sensie zadowolona. Dziwne, prawda, jak wszystko się zmienia? Dziesięć lat temu najgorszą rzeczą, do jakiej mogłaś się przyznać, to oziębłość płciowa. Każda kobieta, która na pstryknięcie palcami nie przeżywała orgazmu, nie wspominając już o przyznaniu się, że wcale tego nie pragnie, uznana by była przez swoje rówieśniczki za fenomen... kompletną nieudacznicę. No a ja... Cóż, byłam prawie wdzięczna Andrew, że nie chce omawiać ze mną braku wzajemnego popędu; łatwiej mi było udawać, że niczym się nie różnię od innych. Mody jednak mijają i obecnie jest niemal przyjęte, że kobieta przyznaje się do osłabienia swego libido. Oczywiście, zakładając, że na swoje usprawiedliwienie poda bardzo absorbującą karierę zawodową, macierzyństwo i dorzuci jeszcze garść innych powodów... Kłopot ze mną - Fiona odwróciła się teraz twarzą do przyjaciółki i posłała jej melancholijny uśmiech - polega na tym, że ja nie całkiem podążam za modą...

Susie przetrawiła w sobie ten monolog i, z namysłem dobierając słowa, powiedziała:

- Jeśli starasz się dać mi do zrozumienia, że poznałaś kogoś i że chcesz z nim iść do łóżka...

- Chcę i poszłam - przerwała jej Fiona, a po chwili dodała poważnie: - Ale to wszystko. On jest żonaty i, jeśli mam być wobec siebie szczerą, muszę przyznać, że doszło do tego... do tego wybuchu namiętności w dużej mierze dlatego, że oboje potrzebowaliśmy... - zawahała się. - Na tym polega cały kłopot z nami kobietami, prawda, Susie? Prześpijmy się z facetem

i natychmiast dorabiamy do tego czysto fizycznego aktu całą filozofię....

- Chcesz powiedzieć, że zaciągnął cię do łóżka, a potem zostawił? - spytała Susie ze złością. - Co za gnida! Drań...

- Nie... To wcale nie było tak. Ja... on... To ja powiedziałam, że nie wolno nam posunąć się dalej. - Oczy jej zaszczyły łzami, kiedy mówiła: - On był taki czuły, Susie, taki kochający, taki oddany. Sprawił, że poczułam się... poczułam w sobie taką siłę i moc... Dzięki niemu uświadomiłam sobie coś, czego nie nauczyłam się przez dziesięć lat pożycia z Andrew. Wczorajszej nocy obudziłam się pełna tęsknoty... pragnienia... Zazdrościłam jego żonie, nienawidziłam jej za to, że jest taka wobec niego obojętna, zimna, a on jest takim cudownym kochankiem...

- Mógł kłamać, Fifi - ostrzegła ją Susie trzeźwo. - Mężczyźni czasami tak postępują, szczególnie, jeśli...

- Jeśli chcą się przespać z kobietą. Wiem, wiem... - roześmiała się. Jej śmiech rozwiął obawy Susie. - Nie... to wcale nie tak. To nie była żadna intryga z jego strony i od razu wiedziałam, mimo jego prób zaprzeczenia temu, że kocha swoją żonę. A nawet gdyby było przeciwnie, nigdy bym nie chciała rozbijać żadnego małżeństwa. Tylko... tylko to tak boli, kiedy się wie, jak nam było ze sobą dobrze i że to się już nigdy nie powtórzy... Wiem, że to tylko moje ciało tęskni i pragnie go, ale ponieważ jestem kobietą...

- ... i ponieważ akurat teraz bardzo łatwo cię zranić... dopowiedziała Susie. - Och, Fifi... - westchnęła - tak mi cię żal...

Fiona potrząsnęła głową i uśmiechnęła się.

- Nie żałuj mnie. Ja nie rozczulam się nad sobą. Naprawdę. Nawet dziś w nocy, kiedy płakałam z tęsknoty za nim, jakaś część mnie była... - umilkła, nie kończąc. - Kiedy miałam naście lat, byłam na śmierć i życie zakochana w przyjacielu brata. Odrzucił mnie i zostałam żoną Andrew. Myślałam

wówczas, że tylko tamten potrafi mnie podniecić. Odkrycie, że się myliłam, jest niczym wyzwolenie się z klatki, w której tkwiłam tyle lat. Widzisz, trudno to dokładnie wytłumaczyć, ale czuję, jak gdyby władza nad moją zmysłowością, którą mu w podświadomości przekazałam, wróciła do mnie. Teraz ponownie sama mogę wybierać partnera i decydować o swoich reakcjach. Nie martw się - uspokoiła przyjaciółkę, widząc, że Susie przygląda jej się z niepokojem. - W tej chwili odczuwam wszystko bardzo boleśnie, ale wiem, że to minie. Jak grypa. Nawet gdyby Joel był człowiekiem wolnym, dla mnie to jeszcze za wcześnie. Mam wiele spraw do załatwienia, problemów do rozwiązania, i to nie tylko praktycznych, lecz także uczuciowych. Nie współczuj mi zbyt, Susie, sama się wystarczająco nad sobą użalam. Mnie nie potrzeba współczucia, ale miłości. Tak, miłości - powtórzyła i roześmiała się.

- No... Teraz w porządku.

Joel uśmiechnął się z otuchą do małego płowowłosego chłopczyka, który miał kłopot z rowerem. Wstał z ziemi, otrzepał nogawki spodni, wyprostował się i odprowadził odjeżdżającego malca wzrokiem.

Znowu się spóźnię, pomyślał, przechodząc przez parking ośrodka rekreacyjnego i otwierając drzwiczki swojego samochodu.

Świadomość, że jak kiedyś znów sam płaci własny rachunek za benzynę, poprawiała mu samopoczucie.

- Skąd wzięłeś pieniądze? - wszczęła śledztwo Sally, kiedy przyniósł do domu bukiet kwiatów. Podejrzliwość w jej głosie zepsuła mu całą przyjemność z ofiarowania jej drobnego prezentu.

- Zarobiłem - wyjaśnił. - Nie pamiętasz? Mówiłem ci w zeszłym tygodniu, że jedna z matek poprosiła mnie o kilka prywatnych lekcji dla swojej córki.

Bukiet kupił pod wpływem nagłego impulsu. Przypomniał

sobie, jak twarz Sally rozświetla się, kiedy układa w wazonie kwiaty, które od czasu do czasu sama sobie kupuje, tłumacząc, że to jej jedyna przyjemność, której nie potrafi sobie odmówić. Zamiast się jednak ucieszyć, zwymyślała go za wyrzucanie pieniędzy w błoto, zrobiła wściekłą minę, zacisnęła usta i prawie rzuciła wiązankę na blat, omal nie łamiąc delikatnych łodyg.

Joel skrzywił się na wspomnienie tamtej sceny. Przejeżdżając przez centrum, zatrzymał się na czerwonym świetle. Spojrzał w prawo, w kierunku ulicy prowadzącej do domu Fiony.

- Nie wolno nam się widywać - powiedziała mu wtedy i chociaż w jej głosie brzmiało mocne przeświadczenie, wargi jej lekko drżały, a w oczach pojawił się cień smutku. - Sally... twoja żona... Kochasz ją - dodała.

Światła zmieniły się. Zanim uległ pokusie, Joel błyskawicznie ruszył prosto przed siebie.

Nie tylko seks powodował, że w najbardziej nieprawdopodobnych momentach dnia, a jeszcze częściej w nocy, leżąc obok Sally, zwracał myśli ku Fionie. Spodobała mu się jej szczerłość, poczucie humoru, skupienie, z jakim przyglądała mu się i słuchała, kiedy mówił.

- To nic nie znaczy - powiedziała. - To był tylko seks.

Ale Joel wiedział, że kłamała; że to, co było między nimi, mogło, gdyby pozwolili, rozwinąć się w coś o wiele poważniejszego niż zwykły fizyczny popęd.

Bolesny skurcz ścisnął mu gardło, ogarnął go żal, poczucie utraconej szansy. Bez względu na to, jak bardzo się starał nawiązać lepszy kontakt z Sally, ona go wciąż odtrącała.

W zaciszu kuchni Fiony, w ciepłe jej łóżka, znalazł rozkosz i spokój ducha, o jakiego istnieniu całkiem zapomniał. Obejmując ją i przemawiając do niej, wiedział, że go wysłucha, że ceni jego zdanie i poglądy, że ceni jego samego. Poczucie porozumienia z nią, bliskości, w jaskrawych barwach uświadomiło mu pustkę, jaka powstała między nim a Sally.

- Masz żonę... dzieci - tłumaczyła łagodnie Fiona.
Wiedział, co to znaczy.

Pół roku temu wzruszyłby ramionami, odparłby, że dzieci prawie zapomniały o jego istnieniu, że ważniejsza dla nich jest matka, lecz teraz wszystko uległo zmianie. Chociaż Sally jak dawniej krytykowała go za zły stosunek do syna i córki, teraz, zamiast zarzucać mu, że nie interesuje się nimi, że poświęca im zbyt mało czasu, że jest zazdrosny, miała pretensje o to, że je psuje i podważa jej autorytet.

Tak bardzo się zmieniła, że już nie przypominała jego Sally, dziewczyny, w której się zakochał i którą poślubił.

Sally napięła mięśnie na dźwięk otwieranych drzwi.
Joel.

Ostatnio w jego obecności była ciągle podenerwowana, przerażona, że w jakiś sposób mogłaby się zdradzić i Joel odgadłby, w co się zaangażowała. Jednocześnie jednak, bojąc się tak bardzo ujawnienia spotkań z Kennethem, jakąś częścią swojej osobowości czuła się zawiedziona i wręcz zła, że Joel nie ma pojęcia o tym, co się z nią dzieje, jaki przeżywa strach, jaki lęk, który zapala się w niej niczym zygzak błyskawicy) przecinający ciemną chmurę na burzowym niebie i jaskrawym blaskiem wyostrzający kontury zmian, których wolałaby nie dostrzegać.

W niektóre dni miewała uczucie, że owa Sally skłaniająca się ku Kennethowi nie była nią, lecz kimś obcym, niebezpiecznym, kto wstąpił w prawdziwą Sally. Bywały też chwile, kiedy to właśnie życie z Joelem wydawało jej się nierealne i nierzeczywiste.

Czasami, kiedy patrzyła na męża, ogarniała ją panika, że życie wymknęło się jej spod kontroli i wówczas tępy ból przeradzał się w potężną falę złości i pretensji do niego. Za co? Za to, że nie wie, za to, że jest głuchy i ślepy na fakt, iż inny mężczyzna chce mu odebrać żonę.

Ale przecież Joela nie interesują jej uczucia, prawda? Ośrodek rekreacyjny i nowi znajomi, których tam poznał - oto, o czym chce rozmawiać.

Z ukłuciem bólu przypomniała sobie uwagę rzuconą przelotnie przez jedną z pielęgniarek.

Wszyscy wiedzieli, że Donna pyszni się swoją urodą i powodzeniem u mężczyzn i normalnie Sally niezbyt uważnie słuchała tego, co opowiada, lecz wczoraj, zwracając się specjalnie do Sally, powiedziała:

- Widziałam twojego Joela w klubie... Dobrze się prezentuje w kąpielówkach... Nie miałabym nic przeciwko kilku prywatnym lekcjom u niego - dodała.

Joel zawsze był atrakcyjny i Sally zauważała, jakim wzrokiem patrzą na niego kobiety, lecz teraz po raz pierwszy w życiu poczuła się naprawdę zagrożona i zaniepokojona.

Ale właściwie dlaczego? Przecież w obecnej sytuacji najlepiej by było, gdyby znalazł sobie kogoś. Wówczas mogłaby bez poczucia winy odejść z Kennethem.

- Będiesz moją - zapewniał ją Kenneth. - Nie pozwolę ci odejść. Potrzebuję cię, Sally.

Kiedyś była potrzebna Joelowi i dzieciom, ale już nie jest. Obecnie prawie mnie nie zauważają, pomyślała z gorczyzą.

Obserwując dzieci i męża, miewała wrażenie, że jest intruzem, kimś z zewnątrz, niewidzialnym i niechcianym. Ogarniało ją wówczas przerażające poczucie zagubienia, przeniesienia w jakiś nierealny wymiar.

To Kenneth przywracał jej poczucie istnienia w rzeczywistym świecie, wiarę, że jest dla kogoś ważna.

- Ale jak oni dadzą sobie radę beze mnie? - martwiła się, kiedy Kenneth oświadczył, iż chce, żeby opuściła Joela.

- A jak ja sobie poradzę? - pytał natychmiast.

Westchnęła ciężko. To wszystko było takie trudne, takie niesprawiedliwe...

- Spóźniłeś się - powiedziała do Joela, przerywając mu rozmowę z Cathy.

Spojrzenie, jakie jej posłał ponad głową dziewczynki, zabolowało ją.

- Przepraszam - powiedział. - Neil chciał przedyskutować ze mną nowy program treningów, który chce przy mojej pomocy wypróbować i...

- I to było stokroć ważniejsze niż powrót na czas, żebym ja mogła wyjść do pracy - przerwała mu Sally. - Tobie jest wszystko jedno, możesz robić, co chcesz, jesteś panem własnego czasu. Ja nie mam wyboru... Muszę stawić się punktualnie...

Wkładała płaszcz, kiedy zadzwonił telefon. Joel sięgnął po słuchawkę. Zamarła. Spostrzegła, że chmurzy się, potem odkłada słuchawkę z powrotem na widełki.

- Kto to? - spytała. Własny głos wydał jej się dziwnie schrypnięty. Czy Joel zauważył, zastanawiała się.

Najwyraźniej nie zwrócił jednak na to uwagi, gdyż normalnym tonem, bez śladu podejrzliwości na twarzy odparł:

- Nie wiem. Ktokolwiek to był, odwiesił słuchawkę. Pewnie pomyłka.

Kenneth! To musiał być Kenneth. Mimo że go błagała, aby nie telefonował, dzwonił już kilkakrotnie.

Patrząc na Sally, Joel nie pierwszy raz zauważył, jaka jest zmęczona i błada. Widząc, że jej się przygląda, uniosła dłoń i odgarnęła pasmo włosów z czoła. Coś w nim drgnęło.

- Sal... - zaczął.

Podniosła na niego zalękniony wzrok.

- Jutro masz wolne, prawda? Pojedźmy gdzieś... Tylko we dwoje.

- Pojechać gdzieś? Jak? Zapomniałeś, co jutro muszę zrobić? - westchnęła.

- Chyba nie mówisz o tej cholernej tapecie? - spytał. Serdeczność i czułość zniknęła z jego głosu. Na twarzy malowała się złość. - Powiedziałem. Nie tknę tego palcem...

- Wobec tego ja muszę to poprawić za ciebie.

- Sally...

Za późno. Sally była już w drzwiach, najwyraźniej nie chcąc słuchać, co miał jej do powiedzenia.

Czy ona nie rozumie, w jakim świetle mnie stawia? Czy nie może choć raz przyznać mi racji, stanąć po mojej stronie, przyjąć mój punkt widzenia? Nie, ona natychmiast solidaryzuje się z Daphne i nawet nie chce mnie słuchać...

Joel w milczeniu przyglądał się, jak Sally gromadzi potrzebne narzędzia.

Przez cały ranek ani słowem się do niego nie odezwała, traktując go jak powietrze. Kiedy nalał jej kubek herbaty, ostentacyjnie sama przygotowała sobie drugi.

Toczył ze sobą wewnętrzną walkę. Mimo złości odczuwał teraz wyrzuty sumienia. Żałował, że pod wpływem głupiego impulsu nie ujawnił wątpliwości, w którą stronę przyklejać tapetę, ale teraz żadna siła nie zmusi go do pójścia tam i dania Daphne okazji do triumfowania i lekceważenia go po raz drugi. Czy Sally nie widzi, że Daphne go... ich oboje... wykorzystuje? Czy nie widzi, że ustępując siostrze, dostarcza jej argumentów przeciwko niemu?

Spojrzał na jej zgarbione plecy. Wydawała mu się taka zmęczona, taka bezbronna. Postawił kubek i podszedł do niej.

- Dobrze już, Sal - odezwał się. - Ja to zrobię. Ty sobie... Sally odwróciła się ku niemu ze złością.

- Nie! Sądzisz, że pozwolę ci dotknąć się tej tapety po tym, co zrobiłeś za pierwszym razem!?

Wiedziała, że reaguje zbyt impulsywnie, lecz nie mogła się już opanować. Była tak zmęczona i zagubiona, że jej jedynym pragnieniem było przeleżeć cały dzień w łóżku, odizolować się od świata i własnych problemów. Zdawała sobie sprawę z tego, że jakaś cząstka jej pragnęła zmusić Joela do pójścia tam i wykonania całej pracy ponownie, ale teraz, kiedy się

zadeklarował, zdominował ją irracjonalny gniew, jak gdyby Joel, ulegając jej naciskom, zawiódł ją. Jak gdyby tak mało mu na niej zależało, że łatwiej mu przyszło ustąpić, niż zapytać, co się z nią dzieje.

Nie zależy mu na mnie... ta myśl poraziła ją niczym cios w samo serce.

- Nie życzę sobie, żebyś się nawet zbliżała do tej roboty
- usłyszała nagle swój drżący z gniewu głos. - Ani do mnie
- dodała, przesywającym wzrokiem osadzając go w miejscu.

Czekała na jakieś słowo z jego strony, wybuch, żądanie wyjaśnień, lecz Joel przyglądał się jej w milczeniu. Patrzył wpierw na nią, potem poprzez nią, jak gdyby była kimś obcym... nie, nie... jak gdyby była powietrzem.

Potem wyminął ją, podszedł do stołu, wziął kurtkę i kłuczyki do samochodu.

- Gdzie idziesz? - Panika zmieniła jej głos niemal w pisk, lecz Joel, nie odwracając się nawet, rzucił tylko:

- A co cię to obchodzi?

Bolesna spuścizna

22

Przez dwie godziny jeździł bez celu, zanim wreszcie poddał się temu, co od początku chciał zrobić, za czym tęsknił do bólu od momentu, kiedy wybiegł z domu i wsiadł do samochodu.

Na twarzy Fiony, kiedy otworzyła mu drzwi, dostrzegł szok... i coś więcej.

Nie opierała się, kiedy chwycił ją w objęcia, przytuliła się do niego ulegle. Była taka łagodna, szczupła, krucha, ciepła, pachnąca kobiecością...

Siłą woli opanował wzbierające w nim pożądanie i pocałował ją nie namiętnie, lecz delikatnie, powściągliwie... Gdy jednak poczuł, że oddaje mu pocałunek, przywarł mocniej do jej warg.

- Musiałem cię zobaczyć - szepnął, obejmując ją ciaśniej, jak gdyby już nigdy nie chciał wypuścić jej z ramion. Ostatecznie jednak będzie musiał, pomyślała Fiona; ostatecznie oboje będziemy musieli się rozłączyć.

- Nie powinieneś tu przychodzić - odparła. - Uzgodniłiśmy...

- ... że nie możemy zostać kochankami - wpadł jej w słowo. Ujął twarz Fiony w dłonie, unióśł i zajął głąboko w jej oczy. - Ale możemy porozmawiać, prawda? Zostać... Zostać przyjaciółmi...

- Och, Joel - westchnęła. - To, co zaistniało między nami, jest takie nierzeczywiste, wiesz o tym, prawda? - powiedziała ze smutkiem. - To... to marzenie... miraż, jaki oboje wycza-

- Dla mnie jest rzeczywiste - przerwał jej z mocą. - Tak prawdziwe i konkretne, jak ty w moich ramionach... jak bolesna tęsknota, kiedy budzę się w nocy z pragnienia...

- Nie wolno ci mówić takich rzeczy! Jesteś żonaty... Obojętne jak silne byłoby moje uczucie do ciebie, nie mogłabym żyć ze świadomością, że zniszczyłam twoje małżeństwo.

- Małżeństwo? - prychnął z sarkazmem Joel. - Sally i ja już nie jesteśmy małżeństwem. Jak można zniszczyć coś, co nie istnieje?

Fiona czuła, że jej determinacja słabnie. Bliskość jego ciała, niebezpiecznie znajoma woń, emanujące od Joela ciepło, jego namiętność, działały na jej zmysły niczym narkotyki. Na owe zmysły, które dopiero zaczęła poznawać, których sygnały do tej pory celowo w sobie tłumiła. Wszystko to były oznaki budzenia się jej świadomej kobiecości.

Wiedziała, jak bardzo pragnie Joela, wiedziała również, jak bardzo jest bezbronna i bezradna; poza tym przyzwyczajenie nauczyło ją ostrożności, umiaru w oczekiwaniach.

Instynkt podpowiadał, że obojętnie jak bardzo Joel wierzy w to, że jej potrzebuje i w to, że jego małżeństwo legło w gruzach, nadal darzy miłością swoją żonę.

- Nie odpędzaj mnie - błagał. Uniósł do ust dłoń Fiony, zaczął delikatnie całować i pieścić wargami jej wnętrze, przegub...

- Chodźmy do kuchni - powiedziała, ulegając jego próśbom. Miała nadzieję, że bardziej prozaiczne otoczenie ostudzi erotyczne napięcie. Tutaj, u podnóża schodów prowadzących na piętro, pokusa, aby wzięwszy się za ręce, odwrócić się i wspiąć na stopnie, była zbyt silna.

- Wiem, o co mnie podejrzewasz - powiedział Joel sucho, kiedy postawiła przed nim kubek herbaty - ale ja nie przyszedłem po seks. Niech Sally sobie myśli, co chce, ale nie jestem... Ile razy próbuję ją objąć albo dotknąć oskarża mnie, że jestem seksoholikiem, jak gdyby to była dla niej z mojej

strony jakaś kara... jak gdybym egzekwował od niej świadczenia... Leży przy mnie spięta, nieruchoma i chce tylko, żebym szybko skończył... To właśnie jest seks. Oto, w co zamieniła nasze współżycie... My zaś... Cholera! Zapomniałem już, co to za uczucie trzymać w ramionach kobietę, która jest ciepła i czuła, która pragnie mnie tak samo silnie, jak ja jej, która nie odwraca twarzy, kiedy chcę ją pocałować, nie sztywnieje, kiedy dotykam...

Słuchając tej przemowy, Fiona czuła pieczenie łez w gardle. Czy Joel zdaje sobie sprawę, jak z każdym kolejnym słowem się przed nią obnaża? Jego głos, gdy mówił o oziębłości żony, nabrzmiewał złością, tęsknotą i bólem.

Poczuła się nagle zazdrosna o tę nieznaną kobietę. Co za głupia i irracjonalna reakcja, pomyślała. Niemniej - łatwa do przewidzenia.

- Przepraszam - dodał na koniec Joel. - Na pewno nie masz ochoty wysłuchiwać tego wszystkiego.

Nie powinienem chcieć tego słuchać, przyznała w duchu Fiona, chociażby tylko ze względu na własną równowagę psychiczną. Czuła jednak, że śledzi zwierzenia Joela z destrukcyjną, masochistyczną fascynacją.

- Wszystkie związki chyba przez to przechodzą... zmieniają się wraz ze zmianą źródła zasilania - powiedziała i uśmiechnęła się, widząc, w jaki sposób Joel na nią spojrział. - Próbuję wyrobić w sobie dystans do całej tej sprawy - przyznała ze smutkiem i powagą. - Staram się słuchać ciebie jak przyjaciela, nie jak... jak...

- Nie jak kochanka? - podsunął jej Joel. - Nie planowałem tego, co między nami zaszło, Fiono, ale również nie był to jedynie odruch warunkowy... Nie. Gdyby mi chodziło o czysty seks, jest mnóstwo... - urwał. Zagalopował się. Nie chciał, aby Fiona sądziła, że należy do mężczyzn, którzy potrzebują przechwalać się swoją tężyzną, niemniej często odbierał subtelne, a czasami wręcz wcale nie-subtelne sygna-

ły, że gdyby tylko chciał, z łatwością znalazłby gdzie indziej przyjemności, których nie doznawał w małżeństwie.

I to go tak bardzo bolało. Sally oskarżała go, że jest seksoholikiem, podczas gdy w rzeczywistości jemu samo pożądanie nie wystarczało, musiało być wzbogacane czymś głębszym. Dotychczas sądził, że ona o tym wie.

- Podejrzewam, że myślisz to samo, co Sally... że jestem samolubnym, bezmyślnym draniem...

- Nie - zaprotestowała Fiona. - Widzisz, jako kobieta... - umilkła. Jej małżeństwo nie było jego sprawą i mówienie mu, co czuje kobieta złączona ciałem z mężczyzną, podczas gdy jej uczucia, jej umysł pozostają obojętne, byłoby otwieraniem drzwi, które wołałaby, aby pozostały zamknięte. - Jako kobieta - podjęła - wiem, że nie zawsze jest łatwo pogodzić tyle różnych ról, szczególnie, jeśli jedną z tych ról jest bycie matką...

- Tak... czasami miałem wrażenie, że dzieciaki, a w szczególności Paul, znaczą dla Sally o wiele więcej niż ja - przyznał Joel.

- Ojcowie często czują się odrobinę zazdrośni o synów - skomentowała Fiona.

- Twój mąż też? - spytał Joel.

Fiona zamyśliła się, a potem odpowiedziała szczerze:

- Nie wiem. Andrew i ja nigdy nie rozmawialiśmy o naszych uczuciach. To ja pragnęłam mieć dzieci; on... on... nigdy nie okazywał żadnych głębszych uczuć wobec nich, w żadną stronę. - Ani wobec mnie, dodała już w duchu. Nie powiedziała tego jednak na głos, gdyż nie chciała, aby to wyznanie zabrzmiało jak uzalanie się nad sobą, a poza tym... Czy co najmniej w połowie nie było prawdą, że nie rozmawiali o uczuciach, ponieważ nie było o czym rozmawiać, ponieważ nie było uczuć? Przecież zawsze o tym wiedziała i bała się do tego przyznać, wybierając inercję zamiast działania, bierną akceptację zamiast żywiołowej agresji.

- Sally i ja kiedyś wiele ze sobą rozmawialiśmy. Nocami, w łóżku, po... Leżała przytulona do mnie i opowiadała o całym dniu. To się urwało po narodzinach Paula. Był dzieckiem niespokojnym, nie spał, marudził. Sally bała się, że lada hałas może go obudzić. Nawet kiedy się kochaliśmy, chciała szybko i po cichu, ale wtedy przynajmniej jeszcze mnie potrzebowała... Jeszcze mogłem ją utrzymać... całą rodzinę... A teraz...

- Czy nie widzisz - zaryzykowała Fiona - że ona się boi? Boi się, bo brak jej poczucia bezpieczeństwa, bo martwi ją, że ty wchodzisz w jej rolę...

Na widok jego zmieszanej miny uśmiechnęła się lekko.

- Robię po prostu to, co ona mi każe.

- Zgoda, ale jednocześnie przejmujesz jej funkcje w rodzinie. Zwróć uwagę... To, że ona pracuje na utrzymanie was wszystkich, ty uważasz za przejmowanie twojej funkcji. To tak... tak jak kiedy ktoś robi dla nas coś, za co mamy mu być wdzięczni... Logika podpowiada, że powinniśmy, ale jakaś cząstka nas buntuje się, i ta świadomość sprawia, że czujemy się skrępowani, źli... Nikt nie lubi przyznawać się do ciemnych stron charakteru, a przecież wszyscy je mamy. Ja uważałam, że mój mąż nie poświęca naszym dzieciom wystarczająco dużo czasu i uwagi, ale wiem, że w głębi serca byłam zadowolona, że to do mnie zwracają się ze wszystkim. A przecież wiedziałam, że potrzebna jest im miłość i wysiłek wychowawczy obojga rodziców. To się odnosi do nas wszystkich, czy chcemy się do tego przyznać, czy nie. Podejrzewam, że tak już jesteśmy zaprogramowani, że bronimy... że chcemy zachować tylko dla siebie pewne sfery własnego życia, to co daje nam pozycję, poczucie wartości w naszych oczach. Lubimy konkurować z innymi na szerszej arenie, lecz w najbliższym kręgu uzurpujemy sobie wyłączność na pewne dziedziny. To dlatego jest nam tak trudno przystosować się do zamiany rolami, a przez ten właśnie etap oboje z Sally przechodzicie. Zastanów się nad tym, Joel. Czy w głębi duszy nie

buntujesz się wobec faktu, że Sally ma możliwość pracy i zarobienia na wasze utrzymanie, chociaż rozsądek wskazuje, że powinieneś być jej wdzięczny?

Joel milczał tak długo, że Fiona zaczęła się obawiać, czy nie posunęła się za daleko, czy nie dotknęła zbyt czułej struny, lecz kiedy uniósł głowę i spojrzał na nią, odetchnęła z ulgą.

- Masz rację - przyznał. - Chyba tak wlas'nie jest...

- To samo odnosi się do Sally. Ona wie, że bez twojej pomocy w domu sama wszystkiemu nie podoła, a równocześnie czuje się boleśnie dotknięta, bo wydaje jej się, że ty i dzieci już jej nie potrzebujecie.

- Może tak jest w przypadku dzieci, ale nie w moim.

- Kiedy kobieta odsuwa się od mężczyzny, to niekoniecznie znaczy, że przestała go kochać - powiedziała Fiona, lecz wyczytała z twarzy Joela, że nie zabrzmiało to tak przekonująco, jak by chciała i że domyślił się jej prawdziwych uczuć. - Porozmawiaj z nią, Joel - namawiała go gorąco. - Tak jak przed chwilą ze mną. Zapytaj, dlaczego... co jest nie tak... Przecież twoje małżeństwo warte jest tego, żeby je ratować.

- A te próby powstrzymają mnie od nachodzenia ciebie, tak?

- Nie, nie... - Widziała ból w jego oczach. Zasługiwał na szczerłość z jej strony. Oboje zasługiwali. - Byłoby najłatwiejszym wyjściem pozwolić, aby to, co się między nami zaczęło, rozwinęło się... Dopóki ciebie nie spotkałam, nigdy nie sądziłam, że jestem kobietą żądną... seksu, wręcz przeciwnie. Nie wiem, czy mam się wstydić tego, jak bardzo cię pragnę, czy uznać to za przedmiot dumy, ale raczej to poczucie dumy zwycięża. Znam siebie na tyle dobrze, żeby móc zgadnąć, że gdybyśmy zostali kochankami, zaangażowalibyśmy się również uczuciowo, uzależniłabym się emocjonalnie od ciebie, a to nie byłoby zdrowe dla żadnego z nas. Czy nie dostrzegasz, że oboje, z różnych zresztą powodów, zaczęliby-

śmy wykorzystywać nasz związek jako kamuflaż dla własnych problemów, ucieczkę od rozwiązania ich...? Wykorzystyalibyśmy siebie, żeby uciec, a dla mnie to byłoby najgorszą zdradą... wobec nas i wobec siebie samej. Co nie znaczy, że mi na tobie nie zależy. Przeciwnie, boję się zaangażować zbyt mocno właśnie dlatego, że bardzo... bliski jesteś memu sercu. Co cię pociągało w Sally?

Zastanowił się, a potem odrzekł cicho:

- Jej łagodność, to że mnie potrzebowała... Imponowałem jej chyba... To mi pochlebiało, sprawiało, że czułem się...

- Ceniony i chciany, tak? - odpowiedziała Fiona. - Teraz zaś zaspokajasz moje potrzeby, ale wciąż kochasz Sally.

- Nie - zaprzeczył Joel, lecz w jego głosie nie było już tej pewności, z jaką wcześniej oświadczył, że jego małżeństwo jest skończone.

- Czas na ciebie - powiedziała Fiona łagodnie.

Odprowadziła go powoli do drzwi. Stanęli. Joel wziął ją w ramiona.

- Byłoby nam dobrze ze sobą - powiedział zduszonym głosem.

- Tak - przyznała. Wargi jej drżały, kiedy pochylił głowę i zbliżył usta do jej ust.

Pod zaciśniętymi powiekami paliły łzy, w uszach brzmiał rozpaczliwy krzyk tłumionej rozpacz. Nie poruszyła się, nie wykonała żadnego gestu, żeby go dotknąć, objąć, przytrzymać, lecz gdy pocałunek minął, jej wargi przywarły jeszcze na kilka sekund do jego warg i wiedziała, że gdyby ją teraz prosił i błagał, nie miałyby sił mu się oprzeć. Podejrzewała, że Joel wiedział o tym.

Nie uczynił jednak ani nie powiedział niczego. W niemym geście pożegnania musnął tylko jej wargi koniuszkami palców, potem otworzył drzwi i odszedł.

Kiedy wracała do kuchni, rozległ się dzwonek telefonu.

Podniosła słuchawkę i, nauczona kilkunastoma tygodniami wdowieństwa, zmusiła się do odezwania głosem pogodnym i brzmącym optymistycznie.

Jeszcze zanim Elizabeth Humphries zdążyła się przedstawić, Fiona poznała ją po głosie. Poczowała nagły skurcz żołądka. Jej ciało, podobnie jak umysł, nauczyło się obawiać niezapowiedzianych gości, telefonów, listów, rachunków.

- Dzwonię - zaczęła Elizabeth - ponieważ wczoraj na przyjęciu poznałam nowego kolegę męża, który zwierzył mi się ze swoich kłopotów. Otóż dopiero niedawno zamieszkał w naszej okolicy i poszukuje odpowiedniej osoby, która zajęłaby się jego osieroconą córką chrzestną i domem. Podkreślał, że nie chodzi mu ani o opiekunkę z dyplomem, ani o klasyczną gospodynię domową, lecz o kogoś, kto dla dziewczynki mógłby stać się kimś bliskim, nie uzurpując sobie zarazem roli jej zmarłej matki... Szuka kobiety, która ma własną inicjatywę i która potrafi rozmawiać z dziećmi; kogoś, do kogo dziecko nabierze zaufania, z kim nawiąże więź emocjonalną. Natychmiast pomyślałam o tobie. Byłabyś wymarzoną kandydatką.

- Ja? - zdziwiła się Fiona. - Przecież ja nie mam żadnych kwalifikacji. Nie, chyba nie... - protestowała.

- Jesteś matką - przypomniała jej Elizabeth i dodała rozsądnie: - a czytając między wierszami, jak również opierając się na własnej intuicji, twierdzą, że masz więcej niż odpowiednie kwalifikacje do podjęcia się roli, jaką on ma na myśli. Podkreślał, że dla niego o wiele ważniejsze jest, aby osoba, którą zatrudni, dbała bardziej o rozwój psychiczny dziewczynki niż o nieskazitelny porządek w domu, że zależy mu na kobiecie na tyle młodej, aby mogła stać się zastępczą matką dla Annie, i na tyle dojrzałej, aby sobie z nią poradziła.

- Powiedziałaś, że to sierota...

- Tak.

Fiona wahała się. Potrafiła sobie wyobrazić ogrom trage-

dii, jaką to dziecko przeżyło i pewnie wciąż przeżywa, troskę mężczyzny, który stał się jej opiekunem...

- Zupełnie nie wiem. Takemu dziecku potrzebny jest ktoś na dłuższy czas. Czy ten pan, ten ojciec chrzestny, nie ma żony, kuzynki...?

- Najwyraźniej nie. Nie chciałabym wywierać na ciebie jakiegokolwiek presji, abyś angażowała się w to wbrew własnej woli, no i oczywiście na pierwszym miejscu jest dobro dziecka... Jej opiekun jest w tej sprawie nieugięty. Wspomniał jednak, że gdybyś okazała się osobą odpowiadającą jego oczekiwaniom, zgodziłby się przyjąć do siebie twoich chłopców na czas wakacji szkolnych. Uznał nawet, że to bardzo korzystna okoliczność, gdyż Annie zyskałaby tak jej potrzebne towarzystwo rówieśników. Ma duży dom, w którym jest mnóstwo miejsca. Płaci dobrze. Co jeszcze...? Dziewczynka skończyła jedenaście lat, chodzi do szkoły, więc miałabyś też czas na studia na Uniwersytecie Otwartym, o czym już rozmawialiśmy, pamiętasz?

- Nie wiem... nie wiem, co odpowiedzieć - wyznała Fiona. - Taka praca rozwiązałaby mnóstwo moich problemów. Z banku nie otrzymałam jeszcze żadnej odpowiedzi w sprawie domu, chociaż z drugiej strony...

- Przemysł to sobie - poradziła Elizabeth. - Wzięłam od niego numer telefonu. Podyktować ci? Obiecałam, że ewentualnie zadzwonisz i umówisz się na rozmowę. Powiedziałam mu trochę o tobie, ale ogólnie, bez szczegółów. Wie, że owdowiałaś i znalazłaś się nagle w trudnej sytuacji finansowej; jako potencjalny pracodawca...

- Tak, oczywiście, gospodini domowa... Nie przyszło mi to do głowy.

- Ktoś więcej niż gospodini - sprostowała Elizabeth zdecydowanym tonem. - Sądzę, że sama przekonasz się, że ważniejsze jest dla niego dobro dziewczynki od prowadzenia domu, lecz podejrzewam, że jak większość mężczyzn, nie

będzie miał pretensji o to, że dom jest zadbane i wygodnie urządzone. Aha, w związku ze swoją pozycją w szpitalu będzie musiał od czasu do czasu kogoś przyjąć, ale takie rzeczy sama z nim uzgodnisz, kiedy się spotkacie. Ta praca może się okazać nie lada wyzwaniem - dokończyła.

- Czy... czy to bardzo duży dom? Ja...

- Nie chodziło mi o dom, ale o Annie. Wygląda na to, że stoczył niemałą walkę z sądem opiekuńczym, zanim zdołał ich przekonać, że nadaje się na prawnego opiekuna. Bardzo poważnie brano pod uwagę przekazanie dziewczynki rodzinie zastępczej. W dzisiejszych czasach to oczywiście zrozumiałe, że sąd musi być bardzo ostrożny, oddając dziecko, obojętnie czy chłopca, czy dziewczynkę, na wychowanie samotnemu mężczyźnie. Sądzę, że on zdaje sobie sprawę z wagi i potrzeby zapewnienia małej troskliwej opieki i towarzystwa mądrej kobiety. Nie rekomendowałabym cię, gdybym nie była głęboko przekonana, że się nadajesz - zapewniła ją Elizabeth.

Jedenaście lat i bez obojga rodziców. Biedactwo. Fiona potrafiła sobie wyobrazić ból i lęk, jaki ta mała przeżywa.

Zawsze pragnęła mieć jeszcze jedno dziecko, dziewczynkę... córeczkę. Skarciła się w duchu za zbyt ni sentymentalizm.

To nie będzie jej dziecko, jej córka... Mogą nawet się nie polubić. Ten opiekun może wcale jej nie chcieć zatrudnić.

- Podać ci jego numer? - spytała Elizabeth.

Fiona poczuła suchość w gardle.

- Tak - poprosiła.

- Skąd masz taką zadowoloną minę? - spytał Richard, wchodząc do saloniku i spoglądając na pełen satysfakcji uśmiech na twarzy Elizabeth.

- Och, nic... Skoro się jednak dopytujesz, to ci powiem, że właśnie gratulowałam sobie znajomości natury ludzkiej.

- Co za skromność! Ale dlaczego?

- Pamiętasz, jak wasz nowy psycholog mówił, że szuka osoby do opieki nad swoją osieroconą kuzynką?

- Coś sobie mgliście przypominam - odparł Richard.

- Otóż od razu pomyślałam o idealnej osobie. Tak jak się spodziewałam, miała wątpliwości, czy się nadaje i tak dalej... Kiedy jej jednak powiedziałam, że dziecko jej bardzo potrzebuje, skrupuły przysły. To jedna z tych kobiet o tak czułym sercu, że natychmiast zapomina o sobie. Argument, że rozwiązałyby swoje kłopoty bytowe, nie trafił do niej, lecz że jest komuś potrzebna, podziałał natychmiast.

- Czy takiej strategii nie zwykliśmy nazywać szantażem emocjonalnym? - spytał kąśliwie Richard.

- Nie przeze mnie - zapewniła go Elizabeth. - Ja na to patrzę bardziej jak na znajdowanie właściwego miejsca dla części bardzo skomplikowanej układanki... - urwała, a słysząc, jak Richard, wychodząc z pokoju, nazywają pod nosem maniaczką, wybuchnęła śmiechem.

Normalnie nie starała się odgrywać opatrnościowej roli w życiu innych ludzi - doświadczenie nauczyło ją, ile niebezpieczeństw to za sobą pociąga - ale w tym przypadku...

- Zostałam umówiona na rozmowę wstępną w sprawie pracy... - zakomunikowała Fiona, kiedy Susie odebrała telefon, i dodała: - no... może jeszcze nie całkiem, ale jakby...

Wykręciła numer przyjaciółki prawie natychmiast po skończeniu rozmowy z Elizabeth, a teraz w kilku słowach wyjaśniła, o co chodzi.

- To brzmi jak wymarzona propozycja dla ciebie! - wykrzyknęła Susie. - Dzwon natychmiast, a jeśli tego nie zrobisz, przyjadę i zmuszę cię do tego!

Uszczęśliwiona, czując jak ogarnia ją coraz większa radość i podniecenie, Fiona zaczęła wykręcać numer podyktowany jej przez Elizabeth.

Bolesna spuścizna

23

Debora rozejrzała się ze smutkiem po pogrążonym w ciszy mieszkaniu. Minęły już trzy tygodnie, a ona wciąż jeszcze zapominała się czasami i, otwierając drzwi, spodziewała się zobaczyć Marka. Wciąż słyszała jego kroki, wciąż wydawało jej się, że w nocy, w łóżku czuje obok siebie jego zapach.

W pracy musiała oczywiście udawać, że mało ją to wszystko obeszło, uśmiechać się zdawkowo, kiedy pytano ją, czy się z nim kontaktuje albo czy wie, co u niego słychać.

Nie miała złudzeń co do powodów tej ciekawości. Wieść o ich rozstaniu, a tuż po tym odejście Marka z firmy, były tematem ożywionych spekulacji i plotek.

Debora wciąż czuła się otepiała od ciosu, nie tylko z powodu rozpadu ich związku, lecz również tempa, w jakim Mark całkowicie zniknął z jej życia.

Firma zgodziła się na rozwiązanie umowy, nie żądając nawet odpracowania okresu wypowiedzenia. Tego samego wieczoru Mark zabrał swoje rzeczy, nadmieniając mimochodem, że znalazł posadę w jakiejś agencji.

Skontaktował się z nią tylko raz, nagrał wiadomość na ich - teraz tylko jej - automatyczną sekretarkę. Zostawił adres, na który miała kierować nadchodzącą do niego korespondencję.

Adres i numer telefonu. Na wypadek gdyby zmieniła zdanie i ustąpiła, to znaczy odeszła z firmy i zaakceptowała warunki, od których uzależnił ich ewentualną wspólną przyszłość.

Łzy zamgliły jej oczy. Tylko ona jedna wiedziała, jak wiel-

ką odczuwała pokusę, aby tak właśnie postąpić. Ale czy mogła to uczynić? Zbyt dobrze znała samą siebie. Gdyby się poddała i tak nic by z tego na dłuższą metę nie wyszło. Prędzej nawet niż później zaczęłaby tracić nie tylko szacunek dla niego, lecz także dla samej siebie.

- Nie potrzebujesz mnie - rzucił Mark z goryczą, lecz jakże się mylił. Potrzebowała go i to ją najbardziej bolało. Jak mógł tego nie dostrzec, nie zrozumieć, dać się zaślepić fałszywym ocenom i opiniom innych?

Awans nie zmienił jej wysokiego zdania o nim. Choć Mark oskarżał ją, że go inaczej traktuje, że umacnia w nim narastające poczucie zepchnięcia na „niższą pozycję” w ich związku, był w błędzie. Nigdy niczego takiego nie pomyślała. To właśnie on...

Zmęczona potrząsnęła głową. Po co rozpamiętywać każde słowo od początku? Mark odszedł i jedynym ocaleniem ich związku byłaby kapitulacja na podyktowanych przez niego warunkach. Nie, to nie duma ją powstrzymywała i zdecydowanie nie przerost ambicji... ani nie kariera... Nie, to było coś głębszego. Świadomość, że rezygnując z posady, pozwalając jemu określić reguły, na jakich ma się opierać ich związek, pomoże mu zniszczyć coś bardzo drogiego i bardzo rzadkiego... A niejako przy okazji zniszczy sama siebie. Rezygnacja z posady poniży ją jako człowieka i jako kobietę, w ten sam sposób, w jaki, jak twierdził Mark, zepchnięcie jego na drugie miejsce poniżyło jego.

Łzy wściekłości napłynęły jej do oczu. Przepełniona uczuciem bezradności otarła je.

Ryan jawnie potępiał odejście Marka z firmy. Ilekroć zagadywał, jak mu się wiedzie, Debora udzielała wymijającej odpowiedzi albo wręcz ignorowała pytanie.

Mimo upartego powtarzania Markowi i sobie samej, że Ryan promował ją wyłącznie z powodów merytorycznych, coraz bardziej nużyło ją stałe pilnowanie się, aby nie zrobić

ani nie powiedzieć niczego, co jej szef uznałby za zachętę do przeniesienia ich stosunków na bardziej prywatny grunt.

Z gorzką ironią pomyślała, że w jednej przynajmniej kwestii Mark i Ryan mieli zgodne zdanie - obaj byli przekonani, że Ryan pociągał ją jako mężczyzna.

Obaj byli oczywiście w błędzie.

Pójście do łóżka z Ryanem było chyba ostatnią rzeczą, jaką by zrobiła.

Ryan cały czas subtelnie kontrolował narastające między nimi napięcie, to wychwalając ją pod niebiosa, to miażdżąc krytyką. Spostrzegła, że powoli, stopniowo odseparowuje ją od koleżanek i kolegów, a nawet podrywa jej autorytet wśród reszty personelu.

Nie uczynił jednak ani nie powiedział niczego, na co mogłaby się poskarżyć. Na to był zbyt wyrachowany.

Na przykład wczoraj...

Kiedy na ogólnym forum skrytykował ją, jak gdyby była jakąś niedoświadczoną stażystką, wypomniała mu, że przecież ją awansował.

- Nie zapominaj, że to wciąż jest okres próbny - wyjaśnił sucho. - Nic nie zostało przesądzone... Jeszcze.

Debora w milczeniu, z ukrytym, niepokojącym podejrzeniem, przełknęła ostrzeżenie. Wiedziała, że jest dobra, wiedziała, że zapracowała i zasłużyła na awans. A teraz Ryan drażni się z nią, bawi niczym z dzieckiem, któremu podsuwa i zabiera torebkę cukierków.

To porównanie do tego stopnia napełniło ją niepokojem, że postanowiła nie analizować go głębiej.

Miała cały piątkowy wieczór, cały długi wypełniony pustką weekend przed sobą. Tęskniła za Markiem, emocjonalnie, intelektualnie i fizycznie, lecz jak mogłaby zapłacić cenę, jaką wyznaczył za ich miłość? Ona nie żądała zapłaty za uczucie, ofiarowywała mu je za darmo i nie stawiała warunków... Może w tym właśnie tkwił błąd?

Weszła do sypialni, zdjęła kostium, przebrała się w legginsy i luźny sweter.

W przedpokoju stały kupione po drodze z biura puszki z farbą. Ponurym wzrokiem zlustrowała ściany sypialni.

- Dobrze - powiedziała na głos. - Jutro o tej porze będziecie wyglądały zupełnie inaczej, a ja nie będę widziała twarzy Marka wyzierającej z każdego kąta.

Spojrzała na łóżko. Kupiła nawet nową pościel. Stara wciąż pachniała nim, chociaż od momentu rozstania prała ją już kilka razy.

Poszła do kuchni, otworzyła lodówkę i na widok jej pustego wnętrza skrzywiła się. Zapomniała kupić cokolwiek do jedzenia. Nagle zauważyła dawno zapomnianą butelkę wina. Sięgnęła po nią.

Powinnam malować ściany sypialni, a nie wylegiwać się na kanapie, sącząc wino, skarciła siebie surowo Debora.

Jestem chyba lekko wstawiona, pomyślała. Wstawiona? Raczej kompletnie zalana, poprawiła się.

Nagle usłyszała dzwonek u drzwi. Ostry dźwięk rozbrzmiewał w ciszy, wzmagając przejmujące ją poczucie osamotnienia.

Dzwonek... Mark... Zerwała się na równe nogi, zachwiała, zatoczyła, niemal straciła równowagę. Skrzywiła się niezadowolona.

Mark... Mark wrócił. Pospieszyła otworzyć drzwi.

- Dee!... Cześć... Jak się masz? Jest Mark?

- Ga... Garth...?- wyjąkała Debora.

Z głupią miną odsunęła się na bok, wpuszczając gościa do środka.

Garth Preston i Mark studiowali na jednym roku. We trójkę tworzyli zgraną grupkę przyjaciół i, do wyjazdu Gartha za granicę, spędzali wiele czasu razem. Obecnie utrzymywali sporadyczny kontakt listowny i jeszcze rzadziej, jedynie przy okazji odwiedzin Gartha w kraju, się widywali.

- Mark się wyprowadził - poinformowała Debora i nagle wybuchnęła płaczem.

Zaniósł się szlochem jak dziecko. Garth wziął ją na ręce, przytulił do siebie i zaniósł do saloniku na kanapę. Był niższy od Marka (choć wyższy od niej), bardziej przysadzisty, miał kwadratowe ramiona, kwadratową twarz, czarne kręcone włosy i okrągłe, niewinne, błękitne oczy.

Kobiety szalały za nim, a on za nimi. W przeciwieństwie do Ryana nie był wyrachowanym uwodzicielem, szczerze kochał swoje ofiary... tak, ofiary, gdyż odkochiwał się równie szybko, jak zakochiwał.

Nie przeszkadzało to jednak Deborze go lubić. Gartha po prostu nie można było nie lubić.

- Wyprowadził się? Dokąd? - dopytywał się teraz o przyjaciela.

- Wyprowadził się... - powtarzała Debora wśród łkań.
- Odszedł... zostawił... już mnie nie chce...

Nowa fala łez trysnęła jej z oczu. To wino, pomyślała w przebiegu świadomości, to pod wpływem wina tak się roztkliwiam nad sobą. Przecież normalnie tak się nie zachowuję. Normalnie potrafię wziąć się w garść.

- Mark cię zostawił? Niemożliwe - mówił Garth.

Miał na sobie sweter z mięciutkiej wełny, do którego miło było przytulić policzki, a emanujące z niego ciepło sprawiało, że czuła się błogo i bezpiecznie... Przypominało jej Marka, budziło w całym jej ciele tęsknotę za nim.

- Uspokój się... Przestań płakać i opowiedz, jak to się stało - prosił Garth, gładząc delikatnie jej włosy, odgarniając kosmyki z czoła, moszcząc ją wygodniej w swoich ramionach. - Dobrze już, dobrze... - powtarzał - opowiedz wujkowi Garthowi wszystko po kolei...

Debora uśmiechnęła się słabo.

- Teraz już lepiej - pochwalił ją i dotknął kącików jej ust, jak gdyby chciał utrwalić ten uśmiech.

Opuszki jego palców były szorstkawe, ich dotyk zaskakująco zmysłowy, przypominający Deborze ostatnią kłótnię z Markiem i wydarzenia, które ją poprzedziły, ów dreszcz oczekiwania na jego dotyk, przebiegający po całym jej ciele i skupiający się w koniuszkach piersi... Tak jak teraz, pomyślała. Od momentu odejścia Marka nie było nocy, podczas której nie budziła się z tęsknoty za nim. Boleśnie zraniło ją jego oskarżenie, że stała się agresywna i napastliwa, przecież dawniej mówił, jak bardzo podnieca go jej otwartość i szczerość w sprawach seksu.

- Co ty ze sobą zrobiłaś, dziewczyno? - usłyszała głos Gartha. - Sama skóra i kości...

Debora uniosła oczy. Jak dobrze czuć przy sobie bliskość drugiego człowieka...

- Tutaj nie jestem wcale taka chuda - odezwała się lekko schrypniętym głosem, wzięła dłoń Gartha w swoją i przyłożyła do piersi. Nagle, zanim zdążył coś odpowiedzieć, uniosła się i przywarła ustami do jego ust, rozkoszując się pocałunkiem, który on instynktownie oddał. Przytuliła się mocniej do niego. Czuła w sobie taką pustkę... taką potrzebę...

- Dee... nie... nie możemy... Co ty ze mną wyprawiasz, czarownico? Wiesz, że zawsze miałem na ciebie chrapkę, ale...

Jeśli zawsze, to dlaczego teraz przestał ją całować... dotykać? Dlaczego?

Zobaczyła, jak trąciwszy niechcący butelkę, zmarszczył czoło.

- Pusta - stwierdził, patrząc to na nią, to na butelkę.
- Pić mi się chciało - broniła się. - Zabierz mnie do łóżka, Garth... Kochaj się ze mną... potrzebuję cię...

Zamknęła powieki, z trudem zawracając napływające do oczu łzy. Poczuła, że Garth bierze ją na rękę, unosi... pyta, gdzie jest sypialnia...

Debora otworzyła oczy i wydała z siebie głuchy jęk. Światło raziło ją niczym igiełki lodu, ból rozsadzał głowę, usta wypełniał absmak...

Spróbowała ostrożnie usiąść, lecz czując, że żołądek podjeżdża jej do gardła, zrezygnowała. Na wspomnienie wydarzeń poprzedniego wieczoru, chwyciły ją jeszcze gorsze mdłości.

Garth...! Och, Boże! Co ja nawyczyniałam...?

Wciąż czując potworne nudności, spuściła nogi i nagle, słysząc skrzypienie otwieranych drzwi, zamarła.

- Aha, a więc już nie śpimy... Wydawało mi się, że słyszę jakieś szmery.

- Garth...?

- Masz kaca? - spytał ze współczuciem. - Nie przejmuj się, znam lekarstwo.

- Garth... - powtórzyła Debora z niepokojem.

Podszedł bliżej, usiadł na brzegu łóżka i przyjrzał się jej uważnie.

- Nie bój się. Nic między nami nie było.

- Nic? - spytała, wpatrując się w niego badawczo.

- Nie oszukasz mnie - powiedział Garth i uśmiechnął się do niej ciepło. - Przez wszystkie te lata czekałem, abys przestała widzieć jedynie Marka i zauważyła mnie. Kiedy jednak przyszło co do czego, ogarnęły mnie takie skrupuły, że zachowałem się jak prawdziwy dżentelmen.

- Chcesz powiedzieć, że moje zachowanie ostudziło ciebie tak samo jak Marka? - przerwała mu z goryczą.

- Nawet nie to. - Garth ujął dłoń Debory w swoje i, nie zwracając uwagi na jej protesty, mocno przytrzymał. - Posłuchaj mnie, posłuchaj uważnie. Gdybym chociaż przez jedną chwilkę sądził, że to ja jestem tym, kogo wczorajszej nocy pragnęłaś, nic, powtarzam, nic by mnie nie powstrzymało... Chociaż z egzekucją dawanych mi obietnic musiałbym prawdopodobnie czekać do dzisiejszego rana - dodał ponuro.

Debora przyglądała się mu, nie rozumiejąc.

- Kipnęłaś, zanim cię tu doniosłem - wyjaśnił.

- Kipnęłam? - zrobiła wielkie oczy.

- Wino... nie pamiętasz? - podpowiadał Garth.

Pamiętać? Jak mogłaby zapomnieć!

- Chcesz porozmawiać?

- O winie?

- Nie, nie o winie - odparł łagodnie. - O Marku... i powodach, dla których... O Marku i o tym, co się wam obojgu przydarzyło.

- Co się przydarzyło? - Debora uśmiechnęła się do niego krzywo. - Jesteś pewien, że chcesz się dowiedzieć?

- Jestem - zapewnił ją Garth.

- Cóż, jedno mogę stwierdzić kategorycznie - oświadczył Garth w pół godziny później, kiedy Debora, z twarzą bladą i oczami pełnymi nieszczęścia, zakończyła swoją relację.

Przenieśli się do kuchni, siedzieli teraz przy stole. Debora ścisnęła w dłoniach kubek wystygłej kawy. Wciąż miała na sobie to samo ubranie, w którym Garth położył ją do łóżka.

- Mark nie ciebie przestał kochać, Dee, a siebie.

- Siebie? - Debora potrząsnęła głową. - Nie.

- Tak - upierał się Garth. - Posłuchaj, uwierz mi. Jestem mężczyzną, wiem, jak to jest. Nawet dzisiaj w świadomości każdego z nas tkwi coś, co nieustannie powtarza: ja mężczyzna, ja myśliwy, ja zdobywca...

Debora wpatrywała się w niego przez chwilę, potem pokręciła głową.

- Nie... To nie Mark...

- Bzdury! - przerwał jej Garth z pasją. - Wszyscy mężczyźni są tacy. Zrozum. Nie twierdzą, że Mark świadomie obarcza ciebie ciężarem swojej klęski, że ciebie obwinia i karze za to, że odnosisz większe sukcesy od niego, ale mam cholerną pewność, że w głębi jego duszy, nawet jeśli sobie

tego do końca nie uświadamia, tkwi ten przedlodowcowy diabełek. Tu chodzi o utratę albo zachowanie twarzy, rozumiesz, Dee? Chłopcy... mężczyźni... mają to w genach, są tak zaprogramowani, jeśli wolisz, że w drugim facecie widzą swojego rywala i ścigają się z nim. Mężczyzna, każdy mężczyzna, najbardziej boi się pogardy innych samców, uznania, że spadł poniżej obowiązujących w męskim świecie standardów. To zaczyna się w chwili narodzin. Już wówczas przekonujemy się, że możemy odbić innemu mężczyźnie kobietę - odbieramy naszą matkę ojcu. To przekonanie utrwala się w nas, głęboko, w najczulszym miejscu, i wywiera na nas nieustanną presję, każdego dnia, przez całe życie.

- Ależ to nonsens - zachnęła się Debora. - Mark zawsze zachęcał mnie do pracy, czekał na mój sukces.

- On cię kocha - odparł Garth. - Ale to całkiem co innego wiedzieć, że jesteś ambitna, a co innego godzić się z owocami owej ambicji. Pokonałaś go na jego własnym polu, i co gorsza - wobec audytorium złożonego z innych mężczyzn... To ciężkie upokorzenie, nawet dla kogoś z takim charakterem jak Mark.

- Chcesz mi dać do zrozumienia, że własne ego jest dla niego ważniejsze ode mnie? - spytała Debora.

- On nie może bez niego żyć, Dee - wyjaśnił Garth spokojnie. - Żaden mężczyzna tego nie potrafi. Każdy człowiek potrzebuje pewnej dozy dumy i szacunku dla samego siebie, a my, mężczyźni, będąc istotami słabszymi i bardziej przyziemnymi od was, kobiet... otóż my bardziej potrzebujemy tej odrobiny dodatkowej pomocy.

Widząc spojrzenie, jakim obrzuciła go Debora, Garth wybuchnął śmiechem.

- Zgoda, może nie wszyscy w równej mierze... Mark nie jest egoistą - dodał poważnie. - Gdybyście zajmowali się różnymi dziedzinami, pracowali w różnych firmach...

- Albo gdybym ja odgrywała tradycyjną rolę przypisaną

kobiecie i stawiała chłopą przed karierą, tak? - dopowiedziała ponuro.

Garth zauważył nutę gniewu w jej głosie.

- To nie jest aż takie łatwe i proste, Dee, wiesz dobrze. Jasne, że Mark chce, żeby ci się wiodło, oczywiście, że jest z ciebie dumny, ale świat wciąż rządzi się starymi zasadami i we własnym kręgu, otoczeni innymi mężczyznami, musimy demonstrować, że tkwi w nas ten hormon dominacji. Nie rezygnuj z Marka, Dee...

- A co innego mam robić? - spytała Debora z oczami błyszczącymi od łez. - Rzucić posadę? - potrząsnęła głową.
- To by uzdrowiło sytuację jedynie na krótką chwilę... - umilkła, a po dłuższej chwili dodała: - Nigdy nie sądziłam, że Mark mi zrobi coś takiego, Garth... Każdy, ale nie Mark.

Bolesna spuścizna

24

Sally zmęczonym wzrokiem ogarnęła nagie ściany jadalni siostry. Bolał ją krzyż, nie tylko od wysiłku, jakiego wymagało zdzieranie tapety, lecz także od tłumionego wzburzenia i gniewu.

To Joel powinien to robić, jak autorytatywnym tonem oświadczyła Daphne. Sally zgadzała się z nią, więc dlaczego uwagi siostry wywoływały w niej taką samą irytację, jak dyskusje z Joelem?

Pół godziny temu Daphne zajrzała, by sprawdzić, jak idzie robota. Właśnie wróciła od fryzjera i włosy miała zaczesane w gładki, błyszczący elegancki kok, na którego widok Sally przypomniała sobie, że już bardzo dawno temu powinna zająć się własną fryzurą.

- Jeszcze długo? - spytała. Krzywiąc ozdobioną nieskazitelnym makijażem twarz, starannie omijała strzępy tapety zasłaniające podłogę. - Właśnie miałam telefon od Clifforda, wpadną z jakimś znajomym na drinka...

- Już prawie gotowe - zapewniła ją znużonym tonem Sally, prawidłowo odczytując aluzję ukrytą za słowami siostry.

Daphne najwyraźniej nie życzy sobie, żeby znajomy Clifforda ją tu zastał. Sally na tyle dobrze знаła siostrę, aby wiedzieć, jak nie w smak by jej było przedstawiać ją jako członka swojej rodziny. Tylko kiedy może zaoszczędzić na robociznie, pomyślała złośliwie, nie ma oporów.

Dawniej oboje z Joelem zawsze dobrze się bawili, wyśmiewając skąpstwo i snobizm Daphne. Dawniej za żadne skarby

nie chciałyby zamienić się z nią. Dawniej nigdy nie zazdrościła siostrze męża, który ma dobrze płatną, stałą posadę.

Z determinacją przełknęła łyzy rozgoryczenia napływające jej do oczu.

- Joel stara się, jak może, żeby pokazać się w ośrodku z jak najlepszej strony - broniła męża, kiedy we wcześniejszej rozmowie Daphne napomknęła, że powinien rozejrzeć się za jakimś zajęciem. - Kierownik zaproponował mu nawet, żeby skończył kursy i przekwalifikował się na zawodowego trenera. - Umilkła, słysząc zdumiony i szyderczy okrzyk siostry.

- Joel? Przekwalifikować się? Nie bądź śmieszna, Sally, wiesz równie dobrze co ja, że aby dojść do czegoś w tym zawodzie, trzeba skończyć odpowiednie studia. Po ulicach chodzą tłumy ludzi z dyplomami nie mogących znaleźć stałej posady, więc jak, na Boga Ojca, ktoś taki jak Joel, który ledwie przebrnął przez szkołę, może się łądzić, że... - urwała i wrzuciła ramionami. - Ciebie oczywiście zawsze potrafił omamić. Wspomnisz moje słowa; bądź mądra, bo za dziesięć lat wciąż będzie ci prawił te same bajeczki, a ty wciąż będziesz harować na pełnym etacie, po to żeby on mógł udawać, że bycząc się, zarabia na wasze utrzymanie. Obiło mi się o uszy, że daje prywatne lekcje córeczce Carol Lucas. Na twoim miejscu miałabym na niego oko, Sally... Oczywiście, niczego nie insynuuję - dodała pospiesznie, widząc, jakim wzrokiem siostra na nią spoglądała - ale zewsząd słyszy się rozmaite historie, a Joel zawsze był taki... taki wysportowany, prawda?

- Jeśli chcesz powiedzieć, że zawsze miał silne potrzeby seksualne, to prawda - odpowiedziała Sally - lecz jest ostatnim mężczyzną, który pozwoliłby płacić sobie za seks, jeśli to właśnie sugerujesz...

- Ależ oczywiście, że nie miałam niczego podobnego na myśli. Musiałaś mnie źle zrozumieć - zachnęła się Daphne

purpurowa na twarzy, lecz Sally doskonale wiedziała, że właściwie zrozumiała słowa siostry.

Pomyśl, iż Joel pozwoliłby jakiejś znudzonej bogacze płacić sobie za usługi seksualne był absurdalny; przecież ta jego potworna duma by mu na to nie...

Załóżmy jednak, że spotkałby kogoś, kobietę, która by go pociągała i której on by się spodobał...

Serce jej zabiło mocniej pod wpływem tej myśli, a potem zaczęło walić aż do bólu. Nagle przypomniała sobie, jak często odpychała go od siebie, odrzucała jego pieśczęty. Lecz przecież z drugiej strony małżeństwo, miłość, to nie tylko seks. Ma w końcu prawo żądać, aby jej potrzeby też były respektowane, tak jak bywało, kiedy to on chodził codziennie do roboty, utrzymywał ich, zamartwiał się, z czego zdołają spłacić wszystkie rachunki. Wówczas nie raz przedkładała jego potrzeby nad swoje, a teraz, kiedy role się odwróciły, on nie stara się robić tego samego dla niej...

Wzdrygnęła się, nagle zrobiło jej się słabo, zakręciło w głowie, łzy napłynęły jej do oczu. Chciała zapłakać nie nad sobą, lecz nad marzeniami i ideałami, które gdzieś na drodze życia zagubiła, a których miejsce zajęło teraz gorzkie rozczarowanie.

Kiedy wychodziła za Joela, wydawało jej się, że na świecie nie ma większej radości nad bycie jego żoną. W nocy, w łóżku, bezpieczna w jego ramionach, miewała czasami uczucie, że serce jej pęknie z nadmiaru szczęścia i co dzień dziwiła się, czym sobie zasłużyła na taki raj.

Zmarszczyła czoło, słysząc samochód szwagra na podjeździe. Tapetę co prawda zerwała, lecz nie zdążyła posprzątać i Daphne na pewno będzie niezadowolona, że marudzi tak długo.

Przy odrobinie szczęścia może jednak uda jej się wymknąć tylnymi drzwiami i nie natknąć na Clifforda.

Z holu dobiegały głosy: szwagra - cienki i odrobinę roz-

drażniony, oraz drugiego mężczyzny - niższy i bardzo... bardzo znajomy!

Serce jej załomotało pod wpływem doznanego wstrząsu.

- Żona jest pewnie w kuchni - powiedział Clifford, a w następnej chwili drzwi do jadalni otworzyły się i na progu stanął Kenneth.

- Przepraszam, pomyliłem drzwi - rzucił automatycznie, lecz kiedy ją poznał, wykrzyknął: - Sally! Na miłość boską... co ty tu robisz?

- O! To ty znasz moją szwagierkę?

Sally zauważyła, że Cliffordowi nie udało się ukryć ani nuty zdziwienia w głosie, ani cienia dezaprobaty w spojrzeniu.

- Sally jest twoją szwagierką? Szczęściarz z ciebie, Cliffordzie.

Kenneth zwracał się do Clifforda, lecz oczu nie odrywał od niej, i Sally pomyślała, że jeśli jej szwagier jest chociaż w połowie tak inteligentny i spostrzegawczy, jak lubi się przechwalać, dostrzeże żar, płomień, prawdziwy ogień pożądania bijący z oczu Kennetha. Bo ona to wszystko w jego spojrzeniu widziała.

- Sally opiekowała się mną, kiedy leżałem w szpitalu. I bardzo dobrze się mną opiekowała. Brakowało mi jej później, gdy wróciłem już do domu...

Sally oblała się pałacym rumieńcem. Kenneth, błagam, bądź ostrożny, zaklinała go w duchu. Gdyby Daphne teraz weszła i zobaczyła, jakim wzrokiem na mnie patrzysz...

Powinna była mu od razu zaufać, pomyślała dziesięć minut później, kiedy Daphne, wyraźnie podniecona i mile połączona atencją, jaką gość otoczył ją jako gospodynię, pozwoliła Kennethowi tak pokierować sytuacją, że, jak gdyby za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, całą czwórką siedzieli teraz w salonie, sącząc sherry. Kenneth nie przestawał karmić nienasyconej pychy Daphne komplementami na temat wiedzy

i reputacji Clifforda oraz stwierdzeniami, iż z takimi zdolnościami marnuje się jako nauczyciel w zwykłej szkole średniej.

- Zawsze mu to powtarzam - wtrąciła Daphne. - Niemniej on uważa, że ze względu na swoich uczniów musi pozostać na dotychczasowej posadzie. Natomiast my z Edwardem jesteśmy zdania, że powinien ubiegać się o stanowisko dyrektora jakiegoś liceum.

Przyglądając się całej tej scenie z boku, Sally wyobrażała sobie, jak brzmiałyby komentarze Joela na temat zachowania jej siostry.

Ze spojrzenia Kennetha natychmiast wyczytała, że jedynym powodem złożenia wizyty w domu kolegi była chęć spotkania jej, Sally. I chociaż przeszył ją dreszczyk dumy, że tak bardzo jej pragnie, jakaś cząstka świadomości wzdragała się na myśl, że z premedytacją wykorzystuje jej rodzinę... z premedytacją i bez litości gra na czułej strunie Daphne i pozwala, aby robiła z siebie kompletną idiotkę. Szarmancko, przyjaźnie, łagodnie, przebiegle zadaje jej pytania, które brutalnie odślaniają ubóstwo i ohydę jej charakteru, pychę, próżność, nie liczenie się z uczuciami innych...

Owo rozkładanie osobowości Daphne na czynniki pierwsze, sprawiało Sally przykrość.

Odnosiła niemiłe wrażenie, że Kenneth czerpie swoistą przyjemność nie tylko z oszukiwania jej siostry i szwagra, lecz także z poniżania ich. Pospiesznie odegnała te myśli od siebie, tłumacząc sobie, że ponosi ją wyobraźnia. Kenneth nie jest taki, jest uprzejmy, opiekuńczy; to tylko niefortunny zbieg okoliczności, że jego pytania wydobywają na wierzch najgorsze cechy Daphne.

- Sally właśnie wstąpiła, żeby nam pomóc przygotować jadalnię do położenia nowych tapet - pospieszyła wyjaśnić gospodyni, kiedy Kenneth zrobił jakąś uwagę nie tyle na temat obecności Sally, lecz jej wyglądu.

Spuściwszy wzrok, Sally zauważyła, że kilka skrawków

mokrej tapety przykleiło się do jej pantofli. Nic dziwnego, że Kenneth skrzywił się lekko z niesmakiem, kiedy ją zobaczył; w starych, zniszczonych dżinsach i jeszcze bardziej zniszczonej koszuli Joela, z włosami związanymi z tyłu w kitkę, bez makijażu, musi wyglądać jak straszdyło.

- Chcieliśmy urządzić jadalnię zupełnie w nowym stylu - zwierzała się Daphne - ale tapeciarsz, który zawsze wykonuje dla nas takie roboty, mógł nas wstawić do swojego kalendara jedynie pod warunkiem, że będzie miał czyste ściany.

- Aha... teraz rozumiem - odparł Kenneth. - Powiniennem sam się domyślić, przecież nie kazałaby pani siostrze odnawiać swojej jadalni... Szczególnie teraz, kiedy jest taka zapracowana.

- Naturalnie, że nie - przyznała Daphne, posyłając Sally ostrzegawcze spojrzenie, aby nie odważyła się prostować jej wersji.

Tymczasem Kenneth i Clifford pograżyli się w dyskusji nad artykułem, jaki pierwszy z nich ostatnio napisał na temat ekonomii, i Sally pozwoliła myślom biec własnym torem. Skrawki wyschniętej tapety kusiły ją, aby się schylić i je odebrać, lecz wiedziała, że siostra byłaby wściekła, gdyby zaśmieciła jej nowy drogocenny dywan.

Pod lewą łopatką poczuła swędzenie - kolejny strzęp tapety, pomyślała.

Zawsze, kiedy odnawiali swój dom, to właśnie ona zdołała umazać się farbą albo oblepić klejem, natomiast Joel nigdy.

Przypomniała sobie, jak zaraz po ślubie pierwszy raz wspólnie tapetowali mieszkanie. W małym dusznym pokoiku pasma lepkiej tapety złośliwie sklejały się ze sobą albo czeptały jej włosów, twarzy i ubrania.

- To zrzuć te ciuchy - poradził Joel, kiedy kolejny raz poskarżyła się, że jej gorąco i niewygodnie.

- Nie mogę! - zaprotestowała, rozbawiona i zaskoczona, lecz w końcu rozebrała się, Joel także, i wcale nie czuła się

skrępowana, nawet później, kiedy kochali się na podłodze usłanej papierami i częściami garderoby.

Spuściła głowę, tym razem, nie żeby oglądać swoje buty, lecz żeby ukryć rumieniec.

Dlaczego, do diabła, przypomniało jej się to akurat teraz? Na dodatek tak wyraźnie, tak ostro, że w nozdrzach poczuła zapach rozgrzanego, spoconego ciała Joela, opalonego, błyszczącego niczym jedwab... na skórze dotyk jego dłoni... Och, Joel... Serce jej wypełniła gwałtowna tęsknota, rozdzierający żal... Zaczęła pospiesznie mrugać oczami, aby odpędzić cisnące się do nich łzy.

- Ależ to cudowny pomysł! Oczywiście, że mamy ochotę, prawda, Sally...?

Sally raptownie uniosła głowę i spojrzała na siostrę. Zaabsorbowana własnymi myślami zupełnie straciła wątek.

- Słucham?

- Twoja siostra opowiadała mi właśnie o swoim ogrodzie. A ja zaprosiłem wszystkich do siebie, żebyście obejrzeeli mój...

- Ale ja nie... - zaprotestowała Sally, lecz Daphne już ujęła ster w swoje ręce i, przerywając jej, oświadczyła:

- Oczywiście, że możesz.

- Świetnie! - ucieszył się Kenneth i wstał. - W następnym tygodniu? Powiedzmy... czwartek po południu?

W następnym tygodniu, czyli kiedy ma dyżury rano, a po południa wolne. Rzuciła Kennethowi baczne spojrzenie i szybko odwróciła wzrok, bojąc się, że się zdradzi ze swoimi myślami.

- Chcę, żebyś zobaczyła mój dom - powiedział przy ostatnim spotkaniu. - Tam miałabyś idealną oprawę dla siebie, dla swej urody.

- Nie mogę - protestowała.

- Możesz i zobaczysz - droczył się z nią łagodnie. - Po-czekaj, a przekonasz się.

Sądziła, że Kenneth spodziewa się po niej, iż zmieni zdanie, do głowy jej nie przyszło, że tak pokieruje wydarzeniami, aby dostarczyć jej bezpiecznego pretekstu do wizyty.

Wychodząc, już w drzwiach, Kenneth zatrzymał się, obejrzał i uśmiechnął do niej.

Jeszcze zanim samochód Kennetha wyjechał z podjazdu na ulicę, Daphne zarzuciła siostrę pytaniami, koniecznie chcąc się dowiedzieć szczegółów ich znajomości.

- Był jednym z pacjentów, to wszystko - usiłowała ją zbyć Sally, wdzięczna losowi za to, że zarozumiałstwo Daphne zamyka jej oczy na prawdę. Bogu dzięki Daphne wyraźnie nie miała żadnych podejrzeń co do prawdziwych zamiarów swego wysoce cenionego gościa wobec niedocenianej siostry.

- Oczywiście zabierzesz się z nami - powiedziała łaskawie - wyglądałoby dziwnie, gdybyś przyjechała osobno. I, na miłość boską, postaraj się elegancko wyglądać. Ta okropna koszula i džinsy...

- Pracowałam - przypomniała jej Sally. - Skończyłam zrywanie tapety - dodała - ale nie wiem, kiedy znajdę czas położyć nową...

- Otóż właśnie, chciałam z tobą o tym porozmawiać... Teresa Craven ma tapeciarza, który jest podobno cudowny, i niedrogi. Postanowiliśmy zwrócić się do niego. Nie stać nas na marnowanie kolejnej tapety. Wiesz jednak dobrze, co tak naprawdę myślę o całej tej sprawie. Powinnaś była zmusić Joela, żeby to naprawił. Jesteś dla niego za łagodna, Sally. Czy wyobrażasz sobie, że ktoś taki jak Kenneth pozwoliłby żonie brać na siebie odpowiedzialność za swoje błędy?

- Nie - odparła Sally - nie wyobrażam sobie.

Zbierając manatki, przyznała w duchu, że Joel najprawdopodobniej miał rację: Daphne nie chodziło wcale o jadalnię, lecz o to, żeby go upokorzyć. Gdyby jednak go nie zastąpiła, nie spotkałaby Kennetha... który najwyraźniej zapamiętał, że

wolny dzień będzie musiała poświęcić na pracę u siostry i postanowił wykorzystać to dla swoich celów.

Jak on potrafił obrócić próżność Daphne na swoją korzyść... Nie tak jak Joel, który zawsze padał jej ofiarą.

Fiona w napięciu zacisnęła palce wokół słuchawki. Na drugim końcu linii telefon zadzwonił.

Słyszając charakterystyczne dźwięki włączającej się automatycznej sekretarki, odprężyła się. Po prostu nagra wiadomość, zostawi numer telefonu i będzie czekać, aż jej ewentualny pracodawca do niej zatelefonuje. Zaczęła już w myśli powtarzać, co powie, gdy nagle przerwał jej opanowany, mocny, męski głos z taśmy - głos podający nazwisko rozpoznała natychmiast, mimo że nie słyszała go od lat. A kiedy słyszała po raz ostatni, nie brzmiał tak neutralnie i uprzejmie jak teraz - ochrypły od złości i pogardy raził jej uszy, a ostre słowa niczym bicze raniły jej dumę.

Pod wpływem nagłego impulsu rzuciła słuchawkę na widełki, ucinając komunikat w pół zdania. Ręce jej drżały, serce waliło jak młot, jak gdyby przebudziła się z koszmarne go snu.

Stała, wpatrując się w aparat, jakby spodziewała się, że za chwilę zadzwoni i że usłyszy głos Blake'a żądający wyjaśnień, pytający, czego od niego chce, dlaczego nie pozwoliła mu dokończyć, dlaczego przede wszystkim telefonuje, skoro doskonale wie, jakie on ma o niej zdanie!

Wstrząśnięta, porażona tymi doznaniem, dopiero po dłuższej chwili opanowała się na tyle, żeby uświadomić sobie absurdalność tych lęków.

Oczywiście, że Blake nie zadzwoni. Niby jak? Kiedy od słucha taśmę, pomyśli, że to kolejna osoba, która nie chce rozmawiać z maszyną.

Powoli jej myśli zaczęły nabierać logicznego kształtu.

Blake jest kolegą męża Elizabeth Humphries, człowiekiem

szukającym opieki dla swojej córki chrzestnej, sieroty... Czy przeznaczenie może mieć aż tak długie ramię?

Z tego, co wiedziała, Blake do tej pory wciąż mieszkał i pracował za granicą. Gdzieś w Stanach, wspominał Michael, kiedy ostatni raz rozmawiali o dawnym przyjacielu. Pewien czas przebywał jako ochotnik w Rumunii, zajmował się dziećmi...

Jakim więc cudem znalazł się teraz tutaj, w stosunkowo małym prowincjonalnym szpitalu w okolicy, z którą nic go nie wiąże?

To niemożliwe, zdawało jej się... Wpatrywała się w telefon, zbierając całą odwagę, aby jeszcze raz wystukać numer. Kiedy wreszcie zmusiła się do tego, usłyszała ten sam głos przedstawiający się jako „Blake Hamilton” i podający numer telefonu tak samo beznamyślnie i wyraźnie jak poprzednio. Położyła słuchawkę. W ustach czuła suchość, serce jej biło mocno, zimny pot pokrył całe ciało. Drżała.

Dzięki Bogu Elizabeth tak ustawiła sprawę, że to ona sama miała kontaktować się z Blake'em, nie on z nią.

- Wie coś niecoś o twoim położeniu, ale bez szczegółów - powiedziała Elizabeth. Czy to „coś niecoś” obejmuje jej nazwisko? A jeśli tak, to czy je rozpoznał? Czy przypomniał je sobie?

Najwyraźniej nie, gdyż w przeciwnym przypadku nigdy by się nie zgodził z nią spotkać.

Nagle zaczął ja dławić histeryczny chichot.

- Idealnie się nadajesz do tej roli - powiedziała Elizabeth.

Chichot zmienił się w głośny, ostry wybuch nerwowego śmiechu. Fiona zamarła z przerażenia. Umilkła... Był to pisk wariatki, kobiety na granicy obłądki.

Nie ... Nigdy nie zaczniesz ubiegać się o tę pracę. Blake nigdy jej nie zechce.

Dwuznaczność tego słowa, demaskująca jej podświadome intencje, wywołała ironiczny uśmiech na twarzy Fiony. Będę

musiała wymyślić jakieś usprawiedliwienie dla Elizabeth, jakąś wymówkę, jakieś kłamstwo, pomyślała.

Blake Hamilton... Tragedia czy farsa postawiła go znowu na jej drodze? A może los daje jej szansę udowodnienia, że szczerze pragnie sama pokierować swoim życiem, być sobą... może przypomina, że istnieją pewne sprawy, że tkwią w niej pewne cechy, od których nie może uciec ani których nie może zmienić?

Blake zachmurzył się słysząc, że osoba dzwoniąca dwukrotnie położyła słuchawkę.

Dlaczego ludzie tak postępują, zastanawiał się poirytowany. Czyżby zniechęcał ich krótki komunikat nagrany na taśmę?

Przesłuchiwał wszystkie nagrane wiadomości. Skrzywił się. Kobieta, którą tak mu polecała pani Humphries, nie zgłosiła się.

Elizabeth twierdziła, że to idealna kandydatka i Blake nie miał powodu jej nie wierzyć. Nie zdawał sobie sprawy, jak trudno jest znaleźć kogoś do opieki nad dzieckiem. O wiele szybciej i łatwiej skompletowałyby personel całego oddziału w szpitalu...

Dlaczego więc, do diabła, nie odezwała się? Czas naglił. Sąd opiekuńczy deptał mu po piętach, przysyłał ponaglenia i ostrzegawcze monity.

Po co zawraca sobie głowę? Dlaczego rujnuje życie dla jakiegś, w gruncie rzeczy obcej, jedenastolatki? Z poczucia obowiązku? Winy, że jako było nie było chrzestny ojciec przez tyle lat prawie zapomniał o jej istnieniu i ograniczył się jedynie do wysyłania czeków na Boże Narodzenie?

Westchnął znużony. Skoro tej kobiety nie interesuje posada u niego, będzie musiał od nowa zwracać się do agencji.

Sięgnął do kieszeni po portfel, przerzucił nagromadzone tam wizytówki, odnalazł bilet Elizabeth, na którym zapisała

swój prywatny numer telefonu. Zadzwoń. Dowie się, co jest grane.

- Nie odezwała się? To dziwne. Rozmawiałam z nią dziś rano. Obiecała, że zadzwoni zaraz - powiedziała Elizabeth.

- Może daj mi jej numer - wpadł na pomysł Blake - albo jeszcze lepiej adres... Podjadę i porozmawiam z nią...

Elizabeth zawahała się, lecz doszła do wniosku, że poznała Blake'a na tyle dobrze, że może mu zaufać.

- Zgoda... Poczekać chwilę... Fiona Rycart... Green Lawn... Larchmount Avenue.

Fiona Rycart...

Fiona.

Dziękując Elizabeth, Blake jeszcze raz spojrzął na nazwisko, które mu podyktowała. Zauważył zdradzające wzburzenie grube, mocne kreski, tak mocne jak uderzenia jego serca.

Wdowa, powiedziała Elizabeth podczas kolacji. Przypomniał sobie jej oszczędną relację: samobójstwo męża spowodowane bankrutem, żona praktycznie bez środków do życia, bez zaplecza w rodzinie.

Fiona, samotna... Rozsądek zalecał ostrożność, namysł. Nie, czegoś takiego nie przewidywał, na taki obrót sprawy nie był przygotowany.

- Obojętnie co się stanie, Fifi go nie zostawi. Jest bardzo lojalna wobec niego. Moim zdaniem nawet zbyt lojalna - powiedział mu kiedyś, całkiem niedawno, Michael. Powiedział mu leż i inne rzeczy, pod wpływem których Blake zaczął widzieć siebie w innym świetle... Mniej korzystnym? Takim samym, w jakim go widziała Fiona?

Sięgnął po telefon, lecz zaraz odstawił aparat z powrotem na miejsce.

Może lepiej pojechać? Tak, pojedzie do niej. Będzie szybciej, oszczędzi niepotrzebnej zwłoki, tłumaczył sobie, ignorując wewnętrzny głos, który szczydził z niego.

Poszedł na górę, wziął prysznic, przebrał się.

Pustka i cisza panująca w domu działała na niego przygnębiająco. Kupił go z całym umeblowaniem. Poprzedni właściciele przenosili się do Hiszpanii i nie chcieli zabierać ciężkich staroświeckich mebli ze sobą. Zresztą nie mieliby na nie miejsca

Zaczął się zastanawiać, czy Annie, która znała tylko ciasne mieszkania komunalne, łatwo będzie przyzwyczać się do przestronnych pokoi. Bez wątpienia łatwiej niż do braku rodziców, stwierdził.

W swojej praktyce zetknął się z dziećmi, które wycierpiały o wiele, wiele więcej od Annie, a jednak było w niej coś, co go głęboko wzruszyło, nie jako psychologa, lecz jako człowieka.

Może było to coś w wyrazie jej buzi, pewne podobieństwo do matki, a może wyraz rezygnacji i bezradności w oczach, którymi patrzyła na niego tak, jakby była całkowicie świadoma, że on, Blake, zastanawia się, czy, aby dla jej dobra nie pozostawić jej pod opieką państwa.

Dla jej dobra czy dla swojego?

Czy w przyszłości Annie będzie go błogosławić, czy przeklinać za to, że dokonał takiego wyboru, jakiego dokonał? To, już teraz był głęboko przekonany, będzie zależało od kobiety, którą wybierze na jej opiekunkę.

Elizabeth Humphries zapewniała, że Fiona jest właściwą kobietą do spełnienia tej roli.

Dla dobra Annie nie może zignorować tej opinii.

A owo niespodziewanie przyspieszone bicie serca nie ma żadnego związku z myślami, jakie kłębią mu się w głowie, ani wspomnieniami obudzonymi przeprowadzoną przed chwilą rozmową z Elizabeth. Nie, nie... to tylko naturalna u mężczyzny dobrze po trzydziestce zadyszka, efekt biegania na górę po schodach.

Bolesna spuścizna

25

- Mamo, co będzie z wakacjami?

Fiona zmartwiła się, słysząc niepokój w głosie starszego syna. Zaciśnęła mocniej palce wokół słuchawki. W wyobraźni widziała bardzo wyraźnie jego twarz, zmarszczkę na czole, która pojawiała się, ilekroć jakaś myśl go zaniepokoiła, oczy bacznie obserwujące ją, czekające na magiczne słowa, które rozwieją wszelkie niepokoje i przywrócą ład w jego świecie.

Tylko że Rory nie jest już małym chłopcem, jest prawie dorosły, zbyt dojrzały, aby go zwodzić starannie wymyślonymi kłamstwami, obojętnie jak bardzo chciałyby oszczędzić mu ciosów.

- Stuart Drayton mówi, że kiedy jego wujek zbankrutował, jego ciotka i kuzyni nie mieli z czego żyć...

Fiona poczuła, jak serce podchodzi jej do gardła. Powinna była się spodziewać czegoś podobnego; przecież sam dyrektor szkoły mówił, że jej dzieci nie są jedynymi uczniami, których rodziny przeżywają kryzys finansowy.

- Musieli przenieść się do babci... - dodał Rory.

Fiona przymknęła oczy.

- Kochanie, nie masz się o co obawiać - zaczęła łagodnie.
- Obiecuję, że ani ty, ani Daniel nie będziecie musieli nigdzie się przeprowadzać ani mieszkać u nikogo, kogo nie lubicie.

Czy to jej wina, że między dziećmi a jej rodzicami istniał taki dystans? Starła się, aby jej uczucia nie wpływały na stosunek wnuków do dziadków, lecz małe dzieci znakomicie wyczuwały skrywane nastroje dorosłych.

- To będziemy mogli przyjechać do domu na wakacje? Nie będziemy musieli zostawać w szkole? - dopytywał się Rory.

- Nie - zapewniła go Fiona i przesądnie zacisnęła kciuki.

Dlaczego bank jeszcze się z nią nie skontaktował, nie dał żadnej odpowiedzi, czy będzie mogła nadal mieszkać w tym domu? Podejrzewała, że bawią się z nią w kotka i myszkę, testują jej silną wolę i determinację i właśnie z tego powodu nie może sama się do nich zwrócić z ponagleniem. Mniejsza z tym, cokolwiek się zdarzy, znajdzie jakiś sposób, żeby dotrzymać obietnicy danej Rory'emu, postanowiła. Nie może pozwolić, nie dopuści, aby jej synowie cierpieli.

Odkładając słuchawkę, rzuciła okiem na kartkę z zapisanym numerem telefonu Blake'a. Ta praca byłaby dla niej wymarzona. Lubiła dzieci, w każdym wieku, z łatwością znajdowała z nimi wspólny język może właśnie dlatego, że jej własne wspomnienia z dzieciństwa uwrażliwiły ją na ich potrzeby emocjonalne.

Gdyby jej życie ułożyło się inaczej, chciałaby mieć większą rodzinę... Dwie córeczki... Czwórka dzieci to akurat wystarczająca liczba.

Gdyby jej przyszłym pracodawcą był ktokolwiek inny, a nie Blake Hamilton, przyjęłaby i jego, i jego ofertę z otwartymi ramionami.

- Ma duży dom z mnóstwem wolnych pokoi - powiedziała Elizabeth.

Wciąż pod wrażeniem przesyconej niepokojem rozmowy z synem, chciała czym prędzej usiąść, by napisać do niego uspokajający list, lecz dzwonek u drzwi zmusił ją do zatrzymania się w pół kroku. Zdziwiła się. Ostatnio bardzo niewiele osób ją odwiedzało, właściwie tylko Susie, która jednak pojechała do matki...

Czyżby Joel nie posłuchał jej zaklinań i wrócił? Jeśli tak, czy będzie miała dość siły, aby ponownie kazać mu odejść?

Chwiejnym krokiem podeszła do drzwi.

W pierwszym odruchu, kiedy zobaczyła, kim jest niespodziewany gość, chciała zatrzaskać mu drzwi przed nosem, lecz ujrawszy wyraz jego twarzy, spokojnym głosem, który ją samą zaskoczył (czyżby radość, że to jednak nie Joel, dodała jej sił?) zaprosiła:

- Wejdz, Blake.

Z jego oczu wyczytała, że również był zaskoczony takim przyjęciem.

Czego, się spodziewał, przemknęło jej przez myśl, że się zarumieni jak pensjonarka i padnę mu do stóp w niemym uwielbieniu? Nie jestem już naiwną, ślepo zakochaną nastolatką.

- Czyżbyś się mnie spodziewała?

Jego głos miał głębsze, bardziej chrapliwe brzmienie niż na taśmie. Czułym uchem wychwyciła tłumione emocje - tremę, zniecierpliwienie, irytację... Tremę? Czym miałyby być stremowany?

- Niezupełnie - automatycznie odpowiedziała na zadane pytanie.

- Tak? Ale poznałaś mój głos na taśmie?

- Poznałam - przytaknęła. Co za sens kłamać?

- I poznawszy mnie po głosie, postanowiłaś nie umawiać się ze mną.

- Wydawało mi się, że to będzie najlepsze wyjście - powiedziała.

Nagle uświadomiła sobie, że stoi przed nią nie ten mężczyzna, którego zapamiętała, nie wszechpotężny heros, bóg nie-mal, którego czciła i uwielbiała, lecz człowiek, który w tej chwili wydaje się bardziej speszony sytuacją i zagubiony niż ona.

Było to dziwne doznanie. Napełniło ją przyprawiającym o zawrót głowy poczuciem wolności, przemieniło wszystko, przechyliło szalę na jej stronę, przypomniało jej, że już nie jest

ową nieśmiałą, zauroczoną dziewczyną, której wizerunek żył uwieczniony w jej pamięci, lecz dojrzałą kobietą mającą o wiele ważniejsze sprawy na głowie, niż analizowanie młodzieńczych emocji i reakcji.

Fizycznie Blake prawie się nie zmienił. Był tak samo szczupły i przystojny, jakim go zapamiętała, chociaż teraz, zamiast w dżinsy i bawełnianą podkoszulkę, ubrany był w elegancki oficjalny ciemny garnitur i nieskazitelnie wyprasowaną białą koszulę. Jego oczy były tak samo czyste i butne jak dawniej - ciemne, prawie czarne źrenice w otoczce jasnej zieleni. Wystające kości policzkowe nadawały jego twarzy wyraz władczej męskości, pełne wargi zaś świadczyły o zmysłowej namiętności. Ona, Fiona, też musiała się zmienić, nie wiedząc nawet o tym, nie dostrzegając tego aż do tej chwili. Stwierdziła bowiem nagle, że wszystkie te atrybuty urody Blake'a, które dawniej przyprawiały ją o przyspieszone bicie serca i pobudzały jej wyobraźnię, teraz nie robiły na niej żadnego wrażenia.

Co za dziwne, wprawiające w zakłopotanie uczucie - mieszanina ulgi z zażenowaniem spowodowanym uświadomieniem sobie własnej głupoty... jak gdyby przebudzenie ze straszliwego snu i ujrzanie, że zhora, która ją dręczyła, to tylko suknia wisząca na drzwiach szafy.

- Jak się ma twoja podopieczna? - spytała ze współczuciem, tłumiąc w sobie te skomplikowane uczucia. - Biedactwo, musi bardzo cierpieć...

Słyszając tak szczere i ciepłe słowa, Blake przyznał w duchu, że Elizabeth Humphries wiedziała, co robi. Fiona była jedyną osobą, która przystępując do rozmowy w sprawie posady, w pierwszej kolejności zainteresowała się Annie.

Tylko że z Fioną nie przeprowadzał formalnej rozmowy wstępnej ani, jak podejrzewał, nie będzie miał okazji przeprowadzić.

Miał przed sobą spokojną, zachowującą dystans, dojrzałą

kobietę niczym nie przypominającą Fiony, jaką spodziewał się zobaczyć. Metamorfoza, jaka nastąpiła w tej dziewczynie, którą kiedyś znał, zaintrygowała go i jednocześnie zasmuciła.

To, że przez wszystkie te lata zachowała oszałamiającą urodę, nie zaskoczyło go, natomiast to, że zdawała się jak gdyby nie zwracać na nią uwagi, prawie nie dbać o swój wygląd, zdumiało.

Michael opowiadał mu trochę o siostrze, on jednak, doskonale wiedząc, w jaki sposób została wychowana, w wyobraźni wykreował zupełnie inny wizerunek Fiony - stroje ze znanych domów mody, nieskazitelna fryzura, polakierowane paznokcie. Ubrał ją w to wszystko, co go zawsze od kobiet odrzucało.

Natomiast teraz ujrzał przed sobą kobietę w dżinsach i bawełnianej bluzce, z lekko potarganymi jasnymi włosami, krótko obciętymi paznokciami, bez makijażu, naturalną, serdeczną, zachowującą się bez cienia sztuczności czy skrupowania.

Jako nastolatce rodzice nigdy nie pozwoliliby jej tak się ubrać.

Wówczas wyglądała niczym perfekcyjnie wykonana, niedostępna lalka, teraz zaś jak bardzo bezpośrednia kobieta... Kobieta, która potrafi śmiać się i płakać, która jest ciepła i otwarta, która osamotnione i osierocone dziecko przytuli do serca i otoczy bezpiecznym płaszczem miłości...

Jakim cudem stała się właśnie taka? Dzięki mężczyźnie, swojemu mężowi?

Odpędził od siebie te myśli i odpowiedział na jej pytanie:

- Annie jest naturalnie bardzo nieszczęśliwa i zagubiona. To dziewczynka pod wieloma względami bardzo dojrzała jak na swój wiek, pod innymi - bardzo niedojrzała. Nigdy nie miała zbyt wielu kontaktów z innymi dziećmi, a śmierć rodziców spowodowała, że zamknęła się w sobie... - Umilkł i zamyslił się. Po chwili spytał: - Dlaczego zmieniłaś zdanie? Dlaczego zrezygnowałaś z oferty? Wiem, że...

- Co wiesz? Że potrzebne mi są pieniądze? - przerwała mu Fiona. - Tak, potrzebne - przyznała szczerze. - Niemniej ty możesz mieć inne powody, żeby chcesz zatrudnić mnie u siebie...

- Nie ważne, czego ja chcę, ważna jest Annie - uciął Blake.

Spostrzegł, że jego słowa trafiły Fionie do przekonania. Zawsze była bardzo uczuciowa i z tego powodu... Zdusił w sobie wspomnienia. Przyszedł tu ze względu na Annie, a nie po to, by...

- Nie dam sobą manipulować - ostrzegła go Fiona zdecydowanie. - I szczerze mówiąc, dziwię się, że właśnie mnie pragniesz...

Urwała zaskoczona własnym doborem słów, przeklinając w duchu samą siebie, lecz jeśli nawet Blake odgadł jej myśli, nie dał tego po sobie poznać.

- Nie mam wiele czasu - odparł Blake. - Sąd opiekuńczy nigdy nie był zachwycony moją chęcią zaopiekowania się Annie, a teraz żądają, abym udowodnił, że lepiej jej będzie u mnie niż u rodziny zastępczej.

- Czyli jesteś w sytuacji podbramkowej i zaczynasz wpadać w panikę... - lekko żartobliwym tonem odparła Fiona.

- Wpadam - przyznał się Blake. - Ale jeszcze nie w tak straszną, żebym zgodził się zatrudnić osobę, co do której nie mam ponadstuprocentowej pewności, że mogę jej z czystym sumieniem powierzyć małą...

- Za to do mnie masz?

Nie zdołała opanować cynicznej nuty w głosie i spostrzegła, że i Blake ją wyraźnie usłyszał.

- Widzę, że nie wszystko w tobie uległo przemianie - odezwał się łagodnie. - Fiona, którą znałem, również nie odznaczała się wiarą w siebie.

Nie tylko mnie już nie pociąga, pomyślała Fiona, ale jest wręcz niesympatyczny.

- Fiona, którą znałeś, już nie istnieje - odrzekła lodowatym tonem. - Była dziewczyną, dzieckiem... Ja zaś jestem kobietą...

- Jesteś.

Dlaczego to jedno słowo sprawiło, że mimo całego opanowania jej ciało ogarnęła gorąca fala?

- Przykro mi, Blake - odezwała się stanowczo - ale nie mogę u ciebie pracować. - Odwróciła się do niego plecami i dodała: - Nic by z tego nie wyszło, a ja muszę też myśleć o swoich chłopcach...

- Chłopcy mi nie przeszkadzają. Przeciwnie...

Fiona, zaskoczona, odwróciła się i spojrzała na Blake'a.

- Annie potrzebny jest kontakt z innymi dziećmi - wyjaśnił. - Obawiam się, że po tych wszystkich ciężkich przeżyciach w nowej szkole, zamiast nawiązać kontakt z rówieśnikami, jeszcze bardziej zamknie się w sobie. Towarzystwo innych dzieci we własnym domu byłoby dla niej olbrzymim dobrodziejstwem.

- Mówisz to jako jej opiekun czy jako psycholog? - spytała Fiona ostro.

- Annie jest moją wychowanicą, nie pacjentką - odpowiedział Blake równie ostro i dodał oburzony: - A jeśli sugerujesz, że wykorzystuję jej sytuację dla swoich badań...!

Nie to miała na myśli. Chciała zirytować go trochę, zranić na tyle, żeby sprawdzić, czy krwawi, zemścić się za ciosy, jakie jej zadał, gdy kiedyś usiłowała skruszyć mur jego objętności.

Przekonała się, że jest bardziej impulsywny, niż sobie wyobrażała, a jego uczucia tylko pozornie są głęboko ukryte.

- Skądże - zapewniła go i dodała jeszcze: - Nie jestem strażniczką twojego sumienia, Blake. Mam o wiele poważniejsze zmartwienia, na przykład los moich synów...

- Ich ojciec... twój mąż... Kochałaś go?

Fiona wpatrywała się w Blake'a wstrząśnięta do głębi.

Blake także wyglądał na poruszonego, jak gdyby i jego zaskoczyło owo pytanie. Przez ułamek sekundy czuła pokusę, aby skłamać, zachować się jak osoba, na jaką ją wychowywano, lecz duma jej nie pozwalała. Po co miałyby zasłaniać się nieprawdą.

- Nie - odparła, wysoko unosząc głowę, jak gdyby rzucała Blake'owi wyzwanie. Niech ośmieli się ją krytykować!
- Lecz byłam mu wdzięczna - uzupełniła.

- Wdzięczna?

- Tak... za to, że mnie pragnął, potrzebował, doceniał... Za to, że umacniał we mnie poczucie własnej wartości, że dał mi cel w życiu. Za to - dodała cicho - że dał mi szansę uciec od rodziców. A ty - spytała po krótkiej chwili - ożeniłeś się?

- Nie.

Ich spojrzenia spotkały się i to Blake pierwszy odwrócił wzrok, co spostrzegła z zaskoczeniem Fiona.

- Jednak chciałbym, żebyś się jeszcze zastanowiła... Nie dawaj mi teraz odpowiedzi. Pomyśl kilka dni - prosił Blake.
- Annie potrzebuje ciebie - dodał.

- To szantaż - powiedziała bez ogródek Fiona. - Nawet nie wiesz, jak ona się do mnie ustosunkuje.

- Mylisz się - zaprzeczył Blake łagodnie - to jedno wiem...

- Kierujesz się doświadczeniem zawodowym? - Usta Fiony wykrzywił ironiczny uśmiešek.

- Tak. Poza tym mówię to jako człowiek... i jako mężczyzna...

Nie dokończywszy, skierował się do wyjścia, jakby chciał opuścić ten dom, mając ostatnie słowo. Dobrze, pomyślała, może pozwolić mu na to małe zwycięstwo, przecież nie ma zamiaru zmieniać zdania.

Chociaż... Dlaczego nie? Przecież już sobie udowodniła, że nie robi na niej wrażenia jego obecność, bliskość...

W pustej kuchni potrząsnęła głową w niemej odpowiedzi na własne niewypowiedziane pytanie.

A jednak nie. Nie zamierza u niego pracować i kropka;

nie musi podawać logicznych powodów, argumentów, wymówek... Po prostu nie zamierza.

List nadszedł z poranną pocztą. Ujrawszy stempel banku na kopercie, Fiona otworzyła go w pierwszej kolejności. Drżącymi palcami wyjęła arkusz papieru wiedząc, że zawiera odpowiedź na jej podanie.

Przeczytała list raz, potem jeszcze raz. Przyprawiające o mdłości uczucie dotkliwego rozczarowania ogarnęło ją całą.

Bank z przykrością zawiadamiał, że nie może pozytywnie ustosunkować się do jej prośby. Treść pisma była oczywiście bardziej rozbudowana, lecz sprowadzała się do tego jednego... Do zdecydowanego i nieodwołalnego „nie”.

Dopiero po chwili zauważyła, że do listu dołączona jest druga kartka. Jej treść wzmocniała jedynie stanowisko banku. Zawierała nazwę firmy zajmującej się handlem nieruchomościami i informowała, iż dyrekcja banku zleciła owej firmie jak najszybszą sprzedaż domu.

A zatem rozwiązała się szansa na dotrzymanie obietnicy danej Rory'emu, że spędzą wspólne wakacje... Gdzie? U jej rodziców?

Kiedy zadzwonił telefon, pobiegła odebrać, żywiąc irracjonalną nadzieję, że to Neville Wilson chce ją zawiadomić o zmianie decyzji. Niestety, dzwoniła tylko Susie.

- Hej, gdzie się podziewasz? - spytała radosnym tonem.
- Miałaś wpaść na kawę i plotki, zapomniałaś?

- Nie... nie... przepraszam... Zbierałam się właśnie...

- Fiona? Stało się coś?

- Przyszła odpowiedź z banku - powiedziała. - Nie godzą się, abym tu została, i najwyraźniej zlecieli już agencji szybką sprzedaż.

- Och... Tak mi przykro...

Pod wpływem współczucia wyrażonego tak spontanicznie, Fionie łzy napłynęły do oczu.

- Ale - powiedziała, opanowując się - nie wszystkie no-
winy są takie złe. - Wyobraź sobie, że zaproponowano mi
pracę...

Urwała nagle. Co, u licha, podkusiło ją, żeby opowiadać
o tym Susie? Przecież nie zamierzała nikomu mówić ani o wi-
zycie Blake'a, ani o propozycji pracy. Po co, skoro już posta-
nowiła, że ją odrzuci?

To głupia дума, pomyślała, przekorna reakcja na okazane
mi współczucie.

- Praca? Aha, chodzi o tę dziewczynkę? - odgadła Susie.
- Opowiedz mi wszystko - prosiła podniecona.

Fiona w ogólnych zarysach przedstawiła sytuację.

- To brzmi cudownie! - wykrzyknęła Susie. - Kiedy za-
czynasz?

- W ogóle nie zaczynam. W tym cały problem - oświad-
czyła Fiona.

- Problem? Jaki problem? Mini, maxi czy mega?

- To zależy od punktu widzenia - odparła Fiona i przed-
stawiła przyjaciółce swoje rozterki.

- Mhm... historia robi się coraz bardziej interesująca -
rzuciła Susie, lecz mimo nacisków Fiony nie wyjaśniła, co ma
na myśli. Stwierdziła jedynie: - Ale skoro on już cię nie
pociąga...

- Zdecydowanie nie - wtrąciła Fiona.

- ... to nie ma problemu, prawda? - dowodziła Susie.
- Jemu najwyraźniej nie przeszkadza to, co zaszło między
wami w przeszłości. W przeciwnym razie nie zależałoby mu
na zatrudnieniu ciebie, tak? A ty ze swojej strony nie masz się
absolutnie czego obawiać, bo nie jesteś już w nim zakochana.
Co przypomina mi o innej sprawie... Nie chcę prawić ci ka-
zari, ale widzę dodatkowe powody, pomijając oczywiście ko-
rzyści finansowe, dla których praca u Blake'a mogłaby oka-
zać się dobrym rozwiązaniem... Zgadzasz się ze mną?

- Masz na myśli Joela?

- Tak, jeśli to jego imię. Sama twierdziłaś, że to do niczego nie prowadzi; że on jest żonaty i że ostatnią rzeczą, jakiej byś pragnęła, to przyczynić się do nieszczęścia drugiej kobiety - przypomniała jej Susie.

- To prawda. Wiem...

- Trafia ci się szansa z nim skończyć. Przecież, kiedy zamieszkaś w domu innego mężczyzny...

- Będę dla niego tylko pracować...

- Tak, oczywiście, ale przyznasz, że pod cudzym dachem trudniej przyjmować kochanka niż pod własnym.

- Masz rację - przyznała Fiona. - Wszystko, co mówisz, ma sens, ale...

- Nie sądzisz, że może cię powstrzymywać nie tyle obawa, że Blake nadal myśli, że jesteś w nim bez pamięci zakochana, co perspektywa zmiany statusu społecznego? - zasugerowała delikatnie Susie.

- Nie... oczywiście, że nie - żachnęła się Fiona.

- To przyjmij tę pracę - poradziła przyjaciółka. - Poza tym - dodała pogodnie - jeśli coś nie wypali, zawsze możesz zrezygnować.

- Nie. To jest właśnie jedyna rzecz, jakiej nie mogę zrobić - zaprzeczyła Fiona. - Chodzi o Annie. Dziewczynka zbyt wiele przeszła, straciła najbliższych... Nie wiem, dlaczego Blake'owi tak bardzo zależy właśnie na mnie - wybuchnęła.

- Musi być co najmniej z pół tuzina innych kobiet z o wiele lepszymi kwalifikacjami niż ja!

- To zależy, co uznajesz za lepsze kwalifikacje - odparła Susie. - Wyobrażam sobie, że chce zatrudnić akurat ciebie z tych samych powodów, dla których Elizabeth Humphries mu cię poleciła. A to sprowadza się po prostu do tego, że wie, iż dla ciebie opieka nad Annie to nie tylko praca. Zgódź się, Fifi - radziła z przekonaniem przyjaciółka. - Bo, prawdę mówiąc, czy masz inne wyjście?

- Żadnego - przyznała zmęczonym głosem Fiona.

List z banku wciąż leżał na kuchennym stole, obietnica dana Rory'emu dźwięczała w uszach. Susie ma rację. Czy ma jakieś inne wyjście?

- Zadzwoń do niego zaraz, powiedz, że wszystko przemyślałaś i postanowiłaś przyjąć jego ofertę - namawiała Susie gorąco.

Fiona tępym wzrokiem wpatrywała się w aparat telefoniczny. Nie było sensu odkładać tego, co i tak musiała zrobić.

Podniosła słuchawkę i powoli naciskając klawisze, wybrała numer Blake'a. I tym razem odezwała się automatyczna sekretarka. Fiona odczekała, zanim rozlegnie się sygnał, po którym należy nagrać wiadomość, po czym poinformowała Blake'a o podjętej decyzji.

Klamka zapadła. Nie ma odwrotu, chyba że Annie zapala do niej gwałtowną niechęcią.

Telefon zadzwonił, jeszcze zanim zdążyła ruszyć się z miejsca. Nie spodziewała się, że Blake odezwie się tak szybko.

- Pracowałem w domu - wyjaśnił. - Ale odłożyłaś słuchawkę, zanim zdążyłem podbiec do aparatu. Cieszę się, że zmieniłaś zdanie. - Umilkł na chwilę. - Jutro mam odebrać Annie od rodziny, u której do tej pory przebywała. Jeśli masz czas, może pojedziesz ze mną?

- Nie wolałbyś, żeby się wpierv przyzwyczyła do domu, mocniej stanęła na nogach...? - miała wątpliwości Fiona.

- Posłuchaj, jestem psychologiem, ale również facetem i chociaż moja wiedza teoretyczna o problemach dzieci w tym wieku wypełniłaby dobre kilka tomów, na myśl o zastosowaniu jej w praktyce ogarnia mnie trema. Co gorsza, obawiam się, że pani kurator także podejrzewa, iż mam dwie lewe ręce. Annie potrzeba teraz przede wszystkim ciepła i serdeczności. Nie potrafię jej tego dać. Jest co prawda moją kuzynką i chrześną córką, ale dzieckiem absolutnie dla mnie obcym. Od czasu śmiertelnego wypadku rodziców widziałem ją jeden raz, a przedtem tylko na chrzcie.

Fiona wyraźnie słyszała zdenerwowanie w głosie Blake'a. Wydał jej się dzięki temu bliższy, bardziej ludzki.

- Nie proszę, żebyś pojechała, bo chcę przeprowadzić jakiś perwersyjny test psychologiczny - dodał Blake poważnie.
- Proszę, bo Annie ciebie potrzebuje. I ja też.

Była to ostatnia rzecz, jaką Fiona spodziewała się od niego usłyszeć. Zaniemówiła z wrażenia.

- Fiona... Fifi? Jesteś tam?

- Tak... Jestem.

Jak to się dzieje, że wystarczy, aby tylko w czyimś głosie usłyszała lęk, wyczuła, że jest komuś potrzebna, i już...? Blake się co prawda zarzekał, że nią nie manipuluje, ale teraz nie była tego taka pewna.

- Więc jak? Pojedziesz?

Fiona wzięła głęboki oddech.

- Dobrze - powiedziała spokojnie. - Pojadę.

Odłożywszy słuchawkę, stanowczo zapewniła siebie w duchu, że nie ma się czego obawiać. Już nie. Przecież nie będzie aż taka głupia, żeby się po raz drugi w nim zakochać, prawda?

Bolesna spuścizna

26

- Mark... Proszę, wejdź.

Mark uśmiechnął się, a potem podążył za nienagannie ubraną brunetką, która przez mieszkalną część domu zaprowadziła go do swojego biura.

Ma ładne nogi, zauważył. Jak Debora. Na tę myśl, na to wspomnienie, poczuł wzbierające w nim napięcie.

Minęły już dwa miesiące. W tym czasie zaczął powoli odbudowywać szacunek dla samego siebie.

Wahał się z początku, kiedy agencja pośrednictwa pracy zaproponowała mu długie zastępstwo w niewielkim biurze rachunkowym działającym w małym targowym miasteczku, lecz ostatecznie spodobała mu się i praca, i ludzie. Była to jednoosobowa spółka, której właściciel, William Harcourt, zbliżał się już do emerytury i miał zamiar wkrótce sprzedać firmę. Przedtem jednak pragnął koniecznie nadrobić zaległości powstałe wskutek niedawnej choroby.

William i Mark natychmiast przypadli sobie do gustu i to właśnie William zaproponował, aby Mark wziął pod swoją wyłączną kuratelę księgowość ich największego klienta.

- Kiedy zaczynała, nie przypuszczałem, że tak jej się powiedzie - mówił o właścicielce owej firmy William Harcourt.
- Nie tylko ja, nikt... Teraz nawet mówi się, że wejdzie na giełdę, ale nie sądzę, żeby Stephanie zdecydowała się na taki krok. Zbyt lubi dzierżyć ster w swoim ręku...

Stephanie Pargeter intrygowała Marka, jeszcze zanim ją poznał. Była multimilionerką, właścicielką i dyrektorką zna-

komicie prosperującego przedsiębiorstwa, które sama stworzyła od podstaw, i... bardzo atrakcyjną kobietą Wyjątkowo atrakcyjną, pomyślał, podziwiając jej pełne gracji ruchy, kiedy prowadziła go do swojego gabinetu.

- Przepraszam, że ściągnęłam cię tutaj w niedzielę rano - usprawiedliwiała się, wprowadzając go do elegancko urządzonego, pełnego książek pokoju - ale znalazłam jeden czy dwa punkty w tej nowej umowie, które chciałabym z tobą omówić.

- Nie ma problemu - zapewnił ją Mark. - Wybierałem się ewentualnie na golfa z Williamem...

- Nie rób tego - ostrzegła go ze śmiechem, który zneutralizował krytykę - to straszny kanciarz...

Jak na kobietę czterdziestoletnią miała wyjątkowo młodzieńczą twarz, a w jej oczach często pojawiał się pełen przekory szelmowski błysk. Mimo zdecydowanie udanej kariery, nie miała stereotypowego wyglądu kobiety sukcesu. Stroje, które nosiła, były miękkie i lejące, bezpretensjonalnie, równo obcięte błyszczące włosy sięgały ramion, jedyną biżuterię stanowiły obrączka ślubna i zegarek.

- Herbata czy kawa? - spytała, zapraszając Marka, aby usiadł.

- Kawa.

Podczas gdy gospodyni wyszła zaparzyć kawę, Mark rozejrzał się po pokoju. Gabinet sprawiał wrażenie słonecznego i ciepłego. Zmyślnie rozmieszczone akcenty granatu łamały jednak ową zbyt przytulną atmosferę, a ustawione w rogu duże solidne biurko wyglądało bardzo prozaicznie.

Przyglądał się właśnie owemu meblowi, kiedy Stephanie wróciła z dwiema filiżankami.

- Wstrętne, prawda? - rzuciła, marszcząc z obrzydzenia nos i ruchem głowy wskazując komputer. - Wstrętne, ale konieczne. ... jak tyle innych rzeczy w życiu - dodała, uśmiechając się krzywo.

- Łącznie z mężczyznami? - spytał Mark przebiegle, odbierając od Stephanie filiżankę.

W ciągu miesiąca wspólnej pracy wytworzył się między nimi bardzo dobry kontakt i wiedział, że Stephanie nie uzna takiej uwagi za obraźliwą. Nie było tajemnicą, że kiedy mąż ją zostawił, zabierając ze sobą jej dwudziestodwuletnią asystentkę-sekretarkę i lwią część fortuny, oświadczyła, że był to pierwszy i ostatni raz, kiedy pozwoliła jakiemuś mężczyźnie zrobić z siebie idiotkę.

- Z niektórymi - przyznała. Łobuzerski błysk zalśnił w jej oku. Spojrzawszy na Marka dodała: - Chociaż czasami... w niektórych przypadkach... robię wyjątki...

Mark wytrzymał jej spojrzenie i nie odwrócił wzroku. Nie miał co prawda całkowitej pewności, czy Stephanie go uwodzi, czy po prostu żartuje, droczy się z nim... Mniejsza o to, jest bardzo, bardzo ponętą kobietą, trochę od niego starszą, lecz wyjątkowo pociągającą.

Nagle uświadomił sobie, że za kilkanaście lat Debora będzie dokładnie taka sama. Ta myśl przeszła go bólem.

- Dziwne, prawda? - odezwała się Stephanie. - Człowiek myśli, że, uciekając, naprawdę się od czegoś tam uwolni, a to coś jakimś cudem podąża w ślad za nim. Od czego ty uciekasz, Mark? - spytała. - A może nie od czego, a od kogo?

- Od jednego i drugiego - odparł Mark.

- Aha... I nie chcesz rozmawiać ani o tej rzeczy, ani o tej osobie? Dlaczego właściwie miałbyś chcieć? Nikt nie lubi przyznawać się do porażki...

Porażka... Mark zachmurzył się. Co ona insynuuje? Jakim cudem wie...?

- Jeśli uciekasz od kobiety, od jakiegoś związku, to znaczy, że odniosłeś porażkę - powiedziała, czytając najwyraźniej w jego myślach. - Nieumiejętność porozumienia się, wzajemnego zrozumienia, obdarzania uczuciem... - Wzdrygnęła się. - Jest coś, o czym my kobiety zbyt łatwo zapominają...

my, mianowicie o tym, że kiedy przytulamy do piersi kochankę, wraz z nim bierzemy w ramiona ryzyko porażki i utraty go.

- Twoje słowa brzmią tak, jak gdyby wyłącznie kobiety były ofiarami w takich sytuacjach.

- Bo w większości przypadków tak jest - stwierdziła zwięźle. - Oczywiście, same jesteśmy sobie winne... Zbyt chętnie przyjmujemy na siebie odpowiedzialność za trwanie związku, przyjmujemy rolę strażniczek domowego ogniska, którego ogień to my podsycamy... - urwała i potrząsnęła głową. - Przepraszam. Rozrzewniam się... Cóż, to gdzie jest ta analiza?

Podeszła do biurka, wzięła teczkę z dokumentami i usiadła naprzeciw Marka.

- Nic dziwnego, że ją porzucił. Wszyscy wiedzą, że dostała awans tylko i wyłącznie dlatego, że...

- Ciii...

Debora zeszytniała, kiedy dwie urzędniczki przy automacie z kawą umilkły na jej widok. Udała, że niczego nie słyszała. Co mogła zrobić innego?

Odgadła, że plotkowały o niej, składały poszczególne elementy łamigłówki w całość, dodając to i owo od siebie, puszczając wodze fantazji.

- Wyglądasz na przygnębioną... Wciąż tęsknisz za ukochanym? Przecież ci lepiej bez niego - usłyszała za plecami znajomy męski głos.

Zamarła, czując, że Ryan podchodzi blisko. Zbyt blisko, stwierdziła i cofnęła się.

- Dobrze ci idzie z tą fabryką Kilcoyne - pochwalił ją. - Dzwonili dziś z banku. Są pełni podziwu dla sposobu, w jaki radzisz sobie z likwidacją...

Debora milczała. Trzy dni temu narzekał, że nie wykazuje wystarczająco dużo stanowczości wobec wierzycieli, a poza

tym wiedziała, że Ryan nie prawi komplementów za darmo, nie oczekując za nie zapłaty... w tej czy innej formie.

- Dostaliśmy nowe zlecenie... - poinformował ją. - Chciałbym, żebyś rzuciła na nie okiem - dodał.

Nowe zlecenie... Czyżby zapomniał, że zaledwie tydzień temu dał jej pięć spraw, z których wszystkie wymagają bardzo starannego przestudiowania, dwukrotnego sprawdzenia, wykonywania mnóstwa nudnych rutynowych czynności, czyli całej tej pracy, którą, jak żywiła nadzieję, kończąc staż, nigdy już nie będzie musiała samodzielnie robić?

- Obawiam się, że nie mam czasu... - zaczęła, lecz Ryan, uniósłszy brew, nie pozwolił jej dokończyć.

- To wygospodaruj czas... Zleć komuś...

- Komu?

Kiedy prowadzili rozmowy wstępne na temat jej awansu, Ryan obiecał, że dostanie kilku pracowników, lecz dotychczas nikogo jeszcze jej nie przydzielił.

- Wiem, wiem, ale nic nie mogę poradzić - tłumaczył się z rozbrajającym uśmiechem. - Dopóki zarząd nie parafuje oficjalnie twojej nominacji...

- Kiedy to nastąpi? - spytała Debora, starając się panować nad głosem. Nie chciała zdradzić swojej niecierpliwości, lecz miała już dość tych spojrzeń i aluzji, że jej awans wciąż jeszcze nie jest „oficjalnie zatwierdzony” i kryjących się za tym sugestii, iż jeszcze nie wszystkie wątpliwości co do jej osoby zostały rozwiane.

Ryan wzruszył ramionami.

- Nieprędko. Posiedzenie zarządu w pełnym składzie odbędzie się dopiero w końcu miesiąca, ale nie obawiaj się - zapewnił ją - nie będzie z tym żadnych problemów.

Zmienność jego nastrojów działała już Deborze na nerwy. Odbierała jej pewność siebie, sprawiała, że zaczynała przybierać postawę obronną. Debora była tym wszystkim zmęczona i poirytowana. Od czasu odejścia Marka czuła się w biurze

wyzolowana, osamotniona... I, niestety, wciąż narażona na ataki.

Nie powinnam była się tak spieszyć z przemalowywaniem sypialni, pomyślała Debora, przebierając się w legginsy i gruby sweter. Błękit, który wyglądał tak ładnie na palecie, na ścianach był zimny i nieprzyjemny. Nowa bielizna pościelowa też przestała jej się podobać, była zbyt surowa i nieciekawa. Pokój wciąż pachniał farbą i Debora budziła się rano z bólem głowy.

W rezultacie niechętnie wracała po pracy do domu. Za każdym razem z przerażeniem myślała o chwili, kiedy otworzy drzwi i wejdzie do pustego mieszkania. Dzisiaj też nie było inaczej.

Przeszła do kuchni, przygotowała sobie kolację, potem przez dwadzieścia minut siedziała nad pełnym talerzem, aż doszła do wniosku, że nie ma apetytu.

Właśnie zgarniała jedzenie do śmietnika, kiedy rozległ się dzwonek u drzwi. Poczowała skurcz w żołądku, chociaż logika podpowiadała, że to nie może być Mark.

I nie był. Na progu stał... Ryan.

Debora przez kilka sekund wpatrywała się w niego onie miała. Nie doczekawszy się zaproszenia, Ryan wyminął ją i wszedł do środka.

- Dobrze, że cię zastałem. Właśnie zbierałem się do wyjścia, kiedy przypomniałem sobie, że nie przejrzelśmy wspólnie całej dokumentacji. Nie jesteś zajęta, mam nadzieję...?

- Nie... Nie miałam żadnych specjalnych planów... - przyznała Debora, zbyt zaskoczona tą wizytą, aby wymyśleć jakąś wymówkę.

- Świetnie, to znaczy, że mamy przed sobą cały wieczór... niezmacony przez nikogo...

Ostrzegawcze dzwoneczki zabrzmiały w jej umyśle, lecz było za późno. Ryan znajdował się już w mieszkaniu...

- Dobrze... Bystra z ciebie dziewczyna. Podoba mi się to - stwierdził Ryan, zamykając ostatnią teczkę.

Odchylił się na oparcie sofy, przeciągnął, odetchnął głęboko, gors jego koszuli napiął się na jego piersi. Pod bawełnianą tkaniną widoczne były ciemne włosy na torsie. Marynarkę zrzucił już wcześniej, pozbywając się przy okazji również krawata.

Ryan jest mężczyzną chełpiącym się swoją tężyzną, pomyślała Debora, próżnym... dumnym ze swojego ciała... w arogancki sposób demonstrującym swoją męskość.

Przyglądając mu się, zauważyła, że prezentuje jej nie tylko mocną pierś. Kiedy wyprężył mięśnie, cienka wełna, z jakiej uszyte były jego spodnie, naciągnęła się w kroczu i na udach i Debora siłą woli opanowała chęć odwrócenia wzroku.

Ów trwający króciutką chwilę pokaz męskich wdzięków podziałał na nią silniej, niż gdyby Ryan stanął przed nią nagi. Zastanawiała się, czy Ryan odgadł jej reakcję... Czy zrobił to umyślnie? Jego zachowanie zirykowało ją.

- Zaparzysz kawę? - zaproponował. Przez moment miała ochotę odmówić, lecz doszła do wniosku, że jest przewrażliwiona.

Przez cały wieczór, nie licząc tej jednej prowokującej pozycji na koniec, zachowywał się niczym wzorowy mentor, nie szczędził jej pochwał, wyjaśnień, słów zachęty... Nie uczynił żadnej uwagi, żadnego gestu, który mogłaby uznać za zabarwiony erotyzmem. Do teraz...

Opowiadając anegdotki z początków kariery, udało mu się nawet ją rozśmieszyć, sprawić, że na kilka sekund zapomniała o swoim nieszczęściu. Teraz jednak znowu poczuła się skrępowana i w istocie odetchnęłaby z ulgą, gdyby wreszcie sobie poszedł.

Właśnie kończyła parzenie kawy, kiedy usłyszała, że wszedł za nią do kuchni. Automatycznie napięła wszystkie mięśnie, odwróciła się i zobaczyła, że się z niej śmieje.

- Dlaczego jesteś taka nerwowa? - spytał. - Chyba nie dlatego, że jesteś tu tylko sama ze mną? Boisz się mnie? A może siebie? Ciężko ci, prawda? Samej...

Zbliżał się do niej, zasłaniał sobą drzwi, w niewielkiej kuchni ograniczał jej pole manewru. Kiedy próbowała go ominąć, chwycił ją wpół i przytrzymał.

- Nie udawaj skromnisi... Wiesz, jaką mam na ciebie chrapkę... jak na mnie działasz... nie? - Otoczył jej talie ramieniem, wolną ręką ujął jej dłoń i przycisnął do swojego krocza. - Mmm... podoba ci się, co? - szepnął, pochylając się nad nią. - Większy, niż przywykłaś? Poczekaj, aż poczujesz go w sobie... - Roześmiał się, pchnął ją do tyłu i, przyciskając całym ciałem do blatu, położył dłoń na jej piersi.

Wściekłość tchnęła w Deborę świeżą energią. Odepchnęła Ryana z całej siły od siebie.

- Przestań! - wykrzyknęła. - Jesteś w błędzie! Nie mam ochoty!

- Nie? - spytał, uśmiechając się do niej.

- Nie - odparła stanowczo i dodała całkiem opanowanym tonem: - Zawsze stawiałam sprawę jasno. Nie szukam ani romansu, ani przygód. Doskonale wiesz...

Ich oczy spotkały się. Wytrzymała jego spojrzenie.

- Mam nadzieję, że wiesz, co robisz... co odrzucasz - powiedział Ryan głosem miękkim jak aksamit. - Mogłoby nam być razem bardzo dobrze... W łóżku i poza...

Debora usiłowała stłumić gniew.

- Cenię twoje kompetencje zawodowe, twoje rady i przyjaźń, ale nie pójde z tobą do łóżka - oświadczyła wprost.

- Czy nie za późno mi to mówisz?

- Za późno?

- Nie udawaj, Debora. Jesteś inteligentną dziewczyną. Znasz stawkę...

- Wydawało mi się, że znam - powiedziała Debora - ale teraz nie jestem pewna.

Serce waliło jej jak młotem, aż do bólu w piersiach. Okazało się, że ostatecznie to Mark miał rację. A ona była taka pewna, że sobie poradzi z Ryanem, że dała mu jasno do zrozumienia, że nie zapłaci ciałem za awans, a na dodatek wierzyła, że Ryan rozumie i akceptuje jej warunki.

- Może mnie więc oświecisz - zaproponowała, butnie unosząc głowę. - Kiedy dawałeś mi awans, sądziłam, że kierujesz się wyłącznie kryteriami merytorycznymi, zawodowymi...

- Jaki awans? - szydził. - Jeszcze go wcale nie dostałaś.

Debora poczuła się tak, jak gdyby zanurzono ją w lodowatej wodzie.

- Awansowałeś mnie, bo mam odpowiednie kwalifikacje - zaprzeczyła, lecz mówiąc to, przypomniała sobie wszystkie koleżanki, które przeszły podobną drogę.

- Dorośnij, Deboro - poradził Ryan. - Niczego na tym świecie nie otrzymuje się za darmo. Do tej pory powinnaś się tego nauczyć. Poza wszystkim, to stara tradycja w biznesie... dajesz, dostajesz... Ustawianie się - tak się to chyba dzisiaj nazywa. Mniejsza o nazwę, chodzi o to samo. Wszyscy staramy się wymienić to, co mamy, na to, co chcemy mieć. Tak, moja droga Deboro, urządzony jest ten świat.

- Chcesz powiedzieć, że awansowałeś mnie tylko dlatego, żeby się ze mną przespać? - spytała. Nie udało jej się ukryć ani gniewu, ani rozczarowania.

- Nie, nie tylko - oświadczył Ryan z uśmiechem. - Muszę dbać o swoją pozycję w zarządzie i gdybym nie uważał, że się nadajesz do tego zadania... - zawiesił głos i wzruszył ramionami. - Dostaliśmy robotę, ktoś musiał ją wykonać... Dlaczego nie miałbym zlecić jej tobie i ubić dwa interesy za jednym zamachem?

- I wykorzystać awans do szantażowania mnie i wymuszania usług seksualnych?

- Szantażowanie? - Ryan wyglądał na niemal obrażone-

go. Odzyskiwał panowanie nad sytuacją, poczucie wyższości, zachwiane na chwilę jej odmową. Naigrywanie się z niej sprawiało mu wyraźną przyjemność. Skoro nie udało mu się męski podbój, zmusi ją do uległości na polu zawodowym. - Nie powiedziałbym. Ja miałem na myśli obopólną rozkosz, obopólny zysk. Awansowanie ciebie stworzyłoby korzystniejsze warunki do przebywania razem. Dałoby mi lepszą okazję do okazania, jak bardzo cię lubię i cenię... Jesteś bardzo dobrą finansistką, nawet znakomitą, lecz do odniesienia sukcesu nie wystarczą tylko kwalifikacje zawodowe i jeśli mogę udzielić ci drobnej rady... - zrobił efektowną pauzę a potem znowu zaczął mówić: - Kierowanie ludźmi, Deboro... musisz popracować nad sposobem, w jaki odnosisz się do swoich współpracowników... Przykro mi to mówić, ale obiły mi się o uszy komentarze, że w nowej roli odsunęłaś się od reszty koleżanek i kolegów. Kim Wright wspomniała mi, że ledwo ją zauważasz.

Debora ugryzła się w język, aby nie wypowiedzieć na głos słów, które cisnęły się jej na usta. Nie zniżaj się do jego poziomu, powtarzała sobie w duchu, wyżywa się na tobie i sprawia mu to satysfakcję.

- Kierowanie własnym zespołem ludzi to bardziej skomplikowane zadanie, niż wywiązanie się ze zleceń. Pomyślałaś kiedyś o skończeniu jakiegoś kursu dla kadry kierowniczej?

- Tak. Jeśli o to pytasz, ukończyłam taki kurs, kiedy jeszcze pracowałam u Crooka - odparła spokojnie. - Podałam tę informację w moim życiorysie.

Powstrzymała się od przypomnienia mu, że otrzymała bardzo pochlebną opinię od prowadzącego kurs. Cóż, żadna uczelnia nie uczy, jak być takim arcymistrzem w intrygach i manipulowaniu ludźmi jak Ryan. Z tym trzeba się urodzić...

- Szkoda - odezwał się Ryan i odwrócił się do niej plecami - miałem nadzieję, że zostaniesz moją protegowaną... prawą ręką...

Po jego wyjściu Debora opadła na krzesło i zamknęła oczy. Och, Mark, pomyślała śmiertelnie zmęczona, miałeś rację...

Ma jego numer telefonu. Nagrał go wraz z nowym adresem na automatyczną sekretarkę, którą uparł się jej zostawić. Tak samo jak uparł się płacić połowę czynszu za mieszkanie. Sekretarkę przyjęła, pieniędzy nie. Dlaczego ma płacić za coś, czego już nie chce?

Siedziała, wpatrując się w aparat, a potem, w obawie że ulegnie chwili słabości, szybko wstała i odeszła.

Mark zachmurzył się, spoglądając na leżące przed nim dokumenty. Miał studiować rachunki francuskiej firmy, którą Stephanie zamierzała kupić, a nie tracić czas na bazgranie na marginesach.

Przyjrzał się owym rysunkom - serii cyfr skrupulatnie przerobionych na literę „D” - i odepchnął papiery od siebie.

Wstał, podszedł do okna. Zajmował teraz jeden z trzech niewielkich wiejskich domków tuż za miastem, pierwotnie wybudowanych dla robotników zatrudnionych na pobliskiej farmie, obecnie zmodernizowanych przez właściciela i wynajmowanych w całości.

Spokój i odosobnienie nie przeszkadzały Markowi. W przeciwieństwie do Debory nigdy nie lubił życia w mieście. Prowincjonalne biuro, takie jak to, w którym teraz pracował, bardzo by mu odpowiadało... Debora natomiast umarła-by tu z nudów, pomyślał.

Oczy piekły go, w gardle czuł łyzy wzruszenia.

Przestał jej pragnąć, ale nie przestał myśleć o niej, troszczyć się o nią... kochać ją.

Obejrzał się w kierunku aparatu telefonicznego, potem znowu odwrócił do okna.

I tak pewnie nie będzie jej w domu... Ryan na pewno nie zasypia gruszek w popiele.

Drogą przejechał samochód. Z otwartych okien buchała muzyka pop. Cher swoim zmysłowym głosem śpiewała, jak bardzo pragnie cofnąć bieg czasu. Mark przymknął oczy, aby stłumić wzbierający w nim ból.

RS

Bolesna spuścizna

27

- Richardzie? Pamiętasz tę kobietę, którą operowałeś na raka piersi, tę u której dostosowałeś termin zabiegu do jej cyklu miesięczkowego? Zobacz, piszą o tym w gazecie.

Richard odłożył grzanekę.

- Dali artykuł na całą stronę - Elizabeth podsunęła mężowi gazetę. - Wyrażają się o tobie bardzo pochlebnie... To dobra reklama dla szpitala.

- Wątpię, czy David będzie tego samego zdania - odparł Richard ponuro. - Już i tak uważa, że jestem za stary, a teraz pewnie będzie chciał załatwić dla mnie wariackie papiery. Nie ma czasu na kompleksowe zajmowanie się pacjentem. Nie dalej jak wczoraj Samuel Tozer skarżył mi się, że nie przyznano mu pieniędzy na masaże dla pacjentów na oddziale geriatrycznym. A przecież zostało udowodnione, że masaże poprawiają nie tylko stan fizyczny, ale i psychiczny ludzi w podeszłym wieku. David zaś oskarżył go, że chce urządzać jakiś podejrzany interes. Samuel był wściekły.

- Ale artykuł wychwala cię pod niebiosa za twoją troskę o chorych... Porównuje kurację tej pacjentki z doświadczeniami innych kobiet leczonych gdzie indziej. Sugeruje, że powinno się chorym udostępnić statystykę wyzdowień, czyli to, co ty zawsze twierdziłeś. Czy David wspominał coś ostatnio o twojej emeryturze...?

- Nie bezpośrednio, ale w zawołowany sposób tak. Jest właściwie tajemnicą poliszynela, że Północny ma większe szanse na otwarcie pogotowia.

Elizabeth przyglądała się mężowi ze współczuciem. On zaś pokręcił tylko głową zrezygnowany i dodał:

- Kiedy David przeczyta ten artykuł, utwierdzi się tylko w swoim przekonaniu, że jestem za stary na ordynatora oddziału chirurgicznego. Jego nic nie przekona...

- Brian? Widziałeś ten artykuł?

- Tak. Czytałem - odpowiedział Brian. - To dla nas znakomita reklama - dodał pełnym entuzjazmu tonem. - I nie tylko dla nas, ale dla całej służby zdrowia. Pokazuje, jacy jesteśmy elastyczni, postępowi, otwarci na nowe idee...

- Nowe idee... Dostosowywanie terminu operacji do konkretnego dnia w miesiącu...

- Temat podchwyciła już prasa ogólnokrajowa - ciągnął Brian. - „Telegraph” jest szczególnie zainteresowany tą sprawą...

- Co? Czyli już na pewno sprawa dotrze do ministerstwa. Masz pojęcie na jakich idiotów wyjdziemy?

- Idiotów? - zdziwił się Brian. - Niektóre kliniki zastanawiają się nad przeprowadzeniem poważnych badań opartych na przesłankach, jakimi kierował się Richard. To dowód, jak poważnie biorą pod uwagę taką linię...

- E, tam... Staniemy się pośmiewiskiem na skalę całego kraju - David uparcie trwał przy swoim zdaniu. - Już wiele miesięcy temu ostrzegałem cię, Brian, że ten Humphries to niebezpieczny typ. Obawiam się, że będę musiał podnieść ten temat w rozmowie z panią minister, kiedy złoży nam wizytę w przyszłym tygodniu.

- Nie ma mi pan za złe, że zgodziłam się na ten wywiad, doktorze, prawda? - odezwała się nieśmiało Hanna Jacobs, kiedy Richard skończył ją badać. - To pan Hamilton wpadł na ten pomysł. Powiedział, że skoro tak mocno wierzę w słuszność pańskiej decyzji, tak bardzo doceniam kłopoty, jakie pan

musiał ze względu na mnie pokonać, powinnam opowiedzieć o tym innym kobietom... dać im szansę skorzystania z pańskiej wiedzy i troski tak samo jak ja skorzystałam. Więc kiedy dziennikarz z gazety zgłosił się do mnie, przypomniałam sobie, co mi tłumaczył pan Hamilton i zgodziłam się odpowiedzieć na kilka pytań...

Richard zdziwił się w duchu. Blake Hamilton nic mu nie wspomniał o rozmowie z tą pacjentką, mimo że omawiali razem jej przypadek.

- Nie mam cienia pretensji - zapewnił kobietę Richard, uciekając się do niewinnego kłamstwa. Dwie ogólnokrajowe gazety, „Mail” i „Telegraph”, opublikowały już artykuły na ten temat, łan dzwonił z gratulacjami, żartując z darmowej reklamy. Odezwali się i inni koledzy.

Co ten Blake Hamilton ma właściwie ze cel? Nie zrobił na Richardzie wrażenia intryganta; stosunki między nimi układały się dobrze, mieli zasadniczo podobne poglądy, lecz rozmawiając teraz z pacjentką, Richard nie miał wątpliwości, że Blake ją w coś wmanipulował... Po co? Po to, aby zdyskredytować go jeszcze bardziej w oczach Davida? Tylko jaką korzyść odniosłoby z tego sam Blake, który zdawał się podzielać niezbyt pochlebne zdanie o Davidzie?

- Nie rozumiem, po co się zaangażował - zwierzył się Richard Elizabeth kilka godzin później. - Do czego właściwie zmierza...?

- Zapytaj go wprost - zasugerowała rozsądnie Elizabeth.

- To wszystko jest bardziej skomplikowane, niż ci się wydaje. Jutro przyjeżdża minister. Brian jest straszliwie zdernerwowany. Wygląda na to, że Północny wygra rywalizację o pogotowie - dodał cicho. - Oficjalnie jeszcze nic nie powiedziano, ale...

Elizabeth przyglądała mu się zmartwiona. Obojętnie, co powie, jak bardzo będzie starała się go pocieszyć, pomóc mu wyrobić w sobie bardziej pozytywne nastawienie do perspe-

litywy przejścia na emeryturę, niczego nie osiągnie. To Richard sam musi się zmienić.

Ostatnio często zastanawiała się, co będzie, jeśli jej mąż przestanie pracować. Nie ma się co oszukiwać, myślała, jeśli Richard przejdzie na emeryturę, jej życie też ulegnie zmianie.

Na początku ich małżeństwa zawsze stawiała Richarda i jego karierę na pierwszym miejscu. W tamtych czasach dziewczyny, młode kobiety, tak właśnie czyniły. Lecz sytuacja... życie się zmieniło. Nie była już tą samą młodą dziewczyną. Lubiła dreszcz emocji, jakim napawało ją odkrywanie potencjału swojego intelektu, czuła, że „gimnastykuje” swój umysł i sprawiało jej to taką samą przyjemność, jak ćwiczenia fizyczne... Stawianie czoła wyzwaniom, rozwiązywanie problemów dawało jej zbyt wielką satysfakcję, aby, ot tak, mogła rzucić wszystko, zostać w domu i koić poturbowane ego męża... Nie, nie jest w stanie...

Szybko odwróciła wzrok, aby Richard nie dostrzegł wyrazu jej oczu. Jak często udzielała porad, które teraz miały zastosowanie do niej samej; że czasami dobrze i zdrowo jest zachować się egoistycznie, zrobić coś tylko dla siebie, postawić siebie i swoje potrzeby na pierwszym miejscu, że okazując szacunek samym sobie, zyskuje się szacunek innych.

Cóż, udzielanie rad to jedno, a stosowanie się do nich w własnym życiu drugie...

- Nie myślałeś Richardzie o tym, aby porozmawiać z kimś o swoim lęku przed... przed emeryturą? - spytała ostrożnie i natychmiast spostrzegła, że popełniła błąd.

- Na miłość boską, Liz! - zdenerwował się Richard. - Czyżbyś już do tego stopnia przesiąknęła wiarą, że rozmowa jest panaceum na wszystko...? Spróbuj to powiedzieć choremu z perforowanym wrzodem albo nowotworem - dodał z ironią.

Elizabeth milczała, zwalczając pokusę zarzucenia mu pustej demagogii. Wiedziała, że żadne próby wykazania mu, iż

obrona przez atak nie jest skuteczną metodą, nie odniosą skutku.

- Zaczynam żałować, że w ogóle poruszyłem ten temat - ciągnął Richard bardzo poirytowany. - Fakt, że nie jestem przygotowany, by przejść na emeryturę, na którą mnie siłą wysyłają, nie oznacza, że automatycznie kwalifikuję się do wizyty u psychoanalityka.

Podczas tego wybuchu Richard unikał napotkania wzroku Elizabeth. Wiedział, że reaguje zbyt mocno, lecz już sam dźwięk słowa „emerytura” sprawiał mu ostry ból, tak intensywny, że kurczył się w sobie, jeszcze zanim je usłyszał.

A poza tym, co nowego powie mu terapeuta, czego on sam doskonale nie wie? Że jego lęk przed emeryturą to typowy męski strach przed utratą szacunku, poczucia, iż jest potrzebny innym, pełni określoną rolę społeczną, sam kieruje swoim życiem? Jaki pożytek z takiej wizyty?

- A to, pani minister, nasz chirurg, doktor Humphries.

- Miło mi - pani minister podała Richardowi rękę i uśmiechnęła się do niego życzliwie. - Słyszałam i czytałam bardzo pochlebne rzeczy o panu. To miło, że właśnie dzięki panu prasa choć raz pisze o nas dobrze. Cieszę się, że nasi starsi koledzy są tak otwarci na nowe sposoby leczenia, szczególnie jeśli to dotyczy tak ważnych spraw jak zdrowie kobiet - powiedziała z uznaniem.

Richard widział, jak stojący obok David marszczy czoło i czyni wysiłki, aby odciągnąć panią minister od niego.

- Słyszę, że to pan był inicjatorem otwarcia nowoczesnego pogotowia i jednym z głównych orędowników tej sprawy że zebrał pan na ten cel znaczne fundusze.

- Wybudowane ostatnio nowe dojazdy do autostrady sprawiły, że mamy do czynienia ze znacznie większą liczbą ofiar wypadków niż dawniej - wyjaśnił Richard. - Udowodniono, że poszkodowani mają znacznie większe szanse przeżycia,

jeśli szybciej trafią w ręce wykwalifikowanego personelu, w ręce zespołu wyszkolonego w diagnozowaniu ich obrażeń i metodach postępowania z takimi przypadkami. Oczywiście nie mówimy tylko o chwili, kiedy już dotrą na miejsce, do szpitala. Karetki i lekarze pogotowia...

- Dziękuję, Richardzie - przerwał mu David poirytowany - ale jestem pewien, że pani minister nie potrzebuje aż tak szczegółowego wykładu.

- Przeciwnie - odezwała się kobieta spokojnym tonem - uważam zbieranie informacji za część swojej misji, a już na pewno za mój obowiązek.

Richard widział, że cierpliwość Davida jest na wyczerpaniu.

- Tak, oczywiście... nie chciałbym pani popędzać, pani minister - zaczął - ale chciałbym też przedstawić pani naszego nowego psychologa, pana...

- Blake! - wykrzyknęła pani minister ucieszona i chwyciła szpitalnego psychologa za ramiona.

- Witam panią, pani minister - odparł Blake oficjalnie.

- Co ty tu, na miłość boską, porabiasz? - dopytywała się, ignorując jego wysiłki, aby zachowywać się zgodnie z protokołem. - Wydawało mi się, że wróciłeś do Stanów...

- Tak - potwierdził Blake - ale potem zmieniłem plany z powodów osobistych.

- I pracujesz tutaj? - spytała, lekko unosząc ze zdziwienia brwi.

- Podobnie jak Richard wierzę, że przyszłość medycyny to leczenie kompleksowe, a nie skupianie się na poszczególnych schorzeniach...

- A więc ty i doktor Humphries współpracowałybyście ze sobą - rzekła z namysłem, a potem, zwracając się do Davida, dodała: - Nie znalazłam żadnej wzmianki na ten temat w ostatnim sprawozdaniu, panie Howarth. Dlaczego?

- Jeszcze wtedy... nie mieliśmy sprecyzowanych planów... - wyjaśnił David.

Twarz miał coraz bardziej czerwoną z tłumionej złości, lecz nie próbował zaprzeczać słowom Blake'a.

- Oczywiście z początku będą dodatkowe koszty - ciągnął Blake. - Wszyscy zdajemy sobie sprawę z trudności finansowych, z jakimi boryka się resort zdrowia, trzeba przecieżyć sprostać tyłu potrzebom, lecz z moich amerykańskich doświadczeń wiem, że opieka psychologa nie tylko pomaga pacjentom wrócić do zdrowia, lecz w efekcie prowadzi do oszczędności, gdyż przyspiesza ten proces, szczególnie jeśli pacjent ma możliwość rozmowy o swoim cierpieniu na bardzo wczesnym etapie.

- Takie podejście obala stereotypy - odezwała się pani minister.

- I jest chętnie propagowane w mass mediach - dodał Blake.

Richard dostrzegł ostrzejsze spojrzenie, jakim minister go obrzuciła.

- Naszą naczelną troską jest zdrowie pacjentów, nie pochwały mediów - rzuciła i już łagodniej dodała: - Ale, oczywiście, masz rację, Blake. To byłaby dobra reklama - dowód, że jesteśmy postępowi i że nie myślimy tylko i wyłącznie o cięciach budżetowych i biurokracji, jak wielu naszych krytyków lubi nam zarzucać. Premierowi bardzo zależy na polepszeniu wizerunku służby zdrowia... - urwała niezadowolona, gdyż jeden z towarzyszących sekretarzy szepnął jej coś do ucha, znacząco patrząc na zegarek. - To była bardzo ciekawa rozmowa - zwróciła się do Richarda, podając mu rękę i obdarzając go uśmiechem. - Z ogromną niecierpliwością oczekuję sprawozdania z pracy nowego pogotowia, i z dużo mniejszą niecierpliwością raportu o budżecie - dodała. - Cóż, ochrona zdrowia to nie tylko pieniądze. Chociaż, oczywiście, należy nimi mądrze gospodarować. Nie wolno nam przecież zapominać, że dysponujemy pieniędzmi publicznymi, a nie własnymi, niemniej zdrowie jest przecież najcenniejsze. - A zwraca-

jąc się do Blake'a, powiedziała ciepło i serdecznie: - Musimy się umówić na kolację i porozmawiać jak należy. Dużo czasu minęło, odkąd pracowaliśmy razem w Rumunii...

- Szkoda, że nie widziałaś miny Davida, kiedy powiedziała, że czeka na sprawozdanie z wyników pracy nowego pogotowia - opowiadał Richard Elizabeth. - Wyglądał, jak gdyby miał zaraz dostać ataku apopleksji...

- Mówiłeś, że chce rekomendować Północny...

- Miał taki zamiar, ale minister nawet nie dała mu szansy się odezwać.

- A ona może tak postąpić? Zignorować jego zdanie?

- Jest ministrem - odparł Richard. - I zanim odjechała, zdażyła się zobaczyć z Brianem i potwierdzić, że pogotowie będzie u nas. Brian triumfuje.

- Nie tylko on - wtrąciła Elizabeth.

- A jak zareagował, kiedy zobaczyła Blake'a Hamiltona! Żałuj, że tego nie widziałaś. Okazuje się, że poznali się w Rumunii, gdzie on pracował z ramienia jakiejś organizacji charytatywnej, a ona była doradcą rządu.

- Tego typu doświadczenia niezwykle silnie łączą ludzi - powiedziała Elizabeth. - Te biedne dzieci. Chyba nikt z nas do końca życia nie zapomni zdjęć, jakie pokazywali w dziennikach. Ale oglądać cierpienia tych maleństw na własne oczy... To musi pozostawiać niezatarty ślad w ludziach, którzy tam byli.

- Mmm... Blake najwyraźniej zrobił duże wrażenie na pani minister.

- I nie tylko Blake. Sądząc z tego, co mi opowiadasz, ty też jej się spodobałeś.

- E, bez przesady... - Machnął lekceważąco ręką, po czym relacjonował dalej: - Ona chce, żeby pogotowie ruszyło jak najszybciej. Powiedziała Brianowi, żeby przygotował kosztorys wstępny i dała mu wolną rękę, żeby zaczął się rozglą-

dać za specjalną wypadkową karetką reanimacyjną z pełnym wyposażeniem do operacji, dokładnie taką, jaką chcieliśmy - umilkł i po chwili z westchnieniem dodał: - Boże... wciąż jeszcze nie mogę w to uwierzyć. Co za ulga po tych wszystkich straszliwych obawach... Nie masz pojęcia... Zadzwoń do Sary - nagle wpadł na wspaniały pomysł. - Spytaj, czy mają wolny weekend. Zabierzemy ich gdzieś, żeby uczcić zwycięstwo.

- Richardzie... - zaczęła Elizabeth, lecz zamilkła. Może to nie jest właściwy moment, aby podnosić temat, który ją dręczy. To nie fair psuć mu radość, lecz jego reakcja na groźbę przejścia na emeryturę ujawniła problemy, które nie zniknęły, lecz zostały tylko zawieszono w czasie.

Pewnego dnia znowu się wyłonią i nie można tchórzliwie cieszyć się, że jeszcze teraz nie muszą stawiać im czoła.

Czy Richard uzna rozmowę o emeryturze, ów przedsmak czekającej go przyszłości, za doświadczenie konstruktywne czy destruktywne, zależy wyłącznie od niego.

A jeśli zignoruje tę lekcję?

- Liz...

Uniosła głowę i spojrzała na niego. Zauważyła, że bacznie ją obserwuje.

- Cieszymy się dniem dzisiejszym...

- I zapomnijmy o jutrze?

- Zapomnieć? Nie...

Podszedł do niej, otoczył ramionami, oparł brodę o czubek głowy, pogłaskał po włosach.

- Wiem, o czym myślisz - powiedział stłumionym głosem. - I wiem, że masz rację. Obiecuję, że uczynię, co w mojej mocy, żeby wyrobić sobie bardziej pozytywny stosunek do... Dzisiejszego popołudnia, kiedy emocje zaczęły opadać, pomyślałem, jakim jestem szczęściarzem... Nie tylko z powodu tego wymarzonego pogotowia, ale dlatego, że miałem szansę spojrzeć w przyszłość i przygotować się do niej. Nie

mam zamiar kłamać przed tobą i twierdzić, że nastąpiła we mnie radykaba przemiana, nie... Ale może nauczę się innego stosunku do tych spraw. W istocie - dodał, obejmując ją ciasniej - już widzę jedną korzyść z posiadania większej ilości wolnego czasu... zajęcia wybitnie odpowiednie dla mężczyzny w moim wieku, które ma udowodniony dobroczynny wpływ na krążenie. Masz jakieś plany na dzisiejszy wieczór...?

- Dzisiaj? - Elizabeth ze śmiechem zaczęła się z nim przekomarzać. - Cały wieczór...?

Cały - potwierdził Richard, również się śmiejąc i delikatnie kładąc dłoń na jej piersi.

- Zaraz... Niech się... - Roześmiała się i poszła za nim na górę.

Bolesna spuścizna

28

Volvo kombi, jakim Blake zajechał pod jej dom, zaskoczyło Fionę. Najnowszy i najbardziej luksusowy model jaguara, BMW czy mercedesa, auto lśniące i drogie, a nie po prostu wygodne i czyste - oto czego się spodziewała po człowieku o jego pozycji zawodowej.

Andrew skrzywiłby się z pogardą, pomyślała, ale on zawsze przykładął zbyt dużą wagę do pozorów i rzeczy materialnych.

Rano trudno jej się było zdecydować, co na siebie włożyć, lecz z drugiej strony wolała myśleć o ubraniu niż o wszystkich skomplikowanych aspektach decyzji przyjęcia pracy u Blake'a i konsekwencjach, jakie ona za sobą pociągała. Gdyby miała pracować w biurze, byłoby jej o wiele łatwiej wybrać strój - garsonka, spódnica z bluzką - ale jak się ubiera gosposia i matka zastępcza w jednej osobie?

Pamiętając o tym, że ma się spotkać nie tylko z dziewczynką, ale i z panią kurator z sądu opiekuńczego, Fiona wybrała w końcu gładką białą bawełnianą koszulkę i dżinsy, lecz na wszelki wypadek, gdyby musiała wyglądać bardziej reprezentacyjnie i oficjalnie, wzięła ze sobą granatowy żakiet.

Blake miał na sobie prawie taki sam strój, z tą różnicą, że nie wziął marynarki, a jego T-shirt bardziej przylegał do ciała i uwydatniał kształtny tors.

Fiona mimowolnie zatrzymała na nim wzrok o ułamek sekundy za długo.

Blake był bardziej mirskularny, niż można by oczekiwać

po mężczyźnie prowadzącym raczej siedzący tryb życia. Twarz miał opaloną - pozostałość po latach spędzonych w Kalifornii. Delikatne włoski na jego rękach i przedramionach miały złotawy połysk... jaśniejszy niż zapamiętała. Jakiego koloru są włosy na innych częściach ciała...?

Fiona poczuła skurcz w żołądku.

- Dobrze się czujesz? - spytał Blake.

- Tak... tak... świetnie - zapewniła go i instynktownie odsunęła się odrobinę do tyłu, zanim zaryzykowała spojrzenie mu w twarz.

Kiedy w jego oczach wyczytała jedynie uprzejmą troskę dzentelmena, poczuła się bezpieczniej.

- Dobrze, że oboje ubraliśmy się tak zwyczajnie - powiedział Blake, otwierając drzwiczki samochodu. - Rodzice Annie przywiązywali większą wagę do spraw, o które walczyli, niż do strojów i dziewczynka odrobinę lęka się osób o zbyt eleganckim wyglądzie, nie wspominając już o wszelkiego typu urzędnikach w mundurach. Nigdy nie była w Ameryce Południowej - ciągnął. - Niemniej, w sensie duchowym, jej rodzice jak gdyby wciąż żyli tam. Dlatego dla sądu olbrzymie znaczenie ma fakt, że pod moją opieką Annie będzie miała szansę bardziej się zintegrować z życiem codziennym tutaj... Mówi płynnie po hiszpańsku, ale nigdy nie miała lalki, na przykład. Wydaje się, że lepiej się zna na uzbrojeniu armii partyzanckich niż na regułach gier, w jakie bawia się jej rówieśnicy w Anglii.

- To niekoniecznie musi być wadą - skomentowała Fiona trzeźwo. - Wydaje mi się nawet, że dysponując taką wiedzą, może zdobyć dużą popularność wśród koleżanek, a zwłaszcza kolegów. Dzieci są potencjalnymi buntownikami...

- Przeciwno uciskowi dorosłych? - wtrącił ze śmiechem Blake.

Fiona również się roześmiała i jednocześnie pomyślała, jak bardzo w jej życiu brakowało takiego wspólnego partnerskiego śmiechu.

Andrew nie miał poczucia humoru. Ilekroć słyszał, jak ona opowiada chłopcom dowcipne historyjki, chmurzył się. Fiona podejrzewała, że w jego mniemaniu spontaniczny szczery śmiech był u kobiety czymś niestosownym... Czy podobnie jak spontaniczne przeżywanie seksu?

Szybko odsunęła od siebie tę myśl. Zapięła pas, samochód ruszył. Oglądając się za siebie, zobaczyła siatkę odgradzającą tylną część samochodu, taką jakiej używa się do bezpiecznego przewożenia psa.

- Masz psa? - spytała zaciekawiona.

Blake obejrzał się również, potrząsnął odmownie głową, a potem odrobinę zażenowany powiedział:

- Nie... Na razie jeszcze nie... Pomyślałem, że... że zwierzęta mają bardzo dobry wpływ na ludzi po ciężkich przejściach, pozwalają im uzewnętrzniać swoje uczucia o wiele łatwiej niż w kontaktach z ludźmi. To jedna z przyczyn, dla której kupiłem ten samochód. Jest w nim mnóstwo miejsca dla całej rodziny... i dla psa. Nie lubisz zwierząt...?

- Lubię, ale Andrew nigdy nie chciał żadnego zwierzaka w domu. Chłopcy mieszkają w internacie... - urwała, czując na sobie jego spojrzenie. Tramie je odczytując, dodała ciszej:
- Ta szkoła to nie była moja decyzja, Andrew uparł się...
- znowu umilkła, teraz szukając właściwych słów, nie chcąc zdradzić się z tym, co uważała za przejaw swojego słabego charakteru. - Rodzina także wywierała na mnie presję...

- Masz na myśli ojca - odgadł Blake. Jego głos stwardniał nagle i stracił całe ciepło. - Co zrobił? Powiedział, że jesteś egoistką, że zbytnio kierujesz się uczuciami, że myślisz tylko o swoich potrzebach, a nie o przyszłości dzieci...?

Zdumiona jego przenikliwością, Fiona spojrzała na niego.

- Skąd wiesz? - zaczęła i umilkła. Blake i ojciec nigdy się nie lubili. Poza tym wychowano ją tak, aby lojalnie nie krytykowała „bliskich” wobec „obcych”.

- Podejrzewam, że masz praktykę... - odezwała się ponownie.-Musiałeś...

- Nie, to nie praktyka - zaprzeczył Blake. Poznała, że jest zdenerwowany i zły. Gniew mężczyzn zawsze wprawiał ją w panikę, nie wiedziała, co robić... Zwalczyła w sobie jednak zakodowany odruch łagodzenia sytuacji... uspokajania ich w sposób, jakiego ojciec i brat oczekiwali po niej w takich momentach.

Ten okres minął bezpowrotnie.

Nie jestem odpowiedzialna za reakcje Blake'a, za to, że złości się lub gniewa, to jego problem, powiedziała do siebie w duchu.

- To nie rutyna zawodowa - powtórzył Blake. - Znam dobrze twojego ojca.

I znam ciebie, mógłby dodać, pomyślała Fiona. Wiem, jaki masz słaby charakter...

- Wydawało mi się, że lepiej wysłać ich do szkoły z internatem, niż kazać im żyć w takiej atmosferze - zaczęła się bronić Fiona. - Nie chciałam, żeby upodobnili się do dziadka, do Roberta, do Andrew, żeby nabrali przekonania, że mężczyźni nie wolno okazywać uczuć wobec drugiego człowieka. Koniec końców - dodała po chwili - nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Dzięki temu, że są w internacie, łatwiej znieśli śmierć ojca. Chociaż, właściwie go wcale nie znali. On nigdy nie miał dla nich czasu... - Ani dla mnie, chciała dodać, ale nie zrobiła tego. Czuła, że niebezpiecznie daje się ponieść emocjom. -I dzięki Bogu są jeszcze na tyle mali, żeby siebie za to nie obwiniać...

Umilkła. Już i tak powiedziała za dużo. Było jednak coś w milczącym, uważnym sposobie słuchania Blake'a, co ułatwiało mówienie o sobie.

Wieloletnia praktyka, pomyślała znowu.

- Bardzo ich kochasz.

Stwierdzenie to było tak samo zaskakujące, jak miękki i ciepły tembr głosu Blake'a.

- Tak - przyznała z gardłem ściśniętym wzruszeniem.
- Kiedy przyjeżdżają na wakacje?
- Dopiero pod koniec miesiąca - poinformowała Fiona, wdzięczna za skierowanie rozmowy na bardziej praktyczne sprawy.

- Czyli za trzy tygodnie. Dobrze... Annie zdoła się do tej pory zadomowić...

- Trzy tygodnie to niewiele - powiedziała Fiona. - To będzie dla niej bardzo trudny okres. Straciła rodziców, a teraz przeprowadzka z miasta na prowincję, z małego mieszkania do dużego domu... Będzie się czuła zagubiona.

- Tak, wiem. Jedyne, co dobre, to fakt, że szkołę zaczyna dopiero we wrześniu. Będzie miała równy start z tutejszymi dziećmi.

- Do pewnego stopnia - zgodziła się Fiona.

- Masz jakieś wątpliwości? - spytał Blake lekko.

Dlaczego o to pyta? A może on sam ma wątpliwości? Może kiedy usłyszał, jak mówi o synach, uznał ją za zbyt uczuciową i miękką do roli, jaką jej wyznaczył?

- Nie - zaprzeczyła. - A ty?

- Nie... Nie mam. - Korzystając ze spokojnej sytuacji na drodze, odwrócił głowę i spojrzał na Fionę. - Dlaczego sądzisz, że mógłbym je mieć?

Pytanie sprawiło ją w zakłopotanie, poczuła się zagrożona i bezbronna. Wzdrygnęła się, nie chcąc przyznać się do zastrzeżeń, jakie ma wobec samej siebie, jakie leżały u źródła tego pytania. Uchylając się od odpowiedzi wprost, powiedziała:

- Wciąż jestem dzieckiem moich rodziców.

Nastąpiła krótka chwila milczenia, które przerwał Blake, mówiąc:

- Czyżby? Mam niejasne wrażenie, że już nie. Powiedziałbym nawet, że jesteś bardzo samodzielną kobietą, panią siebie. Zaskoczyłaś mnie tym nieco...

Ten komplement, tak niespodziewany, tak nieoczekiwany, zaskoczył Fionę. Poczowała, że oblewa ją gorąca fala. Wyglądam pewnie jak pensjonarka, pomyślała. Siłą woli powstrzymała rumieniec występujący jej na twarzy i odwróciła głowę.

Panią siebie... Słowa, które będzie przechowywać w sercu, chłonać je, napawać się nimi. Słowa, które niczym gwiazdy przewodnie będą oświetlać jej drogę do odkrycia prawdy o sobie. Słowa, które zawsze byłyby dla niej ważne, lecz usłyszane od Blake'a są jeszcze cenniejsze.

Bądź ostrożna, ostrzegła samą siebie... Bardzo, bardzo ostrożna.

Przedmieścia Leeds wyglądały tak samo, jak przedmieścia każdego dużego miasta przemysłowego. Blok, w którym mieszkała Annie, robił przygnębiające wrażenie.

Jak dziecko może się rozwijać w takim otoczeniu, pomyślała Fiona ze smutkiem. To jak sadzenie roślin w miejscu, do którego nigdy nie dociera słońce.

Annie sama otworzyła drzwi. W milczeniu olbrzymimi brązowymi oczami patrzyła, jak wchodzili do mieszkania.

Fiona przyjrzała się dziecku. Dziewczynka była drobna i szczupła, biednie ubrana w rzeczy jak gdyby na nią za małe. W cieplejszym klimacie jej skóra, teraz ziemista i matowa, nabrałaby miodowozłotej barwy, pomyślała.

Doszła do wniosku, że mała wygląda nie tyle na niedożywioną, co na niekochaną.

Ogarnęła ją fala wzruszenia, zapragnęła objąć i przytulić dziewczynkę do siebie, lecz opanowała ten impuls. Nieznany i prawdopodobnie niepożądany wybuch czułości przestraszyłby ją, a to by było najgorsze, co mogło się stać. Jej uczucia się teraz nie liczą, najważniejsze są reakcje i potrzeby sieroty.

W mieszkaniu oprócz dziewczynki znajdowały się dwie dorosłe osoby. Starsza siwa kobieta była opiekunką, u której

sąd umieścił Annie po śmierci rodziców. Młodsza szybko przedstawiła się jako kurator.

Z jej sztywnego zachowania wobec Blake'a jasno wynikało, iż nie aprobuje jego zamiarów wobec chrzestnej córki, lecz Fionę powitała przychylniej. Fiona z uznaniem zauważyła, że etyka zawodowa przeważa i młoda kobieta stawia dobro Annie nad osobistymi osądami.

Słuchając wyjaśnień i odpowiadając na jej pytania, Fiona bacznie obserwowała Annie. Zauważyła, że mimo pozornej obojętności i dystansu do dorosłych decydujących o jej przyszłości, mała uważnie śledzi tok rozmowy.

Fiona współczuła jej całym sercem. Z własnego doświadczenia знаła owo uczucie ubezwłasnowolnienia, gdy inni decydowali o jej losie, a ona nie miała nic do powiedzenia.

- Czy ktoś spytał Annie, co ona sama woli? - odezwała się, kiedy pani kurator skończyła swoje wywody.

- Oczywiście - odparła młoda kobieta, sztywniejac. - Naturalnie. Zawsze bierzemy pod uwagę przede wszystkim dobro dziecka, a więc liczy się dla nas jego zdanie...

Kiedy nadeszła pora odjazdu, Annie zachowywała apatyczne milczenie, które głęboko poruszyło Fionę. Pani kurator odprowadziła ich troje do samochodu. Cały czas dokładała tak usilnych starań, aby nie ulec urokowi Blake'a, że Fiona musiała użyć całej siły woli, aby nie okazać, jak ją to bawi.

- Zdałaś egzamin - mruknął Blake, kiedy zostali sami.
- Nie zakwalifikowała cię do osób zdolnych do molestowania seksualnego nieletnich.

- Cóż, na tym polega ich zadanie - skomentowała trzeźwo Fiona.

- Wiem - przyznał jej rację Blake - ale wciąż nie uważam, żeby to... - Potrząsnął głową i dodał: - Boże, ciarki mnie przechodzą na myśl, że jako ojciec mógłbym być o coś podobnego oskarżony...

- Mnie też - przyznała Fiona i wzdrygnęła się. Istniej

gorsze zbrodnie niż obojętność, jaką wobec swoich dzieci okazywał Andrew. O wiele gorsze.

Annie zdziwiła się, kiedy Fiona usiadła razem z nią na tylnym siedzeniu, ale wbrew obawom Fiony, nie cofnęła się w kąt i nie starała się zachować dystansu.

- Będziemy musieli zatrzymać się gdzieś na lunch - Fiona uprzedziła Blake'a, kiedy ruszyli.

- Co lubisz? - spytał Blake dziewczynkę.

Milczenie. Annie zmarszczyła czoło, jak gdyby intensywnie się nad czymś zastanawiała.

- Na specjalne okazje moi synowie uwielbiają chodzić do McDonalda - odezwała się Fiona i została nagrodzona wdzięcznym, pełnym wewnętrznej ulgi spojrzeniem brązowych oczu oraz słabutkim uśmiechem.

- McDonald?

Widząc minę Blake'a, Fiona z trudem opanowała śmiech.

- Wygodnie ci? - spytał Blake.

Skinęła głową. Po lunchu, pół godziny po wznowieniu podróży, Annie zasnęła oparta o swoją opiekunkę i Fiona, delikatnie ułożywszy ją wygodniej, nie chciała ryzykować obudzenia dziewczynki.

Ma apetyt, pomyślała, przypominając sobie, jak Annie spałaszowała lunch, chociaż wolałaby oczywiście, żeby mała jadła coś zdrowszego od hamburgera i frytek.

- Jak mam ciebie nazywać? - spytała grzecznie dziewczynka, kiedy Blake odszedł od stolika i ustawił się w kolejce do kasy.

- A jak byś chciała? Mam na imię Fiona, ale możesz nazywać mnie Fif, albo Fifi, jeśli wolisz.

- Fifi... to trochę tak jak Nannie, prawda? - powiedziała Annie i dodała: - Nie mam babci ani dziadka. Nie żyją. Tajna policja ich zabiła... - wyjaśniła rzeczowym tonem. - Teraz nie mam nikogo - dodała.

- Masz nas - powiedziała Fiona, starając się panować nad wzruszeniem.

- Ale wy nie jesteście moją prawdziwą rodziną - odparło dziecko beznamiętnie.

Cóż można na takie stwierdzenie odpowiedzieć, pomyślała Fiona. Żadne słowa nie wskrzeszą tych, których straciła. Udawanie czegokolwiek byłoby wobec tego dziecka nieuczciwością.

- Zaakceptowała cię - szepnął Blake znad kierownicy.

- Czy to - spytała Fiona, upewniwszy się, że dziewczynka śpi mocnym snem - twój profesjonalny osąd, czy pobożne życzenie?

- Ani jedno, ani drugie - zachnął się Blake. - Jeśli chcesz, to czysto męska interpretacja faktu, że woli być bliżej ciebie, że w twojej obecności odpręża się i odrzuca skorupę... odnosi się do ciebie w całkiem inny sposób niż do mnie. Chciałbym, żebyś się jak najszybciej do nas przeprowadziła. Mała najwyraźniej przedkłada twoje towarzystwo nad moje.

- Wydaje się, że nie miała wiele kontaktu z ojcem - powiedziała Fiona. - Prawdopodobnie nie jest przyzwyczajona do przebywania w towarzystwie mężczyzn.

- Tyle serca wkładasz w rozwiązywanie problemów innych - stwierdził Blake - powiedz, kto dba o twoje potrzeby?

- Ja nie wymagam aż takiej opieki - odpowiedziała Fiona, lecz w głębi duszy była poruszona jego przenikliwością. Pytanie Blake'a uderzyło w czułą strunę. Kiedyś ucieszyłaby się każdym przejawem zainteresowania z jego strony, teraz jednak świadomość, że się jej przygląda, że analizuje jej zachowanie, zaniepokoiła ją.

Z czym jeszcze bezwiednie się przed nim zdradziła?

- Podjadę wpierrw do ciebie - powiedział Blake, kiedy znaleźli się na przedmieściach Lincoln.

Uzgodnili już i zakomunikowali Annie, że dzisiaj Fiona przenocuje w swoim domu, ale wkrótce zamieszka u Blake'a i będzie się nią opiekować.

Fiona skinęła głową na znak zgody. Nagle przez okno dostrzegła Joela stojącego po drugiej stronie ulicy. Zamarła.

Nie widział jej, czekał, aż zmienią się światła i będzie mógł przejść.

Serce podskoczyło jej w piersi, w gardle poczuła dziwne dławienie. Przeżyła moment rozterki - ciało wyrывało się ku niemu, rozum przypominał wszystkie powody, dla których musiała z tego mężczyzny zrezygnować.

Nie kochała go ani on jej nie kochał, wiedziała o tym, lecz wiedziała również, iż istniała szansa, że między nimi zrodzi się prawdziwa miłość. Widok Joela pobudził tęsknotę za czułością, świadomością, że jest mu potrzebna, że on jej pragnie, że ją otacza troską i opieką...

Blake obserwował Fionę w swoim lusterku. Zauważył również mężczyznę stojącego przy krawężniku.

- Mam się zatrzymać? - spytał lekko zduszonym głosem, nie odwracając się nawet.

Fiona spojrzała z przerażeniem na tył głowy Blake'a i nagle uświadomiła sobie, ile uczuć musi malować się na jej twarzy.

- Nie, dziękuję - powiedziała, rumieniąc się.

- Stary znajomy?

Fiona wyczuwała jego złość i nie wiedziała, jak ma ją interpretować. Widział, jak patrzyła na Joela... Domyślił się...? To jeszcze nie powód, żeby brał ją w krzyżowy ogień pytań... Osądzał. Nie wstydzi się tego, co przeżyła z Joelem.

- Nie. Nie znajomy... - powiedziała spokojnie. - Skoro już musisz wiedzieć, byliśmy krótko kochankami... Bardzo krótko...

Widząc, jak dłonie Blake'a mocniej zaciskają się na kierownicy, zrozumiała, że zaskoczyła go tym wyjaśnieniem.

- To już skończone - dodała tak samo opanowanym tonem. - O co chodzi, Blake? - spytała, kiedy długo milczał. - Zadałam pytanie, odpowiedziałam... Czy nie mam prawa powiedzieć ci prawdy? Czy i ty, tak samo jak mój ojciec,

chcesz, żebym dostosowywała się do wyznawanego przez ciebie kodeksu wartości? Przykro mi, ale teraz ważne są dla mnie wyłącznie te wartości, w które ja wierzę. Nie wstydę się związku z Joelem. Wstydziłabym się natomiast zaprzeczać temu, co z nim przeżyłam, albo ukrywać to. Dał mi coś, czego nie otrzymałam od żadnego innego mężczyzny, ukazał mi tę część mojej osobowości, której istnienia nawet nie podejrzewałam, zwrócił mi tę cząstkę mnie samej, która, jak mi się wydawało, utraciłam na zawsze.

- To dlatego zgodziłaś się przyjąć pracę u mnie? - spytał Blake. - Dlatego, bo twój romans się skończył?

- Nie - oświadczyła Fiona. - Przyjęłam twoją ofertę po to, aby ten romans nigdy się nie zaczął... Właśnie po to... między innymi...

Blake walczył ze swoimi reakcjami. Ogarnięty zazdrością czuł jednak pewien szacunek dla tej niezwyklej kobiety, szacunek, do którego trudno mu się było przyznać.

Szacunek i dominujące poczucie straty.

Ile razy w ciągu tych wszystkich lat zastanawiał się nad tym, jaką kobietą stała się Fiona! Teraz musiał przyznać przed sobą, że nie był dla niej sprawiedliwy, przeciwnie - rzeczywistość nie mieściła się w ramach jego wyobraźni.

- Daj, potrzynam ją.

Fiona napięła mięśnie, kiedy Blake wyciągnął ręce, aby unieść wciąż śpiącą na jej kolanach Annie, żeby ona mogła wysiąść. Zbędny wysiłek, zreflektowała się, gdyż Blake bardzo się pilnował, aby jej nie dotknąć, nie musnąć nawet koniuszkami palców.

Oddawała mu Annie z poczuciem tęsknoty, smutku i żalu. Dlaczego widok mężczyzny z dzieckiem w ramionach tak mnie wzrusza, zastanawiała się.

- Chcesz, żebym wszedł z tobą, upewnił się, że wszystko...?

- Nie. Nie budźmy małej - odparła. - O której jutro...?

- O tej, o której tobie pasuje - powiedział Blake.

Kiedy już się odwróciła, aby odejść, usłyszała za sobą:

- Przepraszam, Fiono. Będzie tak, jak już powiedziałem... Twoje życie prywatne to wyłącznie twoja sprawa.

- Nie mam życia prywatnego... przynajmniej nie w tym sensie, jaki masz na myśli - zapewniła go Fiona. - Ale masz rację, to są moje sprawy. Postanowiłam, że jedynym arbitrem, co mi wolno, a czego mi nie wolno robić, będę ja. To twój wybór, twoje prawo sądzić mnie po swojemu, Blake... Tak samo jak moim prawem jest przyzwolenie albo niezgoda na to, żeby ten osąd miał jakikolwiek wpływ na moje życie.

Kierując się w stronę drzwi wejściowych, Fiona stwierdziła wobec siebie stanowczo, że oto właśnie zrywa wszelkie pęta, jakie kiedykolwiek krępowały jej ruchy i że nikt, nawet Blake, nie zdoła już z powrotem narzucić jej owego jarzma.

Nawet Blake.

Dlaczego „nawet”? Nie jest już najważniejszy, jedyny. Wręcz przeciwnie - nie ma żadnych specjalnych praw.

Blake poczuł, że Annie poruszyła się w jego ramionach. Za późno żałować, pomyślał, za późno roztrząsać, co stracił, czego sam siebie pozbawił.

- Gdzie Fiona? - spytała dziewczynka. - Chcę do Fiony...

- Jutro przyjdzie - zapewnił małą. - Śpij...

Jak łatwo być dzieckiem, pomyślał z zazdrością, nie mieć oporów w wypowiedaniu swoich pragnień... swoich potrzeb.

Bolesna spuścizna

29

- Jaka szkoda, że niektóre dzielnice naszego miasta zostały oszpecone nowymi budynkami - narzekała Daphne, zwracając się do Clifforda, kiedy jechali w kierunku uniwersytetu.

- Kenneth bardzo mądrze postąpił, że nie zamieszkał zbyt blisko uczelni. Te domy musiały być kiedyś bardzo luksusowe, ale obecnie większość nadaje się tylko na tanie mieszkanie dla studentów. Ohyda...

Sally nabrała wody w usta. Paplanina siostry, owa mieszanina próżności, samozadowolenia i snobizmu, działała na nią jak borowanie zęba bez znieczulenia.

- Dobrze, że zadbałaś trochę o to, żeby upodobnić się do ludzi, Sally - skomentowała jej wygląd przy powitaniu i natychmiast dodała apodyktycznym tonem: - Chociaż powinnaś w końcu wybrać się do dobrego fryzjera... Niech cię przyczwoicie ostrzyże i uczesze. W twoim wieku takie długie włosy... Widzisz, znajomość z Kennethem może się okazać bardzo ważna dla Clifforda. Z jego wpływami na uniwersytecie...

Kariera Clifforda obchodzi Kennetha tyle co zeszłoroczny śnieg, miała ochotę powiedzieć jej Sally, ale ugryzła się w język.

Kenneth mieszkał na samym końcu ślepej uliczki zabudowanej identycznymi wysokimi i wąskimi willami w stylu edwardiańskim. Fasada z czerwonej cegły, zamiast efektu ciepła, wywoływała wrażenie ponurej surowości i zimna, którego nie łagodziły pnące rośliny - bluszcz, róże - ozdabiające

sąsiednie domy. Mały ogródek przed wejściem wyglądał tak samo nieskazitelnie i sztywno, jak fronton domu. Sally natychmiast porównała go w myśli ze swoim trawnikiem zawsze zeszpeconym rowerami czy narzędziami.

Przyglądając się willi, poczuła się dziwnie nieswojo, lecz zanim zdążyła zastanowić się, w czym leży przyczyna, w drzwiach ukazał się Kenneth, witając gości.

Sally trzymała się na końcu, podczas gdy Daphne, nie przestając mówić, parła naprzód.

Kenneth pozornie słuchał, lecz oczu nie spuszczał z Sally.

- Wejdz, proszę... - powiedział i jakoś tak pokierował sytuacją, że wprowadzając gości do holu, ujął Sally pod ramię.

Hol był szerszy niż ich, a drewniana podłoga z nagich desek tak sterylnie czysta, że Sally prawie bała się na nią stać.

Ściany salonu, tak jak wszystkie pozostałe, pomalowane były na biało, a parkietu nie zasłaniała droga wykładzina, jak u Daphne, lecz kilka mniejszych dywaników w neutralnych barwach. Sally zauważyła, że w pokoju nie było żadnych kolorowych akcentów, całe wnętrze utrzymane było w bladych, surowych, „ekologicznych” odcieniach. Pod wpływem tej ascetycznej atmosfery nawet Daphne straciła odrobinę swej zwykłej krzykliwej pewności siebie i rozglądała się niepewnie dookoła.

Kenneth obserwował ją z wyrazem twarzy, który Sally trudno było zinterpretować. Podejrzewała jednak, że wyraźna konsternacja jej siostry sprawiała gospodarzowi swoistą przyjemność. Nie spodobało jej się to.

Doszła do wniosku, że to całkowity brak przedmiotów osobistego użytku przesądza o nieprzytulnej atmosferze pokoju; nie było tu nigdzie żadnych książek, pism ilustrowanych, fotografii...

Gdzie są zdjęcia jego rodziców, synów, zastanawiała się. Może w sypialni, na górze. Myśl o sypialni wywołała lekki rumieniec na jej twarzy.

- Przejdźmy do ogrodu, dobrze? - zapraszał Kenneth. I znowu tak zręcznie manewrował gośćmi, żeby znaleźć się obok Sally.

- Bardzo ładnie wyglądasz - powiedział cicho, pochylając się do jej ucha.

- Ten kostium dostałam od Daphne - przyznała się.

- Tak myślałam - odparł, a ona speszyła się trochę. I znowu nie potrafiła określić, co było takiego w głosie Kennetha, co ją zaniepokoiło.

Kupno garderoby będzie pierwszą rzeczą, jaką zrobię, kiedy już ją zdobędę dla siebie, postanowił Kenneth. Subtelne, wytworne stroje w neutralnych odcieniach... Naturalne tkaniny, a nie te ohydne, sztuczne, jakie teraz nosi. Koledzy mieli by zabawę, gdyby ją taką zobaczyli. A tę siostrę trzeba będzie trzymać z daleka - na duży dystans.

Przez duże oszklone drzwi wyprowadził towarzystwo do ogrodu. Sally wstrzymała oddech, a Kenneth, słysząc owo westchnienie, obejrzał się i z uśmiechem zadowolenia z jej reakcji zapytał:

- Podoba ci się?

- Przepiękny - odparła Sally. Ogród istotnie był wspaniały. Idealnie przystrzyżony trawnik okalała rabata gęsto porośnięta kwiatami i krzewami we wszystkich możliwych odcieniach zieleni i bieli - idealnie zharmonizowanych z kolorytem salonu, który pozostawili za sobą. Wspaniały cisowy żywopłot przedzielał ogród mniej więcej w połowie i kiedy Kenneth prowadził ich ścieżką do drugiej części, Sally słyszała komplementy Daphne wypowiedane głosem, w którym smutek mieszał się z entuzjastycznym zachwytem.

Za żywopłotem z cisów znajdował się rodzaj altanki, tajemniczej i cieniejszej. Nawet ustawione idealnie naprzeciwko siebie ławeczki były pomalowane na ciemnozielono.

Nie ulegało wątpliwości, że ogród był wyjątkowym dziełem sztuki, przyznała Sally w duchu, lecz trudno by było

wyobrazić sobie tu Paula biegnącego po trawniku z piłką i strzelającego gole, trudno by było wyobrazić sobie jakiegokolwiek dziecko, nawet najlepiej wychowane, bawiące się tutaj... Mające ochotę się bawić...

Nawet Daphne zaniemówiła. Czyżby porównywała tę milczącą zieloną doskonałość z jej własnymi żywiołowo kolorowymi grządkami, zastanawiała się Sally. Sądząc z miny Daphne, Clifford zostanie już wkrótce zagoniony do ich przekopania.

- Lubię zachodzić tutaj wieczorem, gdy zapada zmierzch - szepnął Kenneth tak cicho, że tylko ona słyszała. - Czasami wyobrażam sobie, że żyję w epoce renesansu, że słyszę echo tamtej doskonałości... Chciałbym spacerować z tobą, Sally. Nawet nie wiesz, jak często wyobrażam sobie, że jesteś tu przy mnie.

Sally poczuła, że drży, że ulega magnetyzmowi jego osobowości. Uświadomiła sobie nagle z całą ostrością, jak silną wolę posiada ten człowiek. Mężczyzna, który potrafi narzucić przyrodzie taką perfekcyjną poprawność, musi być bezwzględny... To słowo przeszło ją niczym sztylet Wzdrygnęła się. Charakteryzowało kogoś o nieugiętym charakterze, ogarniętego manią podporządkowywania sobie wszystkich i wszystkiego, egoistę... a przecież Kenneth nie posiadał tych cech.

Wypili herbatę w wymuskany ascetyczny salonie, gdzie Sally nie odważyła się odezwać, sączyła tylko słomkowy płyn, którym Kenneth ich poczęstował. Nawet filiżanki były białe, bez ozdób, cieniutkie niczym skorupki jajka i tak kruche, że bała się je wziąć do ręki.

- A propos - usłyszała, jak Kenneth zwraca się do Clifforda - nie wiedziałem, że Slater Hobbs to twój dawny przyjaciel. Wspomniałem przy nim mimochodem, że cię poznałem, a on powiedział mi, że w młodości toczyliście ze sobą długie dysputy. Zaproponował, żebyś do niego wstąpił przy okazji wizyty u mnie...

Sally nie miała pojęcia, kim był Slater Hobbs, lecz sądząc z miny Clifforda, musiał być ważną figurą.

- Chciałbym oczywiście go odwiedzić - zaczął ostrożnie Clifford - ale...

- Nie martw się o Sally - wtrącił Kenneth. - Tak się składa, że mam się stawić na badania kontrolne w szpitalu i z przyjemnością podrzucę ją do miasta...

- Och, nie... To zbytnia subiekcja... - zaprotestowała Daphne, lecz Clifford zdobył się na odwagę i się jej przeciwstawił.

- Cóż, jeśli naprawdę nie sprawi ci to kłopotu... Pamiętasz Slatera, prawda? - spytał, zwracając się do żony. - Przedstawiłem was sobie na jednym z przyjęć u dyrektora. Jest teraz dziekanem wydziału matematyki, nie mylę się...?

- Nie. To bardzo wpływowe stanowisko, sam przecież doskonale o tym wiesz...

Zarówno głos Kennetha jak i całe jego zachowanie były bardzo swobodne, lecz Sally nie dała się zwieść. Ów jakiś tam Slater Hobbs był najwyraźniej kimś bardzo ważnym dla Clifforda i podejrzewała, że zaproszenie nie było wcale przypadkowe, że zostało celowo zaaranżowane przez Kennetha. Po co? Żeby mogli zostać sam na sam...?

Pół godziny później, kiedy siostra i szwagier ich opuścili, zwierzyła się Kennethowi ze swoich podejrzeń. Wybuchnął śmiechem.

- Obawiam się, że przypisujesz mi znacznie większe wpływy, niż w rzeczywistości posiadam... Kimże ja jestem w porównaniu z tuzami? Mizernym wykładowcą...

Sally przyglądała mu się z mieszanymi uczuciami. W głosie Kennetha dosłyszała gorzko-ironiczną nutę, która sprawiła, iż nagle zrozumiała, że w tym człowieku kryją się cechy, jakich jeszcze nie zna.

- A więc teraz, kiedy zostaliśmy sami, zapytam... Co sądzisz o moim domu? Czy mogłabyś być w nim szczęśliwa?

Zadał to pytanie jak gdyby niechcący, jak dorosły, który droczy się z dzieckiem, jak ktoś już pewny odpowiedzi, niemniej Sally dręczyła myśl, że, jakkolwiek budynek był piękny, ona nie czułaby się w nim jak w domu.

Nie wyobrażała sobie na przykład tutaj żadnego ze swoich dzieci.

Zamiast więc kłamać, zmieniła szybko temat i sama zadała pytanie:

- A twoi synowie? Spodziewałam się, że zobaczę ich fotografie...

- Fotografie? Po co mi fotografie? Ostatnią rzeczą jaką pragnę, to ustawiczne memento... - urwał, zobaczywszy efekt, jaki jego słowa wywarły na Sally i łagodniejszym tonem dodał: - Jesteś zbyt sentymentalna, wiesz? Będę cię musiał tego oduczyć. Ale kiedy już mowa o sentymentach, uczuciach... Zdajesz sobie chyba sprawę z tego, że tak dłużej nie możemy tego ciągnąć, prawda? Pragnę cię mieć tutaj, ze mną, tu, gdzie mogę się tobą opiekować, a nie martwić się, że zaharowujesz się dla swojego mężulka, który tego nawet nie docenia. Czy wiesz, co czuję, wiedząc, że jesteś z nim, podczas kiedy ja tak za tobą tęsknię? Rzuć go, najdroższa, on nie jest cię wart. On cię nie ceni.

- Nie mogę go, ot tak, zostawić - zaprotestowała Sally schrypniętym od wzruszenia głosem. - Ani dzieci...

Mimo usilnych starań nie potrafiła ich sobie wyobrazić w takim domu... A poza tym, czy Kenneth chciałby, aby zamieszkały tutaj? Szybko odpędziła od siebie te myśli i lęk, jaki budziły.

- Nie nalegaj, proszę, daj mi czas. Joel i dzieci potrzebują mnie.

- Doprawdy? - zdziwił się Kenneth. - A może oni wszyscy tylko cię wykorzystują? Spójrz na mnie - rozkazał.

Sally posłuchała z wahaniem. To, co przed chwilą powiedział, dotknęło ją do żywego.

- To ja ciebie potrzebuję - rzekł Kenneth z mocą. - Ja... nie oni.

Przez ułamek sekundy Sally zdawało się, że chwyci ją w ramiona i pocałuje, lecz mimo że ujął jej twarz w dłoń, natychmiast cofnął ręce.

- Nie... nie teraz... jeszcze nie...

Sally czuła, że gdy dotykał jej policzka, drżał, a płynący z jego palców dreszcz emocji i podniecenia przeniknął także i ją. Co za cudowne uczucie - wiedzieć, jak bardzo ten mężczyzna ją pożąda i wiedzieć, że potrafi panować nad sobą dla jej dobra...

Już niedługo, obiecywał sobie Kenneth w myśli, spoglądając na zwróconą ku sobie rozpromienioną twarz Sally. Po pierwsze nauczy ją ubierać się jak należy. Kiedy będą się pierwszy raz kochać, będzie miała na sobie miękką zwiewną koszulę nocną; albo z czystego jedwabiu, albo z czysto bawełnianego batystu, w kolorze naturalnym. Kenneth miał nadzieję, że Sally nie należy do kobiet obdarzonych przez naturę bujnym owłosieniem. Z uczuciem gwałtownego obrzydzenia przypomniał sobie, jak bardzo jego była żona szczyliła się gęstymi kręconymi włosami, które porastały jej łono, ze złością odrzucając jego sugestie, żeby je usunęła.

Taka obfitość włosów szpeciła kobietę; była zbyt ordynarna, zbyt... zbyt natrętnie zmysłowa.

Nie, Sally nie będzie taka jak Rebecca, i w przeciwieństwie do Rebeci będzie mu wdzięczna za wszystko, co dla niej zrobi. Bo jakże mogłoby być inaczej? Wystarczy porównać jej obecne życie z tym, co on może jej ofiarować.

Ta siostra jednak może stanowić pewien problem, niemniej Kenneth doskonale wiedział, że zdoła sobie i z nią poradzić.

- Przestafi się martwić, kochanie - odezwał się łagodnie, widząc jej smutną minę. - Wszystko będzie dobrze. Obiecuję... - Objął ją ramieniem i przytulił.

- Nie chcę skrzywdzić Joela - szepnęła Sally.

- Ma to, na co sobie zasłużył - oświadczył Kenneth.

- On tak... ale dzieci nic nie zawiniły...

Kenneth odrobinę zeszytniał.

- Posłuchaj, Sally. Ja nie... - zaczął i wypuścił ją z objęć.

- Boże! - wykrzyknęła Sally, przypadkiem zerknąwszy na jego zegarek. - Jak strasznie późno! Paul i Cathy zaraz wrócą ze szkoły i nie chcę, żeby Joel zaczął coś podejrzewać... - Zerwała się i prawie pobiegła do drzwi.

- Wysadź mnie tutaj - powiedziała kilkanaście minut później, kiedy samochód skręcił w jej ulicę.

- Zadzwoń - obiecał Kenneth, stając.

- Ale nie do domu - prosiła błagalnym tonem. - Joel...

- Dobrze. Do szpitala.

Kiedy wysiadała, chwycił jej dłoń i uniósł do ust, muskając wargami każdy palec po kolei.

Sally rozejrzała się nerwowo, czy ktoś ich nie widzi.

- Niedługo pokryję pocałunkami każdy centymetr twojego ciała - szepnęła namiętnie Kenneth. - Bardzo, bardzo niedługo, najdroższa...

Wciąż zarumieniona z podniecenia, Sally otwierała drzwi wejściowe. Nieporządek panujący w kuchni, zamiast zdenerwować ją jak zwykle, wydał jej się dziwnie przyjemny i swojski.

Błada, czysta surowość domu Kennetha działała na nią paraliżująco, była zbyt doskonała, zbyt nieskazitelna, całkowicie wyzuta z przytulności. Sally przez cały czas wizyty czuła się spięta, bała się, że coś upuści, uszkodzi, zakłóci idealny porządek.

Wzdrygnęła się. Euforia wywołana bliskością Kennetha i jego pochlebstwami, opuściła ją nagle. Mimo usilnych starań nie potrafiła sobie wyobrazić żadnego z dzieci w tym ascetycznym wnętrzu.

A czy mogła sobie wyobrazić odejście od Joela?

Pełgające w zakamarkach jej umysłu poczucie, że w ciągu tych ostatnich kilku miesięcy Joel zdołał zająć jej miejsce w sercach dzieci, skryzlowało się teraz w nagły lęk, że gdyby postawiono je przed koniecznością dokonania wyboru między rodzicami, wybrałyby ojca.

Teraz do niego się ze wszystkim zwracały; to Joel był zawsze po ich stronie, to on...

Zauważywszy kartkę na stole, zmartwiła. Ogarnięta nagłą paniką, podbiegła, chwyciła list.

„Cathy w szpitalu”, nabazgrał Joel w pośpiechu, w zdenerwowaniu.

Sally położyła kartkę na blacie. Cathy w szpitalu.

Dlaczego... kiedy... jak...?

Porwała kluczyki do samochodu i wybiegła z domu. Nie ważne, że łatwiej i szybciej dowiedziałyby się szczegółów, gdyby zatelefonowała... Musiała być przy swoim dziecku jak najprędzej, zaraz, natychmiast.

Jadąc do szpitala, po raz pierwszy w życiu doświadczyła, co czuje człowiek po drugiej stronie izby przyjęć, co czuje matka, której dziecko leży chore lub z obrażeniami w obcym dla niego otoczeniu.

To już nie opanowana i doświadczona Sally-pielęgniarka parkowała byle jak, byle szybciej, i biegła ku wejściu do szpitala, lecz Sally- matka.

Pierwszą osobą, którą zobaczyła, był Joel.

Stał odwrócony plecami do drzwi prowadzących na oddział dziecięcy.

- Gdzie Cathy? - spytała, kiedy słysząc stukot obcasów, obejrzał się i ją zauważył. - Co się stało? Co jej jest?

- Nie wiedzą - odparł Joel krótko. - Podejrzewają wyrostek.

Wyrostek... Poczwała, że kolana się pod nią uginają, a ziemia usuwa się jej spod nóg. Zaledwie w zeszłym miesiącu mieli nastolatka, u którego zapalenie wyrostka stwierdzono

zbyt późno, nastąpiła perforacja i chłopak zmarł wkrótce po przewiezieniu do szpitala.

Zapalenie wyrostka... Oblała się zimnym potem.

Dlaczego, do diabła, nie słuchałam, kiedy dziś rano narzekła, że się źle czuje? Głowę miałam tak zajęta wizytą u Kennetha, że zdrowie dziecka było dla mnie nieważne, robiła sobie w myśli gorzkie wyrzuty.

- Gdzie ona jest? Muszę ją zobaczyć!

- Nie możesz. Lekarze ją właśnie badają - powiedziała Joel i zaraz zapytał gniewnie: - Gdzie się podziewałaś? Przez ostatnie dwie godziny bez przerwy dzwoniłem do tej twojej przeklętej siostry...

- Coś... Coś nas zatrzymało - skłamała Sally.

Boże, dlaczego nie byłam na miejscu, dlaczego nie wiedziałam, dręczyły ją wyrzuty sumienia.

- Gdzie Paul? - odezwała się zaniepokojona.

- Poszedł po kawę. Zaraz przyjdzie. Posłałem go, żeby go czymś zająć. Telefonowałem do szkoły i prosiłem, żeby przyjechał prosto tutaj. Nie chciałem, żeby siedział w pustym domu i się zamartwiał...

Sally wyraźnie wychwyciła nutę oskarżenia kryjącą się za tymi słowami.

- To nie moja wina, że mnie nie było - powiedziała, żeby się bronić.

- Nie, ale to ty uparłaś się, żeby Cathy poszła do szkoły, prawda? Po to, żebyś ty mogła firtać się ze swoją siostrunią...

Joel wiedział, że reaguje niewspółmiernie do sytuacji, że chce Sally ukarać, chociaż to, co się wydarzyło, nie było jej winą. Jednak w całym swoim życiu nigdy nie czuł się tak samotny, nigdy nie doświadczył takiego lęku, jak w chwili, kiedy Cathy, chora, zjawiła się w klubie.

- Nauczyciel kazał mi iść do domu, ale mamy nie ma, więc przyszedłem tutaj - powiedziała. - Nie gniewasz się, tato, prawda?

- Oczywiście, że nie! - zapewnił ją. Widział, że bardzo cierpi. Pojechali do domu, bóle jednak nasilały się i Joel zdecydował, że zawiezie małą bezpośrednio do szpitala. Szalał ze zdenerwowania, lecz siłą woli się opanowywał, żeby tego nie okazać. Przed wyjazdem próbował skontaktować się telefonicznie z Sally, a kiedy mu się nie udało, szybko napisał kilka słów na kartce i zostawił na kuchennym stole.

Nigdy w życiu nie odczuwał takiej potrzeby, takiego pragnienia, żeby była obok niego. Niestety, mijały minuty, godziny, a ona się nie zjawiała. Telefon u Daphne dzwonił, ale nikt nie podnosił słuchawki.

Teraz cały ten lęk przerodził się w agresję. I chociaż widział, że pod wpływem jego słów Sally błędnie, chociaż chciał je odwołać, nie uczynił tego.

Toczył ze sobą walkę, wewnętrzny głos nazwał jego zachowanie nie licującym z męskim honorem, lecz zanim zdążył podjąć z nim spór, wahadłowe drzwi otworzyły się i ukazała się w nich pielęgniarka, która podeszła do nich energicznym krokiem.

- Och, Sally, nareszcie udało ci się przyjechać - przywitała koleżankę, a potem odwróciła się do Joela i rzeczowym tonem poinformowała: - Wszystko w porządku, panie Bruton. Lekarz specjalista wykluczył zapalenie wyrostka. Uważa raczej, że to szczególnie złośliwy wirus wywołujący stan zapalny żołądka. Mamy ostatnio coraz więcej takich przypadków. Na wszelki wypadek zostawimy jednak małą na noc w szpitalu.

Siostra Fuller nigdy mniej nie lubiła, pomyślała Sally. Należała do starej szkoły pielęgniarek - całkowicie oddana swoim młodym podopiecznym, lecz stanowczo przeciwna podejmowaniu pracy zarobkowej, nawet tak szlachetnej, jak pielęgnowanie chorych, przez matki.

- Jeśli pan chce, może pan teraz zobaczyć córkę - powiedziała, wciąż ignorując Sally i zwracając się wyłącznie do Joela.

Usłyszawszy kroki w końcu korytarza, Sally obejrzała się i zobaczyła Paula idącego w ich kierunku. Kiedy spostrzegł, że Joel rozmawia z pielęgniarką, puścił się pędem w ich stronę.

- Wszystko dobrze - uspokoił go Joel, zanim Sally zdążyła się odezwać. Objął chłopca ramieniem, przyciągnął do siebie i dodał: - Cathy wyzdrowieje.

Przyglądając się tej intymnej scenie, słysząc ciepły, serdeczny, kojący ton Joela, Sally poczuła się wyrzucona poza nawias, niepotrzebna i niechciana. Łzy szczypały jej oczy, piekły w gardle.

Ponad ramieniem Paula Joel spojrzął na Sally. Widząc jej spuszczoną głowę i zgarbione plecy, poczuł głęboki żal. Wyciągnął wolną rękę i objął żonę.

Byłem wobec niej niesprawiedliwy, wyrzucał sobie. To nie jej wina, że dziś rano była zbyt zaabsorbowana innymi sprawami, aby ocenić, jak bardzo poważny jest stan Cathy. Nie powinienem dopuścić, aby strach, panika, uczucie bezradności, samotności, kierowały moimi słowami...

Miękko szepnął jej imię, lecz ona wyrwała mu się i szybkim krokiem, wyprostowana, sztywna, ruszyła w stronę drzwi na oddział. Ledwo ją dogonił.

- Jestem przekonany, że nie ma się czym martwić - mówił uspokajającym tonem lekarz, którego spotkali przed salą - chociaż twój mąż bardzo słusznie postąpił, przywożąc ją tutaj, Sally.

- Spanikowałem - przyznał Joel. - Nie wiedziałem, co robić. Ona wiła się z bólu. - Umilkł, potrząsnął głową, nie potrafił wyrzucić tego, co przeżywał.

Sally obserwowała go. Uspokoiła się trochę pod wpływem wiadomości, że Cathy ma tylko jakąś infekcję. Co by czuła, gdyby się okazało, że to coś poważniejszego?

Jako pielęgniarka wiedziała najlepiej, jak ważny był czas w diagnozowaniu wszelkich stanów zapalnych w jamie brzu-

szej, tak istotny, że minuty, a czasami nawet sekundy, przesądzały o życiu czy śmierci. A tymczasem ona była daleko, całymi godzinami nieuchwytna, nieświadoma niebezpieczeństwa. To w czasie tych godzin walka o życie Cathy mogła zostać przegrana.

Mróz przeszedł jej po plecach. Głowa omal nie pękła od natłoku przerażających myśli. Wyobraziła sobie nagle, że wchodzi do tego znajomego szpitala i dowiaduje się, że jej dziecko umarło, podczas gdy ona...

Jak bym się czuła?

Jaka ze mnie matka? Jaki ze mnie człowiek?

- Siostra powiedziała, że zdecydował pan, żeby zostawić Cathy na noc w szpitalu, doktorze - mówił Joel.

- Tak, ale to tylko dlatego, że lepiej dmuchać na zimne - zapewnił go lekarz.

- Ja z nią zostanę... dziś w nocy... - oświadczyła nagle Sally, schrypniętym głosem.

- Nie. Ja zostanę - zadeklarował Joel. - Przecież jutro od samego rana masz dyżur - przypomniał jej.

- Nie radziłbym żadnemu z państwa zostawać - wtrącił lekarz. - Zapewniam was, że to absolutnie zbędne, a poza tym, obawiam się, że nie mamy miejsca... Ale oczywiście, możecie ją teraz zobaczyć.

- Szybko wyzdrowiejesz, córeczko - mówił Joel - ale tę noc spędzisz w szpitalu...

- Och, tatusiu. Tak się bałam...

Sally instynktownie chciała ująć dłoń dziewczynki, lecz Cathy zignorowała ją, całą uwagę skupiwszy na ojcu.

- Wiem, dziecko - mówił Joel. - Oboje się baliśmy. Ale już wszystko dobrze. Zobacz, mamusia do ciebie przyszła.

Sally skuliła się, czując na sobie spojrzenie córki.

- Kiedy mnie jutro wypuszczą, przyjedziesz po mnie, tato, dobrze?

- Oczywiście, że przyjadę - obiecał.
- Proszę kończyć wizytę - przerwała im pielęgniarka.

Kiedy wychodzili ze szpitala, Paul zapytał:

- Możemy wstąpić do McDonalda, tato? Jestem okropnie głodny.

Dawniej to mnie by zapytał, nie Joela, pomyślała Sally.

Kenneth ma rację, nie jestem już im potrzebna... Żadnemu z nich. W ich życiu nie ma już dla mnie miejsca.

Nie ma miejsca... pożądania... miłości... niczego.

RS

Bolesna spuścizna

30

- Ach, jesteś Deboro... Pozwól, że ci przedstawię Kay - powitał ją Ryan ze złośliwą satysfakcją. - Od przyszłego tygodnia dołączy do naszego zespołu. Zarząd zdecydował, że wciąż zwiększająca się ilość spraw wymaga przyjęcia nowych sił...

Nie zasypia gruszek w popiele, pomyślała Debora cynicznie. Już zdążył wybrać sobie swoją następczynię.

Uśmiechnęła się do dziewczyny, ucisnęła jej rękę i odprowadziła wzrokiem, gdy zaferowany rolą opiekuna Ryan eskortował ją dalej. „Nowa” była drobną blondynką i, jak podejrzewała Debora, pod szykownym kostiumem od Anniego kryła zapewne wspaniałe krągłości. A sądząc ze spojrzenia, nie była wcale taka nieśmiała i naiwna, na jaką wyglądała.

Ona i Ryan będą do siebie znakomicie pasowali. Dla kariery Kay bez oporów zastosuje się do zasad „ustawiania się”.

Wiedźma, skarciła siebie w duchu Debora. No ale co za sens przymykać oczy na prawdę? Jej dni tutaj są policzone i stało się to, co się stać musiało.

Mogłaby, co prawda, zostać i pogodzić się z faktem, że awans przeszedł jej koło nosa, wrócić na stare miejsce do działu ogólnego, żyć z poczuciem upokorzenia, ze świadomością, iż jej degradacja jest przedmiotem spekulacji i plotek. Mogłaby oskarżyć Ryana o molestowanie seksualne... Mogłaby też uczynić to, czego, jak podejrzewała, Ryan pragnął najbardziej - poszukać posady gdzie indziej.

Czy naprawę chciał, żeby poszła z nim do łóżka, czy też ów niespodziewany szturm był tylko manewrem, aby ją usunąć i zrobić miejsce dla nowej protegowanej, zastanawiała się. Wciąż zdumiewało ją, że Ryan od początku nie wiedział, że ona nigdy się z nim nie prześpi. Przekonała się boleśnie o tym, o czym Mark ją wielokrotnie ostrzegał - że Ryan jest arcymistrzem strategii, arcymistrzem intryg.

Oficjalnie nadal zajmowała się likwidacją zakładów Andrew Rycarta, nadal czekała na pismo awansujące ją na wyższe stanowisko (nikt jej nie zawiadomił, że go nie otrzyma), lecz nie miała złudzeń. Podobnie jak pracownicy fabryki Kilcoyne była praktycznie zwolniona.

Przez ostatnie kilka wieczorów obdzwoniła starych znajomych i przyjaciół, pytając o ewentualną posadę. Niewiele jednak osiągnęła. Istniała możliwość powrotu do jej starej firmy w Londynie, lecz to oznaczało mniejszą pensję i niższy status w zawodzie.

Możliwe, że będzie musiała, podobnie jak Mark, zdecydować się na pracę nieetatową i dopóki nie znajdzie dla siebie czegoś odpowiedniego, angażować się na zastępstwa. Taka perspektywa przynębiała ją jednak. Zbliżała się do trzydziestki... Co zrobi, jeśli nie uda jej się wspiąć szczebel wyżej na drabinie zawodowej przed przekroczeniem tej symbolicznej granicy wieku?

Cóż, dość tych rozważań. Postanowiła wracać do domu.

Zmęczona, przekręciła klucz w zamku. W przedpokoju rzuciła z siebie żakiet, otworzyła drzwi do saloniku i... wykrzyknęła zdumiona:

- Mark!

Stała chwilę, wpatrując się w niego z niedowierzaniem. Potem spytała rzeczowo:

- Co ty tu robisz? Jak... jak się dostałeś do środka?

- Nadal mam klucze. Nie pamiętasz? Przepraszam, że cię przestraszyłem...

Przestraszyłem! Debora szybko odwróciła głowę, nie chcąc, żeby widział radość, jaka z pewnością biła z jej oczu.

Kiedy weszła, stał przy kominku, teraz jednak uczynił krok w jej stronę. Spozrzegłszy to, cofnęła się, automatycznie przybierając postawę obronną. Mark natychmiast stanął w miejscu.

- Możemy porozmawiać? - spytał.

Debora przecesała palcami kasztanowe włosy. Mark był opalony, wyglądał na zadowolonego z siebie i z życia. Czują się przy nim straszliwie znużona i przygnębiona. Potrząsnęła głową. O czym tu rozmawiać?

- Proszę, Deb. Obiecuję, że nie zajmę ci dużo czasu.

Debora kiwnęła głową na znak przyzwolenia. Doszła do wniosku, że prościej będzie go wysłuchać, niż się z nim spierać. Usiadła na kanapie.

- Wyglądasz na zmęczoną - zauważył z niepokojem.

- Dziękuję za troskę - odparła. - Przejdźmy do rzeczy. Chciałeś przecież porozmawiać.

- Tak. Wiele ostatnio myślałem. Robiłem rachunek sumienia, starałem się być sam ze sobą absolutnie szczerzy. W efekcie wiem już, że odszedłem, bo byłem święcie przekonany, że to ty jesteś główną przyczyną moich wszystkich problemów. Przypuszczam, że nie potrafiłem przyznać, nawet przed samym sobą, że czułem się zagrożony przez twój sukces, że zazdrościłem ci i bałem się, że to cię ode mnie oddali. Nie mogłem pogodzić się z faktem, że twój sukces pomniejsza mnie w oczach innych mężczyzn i dlatego... Widzisz, sądziłem, że odchodząc, udowodnię, że jestem mężczyzną, że sam siebie sprawdzę... a w rzeczywistości udowodniłem, że jestem głupcem, że odrzuciłem coś drogocennego... Kogoś, kto przedstawia niezastąpioną wartość - urwał i spojrzał na Deborę. - Nadal cię kocham - powiedział z uczuciem.

Debora przymknęła powieki. Pragnienie, aby do niego podejść, dotknąć go, objąć, poczuć jego ramiona wokół siebie,

było tak przemożne, jak gdyby popychała ją do niego jakaś gigantyczna siła. A jednak...

- Mówiłeś, że mnie już nie pożadasz - odezwała się cicho.

- Nie chciałeś się ze mną kochać...

- Tak było - przyznał.

- Karałeś mnie, Mark, odmawiając mi siebie... Wykorzystywałeś seks, żeby mnie sobie podporządkować. Nie można cofnąć czasu - mówiła, starając się panować nad drżeniem swojego głosu. - Z tego nic nie będzie... Prędzej czy później staniemy wobec tych samych problemów. Nie mogę żyć ze świadomością, że wisi nade mną ten miecz. A poza tym wiesz, jak ważny jest dla mnie mój zawód i moja kariera... To nie ulegnie zmianie. Ja się nie zmienię, a nie mogę żyć rozdarta między dążeniem do sukcesu i strachem, jak ty go przyjmiesz. Wyobrażasz sobie, jak to by wyglądało? Będę zmuszona udawać, umniejszać swoje osiągnięcia, grać jakąś nierzeczywistą postać, przywdziać kamuflaż w obawie, że przestraszysz się i nie zaakceptujesz mojego prawdziwego ja... Zawsze wiedziałeś, kim jestem, Mark, do czego w życiu dążę... Nigdy nie próbowałam cię oszukiwać...

- Wiem - przyznał z całym spokojem. - To ja oszukiwałam... Nie tylko ciebie, siebie również. Lecz nie z premedytacją, Deb... Do tego nigdy się nie posunąłem. Teraz jednak sprawy wyglądają inaczej. Zmie...

- Jakim cudem? - spytała Debora z goryczą. - Minęło zaledwie kilka tygodni. Ludzie nie zmieniają się w tak rekordowym tempie.

- To prawda - zgodził się Mark. - Nie twierdzę, że się zmieniłem, lecz że sam ze sobą doszedłem do jakiegoś takiego ładu. Zrozumiałem, kim jestem, a kim nie, co jest ważne, a co zupełnie nieistotne, i wreszcie - czytając definicję „mężczyzny” uważam za słusniejszą: swoją czy Ryana Bridgesa i facetów jego pokroju. Nie lubię rywalizacji, nigdy nie przepychałem się łokciami, lecz w ciągu tych ostatnich kilku miesięcy żyłem

pod złudnym wrażeniem, że ten brak siły przebicia czyni ze mnie życiowego nieudacznika.

- Och, Mark - westchnęła Debora ze smutkiem. - Sądziłam, że wiesz, że w moich oczach to właśnie czyni z ciebie prawdziwego mężczyznę, że cenię sobie to, iż nie wymagasz, abym stawiała cię na piedestale, udawała, że jestem od ciebie zależna, wzmacniała twoje ego umniejszaniem siebie, ukrywała przed tobą satysfakcję ze swoich zawodowych sukcesów. Dla mnie te wszystkie cechy są symptomami męskiej słabości, a nie siły. Większość kobiet podziela moje zdanie. Podziwiałam i szanowałam cię, bo nie wymagałeś owych fałszywych pochlebstw, bo nie szedłeś za stadem, nie ulegałeś stereotypom, jakie mężczyźni narzucili społeczeństwu... Kochałam cię za to, kim jesteś, nie wbrew temu - oświadczyła.

- Kochałeś? - powtórzył cicho.

Debora odwróciła twarz. Czy jest sens przyznawać się, że wciąż go kocha? Czy ich miłość ma w ogóle rację bytu, jeśli oznacza ustawiczny konflikt z jej innymi potrzebami? Nie, nie ma sensu oszukiwać ani siebie, ani Marka... Nie uczyni z niego centrum swojego życia, nie uzależni się, nie będzie istniała tylko dla niego... Wydawało jej się, że on to rozumie, że jego miłość do niej opiera się na tych samych zasadach, co jej miłość do niego, że on kocha ją taką, jaka jest, że nie pragnie jej zmieniać...

- Nie mogę zrezygnować z moich ambicji, kariery...

- Nie... A przy okazji, jak ci idzie?

- Świetnie.

- Kłamiesz.

Debora spojrzała na niego zdumiona.

- Dzwonił dziś do mnie Gil Bennett. Pytał, dlaczego nie zawiadomiłem go, że wracamy do Londynu. Obiło mu się o uszy, że szukasz posady.

- Wiesz, że zawsze wolałam mieszkać w dużym mieście

- zrobiła unik Debora. - Przyjechałam tu wyłącznie dla ciebie. ..

- Dla mnie oraz dla obietnicy szybkiego awansu - sprostował Mark.

- Zgoda. Poddaję się. Miałeś rację. Ryan obiecał mi awans tylko dlatego, żeby zaciągnąć mnie do łóżka. Usatysfakcjonowany?

- Co? Chce się ciebie pozbyć, bo nie przespałaś się z nim...?

W każdych innych okolicznościach święte oburzenie Marka ucieszyłoby ją, lecz teraz, kiedy musiała przyznać, że od początku miał rację, jej duma cierpiała.

- Nie od razu pozbyć, ale dal mi jasno do zrozumienia, że nie otrzymam awansu. Napawaj się swoją racją, Mark... Założę się, że masz na to ochotę.

- Napawać się? Mam ochotę? Wręcz przeciwnie. Nie możesz na to pozwolić... On nie ma prawa. Musisz się bronić. To można podciągnąć pod molestowanie seksualne...

- I co z tego? Mam go podać do sądu? Tak byś na moim miejscu zrobił? Piękna ozdoba życiorysu i przebiegu kariery! Nie, palcem nie kiwnę i on o tym wie... Miał nawet czelność przedstawić mi nową protegowaną, którą szykuje na moje miejsce. Najwyraźniej moje zdolności kierownicze okazały się niewystarczające... Nie umiem postępować z ludźmi...

- umilkła i uśmiechnęła się smutno. Uczucia w końcu zaczęły brać górę nad samokontrolą.

- Bzdury! - wybuchnął Mark. - To nieprawda, doskonale wiesz o tym. Zasługiwałaś na ten awans, a jeśli on teraz próbuje się wymigać... Dlaczego nie dałaś mi znać?

Debora wzruszyła ramionami.

- Co by to dało? To nie twój problem... A poza tym - dodała zmęczonym tonem - uczciwie przyznam, że ostatnią rzeczą, na jaką miałam ochotę, to usłyszeć: A nie mówiłem?

- Naprawdę tak myślisz? Że mnie chodzi tylko o upajanie się swoją racją?

Debora pokręciła głową. Ból przebijający z jego głosu dotknął najczulszej struny w jej sercu.

- Nie wiem... - urwała, gdyż nagle uzmysłowiła sobie całą prawdę. Nie chciała, aby Mark dowiedział się o jej fiasku, wcale nie dlatego, że on by triumfował, lecz dlatego, że duma jej nie pozwalała.

Duma? Od kiedy to własna duma była dla niej ważna? Od kiedy zależy jej na tym, aby imponować Markowi? Od kiedy boi się, żeby nie zobaczył jej pokonanej?

Spojrzała na Marka. Coś w wyrazie jego twarzy głęboko ją poruszyło.

- Skontaktowałam się z tobą... Powiedziałabym ci... - szepnęła drżącym głosem.

- Na pewno? - spytał cicho. - Co się z nami stało, Deb? Zawsze sądziłem, że nasza miłość jest tak silna, że my... że ufamy sobie nawzajem, że żaden klin nie wbije się między nas...

- Może bogowie zaczęli nam zazdrościć - odezwała się Debora i cień uśmiechu przebiegł po jej wargach.

Wyglądała na starszą, chudsza, pozbawiona dawnej żywotności i pewności siebie. Mark poczuł nagłą chęć przywrócenia jej tego wszystkiego, przytulenia do siebie jej szczupłego ciała, kochania się z nią.

Zrobił krok do przodu. Potem jeszcze jeden.

- Nie - powstrzymała go Debora, wyciągając rękę. - To nie jest rozwiązanie, Mark. To nie jest...

Nie dokończyła. Jej wargi przywarły do jego warg, ręka, wyciągnięta, aby go odtrącić, dotykała teraz jego mocno bijącego serca.

Mark obudził się raptownie, zniemacka. Pokój pograżony był w ciemności, lecz na tle okna wyraźnie rysowała się sylwetka Debory.

Wstał, podszedł do niej, objął ją delikatnie.

Debora zeszywniała pod wpływem jego dotyku.

Obudziła się ponad godzinę temu. Odprężona, zadowolona, szczęśliwa, przylgnęła do Marka. Opuszkami palców dotknęła delikatnie jego ramienia, uśmiechając się z rozkoszą. I nagle przypomniała sobie...

- O co chodzi? - spytał teraz Mark, czując, że opiera mu się. Zignorował jednak ten odruch. Przytulił ją mocniej, pragnął ogrzać ją ciepłem swojego ciała. - Zmarzałaś - szepnął. - Wracaj do łóżka...

Debora pokręciła głową. Czuła łzy napływające jej do oczu. Nie chciała jednak, aby Mark zobaczył, że płacze.

- To niczego nie zmieni - powiedziała, usiłując panować nad głosem. - To, co się między nami dziś stało, niczego nie odwróci. Boże, jak bardzo żałuję, ale... Kocham cię i pragnę, ale...

- I ja cię kocham i pragnę - zapewnił ją Mark.

- Nie widzisz, że to nie wystarczy? Już nie wystarczy... - Poczwała, jak cały sztywnieje, rozluźnia uścisk. - Pragniesz mnie teraz, Mark... Teraz, kiedy jestem słaba i bezradna, kiedy potrzebuję...

- O co ci chodzi? - przerwał jej. - Co usiłujesz mi powiedzieć?

- Że się boję - wyznała Debora. - Boję się, że ty mnie naprawdę chcesz tylko wtedy, gdy jestem słaba... gdy jestem bezbronna i potrzebuję wsparcia. Ale to nie jest to, czego ja chcę. Ja nie chcę być taka. Nie chcę stać niżej od ciebie. Widziałam, co taki układ robi z kobietami, jakich poświęceń od nich wymaga... Czy ty tego nie rozumiesz, Mark? Ja potrzebuję, żebyś ty pragnął właśnie mnie... tej prawdziwej mnie... Potrzebuję, żebyś mnie pragnął wtedy, kiedy mi się powodzi, kiedy jestem silna i stoję na szczycie. Chcę dzielić z tobą to uczucie, chcę, żebyś się cieszył za mnie, a nie odwracał ode mnie, żebyś świętował mój sukces. Przykro mi, że nie jestem taką kobietą, jakiej pragniesz, ale...

- Właśnie, że jesteś dokładnie taką kobietą, jakiej pragnę!
- zaprzeczył Mark gwałtownie. - Popełniłem błąd, przyznaję się do tego. Ukarz mnie za to, jeśli tak chcesz, Deb, ale nie karz jednocześnie samej siebie... A poza tym... był też i inny powód moich odwiedzin - umilkł i po chwili ciągnął: - Firma, dla której pracuję, jest na sprzedaż. Chcę ją kupić. Dobrze, wiem, co sądzisz, i wiem, że masz rację. To małe prowincjonalnie biuro rachunkowe i prawdopodobnie zarobek wystarczy zaledwie na utrzymanie. Nie ma w tym glorii ani władzy, ale mnie akurat na tych rzeczach nie zależy. Życie na szybkich obrotach to nie dla mnie... Nie dlatego, że nie jestem dostatecznie dobry w zawodzie, lecz dlatego, że mi to po prostu nie odpowiada. Znam siebie, Deb, i wiem co jest dla mnie dobre. Pracuję z nimi już wystarczająco długo, żeby mieć pewność, że to tutaj, w Lincoln, zapomniałem, co to znaczy czerpać radość z pracy... prawdziwą satysfakcję z efektów swojego wysiłku, jak to jest lubić ludzi, z którymi się kontaktuję, budzić się rano i z optymizmem spoglądać na nowy dzień przed sobą. A czy w oczach Ryana i jemu podobnych jestem z tego powodu mięczakiem i nieudacznikiem, to mnie nie obchodzi. Ja nie czuję się mniej męski od nich tylko dlatego, że mam inne cele w życiu...

- Nawet nie powinieneś - zgodziła się z nim Debora.

Mark ma rację, pomyślała z biciem serca. Co chce mi proponować? Żeby uczestniczyła w tej idylli? Ale dla mnie taka egzystencja to pułapka, ślepa uliczka. Łzy napłynęły jej do oczu i po raz pierwszy w życiu zapragnęła być inna, zapragnęła, żeby Mark i jego miłość były dla niej wszystkim.

- W takim razie to dla ciebie idealne rozwiązanie - powiedziała cicho.

- Ale nie dla ciebie. - Mark stwierdzał fakt, nie pytał.

- Nie - rzekła ze smutkiem - nie dla mnie... Ja potrzebuję czegoś więcej. Nie jestem taka jak ty. Mnie potrzebne są wciąż nowe wyzwania, gimnastyka dla umysłu. Ja chcę mieć

posadę, która wyprowadzi mnie w świat, a nie odetnie od niego...

- Tak. I to jest jedna z przyczyn, dla których zwróciłem się do ciebie. Widzisz, mam klientkę... bardzo, bardzo przebojową kobietę, która odnosi wspaniałe sukcesy i która szuka zastępcy, kogoś, kto by był jej prawą ręką...

- Dyrektora finansowego? - przerwała mu Debora. - Och, Mark, nie wydaje mi się, abym...

- Nie, ona ma już dyrektora finansowego. Stephanie tworzy własne imperium i potrzebuje, nazwijmy to, wywiadowcy, który by odkrywał nowe łądy, a potem służył za przewodnika po rafach.

- I chce, żebym ja była tym przewodnikiem?

Mark milczał przez chwilę.

- Nieee... W gruncie rzeczy - Mark z wahaniem dobierał słowa - miała na myśli mnie. Nie jest nastawiona zbyt entuzjastycznie do perspektywy pracy z drugą kobietą, szczególnie z osobą młodą, która nagle zdecyduje się zamienić karierę na macierzyństwo...

- Co? - wykrzyknęła święcie oburzona Debora. - Nic dziwnego, że kobietom tak trudno osiągnąć pozycję w zawodzie, jeśli inne kobiety rzucają im kłody pod nogi...

- Uprowadziłem ją oczywiście, że może się okazać, że ty nawet słyszeć nie zechcesz o tej propozycji - ciągnął Mark.

- To poważny krok zrezygnować ze stosunkowo bezpiecznej posady i rzucić się na pełne rekinów głębokie wody wielkiego biznesu. Nikt nie będzie miał do ciebie pretensji, jeśli nie zechcesz podjąć takiego ryzyka.

Debora namyślała się gorączkowo. Nie, to niemożliwe. Pracować dla innej kobiety... Na dodatek jakiejś baby, która z góry miała do niej pewne zastrzeżenia... która wołałaby Marka... Przekwalifikować się?

Nie. Nie może tego zrobić. Byłaby kretynką, gdyby poważnie brała to pod uwagę.

Odwróciła się teraz twarzą do Marka, aby mu to zakomunikować, lecz on stał tak blisko, że nagle znalazła się w jego ramionach.

- Nie, Mark... Daj spokój... -broniła się.

- Może byś przyjechała do mnie i rozejrzała się? - zasugerował.

Debora spojrzała na niego przez zmrużone powieki.

- Nic z tego nie będzie - ostrzegła go. - Wiem, do czego dążysz, ale życie jest inne; w życiu nie zdarzają się cudowne zakończenia jak w bajkach.

- W porządku - oświadczył. - Wiem, o czym myślisz. To poważny krok - zaczął wyliczać - będziesz mogła polegać tylko na sobie, pracować bez zaplecza wykwalifikowanego zespołu, na który, w razie wpadki, można zwalić całą winę; Stephanie stawia bardzo wysokie wymagania, prawie niemożliwe do spełnienia, spodziewa się entuzjazmu i zaangażowania w sprawy firmy takiego samego, jakie ona wkłada. Będziesz musiała harować tak samo ciężko, jak ona i podejmować decyzje, których ja nie chciałbym nawet tknąć. Będziesz pozostawiona sama sobie wobec ogromnego ryzyka. ..

- Po co mi to wszystko mówisz? - przerwała mu Debora.

- Żeby mnie przekonać, że nie jestem dość dobra dla tej twojej Stephanie?

Urwała, widząc nagle błysk rozbawienia w jego oczach. Opanowawszy złość, uśmiechnęła się i powiedziała:

- Zawsze wiedziałeś, jak mnie podejść.

- Przynajmniej spotkaj się ze Stephanie, dobrze?

- To bez sensu. Nic z tego nie wyjdzie.

- Wyjdzie, jeśli zechcemy - Mark nie dawał za wygraną.

Delikatnie całując Deborę w usta, szepnął: - Czy to, co mieliśmy, co nadal mamy, nie jest warte podjęcia próby?

Debora westchnęła.

- Niczego nie obiecuję - uprzedziła. - Stephanie i ja naj-

prawdopodobniej od pierwszego wejrzenia zapłonęły do siebie gwałtowną nienawiścią...

Przekorny uśmiech zdradzał jednak, że nie mówiła tego szczerze.

Mark objął ją i mocno przytulił.

RS

Bolesna spuścizna

31

Sally skuliła się w sobie, kiedy córka niechętnie odwróciła ku niej głowę.

Była w szpitalu od szóstej, lecz wówczas Cathy jeszcze spała. Teraz, w połowie dyżuru, mimo nawału pracy przy chorych, siostra przełożona zwolniła ją na dziesięć minut, żeby mogła zejść na oddział dziecięcy i zobaczyć się z córką.

- Kiedy przyjdzie tatuś? - dopytywała się dziewczynka.
- Obiecał.

- Później przyjedzie i zabierze cię do domu - zapewniła ją Sally. - Wpierw musi cię jeszcze obejrzeć doktor Davies.

Doktor Davies miał obchód na drugiej zmianie, czyli wtedy, kiedy jej już w szpitalu nie będzie. Chciała nawet poczekać i sama zabrać Cathy, ale co za sens, jeśli ona domaga się ojca?

- Tylko zrzędzisz i zrzędzisz - zarzuciła jej Cathy zaledwie w zeszłym tygodniu, kiedy kazała jej posprzątać pokój. A kiedy Sally zwróciła jej uwagę, że za długo rozmawia przez telefon z koleżankami, a to kosztuje, rzuciła: - Zależy ci tylko na pieniądzach, na nas już nie - i wybiegła, trzaskając drzwiami.

Usłyszawszy teraz, że musi czekać na lekarza, Cathy odwróciła się twarzą do ściany. Sally wstała, łykając napływające jej do oczu łzy.

Nie ma dla mnie miejsca w życiu Joela ani w życiu dzieci, myślała, wracając na swój oddział. Potrzebna im jestem tylko po to, żeby zarabiać pieniądze, a poza tym... Przymknęła oczy i westchnęła głęboko.

Zostaw go i przyjdź do mnie, namawiał Kenneth.
Nie mogę, protestowała. Oni mnie potrzebują.
Okazuje się, że nie...

Zanim skończyła dyżur, już wiedziała, co musi zrobić.

Joel szybko znajdzie sobie kogoś na jej miejsce, jest przecież, jak zewsząd słyszy, bardzo atrakcyjnym mężczyzną.

Utknęła w ulicznym korku. Ręce jej zadrżały na kierownicy, kiedy wyobraziła sobie Joela z inną kobietą.

Zdziwiła się, że potrafi być tak psychicznie i fizycznie zazdrosna, zdolna nienawidzić kobietę, która będzie leżała w jej łóżku, w objęciach Joela, kochała się z nim, dawała mu rozkosz wyrażaną cichymi jękami... jękami, którymi jej już nie nagradzał.

Kierowca z tyłu nacisnął klakson. Zdumiona zobaczyła, że auta przed nią już ruszyły.

Dzieci też nie będą za nią tęsknić. Mają Joela, a poza tym nie może zabrać ich do Kennetha. To zrozumiała w chwili, kiedy przekroczyła próg tamtego domu.

Nie wyobrażała sobie Cathy, z jej upodobaniem do głośnej muzyki i bałaganu, w tamtych nieskazitelnych pokojach. Ani jej chichoczących koleżanek, tańczących najnowsze przeboje dyskotekowe w wyłożonej dywanem sypialni albo malujących się w łazience i rozrzucających wszędzie umazane cieniami i szminkami kolorowe waciki.

A jak Kenneth zareagowałby na Paula, który lubił rozkładać rower na czynniki pierwsze w ogródku, a potem rozdeptywał grudki ziemi i smaru na linoleum w kuchni, albo rzucał zabłocone buty do gry w piłkę nożną na stół... albo kłócić się, czyja kolej wybierać nowe taśmy do obejrzenia na wideo?

Nie musiała się zastanawiać, znała odpowiedź.

Kenneth lubił porządek i dyscyplinę, spostrzegła to natychmiast. Owe bezlitośnie wypielontf grządki, sterylne puste wnętrza... Jej dzieci dusiłyby się w nich tak samo jak...

Jak dzieci Kennetha?

Odpędziła od siebie owo podstępne porównanie. Kenneth ją kocha. Pragnie jej. Sprawí, że poczuje się przy nim bezpieczna... tak samo jak kiedyś, dawno, przy Joelu.

Wzdrygnęła się. Niektóre kobiety urodziły się po to, aby być niezależne, potrzebują czuć się niezależne, ale nie ona. Z trudem i bólem przyznała się w duchu do tej słabości. Zawsze starała się z tym kryć przed ludźmi, wstydziła się ujawniać tę potrzebę posiadania oparcia w kimś drugim. Obecnie świat stawiał kobietom wymagania, którym ona nie potrafiła sprostać.

W domu, jak ktoś, kto porusza się w transie, poszła prosto na górę do sypialni swojej i Joela.

Dom był pusty, tak jak się spodziewała; Paul poszedł do szkoły, Joel do ośrodka - a gdzież by indziej? Wczoraj wieczorem powiedział, że prosto stamtąd pojedzie odebrać Cathy ze szpitala.

Sypialnia wyglądała dziwnie schludnie. Przed wyjściem Joel posłał łóżko.

Sypialnia jak sypialnia, w całym kraju były dziesiątki tysięcy podobnych, umeblowanych w tym samym stylu - ładna tapeta w kwiatki ożywiona dobranym w kolorze szlaczkiem u góry, miękka pastelowa wykładzina na podłodze, pastelowa pościel - całe wnętrze utrzymane w barwach brzoskwini i popielu, aby było ciepłe i przytulne.

Jaka byłam uradowana, kiedy razem z Joelem urządzaliśmy nasze gniazdko, pomyślała, wyglądając w roztargnieniu poduszkę męża. Tak samo jak jeszcze dawniej, kiedy Joel sam zamontował szafy na ubrania we wnęce, przypomniała sobie.

Kennethowi nie spodobałby się ten wystrój... Jego sypialnia przypomina pewnie reklamy, jakie, wzdrygając się z niechęcią, oglądała w ilustrowanych magazynach podczas rzadkich wizyt u fryzjera.

Kenneth... Zacisnęła powieki, aby stłumić łzy.

Dlaczego płaczę, skoro jego właśnie pragnę? Przecież chcę być z nim... iść do niego.

Poruszając się niczym lunaticzka, otworzyła drzwi szafy, a potem ostrożnie wyciągnęła szufladę z bielizną.

W zeszłym roku koleżanki z pracy podarowały jej na urodziny wytworny komplet z delikatnej koronki: biustonosz, majteczki i pasek z podwiązkami. Nigdy go nie włożyła. W pończochach zawsze czuła się lekko skrępowana. Podkreślały erotyzm stroju, a to ją peszyło.

Wiedząc, jak zareaguje, nie pokazała wtedy prezentu Joelowi. Uwielbiał, kiedy wkładała ładną, bardzo kobiecą bieliznę...

Nie spiesząc się, wzięła prysznic, potem uperfumowała się, lecz nie tym zapachem, który dostała od Joela na Boże Narodzenie, lecz tym od Daphne. Kiedy wciągała pończochy, zauważyła, że palce lekko jej drżą. Unikała spojrzenia na swoje odbicie w lustrze.

Robię, to, czego pragnę, powtarzała sobie w myśli. To moja decyzja: wiąże się z Kennethem, czynię krok, po którym już nie będzie odwrotu.

Oddając się Kennethowi, przeskoczy przepaść, odetnie sobie drogę powrotu, dokona aktu symbolicznego poświęcenia. ...

Poświęcenia? Co poświęcam? Małżeństwo, które stało się pustą kpina, rodzinę, dzieci, które już wyrosły z gniazda?

Ale przecież z drugiej strony... Nie może być większej zdrady od tej, której zamierza się dopuścić, większego ciosu zadanego ich małżeństwu... Nie tyle z powodu samego czynu, lecz dlatego, że daje Kennethowi to, czego odmawiała Joelowi, co Joel tak bardzo ceni.

Nie, nie chce karać Joela, robi to dlatego... Łzy zasnuły jej wzrok, po omacku sięgnęła po sukienkę. Robi to, bo jakaś część niej samej wciąż się lęka, wciąż tchórzliwie chce zmiany... chce, żeby wszystko było jak poprzednio:

Joel zarabia, ona zajmuje się dziećmi. To do niej zwracają się ze swoimi problemami. Czy Joel tak się czuł, jak teraz ona - nie chciany, samotny, zaszczuty? - pomyślała nagle z przerażeniem.

Za późno już na wyrzuty sumienia, na żal. Zresztą, czego ma żałować? Że nie porozmawiała z nim? Nie spytała...?

Boże... Gdzie się podziało to poczucie siły, pewności siebie, które ją przepełniało, kiedy wracała do pracy w szpitalu? W którym momencie przemieniło się w niezadowolenie, irytację, rozczarowanie, że praca nie dała jej tego, czego oczekiwała? Jako żywicielka rodziny miała prawo oczekiwać, że Joel zgodzi się, by to ona dyktowała teraz warunki w ich związku. On jednak trwał przy swoim, nadal traktował ją jak wyłączną własność, zmuszał... czy raczej - nakłaniał do współżycia, zresztą bezskutecznie...

Kenneth nigdy by nie wywierał na nią podobnego nacisku, on jest na to zbyt subtelny. Będzie także wiedział, że przychodząc do niego teraz, dokonuje nieodwracalnego wyboru pomiędzy nim a Joelem.

Otworzyła drugą szafę. Wyjmując żakiet, ręką otarła się o jeden ze swetrów Joela. Miękką ciepłą wełną wydzieliła delikatną woń płynu po goleniu...

Nowe łzy zamgłyły jej oczy.

Co się z nimi stało... z ich małżeństwem? Przerażała ją zmiana, jaka zaszła w Joelu, buntowała się na myśl o tym, że tak dobrze potrafił przystosować się do nowego życia, że pozostawił ją samą wobec ogromu problemów, że nie pomagał jej dźwigać ciężarów za wielkich na jej barki.

W całym domu panowała niepokojąca cisza... Cóż, właśnie do ciszy będzie się musiała odtąd przyzwyczaić.

Zeszła na dół. Powoli otworzyła drzwi wyjściowe.

Po co się oglądać za siebie, wahać...? Nikt nie widzi, jak odchodzi. Nikt o to nie dba.

Sally czuła się spokojna i opanowana, dziwnie lekka, prze-

pełniona uczuciem ulgi, radości, że już więcej nie będzie rozterek, rozdarcia, lęku...

Nie przyszło jej do głowy, aby wcześniej zatelefonować do Kennetha i uprzedzić o wizycie. Kiedy otwierał jej drzwi, zauważyła zdumienie w jego oczach.

- Sally?

Spostrzegła, że wpuszczając ją do środka, rzuca niepewne, lękliwe spojrzenie ponad jej głową, jak gdyby się obawiał, że ktoś ją zobaczy.

Schody znajdowały się na wprost. Nagie drewniane stopnie zdawały się wznosić stromo w górę, niczym nieme wyzwanie szydzić z jej słabości i tremy.

Podczas gdy Kenneth zamykał drzwi, zaczęła na nie powoli wchodzić. Usłyszała za sobą jego ostry, zaniepokojony głos, lecz nie zatrzymała się. Gdyby stanęła... gdyby zaczęła wyjaśniać... Nie. Nie pozwoli, aby cokolwiek skruszyło mur skupienia, który z takim trudem zbudowała wokół siebie.

Joel był jej jedynym kochankiem i zawsze czekała na jego inicjatywę... Wzdragała się przed otwartym przyznaniem się przed samą sobą, że teraz to ona zdecydowała się uwodzić, zamiast być uwodzoną. Gdyby więc pozwoliła Kennethowi...

Usłyszała jego kroki za sobą, lecz się nie obejrzała.

Na podeście zobaczyła kilkoro drzwi, automatycznie wybrała pierwsze i pchnęła. Sypialnia była urządzone po spartańsku, dokładnie tak jak sobie wyobraziła. Wygląda niczym cela zakonna, pomyślała, w półświadomie przypominając sobie fotografie starych klasztorów.

Kenneth wszedł za nią do pokoju. Zatrzymała się przy nogach łóżka i dopiero wtedy odwróciła się.

Wyglądał dziwnie inaczej, rysy jego twarzy jakby zaostrzyły się, stały się wyraźniejsze, niemal obce.

Patrząc mu prosto w oczy, zaczęła powoli rozpinąć suknię.

W ciszy słyszała swój oddech, płytki, nerwowy. Wargi miała wyschnięte, całe ciało lodowate, tylko jej policzki płonęły gorącym rumieńcem.

W sypialni było duszno, czuła się jak gdyby w próżni, która wysała z niej ducha, pozostawiając jedynie skórę, mięśnie i kości. Wydawało jej się, że kobieta rozpinająca sukienkę to nie ona, lecz ktoś inny.

Zdjęła sukienkę, ostrożnie położyła na łóżku.

Teraz... Nadszedł ten moment... chwila dokonania tego, po co przyszła...

Zamarła, słysząc ostry, urywany świst oddechu Kennetha. Zastygła w bezruchu w oczekiwaniu na jego dotyk... w oczekiwaniu, że podejdzie, obejmie ją, okryje jej nagość swoimi ramionami, otoczy ciepłem swojego ciała, namiętnością uciszy jej wątpliwości i lęki.

- Boże!... Nie! - usłyszała, lecz jej umysł potrzebował kilku sekund, aby pojąć znaczenie tego okrzyku, zrozumieć, że nie oznacza namiętnej pasji, lecz wstręt.

W pierwszej chwili nie dotarło to do niej. Nie wiedziała, dlaczego ten mężczyzna stoi w milczeniu i przygląda się jej nagości z gniewem, odrazą, wstydem...

- Kenneth... - przemówiła ochrypłym drżącym głosem, w którym szok mieszał się z błaganiem, lecz on odwrócił się tylko i skierował do drzwi.

- Ubierz się - polecił. - Za kwadrans przyjdzie do mnie pewien znajomy. Nie może cię zastać w... w takim stanie... - Z ręką na klamce dodał: - Boże... Jak mogłaś? Jak mogłaś przyjść tutaj ubrana jak jakaś żałosna tania dziwka, kupcząca własnym ciałem? Sądziłem, że jesteś inna... sądziłem... Dlaczego nie mogłaś poczekać? - spytał z bólem i żalem. - Wszystko zaplanowałem... Tak pięknie, idealnie, czysto, wzniosie, a nie wulgarnie, pospolicie, wyuzdanie... Spójrz na siebie...

Drżąc Sally włożyła sukienkę. Poniżenie piekło jej skórę

niczym żrący kwas. Spojrzenia Kennetha nie zapomni nigdy, do końca życia.

Jak mogła pomyśleć, że w ogóle ją kocha? Że ona jego kocha? Po co mówił, że jej pragnie, skoro teraz ją odrzuca? Czowała się, jak gdyby nagle została wyrwana z pięknego snu. A może to był jednak koszmar?

Nikt jej nigdy tak nie upokorzył, a świadomość, że sama jest sobie winna, stanowiła dodatkowy cios.

Zbiegając na dół, usłyszała, że Kenneth coś jeszcze do niej mówi, ale zignorowała go - odraza do niego, do samej siebie, była nie do zniesienia.

Tak, miała rację, wystroiła się jak dziwka, przyszła po seks...

W holu Kenneth dogonił ją, wyciągnął rękę, chcąc ją za-trzymać, ale cofnęła się.

- Nie - rzekła z mocą. - Wszystko skończone. Wszystko... ..

Z płaczem biegła do swojego samochodu. Obraz, jaki Kenneth musiał zobaczyć - groteskowa parodia próby uwiedzenia go w jej żalnym wykonaniu - palił jej umysł, utrwalał się w pamięci na zawsze.

Przyjechała, spodziewając się, że przyjmie ją z otwartymi ramionami, obsypie namiętymi pocałunkami, nagrodzi czułością, doceni jej odwagę... A tymczasem on patrzył na nią ze wstrętem i przerażeniem!

Kenneth stał przy oknie i ze złością patrzył na odjeżdżający samochód. Jak mogła mu to zrobić? I to ta Sally, którą gotów był wynieść na piedestał wzniesiony w oczekiwaniu na kobietę godną na nim stanąć. Czekał długo i zdawało mu się, że właśnie w Sally znalazł partnerkę, którą mógłby uczyć i kształtować, osobę podatną i wdzięczną, potrafiącą docenić to wszystko, co dla niej uczyni. Sądził, iż ona właśnie rozumie, że seks jest dopuszczalny i piękny jedynie wówczas, gdy

oczyści się go z pożądania i namiętności, że jest potrzebą fizyczną, którą uwzniosła czystość... czystość, którą tylko on potrafi wykreować.

Widok Sally w tej taniej wyzywającej bieliźnie... przypominającej dziwkę z ulicy... ubranej w pończochy, podwiązki, wszystkie te akcesoria wymyślone w celu pobudzenia męskiego apetytu, a na dodatek białe... w tym kolorze czystości i niewinności...

Nie... Sally rozczarowała go dogłębnie. Sądził, że ona rozumie go, że podziela jego gusta...

Ostatnią rzeczą, jakiej się po niej spodziewał, był wyuzdany seks...

Dobrze, że odkrył prawdę, zanim było za późno.

W holu unosiła się jeszcze woń jej perfum. Kenneth z niesmakiem otworzył szeroko wszystkie okna.

Tak, dobrze się stało, że zobaczył, jaka naprawdę jest... A mówiąc całkiem szczerze, to czy cały czas nie miał co do niej jednak pewnych wątpliwości? Na przykład to jej ustawiczne mówienie o dzieciach i dopytywanie się o jego synów...

Zawsze raził go tego typu głupi sentymentalizm. Ucieszył się nawet, kiedy żona uniemożliwiła mu wszelkie kontakty z chłopcami.

Cóż, przynajmniej nie będzie musiał martwić się o to, jak ograniczyć kontakty z tą jej koszmarną siostrą i szwagrem... Poza tym Sally nie pasowałaby do jego grona znajomych, obojętnie jak usilnie by się starał ją ogładzić.

W ostatecznym rozrachunku więc, Kenneth był zadowolony z tego, że Sally pokazała mu swoje właściwe oblicze.

Sally chwiejnym krokiem obchodziła dom dookoła. Dotarła tu, zaparkowała samochód... Jak tego dokonała - nie wiedziała. Usiłując opanować dreszcze, szukała w torebce klucza.

Dom pogrążony był w ciszy. Joel najwyraźniej jeszcze nie wrócił ze szpitala.

Powoli weszła na górę. Każdy ruch sprawiał jej ból. Czuła się taka stara, wyjąłowiona, wyczerpana... śmiertelnie przerażona, że jeśli tylko zacznie przypominać sobie spojrzenia Kennetha, jej utrzymywane całą siłą woli pozorne opanowanie prysnie jak bańka mydlana.

Byłam głupia i naiwna, mówiła do siebie, naiwna i jeszcze gorzej... ale wierzyłam, że Kenneth mnie pragnie...

Zamarła, słysząc nagle podjeżdżający pod dom samochód. Joel wrócił.

Joel zmarszczył czoło widząc, jak Sally zaparkowała swoje auto. Wciąż sobie wyrzucał, że zbyt ostro zachował się wobec niej w szpitalu i zbyt mocno ją skrytykował, ale był tak przerażony, tak zdezorientowany, czy dobrze postąpił... Zrozumiał teraz, ile razy ona, zostając sama z maleńkimi dziećmi, musiała się tak właśnie czuć. Samotna i przerażona... I nigdy mu tego nie okazała. Nigdy nie miała o to do niego pretensji, tak jak on...

A kiedy Cathy zwróciła się do niego, nie do niej, zobaczył, jak ją to zraniło. Wiedział, że to boli.

Otworzył drzwi, spodziewając się zastać Sally w kuchni. Cathy uparła się, żeby zawiózł ją wpierw do przyjaciółki od serca, żeby mogła jej z detalami opowiedzieć o swoich „przejęciach”, i bał się, że Sally będzie zła na niego, że ustąpił.

Paul był w klubie.

W domu panowała niepokojąca cisza.

Pod wpływem jakiegoś impulsu Joel pomknął na górę, przeskakując po dwa stopnie na raz.

Słyszając jego kroki, Sally skuliła się na łóżku. Nie miała siły na konfrontację... Nie teraz. Wstrząsnął nią dreszcz, łzy popłynęły po policzkach. Jej wyćwiczony umysł pielęgniarki szybko ocenił sytuację, postawił diagnozę. Szok, to jest szok... Spokojnie rozmawiaj z pacjentem, dodawaj otuchy, okryj...

Przecież to ja jestem tym pacjentem, pojęła nagle, więc jak sama mam się sobą zaopiekować?

- Sally... - Joel pchnięciem otworzył drzwi, lecz zatrzymał się na progu. - Co się stało, Sally? - pytał, instynktownie ścisząc głos.

Sally leżała odwrócona tyłem i łkała bezgłośnie. Nigdy nie widział jej tak zdruzgotanej, załęknionej. Podeszedł bliżej, wziął ją delikatnie w ramiona, przytulił, kołysał, gładził uspokajająco po włosach, szeptał łagodnie do ucha.

Takiego Joela kocham, pomyślała Sally w rozpacz, takiego potrzebuję, za takim tęsknię.

Tego szukałam u Kennetha. Świadomość, że los gorzko sobie z niej zadrwił, że właśnie od Joela otrzymuje ciepło, którego szukała u innego mężczyzny, przeszyła ją nowym spazmem bólu.

- Sally, o co chodzi? Co się stało? - dopytywał się z niepokojem Joel.

Zamiast odpowiedzieć, wtuliła się mocniej w jego ramiona. Ten znajomy zapach, ciepło bijące od jego ciała były azylem, schronieniem.

Pod cienką sukienką Joel wyczuł nagle pasek z podwiązkami i mankiet pończoch. To odkrycie wstrząsnęło nim. Mogła być tylko jedna przyczyna, dla której Sally tak się ubrała.

Powiedział Fionie, że jego małżeństwo rozpadło się, że miłość umarła, lecz teraz myśl o Sally w objęciach obcego mężczyzny pomogła mu zrozumieć prawdę. To nie zazdrość paliła go teraz, lecz lęk o Sally i wściekłość na tego, który doprowadził ją do takiej rozpacz. Wściekłość na nią, że pozwoliła się do takiego stanu doprowadzić...

W nagłym odruchu chciał ją od siebie odepchnąć, lecz ona przywarła do niego kurczowo. Nie chciała, żeby ją puszczał... nie teraz... nigdy... Nie chce nigdy więcej być tą kobietą, na którą Kenneth patrzył z takim wstrętem i pogardą.

Czując jej dłonie, zaciśnięte rozpaczliwie, desperacko, na

swoich ramionach, Joel poczuł, że jego złość słabnie, zamienia się we współczucie i żal.

- Już dobrze - powiedział kojącym tonem - już dobrze - powtórzył - cokolwiek się stało.

- Nic się nie stało... nic... - wy szlochała.

Słyszac taką żalność w jej głosie, Joel nabrał przekonania, że obojętnie, jakim impulsem się kierowała, wkładając na siebie tę erotyczną bieliznę, to nie żądza ją popychała i że to nie z ramion kochanka ani z jego łóżka wróciła tak zdruzgotana.

Poczuł niezmierną ulgę. Nie, chyba go nie zdradziła...

- Obejmuj mnie, Joel... kochaj mnie... kochajmy się... - wyszeptala teraz bezwiednie.

Sally była wstrząśnięta własnymi słowami, zaskoczeniem malującym się na twarzy Joela, wahaniem... Zaczęła ogarniać ją panika. Kenneth odrzucił ją, co będzie, jeśli Joel uczyni to samo?

- Joel... proszę...

Każde jej słowo boleśnie go raniło. Patrzył na nią, widział lęk i przerażenie w jej oczach. Pragnął je rozwiać, zapewnić ją, że nie potrzebuje karać siebie samej w ten sposób, udawać, że go pożąda, skoro z jej oczu, twarzy, z całej jej postaci widać, że seks jest ostatnia rzeczą, jakiej teraz rzeczywiście pragnie. Nie był jednak pewien, czy potrafi znaleźć właściwe słowa; słowa, które ukoją, a nie zranią. Ujął ją więc po prostu pod brodę, odgarnął włosy z rozpalonych, mokrych i lepkich od łez policzków... W jej oczach dostrzegł jeszcze większe przerażenie niż wtedy, kiedy po raz pierwszy pozwoliła się objąć i pocałować.

Ale wówczas mu ufała. Pragnęła go, chociaż dziewczęca wstydlivość nie pozwalała jej się do tego przyznać.

- Dobrze już, Sally, wszystko będzie dobrze... - szepnęła i pocałowała ją lekko, łagodnie, pewnym ciepłem swoich warg zatrzymując spazmatyczne drganie jej ust.

Był to pocałunek pokoju, gest zrozumienia, nie pożądania.

- Jak może być wszystko dobrze? - spytała Sally żałośnie, kiedy skończył ją całować. - Jak cokolwiek może być dobrze po tym...?

Ostrożnie dobierając słowa, tak aby nie zadać jej jeszcze więcej cierpień, Joel powiedział:

- Może. Jeśli będziemy tego chcieli. Oboje. Powiedz, czego ty byś chciała...

- Żeby wszystko było tak jak dawniej - wyznała łamiącym się głosem. - Tak się boję, Joel - wyszeptała. - Wszystko się tak pogmatwało. Nikt mnie już nie chce, nie potrzebuje...

- Ja ciebie potrzebuję - powiedział Joel spokojnie, a wypowiedziawszy te słowa, sam doznał olśnienia. To była prawda. Kochasz ją, powiedziała mu Fiona, a on zaprzeczył... Ogarnął go wstyd i wyrzuty sumienia.

Owszem, bolał go widok Sally w takim stanie, lecz jeszcze bardziej bolała świadomość, że to on ponosi część odpowiedzialności. Karał ją za swoją życiową porażkę, za utratę pracy, pozwalał, aby wzięła na barki ciężar, którego nie miał prawa na nią zrzucić... Karał za to, iż nie potrafił pogodzić się z odwróceniem ról...

Winił ją za to, że odsunęła się od niego, że zmusiła do szukania pocieszenia u innej. Czy ona jego winiła za podobne czyny?

Kochaj mnie, Joel... połóż się koło mnie, prosiła... Może to nie taki zły pomysł? Oddanie się sobie na nowo, symboliczny akt zerwania z tym, co było, pozostawienia za sobą spraw zbyt bolesnych, aby o nich teraz dyskutować, lecz wymagających przecież kiedyś ostatecznego rozstrzygnięcia. Właśnie - kiedyś, nie teraz...

Sally zastygła w bezruchu, gdy Joel zaczął rozpinać guziki jej sukienki. Ile czasu minęło, odkąd ostatni raz rozbiarał ją w taki sposób, całował każdy centymetr odsłanianego ciała?

Na moment wstrzymała ze strachu oddech, bała się, że

skomentuje jej niecodzienną bieliznę, lecz on w milczeniu rozebrał ją do naga, a potem szepnął:

- Tak lepiej... Tak cię lubię najbardziej... kiedy nic nas od siebie nie dzieli...

Spojrzała na niego niepewnie. Czy powiedział tak specjalnie? Czy domyślił się prawdy i w ten oto sposób dawał jej to do zrozumienia?

Ogarnęła ją nowa fala lęku i wyrzutów sumienia. Odszukała wzrok Joela i, patrząc mu prosto w oczy, powiedziała:

- Posłuchaj, jest coś, co powinnam ci...
- Jest tylko jedna rzecz, którą chcę od ciebie usłyszeć - przerwał jej Joel. - Kochasz mnie jeszcze? - spytał, kiedy wpatrywała się w niego, nie mogąc odgadnąć, czego od niej oczekuje. - To tylko się liczy, Sal... Tylko to powinno być dla nas ważne... że się oboje kochamy... A reszta? Później znajdziemy sposób, żeby się z nią rozprawić.

Kocham go, pomyślała Sally i nagle poczuła niewysłowioną ulgę i radość. Radość, bo to właśnie Joel był jej pierwszą miłością, to Joel zawsze ją kochał i chronił.

- Tak... Tak, kocham cię - zapewniła go.

Może nie było to najbardziej namiętne i najbardziej podniecające przeżycie erotyczne, pomyślał Joel jakiś czas później, lecz miało specjalny wymiar odzyskanej wspólnoty, pogodzenia się ze wszystkim, co jeszcze mieli przed sobą. Sally wciąż jeszcze spała, przytulona do jego pleców, jak gdyby nawet we śnie chciała czuć jego bliskość.

Możliwe, że żadne z nich nigdy już nie podejmie rozmowy na temat tego, co naprawdę się stało, myślał. Nie z obłudy, lecz z miłości i chęci oszczędzenia sobie nawzajem katuszy. Są rzeczy, których wypowiedzenie nie sprawia tyle bólu, co usłyszenie. Jemu wystarczyło, że Sally jest teraz z nim z wyboru. Obojętnie z jakiego powodu uciekła od mężczyzny, dla którego się tak zmysłowo ubrała i mimo że przykra mu była

świadomość, że dla niego nigdy się tak nie stroiła, Joel wiedział, iż on też ponosi odpowiedzialność za to, co zrobiła, nie tylko ona.

Może w przeszłości kładł zbyt ni nacisk na swoje potrzeby seksualne, spodziewając się, że Sally zrozumie, że dla niego miłość i seks to jak gdyby dwie strony tego samego medalu?

- Muszę wiedzieć, że mnie pragniesz, potrzebujesz... - szeptała, kiedy trzymał ją w swoich ramionach. - Nie chcę być tylko obiektem, ciałem, które daje ci satysfakcję, chcę, muszę być czymś więcej, Joel.

- Nigdy nie byłaś dla mnie tylko ciałem - zapewniał ją. - Tylko że... czasami jedynie w łóżku mnie zauważałaś... ja też muszę wiedzieć, że mnie potrzebujesz - wyznał. - Muszę czuć, że jestem kochany, że nie jestem tylko zawadą, trutniem, który nie potrafi zapewnić bytu rodzinie... Czy potrafisz sobie wyobrazić moje położenie, zrozumieć, jak to boli? - pytał i czytał z jej twarzy, że nie potrafi. - To boli jak diabli, Sal... Czuję się jak śmieć... bo się nie sprawdziłem, bo cię zawiodłem...

- Nie zawiodłeś mnie - zaprotestowała. - To nie twoja wina, że zamknęli fabrykę... Kto wie, może to, co teraz robisz w ośrodku, zaowocuje na przyszłość? - dodała niepewnie.

- Może... Ale nie licz zbyt ni na to - ostrzegł ją. - Wiesz, dalibyśmy sobie radę, nawet z mniejszą ilością pieniędzy - zaczął ostrożnie. - Nie mogę ścierpieć, kiedy widzę cię taką wiecznie zmęczoną, kiedy wiem... Posłuchaj, niepotrzebne nam są dwa samochody. Możemy sprzedać mój... Kupię rower i stanę się prawdziwym działaczem ruchu na rzecz ochrony środowiska - zażartował. - Dam ogłoszenie i wezmę więcej prywatnych uczniów. Kilku facetów, którzy przychodzą do klubu, też bezrobotnych, zaczęło coś przebąkiwać o zorganizowaniu takiej grupy samopomocy... wymiany informacji i usług, każdy zgłasza się z tym, co umie. Nie będzie z tego

dużo forsy, ale jeśli będziemy dobrze gospodarować, damy sobie radę...

- I znowu pracowałabym tylko na pół etatu - przerwała mu Sally.

- Nie zmuszam cię, ale jeśli byś zechciała... - odparł Joel po krótkiej chwili. - Nie usiłuję ci mówić, co powinnaś, a czego nie powinnaś robić, Sal. Już raz popełniłem ten błąd. Masz takie samo prawo jak wszyscy żądać od życia tego, co ci odpowiada. Kiedy siedziałem teraz w domu z dziećmi, doszło do mnie, ile dla nich poświęciłaś... Nie tylko dla nich, dla nas. Teraz chcę, żebyś sama wybrała. Chcesz pracować na całym etacie - zgoda; nie chcesz...

- Och, Joel... - westchnęła i wybuchnęła płaczem.

- Co ja takiego powiedziałem? - dopytywał się ogarnięty falą radości i wzruszenia i tulił ją, moką od łez, do piersi.

Kiedyś będzie musiała mu powiedzieć o Kennecie, spróbować wyjaśnić, i może, jeśli zdobędzie się na tyle odwagi, zapytać, gdzie nauczył się tej nowej, nie znanej jej dotąd czułości i cierpliwości w pieszczotach.

Kiedyś... Zbyt bliska była utraty tego, co teraz było dla niej tak cenne, aby psuć wątłą jeszcze harmonię, jaka zrodziła się między nimi. Musi poczekać, aż owa na nowo zaistniała więź się wzmocni, uodporni.

Przez sen Sally jak gdyby krzyknęła przestraszona. Joel natychmiast objął ją i przytulił.

- Dobrze, już dobrze - szeptał jej do ucha.

- Joel? - Głos jej lekko drżał, kiedy się przebudziła. - Śniło mi się, że ciebie nie ma...

- Jestem, najdroższa - zapewnił ją. - Gdzie miałbym pójść... gdzie któreś z nas miałyby pójść? Należymy do siebie, Sal... Ty, ja... dzieci...

- Joel! - wykrzyknęła, podrywając się i siadając nagle na łóżku. - Cathy, Paul... gdzie oni są...?

- Pocałuj mnie... Bo inaczej ci nie powiem - droczył się z nią.

- Jo-el... - powiedziała ostrzegawczym tonem.

- Bez pocałunku nie powiem - zagroził z poważną miną i zaraz wybuchnął śmiechem, kiedy Sally chwyciła poduszkę i cisnęła w niego z całej siły.

- Wszystko będzie dobrze, prawda, Joel? - spytała, nagle poważniejąc.

- Oczywiście, że będzie - zapewnił ją, odsuwając poduszkę. - Oczywiście - powtórzył.

Modlił się w duchu, aby jego słowa się sprawdziły.

RS

Bolesna spuścizna

32

- Tylko nie za blisko! - zawołała Fiona przez okno w kuchni w kierunku Rory'ego i Annie rozpinających siatkę do tenisa.

Minęły właśnie dwa miesiące od dnia, kiedy przeprowadziła się do dużego, wygodnego domu Blake'a, aby zająć się wychowaniem Annie. Dwa miesiące... Czasami wydawało jej się, że ona i chłopcy mieszkają tu od zawsze, czasami zaś...

Przyglądała się, jak Rory cierpliwie tłumaczy Annie, jak należy prawidłowo trzymać rakietę. Owa zażyłość, która wywiązała się natychmiast pomiędzy starszym z chłopców i Annie, była nagrodą niebios.

Fionę bawił opiekuńczy, ojcowski stosunek, z jakim jej syn odnosił się do dziewczynki i upór, z jakim ona nalegała, aby traktował ją jak równą.

Po trzech tygodniach spędzonych tylko ze swoją podopieczną, podczas których łagodnie i cierpliwie pomagała jej przystosować się do nowych warunków, Fiona z niepokojem czekała, jak chłopcy, którzy zawsze mieli matkę wyłącznie dla siebie, zareagują na obecność trzeciego dziecka, na dodatek dziewczynki.

- Przestań się martwić - uspokajał ją Blake, kiedy pojechali odebrać jej synów ze szkoły. - Wiesz przecież, że nie możesz uchronić ich przed wszelkimi zagrożeniami i nieprzyjemnościami, które życie nam wszystkim gotuje. A nawet gdybyś mogła, nie byłoby to dla nich dobre. Sami znajdą sposób na pokojowe współistnienie...

- Martwiłam się o Annie w równym stopniu co o nich - broniła się Fiona.

- Wiem - odrzekł Blake, a kiedy obrzuciła go zdumionym spojrzeniem, uśmiechnął się i dodał: - Ile razy czujesz, że coś jej zagraża, zachowujesz się jak kwoka...

- Cóż, na tym polega moja praca - wyjaśniła Fiona, wiedząc, że robi to w mało przekonujący sposób.

Zdawała sobie przecież sprawę, że opieka nad Annie, wspomaganie małej w trudnym okresie adaptacji do nowego życia, od pierwszej chwili nie było tylko pracą.

Fiona i Annie stanowiły przeciwne bieguny nie tylko jeśli chodzi o temperamenty, różniły się od siebie niemal we wszystkim, niemniej w dziewczynce Fiona wyczuwała ów brak samookreślenia, jaki cechował ją w tym samym wieku i postanowiła, że Annie nigdy nie będzie zmuszona dopasowywać się do wizerunku, wymyślonemu dla niej przez kogoś innego.

- Twoja praca? - powtórzył Blake, unosząc brwi. - Kogo chcesz oszukać, Fiono, mnie czy siebie? Jeśli mnie, to szkoda twój czas. Powiedzieć ci, co widzę, kiedy patrzę na ciebie i Annie?

Potrząsnęła odmownie głową, ale on mówił dalej:

- Widzę miłość... Miłość w najczystszej, najbardziej altruistycznej formie. I widzę, jak w jej ciepłe Annie rozkwita niczym zaniedbana roślina, o którą ktoś wreszcie się zatroszczył.

- Urosła, prawda? - wtrąciła Fiona, chcąc szybko zmienić temat. Komplementy Blake'a tchnęły radość w jej serce, tak samo jak jego bliskość tchnęła radość w jej życie, lecz tego rodzaju refleksje kryły w sobie niebezpieczeństwo, którego wolała unikać. -I wydaje mi się, że chyba przytyła - ciągnęła, zdając sobie sprawę, że mówi zbyt pośpiesznie. - Miałam zamiar cię spytać, czy mogę kupić jej trochę nowych ubrań. Będę kupowała kilka rzeczy dla chłopców, więc...

Budżet, jaki Blake przeznaczył na zaspokojenie potrzeb

wychowanicy, był tak ogromny, że Fiona mogłaby kupić jej całą garderobę, nie czyniąc w nim większego uszczerbku. Dla chłopców zaś kupi oczywiście coś używanego.

Blake od początku pozostawił do jej uznania, ile wydaje i na co, lecz Fiona skrupulatnie konsultowała z nim wszelkie wydatki. Spostrzegła nawet, że go to, z jakiegoś powodu, irytuje.

- Świetnie - powiedział teraz. - Ale wstrzymaj się trochę, aż się zdomowią, a potem wezmę dzień wolny i wybierzemy się wszyscy razem na zakupy. Co ty na to?

Fiona przyjrzała mu się uważnie, zastanawiając się nad tą propozycją. W ciągu ostatnich tygodni Blake odkrył przed nią kilka niespodziewanych cech, między innymi zainteresowanie nie tylko sprawami Annie, lecz i jej dziećmi.

Planował rozmaite wycieczki dla urozmaicenia im wakacji, a kiedy Fiona miała skrupuły, że zajmie mu to zbyt dużo cennego czasu, przypomniał jej wcześniejszą rozmowę na ten temat.

- Dla Annie takie rodzinne sytuacje będą znakomitą okazją, żeby przyzwycząić się do obcowania z rówieśnikami.

- Jeszcze nie wiemy, jak ułożą się kontakty między nimi - ostudziła wówczas jego entuzjazm.

- Z początku prawdopodobnie nie najlepiej - stwierdził ku jej zdumieniu. - Nauczenie się współżycia z innymi nie jest łatwe nawet dla tych, którzy od urodzenia wychowują się w pełnej rodzinie.

Po przeprowadzce Blake urządził dla niej w jednym z pokoiów na dole prywatny salonik, co Fiona uznała za działanie mające na celu bardziej ochronę jego prywatności niż jej.

Zazwyczaj po kolacji, kiedy wraz z chłopcami przenosiła się tam, Annie natychmiast się do nich przyłączała i salonik, zamiast być miejscem, gdzie samotnie spędza wieczory, stał się ośrodkiem ich wspólnego życia.

Zresztą nie tylko Annie się do nich przyłączała, Blake także.

Było całkiem naturalne, że chce pogłębiać kontakt ze swoją podopieczną, lecz w niektóre wieczory to chłopcy anektowali go dla siebie, bombardując pytaniami z typowo „męskich” dziedzin, podczas gdy Annie siadała na kanapie i przytulała się do ulubionej opiekunki.

Fiona ze zdumieniem patrzyła, jak otwarcie Rory opowiada Blake'owi o swoich stosunkach z ojcem. Z jeszcze większym zdumieniem i do pewnego stopnia zażenowaniem obserwowowała, jak budzi się w nim mężczyzna, który uważa za swój obowiązek chronić matkę, oszczędzić jej rozmów na dręczące go bolesne tematy.

Może to naturalne, myślała, że chłopcy bardziej swobodnie czują się w towarzystwie mężczyzny. Uczęszczają przecież do męskiej szkoły, gdzie wśród nauczycieli nie ma kobiet. Niedobrze by jednak było, gdyby dorastali w całkowitej izolacji od dziewcząt. Może od nowego roku szkolnego powinna posłać ich tu na miejscu do szkoły koedukacyjnej?

Mimo że nalegała, aby Blake potracił jej z pensji za noclegi i wyżywienie chłopców, oburzył się do tego stopnia, że nie miała innego wyjścia i musiała ustąpić.

- Zbankrutuję, czy jak...? - spytał sarkastycznie, a widząc jej minę, zdał sobie sprawę z niefortunnego doboru słów i zaklął cicho. - Przepraszam - powiedział natychmiast. - Nie sądziłem...

Stali tak blisko siebie, że ujął jej dłoń w swoje, jak gdyby chciał ją tym gestem pocieszyć i wyrazić swój żal.

Przez chwilę była tak przerażona, tak zmieszana, że omal nie wybuchnęła nerwowym płaczem. Nie potrafiła sobie nawet przypomnieć, kiedy ostatni raz ktoś ją tak serdecznie, tak spontanicznie przeproszał i dodawał otuchy.

Ani ojciec, ani właściwie także i matka, nie okazywali jej czułości, nie przytulali, żadnym gestem nie zdradzali wobec niej swoich uczuć. Andrew był ulepiony z tej samej gliny. A jej zależało na tym, aby chłopcy byli inni.

Przyglądając się Blake'owi z Annie, Rorym i Danielem, widząc ową wzajemną wymianę serdecznych zachowań między nimi, zrozumiała ubóstwo swojego intymnego pożycia z Andrew.

- Kiedy wróci Blake? - spytał Rory, wpadając do kuchni.
- Obiecał, że pokaże nam tę nową grę komputerową, którą dla nas kupił...

- Nie wiem - odpowiedziała Fiona - ale pamiętaj, nie możecie się narzucać...

- Nie narzucamy się - przerwał jej chłopiec. - On nie jest taki jak tata - dodał z rozbrajającą szczerością. - Blake lubi być z nami. Co jest na podwieczorek? Umieram z głodu...

Fionę ogarnęła fala wzruszenia.

Tak. Wszystko układa się o wiele lepiej, niż się spodziewała. Nawet decyzja zerwania z Joelem wydawała jej się teraz jedynym słusznym wyjściem, a ich przelotny romans wspominała z czułością, nie z bólem.

Blake nie szczędził jej komplementów, jak znakomicie radzi sobie z Annie, Susie natomiast była zdania, że powinna poważnie pomyśleć o studiach czy kursach przygotowujących do pracy z dziećmi.

Nawet rodzice i Robert zbytnio nie protestowali, kiedy dowiedzieli się o jej planach - może poczuli ulgę, że ktoś zdjął z nich odpowiedzialność, pomyślała trzeźwo.

Skoro wszystko było tak idealne, tak cudowne, tak wspańnięte, to dlaczego budziła się co rano z uczuciem straszliwego ciężaru przygniatającego jej pierś?

Ano właśnie... Dlaczego? Przecież kiedy decydowała się na tę posadę, powtarzała sobie, że tylko kompletna kretyńka mogłaby się zakochać w Blake'u po raz drugi.

I właściwie miała rację. Nie zakochała się w nim, lecz... Uczucia, których doznawała obecnie, nie przypominały owych uniesień egzaltowanego podlotka; teraz przemawiały do niej jego czułość, ciepło, poczucie humoru, teraz kochała

go takim, jakim był, a nie takim, jakim stworzyła go kiedyś jej wyobraźnia.

Nie tylko go kocham, stwierdziła w myśli, kręcąc się cały czas po kuchni i zaglądając do piecyka, ale na dodatek bardzo go lubię. Podoba mi się to, że traktuje mnie jak równą sobie partnerkę, że interesują go moje sądy, że chce wiedzieć, co myślę, dyskutować ze mną, dzielić się swoimi przeżyciami... Podoba mi się, że dzięki temu moi chłopcy widzą, że mężczyzna to nie tylko pan i władca, zimny posąg nie okazujący uczuć i dystansujący się od innych, lecz człowiek, który popełnia błędy, ma swoje słabostki, czułe punkty i nie wstydzi się ich, człowiek, który na dodatek jest tolerancyjny wobec drugich... Dzięki niemu Annie będzie wiedziała, jakiego mężczyzny ma dla siebie szukać - kogoś, kto będzie ją cenił i szanował, kogoś, kto ją otoczy miłością.

Trudno jej było ukrywać swoje uczucia do Blake'a, a jeszcze trudniej tłumić namiętność i pożądanie, ogarniające ją w jego obecności coraz częściej.

Nie była już nastolatką, która leżąc w łóżku, wyobraża sobie, jakim jej wybrany będzie kochankiem. Dręczyła ją fizyczna tęsknota dojrzałej kobiety. Nie, nie było wcale łatwo kryć się ze swoją miłością. Nie było łatwo, niemniej nie mogła postąpić inaczej.

To prawda, że nie chciała tracić zaplecza finansowego, lecz najważniejsza była Annie. To jej potrzeby Fiona stawiała na pierwszym miejscu.

Do tej pory kamuflaż się sprawdzał, pogratulowała sobie w duchu. Nawet Susie nie domyślała się prawdy.

- Mhm, wart grzechu - skomentowała po pierwszym spotkaniu. - Jest tak seksowny, że można by go pokazywać za pieniądze. Jakim cudem żadna go jeszcze nie usidliła? Na czym to polega, że z niektórymi facetami od pierwszego spojrzenia wiesz, że czy w łóżku, czy poza nim, są fantastyczni?

Blake nie jest zwyczajnie atrakcyjny... - dzieliła się wrażeniami z przyjaciółką. - Ma w sobie taką staroświecką klasę. Cieszę się, że nie jestem na twoim miejscu. Nie wiem, czy bym się powstrzymała, żeby nie paść mu w ramiona... - zwierzyła się i nagle urwała. - Psiakrew, Fifi, na śmierć zapomniałam, co mi o was opowiadałaś...

- Nie ma sprawy - zapewniła ją Fiona - to było dawno i nieprawda. Ot, takie pensjonarskie zauroczenie.

Wtedy... A teraz?

Teraz przynajmniej mam dość rozumu, żeby nie śnić na jawie, nie przechowywać w pamięci każdego uśmiechu Blake'a niczym skarbu, lecz zwyczajnie, po prostu, cenić rozmowy z nim, komplementy, jakie mi prawi... Komplementy, musiała przyznać, nie wykraczające poza ramy tego, na co może sobie pozwolić zadowolony pracodawca w stosunku do pracownicy, na której zatrzymaniu mu zależy... a Blake'owi zależało na zatrzymaniu Fiony, dał jej to wyraźnie do zrozumienia, chociaż nie ujawnił, czy kryły się za tym powody natury osobistej.

Na pierwszym miejscu stawiał dobro Annie i je miał na myśli, kiedy cieszył się, iż Fiona stworzyła im prawdziwy dom; to o szczęściu Annie myślał, kiedy prosił, aby nie przeganiała dzieci bawiących się pod oknem jego gabinetu i zapewniał ją, że lubi ich śmiechy; to o rozwój emocjonalny Annie mu chodziło, kiedy z taką radością w oczach mówił, iż przywiązała się już do swej nowej opiekunki.

Kobieta, jaką się stałam, tłumaczyła sobie Fiona, nie potwórzy błędów, które popełniła, będąc młodziutką dziewczyną, nie będzie się łudzić co do uczuć Blake'a, nigdy nie zaryzykuje ponownego odrzucenia.

Spojrzała na zegar. Otworzyła drzwi do ogrodu i zawołała dzieci. Trzeba jeszcze jechać po zakupy.

- A teraz całą trójką proszę marsz na górę, umyćcie buzie i ręce, uczeszcie się prędko i...

- Musimy? - przerwał jej Daniel, lecz Fiona nie dała się wciągnąć w żadne dyskusje.

Dwadzieścia minut później, kiedy już zamykała dom na klucz, na podjeździe pojawiło się volvo Blake'a.

- Świetnie, że was jeszcze zastałem - ucieszył się. Wysiadł z samochodu i podszedł do Fiony. - Bałem się, że nie zdążę.

- Coś się stało? - spytała niepewnie.

- Nie... wszystko w porządku. Ale udało mi się wcześniej skończyć i pomyślałem, że przydam się przy zakupach. Mówiłaś przecież rano, że wybierasz się do supermarketu. Wygodniej będzie pojechać moim samochodem.

- Tak, oczywiście, że wygodniej - zgodziła się Fiona.

Nie miał na sobie marynarki, rękawy koszuli podwinął, odsłaniając opalone umięśnione przedramiona - bez wątpienia pamiątka po wakacjach spędzonych na jachcie kolegi, zapalonego żeglarza. Któregoś wieczoru Blake opowiadał jej, jaką ogromną frajdą jest żeglowanie i zaproponował, że zabierze kiedyś chłopców w rejs, jeśli będą mieli ochotę. Słuchając go, znowu nie mogła się powstrzymać od porównywania jego stosunku do Rory'ego i Daniela z postawą, jaką zachowywał wobec synów ich rodzony ojciec.

To tamtego wieczoru wspominał również o swoim związku z pewną Amerykanką.

Fiona powstrzymała się wówczas od komentarza, że obojętnie jak usilnie owa dziewczyna podkreślała, iż ich związek opiera się głównie na seksie i nie ma bazy uczuciowej, jej zdaniem trudno uwierzyć, aby jakkolwiek kobieta mogła być z mężczyzną, szczególnie z kimś takim jak Blake, i nie zakochać się w nim.

Nie zwierzyła się również z podejrzeń, iż może tamta amerykańska przyjaciółka nie ujawniała swoich uczuć, gdyż wczuwała, że Blake po prostu nie odwzajemnia jej miłości.

Teraz, kiedy przyglądała się, jak popołudniowe słońce pa-

da na jego skórę, nadaje opaleniźnie złotą barwę, eksponuje rzeźbę mięśni, poczuła nagle taki dreszcz erotycznego podniecenia i tęsknoty, że nie wiedziała już, czy zazdrości, czy współczuje tamtej dziewczynie.

Wiedziała natomiast jedno, że czysto fizyczny związek, obojętnie jak satysfakcjonujący, z Blake'em nigdy by jej nie wystarczył. Jej umysł, jej serce, domagałyby się czegoś więcej.

Oto, co z człowieka czyni miłość. Zwykła, czysta, fizyczna rozkosz, taka na przykład, jakiej doznała z Joelem, nie wystarczyłaby jej, gdyby związała się z Blake'em. Zawsze pragnęłaby o wiele więcej: jego miłości.

- Fiono...?

Zdając sobie nagle sprawę z tego, jak długo mu się przygląda, Fiona zarumieniła się niczym zawstydzona nastolatka i spuściła głowę, by włosy zakryły jej spłonioną twarz.

- Naprawdę nie musiałeś tego robić - powiedziała do Blake'a, kiedy godzinę później, pchając przed sobą załadowany po brzegi wózek, wychodzili z supermarketu.

Na parkingu roiło się od ludzi, były przecież wakacje. Fiona spostrzegła nagle, że mimo zaaferowania wózkami pełnymi zakupów i płaczącymi się dziećmi, kobiety rzucają ciekawe i zazdrosne spojrzenia w kierunku ich grupki.

W ich oczach ona, Blake i dzieci musieli wyglądać jak modelowa rodzina... Cóż, ciekawe, co by powiedzieli, gdyby znali prawdę.

Stanęli, czekając, aż będą mogli przejść przez jezdnię.

- Chciałem - usłyszała teraz odpowiedź Blake'a na swój zarzut.

Fiona poczuła, że serce zaczyna jej bić przyspieszonym rytmem. Uspokój się, nakazała sercu kategorycznie. Nie ekscytuj się z byle powodu, dodała tonem zawierającym groźbę zastosowania represji w przypadku nieposłuszeństwa.

Z mocnym postanowieniem, że nie zdradzi się przed Bla-

ke'em ze swoimi prawdziwymi uczuciami, nie przyczyni do zniszczenia przyjaznych stosunków, jakie zaczęły się między nimi nawiązywać, zmusiła się do swobodnego uśmiechu i, żartobliwie drocząc się z nim, spytała:

- Dlaczego? Uważasz, że sama nie dam sobie rady z wózkiem?

- Przeciwnie-odparł-uważam...

Nie dokończył, umilkł, ustępując z drogi, robiąc komuś przejście. Fiona tymczasem skierowała się prosto do samochodu.

Co się z tobą dzieje, pytała sama siebie. Można by sądzić, że nigdy żaden mężczyzna nie prawił ci komplementów... nigdy nie próbował z tobą flirtować...

Blake miałby ze mną flirtować...? Niemożliwe... Ponoś cię fantazja, moja droga.

Była już prawie przy samochodzie, kiedy Blake dogonił ją. Otworzył drzwi auta, potem bagażnik.

- Daj, ja to zrobię - powiedział widząc, że wyjmuje pierwszą torbę z wózka. Wyciągnął ręce i pochylił się jednocześnie z nią, co doprowadziło do nieuchronnej kolizji. - Przepraszam - powiedział, a Fiona roześmiała się.

Stała twarzą do słońca, rozkoszując się miłym ciepłem. Lekka bryza nad parkingiem, która w zimny dzień niosła lodowate powietrze jak gdyby prosto z Syberii, teraz łagodnie pieściła twarz i mierzwiła jej włosy. Fiona automatycznie uniosła dłoń, aby odgarnąć je z czoła.

I wtedy nagle spostrzegła swój cień na asfalcie - wiaterek przygniatał jej bluzkę do ciała, uniesiona ręka eksponowała biust, cała sylwetka pochylała się jak gdyby ku Blake'owi... Spojrzała na niego, zastygłego w bezruchu, z twarzą, której, oślepiona słońcem, nie mogła dostrzec. Drgnął, zwrócił się ku niej, z ręką wyciągniętą, jak gdyby chciał ją dotknąć... Zawstydzona nagłą świadomością, że Blake widzi to samo, co ona - jak gdyby zachęte z jej strony, zachęte do dotyku, poca-

łunku, że widzi jakby dawną Fionę, wciąż tak głupią i naiwną - cofnęła się gwałtownie, odwróciła, chwyciła kolejną torbę z wózka. Jej ruchy były kanciaste, nieskoordynowane.

Blake obserwował ją, przeklinając w duchu własną niezdarność. Sposób, w jaki Fiona uczyniła tak gwałtowny unik, oznaczał tylko jedno... zdradzał wszystko, co chciał o niej wiedzieć, a raczej wszystko, o czym nie chciał wiedzieć! Kiedy sądziła, że chce ją dotknąć, dostrzegł przerażenie w jej oczach, ogarnął ją paniczny strach.

Boże... Jakim byłem głupcem, wyrzucał sobie, żeby sądzić, że potrafię wskrzesić w niej dawne uczucie, by wyobrazić sobie, że kobieta, jaką się stała, pozwoli, aby jej przypominano o tamtym... Mniejsza zresztą o to...

Cóż, nie będzie dawał jej nowych powodów do skrępowania, zawstydzal jej jeszcze bardziej, nie powtórzy błędu. W przyszłości będzie pamiętał o tym, żeby zachować bezpieczny dystans, zarówno w sensie fizycznym, jak i psychicznym. Przekonał się przecież, że ona właśnie tego sobie życzy.

Jego interpretacja wspólnych rozmów, żartów, zainteresowania, z jakim słuchała relacji z jego życia, sposobu, w jaki lekko pochylała na bok głowę, a w jej oczach pojawiało się to rozbawienie, to typowe dla niej wzruszenie, serdeczna gotowość spieszenia z pomocą komuś w potrzebie; jego interpretacja tego wszystkiego była najwyraźniej błędna. Wziął zwykłą uprzejmość za coś bardziej osobistego, ale to w końcu jego wina, nie jej.

Uniół głowę, zmrużył oczy, spojrzal w słońce.

Przyjechał odkreślić przeszłość grubą kreską, oczekując, że kobieta, na jaką Fiona wyrosła, ostatecznie wygna z jego serca wizerunek dziewczyny, jaką zapamiętał.

Cóż, stało się inaczej. Przymknął powieki. Przed chwilą, patrząc na nią, widząc roześmiane oczy, uniesione kąciki ust, nachylone ku niemu ciało, zapragnął ją objąć, choćby tylko po to, aby się przekonać, że naprawdę istnieje.

Och, będzie musiał coś zrobić. Wiedział o tym. Bo w przeciwnym razie...

- Wsiądz z dziećmi do samochodu - odezwał się jak gdyby nie swoim głosem. - Ja się tym zajmę...

Fiona nie protestowała... Było jasne, że Blake chce zdystansować się od niej i doskonale wiedziała dlaczego.

Spóźniał się. Zazwyczaj o tej porze był już w domu. Fiona zdrząła, kiedy zadzwonił telefon. Z lękiem w sercu podeszła odebrać.

- Przepraszam, ale coś mnie zatrzymuje - powiedziała Blake. - Nie czekajcie z kolacją. Nie wiem, o której wrócę.

- Ale to już drugi raz w tym tygodniu - zauważył Rory, kiedy przekazała mu tę wiadomość. I kopiąc ze złością nogę krzesła, dodał: - Kolacja bez Blake'a to nie kolacja.

To prawda, zgodziła się z nim Fiona w milczeniu. Czy Blake naprawdę ma tyle zajęć, zastanawiała się, czy też unika przesiadywania z nimi... ze mną?

Od czasu owego incydentu na parkingu wytworzyła się między nimi atmosfera zażenowania i skrępowania. Ze względu na dzieci, a szczególnie na Annie, Fiona dokładała wszelkich starań, aby zachowywać się naturalnie, lecz ile razy spojrzała na Blake'a, przypominała sobie sposób, w jaki pochyliła się ku niemu, spojrzała na niego... zachęcała go...

- Pozwól na chwilę Fiono. Chciałbym z tobą porozmawiać.

Fiona zeszytniała, słysząc ten oficjalny ton i widząc beznamiętny wyraz twarzy.

- Oczywiście - odpowiedziała, starając się, aby to zabrzmiało jak najbardziej naturalnie.

Annie i chłopcy byli już w łóżkach, ona sama właśnie wybierała się na górę, kiedy drzwi od małego pokoju, który

służył Blake'owi za gabinet, otworzyły się i na progu ukazał się pan domu.

Teraz, wchodząc za nim do środka, Fiona czuła się jak uczennica wezwana „na dywanik” przez dyrektora szkoły.

W ciągu ostatniego tygodnia niewiele się widywali. Blake pracował do późna w szpitalu, wychodził zaś bardzo wcześnie rano. Dzieci głośno dawały wyraz swojemu niezadowoleniu z tego stanu rzeczy, ona jednak milczała, mimo że tak samo jak oni tęskniła do jego towarzystwa.

Blake stanął przy oknie, odwrócony plecami do niej.

- Nie jest mi łatwo to mówić - zaczął oschłym tonem - lecz niestety sprawy nie układają się tak, jak oczekiwałem...

Fiona wpatrywała się w jego plecy wstrząśnięta. Serce waliło jej w piersi, żołądek skurczył się w twardą gulę. Co on chce przez to powiedzieć? Sprawy nie układają się... Poczwała, że ogarniają panika.

- Och, nie chodzi o to, w jaki sposób wychowujesz Annie, nikt lepiej by się nie nadawał na tę posadę...

Posadę? Zajmowanie się Annie to coś więcej niż posada. Przecież Blake sam jej to tłumaczył!

Stał teraz przed nią ten sam władczy mężczyzna, którego pamiętała przez wszystkie te lata, twardy i niewzruszony... Cóż, tym razem nie ma zamiaru się przed nim upokarzać.

- Nie, tu nie chodzi o Annie - usłyszała, jak powtarza poprzednie stwierdzenie. - Istnieją inne... inne powody... - ciągnął. - Nie chcę być zbyt dosłowny... niektórych rzeczy lepiej nie nazywać po imieniu. Podejrzewam zresztą, że domyślasz się, o czym mówię.

Fiona czuła suchość w ustach. Musiała dwukrotnie przełykać ślinę, zanim wyszeptwała:

- Tak.

A wydawało jej się, że jest taka sprytna, taka opanowana,

że tak znakomicie maskuje swoje uczucia! Od kiedy on wie? To dlatego „pracował do późna”? Unikał jej? Boże!

Przymknęła powieki. Była bliska załamania, szarpały nią rozpacz i zawód.

- Ze względu na dobro Annie nie chcę, abyś odchodziła. Ona potrzebuje stabilności, którą ty jej zagwarantowałaś, a jakiej ja sam nie zdołam jej zapewnić. Postanowiłem, że najlepiej zrobię, przenosząc się do pokoju służbowego w szpitalu, przynajmniej na jakiś czas...

- Nie możesz! - oburzyła się Fiona. - To twój dom... Jeśli ktoś z nas ma się usunąć, to powinnam być właśnie ja...

- To jest również dom Annie - perswadował Blake cierpliwie - a ona cię potrzebuje.

- Ciebie również - odrzekła Fiona.

Blake odwrócił się teraz ku niej. Twarz miał napiętą, udreżoną. Fiona, mimo rozpaczy, poczuła wyrzuty sumienia.

To ona sprawiła, to jej wina... Nierozważnym gestem zdradziła się z miłością, której nie chciał.

- Ona ciebie kocha, Fiono. Mówiąc szczerze, nie wiem, czy sąd opiekuńczy pozwoliłby mi ją wychowywać samemu. Z pewnością nie. Najlepszym wyjściem będzie więc, jeśli to ja się wyprowadzę.

Nie, chciała zaprotestować. Najlepszym wyjściem będzie, jeśli zostaniesz tu, gdzie jesteś, kochany i potrzebny. To ja powinnam odejść, zapłacić za to, co zrobiłam...

- Uważam, że najlepiej będzie, przynajmniej na razie, powiedzieć dzieciom, że to tylko na pewien czas...

- Skłamać przed nimi, tak? - zachnęła się.

- Czuję do tego taki sam wstręt, ale nie jest to temat do omawiania z dziećmi, wiesz doskonale...

- Nie musisz się wyprowadzać...

Boże! Dlaczego pozwoliła, aby te słowa wyrwały się z jej ust? We własnym głosie dosłyszała wołanie zagubionego i przerażonego dziecka.

- Moglibyśmy... ja mogłabym - zaczęła się jąkać.
- Nie - przerwał jej Blake. - Nie, Fiono... Ja po prostu nie mógłbym...

Łzy napłynęły jej do oczu. Zaczęła pospiesznie mrugać powiekami, aby je przepędzić.

Dobrze ci tak, mówiła do siebie, masz, czego chciałaś. To nie jego wina, że doprowadziłaś go do stanu, kiedy musiał podjąć zdecydowane działania.

- Kiedy się wyprowadzisz? - spytała zduszonym głosem. Słowa z trudem przechodziły przez jej ściśnięte gardło.

- Jutro - oświadczył i widząc, że chce zaprotestować, dodał: - Nie ma sensu tego odkładać. Sam powiem dzieciom. Przy śniadaniu.

Bolesna spuścizna

33

Znużonym gestem Fiona wzięła kubek z herbatą, którą sobie zaparzyła, i przeszła do swojego saloniku. Włączyła telewizor, usiadła na kanapie, podwinęła nogi.

Minęły prawie dwa tygodnie, odkąd Blake się wyprowadził. Tęsknota za nim nie słabła. Wzmagala się.

Jutro sobota. W środku tygodnia Blake uprzedził ją telefonicznie, że ma zamiar spędzić weekend w domu. Zaplanowała więc dla siebie takie zajęcia, aby zniknąć mu z oczu. Uznała to za jedyne uczciwe rozwiązanie.

Agencja pośrednicząca w sprzedaży nieruchomości znalazła dwie osoby zainteresowane jej, czy raczej już nie jej, domem i bank zawiadomił ją, iż liczą na to, że transakcja w szybkim tempie dojdzie do skutku.

Zaświtała również wątpliwość, bardzo wątpliwość nadzieja na znalezienie kupca na przedsiębiorstwo, lecz likwidator ostrzegał, aby nie cieszyła się na zapas. Suma, jaką ów nabywca zapłaci jest bardzo skromna, a jeśli fabryka wznowi produkcję, to tylko na niewielką skalę i przy bardzo ograniczonym zatrudnieniu, poinformował ją NeviUe Wilson, kiedy poprosiła go o więcej szczegółów.

Mniej więcej godzinę temu położyła się do łóżka. Nie mogąc zasnąć, zeszła na dół, by napić się herbaty. Teraz, zbyt udęczone myśłami, aby zainteresować się telewizją, przytknęła oczy.

Blake zatrzymał samochód i wysiadł. Dom pogrążony był w ciemnościach, tylko w oknie Fiony paliło się słabe światło.

Pierwotnie planował, iż pojawi się w domu dopiero raniem, i wciąż nie był pewien, czy słusznie postąpił, ulegając impulsowi, który wprawdzie kazał mu się wyprowadzić, a teraz popychał go do powrotu. Nigdy jednak nie uważał siebie za masochistę, rozkoszującego się zadawaniem sobie mąk.

Otworzył frontowe drzwi własnym kluczem i zatrzymał się przez chwilę w holu. Z pokoju Fiony dobiegały słabe dźwięki telewizora.

Nie powinienem się dziwić, że nie wybiegła mi na powitanie, pomyślał, ani winić za to, że mnie unika. Cóż, fakt, że jestem piętnaście lat starszy, nie oznacza, że jestem o piętnaście lat mądrzejszy.

Piętnaście lat... Piętnaście lat temu powody, dla których nie uległ pokusie, wzmocnione były świadomością, iż Fiona jest taka młoda, niedoświadczona, że nie wytrzyma czekającej ich walki z jej ojcem.

A do tego jeszcze ta arogancja młodości, przekonanie o szlachetności poświęcenia siebie dla niej...

Pchnął drzwi saloniku i stanął na progu. Fiona nie oglądała telewizji, jak się spodziewał, spała natomiast na kanapie, skulona niczym dziecko - jedynie długie smukłe nogi i okrągłości ciała pod cienką koszulką nocną wskazywały, że nie jest już dzieckiem, a dojrzałą kobietą.

Fala podniecenia, jakie ogarnęło go na jej widok, zaskoczyła go. Gdzie się podziało to opanowanie, którego tak mu gratulowały kolejne kochanki przy kolejnych rozstaniach?

Zaczął się po cichu wycofywać, lecz widocznie coś musiało zaniepokoić Fionę, gdyż otworzyła oczy, spojrzała na niego, zamrugnęła powiekami i spytała:

- Blake?

Wciąż otumaniona snem i gwałtownym przebudzeniem usiadła i, uświadomiwszy sobie nagle sytuację, zarumieniła się - potargane włosy, twarz bez makijażu, ciało okryte tylko skąpą, prześwitującą koszulką, która zwinęła się, odsłaniając

uda, uniemożliwiając jej ruchy bez ekspozowania nagości, której przecież Blake na pewno nie chciał oglądać...

- My... myślałam, że przyjedziesz dopiero jutro - wyjąkała.

- Taki miałem zamiar.

- Dzieci stęskniły się za tobą - powiedziała, rezygnując z walki ze swoim negliżem i przyglądając się Blake'owi uważnie. Wyglądał na zmęczonego, wyczerpanego brakiem snu, troskami, tęsknotą. Serce Fiony natychmiast wypełniło się miłością i współczuciem.

- Ja też się za nimi stęskniłem.

- Proszę cię, Blake, wróć. Coś wymyślimy. Postaram się...

- Co wymyślimy? - spytał jak gdyby z pretensją. - Boże!

Od pięciu minut zaledwie jestem pod tym dachem, a już...

- urwał i potarł policzek, zdradzając zażenowanie tym nagłym wybuchem. - Nie mogę wrócić, Fiono - odezwał się już spokojniej po krótkiej chwili. - Sądziłem, że rozłąka z tobą przyniesie mi ulgę, ale... - Widząc przerażenie w jej oczach, umilkł ponownie. Grymas wykrzywił mu usta. - Widzisz? Zobacz, jak reagujesz na same słowa. Jak zareagujesz, jeśli spróbuję zamienić je w czyn?

Boże, modliła się Fiona. Nie dopuść, żebym się rozpłakała.

Uśmiech, do którego się zmusiła, był kruchy jak najcieńsze szkło, i niczym zwierciadło odbijał całe cierpienie jej serca.

- Nic ci z mojej strony nie zagraża - powiedziała, starając się, aby to zabrzmiało beztrosko i lekko. - Obiecuję, że nie wtargnę do twojej sypialni, tak jak kiedyś wtargnęłam na twoją stancję...

- Zagraża? O czym ty, do cholery, wygadujesz!

Dziwne, lecz Fiona nawet nie drgnęła. Zbyt wiele się w życiu nauczyła.

- Mówię o nas, Blake, o tobie i o mnie, i o tym, że popełniłam głupstwo i zakochałam się w tobie... po raz drugi. Moje uczucia to jednak mój problem i ja ponoszę za nie odpowiedzialność... Obiecuję ci, że... Blake! Co ty wyprawiasz? Bla-

ke! - protestowała, gdy jednym susem podskoczył i porwał ją w ramiona.

- Co ja wyprawiam? - spytał ze wzruszeniem. - To, co powinienem zrobić piętnaście lat temu, i co pragnąłem zrobić w chwili, kiedy otworzyłaś mi drzwi...

Nie dał jej czasu na zadawanie pytań ani na protesty. Ramiona Blake'a obejmowały ją ciasno, jego usta delikatnymi pocałunkami pieściły jej usta.

Targana sprzecznymi uczuciami, pomiędzy zdumieniem i pożądaniem, Fiona z jękiem wyszeptała imię Blake'a. Drżała, nie mogła utrzymać się na nogach. Blake także drżał. Oderwał wargi od jej warg i zaczął zapewniać ją o swojej miłości, domagać się podobnych zapewnień od niej. Ogarnięty potęgującą się namiętnością, porzucił delikatność.

Jego dłonie głąaskały teraz jej włosy, twarz, całe ciało. Szeptał, jak bardzo jej potrzebuje, jak bardzo ją kocha, pragnie... i że tak było zawsze. Jego słowa ginęły w pocałunkach, na które Fiona odpowiadała delikatnymi pomrukami zadowolenia i rozkoszy.

- Tak bardzo cię kocham, najdroższy...

Blake dotknął jej piersi. Drgnęła w napięciu.

- Jeszcze nie teraz - powiedział zduszonym głosem, pochylił głowę i przez cienki batyst koszuli pocałował nabrzmiały koniuszek. Oparta o niego, przymknęła powieki, ulegając zmysłowej błogości.

Blake wsunął dłoń pod materiał.

- Piętnaście lat temu - zaczął - pragnąłem ciebie tak samo, jak teraz. Byłaś nastolatką, właściwie jeszcze dzieckiem, ale patrzyłaś na mnie oczami kobiety. Nie mogłem uwierzyć w to, co się ze mną działo. Nie spodziewałem się, że się zakocham, nie chciałem, ale było za późno. Czekałem więc i obserwowałem cię, wiedząc, że muszę pozwolić ci dorosnąć, że nie mogę, nie wolno mi, wykorzystywać tego, co dostrzegałem w twoim spojrzeniu.

- I odrzuciłeś mnie - przypomniała mu Fiona, poruszona do głębi. - Kiedy przyjechałam, kazałeś mi wracać...

Ból przeszył serce Blake'a niczym sztylet.

- Wiem... wiem... Nie chciałem cię zranić, ale... - umilkł, odgarnął włosy z czoła Fiony, zajął jej w oczy i mówił dalej: - Wierz mi, najdroższa, nie chciałem cię zranić, przysięgam, to była ostatnia rzecz...

- To dlaczego? - spytała Fiona po prostu.

Przez ułamek sekundy myślała, że jej nie odpowie, lecz on po chwili namysłu zaczął jej wyjaśniać, powoli, starannie, z wahaniami dobierając słowa.

- Podczas tamtych ostatnich wakacji, kiedy skończyłaś osiemnaście lat, Robert powiedział mi, że wasz ojciec niepokoi się o ciebie, o to, że ty... o twoje uczucia do mnie... Podkreślał, jaka jesteś młoda, że zostałaś wychowana w warunkach, jakich ja nigdy bym nie mógł ci zapewnić... Oświadczył, że ojciec życzy sobie, abym wyjechał...

Fiona zmarszczyła brwi.

- To było tamtego popołudnia, kiedy wróciłam z tenisa? Zdawało mi się, że się pokłóciliście z Robertem, ale kiedy spytałam, zaprzeczyłeś... Powiedziałeś tylko, że musisz wracać. Boże, jak ja ufałam, że wszystko między nami się zmieni, że dostrzeżesz we mnie nareszcie kobietę, a nie dziecko... że... - umilkła i przełykając ślinę, z trudem wydobywając z siebie to wyznanie, powiedziała: - Tak bardzo cię kochałam, Blake, łudziłam się, że...

- Wiem, wiem - zapewnił ją z udręką w głosie. Objął ciałnie, kołysał w ramionach. - Nie mogłem zostać po tym, jak Robert dał mi tak wyraźne do zrozumienia, że jestem persona non grata, nie mogłem...

- Ale mogłeś napisać, zatelefonować...

- Chciałem, ale słowa, które usłyszałem od Roberta, nie dawały mi spokoju. Wiedziałem, że ma rację... Wiedziałem, że nie mogę zapewnić ci tego luksusu, do jakiego byłaś przy-

zwyczajona. Z ledwością mogłem samego siebie wyżywić, a co dopiero... Musiałem przede wszystkim myśleć o matce, Fif... Ona była tak ciężko chora...

- To wszystko prawda - przyznała Fiona z mocą - ale musiałeś przecież wiedzieć, że byłeś dla mnie ważniejszy niż wszystkie dobra materialne. - Spojrzała mu prosto w twarz i wykrzyknęła z rozpaczą: - Och, Blake! Musiałeś... Musiałeś!

- Tak... w głębi serca chyba wiedziałem, ale jednocześnie... Byłaś taka młoda, Fif, taka bezbronna, taka uzależniona od rodziców. Nie mogłem...

- Czyli to ja byłem winna - przerwała mu Fiona. - Nie idąc na uniwersytet, potwierdziłam to, co ci powiedział Robert. - Zamknęła oczy, starając się nie myśleć o tym, jak inaczej potoczyłoby się ich życie, gdyby wówczas zdawała sobie sprawę z tego, że... - To dlatego byłeś na mnie taki wściekły, dlatego tak ostro mi zarzucałeś, że gdybym chciała, sama bym mogła zarobić na studia. - Łzy napłynęły jej do oczu. - Och Blake... Robert nie miał prawa się wtrącać - łkała - nie miał prawa ci mówić...

- Sądził pewnie, że tak będzie dla ciebie lepiej - odezwał się spokojnie Blake.

- Nie - zaprzeczyła Fiona. - Wiedział, że tak będzie lepiej dla niego i dla ojca... Żaden z nich nigdy... - przygryzła wargę i umilkła. - Wiesz - dodała po chwili - że po śmierci Andrew Robert udawał, że nigdy nie chciał, żebym za niego wyszła? A Andrew był jego przyjacielem... chodzili do jednej klasy. Robert był pod wrażeniem planów, jakie snuł Andrew... - urwała i zamyśliła się.

Biedny Andrew. Z żadnego z tych planów nic nie wyszło... Ani z naszego małżeństwa, ani z pracy. Nadzieje na spałek po ciotecznej babce też się nie ziściły.

Opowiedziała Blake'owi w skrócie historię nieszczęsnego spadku i na zakończenie dodała:

- Ale ja nie wyszłam za niego dla pieniędzy...

- Wiem - uspokoił ją Blake, a ona czekała w milczeniu, co powie dalej. - Kiedy dowiedziałem się o waszym ślubie, omal ciebie nie znenawidziłem. Wyjechałem do Stanów z mocnym postanowieniem udowodnienia tobie, twojej rodzinie, jaki popełniliście błąd, pokazania, że jeśli chodziło wam o pozycję i pieniądze, ja mogłem ci dać o wiele więcej niż on. Chciałem udowodnić wam wszystkim, że potrafię odnieść większy sukces od twojego ojca, zdobyć większy majątek od twojego męża. - Spojrzał smutno na Fionę i dodał: - Byłem kretynem, Fiono, dopiero Michael wylał mi kubeł zimnej wody na głowę. Któregoś lata przyjechał w odwiedziny. Nie krył, że jest wstrząśnięty zmianami, jakie we mnie dostrzegł, i stanem, do jakiego się doprowadziłem. Jego szczerść zmusiła i mnie do refleksji... Przyznałem mu się do swoich motywów, do swojej miłości, do gorzkiego zawodu, jakim był dla mnie twój ślub. Opowiedział mi prawdę o waszym małżeństwie. Sugerował, że, jego zdaniem, nie kochasz Andrew. Że wyszłaś za niego, bo tak chciał wasz ojciec. Powiedział, że pobraliście się tak szybko, jak gdybyś chciała uciec od czegoś albo od kogoś...

Umilkł wreszcie, a Fiona wyznała drżącym głosem:

- To prawda... Uciekałam od ciebie, od samej siebie... od bólu zawiedzionej miłości. Byłam taka niedojrzała, Blake... Nie powinnam nigdy...

- To twój ojciec jest winien - sprostował Blake. - Nie powinien był ci pozwolić na to małżeństwo, a on popchnął cię w ramiona tamtego. Michael powiedział mi, że nie jesteś szczęśliwa, ale że trwasz przy Andrew z lojalności i ze względu na dzieci... Czułem wówczas ogromną pokusę powrotu. Chciałem wrócić, spotkać się z tobą i... Ale cóż. Już raz cię zraniłem i to bardzo ciężko, nie chciałem zadawać ci ponownie bólu. Zostałem więc na uboczu. Powiedziałem sobie, że czas zacząć wszystko od nowa. Rzuciłem się w wir pracy, ale

teraz nie dla pieniędzy czy zaszczytów, ale po to, żeby uciec od tych myśli, które mnie dręczyły. A potem pojechałem do Rumunii. Ten wyjazd odmienił moje życie i mnie samego. Nareszcie wyzbyłem się goryczy, nienawiści do twojego ojca, rzuciłem z siebie ten garb... Nie przestałem jednak pragnąć, aby wszystko się odmieniło...

Pogładził ją po twarzy. W jego spojrzeniu było tyle bólu obudzonego wspomnieniami, że łzy wzruszenia napłynęły jej do oczu.

- Kiedy dowiedziałem się o śmierci rodziców Annie - mówił dalej - zrozumiałem, że czas wracać. Zacząłem szukać odpowiedniej posady i kiedy zobaczyłem ofertę tego szpitala, wiedziałem, że los daje mi ostatnią szansę uporządkowania życia, odkreślenia przeszłości grubą kreską. Powiedziałem sobie, że byłbym podłym głupcem, gorzej, tchórzem, gdybym nie skorzystał z tej szansy; że muszę wrócić i rozprawić się z duchami przeszłości...

Fiona uniosła brwi i uśmiechnęła się, słysząc to określenie.

- Co spodziewałeś się zastać? - spytała.

- Nie to, co zobaczyłem. Wyobrażałem sobie, że jeśli się kiedyś spotkamy, nie będziesz już tą dziewczyną, którą kochałem, ale stateczną mężatką, której jedyną troską jest rodzina. Kobieta, która angażuje się w dobroczynność, która nie ma wiele czasu dla mężczyzny z młodości, która jest zbyt rozsądna i zadowolona z życia, aby wskrzeszać bolesną przeszłość. Wyobrażałem sobie siebie w wygodnym domu, otoczoną rodziną i przyjaciółmi...

- Mówisz o mnie tak, jak gdybym zbliżała się do sześćdziesiątki - zaprotestowała Fiona żartem i, poważniejąc, dodała: - Namalowałeś obraz podobny do wizerunku mojej matki, Blake, nie do mnie...

- Wiem - przyznał. - Ale zrozum... gdybym wyobrażał sobie siebie inaczej, czy mógłbym wrócić? Bezpieczniej było uczynić z ciebie godną matronę, Fif, niż ryzykować i wyobra-

zać sobie prawdę. Bezpiecznej dla mnie... i dla ciebie. Jakie miałem prawo wracać i burzyć całe twoje życie? Ze słów Michaela domyślałem się, jak bardzo ciebie skrzywdziłem, lecz było za późno, by cokolwiek naprawiać. Byłaś żoną Andrew, matką jego synów... Michael podkreślał twoją wierność i lojalność wobec męża...

- Nigdy nie kochałam Andrew - przerwała mu Fiona. - Wyszłam za niego, ponieważ to była jedyna możliwość ucieczki z domu. A on ożenił się ze mną dlatego, że byłam córką mojego ojca. Oboje zbytnio baliśmy się sięgnąć po to, czego naprawdę pragnęliśmy, uwierzyć, że potrafimy stanąć na własnych nogach i sami zasłużyć na szacunek otoczenia. Zrozumiałam to dopiero po śmierci Andrew. Nauczyłam się też, że łatwiej wybaczać słabość innym niż sobie. To właściwie jeszcze przede mną. Przykro jest oglądać się za siebie i widzieć się taką, jaką inni mnie widzieli. - Słyszac cichy protest Blake'a, uśmiechnęła się blado. - Zaczęłam się uczyć akceptować słabostki Andrew, więc może niedługo zacznę godzić się z własnymi... Tak naprawdę nasze małżeństwo nie było w sumie gorsze od innych. Andrew nigdy nie był agresywny ani niegrzeczny. Praca, sukces, oto co się dla niego liczyło... Jeśli chodzi o intymne sprawy... - Wzruszyła ramionami. - Zaraz po jego śmierci byłam na niego wściekła za to, co zrobił, za to, że tak mnie izolował od prawdziwego życia, pozostawił tak nieprzygotowaną do samodzielności, do wzięcia na barki całego tego galimatiasu, jaki nam zgotował. Później jednak zrozumiałam, że sama mu w tym pomogłam, nawet zachęcałam do tego, żeby mnie wyręczał. Widzisz, ja nie chciałam, żeby nasze małżeństwo się zmieniło, bo nie chciałam większej zażyłości między nami. Jak to o mnie świadczy?

- Świadczy tylko o twojej wrażliwości i uczciwości - wtrącił Blake - z czego się bardzo cieszę.

Widząc jej pytające spojrzenie, wyjaśnił:

- Dzięki temu łatwiej mi uporać się z zazdrością o niego i

o lata, jakie wspólnie przeżyliście. Bo po tym, co mówisz, mam pewność, że go nie kochałaś, że kiedy się pobierzemy, kiedy zaczniemy wszystko od nowa, on nie będzie upiorem nawiedzającym nasze życie, naszą sypialnię... Przy odrobinie szczęścia może uda nam się załatwić formalności i wziąć ślub jeszcze przed Bożym Narodzeniem - mówił coraz bardziej podekscytowany planami. - Nie wiem, co ty o tym sądzisz, ale zamiast podróży poślubnej moglibyśmy zafundować sobie wspólne ferie z dziećmi...

- Nie mogę wyjść za ciebie, Blake.

- Co?

- Nie mówię, że nigdy. Ale na pewno jeszcze nie teraz.

- Nie teraz? Powiedziałaś przecież, że mnie kochasz. Jeśli nie jesteś pewna swoich uczuć, to...

- Jestem pewna. Moja decyzja nie ma nic wspólnego z uczuciami do ciebie, najdroższy. - Patrząc mu prosto w oczy, dotknęła jego policzka. - Niczego bardziej nie pragnę, niż wyjść za ciebie, Blake, poświęcić swoje życie tobie i wiedzieć, że ty poświęcasz się mnie. Ale jeśli poświęcę ciębie, wszystkie zobowiązania finansowe wynikłe z bankructwa Andrew spadną na twoje barki...

- Boisz się, co ludzie powiedzą... że sprzedałaś się za pieniądze? - spytał bez ogródek.

- Nie, oczywiście, że nie. To nie ma nic wspólnego z tym, co pomyślał inni... Tu chodzi o nas, Blake, o mnie i o ciebie. Chcę, żebyśmy w naszym małżeństwie byli sobie równi, a nie żeby było tak: ja, załosny, bezradny Kopciuszek i ty, księżę, który mnie ratuje z opresji. Chcę aktywnie budować naszą wspólną przyszłość, a nie biernie się przyglądać i pozwolić, abyś zjął cały ciężar z moich ramion. Chcę... - urwała i dodała drżącym głosem: - Błagam, zrozum mnie. Muszę samej sobie udowodnić, że czegoś mnie ta terapia szokowa nauczyła, że dojrzałam, że umiałam dać sobie radę. Pragnę stać się taką kobietą, na jaką zasługujesz, Blake... Ze względu na ciebie i na mnie.

Blake jęknął.

- Już jesteś taką kobietą... Przerastasz moje wszelkie oczekiwania. Nie marzyłem nawet, że kiedykolwiek znajdę kogoś takiego jak ty.

- Dziękuję. Ale ślub z tobą teraz byłby zdradą nie tyle wobec mojej miłości do ciebie, co zdradą wobec samej siebie. Nie chcę obarczać cię zaszłościami z mojego małżeństwa z Andrew, i to nie tylko majątkowymi, ale i psychicznymi - oświadczyła Fiona zdecydowanie, chociaż nie udało jej się całkowicie zapanować nad drżeniem głosu. Dzięki temu jednak Blake wiedział, jak ważne było dla niej to, co mówiła, i przede wszystkim - jak ważny był dla niej on sam.

- Potrzebny mi jest szacunek dla siebie, a jeszcze wciąż muszę na niego zapracować - powiedziała.

- Uczucie, jakim siebie nawzajem darzymy, będzie się uzewnętrzniać - stwierdził Blake. - Ludzie zauważą i wiesz, jakie zaczną się komentarze, prawda?

- Że masz romans z opiekunką do dziecka - odgadła Fiona i wzruszyła ramionami. - Komentarze i opinie ludzi nie są już w stanie mnie dotknąć. Jeśli jednak uważasz, że zaszkodzi to twojej zawodowej reputacji...

Blake pokręcił głową.

- Nie martwię się tym. Ale twojej rodzinie może się to nie spodobać. Twój ojciec, matka, Robert...

- Trudno. Ich poglądy i obiekcje to ich problem, nie mój - oświadczyła stanowczo. - Mam poza tym inną wizję małżeństwa niż oni. Kiedy się pobierzemy, pragnę, żebyśmy byli równorzędnymi partnerami; chcę pokazać Annie i moim chłopcom same dobre strony związku pomiędzy mężczyzną i kobietą. Chcę, żeby Annie dorastała w poczuciu szacunku dla siebie, którego ja nigdy nie zaznałam. Żeby nie tylko wierzyła, iż coś takiego jest możliwe, ale akceptowała bez cienia wątpliwości prawo kobiety do kierowania się czasami własnym zdaniem, do myślenia o własnych potrzebach, stawiania ich niekiedy na

pierwszym miejscu; żeby miała pewność, że jej bliscy, ci którzy ją naprawdę kochają, zaakceptują ją taką, jaką jest; że w dobrym związku oboje partnerzy czasami gotowi są do poświęceń, a czasami upierają się przy swoim. Chcę, aby moi synowie dorastali w szacunku i podziwie dla kobiet... Chcę wreszcie, żeby nasze wspólne dzieci, jeśli je kiedyś będziemy mieli... O co chodzi? Nie chcesz mieć dzieci? - spytała z wahaniem, zobaczywszy wyraz twarzy Blake'a.

- Nie chcę? W głowie mi się kręci... twoje dzieci... nasze dzieci... Boże, Fiono... - westchnął, wziął ją w ramiona i mocno do siebie przytulił.

- Wiesz - powiedziała, kiedy ją wypuścił z objęć - wiesz, ile godzin spędziłam jako nastolatka, wyobrażając sobie, jak to będzie, kiedy zostaniemy kochankami. Nie chcę tracić więcej czasu na marzenia, Blake... Chcę się przekonać.

Blake zaczął ją całować, a kiedy skończył, ostrzegł:

- Jestem tylko mężczyzną, Fif... Takie dziewczęce marzenia... nie wiem, czy im sprodam...

Pod wpływem niepewności w jego głosie Fionę ogarnęło współczucie i wzruszenie. Boże, jak dobrze rozumiała podobne obawy i treść!

Ujęła twarz Blake'a w dłonie i zajrzała mu głęboko w oczy.

- Za to ja wiem, że tak - powiedziała czule i nagle nabrała cudownej, jasnej, niezachwianej, nieodwołalnej pewności, że tak będzie.

- Mmm... - mruknął Blake zaspany. - Która godzina?
- Leniwym ruchem podniósł rękę, którą obejmował Fionę, i spojrzął na zegarek. - Lepiej przeniosę się do własnego łóżka, zanim dzieciaki przytapiają mnie w twoim.

- Aha - przytaknęła Fiona, lecz zamiast odsunąć się od niego, wtuliła się jeszcze mocniej w jego objęcia i uniosła twarz do pocałunku.

Czuła się z Blake'em tak dobrze, tak naturalnie. W nocy, kiedy przestali się już kochać, opowiedziała mu o Joelu. Z jego oczu wyczytała, że go to dotknęło. Potrząsnęła więc lekko głową i dodała:

- Wydawało mi się, że mogłabym się w nim zakochać, ale tak naprawdę oboje szukaliśmy jedynie kogoś, kto wygnałby z naszych serc ból. Mam nadzieję, że uporali się już z Sally ze swoimi problemami.

Kochanie się z Joelem sprawiało jej radość, przyjemność z odkrywania własnej zmysłowości, z poczucia, że budzi się w niej pragnienie i namiętność, lecz od pierwszej sekundy, kiedy tylko Blake dotknął jej ciała, wiedziała, że nie ma się czego obawiać, że widmo Joela nie będzie im zagrażać.

I nie chodziło tu o stopień doświadczenia i biegłości w ars amandi, chodziło o coś znacznie prostszego i jednocześnie o coś dużo bardziej skomplikowanego.

Joel do niej nie należał, Blake zaś tak, i to przesądzało o różnicy. Uświadomienie sobie tego faktu podziałało na Fionę niemal dopingująco, podniecająco, wzmocniło intensywność przeżyć psychicznych, nie tylko zmysłowych.

- Nie odchodź jeszcze - szepnęła, zdejmując z piersi jego dłoń, całując osobno każdy palec.

Zdumiało ją odkrywanie własnej inwencji w pieszczotach, inwencji pobudzonej pewnością, że jest kochana, chciana, pożądana...

- Rozumiesz, dlaczego nie mogę za ciebie wyjść, prawda?
- spytała poważnie, kiedy Blake się ubierał.

- Rozumiem, owszem, ale to nie przeszkadza mi pragnąć, żebyś zmieniła zdanie.

- Nie zmienię - oświadczyła Fiona kategorycznie.

- Wiem - przyznał - ale nie miej do mnie pretensji, że będę próbował cię namówić.

Fiona posłała mu ciepły uśmiech.

- Kocham cię.

W pokoju obok zakasłała przebudzona Annie.

- Nie uda nam się długo utrzymać tej tajemnicy - skonstruował Blake.

- Nawet nie chcę - oświadczyła Fiona i dopiero teraz z jego oczu wyczytała, jak, mimo wszystkich zapewnień, straszliwie się bał, że w jakiś sposób ona nie chce całkowicie zaangażować się w ich związek. Wyciągnęła ku niemu ramiona. Blake podszedł, a wtedy ona objęła go za szyję.

- Za bardzo cię kocham, żeby znieść myśl, że mógłbym cię teraz utracić - szepnął.

- Nie utracisz mnie nigdy - obiecała z mocą.

Blake przytrzymał jej twarz w dłoniach i odgarnął pasmo włosów z czoła. Kiedy zbliżył usta, żeby ją pocałować, spłynęło na nią nagle poczucie siły i świadomość celu w życiu, panowania nad własnym losem, ufności w to, że Blake ją kocha, akceptuje, nie stawia warunków i nie zgłasza zastrzeżeń.

Że kocha ją tak samo mocno, jak ona jego.

Wspólna przyszłość rozciągała się przed nimi, czekała... Lecz sięgnąć po nią zachłannie, rzucić się w nią z desperacją, zamiast spokojnie, z pewnością, że ich uczucie przetrwa wszelkie burze, byłoby cofaniem się do przeszłości, odrzuceniem tego, co zaczęła cenić i odkrywać.

Ich związek będzie jeszcze lepszy, silniejszy i dojrzały, jeśli posłucha wewnętrznego głosu serca i rozsądku.

Zgoda Blake'a, zrozumienie z jego strony, nie spowodowały, jak u dawnej Fiony, rozterki, że skoro nie nalega na szybki ślub, to jej nie kocha. Przeciwnie - ukazały jej głębię jego miłości.

Bolesna spuścizna

Epilog

Trzy lata później

- W porządku. Wszyscy są?

Fiona uśmiechnęła się, słysząc chóralną odpowiedź na pytanie Blake'a.

- Ja wezmę Rachel, dobrze? - zaoferowała się Annie, delikatnie wyjmując z samochodu jedno ze śpiących niemowląt.
- Rory! - zawołała przez ramię. - Ty bierz Simona.

Ponad ich głowami Fiona i Blake wymienili spojrzenia. Życie nie zawsze było taką idyllą, szczególnie kiedy bliźniaki budziły się w środku nocy.

Za dwa miesiące skończą rok, zaczną chodzić i powodować jeszcze większe zamieszanie niż obecnie, pomyślała Fiona z zatroskaną miną.

Podczas drugiego roku studiów na Uniwersytecie Otwartym stwierdziła, że będzie miała dziecko. Z początku nie wiedziała, jak Blake przyjmie tę nowinę. Kiedy po roku małżeńskiego pożycia nie udało jej się zająć w ciążę, uznali, że i tak stanowią wystarczająco dużą rodzinę i że trójka dzieci wystarczy. Blake zaangażował się w mobilizowanie funduszy potrzebnych na otwarcie nowego oddziału dziecięcego w szpitalu, Annie i chłopcy wyrosli na nastolatki i stosunki między nimi układały się bardzo szczęśliwie. Fiona natomiast kilka godzin dziennie pracowała jako wolontariuszka w szpitalu, opiekując się małymi pacjentami, a resztę czasu poświęcała nauce.

Dzień jej urodzin obchodzili tamtego roku w rodzinnym gronie, a kiedy już się wraz z Blake'em położyli, zwierzyła mu się z czułością, że mają co świętować.

W cztery dni później po przebudzeniu poczuła dziwne mdłości. Zupełnie idiotycznie uznała, że to opóźniona reakcja na stres, w jakim przeżyli ostatnie miesiące przed ślubem, kiedy usiłowała rozwikłać cały ten bałagan, z jakim Andrew ją zostawił.

Ostatecznie fabrykę udało się sprzedać, tyle że za tak niską sumę, że Fiona nie wiedziała, czy śmiać się, czy płakać. Po sprzedaży domu bank postanowił umorzyć jej resztę kredytu. Osobiste długi Andrew spłaciła sama... W pewnym sensie sama. Bez pensji, jaką Blake uparcie jej wypłacał do dnia ślubu, nie miałyby żadnej szansy na uwolnienie się od tych zobowiązań.

Zarabiasz te pieniądze, tłumaczył jej cierpliwie, grożąc jednocześnie, że jeśli nie zgodzi się pobierać należnej jej pensji, zacznie podejrzewać, że nie chce za niego wyjść za mąż.

- Stres? - wybuchnęła serdecznym śmiechem Susie, kiedy Fiona opisała jej swoje objawy. - Według mnie wszystko wskazuje na ciążę...

Wróciwszy z pracy, Blake zastał żonę w kuchni. Siedziała tępo wpatrzona w przestrzeń.

- Co się stało? - spytał.

- Nie wiem - odparła. - Blake? Czy ty nadal chcesz mieć dzieci...?

Westchnął, ujął dłoń Fiony i zaczął tonem łagodnej perswazji:

- Uzgodniliśmy, że trójka wystarczy, prawda? Nie ja spłodziłem chłopców i Annie, ale dla mnie to są moje dzieci, Fiono...

- Czyli nie chcesz mieć więcej? - spytała, kurczowo chwytając go za kłapy marynarki.

- Mam wszystko, czego pragnąłem - tłumaczył spokojnie. - Wszystko... Co ci jest, Fif? - spytał widząc, że płacze.

- Och, Blake... Susie sądzi, że jestem w ciąży, a ty przecież nie chcesz... - załkała przytulona do jego piersi.

Później doszli do wniosku, że ta histeryczna reakcja musiała być wywołana zmianami hormonalnymi. Nie było przecież żadnego innego powodu, aby zachowywać się tak nonsensownie.

Blake był uszczęśliwiony nowiną, chociaż jego zapal odrobinię ostygł, kiedy się okazało, że urodzą się bliźniaki.

- Twoje akademickie plany będą musiały poczekać - uprzedził ją, badawczo się jej przyglądając.

- Mhm - mruknęła i roześmiała się. - Wygląda na to, że dyplom nie jest moim przeznaczeniem.

- Ja popcham wózek - stanowczym tonem powiedziała Annie do Rory'ego.

- Jesteś pewien, że stawiając się tak silną grupą, nie narażymy na szwank twójego wizerunku? - Fiona żartem spytała męża.

Rada pracownicza szpitala jednogłośnie uchwaliła, że w uroczystości otwarcia oddziału chirurgii dziecięcej połączonego z poradnią psychologiczną nie weźmie udziału wyłącznie rzesza miejscowych notabli, lecz wszyscy ci, którzy swoją pracą i zaangażowaniem przyczynili się do ich powstania, czyli personel z rodzinami i sponsorzy.

Oddział był w dużej mierze dzieckiem Blake'a. Pomysł powstał na fali sukcesu oddziału urazowego, gdzie ofiarom wypadków zapewniono opiekę psychologa.

Z pewnymi oporami władze wyraziły zgodę na stworzenie podobnego oddziału dziecięcego, zastrzegając jednak, że połowę funduszy szpital musi zdobyć samodzielnie.

W najbliższy poniedziałek oddział miał przyjąć pierwszych pacjentów, lecz dzisiaj jeszcze nie wstawiono łóżeczek.

Zostawiono miejsce dla wszystkich, aby zabawą uczcili sukces odniesiony wbrew wszelkim przeciwnościom losu.

Widząc teraz rezultaty, Fiona pomyślała, że opłaciły się te wszystkie soboty spędzone w pogodę i niepogodę na kwestowaniu z puszką; wszystkie kiermasze, pikniki połączone ze zbieraniem składek i tym podobne imprezy.

Ściany na nowym oddziale pokryto kolorowymi deseniami, których projekt ofiarował szpitalowi utalentowany artysta z okolicy. Samym malowaniem zajęła się grupa dzieci w różnym wieku. Wszystkie miały się dziś stawić z rodzinami i pochwalić dziełem swoich rąk. Ściany pokoju, w którym Blake miał odbywać konsultacje, były natomiast gładkie, ciepłe, pastelowożółte. Uśmiech zniknął na moment z twarzy Fiony, kiedy wyobraziła sobie, o ilu dziecięcych tragediach owe mury usłyszą.

Na oddziale urządzono także niewielką salę gimnastyczną, do której wyposażenie ofiarowały rozmaite firmy z okolicy, oraz - szczególna duma i radość Richarda Humphriesa - basen dla dzieci cierpiących na paraliż i inne schorzenia kończyn. Koszt wybudowania basenu pokryła jedna osoba.

Fiona obejrzała się przez ramię. Annie paplała z koleżanką, jednocześnie z ważną miną poprawiając ubranka bliźniakom i sprawdzając, czy szelki przytrzymujące niemowlęta w wózku są dobrze zapięte. Koleżanka przyglądała się jej z odrobiną zazdrości. Narodziny maluchów natchnęły Annie ową pewnością siebie, której dziewczynce tak brakowało i pomogły jej bardziej się otworzyć na świat i ludzi.

Teraz Fiona rozejrzała się dokoła, chcąc sprawdzić, czy chłopcy stoją obok Blake'a, jak przypuszczała. Dojrzała ich poważne miny, kiedy wpatrywali się z szacunkiem w ojczyrna. Uśmiechnęła się. Wydawało się naturalne, że wyrastając na młodzieńców, szukają większego kontaktu z nim niż z nią.

Czasami zastanawiała się, czy mieszkając i pracując tutaj, na prowincji, Blake nie czuje się ograniczony skromnymi

możliwościami rozwoju własnej kariery, czy nie uważa, że w takim małym prowincjonalnym szpitalu jego kwalifikacje nie są dostatecznie wykorzystane. Kiedy jednak ostrożnie zahaczyła o ten temat, pokręcił głową.

- Przenosiny do większego szpitala automatycznie oznaczałyby zamianę czynnej praktyki na dydaktykę, a ja tego nie chcę. Moja zawodowa kariera jest dla mnie ważna, lecz ty, dzieci, nasze wspólne życie, jesteście ważniejsi...

- Mógłbyś nas zabrać ze sobą... - zasugerowała.

- Do miasta, gdzie dojazdy zajęłyby mi niemal tyle samo czasu co praca? Nie, nie, to ostatnia rzecz, jakiej bym chciał.

Wspólnie spędzony czas pogłębił miłość Fiony do Blake'a, a uczucie, jakim ją darzył, dostarczyło owej żyznej gleby, na której rozkwitła, rozwinęła się, dojrzała i doszła do ładu z samą sobą.

Miłość, odkryła Fiona, ów właściwy rodzaj miłości, nie ogranicza, nie zubaża, lecz wzmacnia poczucie wolności i niezależności, wzbogaca każdy aspekt życia.

Uśmiechając się sama do siebie, podeszła do Blake'a, który właśnie z kimś rozmawiał. Kiedy się zbliżyła, wsunęła mu rękę pod ramię, a on przyciągnął ją lekko do siebie i przedstawił swojemu koledze. Na wpół przysłuchując się rozmowie, Fiona zaczęła obserwować innych gości. Nagle w tłumie zauważyła znajomą twarz.

Bez emocji, spokojnie przyglądała się Joelowi zwróconemu ku żonie, trzymającemu rękę na ramieniu syna. Żona coś do niego mówiła, a córka, wyższa od matki, wybuchnęła w pewnym momencie śmiechem, najwyraźniej ubawiona żartem.

Jak gdyby czując na sobie wzrok Fiony, Joel obejrzał się.

Ich spojrzenia spotkały się na mgnienie i rozeszły. Oceniając własne korzyści, Fiona nie żałowała niczego, co wspólnie doświadczyli. Opuszczenie i rozpacz, owa bolesna spuścizna, jaką Andrew im obojgu, chociaż każdemu w innej formie, po

sobie zostawił, wzmocniła ją. Dzięki niej stała się kobietą dojrzałą, bardziej zrównoważoną psychicznie.

Tak... Samobójstwo Andrew było momentem przełomowym, zmusiło ją, by zaczęła walczyć o prawo do szacunku dla samej siebie, do godności, prawo do wyrażania swojej kobiecości. To, co przeżyli z Joelem, było jak gdyby wyważeniem drzwi, które pozwoliło jej pewnie wkroczyć w nowe życie z Blake'em.

Gdyby dzięki Joelowi nie odkryła w sobie namiętności, może by się wahała, może nie byłaby pewna, czy uczucie do Blake'a nie jest powtórką zauroczenia z dawnych cielecych lat.

Nie, ona niczego nie żałowała. A Joel?

Joel odwrócił wzrok od Fiony i spostrzegł, że Sally obserwuje go uważnie. W jej oczach przemknął cień.

Objął ją, lecz zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, odszedł do nich Neil Saunders i zagadnął:

- Masz chwilkę?

Joel przeprosił Sally i odszedł na bok z kolegą. Została tylko w towarzystwie córki.

- Wiesz, mam, pomyślałam, że mogłabym zrobić specjalizację z pediatrii... już po dyplomie - stwierdziła z entuzjazmem Cathy. Jej postanowienie, aby pójść do szkoły pielęgniarskiej, zaskoczyło i ucieszyło Sally, która pomagała teraz córce jak mogła.

Obecnie Sally pracowała na pół etatu, jak kiedyś. Była to decyzja podjęta wspólnie z Joelem, kiedy dowiedział się, jak bardzo bolała ją zamiana tradycyjnych ról w ich małżeństwie.

Rozmowy o tym, co czuje, nie były łatwe... dla żadnego z nich.

Bywało, że zastanawiała się nawet, czy ich małżeństwo przetrwa próbę tak bolesnej szczerości, lecz Joel uparcie nie

rezygnował i w jego determinacji rozpoznała tę samą moc, która dawno, dawno temu ją w nim tak pociągała.

To właśnie Joel zaproponował, żeby skorzystali z pomocy poradni rodzinnej, przekonywał, że łatwiej im będzie szczerze i otwarcie rozmawiać, na przykład o ich problemach seksualnych, w obecności osoby trzeciej. Nie chodzi o obwinianie czy oskarżanie siebie nawzajem, perswadował, kiedy wybuchnęła płaczem i stwierdziła, że on myśli, że to jej wina. Nadal cię Kocham, Sal, powtarzał, i ty mnie Kochasz, ale oboje wiemy, że to nie wystarczy.

I miał rację - łatwiej było mówić o swoich uczuciach przy pomocy pośrednika, wówczas temat przestawał wzbudzać takie emocje.

- Kiedy się kłócimy albo w jakiejś sprawie nie zgadzamy... kiedy przez cały wieczór mnie ignorujesz, nie mogę tak nagle, jak gdyby za naciśnięciem klawisza, przestawić się na seks - powiedziała Joelowi. - Muszę czuć, że mnie chcesz... nie tylko w łóżku... Że jesteś gotowy podjąć wysiłek, postarać się podniecić mnie, zanim pójdziemy do łóżka - dodała, pokonując wewnętrzne opory, kiedy psycholog-terapeuta zachęcał ją, aby bliżej określiła, co czuje.

- Jak mam tego dokonać, kiedy ilekroć się zbliżam, ty mnie odpychasz? - kontrargumentował Joel. - Masz pretensję, kiedy cię dotykam przy dzieciach, jedynym miejscem, gdzie mamy odrobinę prywatności, jest sypialnia... o ile, oczywiście, jesteśmy tam sami.

Oboje byli niemal w równej mierze zaskoczeni, kiedy zwierzyła się przed psychologiem ze swoich rozterek wywołanych sterylizacją Joela. Z jednej strony wiedziała, że podjął decyzję podyktowaną troską o ich przyszłość, z drugiej czuła się prawie oszukana.

Jej przyznanie się do tego bardzo przygnębiło Joela. Wyznał, że i on pragnąłby jeszcze jednego dziecka, więcej dzieci, lecz obawiał się, czy zdoła wyżywić większą rodzinę. Dręczy-

ło go widmo biedy z dzieciństwa, życia z dnia na dzień, wspomnienie ciągłego wstydu z powodu ruskiej pozycji społecznej ojca.

Dopiero ostatnio zaczął bardziej trzeźwo patrzeć na owe sprawy oraz dostrzegać raczej dobre cechy ojca, zamiast ogniskować całą uwagę na tych, które w dzieciństwie wprawiały go w takie kompleksy.

Słuchanie jak, drżącym czasami głosem, z zażenowaniem opowiadał o swoim dzieciństwie i nieodłącznym poczuciu niższości, wzruszało Sally do głębi, wzniecało na nowo całą czułość i sentyment, jaki poczuła do niego, kiedy się poznali.

Najbardziej jednak poruszyła ją jego gotowość poddania się operacji przywracającej płodność, jeśli ona by tego chciała.

- Nie. Miałeś rację - odpowiedziała mu łagodnie. - Nie mogliśmy sobie wówczas pozwolić na jeszcze jedno dziecko, a poza tym teraz całkowicie wystarczą nam Cathy i Paul.

Dopiero po kilku miesiącach terapii zaczęła chętniej poddawać się pieścizotom Joela i reagować na nie. Jeszcze trochę później, pewnego ranka, kiedy się kochali, ku swojemu całkowitemu zaskoczeniu przeżyła orgazm.

Był to pamiętny moment, przełomowy w ich stosunkach, lecz jeszcze nie tak cudowny, jak owo popołudnie, kiedy zajęta domową krzątaniną nagle poczuła nieznaną dreszcz i napięcie oczekiwania ogarniające całe jej ciało i dopiero słysząc z kuchni głos Joela, uświadomiła sobie, że to instynkt uprzedził ją o jego nadejściu.

Raczej bardziej przestraszona niż uradowana, nie wspomniała Joelowi o tym wspaniałym przeżyciu.

Tamtego wieczoru oznajmiła, że chce się wcześniej położyć i spędziła prawie godzinę w łazience, kąpiąc się, nacierając ciało perfumowanym balsamem, przeglądając się w lustrze, zastanawiając się, czy jej nagość wciąż go podnie-

ca. Nigdy jeszcze sama nie zainicjowała erotycznej zabawy, a upokorzenie ze strony Kennetha jeszcze się całkiem nie zbliżyło.

Położyła się i wsłuchana w dobiegający z pokoju dziennego szum telewizora w napięciu czekała na Joela.

Po godzinie takiego leżenia straciła cierpliwość, wstała, naciągnęła szlafrok i zeszła na dół.

- Sally? Coś się stało? Źle się czujesz? - spytał zaniepokojony Joel.

Czy coś się stało? Czy sama potrafiła na to dać odpowiedź?

Zła na niego już otwierała usta, żeby coś burknąć, lecz nagle uświadomiła sobie komizm całej tej sytuacji i wybuchnęła śmiechem.

- Sal...

Joel wstał i podszedł do żony. Wciąż się śmiejąc, wyciągnęła ku niemu ramiona. Puszczone poły szlafroka odsłoniły jej nagie piersi.

Skończyło się to wszystko tak, że kochali się na podłodze, przed kominkiem, żarliwie i pospiesznie jak para nastolatków. I to Joel miał skrupuły, że dzieci usłyszą, zaniepokoją się, zjedzą na dół i ich zobaczą.

- Niech przychodzą, nie mam nic przeciwko temu - skłamała Sally wojowniczo.

- Nie masz? - zaczął się z nią droczyć. - W takim razie...

Kiedy zaczął całować jej łono, przyłgnęła do niego, a za moment, rozdarta między lękiem i rozkoszą, zaczęła się mu wrywać. Joel ze śmiechem pozbierał porozrzucane po całym pokoju części garderoby i przekonał ją, że jednak wygodniej im będzie w łóżku. Biorąc Sally za rękę, powiedział zduszonym głosem:

- Kochaj mnie, Sal... Pokaż mi, że to nie ja zawsze stawiam wymagania... pokaż mi swoje pieszczoty... swoją miłość...

Zawahała się na ułamek sekundy, nie wiedząc, czy napra-

wdę chce podjąć taki krok. Walczyła z tamtą dawną Sally, która wciąż pragnęła biernie trwać w znanej roli, jaką dla siebie wybrała, lecz Joel przerwał jej rozterki. Przytulił się do niej, a pod wpływem jego dotyku dreszcz emocji przeniknął całe jej ciało, tamy puściły i poddała się szaleńczym fantazjom, jakie dręczyły ją cały wieczór.

W zamyśleniu Sally przeniosła teraz wzrok na Fionę, a kiedy dostrzegła, w jaki sposób uśmiecha się do stojącego obok niej mężczyzny, cień niepokoju zniknął z jej oczu.

- Nic nie mów - prosiła kiedyś Joela. - Nie chcę się dowiedzieć niczego więcej ponad to, co już wiem... z wyjątkiem jednego... Kochasz ją?

- Nie - odparł i Sally wiedziała, że to prawda.

Nie mogła udawać, że ją ta cała sprawa nie bolała, ani że postara się całkowicie o niej zapomnieć. Niemniej nie mogła również zaprzeczyć, że po tych obopólnych doświadczeniach ich małżeństwo umocniło się.

Jednakże, kiedy podczas sesji z terapeutą Joel wyznał, czego, w jego odczuciu, brakuje w ich stosunkach, nie mogła powstrzymać się od zadania sobie w duchu pytania, ile z owej upragnionej intymności i erotycznej radosnej zabawy we dwoje, jakie najwyraźniej były dla niego tak istotnymi elementami współżycia, odnalazł w romansie z tamtą kobietą. Możliwe, że i on się zastanawiał (choć lojalnie nigdy nie wypytywał o Kennetha), ile owej pozbawionej erotycznego podtekstu troski i serdeczności, której ona tak potrzebowała, dał jej ów nieznamy mężczyzna.

Przeszłość przestała być dla Sally dręczącą zmorą - wiedziała, że Joel ją kocha - niemniej ile razy uświadomiła sobie, jak bliska była utraty swego męża, trwoga mroziła jej serce.

Joel skończył rozmawiać z Neilem i wrócił do żony.

- Czego on od ciebie chciał? - spytała zaciekawiona. W jego oczach spostrzegła dziwne pomieszanie podniecenia z niepewnością.

- Colin postanowił przejść na wcześniejszą emeryturę i Neil pytał, czy interesuje mnie jego stanowisko.

- Zastępca kierownika całego kompleksu rekreacyjnego!
- wykrzyknęła Sally zdumiona.

Dziesięć miesięcy temu, kiedy Joel zdał wszystkie egzaminy, mianowano go trenerem. Wówczas ucieszyła ją nie tyle niewielka podwyżka jego pensji, co oficjalne uznanie jego ciężkiej pracy.

Wydali małe przyjęcie dla uczczenia tego sukcesu i chociaż Joel protestował, że nie ma co robić tyle hałasu wokół tak nieważnej sprawy, widziała, jak bardzo był zadowolony.

Daphne oczywiście skwitowała wiadomość pogardliwym prychnięciem i Sally musiała ugryźć się w język, żeby jej nie przypomnieć, ile razy wątpiła w to, że Joel potrafi zdobyć jakiegokolwiek kwalifikacje. Cóż, Daphne miała teraz swoje kłopoty: Edward wpadł w złe towarzystwo i najwyraźniej nie przykładał się do nauki, tak jak powinien.

- Co mu odpowiedziałeś? - spytała.

- Że potrzebuję trochę czasu do namysłu i że muszę przedyskutować to z tobą - odparł Joel.

- Sądziłam, że od razu się zgodzisz... Nie chcesz tej posady?

- Chcę, to dla mnie niewątpliwie wyzwanie ... ale widzisz, z tym się wiąże konieczność powrotu do pracy na całym etacie, czasami wieczorami, w weekendy... - Ujął dłoń Sally i zbliżył się do niej, aby nikt nie mógł usłyszeć, co teraz powie. - Nie chcę stracić tego wszystkiego, co wspólnie zbudowaliśmy, Sal... Nie chcę powrotu do dawnego stanu... Zależy mi na tej pracy, ale jeszcze bardziej zależy mi na nas.

Sally zaczęła szybko mrugać powiekami, żeby powstrzymać łzy wzruszenia napływające jej do oczu. Kiedy po chwili się odezwała, zabłysła w nich radość i figlarna przekora:

- Rozumiem, że nie chcesz stracić naszych popołudniowych igraszek, tak?

- Kto twierdzi, że je stracę? - odparł Joel w tym samym tonie. - Przecież będę miał jeszcze przerwę na lunch. Lubię, gdy mamy cały dom dla siebie i nie muszę się bać, że dzieciaki usłyszą... Uwielbiam to twoje rozkoszne ciche pojękiwanie, kiedy ciebie dotykam i uwielbiam...

- Uwielbiasz, ale przestań - przerwała Sally i dała mu słabego kuksańca. Nie przestawała się jednak przy tym śmiać i nie opierała się, kiedy ją objął i przytulił. - Mam pomysł - szepnęła mu na ucho. - Każ sobie wpisać do umowy dwie godziny przerwy na lunch i...

- Dwie godziny... Mhm... - rozmarzył się.

- Druga godzina po to, żebyś nadrobił obowiązki domowe, które zaniedbasz, jeśli będziesz pracował na całym etacie - sprowadziła go na ziemię i dodała: - A jak to pogodzisz z zajęciami u nas?

Joel również zaangażował się w zbieranie pieniędzy na budowę oddziału dziecięcego i zgodził się pomagać w zajęciach rehabilitacyjnych na basenie.

- Colin zostaje do końca tego roku, więc będę miał dość czasu, żeby się zastanowić. Czuj duch! Zbliżyła się Daphne z Cliffordem.

Oglądając się przez ramię, Sally zobaczyła siostrę wystrojoną w o wiele zbyt elegancką i zbyt powiewną suknię w kwiaty. Ostatnio Daphne przytyła i suknia napinała się na szwach.

- Wiejmy - szepnął Joel. - Nie widziała nas jeszcze.

Sally ponownie zerknęła za siebie, potem przeniosła wzrok na Joela. Daphne była jej siostrą... ale Joel mężem.

- Wiejmy - zgodziła się.

- Dziękuję paniom.

Fotograf z miejscowej gazety uśmiechnął się z aprobatą, kiedy Stephanie i Debora drgnęły i ożyły. Zdjęcie będzie się znakomicie nadawało na pierwszą stronę: właścicielka dużej

firmy, która ufundowała basen do hydroterapii dla powstałego właśnie oddziału chirurgii dziecięcej, i jej asystentka... Obie bardzo atrakcyjne kobiety. Odprowadził je wzrokiem, kiedy pogrążone w rozmowie oddaliły się.

- Dzięki temu zyskamy spory rozgłos... Za darmo - skomentowała Stephanie.

Debora roześmiała się i odparła:

- Przecież od początku ci o to chodziło, prawda? Po to ryzykowałam doprowadzenie Marka do ataki apopleksji, zlecając mu wystawienie czeku...

- Cóż...

- Mniej by cię kosztowały całostronicowe reklamy we wszystkich branżowych pismach - zauważyła Debora, nie przestając się uśmiechać.

- Mhm...

Spojrzały z dumą na basen.

- Andre twierdzi, że z wiekiem mam miększe serce - odrzekła Stephanie. Rok temu, ku powszechnemu, a głównie własnemu zaskoczeniu, poślubiła swojego francuskiego kontrahenta.

- Nie chcę wychodzić za mąż - zwierzała się Deborze rankiem przed ceremonią. - Po co ja to robię? Dlaczego mi na to pozwalasz?

- Dlatego, że kochasz Andre, a poza tym dlatego, że zagroził, iż jeśli nie uczynisz z niego uczciwego człowieka, odejdzie - odparła Debora szczerze.

- Wiesz - zagadnęła teraz, wskazując basen - że Mark odgrażał się, iż zmusi cię, żebyś mnie wyrzuciła? Za karę, że nie sprzeciwiłam się w sprawie tego basenu...

- Miałabym wyrzucić ciebie? Za żadne skarby. Przyjęcie ciebie było moim... Marka - poprawiła się - najlepszym posunięciem... No właśnie. A gdzie on się podziewa?

- Kiedy ostatni raz go widziałam, puszczał oko do pewnej kobiety - powiedziała Debora, udając urażoną. - A Andre mu

sekundował - dodała przekornie. - Do kobiety w wieku niemowlęcym - wyjaśniła widząc, że Stephanie pytająco unosi jedną brew. - Pewnej bliźniaczki...

- Ach, do córeczki Blake'a Hamiltona - odgadła nareszcie Stephanie i spytała: - Mark wciąż tak samo gorąco pragnie zostać ojcem?

- Bardzo gorąco - przyznała Debora.

- Ale ty nie chcesz mieć dzieci, tak?

- Chcę... - wyznała Debora, sama zdziwiona swoimi słowami. Widok Marka entuzjastycznie, choć odrobinę niezdarnie biorącego na ręce jedno, a potem drugie z bliźniąt, wzruszył ją bardzo, wywołał ową mieszaninę bólu i radości, owo słodko-kwaśne ssanie w żołądku, które, chociaż się do tego Markowi nie przyznała, dodawało nowej głębi i nowego impulsu jej reakcjom, kiedy się kochali. - Jednak w obecnym momencie to nierealne... przecież firma się rozwija, obie tyle podróżujemy...

- Mhm... ale Mark zostaje w domu, a poza tym mieszkać tuż obok jego biura.

- Wiem. Mark twierdzi to samo, ale...

- Ale nie chcesz pozostawić jemu całkowitej opieki?

- Nie, to nie całkiem tak... Mark będzie o wiele lepszym rodzicem ode mnie. Widzisz, moja praca zbyt wiele dla mnie znaczy. Pragnę mieć dzieci, ale nie jestem pewna, czy już teraz jestem gotowa do macierzyństwa, czy to byłoby w porządku w stosunku do ciebie... Nie jestem pewna, czemu przyznać pierwszeństwo: firmie, dziecku czy sobie.

- Cóż... Szkoda. Wymyśliłam, że wspaniale by było, gdybyśmy tak to zgrały, żeby urodzić w tym samym czasie. No, miesiąc w jedną, miesiąc w drugą stronę nie robiłby różnicy...

- Obie? - Debora spojrzała na Stephanie zdumiona. - Chyba nie...?

- Jeszcze nie - uspokoiła ją Stephanie - ale mam nadzie-

ję, że już wkrótce, Coś ci się nie podoba? Mam czterdzieści cztery lata i jeśli chcemy z Andre mieć dzieci, to musimy się spieszyć. Uważasz, że to nierozsądne?

- Ależ nie - zarzekła się Debora - tylko nigdy mi do głowy nie przyszło... - urwała, desperacko szukając właściwych słów. Z takim trudem wydobyła ze Stephanie przyznanie się, że kocha Andre, że swoboda, z jaką jej przełożona mówiła teraz o dziecku, zbiła ją z pantałyku.

- Uprzedziłam już André, że musimy tak wszystko zgrać, żeby ono urodziło się poza sezonem - dodała. - Pomyślałam, że jeśli wszystko poszłoby gładko i jeśli znaleźlibyśmy odpowiednią nianię, dzieci i ona mogłyby wszędzie z nami jeździć. Jeśli natomiast mój plan zawiedzie, będziemy miały dwóch przepracowanych i skołowanych ojców na głowach...

- Mówisz poważnie? - spytała Debora z niedowierzaniem.

- Uhm... Pomyśl, jak to można będzie wspaniale wykorzystać dla reklamy. - Stephanie aż oczy zabłyśły. - Na przykład taki obrazek: my obie w zaawansowanej ciąży wśród łąk kwiatów... I my, i kwiaty w pełnym rozkwicie!

- W żaden sposób nie uda mi się... - zaczęła Debora i wybuchnęła śmiechem. - Sprytnie mnie podeszłaś. Powiedziałaś, że tak to urządzimy, żeby dzieci urodziły się nie w sezonie...

- Matka Natura czasami sama wybiera odpowiednią porę - wtrąciła nieśmiało Stephanie.

- Tak, wiem. Stephanie... Naprawdę sądzisz, że nam się uda?

- Tak, jeśli będziemy tego bardzo chciały. Nie będę udawać, że wierzę w możliwość posiadania wszystkiego na raz. To mit, który rzeczywistość skutecznie obala. Ale cóż, życie jest pełne niespodzianek... Ty masz jeszcze mnóstwo czasu, Deboro, ja już nie. Słusznie czy nie, chcę mieć dziecko.

- Przepraszam, czekałyście na mnie...? - spytał Mark i oddał dziecko Fionie.

Była to śliczna blondyneczka z delikatnymi kędziorkami i ciemnymi oczami. Kiedy ponad ramieniem matki figlarne spojrzała na Deborę, ta pospiesznie odwróciła wzrok, doskonale przeczuwając, jak niebezpiecznie i silnie owa buzia i pulchne niemowlęce paluszki podziałają na jej wyobraźnię.

- Wiesz, nie wszystkie dzieci są takie - odezwała się do Marka, wsuwając mu rękę pod ramię. - Niektóre bywają wstrętne; płaczą, nieprzyjemnie pachną... wymiotują...

- Skąd ta pewność, że ono będzie podobne do ciebie? - nie dał się zniechęcić Mark, a Debora zrobiła wielkie oczy.
- Mogłoby być takie jak ja: spokojne, pogodne... przystojne...

- Zarozumiałe... - podpowiedziała Debora.

Odczekała chwilę, niby zmieniając temat i komentując malowidła na ścianach. Po chwili dodała poważnie:

- Nawet nie wiemy, czy mogłabym zająć w ciążę... - Zamiast odpowiedzi Mark przycisnął ramieniem jej rękę. - Moglibyśmy spróbować - ciągnęła jakby w zadumie - lecz...

- Deboro...

Starła się zachować poważną minę niewiniątka, kiedy jednak Mark obrócił ją ku sobie, zmuszając, aby na niego spojrzała, nie wytrzymała i wybuchnęła śmiechem.

- Poczekaj, tylko wrócimy do domu - żartem zagroził Mark niczym niegrzecznemu dziecku.

- Zaczekam - odparła butnie - nie chcę, aby nasze dziecko do końca życia wstydziło się, że zostało poczęte... Mark!
- wykrzyknęła w głośnym proteście, gdy chwycił ją w objęcia i zaczął całować. - Mark...

- Słyszeliście nowiny o Davidzie? - spytał Brian, przyłaczając się do Elizabeth i Richarda. - Wygląda na to, że wpadł

w sidła łowców głów szukających wykwalifikowanych kadr dla jednego z tych międzynarodowych koncernów. Już złożył wypowiedzenie... To wersja oficjalna. Za kulisami jednak mówi się, że nasza pani minister koniecznie chciała się go pozbyć...

- Cóż, prawda jak zwykle leży pośrodku - zawyrokował Richard.

Davidem przestał się przejmować już dawno, właściwie od momentu, gdy publicznie ogłoszono, iż pogotowie i oddział pourazowy zostaną utworzone w ich szpitalu, a nie w Północnym.

- Wiesz - odezwał się Richard do Elizabeth, kiedy Brian odszedł zamienić kilka słów z burmistrzem - zgłosił się do mnie Patrick Stowe. Ma zamiar otworzyć oddział podobny do naszego u siebie w Peterborough. Prosił, żebym przyjechał i przedyskutował z nim ten projekt na miejscu. Zastanawiam się... Gdybym zdecydował się przejść w przyszłym roku na emeryturę, zyskałbym więcej czasu na tego typu działalność. A żeby nie wyjść z wprawy jako chirurg, zawsze mogę zatrudnić się na cząstce etatu w przychodni lana...

- Mhm... - mruknęła z aprobatą Elizabeth. Za dwa lata Richard przekroczy sześćdziesiątkę, pomyślała, i nie jest to wcale wiek, w którym nie mógłby zacząć czegoś nowego, co dawałoby mu poczucie wartości i celu w życiu. - Z pewnością warto to staranniej przemyśleć - powiedziała.

- Wiem, co o tym sądzisz - rzekł Richard spokojnie. - Uważasz, że to wszystko po to, żeby odwlec to, co nieuniknione. Ja jednak staram się pogodzić z tym, co mnie czeka, zaakceptować... - urwał i potrząsnął głową. - Wszystkim nam potrzebne jest poczucie własnej wartości; a dla nas, dla mężczyzn, owa wartość tradycyjnie łączy się z pracą.

- Niemniej mężczyźni powinni wreszcie nauczyć się tego, co kobiety zawsze wiedziały - że powolne podążanie bocznym

mi ścieżkami kryje w sobie wiele radości, o wiele więcej niż pęd prosto przed siebie autostradą, z jedynym celem wyprzedzenia kierowcy przed sobą. Tak pędząc, człowiek przestaje liczyć się z niebezpieczeństwem, na jakie naraża współpasażerów, staje się głuchy na ich lęki i protesty, całkowicie podporządkowuje sobie ich życie...

- Już się tego uczymy - wtrącił Richard. - Spójrz, w jaki sposób Blake ułożył dyżury na swoim oddziale, jak zapewnił możliwość korzystania ze zwolnień nie tylko matkom, ale i ojcom... Jak sam zorganizował sobie pracę pod kątem rodziny... Rozejrzyj się, zobaczysz, że wielu mężczyzn zmienia swój stosunek do dzieci, że publicznie okazują im swoje uczucia, że o wiele bardziej interesują się ich życiem... - Umilkł i po chwili, nawiązując do porównania, jakim posłużyła się Elizabeth, dodał: - Może nie jesteśmy jeszcze całkowicie przekonani do wyższości bocznych dróg nad autostradą, niemniej zaczynamy godzić się z tym, że czasami możemy wam oddać kierownicę i pozwolić wybierać styl podróżowania...

- Wy? Pozwalać nam? - Elizabeth potrząsnęła głową i wybuchnęła gromkim śmiechem. - Masz rację, mój drogi - zgodziła się z nim mimo wszystko. - To się zmienia... - umilkła, a potem dodała: - Jeśli zdecydujesz się przejść w przyszłym roku na emeryturę, to może i ja zaczęłabym pracować tylko na pół etatu?

- Ale ty dopiero zaczynasz swoją karierę, jeszcze masz tyle przed sobą - zaprotestował Richard.

- Moja kariera może się rozwijać, ale w tempie, które sama wybiorę - oświadczyła Elizabeth.

Richard przyglądał się jej przez chwilę, a potem powiedział:

- Nie musisz tego robić, wiesz o tym, prawda? Już i tak przez wszystkie te lata znosiłaś tyle poświęceń dla mnie... dla nas...

- To nie jest poświęcenie - odparła Elizabeth. - Jesteś po prostu moim mężem, Richardzie. Pragnę być blisko ciebie... Pragnę także pracować, ale w moim świecie, w świecie kobiety, jest miejsce dla nas obojga.

- Mhm... Wygląda to na bardzo przyjemny świat... bardzo przyjemny... - powiedział Richard i wyciągnął do żony rękę.

RS